

# Prokurator Alicja Horn



TADEUSZ DOŁĘGA-MOSTOWICZ

## *Prokurator Alicja Horn*

### ROZDZIAŁ I

Wyskoczył z tramwaju i szybko nastawił kołnierz palta. Siekł drobny deszcz zmieszany ze śniegiem, od Wisły ciągnął przejmujący chłodem wiatr.

Nie znał wcale tej dzielnicy miasta. Gdy przed kilkunastu laty mieszkał w Warszawie, Żoliborz jeszcze nie istniał. Na tym miejscu rozciągały się obłe pagórki, teren Cytadeli<sup>1</sup>.

Pomimo dość wczesnej pory ulica była pusta. Zbliżył się do latarni i jeszcze raz rzucił okiem na notatkę: Dębowa 26.

Stracił dobre pięć minut na wypytanie jakiegoś lękliwego przechodnia o kierunek, w którym ma iść, by odnaleźć ulicę Dębową. Nie zdziwił się zaniepokojeniu zaczepionego. Wiedział, że swoim wyglądem nie mógł wzbudzić zaufania. Zniszczone i zablocone ubranie na szerokich barach i od tygodnia nieogolona twarz.

Z chaotycznych informacji przechodnia wynikało, że trzeba skręcić w prawo, później będzie tor, za torem czerwona kamienica, później na lewo i trzecia czy druga uliczka znowu na prawo.

Mruknął „Dziękuję”, zapchnął zmarznięte dłonie głęboko w rękawy i ruszył szybkim krokiem.

Wiedział, że nie zbłądzi. Miał wrodzony instynkt orientacji w nieznanym terenie. Po prostu jakiś węch przestrzeni, który nie zawodził go nigdy, czy to w setkach obcych miast, czy na karkołomnych bezdrożach gór, czy w zawiłych labiryntach oceanicznych portów...

Gdy zawrócił na prawo, wiatr znowu uderzył mu w oczy prysznicem ostrych jak igły kropelek i wdarł się pod płaszcz. W chwili gdy przystanął, wyminął go w szalonym pędzie ogromny, czarny samochód. Do jego uszu doleciał jakby stłumiony krzyk, następnie już całkiem wyraźny brzęk stłuczonej szyby i auto zniknęło na zakręcie.

Odwrócił głowę: ulica była pusta. Po obu stronach stały z rzadka małe domki o ciemnych oknach.

— Oho — mruknął do siebie — jakaś grubsza robota.

Na zakręcie przy świetle latarni ujrzał kilka kawałków grubego szkła. Machnął ręką i ruszył dalej. Po kilku minutach odnalazł ulicę Dębową, jeszcze mniej zabudowaną niż inne, i zatrzymał się przed dużą białą willą.

Wysokie żelazne sztachety, a za nimi niewielki ogródek. Nacisnął klamkę furtki. Była zamknięta. Zadzwonił i czekał. Z przyzwyczajenia rozglądał się uważnie. O kilkanaście metrów dalej była w sztachetach brama wjazdowa, tuż za nią stało kilka zabudowań gospodarskich. Wyglądały mizernie przy okazałej dwupiętrowej willi. W oknach było ciemno. Musiały być szczelnie zasłonięte lub też mieszkańcy już spali.

Powtórnie nacisnął guzik dzwonka i teraz dopiero zauważył tabliczkę przy furtce:

DR KAROL BRUNICKI

Prof. Uniwersytetu Warszawskiego

Tymczasem jakieś boczne drzwi willi otworzyły się z hałasem i po chwili za furtką ukazała się krępa, niemal kwadratowa postać z kijem w ręku.

<sup>1</sup>Cytadela Warszawska — twierdza warszawska, w której w czasach zaboru rosyjskiego mieściły się koszary i więzienie polityczne (X Pawilon). [przypis edytorski]

— Czego tam? — rozległ się chrapliwy głos.

— Ja do pana profesora, proszę otworzyć.

Krępy człowiek zbliżył do sztachet brodatą twarz, obrzucił przybyłego nieufnym spojrzeniem i wzruszył ramionami.

— Pan tu nikogo nie przyjmuje, tylko w klinice.

— Wiem, ale proszę powiedzieć panu, że przeszedł... Fakir.

— Jak?

— Fakir.

Służący niezdecydowanie zawrócił ku domowi, lecz po paru krokach zatrzymał się.

— Fakir?... Niby z cyrku?

— Nie z cyrku, do diabła! Proszę powiedzieć: Fakir, profesor będzie wiedział.

Upłynęło sporo czasu, zanim brodacz wrócił, tym razem frontowymi drzwiami. Bez słowa wydobył z zanadru pęk kluczy, otworzył furtkę, przepuścił przybyłego i starannie ją zamknął.

Kilkoma schodkami wchodziło się na ganek. Dwoje grubych drzwi, opatrzonych wieloma zamkami i zasuwami, prowadziło do niedużego przedpokoju, ściany wyłożone dębową boazerią lśniły czystością jak i podłoga. Miłe ciepło uderzyło w wilgotną od deszczu twarz.

— Proszę wytrzeć nogi — warknął służący, spode łba przyglądając się gościowi.

Gdy ten możliwie najstaranniej oczyścił obuwie, brodacz otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju, mruknąwszy coś, co miało oznaczać zaproszenie, sam zniknął.

Był to bardzo duży pokój, rodzaj hallu, gęsto zastawionego mnóstwem miękkich mebli, o ścianach pokrytych dywanami. Daleko w rogu paliła się mała lampka pod rubinowo czerwonym abażurem. Dzięki temu pokój tonął w półmroku i przybyłego ogarnęło wrażenie, że oprócz niego jest tu jeszcze ktoś, czyje oczy bacznie go obserwują.

Wrażenie to wciąż rosło i stało się tak dokuczliwe, że nie mógł go nie sprawdzić. Wstał i kilku szybkimi krokami po miękkim dywanie dotarł do najciemniejszego kąta pokoju.

Z rogu szerokiej kanapy żarzyły się dwa zielone punkty — kot. Leżał tam nieruchomo ogromny, czarny kot.

Kot

Skrzywił się. Nie znosił tych zwierząt. Już chciał wrócić na swoje miejsce, gdy na fotelu tuż obok dostrzegł drugiego kota.

Wzrok pomału przyzwyczał się do czerwonego zmroku i z najwyższym zdumieniem odkrywał niemal na każdym fotelu, na każdej sofce, na każdym stosie ozdobnych poduszek — koty. Ogromne tłuste, opasłe koty.

— Psiakrew — zaklął przez zęby — cóż za ohydna menażeria.

W tej chwili w drzwiach ukrytych za portierą szczerknął zamek i na progu stanął szczupły niski człowiek w czarnym ubraniu. Jego ręka, niezwykle drobna i uderzająco biała, wyciągnęła się z wolna do kontaktu i jaskrawe światło załało pokój.

Przyglądali się sobie w milczeniu.

— Jak się masz, Fakir — odezwał się wreszcie gospodarz i jego wąskie usta wygięły się w nikłym uśmiechu — cieszę się, że cię znowu widzę.

Przybyły wyciągnął rękę i mocno potrząsnął wąską dłonią profesora.

— Źle się mam — odparł głosem niskim — dlatego masz przykrość mnie oglądać, kochany Karolu.

Spojrzał prosto w grube szkła profesora, zza których obserwowały go bacznie małe czarne oczy, i dodał:

— Pozwolisz usiąść?

— Ależ proszę cię, drogi Fakirze, wybacz moje roztargnienie.

Przysunął gościowi fotel i wówczas zaleciała od niego mdła woń chloroformu<sup>2</sup>.

— Oderwałem cię od pracy — zauważył Fakir, siadając.

— O, bynajmniej.

— Myślałem. Pachniesz chloroformem. Chętnie zapaliłbym papierosa.

— To jeszcze z kliniki — odpowiedział twardo profesor — w klinice wszystko cuchnie chloroformem.

<sup>2</sup>chloroform (chem.) — organiczny związek chemiczny w postaci lotnej cieczy o słodkawym zapachu, używany jako środek usypiający. [przypis edytorski]

Wydobył dużą, złotą papierośnicę i podał Fakirowi.

— Tak — odezwał się ten po chwili — bogaty jesteś... Bardzo bogaty.

— Bardzo — obojętnie powtórzył profesor. — Cóż chcesz, nie umiem trwonić pieniędzy.

— Bardzo ci współczuję — roześmiał się gość. — I wciąż obdzierasz pacjentów?

— Nie. Od kilku lat już praktyki nie prowadzę.

Olbrzymi bury kot ciężko zeskoczył z kanapy i zaczął się ocierać o nogi swego pana.

— Polubiłeś koty — zauważył mężczyzna nazywający się Fakirem. — Czy interesują cię jako psychiatrę? Nie rozumiem, jak można trzymać w domu tyle tego obrzydlistwa!

Profesor nie odpowiedział i wciąż wpatrywał się w gościa.

— Dawno nie widzieliśmy się — odezwał się wreszcie — chyba z dziesięć lat czy więcej... Aleś się nie postarzał. Oczy ci się jarzą, nozdrza rozdymają się... Widocznie służy ci twój tryb życia...

— Jednak czterdziestka ma swoje prawa. Widzisz, na skroniach posiwiały mi włosy.

Profesor uśmiechnął się ironicznie.

— To cię chyba nie martwi. Kobiety to lubią... A trochę szronu na włosach dodaje ci poza tym pewnej powagi, solidności, co jak sądzę, jest rzeczą nie do pogardzenia w twoich, że tak powiem, interesach.

Przybyły obrzucił gospodarza ponurym spojrzeniem.

— Zimno mi jest — powiedział — wypiłbym kieliszek wódki.

— Niestety, nie mam w domu... Chyba... mógłbym ci służyć spirytusem?....

— Daj.

Profesor wrócił po chwili z dużą apteczną butlą. Od jego ubrania znowu zaleciał nieznosnie słodki odór chloroformu.

— Głodny jesteś? — zapytał.

— Wszystko jedno — odparł Fakir — teraz chcę się rozgrzać.

Nalał sobie pełną szklaneczkę i wypił duszkiem.

— Tęgie masz gardło — zauważył profesor.

— Daj mi jeszcze papierosa, strasznie czuć cię tym chloroformem.

— Wydaje ci się — skrzywił się gospodarz. — No, więc mów: dawno wróciłeś do Warszawy?

— Dziś.

— Zamierzasz długo tu popasać<sup>3</sup>?

— Nie wiem jeszcze, zobaczę.

— A... a nie obawiasz się, że mogą cię poznać?...

Gość wzruszył ramionami.

— Wątpię. Tyle lat... — zaciągnął się dymem. — Nie słyszałeś nic o niej?...

— Nie. Pewno już dorosła, za mąż wyszła.

— Psiakrew....

— A tyś sobie zwichnął życie. Kiedyś wówczas uciekł za granicę, myślałem, że jednak jakoś staniesz na nogi. Ale kto raz znajdzie się na równi pochyłej...

— Dajmy temu spokój — przerwał Fakir. Nalał sobie nową szklaneczkę i wychylił ją jednym łykiem.

— Skąd przyjechałeś? — zapytał profesor.

— Z całego świata.

— Musiało ci już być w tym całym świecie za ciasno, skoro zaryzykowałeś wrócić?

W głosie profesora zabrzmiała nutka złośliwości.

— Słuchaj, Karolu — warknął gość — nie po to przyszedłem do ciebie, żebyś drwił ze mnie. Widzisz... ja bardzo mało mam do stracenia!...

Wzrok profesora prześlizgnął się po wysokim czole, zaciśniętych szczękach, szerokich barach i sprężystej postaci gościa.

— Uspokój się — odezwał się głosem cichym. — Wiesz, że się ciebie nie boję, jak i to, że... Twoja zaś moralność i twoje zatargi z kodeksem karnym nic mnie nie obchodzą.

<sup>3</sup>popasać (daw.) — zatrzymać się na popas, przerwę w podróży w celu nakarmienia koni; przen.: zatrzymać się gdzieś na krótko. [przypis edytorski]

Jestem wyższy ponad... nie dlatego, bym z tytułu dawnej przyjaźni czuł względem ciebie jakieś zobowiązanie, lecz po prostu z... wyrachowania.

— Nie rozumiem ciebie.

— Mniejsza o to. Nie zależy mi na tym, byś rozumiał. Zatem, czego chcesz ode mnie? Pieniędzy?

— Tak. Oddam, gdy będę miał. Ale to nie wszystko.

— O?!... — zdziwił się profesor.

— Nie przerażaj się. Chodzi o drobiazg. Miałem przed paru miesiącami pewną przygodę i zobacz...

Rozpiął kamizelkę i koszulę, odsłaniając szeroko sklepioną klatkę piersiową z małą różową blizną tuż nad obojczykiem.

— Widzisz — ciągnął — tu trafiła, a teraz obsunęła się aż tu, pod pachę, i zaczęła mi zawadzać.

Wąskie, wypielegnowane palce profesora namacały nieduży, twarde przedmiot pod samą skórą.

— Rewolwerowa?

— Tak — potwierdził Fakir. — Próbowałbym sam skórę przeciąć, ale używając tylko jednej ręki, nie dam rady. Nie chcę zaś iść do żadnego szpitala czy pogotowia ratunkowego... Jeżeli byś był tak łaskawy...

— No, dobrze — wycedził, ociągając się, profesor — ja jednak nie mam wprawy... Hm... mój pomocnik lepiej to zrobi. Zaczekaj.

Znikł za drzwiami.

Fakir wstał i omal nie nadepnąwszy na kota, podszedł do lustra, by skonstatować<sup>4</sup>, że wygląda fatalnie. Nieogolona twarz i zapadłe oczy, za ciasne i połatane ubranie....

— Przed wszystkim odpocząć, trzy, cztery dni odpocząć w takiej ciszy jak tu, na tej Dębowej.

— Już jesteś przed lustrem? — usłyszał za sobą głos profesora.

Odwrócił się.

— Bardzo wyczerpany jestem. Nie zazdrozczę ci tego domu, ale tej ciszy, jaka tu panuje.

— Tak, to najcichsza dzielnica w Warszawie, mieszkają tu ludzie pracy i nauki.

— Tak wygląda — uśmiechnął się gość — ale wyobraź sobie, że na samym wstępie doznałem rozczarowania. Minęło mnie auto, w którym kogoś gwałcono czy zarzynano...

— Jak to, co ty mówisz? — zerwał się profesor. — To niemożliwe!

— No, powiadam ci. Ktoś darł się z auta i nawet szybę wybił. Na własne uszy słyszałem, a nawet widziałem kawałki szkła na jezdni.

— A nie zauważyłeś przypadkiem, jak wyglądał ten samochód?

— Czarna, duża limuzyna. Może Delage, może Benz, zresztą czort go wie.

— To dziwne — powiedział po pauzie profesor.

— Co się tak tym przejmujesz? — wzruszył ramionami gość.

— No, zawszeć to nie należy do rzeczy powszednich, zwłaszcza na Żoliborzu... Prześlam cię na chwilę. Zdejm marynarkę i koszulę. Zaraz wrócę z narzędziami.

Znowu znikł za drzwiami i wrócił po paru minutach z dużą niklową<sup>5</sup> skrzynką w ręku. Za nim wszedł mały, chudy człowieczek w białym kitlu lekarskim, od którego ostro odbijała jego niezwykle żółta cera.

— Oto pacjent, doktorze — powiedział profesor, zawahał się chwilę i dodał: — mój przyjaciel z lat szkolnych... pan...

— Winkler — pośpiesznie odpowiedział gość.

Lekarz, na którego twarzy zarysował się uprzejmy uśmiech, zdawał się nie spostrzeć braków w stroju pacjenta. Wyciągnął rękę i odezwał się niespodziewanie wysokim i melodyjnym głosem o wybitnie cudzoziemskim akcencie.

— Bardzo mi przyjemnie. Doktor Kunoki.

— Jak to? — zdziwił się przybyły. — Doktor Kunoki?... Czy pan jest krewnym tego sławnego biologa japońskiego?...

<sup>4</sup>skonstatować — stwierdzić. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>nikłowa skrzynka — tu: skrzynka wykonana z nierdzewnej stali niklowej albo ze stali pokrytej warstwą niklu, co zwiększa odporność na korozję. [przypis edytorski]

Profesor Brunicki z hałasem otworzył niklowe pudło.

— Mój drogi, chyba nie przyszedłeś tu na wywiad naukowy. Doktor Kunoki jest właśnie tym biologiem, o którym mówisz. Siadaj tu pod lampą i podnieś rękę.

W tonie profesora brzmiało nieukrywane niezadowolenie.

Krótko ostrzyżona głowa doktora Kunoki, pokryta rzadkim, niebieskawo czarnym włosiem, pochyliła się nad pacjentem. Dotyk waty przepojonej eterem<sup>6</sup> przeszedł dreszczem po skórze, kilka błysków lancetu, kilka kropel krwi i na niklowe wieko z brzękiem spadła mała kulka.

— Trzeba zabandażować? — zwrócił się doktor Kunoki do profesora.

— Obejdzie się — machnął ręką pacjent. — Niech pan będzie łaskaw po prostu zakleić jakim plasterkiem. Na mnie goi się jak na psie.

Operacja była skończona.

— Co, doktorze — powiedział profesor Brunicki, wskazując plecy gościa, na których grały wspaniałe mięśnie — piękny okaz rozplodowca?

Uśmiech przesunął się po żółtej twarzy biologa, a jego wzrok taksatorski prześlizgnął się po oglądanym obiekcie, który ubrał się właśnie i wyciągnął doń rękę.

— Bardzo dziękuję panu.

— O, proszę. Taki drobiazg — skinął głową i zabierając pudło, znikł za kotarą.

— Japończyk, a tak dobrze mówi po polsku — zauważył gość po jego wyjściu.

— Pół-Japończyk — odparł profesor — jego matka była Polką.

— Aha... To właśnie on odkrył te, no, jakże... elektro...

— ...neurony. Epokowe odkrycie — pokiwał głową profesor — biologia została przezeń pchnięta o olbrzymi krok naprzód.

— Słuchaj, Karolu, odkądże ty zajmujesz się biologią?

Profesor nagle drgnął. Jego blade policzki stały się niemal przezroczyste, palce zaciśnięły się kurczowo.

— Odkąd?... — powtórzył ochryplym głosem. — Od tego dnia, kiedy jak szalenięc zacząłem chwycić się ostatniej nitki nadziei! Kiedy waliłem głową w próg wiedzy, błagając ją o potwierdzenie kłamstwa umierających ust, kłamstwa, w które wierzyć znaczy dla mnie tyle, co żyć!...

— Karolu, czyż znowu żądasz ode mnie przysięgi?!

— O, bądź przeklęta, bądź po trzykroć przeklęta!...

Profesor zerwał się i wznosił nad głową zaciśnięte pięści. Grube krople potu pokrywały jego czoło.

— Karolu, Karolu!... Przecie wiesz, że strachu nie znam! Czyż kłamałbym ze strachu?!

Profesor zakrył dłonią oczy i powiedział niemal szeptem:

— Można też kłamać z... litości...

Opadł na fotel i znieruchomiał.

Zaległa cisza, tylko z kąta dolatywało mruczenie kota.

Pierwszy odezwał się profesor:

— Powiedziałeś, że cię nienawidzę. To prawda. Nienawidzę cię bardziej, niż sobie to możesz wyobrazić. Ale... zbyt głęboko tkwisz w mojej ranie, byś mi nie był najbliższy... Związała mnie z tobą... Ach, dajmy temu spokój... Twój niespodziewany przyjazd roztrząsał mi nerwy...

Profesor przetaił szkła i sięgnął do kieszeni.

— Potrzeba ci pieniędzy. Ile?

— Na razie... tysiąc wystarczy.

— Proszę.

— Dziękuję, Karolu. Mam nadzieję wkrótce ci oddać.

— Mniejsza o to. Cóż zamierzasz robić?

— Jeszcze nie wiem. Rozejrzę się. Na razie kilka dni w łóżku w hotelu.

— A dokumenty masz?

— Mam. Nazywam się teraz Jan Winkler... Ale już późno.

— Pierwsza — potwierdził profesor, spoglądając na zegarek.

<sup>6</sup>eter (pot.) — eter dietylowy, łatwopalna ciecz o odurzającym zapachu, mająca właściwości narkotyczne, nasenne i znieczulające. [przypis edytorski]



Gość wstał.

— Do widzenia, Karolu.

— Zaczekaj... chwilę. Nie chciałbym, byś odszedł tak zaraz... Nie proponuję ci, byś zamieszkał u mnie. Z wielu względów jest to niemożliwe...

— Ależ, Karolu, ja bynajmniej nie miałem zamiaru...

— Nie — przerwał profesor — wiem, że nie chciałbyś tego. Ale widzisz, nie znaczysz to, byś nie miał mnie odwiedzać... Jestem piekielnie samotny, przeraźliwie samotny... Nie spytałeś, ani słówkiem nie wspomniałeś o nim, a przecie może cię obchodzić jego los.

Fakir zmarszczył brwi.

— Mówisz o swoim synu?

— Mówię o synu Wandy.

Zaległo milczenie. Profesor Brunicki wpił się wzrokiem w twarz gościa i zaczął mówić jakimś bezbarwnym, monotonnym głosem:

— Dorasta... Duży już jest... W ramionach niemal już całkiem tak szeroki jak... ty... Ma takie same jasne, płowe włosy i takie zmysłowe usta... I nozdrza rozdęte i oczy, ogromne niebieskie, oczy o fenomenalnych ciemnozłotychn żrenicach... żaden okulista takich nie widział... A ja przecie znam aż dwie pary takich fenomenalnych oczu... Nie, nie dwie... to jest ta sama para...

Profesor pochylił się ku gościowi i przez zaciśnięte zęby wyrzucił:

— Właśnie tak polyskują, ciemnym złotem!...

— Przestań! — odezwał się cicho gość, odwracając głowę. — Znęcasz się nad sobą i nade mną.

— Nieprawda! Nieprawda! — zawołał w podnieceniu Fakir i uderzył pięścią w stół.

— Przysięgam ci, że nieprawda...

— Uspokój się — pokiwał głową profesor. — Posłuchaj: widuję go co roku. Co roku odbywam tę... krzyżową drogę i co roku wracam bez... Ach, mój drogi, to jakaś szatańska karuzela wspomnień. Iście szatańska! O, to już nie jest mały Boh, z którym bawiłem się w Indian, ba, to już nawet nie kolega Fakir, ten prowodyr klasy, który swymi pięściami bronił mnie i zasłaniał. Nie... to już prawie Bohdan Drucki, świetny Bohdan Drucki, który...

Profesor przełknął ślinę i wstał. Zataczając się, siedł jak lunatyk, a stanąwszy w środku pokoju, dodał szeptem:

— No, a za lat kilka, za lat kilkanaście... Jan Winkler. Nie, nic nie mów, musisz to rozumieć, że przecie jestem tylko człowiekiem, któremu natura dała te pięć czy więcej zmysłów i ograniczony rozmiarami czaszki mózg, któremu kazała bardziej wierzyć im niż opętańczym imaginacjom, niż przysięgom przyjaciela, niż samarytańskiemu<sup>7</sup> kłamstwu umierających ust, ust chociażby droższych niż życie, niż świat, niż wszechświat!...

— Karolu!

— Poczekaj. Nie posądzaj mnie o rozstrój umysłowy. Za chwilę znów będę sobą. Ale tylko pomyśl: lata, długie lata duszę się swoją tragedią. Ty jesteś ostatni, z którym mógłbym o tym mówić, lecz, niestety, ty jesteś jedynym. Nie obawiaj się, za chwilę znów będę sobą, jakiego mnie znasz od dziecka. Zimnym, wyrachowanym, nieugiętym, zamkniętym człowiekiem cha, cha, cha... bez... serca!... Takim, co to bez drgnięcia powieki potrafiłby zabić ciebie, gdyby potrafił jednocześnie zabić i jego... syna Wandy... Tak, Bohdanie, tak...

— Karolu! — zabrzmiał po pauzie cichy głos gościa — drogi przyjacielu, nie możesz pojąć, jaką męką jest nie mieć nawet prawa na jedno słowo współczucia...

— Nie mówmy już o tym — sucho przerwał Brunicki. — Dość. Zmęczony jesteś. Idź już. Jutro musisz zmienić sobie opatrunek. I nie zapominaj o mnie... Tym bardziej, że będziesz mi potrzebny...

— Ja? — zdziwił się Drucki.

— Tak — po chwili wahania odparł profesor. — Jesteś silny, śmiały i jak sam to stwierdziłeś, niewiele masz do stracenia...

— Nie rozumiem?!

<sup>7</sup>samarytański — tu: współczujący; od biblijnej postaci miłosiernego Samarytanina. [przypis edytorski]

— Idź już, nic pilnego. A co do pieniędzy, proszę, nie krępuj się. Ile razy będą ci potrzebne... No, do widzenia.

Podali sobie ręce i gość ruszył do drzwi, lecz zrobił nieuważny krok i nadepnął na wylegującego się na dywanie kota. Przerażliwe miauczenie było na to odpowiedzią i nagle ze wszystkich kątów wysunęły się zaniepokojone krzykiem jednego inne koty, tłuste, ogromne, opasłe.

— Psiakrew! — zaklął winowajca alarmu. — Po co, u diaska trzymasz tyle tych kotów? Musisz majątek wydawać na żywienie tego stada. Czym ty je karmisz?

— Mięsem — skrzywił się gospodarz.

Drucki wzdrygnął się. Przyszło mu na myśl, że sam jest wielkim kawałem mięsa.

— Do widzenia.

— Do widzenia.

W przedpokoju, skulony na krześle siedział brodac.

— Niech Antoni wypuści pana — odezwał się doń profesor. — Do widzenia, Faki-rzel!...

Po chwili Drucki szedł szybkim krokiem pustymi ulicami. Gdy znalazł się na rogu za torem, przypomniał sobie czarną limuzynę i brzęk rozbijanej szyby.

Pamiętał dobrze, że kawałki szkła leżały pod tą właśnie latarnią. Nachylił się i przyjrzał się uważnie: mokry asfalt i ani śladu szyby.

— Solidna robota — mruknął do siebie i otulił się jak najszczelniej.

Siekl drobny deszcz, zmieszany ze śniegiem, od Wisły ciągnął przejmujący chłodem wiatr.

## ROZDZIAŁ 2

Bohdan Drucki zamieszkał w Hotelu Odeskim przy ulicy Długiej. Był to mały i brudny hotelik, pełny za dnia nieznośnej woni przypieczonej cebuli, a nocą krzyków, awantur i bijatyk.

Oprócz właściciela, starego Żyda, i jego półzidiociałego syna Nuchima, dwudziestoletniego wyrostka o splaszczonej czaszce, stałym mieszkańcem hotelu był tylko jeden Drucki, którego obecność zaznaczona została, zgodnie z przepisami policyjnymi, na czarnej tablicy w kantorku, gdzie koszlonami<sup>8</sup> wypisano: Jan Winkler.

Pozostali klienci hotelu, stanowiący główne źródło jego egzystencji, rekrutowali się z tych, którzy poszukiwali dachu nad głową na jedną noc lub po prostu na parę godzin, co nazywało się tu „na wizytę”.

Drucki odpoczywał. W ciągu trzech dni jedynym jego łącznikiem ze światem był Nuchim, przynoszący bułki, szynkę i dzbanek z białą kawą, czasem gazety i papierosy.

Gorączka z wolna ustępowała, żelazny organizm wracał do dawnej sprawności, blizna goiła się szybko. Drucki jednak nie wstawał z łóżka. Miał to szczęśliwe usposobienie, że potrafił równie łatwo zmusić swój mózg i mięśnie do długotrwałego i najwyższego wysiłku, jak i do zupełnej bezczynności.

Stary Żyd z obojętną podejrzliwością patrzył na swego lokatora. Jego powierzchność i dziwactwo leżenia w łóżku opłacone wprawdzie zostały dobrą gotówką, jednakże nie wyglądało to wszystko na rzecz w pełnym porządku.

Dopiero czwartego dnia właściciel Hotelu Odeskiego zmienił zdanie. Nastąpiło to zaś dlatego, że jego syn otrzymał od lokatora list do zanieśienia na Nowolipie<sup>9</sup> do Borysa Załkinda.

Co ten obdartus Winkler może mieć za interes do samego Borysa Załkinda, do takiego bogacza?

Jakież było zdumienie ojca, gdy Nuchim powrócił z ustną odpowiedzią, że Borys Załkind zaczął się bardzo śmiać, jak list przeczytał, za przyniesienie dał całe dwa złote<sup>10</sup> i powiedział, że sam przyjdzie do pana Winklera o ósmej wieczór.

Stary zdecydował, że tak ważną wiadomość musi osobiście zanieść lokatorowi.

<sup>8</sup>koszlon (daw.) — coś niezgrabnego, koślawego; tu o literach. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>Nowolipie — ulica w Warszawie, na terenie dzielnic Śródmieście i Wola. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>całe dwa złote — przedwojenne złote polskie miały wielokrotnie większą wartość od obecnych (przeciętne zarobki robotników wynosiły ok. 100–150 zł miesięcznie). [przypis edytorski]



Kłaniał się bardzo nisko, wypytywał, czy czego szanownemu panu nie trzeba, wyraził swoją radość z zaszczytu, że gości u siebie znajomego pana Załkinda, i usiłował wywieść się, skąd pan Winkler zna „tego Amerykańca”?

Jedyną odpowiedzią na te wszystkie zabiegi było krótkie: „Nie pański interes” i zapowiedź: „A jak będzie u mnie pan Załkind, to uważajcie, żeby mi nikt pod drzwiami nie podsłuchiwał, bo to niezdrowo. Rozumiecie? Bardzo niezdrowo!”.

Stary Żyd o tyle znał się na ludziach, że nie żądał bliższych wyjaśnień. Zresztą podsłuchiwanie nie zdałoby się na nic, bo w numerze<sup>11</sup> szóstym mówiono po angielsku.

Załkind przyszedł punktualnie. Był to człowiek wyraźnie chromający<sup>12</sup> na lewą nogę, która w dodatku swym skrzypieniem zdradzała protezę. Jego drapieżna twarz z dużą blizną przez policzek i świszczący głos sprawiały raczej przykre wrażenie, jak i ruchliwość małych czarnych oczu.

Klnąc strome schody, wszedł na drugie piętro i zapukał we wskazane drzwi, potem zamknął je za sobą i z pośpiechem zbliżył się do łóżka.

— Hallo, kapitanie, co za radość, że pana widzę! — zaświszczał, wyciągając rękę.

Drucki z uśmiechem podał swoją.

— Nie spodziewał się pan, co?

— Ale co panu jest, kapitanie? Chory pan? I w tym parszywym hotelu? Dawno pan w Polsce?

— Pomału, mister<sup>13</sup> Jack, bo doprawdy nie zdołam panu na wszystko od razu odpowiedzieć.

— Ach, kapitanie, czyż nie widzi pan, jak się cieszę? Cóż za piękny dzień w moim życiu! Myślałem, że pana już nigdy nie zobaczę. Ileż to lat? Chyba cztery?

— Pięć — poprawił Drucki.

— Pięć lat! I jakże Nowy Jork? Czy wciąż spirytus jest takim dobrym interesem?<sup>14</sup>

— Nie wiem. Cóż pan myślisz, Jack, że ja wciąż siedziałem w tej dziurze. Zaraz po panu diabli mnie stamtąd wynieśli.

— Dokąd?

— Fiu, fiu!... Za długo byłoby opowiadać. Londyn, Marsylia, Konstantynopol<sup>15</sup>, Berlin, Paryż i znowu Australia, i Chiny, i Brazylia... Tak, Jack, nie umiem siedzieć na miejscu.

Załkind przysunął swoje krzesło do łóżka i cmoknął:

— Piękne życie, ciekawe życie, ale co pan z tego ma?

— Wolność, Jack, wolność.

— Rozumiem, to duża rzecz: wolność. Ale najwięcej wolności ma ten, co ma pieniądze. Im więcej pieniędzy, tym wolniejszy.

— No, pan ma ich dosyć! — zaśmiał się Drucki.

— Co to znaczy dosyć? Mam ich bardzo dużo, ale dosyć? Czy może być dosyć pieniędzy? Tak jak panu, kapitanie, nigdy nie dosyć włóczęgi po świecie, to pan musi rozumieć, że mnie nigdy nie dosyć pieniędzy. To jest taka sama pasja, jak i każda inna.

— To prawda.

— No, widzi pan. A tylko ja nie mogę w swojej głowie pomieścić, dlaczego większa jest przyjemność podróżować bez grosza w kieszeni zamiast wygodnie, nic nie robiąc, kajutą pierwszej klasy?

— Jak miałem na to, to i pierwszą klasą jeździłem.

— Co znaczy, jak miałem? Gdyby pan chciał kapitanie, pan miałby na całe życie! Czyż nie proponowałem panu spółki? Miałby pan dziś tyle co ja, bo obaj mielibyśmy więcej jeszcze, dużo więcej. Z pańską głową! Ba! Z pańską odwagą!

<sup>11</sup>numer — tu: pokój hotelowy, opatrzone numerem. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>chromać (daw.) — kuleć, utykać. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>mister (ang.) — pan. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>I jakże Nowy Jork? Czy wciąż spirytus jest takim dobrym interesem? — w Stanach Zjednoczonych w latach 1920–1933 panowała prohibicja, zakaz produkcji, importu i sprzedaży alkoholu, obowiązujący na terenie całego kraju, co spowodowało powstanie czarnego rynku i rozwój grup przestępczych specjalizujących w dystrybucji alkoholu, przynoszącej ogromne zyski. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>Konstantynopol (hist.) — wielkie miasto nad cieśniną Bosfor, od czasów Konstantyna Wielkiego stolica Cesarstwa Rzymskiego, następnie Cesarstwa Bizantyńskiego, Cesarstwa Łacińskiego oraz Imperium Osmańskiego; od 1930: Stambuł, stolica Turcji. [przypis edytorski]

Drucki usiadł na łóżku i klepnął go wesoło po ramieniu.

— Ale ostre były czasy, co Jack?

— Ostre. Co tu gadać. Mówią, że ludzie mojej rasy są tchórzliwi, a to nieprawda. Przecie jestem Żydem z krwi i kości, a sam pan widział. Dobre były czasy, na każdym kroku ryzykowało się życie, ale spirytus i piwo — to był interes wart takiego ryzyka.

— No, a jakże tam noga?

— W porządku. Tylko podniebienie dokucza. Tak mi ten rudy rozwałił. I wie pan co, kapitanie, że ja do śmierci nie zapomnę tego, co było w Chicago<sup>16</sup>. Nie dlatego, że mnie pan życie uratował...

— Dajmy spokój — przerwał Drucki — nie ma co wspominać.

— Nie dlatego, że opiekował się pan mną, nie dlatego, że oddał pan mnie moje pieniądze, mój cały majątek... Nie... Ale nie zapomnę do śmierci tego, że nie ruszył pan Luby!... Tak... leżałem wówczas jak kupa ścierwa, mówić nie mogłem, ruszyć się nie mogłem, ale widziałem, jak ona patrzyła na pana! I cóż ona była dla pana? Nic, ot, ładna Żydóweczka... A co ja byłem dla pana?... Ot, zdychający pies, co go pan dla własnej fantazji wyratował! A co pan zrobił? Przyszedł pan do mnie i powiedział: „Nie bój się o Lubę, nie tknę jej i nikomu tknąć nie dam...” Tak pan powiedział, bo czuł pan...

Nie dokończył. Podniósł głowę wysoko i zagryzł wargi. Z czarnych jak węgle oczu z wolna spłynęły po twarzy drapieżnego ptaka dwie łzy.

— Tam do diabła, stary — zawołał Drucki — co by powiedzieli na Broadwayu<sup>17</sup>, gdyby zobaczyli, że Czarny Jack rozkleja się jak małpa od cebuli?! No, stary!

— Nie, kapitanie, nie! Ja tego panu nigdy nie powiedziałem, ale teraz musiałem. Bo jak tu wszedłem, jak zobaczyłem, że pan tu w nędzy i chory, a po mnie dopiero teraz posłał... To ja chcę, żeby pan wiedział, że ja mam takie psie prawo, żeby dla pana zrobić, co mogę, żeby nawet oddał wszystko, co mam!...

— Uwaga, Jack — z żartobliwą powagą ostrzegł Drucki — uwaga, bo mogę pana przytrzymać za słowo!

— Niech pan nie myśli, kapitanie — z dumą odparł Żyd — że słowo kupca Załkinda chociaż o jeden cent mniej jest warte od słowa Czarnego Jacka.

Roześmieli się obaj. Załkind wypytywał Druckiego o stan zdrowia, chciał koniecznie sprowadzić lekarza. Wreszcie oświadczył, że natychmiast zabiera go do siebie, bo mu wstyd, żeby kapitan mieszkał w tej dziurze.

Ten jednak stanowczo zaprotestował. Owszem, przeniesie się, nawet na pewno, ale nie do Załkinda.

— Widzi pan, ja jestem taki zatwardziały samotnik. Jak tylko wydobrzeję i oporzędzę się, będę musiał poszukać jakichś interesów. I właśnie wiedząc, że pan jest dla mnie życzliwy...

— Życzliwy?!

— Mniejsza o wyraz. Dość że chodzi mi o to, żeby coś zrobić.

Załkind uśmiechnął się z zażenowaniem i zrobił niewyraźny ruch ręką.

— Drogi kapitanie Winkler, co tu ja mogę wymyślić? Mnie nawet jakoś głupio, ale ja tu, w kraju, to jestem bardzo solidny kupiec. Ja mam kasy ogniotrwałe, ja trzymam stróżów nocnych...

Drucki wybuchnął śmiechem.

— Cóż do pioruna! Posądza mnie pan o zamiar zorganizowania bandy?! Cha... cha... cha... Panie Załkind... Ja też chcę być solidny! Czy pan przypuszcza, że ja do solidnych rzeczy się nie nadaję? Że mnie, choćby czasami, nie można zaufać?...

Załkind złapał go za przegub ręki.

— Już! Już rozumiem. Chwileczkę... Ha, czy ja panu nie ufam! Sobie więcej nie ufałbym... Chwileczkę! Muszę się zastanowić...

Wbił oczy w podłogę i zmarszczył czoło.

— Handel to nie dla pana, kapitanie...

— A, nie dla mnie.

<sup>16</sup>Chicago — wielkie miasto w Stanach Zjednoczonych, w stanie Illinois; w okresie prohibicji szczególnie znane z rozwoju zorganizowanej przestępczości (mafia amerykańska). [przypis edytorski]

<sup>17</sup>Broadwayu — ulica w Nowym Jorku, w dzielnicy Manhattan, słynąca z mieszczących się przy niej licznych teatrów, kabaretów i modnych sklepów, uważana za centrum kulturalno-rozrywkowe USA. [przypis edytorski]

— Mam też fabrykę trykotaży<sup>18</sup>, ale to też nie dla pana. Hm... lasem handluję... O, to wymaga dużo ruchu, podróży, wyjazdów, trzeba sprytu i prezencji... Mam w Białowieży<sup>19</sup> nawet jedną ciężką sprawę z niejakimi Fajersonami. Zrobili mi machlojkę<sup>20</sup> z kontraktem. Rzecz nie sądowa, tylko na własną gorącą robotę. Pan dałby im radę. Chodzi o okrągły milion. Co by pan na to powiedział?

Drucki zastanowił się i zaprzeczył ruchem głowy.

— Dlaczego nie?

— Chcę trochę posiedzieć ma miejscu. Później owszem...

— Kapitanie — zakonkludował<sup>21</sup> Załkind — co ja panu powiem: niech się pan nic nie martwi. Już ja coś na mur dla pana znajdę. Dla pana spod ziemi wykopię! Niech pan tylko przeniesie się z tego hotelu i dba o zdrowie. Zdrowie to grunt.

Umówili się w ten sposób, że nazajutrz Drucki przyjdzie do Załkinda na kolację. Zjedzą we dwójkę, bo Luba z dzieckiem siedzi w Rabce<sup>22</sup>, więc będą mogli swobodnie pogadać.

Z tym się rozstali.

Drucki nazajutrz obudził się wcześniej rześki i wyspany.

Wyszedł na miasto w świetnym humorze i zaczął wędrówkę po sklepach: ubranie, buty, palto, kapelusz, bielizna, zegarek, rękawiczki, inne drobiazgi, potem kąpiel w łaźni na Krakowskim<sup>23</sup> i tamże zabiegi fryzjerskie.

Wesołe usposobienie nie opuszczało go ani na chwilę. Bawił się znakomicie sensacją, jaką wszędzie w eleganckich sklepach wywoływała jego powierzchowność, tak niezrozumiała przy jednoczesnej wybredności gustów i umyślnie nadrabianej wielkopańskości.

Wreszcie, ubrany i wyświeżony, opuścił łaźnię, na pytanie służącego, co ma zrobić z pozostawioną garderobą, poradził odesłać ją do muzeum i wyszedł na miasto.

Jakże innym teraz czuł się na tychże ulicach człowiekiem. Aż sam się temu dziwił. Przecie tyle razy w tenże sposób zmieniał skórę! W Nowym Jorku, gdy wracał z morza, w Sydney po wędrówkach złotych<sup>24</sup>, po wyjściu z więzienia w Lizbonie, po awanturze w Sztokholmie — i jakoś nigdzie w sklepach nie zdziwiono się obdarciem człowiekowi kupującemu drogie przedmioty, nigdzie na ulicy nie oglądano się za oberwusem tak, jak tutaj, w Warszawie.

Zresztą może i sam innymi oczyma patrzył na ten tłum, którego teraz czuł się członkiem równouprawnionym... Ach, no i kobiety!...

Jeszcze przed dwiema godzinami nie spostrzegały go wcale, ba, sam ich też nie uważał, a teraz...

Szedł elastycznym krokiem, jak na paradzie, i czuł, że ściga na siebie spojrzenia tych istot tak powabnych, tak znanych, a wciąż zaciekawiających i upragnionych.

„Do diabła! Wciąż jestem młody” — pomyślał z zadowoleniem, przykrytym nitką dobrotliwego upomnienia.

Istotnie, był młody. Gdy usiadł przy stoliku w restauracji i ujrzał swe odbicie w lustrze, aż zdziwił się swej młodości. Dzięki piekielnej mordędze ostatnich dwóch miesięcy schudł, a jego smagła cera od słonego wiatru morskiego nabrała połysku brązu. Gdyby nie siwe skronie, nie mógłby temu pełnemu życia panu w lustrze dać ponad trzydziestkę.

Jadł obiad z apetytem, rozmyślając o swej sytuacji. Po tylu latach mogliby go ewentualnie poznać, gdyby nie to, że nie nosi teraz wąsów, no i że w ogóle bardzo się zmienił. Zresztą dokumenty obywatelstwa amerykańskiego gwarantują bezpieczeństwo.

Roześmiał się do siebie: „Można by pomyśleć, że drzę o swoją skórę. Po diabła w takim razie zawsze lażem z głową w niebezpieczeństwa?”

Zapłacił rachunek, porozmawiał wesoło z kelnerem i wyszedł.

<sup>18</sup>trykotaż — wyrób z trykotu, tkaniny dzianej jak pończochy, delikatnej i ściśle przylegającej do ciała. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>Białowieża — tu: Puszcza Białowieńska, wielki kompleks leśny na ob. pograniczu polsko-białoruskim; od 1932 jej część stanowi park narodowy. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>machlojka (pot.) — oszustwo mające na celu zysk. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>konkludować (z łac.) — kończyć, dochodzić do wniosku końcowego. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>Rabka — ob. Rabka-Zdrój, miejscowość uzdrowiskowa w Beskidach Zachodnich. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>Krakowskie (pot.) — Krakowskie Przedmieście: ulica w śródmieściu Warszawy, północny odcinek Traktu Królewskiego. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>w Sydney po wędrówkach złotych — tj. po poszukiwaniach złóż złota w Australii. [przypis edytorski]

Warszawa bardzo się zmieniła.

Wprawdzie poznawał bez omyłki ulice, ale pamiętał je całkiem innymi. W owych dawnych czasach była to niemal dziura prowincjonalna...

Zaczął padać śnieg.

Drucki wszedł do cukierni, kazał dać sobie czarnej kawy i zaczął przyglądać się publiczności.

Najwięcej było kobiet. Po dwie, po trzy przy stoliku, od poważnych podlotków aż do rozchichotanych starszych pań, bardzo mocno wymalowanych.

„Zastanawiające — pomyślał — że wszystkie, właściwie mówiąc, są ładne i wszystkie wyglądają względnie młodo. Gdzie się podziały stare i brzydkie kobiety?... Ale i pięknych nie ma...”

Z prawej pod filarem siedziały dwie brunetki. Mniejsza, w popielicowym<sup>25</sup> futrze, żarłocznie jadła ciastka i atakowała Druckiego spojrzeniami połyskliwych oczu. Z lewej pod oknem samotna szczupła blondynka skracala sobie oczekiwanie na kogoś, kto się widocznie spóźnił, spoglądaniem to na zegarek, to na Druckiego. Tuż przed nim zajmowało większy stolik towarzystwo złożone z dwóch panów i jednej pani w czarnym, lśniącem futrze.

Jeden, łysawy blondyn w dużych rogowych okularach, opowiadał coś monotonnym głosem, drugi, przysadkowaty starszy pan z nieznośną manierą automatycznego otwierania i zamykania żółtej czeczotkowej<sup>26</sup> papierośnicy. Twarzy kobiety Drucki dojrzeć nie mógł, gdyż siedziała doń tyłem. Widział tylko promień jasnych złotoblond włosów, wystający z boku spod kapelusza i opartą na stole długą ładną rękę, bez pierścionków, co bardzo lubił.

Jak na złość nie obejrzała się ani razu, a tymczasem zbliżała się ósma i trzeba było jechać do Załkinda.

„Jeszcze poczekam” — uśmiechnął się do siebie Drucki, konstatuując w myśli, że trzeba naprawdę być niepoprawnym kobieciarzem, żeby dla tak błahego powodu spóźnić się na ważną rozmowę.

Wreszcie postanowił użyć wypróbowanego sposobu. Wziął do rąk leżący opodal dziennik i udając zaczytanego, zsunął na ziemię dużą szklaną popielniczkę.

Głośny brzęk tłukącego się szkła, ktoś krzyknął: „Ach!”, wszystkie oczy zwróciły się na stolik Druckiego i — efekt osiągnięty: sąsiadka w czarnym lśniącem futrze obejrzała się.

Drucki drgnął i poczuł, że mu krew ucieka z twarzy.

Instykt, wygimnastykowany w tysiącach niebezpieczeństwach, a sprawny jak automat, kazał mu natychmiast zakryć się płachtą gazety, lecz na ten raz rozkaz nie został wykonany.

Nie mógł oderwać od niej oczu.

Gdzie? Kiedy?... Przysięgłby, że kiedyś musiał ją znać, że te płonące czarne oczy z wspaniałym, zrosniętym łukiem czarnych brwi i te złociste włosy, i te wprost nieprawdopodobnie wykrojone wargi... Kto? Kiedy?... Na pewno.... Na pewno....

Szukał odpowiedzi w jej wzroku: Zna go?... poznaje?...

Lecz ona już odwróciła głowę i znowu z uwagą słuchała monotonnego głosu łysawego blondyna. Przysadkowaty starszy pan znowu miarowo potrzaskiwał czeczotkową papierośnicą.

Drucki nie był pewien. Uderzająca piękność tej kobiety musiałaby przecie głębszym, niedającym się zakwestionować wspomnieniem wrazić się w jego pamięć.

Udawał, że czyta, a jednocześnie myśl pracowała nieustannie:

„Może ktoś podobny... Ale kto? Chyba jakaś głośna aktorka filmowa o zbliżonym typie?... Jakaś gwiazda sportowa... lotniczka... tenisistka... Zresztą, gdyby obawy były słuszne, ona poznałaby go na pewno... Trudno sobie wyobrazić, by spotkawszy gdzieś w życiu taką dziewczynę, mógł przejść obok niej obojętnie. Wykluczone! A kobiety zazwyczaj dobrze pamiętają tych mężczyzn, którzy bodaj bez skutku zabiegali o ich względy...”

<sup>25</sup>popielicowy — o futrze: z futerek popielic, szarych gryzoń wielkości szczura. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>czeczotkowy — wykonany z czeczotki: drewna pochodzącego najczęściej z brzozy lub topoli, o spletanym układzie włókien, stosowanego jako okleina albo materiał do wyrobu niewielkich przedmiotów ozdobnych. [przypis edytorski]

A ona stanowczo nie patrzała nań jak na znanego sobie człowieka. W jej wzroku była odrobina roztargnienia i odrobina ciekawości, lecz ciekawości nie więcej niż ta, z jaką wszystkie kobiety patrzają zawsze na niego.

W każdym razie rozsądek dyktował ostrożność. Należało zaraz zapłacić i wyjść. Jednakże Bohdan Drucki nie zaliczał się do tych, którym kiedykolwiek bodaj nawet własny rozsądek mógł cokolwiek dyktować.

Dlatego został.

Dopiero po kwadransie towarzystwo przy sąsiednim stoliku uregulowało rachunek i wstało.

Nieznamąca była wysoką, dobrze zbudowaną kobietą. Gdy przyglądał się jej sylwetce, doszedł do przekonania, że początkowo uległ złudzeniu.

Nie znał takiej na pewno.

Nie zawiódł się, oczekując, że podczas wciągania rękawiczek spojrzy znowu na niego.

Jakże była piękna! Spod zmrużonych powiek obserwował jej profil, dumny, zimny i namiętny. Wyglądała na lat dwadzieścia pięć, lecz mogła mieć więcej.

Przechodząc obok stolika Druckiego, prześlizgnęła się wzrokiem po jego twarzy i znowu zbudziły się w nim wątpliwości, chociaż wyraz jej oczu dobitnie oświadczył, że patrzy na kogoś, kogo widzi pierwszy raz w życiu.

Odprowadził ją wzrokiem do drzwi, zapłacił za kawę i za rozbitą popielniczkę i wyszedł.

Nowy Świat<sup>27</sup> był zatłoczony, tłumy posuwały się wolno chodnikami, jezdnią sunęła rzeka samochodów. Jaskrawe reklamy neonowe były w oczy ostrymi, czerwonymi liniami.

— Na Nowolipie!

Borys Zalkind sam otworzył drzwi.

— Hallo, kapitanie, oto znowu pana widzę w pełnej gali. Obawiam się jednak, że byłem cierpliwszy od kaczek, które w oczekiwaniu pana musiały się porządnie wysuszyć w rondlu.

Podali sobie ręce. Pokojówka w białym fartuszkach, dygnawszy z kokieterią, odebrała palto Druckiego.

— Czyżbym tak bardzo się spóźnił? — z udanym przerażeniem zapytał Drucki. — Miałem naprawę sprawę dość wielkiej wagi.

— Czyżby? — roześmiał się Zalkind, wprowadzając gościa do jadalni. — O ile znam pański gust, kapitanie, nie sądzę, by jej waga przewyższała, powiedzmy, sześćdziesiąt pięć kilo!

Drucki zrobił skupioną minę i odparł z powagą:

— Sądzę, że omylił się pan najwyżej o dwa, trzy kilogramy.

Uścisnęli sobie ręce z uśmiechem i Zalkind karcąco pokiwał głową.

— Obawiam się, kapitanie, że przez kobiety spóźni się pan o tyle do piekła, że już najwygodniejsze kotły ze smołą będą zajęte.

— No! — zawołał po polsku z wyraźnym litwackim<sup>28</sup> akcentem. — Co się Wikcia przygląda? Proszę natychmiast podawać!

Kuszykając wokół bogato zastawionego stołu, napełnił kieliszki i podsunął gościowi krzesło.

Kolacja była smaczna i obfita, gęsto zakropiona alkoholem. Rozmowa obracała się wyłącznie dokoła wspomnień amerykańskich. Dopiero gdy usadowili się w gabinecie w głębokich klubach<sup>29</sup>, Zalkind przystąpił do interesu:

— Otóż długo myślałem, co by tu takiego wynaleźć, co odpowiadałoby takiemu człowiekowi jak kapitan Winkler. I zdaje mi się, że mam coś w sam raz dla pana.

— Byle nie dyrekcję banku!

— I gorzej, i lepiej. Interes jest taki. Pamięta pan jeszcze dobrze Warszawę?

— Ja myślę.

— Zatem wie pan, gdzie jest ulica Hortensja?

— Wiem. Mała ślepa uliczka od Szpitalnej<sup>30</sup>. Prawda?

<sup>27</sup> *Nowy Świat* — ulica w Warszawie, część Traktu Królewskiego. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *litwacki* — charakterystyczny dla litwaków, jak potocznie nazywano Żydów z terenów Litwy (także dzisiejszej Białorusi). [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *klub* (daw., rzad.) — fotel klubowy. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> *Szpitalna* — ulica w śródmieściu Warszawy. [przypis edytorski]

— Tak — potwierdził Załkind — otóż na tej Hortensji dwaj bracia Tinkelman i taki jeden Rybczyński założyli przed rokiem nocną knajpę. Wie pan, rodzaj amerykańskich nocnych klubów. Bar, dancing, kabaret. Lokal piękny, punkt pierwsza klasa, wpakowali w to może pół miliona złotych, a może i więcej.

— I plałta?

— Plałta. Taki interes trzeba umieć prowadzić. To może być złote jabłko. Tylko pilnować je trzeba, żeby wszystko było w porządku, żeby służba nie kradła, żeby klienci nie zarywali. Trzeba wiedzieć, komu dać na kredyt, komu nie, kogo przyjmować z otwartymi rękami, a kogo zrzucić ze schodów na zbitą mordę. Trzeba trzymać cały interes za pysk żelazną łapą, a żeby wyglądało, że to jest swoboda i zabawa, że klienci to tak jak prywatni goście. Pamiętaj pan, kapitanie, knajpę Wesołego Billy'ego na Siedemdziesiątej Czwartej ulicy?...

— Pamiętam.

— To nie była knajpa, to był kurnik, to była zwykła dziura. A dlaczego, kto mógł pchać się tam z dolarami? Dlatego, że interes prowadził Billy! Kobiety leciały na niego, mężczyźni uważali go za najlepszego kompana, wszyscy po prostu przepadali za nim. Ja nie wiem, co w nim było, ale w panu, kapitanie, jest akurat tego samego dwa razy więcej.

— Dobry chłop był ten Billy — powiedział z uśmiechem Drucki.

— Kapitanie! Ja nie mam jeszcze pięćdziesiątki, ale dużo rzeczy widziałem i jedno wiem: grunt to człowiek! Nie to ważne „jak”, „co”, ale tylko „kto”. Otóż obaj Tinkelmany i ten Rybczyński chodzą za mną już od dwóch miesięcy. Telefonują, pytają, zaczepiają. Po prostu nie dają żyć. Oni chcą, żebym ja odkupił tę knajpę. Ludzi, co mają więcej gotówki, diabelnie teraz mało, więc przyczepili się do mnie. A ja im mówię wciąż: „Po co mi ten kłopot? Sam tego prowadzić nie będę, a choćby teraz i sam czort poprowadził, to i tak rady nie da. Zapaskudziliście firmę, pies z kulawą nogą tam nie chodzi, jak kto chce ziewać z nudów, to woli ziewać w domu”.

— I gratis<sup>31</sup> — dorzucił Drucki.

— Pewno. Ja im tak mówię, ale myślę, że tak nie jest. Człowiek z nerwem i z głową, i z tym, co właśnie ma Billy, mógłby interes postawić na nogi. Jeśli włoży jeszcze z dziesięć tysięcy dolarów... No, co pan o tym powie?...

— Cóż powiem?... Chce pan, Jack, kupić tę budę i mnie zrobić dyrektorem?

— I tak, i nie. Chcę kupić, ale do spółki z panem.

— Wolne żarty. Ja grosza przy duszy nie mam.

Załkind wzruszył ramionami.

— Co pan gada, kapitanie, przecie pół godziny klarowałem panu, że pan sam to żywy kapitał. Ja panu powiem tak. Ja zaryzykuję kupić od nich ten gips. Ale kupić na pańskie nazwisko. Pan będzie właścicielem. Postawi pan budę na nogi, to dobrze, nie — to trudno. Ale ja wierzę, że pan postawi. Rozumie pan? Taka cicha spółka i pół na pół?

Drucki wstał i pokręcił głową.

— Nie, Jack, nie jestem żebrakiem i jałmużny nie przyjmuję.

Teraz już Załkind nie wytrzymał. Zerwał się z miejsca, zaczął biegać po pokoju, wymachiwać rękoma, targać włosy i kłać, na czym świat stoi.

Jak to, jego, Czarnego Jacka, posądzają o takie rzeczy?! To człowieka może szlag trafić! To lepiej wziąć nóż i od razu go zarżnąć w samo serce! Cóż to sobie kapitan Winkler wyobraża! Że kapitan nie widzi tu uczciwego interesu dla nich obydwóch, to nie dowód, żeby tego interesu nie było!

Póty się pieklił i krzyczał, aż Drucki zgodził się wszcząć znowu rzeczową rozmowę.

Załkind sypał argumentami, powoływał się na znane im obu przykłady, przytaczał cyfry, kalkulował, prosił, groził, przekonywał, wreszcie zaczął oburzać się, że kapitan tak zadziera nosa, że mógł sobie pozwolić na wielkopański gest uratowania życia i majątku parszywego Żyda, ale nie pozwala mu odwdziżyć się choćby okazaniem zaufania...

— Przestań, Jack, do diabła, histeryzować! — ryknął Drucki. — Przyjmuję!

<sup>31</sup>gratis — darmo, bezpłatnie. [przypis edytorski]

Na drapieżnej twarzy Załkinda rozplynął się pogodny uśmiech. Wziął dłoń Druckiego, potrząsnął nią mocno i kuśtykając, podszedł do biurka. Przez chwilę przewracał kartki książki telefonicznej, potem wziął słuchawkę i wymienił jakiś numer<sup>32</sup>.

— Czy jest pan Abram Tinkelman?... Pana Mieczysława też nie ma?... To poproszę pana Rybczyńskiego... To pan Rybczyński? Co jest, panie Rybczyński, kiedy panowie zapłacą mi te siedem tysięcy?... Jak: kto? Załkind! Ja panu komornika przysłałem!... Co?... Ja zdrowia z wami już nie mam... Co?... Murowane?!... Nu, dobrze, tylko szkoda, że Tinkelmana nie ma...

Zakrył ręką słuchawkę, zrobił oko do Druckiego i powiedział po angielsku:

— Pan myśli, kapitanie, że go nie ma?

Drucki nie mógł powstrzymać śmiechu. Różnica między Załkindem-kupcem a Załkindem-gangsterem była uderzająca.

Tymczasem znalazł się Tinkelman, któremu Załkind zakomunikował, że jest tu w Warszawie przejazdem jeden Amerykanin, który mógłby ewentualnie zainteresować się kupnem „Argentyny”, jednakże on, Załkind, ani myśli Amerykanina namawiać na tę splajtowaną knajpę, ale ewentualnie można pogadać.

Umówili się na jutrzejszy wieczór w tejsze „Argentynie”.

Za radą Załkinda Drucki tegoż dnia przeprowadził się do hotelu „Bristol” i rozlokował się na noc w wygodnym, czystym i szerokim łóżku. Już sam nie traktował poważnie swoich obiekcji co do zawarcia tej oryginalnej spółki z Załkindem.

Da sobie na pewno radę i pokaże Warszawie, jak ma wyglądać nocny lokal, który musi mieć powodzenie! Rekordowe!

Już zasypiając, przypomniał sobie nieznaną z cukierni. Czyżby rzeczywiście nigdy jej przedtem nie widział?...

— Ale rasowa bestia.

### ROZDZIAŁ 3

W sądzie okręgowym od poniedziałku panowało niebywale podniecenie. Zaczęło się od tego, że prokurator Martynowicz stanął w drzwiach kancelarii i zwracając się do aplikanta<sup>33</sup> Modronia, powiedział swoim burkliwym a dobitnym głosem:

— Każe pan na drzwiach gabinetu po podprokuratorze Korczyńskim przybić napis: „Podprokurator Alicja Horn”. Zrozumiano?...

— Tak jest, panie prokuratorze.

Drzwi zamknęły się z lekkim trzaskiem. W kancelarii umilkły wszystkie maszyny, zaległa zupełna cisza.

— Że jak? — zapytała panna Serkowska od dziennika podawczego.

Aplikant Modroń zrobił głupią minę.

— Jak się nazywa ten nowy? — zaszczebotała panna Latosikówna spod okna.

Modroń zirytował się, widząc wszystkie oczy wlepione w siebie.

— Co się państwo na mnie patrzycie jak na raroga<sup>34</sup>?! Tyle samo wiem, co i wy. Słyszeliście: podprokurator Alicja Horn.

— Jakże, podprokurator Alicja Horn — oburzył się stary pan Rolko — niby kobieta?

— Nie, bażant — wykrzywiła się doń panna Serkowska.

Niemal wszyscy wstali z miejsc i otoczyli biurko Modronia.

— Jeżeli Alicja, to juścić<sup>35</sup> kobieta.

— Ale darujcie! Kto kiedy widział kobietę prokuratora?

— Jak pan powiada?

— Alicja Horn.

<sup>32</sup>wziął słuchawkę i wymienił jakiś numer — przed upowszechnieniem się automatycznych centrali telefonicznych połączenie dwóch użytkowników było realizowane ręcznie przez operatorkę firmy telekomunikacyjnej, która łączyła ze sobą dwie linie za pomocą wtyczki i gniazda; chcąc przeprowadzić rozmowę telefoniczną, należało ze swojego aparatu ustnie zgłosić telefonistce numer, z którym powinna połączyć. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>aplikant (daw.) — praktykant w pracy biurowej, adwokackiej itp. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>patrzeć jak na raroga (fraz.) — patrzeć jak na coś niespotykanego, zwracającego uwagę niezwykle wyjątkiem lub zachowaniem; raróg: drapieżny ptak z rodziny sokołów, ceniony w sokolnictwie, w Polsce rzadki. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>juścić (gw.) — owszem. [przypis edytorski]



— Tak, tak — pokiwał głową pan Rolko — rozpusta i tyle. Niezłe czasy, co?

— Tfy! — potwierdził wymownie łysy jak kolano pan Garbarczyk.

— Niesłychane!

— Nie stójcie nade mną jak kat nad dobrą duszą<sup>36</sup> — płaczącym głosem prosił Modroń — jeszcze stary wejdzie.

— No, panie, ależ to po prostu skandal! Baba ma być prokuratorem?

— Świat się kończy!

— A cóż w tym złego? — wzruszyła ramionami pani Więckowa. — Ciekawam, dlaczego kobieta nie może być prokuratorem?

— Cooo? — oburzył się pan Rolko. — Jak pani nie wstyd, mając siwe włosy i troje dzieci, takie rzeczy opowiadać!

— Siwe włosy, to, proszę pana, żaden argument. A tymczasem jest faktem, że kobiety pod względem umysłu wcale nie stoją niżej od mężczyzn.

— Nie tylko nie niżej, ale właśnie wyżej — zawołała czupurna aplikantka Ciechanowiecka. — Właśnie wyżej! A szczególnie w Polsce. Wszyscy cudzoziemcy to mówią, że Polki są mądrzejsze o całe niebo od Polaków.

— Hę?... — uśmiechnął się, gładząc łysinę Garbarczyk. — Gdybym był o trzydzieści lat młodszy, to niech mi pani wierzy, że i ja zapewniałbym panią...

Tymczasem ze wszystkich działów, zaalarmowanych przez pannę Serkowską, zaczęły napływać do kancelarii patrolowe wywiadowcze. Zrobił się harmider, że o dokończeniu dyskusji na temat mądrości płci niewieściej mowy być nie mogło.

Dopiero gdy aplikant Modroń wykaligrafował kartkę i ostentacyjnie ją niosąc, wyszedł na korytarz, ruszyła za nim cała procesja. Od tej chwili ostatnie drzwi korytarza na pierwszym piętrze stały się celem nieustannych pielgrzymek, przedsięwziętych z najodleglejszych zakątków gmachu, nie wyłączając pokojów sędziowskich, adwokackich i prasowych.

Każdy chciał się przekonać na własne oczy, że na pozór niedorzeczna plotka nie jest plotką, lecz równie niedorzeczną prawdą.

Na drzwiach, przypięta pluskiewkami, wisiała tekturka z napisem: „Podprokurator Alicja Horn”.

Mężczyźni wzruszali ramionami, a na pytania: „Czy nie wie pan, kto to jest ta Alicja Horn?”, odpowiadali:

— Pojęcia nie mam, ale rękę, że jakaś megiera<sup>37</sup>.

W młodszym pokoleniu natomiast ustalilo się zdanie pany Latosikówny:

— Pewno histeryczka i do tego stare pudło.

W tych warunkach znaczną rewelacją, podważającą do pewnego stopnia ogólną opinię, była wiadomość wydobyta z wydziału personalnego Ministerstwa Sprawiedliwości: Alicja Horn ma lat dwadzieścia osiem.

W powodzi pogłosek przewijały się zresztą najrozmaitsze. Mówiono o kolosalnych stosunkach Alicji Horn w najwyższych sferach rządowych, o tym, że sam minister w niej się kocha, że nawet miał z nią dziecko, że jest ona nie kobietą, lecz hermafrodytą<sup>38</sup>, a nawet goli się co dzień, bo jej wąsy i broda rosną. Sędzia Pszczółkowski słyszał od kogoś, że jest to istota psychicznie zboczona, coś między sadystką a wampiryzką, natomiast mecenas Kamionka utrzymywał, że w tej nominacji jest „coś”. Na czym to „coś” miało polegać, sam mecenas nie umiał objaśnić.

Trwało to do czwartku, do godziny dziewiątej rano, o której w poczekalni prokuratora Martynowicza zjawiła się wysoka, elegancko ubrana kobieta i powiedziała woźnemu:

— Proszę mnie zameldować panu prokuratorowi. Alicja Horn.

W pięć minut potem elektryzująca wiadomość dotarła do wszystkich biur na przetrzeni całego gmachu:

— Przyszła! Jest młoda i bardzo ładna.

<sup>36</sup>stać jak kat nad dobrą duszą (fraz.) — stać uporczywie, pilnować, nie odstępować. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>megiera (pot.) — kobieta kłótliwa i złośliwa; od imienia jednej z erynii, bogiń zemsty w mit. greckiej. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>hermafrodyta (gr.) — osoba mająca cechy fizyczne zarówno płci męskiej, jak i żeńskiej; pierwotnie imię postaci z mit. greckiej, syna Hermesa i Afrodyty, przez bogów złączonego ciałem z ukochaną nimfą w jedną istotę; obecnie wyraz najczęściej zastępowany w nauce terminem interplciowość. [przypis edytorski]

- Można pęknać ze śmiechu! Baba — prokurator.  
— Brunetka? Pewno Żydówka?  
— Józef powiada, że nie wygląda na Żydówkę i że blondynka.

Tymczasem prokurator Martynowicz wezwał do swego gabinetu obu wiceprokuratorów i wszystkich podprokuratorów.

— Panowie pozwolą — odezwał się suchym tonem, wskazując stojącą obok niego młodą kobietę — że ich przedstawię naszej nowej koleżance, podprokuratorce Alicji Horn.

Nastąpiło kilkanaście uścisków długiej, pięknej ręki przy akompaniamencie wymamrotanych nazwisk.

— Koleżanka Horn — odezwał się prokurator Martynowicz — obejmie dział podprokuratora Korczyńskiego, który został przeniesiony do Lwowa. Usilnie i stanowczo proszę panów o ułatwienie pracy nowemu członkowi prokuratury. Doszło do moich uszu, że fakt nominacji kobiety wywołał tu niemądrą sensację i głupie gadania, których nie cierpię i nie ścierpię. Oczekuję od panów zdecydowanego przeciwstawienia się tym nastrojom i wierzę, że dzięki taktowi i poczuciu obowiązku porządek zostanie natychmiast przywrócony. Dziękuję panom.

W ciągu minuty gabinet się opróżnił.

— Czy będę mogła zaraz przystąpić do pracy? — zapytała Alicja Horn.

— Naturalnie. Znajdzie pani wszystko w pełnym porządku. Korczyński należał do najsystematyczniejszych moich podwładnych. Zresztą aplikant, pan Modroń, zaznajomi panią szczegółowo z rozpoczętymi pracami.

Alicja Horn wstała.

— Zatem...

— Jeszcze jedno — zatrzymał ją prokurator Martynowicz.

— Słucham, panie prokuratorze.

— Uważa pani... Nie wiem, jak to wyrazić... Hm... Jest pani kobietą i to kobietą o powierzchowności... ujmującej. Nie zniósłbym, gdyby z tego powodu w pracy urzędników płci odmiennej mogły nastąpić jakiegokolwiek zaniedbania!... Uważam, że powinna pani trzymać ich na odpowiednim dystansie. Rozumie pani, o co mi chodzi?

— Rozumiem, panie prokuratorze — uśmiechnęła się Alicja, ukazując w rozchyleniu pełnych warg dwa rzędy olśniewających białych zębów.

Martynowicz spojrział na nią znad okularów i zaczął przewracać jakieś papiery na biurku.

— Hm... Tak... To dobrze. I... tego... i nie trzeba się uśmiechać. Zatem pan Modroń — nacisnął guzik dzwonka — panią zaznajomi z tutejszym porządkiem.

Wszedł woźny i znikł, otrzymawszy polecenie poproszenia pana Modronia.

— Panie prokuratorze — odezwała się Alicja — jestem pewna, że nie dam panu powodów do niezadowolenia z mojej tu obecności. Chcę pracować, widzę w zawodzie oskarżyciela publicznego szczytne powołanie i całkowicie zdaję sobie sprawę z tego, że jako pierwsza kobieta w tej roli, muszę tym bardziej obserwować jej powagę.

— Tym lepiej — przytaknął Martynowicz — że porozumieliśmy się dokładnie.

Zjawił się aplikant Modroń, przedstawił się niezdarne i niemal nie patrząc na Alicję, gdyż nie miał odwagi oderwać oczu od ust prokuratora. Po każdym zdaniu jego dyspozycji powtarzał automatyczne „Tak jest, panie prokuratorze” i dopiero usłyszawszy ostre „No!?”, zrozumiał, o co chodzi.

Przeprowadził Akcję do jej gabinetu i nie mogąc pozbyć się dręczącego i — czuł to — ośmieszającego zażenowania, urywanym głosem udzielał fachowych objaśnień. Wyjmował pliki akt, skorowidze, noty, terminarze i mówił bez przerwy.

Dopiero gdy ona zaczęła mu zadawać krótkie, rzeczowe pytania, nieco ochłonął i ukradkiem przyglądał się jej pochylonej nad papierami głowie. Jednakże, gdy podnosiła nań swe płonące czarne oczy, pośpiesznie rejterował<sup>39</sup>.

— Dziękuję panu — powiedziała po zaznajomieniu się ze wszystkim. — Jeżeli jeszcze będę musiała pana trudzić, znajdę pana w kancelarii, prawda?

— Tak jest, proszę pani. Moje uszanowanie.

<sup>39</sup>rejterować — uciekać, wycofywać się. [przypis edytorski]

Została sama.

Był to nieduży pokój z jednym oknem, wychodzącym na jakiś szary mur. Popielata farba ścian i żółte meble, składające się z szafy, biurka, stolika do maszyny i kilku krzeseł, robiły wrażenie oficjalnej oschłości i surowości.

Powoli zdjęła futro i mały czarny kapelusz, wyjęła z torebki wieczne pióro i usiadła przy biurku.

Nie czuła tak wielkiej emocji, jak pierwotnie przypuszczała. Wprost przeciwnie, była teraz pewniejsza siebie niż zwykle. Wiedziała, że da sobie radę nie gorzej niż inni. Zresztą od niejednego z kolegów miała znacznie lepsze przygotowanie. Na uniwersytecie uważano ją za fenomenalnie zdolną, prawo znała świetnie, pochłonęła setki dzieł fachowych, a dzięki doskonałej pamięci zyskała sobie w łódzkim sądzie okręgowym, gdzie odbywała praktykę, przydomek encyklopedii prawniczej.

W znacznej mierze przyczyniła się do tego jej niestrudzona pasja poznawania wszelkich dziedzin wiedzy mających jakąkolwiek styczność z jurysdykcją<sup>40</sup>. Jeszcze na uniwersytecie ubocznie studiowała chemię, psychiatrię, później w Paryżu uzupełniała swe studia, wreszcie przewertowała historię wielkich procesów i dla wprawy sporządzała akta oskarżenia tak, jak ona postawiłaby je na miejscu tamtych prokuratorów.

Z jakąż łatwością odkrywała ich błędy i niedopatrzania, w iluż sprawach, gdzie oskarżeni zostali uniewinnieni, można było dowieść ich winy!

Dumna była ze swej inteligencji, przenikliwości i siły wewnętrznej, wiedziała, że może nie obawiać się współzawodnictwa mężczyzn. Jakże bardzo nimi gardziła! Jakże wielkie miała prawo ich nienawidzić!

Zaczęła czytać akta. Istotnie, znalazła je w zupełnym porządku.

Pierwsze dotyczyły jakiejś drobnej kradzieży i oszustwa, drugie morderstwa bez żadnych poszlak, trzecie fałszowania monet pięciozłotowych<sup>41</sup>...

Spojrzała na zegarek. Była druga piętnaście. O pół do trzeciej miała naznaczoną oficjalną wizytę u prezesa sądu.

Złożyła akta, zamknęła szafę i biurko i wyszła na korytarz.

Gabinet prezesa, jak poinformował ją spotkany woźny, znajdował się w lewym skrzydle gmachu.

Idąc po schodach i przez nieskończenie długie korytarze, spotykała wciąż urzędników, urzędniczki, masę innych osób i bez trudu spostrzegła, że wszyscy obserwują ją z niesłychanym zaciekawieniem. Udawała jednak, że tego nie zauważa.

Prezes przyjął ją natychmiast. Mógł mieć około sześćdziesiątki i miał miłą pogodną twarz.

Wyszedł na jej spotkanie i wyciągnął rękę.

— Bardzo mi przyjemnie panią poznać. Jestem Turczyński.

— Horn — odparła krótko.

— Proszę, niechże pani siada — podsunął jej krzesło — cieszę się, że wymiar sprawiedliwości zyskał nową, a tak utalentowaną współpracowniczkę.

— Pan prezes jest zbyt łaskawy — powiedziała zdawkowo.

— Bynajmniej. Słyszałem od pana ministra tyle pochwał dla pani, tyle uznania...

Podał jej pudełko z papierosami.

— Dziękuję panu prezesowi, nie palę.

— Nie pali pani?

W głosie prezesa zabrzmiało tak szczerze zdumienie, że zapytała:

— Dlaczego pan prezes przypuszcza, że muszę palić?

— Będę szczery, jeżeli pani pozwoli. Nie trzeba być szczególnie bystrym obserwatorem, by zauważyć, że na ogół kobiety obierające sobie zawód właściwy mężczyźnie starają się doń upodobnić w ubiorze, w sposobie bycia. A przyzna pani, że już po kobiecie, która została prokuratorem można się spodziewać co najmniej palenia cygar — zakończył żartobliwie.

— Słusznie, panie prezesie, ale tylko o tyle, o ile kobieta — jak to bywa najczęściej — wybiera sobie fach tradycyjnie męski właśnie w celu upodobnienia się do mężczyzny.

<sup>40</sup>jurysdykcja (z łac., praw.) — władza sądownicza; sądownictwo. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>fałszowanie monet pięciozłotowych — przedwojenne monety o nominalach 2, 5 i 10 złotych były wybijane ze srebra. [przypis edytorski]

— Więc pani?...

— Ja zaś przypuszczam, że w tym ich ustosunkowaniu się do kwestii jest mimowolne zaakceptowanie anachronizmu, że tylko mężczyzna jest zdolny być samodzielną jednostką. Schylają tym samym czoło przed szacownym przeżytkiem konwenansu<sup>42</sup>, z którym pozornie walczą, a naśladując mężczyzn, po prostu ośmieszają się.

Prezes spojrział na nią uważnie.

— Zaciekawia mnie pani. Przyznać muszę, że po raz pierwszy spotykam się z podobnym punktem widzenia u niewiasty, która właśnie... Czy zechciałaby pani rozwinąć swój pogląd?

— To wcale nie jest skomplikowane, panie prezesie. Sądzę, że kwestia płci nie może odgrywać roli w jakimkolwiek zawodzie. Jeżeli nawet chodzi o pracę fizyczną, widzimy u ludu miliony kobiet przystosowanych do niej świetnie.

— Bez wątpienia.

— Z drugiej strony mężczyźni w pracach, od dawna uznanych za typowo kobiece, bynajmniej nie nabywają cech kobiecych. Widziałam na Zachodzie mężczyzn, dojących krowy, szorujących garnki, cerujących pończochy i tym podobne i wcale nie zauważyłam, by używali pudru, nosili kokieteryjne błyskotki, czy chodzili powiewnym krokiem.

— Kapitalne! — podniósł brwi prezes Tarczyński. — Zatem pani zdaniem, płeć nie wpływa na rodzaj upodobań i uzdolnień?

Alicja Horn uśmiechnęła się.

— Wpływa tylko sugestia tradycji. Jestem głęboko przeświadczona, że kobieta zupełnie dobrze może wykonywać zawód dosłownie każdy, nic nie tracąc ze swej kobiecości. O sile mego przeświadczenia świadczy chyba najlepiej fakt, że obrałam zawód prokuratora.

— Zdziwiałe! I nie obawia się pani, że pełnienie tego zawodu wymagać będzie od pani bezwzględności, surowości, czasem nawet pewnego okrucieństwa?...

— Okrucieństwo, panie prezesie, jest bliższe psychice kobiety niż mężczyzny.

Prezes potrząsnął głową.

— Tak, to racja. Jednakże nie rozumiem, niech mi pani wybaczysz otwartość, nie rozumiem, dlaczego pani została prokuratorem? Istotnie robi pani wrażenie bardzo kobiecej, a u kobiety inteligentnej i świadomej swoich celów decydują zawsze przy wyborze zawodu pobudki ściśle osobiste...

Alicja uśmiechnęła się blado.

— Jestem kobietą.

Zapanowała cisza.

— Bardzo panią przepraszam — odezwał się prezes — nie miałem doprawdy zamiaru. Niechże mnie pani nie uważa za niedelikatnego natręta.

— Broń Boże — zaprotestowała żywo.

— Byłoby mi przykro, gdyby od razu w pierwszym dniu znajomości wyrobiła sobie pani złą opinię o mnie.

— Pan prezes jest zbyt uprzejmy dla mnie, ale jeżeli chodzi o znajomość, to ja znam pana od dawna. Nie raz i nie dziesięć byłam na procesach, w których pan prezes przewodniczył...

— Tak?... I jakież pani odniosła wrażenia?

— Wrażenie... dobroci — odpowiedziała po chwili wahania.

— O?! To niedobrze — uśmiechnął się z udawanym zmartwieniem — z punktu widzenia prokuratora musiała mnie pani potępić z kretesem, co?

Roześmieli się oboje, a prezes rzucił luźno:

— Swoją drogą w każdym z ludzi tkwi kawałek aktora, chciwego pochwalnych recenzji, nawet w takim starym, bardzo starym prezesie sądu... No, ale ja panią nudzę, o, już po trzeciej — wstał i podał jej rękę. — Bardzo pani dziękuję. Rzadko się miewa tak miłe i interesujące oficjalne wizyty. W każdym razie życzę pani powodzenia.

— Dziękuję panu, panie prezesie.

Kobieta, Mężczyzna, Praca

Kobieta, Praca

Kobieta, Okrucieństwo

<sup>42</sup>konwenans — ogólnie przyjęta w danym środowisku norma zachowania, obyczaj towarzyski. [przypis edytorski]

— Pan prokurator Martynowicz jest trochę szorstki, ale zaliczam go do ludzi godnych szacunku. Mam nadzieję, że będzie pani miała dobre stosunki. Do widzenia pani.

— Do widzenia, panie prezesie.

Korytarze w powrotnej drodze wydały się Alicji znacznie krótsze. Wizyta u prezesa Turczyńskiego wprawiła ją w doskonały humor. „Za kilka dni będę się tu czuła zupełnie swobodnie”.

Przed drzwiami swego gabinetu spotkała aplikanta Modronia. Miał dla niej jakieś papiery. Nie przeglądając, schowała je w biurku, nałożyła kapelusz i futro i wyszła.

Napadało dużo śniegu i obszerny dziedziniec promieniał białością.

Była w doskonałym usposobieniu, jednakże wystarczył pierwszy rzut oka na ulicę, by czoło jej spochmurniało: po przeciwległym chodniku przechadzał się doktor Czuchnowski i wlepiał swoje okulary krótkowidza w bramę pałacu Paca<sup>43</sup>.

Oczywiście nie zauważył jej i miała wielką ochotę po prostu wyminąć go, chociażby za karę, że przylaźł tu wywietrzać swój sentymentalizm starej ciotki. Jednak zatrzymała się, a gdy podbiegł i całując ją w rękę, pochylił swoją szeroką, lysiejącą blond głowę, roześmiała się.

— Robisz na mnie wrażenie kaczki hodującej kurczęta, to jest: nie, na odwrót, kury hodującej kaczęta!

— No i jakże, Alu, powiedz, wszystko dobrze?

— Żle.

— Co ty mówisz?! — przeraził się. — Dlaczego?!

— Dlatego, żeś tu przyszedł. Co za pomysł! Jestem zła na ciebie. Ładna historia! Fatyganci sterczą przed sądem, wyczekując, aż wyjdzie prokuratorka.

— Alu, nie masz racji...

— Mój drogi — przerwała — nie jestem pensjonarką<sup>44</sup> ani panną sklepową. Nie znoszę tego. Ładną opinię wyrobią mi te twoje wystawania.

— Przecie jako twój narzeczony chyba mogę...

— Ach, mój Władku, dziś instytucja narzeczeństwa straciła już nawet swoje dwuznaczne znaczenie, przynajmniej w opinii ogółu.

— Poza tym możesz przecie powiedzieć, że jesteśmy spokrewnieni. Ostatecznie...

— Po pierwsze dziesiąta woda po kisielu, a po drugie, czy ty naprawdę tak mało mnie znasz, że możesz przypuszczać, bodaj przez jedną chwilę, że ja będę się przed kimkolwiek tłumaczyć?!

Skręcili na Krakowskie Przedmieście.

— W ogóle, mój drogi, nie znoszę czułościowości. Już samo to, że pozwoliłeś sobie ma ten wybryk świadczy, że stanowczo nie odpowiadamy sobie usposobieniami.

— Alu, przecie nie możesz robić mi zarzutów z tego, że chciałem jak najprędzej dowiedzieć się, jak...

— Właśnie z tego robię ci zarzut. Nie rozumiesz tego?!

Była już poirytowana i wsiadając do tramwaju, umyślnie takie zajęła miejsce, że Czuchnowski nie mógł z nią rozmawiać o rzeczach intymnych. Gdyby nie zdrowie Julki, kazałaby mu wysiąść.

— Jakże Julka? — zapytał, pochylając się, Czuchnowski.

— Z rana miała trzydzieści siedem i pięć. Chciała nawet wstać i iść do szkoły.

— Broń Boże!

— Toteż nie pozwoliłam. Obawiam się o jej nerki. Już po szkarlatynie<sup>45</sup> przed trzema laty omal nie zapadła na nie. A teraz jeżeli to grypa, to też często rzuca się na miedniczkę<sup>46</sup>.

— A spała dobrze?

— Gdzież tam. Znasz ją przecie. Do trzeciej w nocy kuła fizykę.

<sup>43</sup>pałac Paca — klasycystyczny pałac w śródmieściu Warszawy, przy ul. Miodowej; w latach 1875–1939 siedziba warszawskiego sądu okręgowego. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>pensjonarka — uczennica pensji, prywatnej szkoły dla dziewcząt. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>szkarlatyna (med.) — płonica, ostra choroba zakaźna wieku dziecięcego (zwykle 5–15 lat), której towarzyszy czerwona drobna wysypka na całym ciele. Przed upowszechnieniem penicyliny po II wojnie światowej szkarlatyna była najczęstszą chorobą wieku dziecięcego o bardzo ciężkim przebiegu, jej śmiertelność wynosiła 25%. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>miedniczka — tu: miedniczka nerkowa, część nerki. [przypis edytorski]

— Nie powinnaś ma to pozwalać. Dziewczeta w jej wieku łatwo zapadają na blednicę<sup>47</sup>.

— Mówiłam jej, ale ona ma swój stały argument: matura. Jak zrobi maturę, powiada, będzie miała czas na wylegiwanie się i wysypianie.

Przy Topolowej<sup>48</sup> wysiedli. Czuchnowski próbował powrócić do przerwanej rozmowy, lecz Alicja z miejsca przerwała.

— Nie nudź. Wiem, co mi jeszcze mógłbyś powiedzieć, i wcalem tego nie ciekawa.

Ulica Topolowa wychodziła na lotnisko, iskrzące się różowym w zachodzącym słońcu śniegiem.

Weszli na trzecie piętro. Alicja otworzyła drzwi z zatrasku.

— Nie masz pojęcia, jak kocham to twoje mieszkanko — odezwał się Czuchnowski.

— Za każdym razem, gdy tu się znajduję, mam uczucie przybicia do portu.

— Och, jakież kwieciste porównanie! Ale jeżeli już tak chcesz, to port ten ma za mało doków.

— Bo to też jest port... kameralny.

— Alu! Alu! — rozległ się z głębi mieszkania głos dziewczęcy.

— Zaraz, mała!

— Dzień dobry, panno Julko! — zawołał Czuchnowski.

— Dzień dobry doktorowi!

— Nie pójde do niej, póki ręce mi się nie rozgrzeją — powiedział.

— Alu! — krzyczała Julka. — Czy już wpakowałaś kogoś do więzienia?

— Nie wrzeszcz, bo gardło cię będzie bolało! Zaraz Władek przyjdzie do ciebie. Ja muszę zajrzeć do kuchni.

W małej kuchence krzątała się stara Józefowa, mrucząc swoje wieczne pacierze. Alicja nie zapytała o nic, wiedziała bowiem, że Józefowa i tak nic nie odpowie, póki danej modlitwy nie skończy. Pogodziła się od dawna z tym zwyczajem staruszki i sama zajrzała do garnków.

Sluga

Zupa pomidorowa była już w porządku, ale sztufada<sup>49</sup> musiała się jeszcze podduścić, licząc na oko, z pół godzinki. Kompot stygł na oknie, a stojące obok talerze z resztką rosółu i kośćmi kury świadczyły, że Julka już jest po obiedzie.

Jedzenie

Alicja weszła do swego pokoju, poprawiła włosy przed lustrem, lekko przypudrowała nos i poszła do Julki.

Czuchnowski siedział przy niej na łóżku i liczył puls. Julka wyciągnęła wolną rękę i żeby doktorowi nie przeszkodzić, posłała Alicji milczącego buziaka. Wyglądała znacznie lepiej niż rano. Oczy jej błyszczały i miała zarumienione policzki.

„Jakaż ona śliczna” — pomyślała Alicja, przyglądając się jej promieniejącej twarzyczce półdziecka, półkobiety.

— Hm... — odezwał się Czuchnowski — panienska nocami nie śpi, a później jest pogorszenie.

— Ależ ja czuję się świetnie! — zaoponowała Julka.

— No, jeszcze zobaczymy, co nam termometr o tym powie. Tylko, panno Julko, proszę trzymać dobrze.

— Smakował ci obiad? — zapytała Alicja.

— Wyborny!... No więc opowiedz!... Taka jestem ciekawa. Jak cię tam przyjęto? To musieli mieć sensację! No, więc?...

— Nic nadzwyczajnego. Prokurator przedstawił mnie kolegom, później złożyłam wizytę prezesowi sądu.

— Sympatyczni?

— Owszem.

— A masz swój pokój?

— Mam. Nieduży gabinetek.

Julka wydeła wargi.

<sup>47</sup>*blednica* (daw. med.) — anemia, niedokrwistość związana z niedoborem żelaza, występująca głównie u młodych dziewcząt i kobiet. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>*Topolowa* — dawna ulica w Warszawie, w pobliżu ówczesnego lotniska na Polu Mokotowskim; od końca lat 30. XX w. część Alei Niepodległości, łączącej Śródmieście, Mokotów i Ochotę. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*sztufada* — duszona pieczeń z wołowiny szpikowanej słoniną. [przypis edytorski]

— Niedobra jesteś, Alu. Zbywasz mnie półsłówkami. I to tak zawsze! Ja ci zawsze mówię o sobie wszystko, wszystko! I co robię, i co myślę, a ty nigdy!... Traktujesz mnie jak smarkatą...

Alicja z uśmiechem pogładziła kasztanowate włosy dziewczyny.

— Więc cóż ci mam powiedzieć?

— No, chociażby to, czy są tam jacy przystojni panowie?...

— Ho, ho!... — oburzył się doktor. — Co też panienkę interesuje!

— Też!... — wzruszyła ramionami Julka.

— Uwaga! — Przytrzymał ją. — Termometr!

— Więc, wyobraź sobie — powiedziała Alicja — że jest tam jeden taki młokos, aplikant, co wywraca do mnie oczy. Reszta to starsi i poważni ludzie.

— Och, jestem pewna, że oni wszyscy tam w tobie zakochają się!

— Nie pleć głupstw, Julko.

Dziewczynka zrobiła do Alicji oko i powiedziała umyślnie żalonym tonem:

— Biedny doktorek, będzie usychał z zazdrości.

Czuchnowski chrząknął i poprawił swoje rogowe okulary, co było tak wymowną ilustracją jego zakłopotania, że Julka pożałowała swej złośliwości i pogłaskała go po policzku.

— Chyba już można wyjąć termometr — zauważyła Alicja. — Chcę dowiedzieć się, jaka temperatura, bo muszę zdążyć przebrać się przed obiadem.

— Trzydzieści osiem i dwie kreski — sprawdził doktor. — Oto skutki uczenia się po nocach!

Wydobył z kieszeni lekarską słuchawkę.

— No, panienko, proszę zdjąć koszulkę i usiąść.

— Zaczekaj — zatrzymała ją Alicja — nim wyjdę. W sąsiednim pokoju jest zimno i mógłby cię powiew zaziębić.

Gdy drzwi zamknęły się za nim, Julka powiedziała:

— Nie gniewa się pan na mnie, doktorku?

— Ależ za co? No, jazda, moja panno.

Usiadła i ściągnęła koszulę.

Stanowczo nie wyglądała na typ skłonny do gruźlicy. Łagodna spadziście ramion, prawidłowo osadzona szyja, dostatecznie rozwinięta klatka piersiowa. I dostatecznie dość mięśni. Szczupłość zwykła u siedemnastoletniej dziewczyny.

Zaczął opukiwać szczyty. Jego dwa palce przesuwają się cal po calu po cieplej jedwabistej skórze, trzeci uderzał w nie jak młotek. Dźwięk był czysty i pełny. Oparł niechcący dłoń na małej jędrnej piersi. Julka drgnęła i zarumieniła się, on jednak tak był pochłonięty badaniem, że tego nie zauważył.

Opukał plecy i wziął słuchawkę.

— Teraz posłuchamy, co nam powie stetoskop. Proszę głęboki oddech... tak... teraz znowu... tak... jeszcze... No, doskonale... A jak tam serduszko... Proszę nie oddychać...

— Wolne — roześmiała się Julka.

— Co?

— No, serduszko!

— Nie rozumiem? — podniósł głowę i spojrzał na nią.

— Pytał pan, jak tam serduszko, więc powiedziałam, że wolne.

— Aha — zaśmiał się i dopiero teraz spostrzegł, że ta mała go kokietuje. — Ważniejsze to, że płuca są wolne — dodał.

Miał przy tym tak speszoną minę, że Julka postanowiła jeszcze bardziej go zmieszać.

— Doktorku — zaszczębiotała — proszę mi powiedzieć, czy jestem dobrze zbudowana?

— No, owszem, zupełnie normalnie.

— Nie, nie o to mi chodzi. Ja pytam, czy ładnie?

— Eee... nie znam się na tym. Proszę się odwrócić.

Przyłożył słuchawkę do jej pleców.

— Ale przecież doktorek ma...

— Cicho! Proszę oddychać głęboko... jeszcze... tak... wciągnąć powietrze... dobrze...

Złożył stetoskop i schował do kieszeni.

— Mogę nałożyć koszulkę? — zapytała z figlarną minką.

Lekarz

Lekarz

Lekarz



— No... można, już po auskultacji<sup>50</sup>, ale jeszcze nie wszystko. Proszę się położyć na brzuszku.

— O, będzie doktorek mnie bić?

— Należałoby — mruknął i pomyślał, że Julka jest dziś strasznie rozbrykana.

Odsunął kołdrę i lekko naciskając mięśnie w okolicach nerek, zapytał:

— Boli?

— Nie.

— A tu?

— Też nie... — jej głos wydobywał się z poduszki, w którą wcisnęła twarz — nigdzie mnie nie boli! Pan chce mnie udusić w tej poduszce.

— Władku! — rozległ się w sąsiednim pokoju głos Alicji. — Skończyłeś?

— Już, za chwilę.

— No, więc idź umyć ręce. Obiad na stole.

— Sekundka.

Julka nakładała koszulę i borykając się z rękawem, zapytała:

— Więc nie powie mi pan, czy jestem ładnie zbudowana?

— Powiem co innego — zirytował się — mała zrobi siusiu i napelni tym buteleczkę. Zabiorę do analizy.

Pokazała mu język.

— A, doskonale — ucieszył się tym dowodem poskromienia krnąbrnej pacjentki. — Proszę, proszę pokazać języczek.

— Nie pokażę!

— No? Jeszcze nie skończyliście? I jakże? — stanęła na progu Alicja.

— W porządku. Dzięki Bogu nic groźnego, zwykle zaziębienie i mała grypka. Wczoraj obawiałem się, że może być gorzej. O ile się nie myłę...

— Dobrze, opowiesz mi przy obiedzie. Idź teraz myć ręce.

Gdy wyszedł, Alicja usiadła na łóżku Julki, która zarzuciła jej ręce na szyję:

— Alu! Pojęcia nie masz, co ja wyprawiałam!... A nie będziesz się gniewać?... Wyobraź sobie, kokietowałam doktora! Miał taką głupiutką minę! Zapytałam go, czy jestem ładnie zbudowana... No, nie śmieję się ze mnie!... Alu!...

— I cóż on na to?

— Wyobraź sobie, powiedział: „Niech mała zrobi siusiu do analizy!” Jak on mnie traktuje! Oczywiście pokazałam mu język!

Alicja, śmiejąc się, przytuliła Julkę i ucałowała serdecznie.

— Nie dokazuj znanadto, kochanie, bo ci gotowa gorączka podskoczyć — powiedziała, wstając.

— Alu, zaczekaj, muszę ci coś bardzo ważnego powiedzieć, coś strasznie ważnego!

— No?

— Nie masz pojęcia, jak ja ciebie kocham! Więcej niż cały świat!

Alicja zawróciła od drzwi i pocałowała ją w wyciągnięte usteczka.

Nic nie odpowiedziała. Przecie sama kochała Julkę jak siostrę. Cóż znaczą węzły krwi? Kwestia przypadku i tyle... A ta obca dziewczyna, ta dziewczyna z krwi bardziej obcej, niż można sobie wyobrazić, samą swoją egzystencją przypominająca brata... Głos na przykład ma zupełnie taki jak Paweł... A przecież jest jej najbliższa... Rzeczywiście na całym świecie nie ma nikogo bliższego...

— Alu, o czym tak myślisz?...

— O wszystkim po trosze, kochanie.

— A zupa stygnie! — rozległ się z drugiego pokoju głos Czuchnowskiego.

Trzeba było siadać do stołu.

## ROZDZIAŁ 4

Akta sprawy Waleriana Traczyka miały wiele braków. Policja nie zadała sobie trudu odśledzenia owej kobiety, która zaalarmowała nocnego dozorcę, nie zdjęto odcisków palców z elektrycznej latarki, którą niewątpliwie w chwili popełnienia zbrodni miał w rękę

<sup>50</sup>auskultacja (med.) — osłuchiwanie; rodzaj badania lekarskiego polegającego na słuchaniu, zazwyczaj z pomocą specjalnej słuchawki, jak pracują narządy wewnętrzne (takie jak np. serce czy płuca). [przypis edytorski]

przestępca, a sędzia śledczy uznał za wystarczające alibi dla Wieczorka świadectwo jego siostry.

Sporządzenie aktu oskarżenia na tych podstawach byłoby po prostu niechlujstwem.

Podprokurator Alicja Horn zdecydowała odesłanie sprawy celem uzupełnienia śledztwa, skończyła pisanie i odłożyła pióro.

Zbliżała się już czwartą.

Pracowała dziś bez wytchnienia, niemal nie podnosząc głowy znad stosu papierów. Roboty było bardzo dużo. Zaledwie minął tydzień czasu, gdy pierwszy raz usiadła przy tym biurku, a już zupełnie dobrze orientowała się we wszystkim.

Martynowicz ani razu nie zrobił najmniejszej zmiany w jej decyzjach, Modroń mówił, że wiceprokurator Mesner miał się o niej wyrazić: „Ależ to urodzony prokurator!”. Nie cieszyła się tym zbytnio. Wiedziała, że tak będzie. Również i stosunki — jak przewidywała — ułożyły się dość normalnie. Nie przestała jeszcze być w sądzie osobliwością i tematem rozmów, jednak nie patrzono już na nią jak na raroga.

„Niech poczeka — myślała — aż wystąpię przed sądem! Wtedy im pokażę, co potrafi podprokurator Alicja Horn!”

Na razie nie zanosilo się na to, jednakże w przyszłym tygodniu mogła wypłynąć sprawa Kwiatkowskiego i trzeba było pomyśleć o todze i birecie<sup>51</sup>.

Zamknęła biurko i zatelefonowała do domu. Odezwała się Julka. Siedzą z doktorkiem i czekają, są strasznie głodni.

— Jedzcie obiad — powiedziała Alicja. — Mam jeszcze sprawunki na mieście i spóźnię się. A teraz poproś doktora... Dobrze, dobrze... poproś... Dzień dobry, Władku... No co? Byłeś u profesora Brunickiego? Hallo! Tylko nic więcej nie mów, jeżeli jest tam Julka. Odpowiedz po prostu: tak lub nie... No dobrze. Jedzcie obiad... Co? Oj, jakiś ty nudny!... Proszę, byćcie jedli. Przyjadę za pół godziny, może za trzy kwadransy. Do widzenia.

Wychodząc z sądu, spotkała prezesa Turczyńskiego. Zatrzymał ją w bramie.

— No i jakże się pani pracuje?

— Dziękuję — odparła wesoło — wybornie.

— Martynowicz jest panią... ale proszę o dyskrecję!... jest panią zachwycony.

— O?! Nie wyobrażałam sobie, by pan prokurator był zdolny do zachwyty.

— Jakże! Gdy zapytałem go o panią, dał upust swemu entuzjazmowi w wyrazach: „Hm... owszem...”

Roześmieli się oboje.

— Upewniam panią — dodał prezes — że jak na Martynowicza to bardzo dużo.

Pożegnała prezesa niemal serdecznie i wstąpiła do sklepu kupić tożę i biret. Pomimo jej dużego wzrostu toga była za obszerna, wzięła ją jednak i pojechała na Kruczą<sup>52</sup> do krawcowej, w której i tak miała być dzisiaj dla przymierzenia sukni wieczorowej.

— Skróć pani tę tożę o jakieś osiem centymetrów i rękawy trzeba zwęzić.

Krawcowa z nabożeństwem napinała szpilki.

— Do twarzy mi w tym? — zapytała Alicja, nakładając biret.

— Ach, proszę szanownej pani! — klasnęła w ręce krawcowa. — Świat jeszcze nie widział takiego prokuratora! Skazańcy z radością będą szli na śmierć!...

Rzeczywiście, przyjrawszy się sobie w lustrze, Alicja wyraziła zadowolenie. W tej czerni z wąskim czerwonym oblamowaniem wyglądała wyśmienicie. Kontrast niemal złocistych włosów i soczystej świeżej cery z powagą stroju dawał efekt nieprzeciętny.

— Odeśle mi to pani do domu — powiedziała, żegnając się i spoglądając na zegarek.

Wzięła taksówkę. Rzadko pozwalała sobie na takie wydatki, chociaż teraz, gdy do jej renty przyłączała się skromna pensja podprokuratora, właściwie mówiąc, miała budżet swój pokryty ze znaczną nadwyżką.

Już na schodach usłyszała głos gramofonu.

Naturalnie! Jakżeby Władek nie wyzyskał jej nieobecności, żeby nie puścić gramofonu. Właściwie mówiąc, nic nie miała przeciw gramofonom, ale nie przepadała za ich „muzyką”. Jakże śmieszna minę miał doktor, gdy przydzwigał go wtedy, gdy ona, Alicja,

<sup>51</sup>biret — kwadratowa lub okrągła, sztywna czapeczka bez daszka, używana dziś jako część oficjalnego stroju duchownych, przedstawicieli sądownictwa, senatu uniwersyteckiego, profesury. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>Krucza — ulica w śródmieściu Warszawy, przed wojną skupiająca kamienice czynszowe i sklepy z konfekcją damską. [przypis edytorski]

wydrwiła bezceremonialnie pomysł robienia jej prezentów w ogóle, a już takich w szczególności. Tak był speszony! Biedny pocziwiec zdobył się wówczas na przebiegłość i usprawiedliwiał się tym, że to prezent dla Julki.

Wybiegli na jej spotkanie. Gramofon oczywiście umilkł w połowie jakiegoś „kooocham”, Józefowa sprzątała ich nakrycia.

— Wiesz, Alu, dostałam dziś z trygonometrii piątkę! — przywitała ją Julka.

— Jak się macie. Bardzo się cieszę, a z historii cię nie pytano?

— Wyobraź sobie... nie, nie pytano... ale wyobraź sobie, Wacka Ruszczewska rzuca budę<sup>53</sup>, nie robi matury i... zgadnij?

— No?

— Wy-cho-dzi za mąż!!! Za tego pulpecikowatego bruneta, co zawsze na nią czekał pod szkołą.

Czuchnowski chrząknął znacząco. Alicja uśmiechnęła się.

— Wcale nie ładny — trzepała Julka — ale dość taki sobie bubek. I ma samochód, sześciocyndrowego Steyera, tylko że limuzyna, co za przyjemność? Prawda? Ale Ruszczewskiej będzie w nim do twarzy, bo ma zielone oczy, a wóz zielony. Wszyscy mówią, że robi karierę.

— Wóz?

— Nie, no przecież Wacka, bo on w ogóle jest bogaty.

— Wóz?

— Nie będę opowiadała — obraziła się Julka.

Alicja ucałowała ją w oba policzki.

— No już dobrze, dobrze. Chcę tylko żebyś wyrażała się dokładnie.

— Ja tam nie mam zamiaru być prokuratorem — wzruszyła ramionami.

Józefowa przyniosła zupę i Alicja usiadła przy stole.

— A czymże panna Julka chce być? — zagadnął Czuchnowski.

— Po pierwsze nie czymże, a kimże, chcę żeby pan wyrażał się dokładnie, a po drugie nie myślałam jeszcze o tym. Mam czas.

Była trochę skwaszona i gdy tylko Alicja skończyła obiad, oświadczyła im, że musi zasiać do robienia lekcji.

Zostali sami. Doktor chciał już zacząć mówić, lecz Alicja go zatrzymała.

— Zaraz. Przejdźmy do mego pokoju. Julka mogłaby słyszeć.

Bardzo lubił ten pokój, w którym tak rzadko miał sposobność bywać, pokój tak niespodziewany w tym wprawdzie ładnym i wygodnym, lecz jakimś nieco sztywnym mieszkaniu. Tam wszędzie panowały barwy jasne i wszystko zdawało się lśnić, tutaj ciemnoczerwone tapety i miękkie o płynnych liniach meble, wspaniałe szeroki tapczan i gruby dywan, pokrywający podłogę, a nawet dość silny zapach perfum. (Alicja sama przecież nigdy się nie perfumowała!).

Nieraz zastanawiał się nad tym. Nie umiał sobie sprecyzować wrażeń, ale wydawało mu się, że powierzchowność i sposób bycia Alicji są jak tamte pokoje, a jej wewnętrzne życie może całkiem inne, może takie jak ten.

Lubił ten pokój, ale swobodniej czuł się u Julki czy w jadalnym, a nawet w przedpokoju.

— Byłem u profesora Brunickiego w klinice uniwersyteckiej.

— Przyjął cię prędko?

— Tak. Przypomniałem mu, że słuchałem jego wykładów jeszcze za czasów jego docentury. Był bardzo uprzejmy. Kazał zaraz przynieść książki i szukaliśmy razem. Otóż Paweł Horn po raz ostatni był wypisany z kliniki psychiatrycznej przed trzema laty.

— Dokąd? — zapytała zimno.

— Do zakładu w Tworkach<sup>54</sup>.

Zaległo milczenie.

— Profesor Brunicki nie mógł sobie z początku przypomnieć o kogo chodzi, ale przeczytawszy historię choroby, przypomniał: „Tak, tak — powiedział — już wiem. Rzeźbiarz, no to była sprawa przesądzona. Zdecydowany morfinista...”

<sup>53</sup>buda (pot.) — tu: szkoła. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>Tworki — dzielnica Pruszkowa, w ob. woj. mazowieckim; znana m.in. ze szpitala psychiatrycznego, utworzonego pod koniec XIX w. [przypis edytorski]

— Morfinista?!... — cicho spytała Alicja.

— Tak, ale to nie wszystko, to dałoby się wyleczyć, gdyby, jak powiada profesor Brunicki, nie kontuzja czaszki.

— Więc i ta kontuzja odzywała się?

— Tak — kiwnął głową Czuchnowski — bardzo silnie. Paraliż częściowy, zaburzenia zmysłowe, anestezja<sup>55</sup> nerwów. Musiano czasami stosować sztuczne oddychanie...

Alicja wstała i przeszła przez pokój.

— Nie pytałeś Brunickiego o przyczyny choroby?

— Pytałem. Chodziło mi w tym o Julkę. Profesor powiada, że stanowczo żadnych obciążeń dziedzicznych nie było. Kontuzja na froncie była, jego zdaniem, źródłem choroby, porażenie zaś niektórych ośrodków nerwowych wpłynęło na rozwój psychastenii<sup>56</sup>, a stąd morfinizm. Tedy<sup>57</sup> jasną jest rzeczą, że choroba jest zupełnie indywidualna i że jego siostrze, dzięki Bogu, nic nie grozi.

— Dzięki Bogu — powtórzyła Alicja.

— Czy Paweł żyje jeszcze — ciągnął Czuchnowski — profesor Brunicki nie wie. W każdym razie już przed trzema laty, gdy go wysyłał do zakładu w Tworkach, stan był beznadziejny... Kwestia miesięcy lub nawet tygodni...

Alicja oparła głowę na rękę i znieruchomiała. Doktor chciał zapalić papierosa, lecz zdawało mu się, że teraz nie wypada. Patrzył na ścianę, na której rozwieszony był szal, wyobrażający centaury<sup>58</sup> o wzniesionym ogonie i Amazonkę<sup>59</sup>, której szerokie lędźwie gniotły boki wierzchowca, stojącego dęba. Możliwe, że było to jako dzieło sztuki piękne, lecz Czuchnowskiego uderzyła w tym jakaś po prostu nieprzyzwoitość. Nie dlatego, że Amazonka była naga, ale w ogóle.

— Głupota jest największą zbrodnią — powiedziała jakby do siebie Alicja i wstała.

— Cóż — dodała po chwili — świat żyje głupotą. Nie wszyscy chwytają za rewolwer. Niektórzy, jak Paweł, popełniają samobójstwo... Gardzę nimi, nienawidzę ich!... Topielcy, co idąc na dno, wpijają się w dusze innych, by ich też pociągnąć...

Położyła rękę na ramieniu Czuchnowskiego i zacisnęła palce.

— Ale są tacy, którzy się wciągnąć nie dadzą. Myślisz, że mam dla Pawła współczucie? Może litość? Nie, po stokroć nie, tylko nienawiść za niego i za siebie, i za nasze zmarnowane szczęście...

— Owszem, rozumiem ciebie... — zaczął niepewnym tonem Czuchnowski.

— Nie rozumiesz! Nie możesz zrozumieć, by ktoś potrafił zrobić tragedię z niepełnionej winy kochanej i kochającej kobiety, by zdając sobie sprawę z bezpodstawności, z głupoty swoich pretensji do losu, druzgotał życie sobie i jej, by z krzywdy, jaka spotkała ją w dzieciństwie, z krzywdy, ze zwykłej krzywdy, wyciągnąć obłądną żądzę zniszczenia najlepszych, najpiękniejszych uczuć. O!... Nigdy mu tego nie przebaczę! Nigdy!...

Jej oczy wbijały się w oczy Czuchnowskiego, zdawała się do niego mówić, on jednak odczuwał, że jest tylko przypadkowym świadkiem tego wybuchu.

— Ani razu — odezwał się cicho — nie wspominałaś mi, dlaczego właściwie rozeszliście się z Pawłem?

Alicja drgnęła.

— Co?...

— Nie mówiłaś nigdy, dlaczego rozeszliście się z Pawłem.

— Rozeszliście się? — zapytała z ironią. — Nie, mój pocziwy przyjacielu, nie rozeszliśmy się. Porzucił mnie! Słyszysz?! Porzucił! Zaraz nazajutrz! Po jednej jedynej nocy, strasznej nocy!...

Zakryła twarz rękoma i pochyliła głowę.

<sup>55</sup>*anestezja* (med., z gr.: brak czucia) — znieczulenie, blokada unerwienia poszczególnych rejonów ciała, powodująca brak możliwości czucia i odbierania bodźców bólowych. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>*psychastenia* (daw. med., z gr: niemoc duszy) — zaburzenie niegdyś niegdyś uznawane za jedną z najczęstszych nerwic, objawiające się obniżeniem nastroju, lękami, obsesjami lub natręctwami; termin nieużywany w obecnej diagnostyce psychiatrycznej. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*tedy* (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*centaur* (mit. gr.) — stworzenie z ludzkim tułowiem na końskim korpusie. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>*Amazonka* (mit. gr.) — kobieta należąca do plemienia wojowniczek znad Morza Czarnego; przen.: kobieta uprawiająca jazdę konną. [przypis edytorski]

Doktor siedział bezradny. Mój Boże! Życie oddałby za to, gdyby mógł wyrwać z niej ten ból, którego tajemnicy nie znał. A pytać więcej nie śmiał.

— Przeklęty, niech będzie przeklęty! — wymówiła przez zaciśnięte zęby.

— Alu! Alu! Uspokój się! — prosił Czuchnowski. — Pomyśl, może on już nie żyje...

— Więc niech pamięć jego będzie przeklęta!

— Alu zapomnij o nim. Zobaczysz, znajdziesz wtedy, z czasem, przebaczenie w sobie... Masz teraz mnie...

Niespodziewanie podniosła nań oczy i roześmiała się nerwowo:

— Aha! Ciebie!...

Czuchnowski skurczył się w sobie. Tyle lekceważącej pobłażliwości brzmiało w jej głosie.

— Oczywiście, mam ciebie — mówiła, nie zmieniając tonu. — Zapewniam cię, że wystarczy mi to w zupełności. Ale wyobraź sobie, że kiedy Pawła spotkałam, miałam lat dziewiętnaście. Wówczas jeszcze, mój drogi, byłam niemądra, byłam tak niemądra, jak wszystkie kobiety, wówczas wierzyłam, że szczęściem moim nie jest mieć kogoś, lecz należeć do kogoś, być jego własnością. A teraz... mam dwadzieścia osiem lat, zrewidowane poglądy, no i... ciebie.

Znowu się zaśmiała.

— Tak, drogi Władku, pod dobrym adresem skierowałeś swoje pocieszenie. Ale ostrzegam cię przed zwracaniem się z tym do innych kobiet, które jeszcze nie wyzbyły się... ambicji niewolnictwa.

Była znowu opanowana i spokojna.

— No, ale do rzeczy. Tedy Profesor Brunicki nic nie wie o panu Pawle Hornie?

— Nic poza tym, że umieszczony został w zakładzie w Tworkach.

— Spodziewam się, żeś napisał do zarządu zakładu z zapytaniem?

— Tak, zaraz po wyjściu z kliniki wstąpiłem na pocztę i wysłałem list. Na odpowiedź podałem swój adres, bo sądziłem, że byłoby ci przykro...

— Wszystko jedno — wzruszyła ramionami — zresztą nie mnie przecie zależy na pośpiechu.

— Jesteś dziś bardzo niedobra dla mnie, Alu — powiedział po cichu.

Pogłaskała go po lysiejącej głowie.

— Widzisz — uśmiechnęła się — to dla równowagi ty jesteś dla mnie za dobry. Aha! Dzwonił do mnie twój przyjaciel...

— Łęczycki?

— Łęczycki. Umówiliśmy się, że pójdziemy do teatru na Shawa<sup>60</sup>, a później na kolację do „Savoyu”. Musisz więc pójść do domu przebrać się.

Czuchnowski zrobił płaczącą minę.

— Znowu! Już trzeci raz w tym miesiącu! Ja tak nie znoszę knajpy!

— Możesz nie iść.

— Jak to mogę? Nie mogę. A pomyśl tylko: ty z rana masz sąd, ja szpital, Łęczycki swoją kancelarię. Znowu zaciągnie się do drugiej, czy trzeciej...

— Oj, jakiś ty nudny. Patrz, już za dwadzieścia siódma. Spóźnisz się do teatru.

Westchnął i wstał.

— Mam przyjechać po ciebie?

— Nie — potrząsnęła głową — spotkamy się w westybulu<sup>61</sup>. Kup bilety w jakimś szóstym rzędzie. Tylko bądź łaskaw pamiętać, że ja płacę za siebie.

Nie odprowadziła go do przedpokoju, lecz wprost poszła do Julki.

Dziewczyna podniosła znad książki uśmiechnięte oczy.

— Poszedł doktorek?

— Tak. Jakże się czujesz?

Julka wstała i przeciągnęła się.

— Trochę jestem zmęczona. Tak sobie myślałam, że po maturze, jeżeli ty dostaniesz urlop, pojedziemy na przykład na Hel! To byłoby cudownie. Jeszcze nigdy nie widziałam morza.

<sup>60</sup>Shaw, Bernard (1856–1950) — irlandzki dramaturg i prozaik, przedstawiciel dramatu realistycznego. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>westybul — reprezentacyjny przedpokój. [przypis edytorski]

— Zobaczysz je jeszcze nie raz — przytuliła ją Alicja.  
— Na wsi też przyjemnie, ale u obcych... Jaka szkoda, Alu, że ani ty, ani ja nie mamy krewnych na wsi.  
— W ogóle nie mamy nikogo — powiedziała Alicja — jesteśmy same.  
Dziewczyna przytuliła się do niej mocno.  
— Mnie to wystarcza, Alu, mnie naprawdę to wystarcza, to jest bardzo dużo.  
Zegar wybił siódmą.

## ROZDZIAŁ 5

Wentylatory huczały ogłuszająco, przez rozsunięte zasłony okien sęczyło się mgliste światło grudniowego poranka.

Kelnerzy poprzebierali się już w swoje marynarkowe ubrania, tylko barman, chudy pan Grabowski paradował jeszcze za ladą amerykańskiego baru w malowniczym stroju kowbojskim z jaskrawą chustką na szyi. Zamykał szafki i szuflady, pobrzękiwał kluczami, zsuwał z ręcznie brudne szklaneczki i kieliszki do dużej blaszanej wanienki, trzymanej przez pyzatą pomywaczkę w białym kitlu. Pomocnicy portiera zabrali się z rozmachem do porządkowania, zsunęli stoliki i pokryli je wkrótce rogatym lasem odwróconych do góry nogami fotelików.

Dziewczęta już się rozeszły. Na wysokim stołku przy barze siedziała sama panna Kazia (*signorita*<sup>62</sup> Fiametta — tango akrobatyczne) i pudrowała autentyczny argentyński nosok. Nie spuszczała jednak oka z korytarza, a właściwie z oszklonych lagrowym szkłem drzwi, na których przybita była tabliczka „Dyrekcja”. Już od kilku dni narażała się przez to na żarciki i kpinki całego personelu, jednak nie dawała za wygraną.

I teraz kelnerzy, nakładając pałta i rzucając swoje stereotypowe „szanowanie”<sup>63</sup>, zerkali na nią porozumiewawczo, a barman zapytał:

— Panno Kaziu, czy mi się zdaje, czy pani czeka na tramwaj?  
— Co? Na tramwaj? A to pan Zygmunt nie wie, że tramwaj z mądrymi rozbił się i wszyscy nogi połamali? — odcięła się z miejsca.  
— Ja tam nie jeżdżę z mądrymi. Nogi mam całe.  
— To widać — powiedziała znacząco.

Grabowski nie mógł jednak dać się „zjeść”. Brzęknął kluczami i zareplikował:

— Widać, nie widać, a pani, panno Kaziu to faktycznie marzenia ściętej głowy, można powiedzieć. Już znaleźmy takich, co gwiazdy po niebie łapali, a jak co do czego, to szlus<sup>64</sup> i żadnej perspektywy, można powiedzieć!...

Nagle drzwi w korytarzu otworzyły się i wybiegł kasjer Justek.

— Panie Grabowski! Pan dyrektor prosi.

— Już idę!

Wytarł ręce serwetą, wyciągnął z szuflady szczelnie zapisany arkusik i zapukał do drzwi. Krótkie „wejść” i znalazł się w gabinecie.

Dyrektor oczywiście siedział na biurku. Zawsze tak: albo na biurku, albo na parapecie okna, albo na wałku sofy. Właściwie nie wiadomo, po co przy biurku stał fotel. Od chwili nabycia „Argentyny” przez Winklera nikt go jeszcze nie widział siedzącego w tym fotelu.

Teraz palił papierosa i kiwając nogą, słuchał sprawozdania kiper<sup>65</sup>:

— ...dwadzieścia sześć węgierskiego, jedenaście malagi, sto czternaście Cordon Rouge, dwie Cordon Vert, trzydzieści siedem Clicot i osiem Cristal...

Panna Tecia, szybko przesuając wałek maszyny<sup>66</sup>, odstukiwała wymieniane przezeń cyfry w odpowiednich rubrykach.

— To wszystko, stary? — zapytał dyrektor.

— Daj Boże co dzień tyle — roześmiał się kiper.

<sup>62</sup>*signorita* — popr. *signorina* (wł.) a. *señorita* (hiszp.): panna, kobieta niezamężna. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*szanowanie* (pot.) — skrócona forma przestarzałego obecnie ustnego zwrotu powitalnego lub pożegnającego: moje uszanowanie. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*szlus* (pot., z niem.) — koniec. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>*kiper* — zawodowy znawca win, zarządzający piwniczką z winami. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>*przesuwając wałek maszyny* — wałek maszyny do pisania z nawiniętym arkuszem papieru, umieszczony na tzw. wózku, który w trakcie pisania przesuwa się względem korpusu maszyny, tak żeby kolejne wprowadzane z klawiatury znaki linijki drukowane były z przesunięciem. [przypis edytorski]

Dyrektor uderzył go po ramieniu.

— Furda<sup>67</sup>, bracie, zobaczysz, wyciągniemy jeszcze dwa razy tyle! No, panie Grabowski, jakże tam?

— Pierwsza klasa, panie dyrektorze, siedem tysięcy dwieście czterdzieści trzy!

— Rozprijasz pan ludzi, niech pana drzwi ścisną! No, wal pan na maszynę.

Odwrócił się i podszedł do dużego stołu, na którym piętrzyły się stosy banknotów, plon dzisiejszej nocy. Kasjer Justek segregował je z niezwykłą wprawą i układał po sto sztuk.

— Powinno być trzydzieści dwa z pagórkami<sup>68</sup> — powiedział dyrektor.

— Będzie — lakonicznie potwierdził kasjer i pomyślał: „Jak teraz zupełnie inaczej się pracuje, wszystko wiadomo, żadnych kłótni... Ma łeb do interesu!”

Tymczasem Grabowski skończył i ukłoniwszy się, wyszedł. Maszynistka wyjęła z Royala<sup>69</sup> gotowy arkusz i podała dyrektorowi.

— Czy nie będę po południu potrzebna? — zapytała, spuszczać oczy.

Drucki obejrzał się, a widząc, że Justek ich nie widzi, pogładził ją po śniadej buzi.

— Nie, mała, dziękuję — powiedział z uśmiechem — tylko wykaz pani zrobi.

— No, to do widzenia, panie dyrektorze — westchnęła panna Tecia.

— Dobranoc, mała, proszę spać dobrze i niech się aniołki przyśnią!

Wspięła się na palcach i pocałowała go w usta, akurat w chwili, gdy Justek podniósł głowę.

Zaczerwieniła się i wybiegła. Przechodząc koło baru zmarszczyła brwi: „Ta mała Kazia zawsze tu czatuje. Obrzydliwa kokota<sup>70</sup>!”. Postanowiła nazajutrz wypytać portiera, czy dyrektor wyszedł z nią, czy sam.

A Drucki jeszcze nie myślał o wyjściu. Najpierw sprawdził wraz z Justkiem kasę, później pożegnał go, otworzył pancerną szafę i poukładał pieniądze.

Zdawał sobie sprawę z ryzyka, jakie wynika z trzymania w interesie tak dużej gotówki. Cała służba o tym wie, a pokusa robi złodzieja. Cóż mógł na to poradzić? Banki otwierają się dopiero o dziewiątej, nie mógł zaś od siebie wymagać wyrzekania się dwóch godzin z tej i tak niewielkiej porcji sześciogodzinnego snu, na jaki sobie pozwalał.

Później oczywiście będzie lepiej, ale teraz, na początku, musi sam wszystkiego dopilnować. Trzeba ludzi nauczyć porządku, wprowadzić z jednej strony surowy rygor, a z drugiej zachęcić wszystkich do pracy.

Schowal klucze do kieszeni i wyszedł na korytarz. Najpierw zajrzał do kuchni, gdzie kończono właśnie szorowanie blach i zmywanie naczyń, wszedł do piwnic, by zobaczyć, czy wszystko jest pozamykane, zgromił gospodynię za niezgaszenie światła w lodowni i pochwalil za zmniejszenie się liczby tłuczonych szkieł.

Pogawędził z kuchcikami, uszczypnął w policzek tęgą kawiarękę i poszedł na salę. Wentylatory już zamknięto, kurze były starte. Służba wielkimi płachtami płótna pokrywała meble.

— A ty, mała, czego tu jeszcze siedzisz? — zdziwił się, ujrawszy Kazię.

— Ja, ja... tego — zająknęła się — ja czekałam...

— Na co czekałaś?

— No, na... pana dyrektora...

— O co chodzi, słucham?

*Signorita* Fiametta milczała. Drucki doskonale wiedział, o co jej chodzi, lecz umyślnie zapytał:

— Co, może pożyczka?

— Eee... nie... panie dyrektorze.

Była bardzo ładna i miała coś pikantnego w małych ruchliwych chrapkach. A że swoje tango akrobatyczne tańczyła prawie nago, wiedział, że była wspaniale zbudowana i wygimnastykowana jak cyrkówka.

<sup>67</sup>*furda* (daw.) — błaźostka. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>*trzydzieści dwa z pagórkami* (daw. pot.) — dziś: trzydzieści dwa z górą (a. z górką), tzn. ponad trzydzieści dwa. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*Royal* — marka maszyn do pisania. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>*kokota* (daw.) — kobieta lekkich obyczajów; prostytutka. [przypis edytorski]



Jeżeli dotychczas nie zainteresował się nią, to tylko dlatego, że wszyscy mówili, że Kazia żyje z fortancerzem<sup>71</sup> Izmailowym, a przy tym sam był bardzo zajęty.

— No, więc cóż? — zagadnął.

— Eee... pan dyrektor udaje, że nie wie...

— Że czego nie wiem? — drażnił ją Drucki.

— No, że pan dyrektor mnie się podoba...

— Oooo!...

— Ja wiem, że pan dyrektor wszystkim bardzo się podoba. Przecież nie potrzebuję tego mówić. Połowa tych bab, co teraz drzwiami i oknami wałą do naszej budy, to wszystko dla pana dyrektora.

Drucki roześmiał się.

— Niech pan dyrektor nie śmieje się ze mnie, pan sam wie, że kobiety na pana lecą...

— I ty, mała, też?...

— Też.

Znowu zaśmiał się, chociaż nieco zaskoczyła go ta prosta odpowiedź.

— I niech pan nie myśli, że lecę na pańskie pieniądze — wyduła pogardliwie wargi — forsę to ja mogę mieć jeszcze więcej niż mnie potrzeba... Pan dyrektor sam widzi, że najbogatsi goście rozbijają się o mnie. Ale pan mnie się tak podoba, bo pan jest morowy<sup>72</sup> chłop i w ogóle...

— Uważaj, mała, bo mnie wbijesz w dumę. No, pogadamy jeszcze kiedy o tym, a teraz czas spać.

Dziewczyna spuściła głowę.

— Nie podobam się panu — powiedziała cicho.

— Ale cóż znowu, tylko trzeba iść spać, późno już.

Chwyciła go za rękę.

— Panie dyrektorze, niech pan do mnie pojedzie na śniadanie.

— Ale mnie czas do łóżka, moja mała.

— U mnie też jest łóżko, panie dyrektorze!... No, panie dyrektorze.

Był naprawdę nieco zmęczony i trochę go zirytowała natarczywość tej tancerki. Dlatego powiedział złośliwie:

— Że jest, to wiem, ale czy czasem nie zajęte?

Natychmiast puściła jego rękę i odwróciła głowę.

— Ot, jak... — szepnęła — cóż... wolno panu tak mi napluć w oczy... wolno... jestem taka, że ze mną tak należy...

Zrobiło mu się przykro.

— Sza, mała — powiedział — nie chciałem ci nic przykrego mówić, zażartowałem, no już, uśmiechnij się, no szybko! Dobra jest! A jeżeli mnie jutro zaprosisz na śniadanie, to chętnie przyjadę. Bardzo chętnie! Ale dziś nie mogę. No, pa, mała!

Pogładził ją po policzku i odwrócił się.

— Jaworek! — krzyknął. — Moje futro!

Od drzwi jeszcze kiwnął dłonią uśmiechniętej Kazi i wyszedł.

Mróż był tęgi, śnieg chrzęścił pod nogami. W taksówce, do której wszedł Drucki na rogu Szpitalnej, zawarczał motor i szofer stracił dobre trzy minuty, zanim wóz ruszył.

W hotelu było, jak co dzień o tej porze, jeszcze zupełnie cicho. Drucki wziął letnią kąpiel, wytarł się ostrymi ręcznikami, aż się zaróżowiła skóra, wypił kieliszek koniaku, nastawił budzik na dwunastą i położył się do łóżka.

Zasnął natychmiast. Jego zdrowy organizm działał sprawnie na rozkaz i po pięciu godzinach pokrzepiającego snu z równą łatwością gotów był do życia najbardziej intensywnego.

W ciągu godziny załatwił się z goleniem, myciem i garderobą i zadzwonił do Załkinda:

— Czy jest pan Załkind?

— A kto mówi? — zapytał kobiecy głos.

— Tu Winkler.

<sup>71</sup>fortancerz (przest.) — fordanser: płatny partner do tańca, pracujący w lokalach rozrywkowych. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>morowy (pot.) — o człowieku: godny uznania, porządny. [przypis edytorski]

Odpowiedzią na to był wielki pisk w słuchawce.

„Cóż u licha” — pomyślał Drucki.

— Kapitanie! Kapitanie! — wołał radosny głos kobiety. — To ja! Luba! Dzień dobry, drogi kapitanie! Jakże się cieszę!

— Pani Luba?! Aha! To świetnie! Dziś pani przyjechała?

— Dziś, dziś rano, drogi kapitanie! Borys, Borys! Kapitan dzwoni! Co za szczęśliwy przyjazd, kapitanie, to dla mnie dobra wróżba: pierwszy telefon, jaki odebrałam, to od pana! Właśnie od pana!... Popatrz, Borys, jakie szczęście! Myślałam, że z radości zwariuję, jak tylko dowiedziałam się, że pan przyjechał do Polski!...

W słuchawce rozległ się głos Załkinda:

— Ona mi nie chce słuchawki oddać, co pan, kapitanie, wyprawiasz z moją rodzoną żoną!

— Niech pan zaraz przyjeżdża do nas, natychmiast niech pan przyjeżdża! — krzyczała Luba.

— Teraz nie mogę, moi kochani, ale na szóstą, siódmą oczywiście przyjadę. Jakże zdrowie, pani Lubo? Pomogła Krynica<sup>73</sup>?

— Ach, co tam zdrowie, żebym ja wiedziała, że kapitan jest w Warszawie, to więcej mnie pomogłoby niż Krynica. I pana widywałam, i zdrowa byłabym, i po czterdzieści pięć złotych dziennie nie płaciłabym za pensjonat i kurację. Ale pan mnie nie pozna, ja teraz to już stara baba, dzieciata baba, ja tak zbrzydłam od naszych amerykańskich czasów, że pan mnie nie pozna...

— Nieprawda — wtrącił się znowu głos Załkinda — nic nie zbrzydła, jeszcze wyładniała...

— Oj, co ty mówisz, Borys! Niech pan jego nie słucha, bo pan będzie myślał, że ja nie zeszeptniałam, i jeszcze się rozczaruje. A pan jeszcze mego małego nie widział, mojej pociechy najśłodszej!...

Wreszcie Załkind zdobył słuchawkę i Drucki mógł mu powiedzieć, że kasa wczorajsza znowu podskoczyła, że interes idzie doskonale i że za miesiąc „Argentyna” będzie na pewno najpopularniejszym nocnym lokalem stolicy.

— Żeby pańskie słowa w złoto się zamieniły, kapitanie — odparł Żyd — a nawet nie potrzebują się zamieniać, bo co one innego, jak właśnie najczystsze złoto?

Spojrząwszy na zegarek, Drucki szybko pożegnał Załkinda i wybiegł na ulicę.

Kazał jechać na plac Unii Lubelskiej, skąd o trzy kroki było do Uniwersyteckiej Kliniki Psychiatrycznej.

— Czy zastałem pana profesora Brunickiego? — zapytał odźwiernego.

— Owszem. A pan prywatnie czy względem...

— Prywatnie.

Odźwierny zawołał chłopca i Drucki dał mu swój bilet wizytowy.

Po chwili profesor sam wyszedł na korytarz.

— Proszę — powiedział krótko.

Podali sobie ręce.

— Przyszedłem, Karolu, oddać ci mój dług i podziękować za pożyczkę. Pozwolisz? Czy może jesteś zajęty?

— Proszę cię, siadaj.

Profesor przyjrzał się mu uważnie.

— Widzę, że prędko dałeś sobie radę w Warszawie. Powodzi się nieźle?

Drucki skinął głową.

— Dziękuję ci. Dobrze. Jestem współwłaścicielem „Argentyny”.

— Argentyny? Co to takiego? Firma?

Drucki roześmiał się.

— Człowieku! Gdzie ty mieszkasz? Przecie wszystkie pisma pełne są ogłoszeń „Argentyny”, na ulicach mamy kilkanaście reklam świetlnych, tysiące plakatów!... „Argentyna” to nocny lokal, bar, dancing...

— Aha! Nie wiedziałem. Nigdy nie bywam w restauracjach, a tym bardziej w nocnych.

Drucki wzruszył ramionami.

<sup>73</sup>Krynica — ob. Krynica-Zdrój, miejscowość uzdrowiskowa w Beskidzie Sądeckim. [przypis edytorski]

— Źle robisz.

— Jak to rozumiesz? — zapytał profesor.

— Po prostu. Wyglądasz na piekielnie wyczerpanego, znużonego, zdenerwowanego do ostatnich granic. Nie można przecie żyć samą pracą. Jako psychiatra wiesz najlepiej, że rozrywki są równie konieczne...

Brunicki machnął ręką.

— To nie dla mnie.

— Dlaczego?

— Nie bawią mnie te rzeczy.

— Rozumiem cię — rzekł po chwili — rozumiem raczej twoją niechęć, twój brak zainteresowania dla zabaw ludzi przeciętnych...

— Przeciętnie szczęśliwych — poprawił profesor i gorzki uśmiech wykrzywił mu usta.

— A jednak — upierał się Drucki — jednak stanowczo cię namawiam: spróbuj. Chyba nie wątpisz, że jestem dla ciebie więcej niż życzliwy?

Profesor Brunicki spuścił głowę.

— No... tak... tak myślę?

Tyle było męczarni w jego głosie i postaci, że Drucki uczył w piersiach niemal fizyczny ból.

— Karolu! — zawołał. — Karolu! Kochany przyjacielu! Och, żebym umiał wyrwać z ciebie to straszne cierpienie! Pół życia oddałbym za to!

Profesor chwycił go za rękę.

— Tak, tak i ja tak myślę — powiedział z błyskiem w oczach — i ja myślę, że powinieneś mi dopomóc!

— Gdybym umiał! Gdybym mógł!

— Możesz.

— Ja? — zdziwił się Drucki.

— Możesz, Bohdanie, możesz i powinieneś mnie pomóc.

— Ale w jaki sposób?

Profesor zniżył głos:

— Jest tylko jedno lekarstwo na moją tragedię: odpowiedź, odpowiedź nauki, potwierdzająca odpowiedź. Dla zdobycia jej gotów jestem na wszystko... Rozumiesz? Na wszystko, nie wyłączając nawet... zbrodni!

— Jak to?

— Nie dam ci jeszcze teraz żadnych bliższych wyjaśnień. Chcę tylko wiedzieć, czy byłbyś gotów na ryzyko...

Drucki ze zdumieniem patrzył mu w oczy.

— No, słowem, czy potrafiłbyś popełnić...

— Zbrodnię?

— Więc tak — wyszeptał profesor — zbrodnię.

Drucki włożył ręce w kieszenie spodni i wstał. Na jego czole nabrzmiały grube sznury żył. Brwi się ściągnęły.

— Milczysz? — zasyczał profesor. — Widzisz, milczysz, tak wygląda twoje „pół życia”... Cha... cha... cha... Potrafisz wciąż ocierać się o kodeks karny, ale teraz...

— Dość! — przerwał Drucki. — Przestań. Masz moją rękę.

Profesor łapczywie uchwycił obu rękoma dłoń Druckiego.

— Słowo? — zapytał cicho.

— Słowo! Zatem mów.

— Jeszcze nie teraz — powiedział Brunicki — lecz wkrótce cię będę potrzebował. Nie pytaj o nic.

— Jak chcesz. Wiedz tylko, że nie cofnę się. Masz mnie do swojej dyspozycji.

Zadzwonił telefon.

— Hallo — odezwał się profesor.

— ...

— Aha, dziękuję panu...

— ...

— Nie, mnie to nie jest potrzebne. Ale niech pan zadzwoni do doktora... zaraz, mam tu gdzieś jego kartę wizytową... a, jest. Niech pan zadzwoni do doktora Władysława Czuchnowskiego. Telefon sto osiemdziesiąt siedem dwadzieścia siedem. Będzie panu wdzięczny.

— ...

— Nie, zresztą nie wiem. Niech pan po prostu powie, że otrzymaliśmy informacje, że ten... no, jakże... Horn umarł.

— ...

— Dobrze. A jeżeli chce wiadomości bardziej szczegółowych, niech się sam do nich zwróci. Do widzenia. Dziękuję panu... Zaraz, zaraz... niech pan jeszcze wyjrzy przez okno, czy już jest mój samochód przed kliniką?... Jest? No to dziękuję panu. Do widzenia.

Położył słuchawkę i przetaił czoło dłonią.

— Rzeczywiście, jestem bardzo wyczerpany. Może i masz rację, że trzeba mi jakichś nowych wrażeń.

Drucki wziął go pod rękę.

— Posłuchaj mnie, Karolu. Dobrze ci radzę. Przyjdź kiedy do mojej „Argentyny”.

— Wystraszę ci publiczność swoją miną — uśmiechnął się profesor.

— Niech cię to nie martwi.

— Może i wybiorę się kiedykolwiek.

— No, a teraz spieszysz do domu?

— Tak...

Zawahał się i nie patrząc na Druckiego, zapytał:

— Może byś zjadł ze mną obiad?

— Ależ z przyjemnością. Jeżeli nie zrobi ci to kłopotu, Karolu.

— Bynajmniej. Zatem chodźmy.

Drucki widział wewnętrzną rozterkę profesora i gwałt, jaki ten musiał sobie zadać, by zdobyć się na to zaproszenie. Udawał jednak, że niczego nie spostrzegł.

Przed kliniką stała wielka, czarna limuzyna.

— Cóż za wspaniały wóz! — zawołał Drucki i nagle wydało mu się, że już kiedyś to auto widział.

— Podoba ci się? Owszem... To mój najświeższy nabytek.

Szofer, tęgi drab w niedźwiedzim futrze, wyskoczył i otworzył przed nimi drzwiczki. Profesor zwrócił się do niego:

— No, jakże motor?

— Jak dotychczas, proszę pana, pracuje doskonale, ale po trzech dniach trudno zmiarkować<sup>74</sup>.

— Kupiłem okazyjnie, używany, ale jeszcze w bardzo dobrym stanie — powiedział Brunicki, sadwiąc się obok Bohdana. — Znasz tę markę?

— Reenclar?

— Tak, ośmiocylindrowy.

— Dobry wóz, ale kosztowny w eksploatacji — zaopiniował Drucki. — Mój znajomy, pewien brazylijski plantator kawy, który zmieniał wozy jak rękawiczki, był zdania, że Reenclar jest wręcz bezkonkurencyjny.

Rzeczywiście auto pomimo bardzo silnego mrozu ruszyło z miejsca lekko i cicho i szło jak lalka. W niespełna kwadrans byli na miejscu.

Willa profesora Brunickiego teraz, przy dziennym świetle, zdała się jeszcze większa niż wówczas w nocy.

Gospodarz wyjął klucze (furtka widocznie nawet w ciągu dnia była zamykana) i po chwili znaleźli się w przedpokoju. Na ich widok z krzesła porwał się służący, ów brodac o ponurej twarzy.

— Mamy gościa na obiedzie — odezwał się profesor — zadzwoń do pana doktora i możesz podawać.

Znaleźli się w obszernym hallu, znanym już Druckiemu z poprzedniej wizyty.

Wciąż te koty!

<sup>74</sup>zmiarkować — zorientować się. [przypis edytorski]

Niemal na każdym meblu było ich pełno. Czarne, bure, białe, angory, syjamskie, syberyjskie — wszystkie ogromne, leniwe, spasiose.

Brunicki przeprosił gościa i znikł za drzwiami osłoniętymi grubą kotarą.

Zaczynało się ściemniać. Drucki wziął do ręki książkę, leżącą na stole, zaledwie do połowy rozciętą<sup>75</sup>, i chciał ulokować się w fotelu przy oknie. W tym celu zamierzał spędzić zeń wielkiego, szarego kota. Zwierzę jednak ani się ruszyło i już miał je trzepnąć książką po łbie, gdy wrócił profesor.

— Chodźmy do jadalni — wskazał Druckiemu białe drzwi na lewo. — Co to, przeglądając tę pracę? Bardzo zajmująca, wprost rewelacyjna... Obserwacje Scheringa<sup>76</sup> nad wpływem hormonów zwierzęcych na rozwój roślin.

Z hallu przechodziło się przez gabinet, utrzymany w stylu gotyckim, bibliotekę, od wysokiego sufitu aż do podłogi pokrytą półkami pełnymi książek, i wchodziło się do małej białej jadalni.

W środku okrągły stół z trzema nakryciami, pod ścianą niski kredens i kilka krzesel.

— Daruj Karolu — odezwał się Drucki — ale dalibóg nie mam pojęcia o tych rzeczach. No, wiem, że hormony to jest wydzielina gruczołów... Hm, wyobrażam to sobie jako... witaminy organizmu ludzkiego czy zwierzęcego...

Drzwi naprzeciw uchyliły się cicho i wszedł doktor Kunoki.

Uprzejmie przywitał się z Druckim:

— Jakie skutki mojej operacji? — zapytał swoim melodyjnym głosem. — Zagoiło się prawidłowo?

— Dziękuję, panie doktorze, zagoiło się doskonale.

Brodacz zjawił się z tacą. Przed Brunickim i gościem postawił miedziane rondelki z jakimś zapiekany mięsem, przed Japończykiem kilka małych salatek z jarzynami.

— Pan jest jaroszem, doktorze? — zainteresował się Drucki.

Doktor Kunoki uśmiechnął się.

— Za dużo miałem do czynienia z mięsem, bym je lubił jadać.

— Właśnie — chrząknął profesor — mówiliśmy z panem... Winklerem o hormonach z powodu obserwacji Scheringa.

— Ach, więc pan się tym zajmuje? — zainteresował się doktor Kunoki.

— Niestety, doktorze, jestem kompletnym laikiem, kieruję się w tych kwestiach, jak w lesie, wyłącznie intuicją.

— Nie umniejszaj roli intuicji — odezwał się profesor — odgrywa ona w nauce olbrzymią i twórczą, najbardziej twórczą rolę.

— Wie doktor — zwrócił się do Japończyka — że pan Winkler przed chwilą powiedział, iż wyobraża sobie witaminy jako hormony roślinne. Ciekawe, co?

— Nie maltretujcie mnie panowie — roześmiał się Drucki — odrobinę łaski dla profana<sup>77</sup>!

Doktor Kunoki podniósł oczy na sufit i wycierając końce palców o serwetkę, powiedział:

— Profany?! Jakże wiele zawdzięczałyby im mądrość oficjalnej nauki, gdyby zdobyła się na rozsądek!

— To brzmi jak paradoks w ustach uczonego — zauważył Drucki.

— Nie, panie — pokijał głową doktor Kunoki — mówię poważnie. Oficjalna nauka przez całe wieki zamykała sobie pogardą dostęp do wielkich prawd, tkwiących często w najciemniejszych na pozór zabobonach różnych ludów.

— Chyba pan doktor nie chce powiedzieć — zdziwił się gość — że teraz nauka „nawraca się” na te zabobony?

<sup>75</sup>książkę (...) zaledwie do połowy rozciętą — dawniej książki wydawano w postaci zszytych razem obustronnie zadrukowanych arkuszy papieru, kilkakrotnie poskładanych na pół w mniejszy format, a czytelnicy samodzielnie rozcinali je na kartki w miejscach zgięć, zwykle korzystając w tym celu z noża do papieru; obecnie brzęgi książek są przycinane maszynowo przed opuszczeniem drukarni. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>Schering — być może odniesienie do prac badawczych niemieckiego koncernu farmaceutycznego Schering AG, założonego przez aptekarza Ernsta Christiana Friedricha Scheringa (1824–1889); koncern w 1928 wprowadził na rynek pierwszy preparat hormonalny. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>profan — nieznający się na jakiejś nauce lub sztuce, niewtajemniczony, laik; dziś poprawna neutralna forma lm: profani. [przypis edytorski]

— Nie nawraca się — powiedział profesor — lecz częstokroć spostrzega ich słuszność. Nie zmienia to faktu, że niektóre są wręcz absurdalne.

— Mądry Wolter<sup>78</sup> — odezwał się doktor, nakładając sobie maleńką porcyjkę bruksełki — podrywał z Murzynów, którzy zjadają surową wątrobę zabitego lwa, sądząc, że w ten sposób podnoszą swoją odwagę. Tymczasem okazuje się, że wątroba produkuje niezwykle czynny hormon, który powoduje niezmiernie szybki wzrost czerwonych ciałek krwi.

— A czy to wpływa na zwiększenie odwagi? — zapytał Drucki.

— Pośrednio tak. W medycynie już dziś hormon wątroby skutecznie zwalcza najostrzejszą anemię.

— Zdumiewające! W jaki sposób dzicy na to wpadli?

Profesor podniósł brwi, a doktor rozłożył ręce.

— To już dziedzina intuicji, przypadku lub też czynników w połączeniu z doświadczeniem wielu setek pokoleń.

Brodacz podał zupę.

— Takich zabobonów jest więcej — ciągnął Japończyk — na przykład czarownicy niektórych plemion słowiańskich i fińskich leczyli liszaje i brodawki tak zwanymi „zamiwianiami”, a dziś sugestia jest w tych wypadkach powszechnie stosowana przez lekarzy i z równym skutkiem. Na południu Rosji chłopci, a w Patagonii<sup>79</sup> Indianie leczą różne dolegliwości, dając chorym surowe nerki lub śledzionę bydlęcą, czyli organy zawierające swoiste hormony, używane już teraz przez oficjalne leczenie.

— Fenomenalne! — zdumiewał się Drucki.

— Mój drogi — dodał profesor — a czyż nie słyszałeś na przykład, że i nasz lud od wieków za najwালniejszego<sup>80</sup> środka na osłabienie uważa srom zajęczy lub bobrowy?

— Owszem, nieraz obijało mi się o uszy, że wiejscy znachorzy skupują to od kłusowników.

— Otóż środek ten jest prymitywem szczepień stosowanych przez Woronowa<sup>81</sup>, który okólną drogą doszedł do starej prawdy, uważanej za przesąd. Jak tu, tak i tam chodzi o wprowadzenie do organizmu hormonów wydzielanych przez gruczoły seksualne.

— Zatem — zawyrokował Drucki — nauka powinna poświęcić więcej uwagi przesądom ludowym i zbadać ich wartość.

Profesor Brunicki uśmiechnął się blado i spojrzął znacząco na doktora.

Druckiego nagle uderzyła myśl. „A zapatrzenie?” Już chciał to powtórzyć głośno, gdy wstrzymało go niejasne uczucie, że należy przemilczeć.

— Są jednak, jak słusznie powiedział profesor — odezwał się doktor Kunoki — zabobony wręcz niedorzeczne. Takie nawet, które zalecają środki wręcz przeciwnie działające, niż się pragnie. Na przykład w wiekach średnich w Lombardii<sup>82</sup> znachorki wymyśliły napój miłosny, którego recepta rozpowszechniła się wkrótce w całej Europie, a nawet zawleczona została do Ameryki. Kobieta, dając ten eliksir do wypicia młodzieńcowi, rzekomo miała w nim wzbudzić gorącą miłość.

— Jakieś zioła?...

— Nie. Napój składał się z wody źródlanej, czerpanej z różnymi, oczywiście, zakłęciami i z krwi menorrhagii<sup>83</sup>.

— Tam do diabła! — zaklął Drucki — tym chyba można na tamten świat wyprawić!

— Nie — zaprzeczył Japończyk — ale spowodować pewne zaburzenia można. Godne zaś uwagi jest to, że krew ta właśnie zawiera w sobie ogromne ilości hormonu zwanego

<sup>78</sup>Wolter (pol.) a. *Voltaire* (fr.), właśc. *François-Marie Arouet* (1694–1778) — czołowy francuski pisarz, filozof i publicysta epoki oświecenia, znany z walki o wolność słowa i wyznania. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>Patagonia — region geograficzny obejmujący południowy kraniec Ameryki Południowej. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>walny — mający decydujące znaczenie. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>Woronow, *Siergiej* (1866–1951) — francuski chirurg rosyjskiego pochodzenia, znany z opracowania techniki chirurgicznego przeszczepiania tkanki jąder małpy do jąder mężczyzny, co miało służyć jako terapia zapobiegająca starzeniu się; popularność terapii spowodowała odniesienia do niej w kulturze masowej w latach 20. XX w. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>Lombardia — kraina hist. w płn. Włoszech. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>menorrhagia (med.) — bardzo obfite krwawienie miesięczkowe. [przypis edytorski]

folikulina<sup>84</sup>. Otóż hormon ten aczkolwiek u kobiety wywołuje gwałtowny popęd seksualny, na mężczyznę działa wręcz odwrotnie. Powoduje mianowicie zanik gruczołów rozrodczych, a nawet występowanie drugorzędnych cech płciowych kobiecych.

— Oczywiście — dodał profesor Brunicki — tylko przy zastrzykach folikuliny osobnikom męskim dają się skonstatować te objawy. Czy podana z pokarmem folikulina działa równie silnie, dotychczas nie stwierdzono.

— Tak — kiwnął głową doktor Kunoki — ale folikulina nie podlega działaniu zasad i kwasów, zatem możemy przypuszczać, że w żołądku ani w jelitach się nie rozkłada. Co więcej, należąc do grupy wyższych alkoholi, zostaje szybko wessana do krwi.

— No dobrze — roześmiał się Drucki — zatem stosując ten hormon, można bez operacji produkować eunuchów<sup>85</sup>?

— Tak.

— Fenomenalne!

— Doświadczenia wykazały, że u niektórych gatunków zwierząt, jak na przykład u kogutów, już po tygodniowym stosowaniu folikuliny zaczyna zanikać grzebień, odpowiednie organy, zdolność piania, a rodzą się natomiast instynkty kurze, jak chęć wysiadywania jaj.

— A u ludzi? — zapytał Drucki.

Japończyk spojrział na profesora i wzruszył ramionami.

— Na ludziach nie wolno dokonywać doświadczeń... Prawo zabrania.

— Jednakże...

— No tak, niektórzy lekarze próbują po cichu w swoich klinikach i szpitalach mniej niebezpiecznych dla zdrowia pacjenta eksperymentów, lecz zawsze ryzykują, że znajdą się za kratkami.

Profesor Brunicki oparł głowę na rękę i powiedział:

— Ludzie żądają od medycyny cudów, a swoimi mądrymi ustawodawstwami uniemożliwiają jej studia nad organizmem człowieka. Nie tak dawno przecie doktor Francksham został skazany na dziesięć lat więzienia za to, że w swojej klinice w Melbourne, mając pacjenta dzikiego krajowca, w dodatku bandytę, ośmielił się robić na nim doświadczenia naukowe...

Doktor Kunoki zaśmiał się ironicznie i dodał:

— I to doświadczenia niezwyklej doniosłości!

— Skoro zagrażały życiu pacjenta... — odezwał się Drucki.

— Pacjenta? Pacjent został starannie wyleczony z krzywd, jakie mu zrobił zbrodniczy lekarz, po czym stanął przed sądem za bandytyzm i w trzy dni go powieszono. Zresztą nie tylko człowieka tknąć nie wolno. Raz po raz jakieś idiotyczne stowarzyszenia podnoszą gwałt w obronie szczurów, królików i świnek morskich. Głupota jest wieczna.

— W obu narodach, do których należę — z niezmiennym uśmiechem mówił doktor Kunoki — tak w japońskim, jak i polskim, tradycja bohaterstwa każe poświęcać często życie tysięcy żołnierzy dla dobra ojczyzny. Ale gdy chodzi o dobro całej ludzkości, o zdrowie i życie wielu pokoleń, nie wolno nauce zażądać od kilku czy kilkunastu zaledwie jednostek bohaterstwa, poddania się doświadczeniom. W innych krajach jest zresztą to samo...

Drucki potrząsnął głową.

— Niezwykle skomplikowane zagadnienie. Nie podjąłbym się rozstrzygnięcia w tę czy inną stronę.

Kawę pili w bibliotece, gdzie było o tyle przyjemniej niż w hallu, że kotów tu widocznie nie wpuszczano. Rozmowa toczyła się dalej około kwestii naukowych.

Zbliżała się już szósta, gdy Drucki wstał.

— Zanudzałem panów swoją ciekawością ignoranta. Darujcie, ale to jest piekielnie ciekawe.

— Miło nam będzie, jeżeli pan zechce częściej nas odwiedzić — zaczął Japończyk, podając gościowi rękę na pożegnanie.

<sup>84</sup>folikulina (daw. med.) — estron, żeński sterydowy hormon płciowy, odkryty jako pierwszy w 1929; wydzielany przez pęcherzyk Graafa; stosowany w leczeniu. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>eunuch — wykastrowany, pozbawiony jąder mężczyzna lub chłopiec. [przypis edytorski]



Nie dokończył jednak. Gdzieś w jednym z dalszych pokoiów rozległ się cichy dzwonek. Doktor szybko spojrział na zegarek i syknął. Profesor zbladł, powiedział coś po łacinie i wzięwszy Bohdana pod rękę, odezwał się:

— No, doktor jest zajęty, nie przeszkadzajmy mu. Czy pozwolisz, że cię odprowadzę kawalek?

— Ale proszę cię, Karolu.

Pożegnali się na najbliższym postoju taksówek i Drucki pojechał ma Nowolipie.

Mieszkanie Załkinda wyglądało dziś jak kwiaciarnia: ogromne kosze chryzantem, wielkie pęki purpurowych róż, wspaniałe orchidee, istne krzaki białego bzu — i stojąca nieruchomo w środku salonu Luba, wiotka, piękna, egzotyczna, pachnąca...

Szedł ku niej i widział tylko jej wpółotwarte oczy i lekko drgające usta z czarnym meszkiem na górnej wardze...

Leniwie wyciągnęła do niego obie ręce i nic nie powiedziała.

— Luba! Jakaż pani jest cudna! — wybuchnął. — To jest nieludzkie być aż tak śliczną! Widzę, że cała Warszawa ogołociła się z kwiatów dla pani, ale nie ma tak pięknych na świecie, jakie ja pragnąłbym pani dać!

Teraz dopiero zdobyła się na uśmiech.

— Kapitanie...

Jej głos drgał wzruszeniem.

— Kapitanie... Jakże mi dobrze, że widzę pana i że... pan mnie widzi... Kwiaty to od Borysa, zawsze mnie tak psuje na powitanie...

Teraz dopiero Drucki zauważył Załkinda, siedzącego w fotelu i wpatzonego w żonę jak w słońce.

Mocno podał mu rękę, mówiąc:

— Jack! Słuchaj pan! Nigdy nie zostawiaj mnie sam na sam z twoją kobietą!

Borys roześmiał się wesoło:

— Nie boję się, kapitanie, nie nastraszy mnie pan sobą.

— Do diabła, czyż jestem takim starym koniem?!

— Starym... przyjacielem — podchwycił Załkind.

— Ależ ona wypiękniała! Pani Lubo! To tak ma wyglądać poważna matka dzieciom? — wołał żartobliwie. — Nie, stanowczo Jack za bardzo mi ufa!

— Za bardzo i mnie — roześmiała się Luba.

— No, no! Moi państwo! — protestował z oburzoną miną mąż.

— A gdzież wasz następca tronu?

— Już śpi — rozculiła się Luba — bardzo zmęczony był, biedactwo, ale muszę go kapitanowi pokazać. Chodźmy, tylko na palcach.

Wzięła Druckiego za rękę i wszyscy troje przeszli do dziecięcego pokoju. W białym łóżeczku spał snem sprawiedliwego szczupły, czarny jak smoła chłopak.

— Ładny? — zapytała matka.

— Bardzo — potwierdził Drucki.

— A podobny i do mnie, i do Luby, prawda? — odezwał się Załkind.

Bohdan chciał się przyjrzeć lepiej, więc Luba zapaliła jeszcze jedną lampę.

— Tak czoło, włosy i nosek ma po matce, a usta i ował twarzy po ojcu — zaopiniował — uderzające podobieństwo.

— A z usposobienia — zachwycił się Załkind — to jestem wykapany ja. Aż czasem śmiech bierze.

Pod działaniem zbyt blisko trzymanej lampy długie rzęsy drgnęły i chłopak nagle otworzył oczy.

Były to ogromne niebieskie oczy o fenomenalnych, ciemnozłotych źrenicach.

— Śpij, maleńki, śpij — pogłaskał go ojciec i zgasił lampę. — Idźcie, moi drodzy, on zaraz zaśnie, skarb mój najdroższy.

Drucki przetarł czoło i siedł za Lubą jak nieprzytomny. W głowie wirowały mu myśli.

Gdy znaleźli się w salonie, uważnie spojrzął na Lubę. Błady uśmiech otaczał jej usta.

— Pani Lubo... co to znaczy, co to może znaczyć?

Położyła mu obie dłonie na piersiach i powiedziała szeptem:

— Ma twoje oczy, kapitanie, ma najpiękniejsze oczy na świecie.

— Boże drogi!  
 — Czy żałujesz ich jemu, kapitanie?...

— Ale jak? Jakim cudem? Czyżby jakieś przekleństwo wisiało nade mną?! Skąd to wasze dziecko ma te oczy?!

Luba złożyła ręce.  
 — Ze mnie, ze mnie, John...  
 — Ależ to jakieś czary!  
 — Czary — skinęła głową. — Po cóż rzuciłeś, kapitanie, czary na mnie, wówczas na pokładzie, kiedy drżałam jak liść, gdy twoje ręce ścisnęły aż do straszego bólu przeguby moich...  
 — Szaleństwo!  
 — Rzuciłeś czary — mówiła coraz prędzej — potężne czary, kapitanie, wypilałam wówczas twoje oczy, twoje najdziwniejsze, najpiękniejsze oczy... Tak, kapitanie, błagałam cię wówczas o ciebie całego...  
 — Cicho! — syknął Drucki.  
 — Borys wie...  
 — Jak to wie? Czy spostrzegł to podobieństwo?  
 — Nie. Ale wie, że wówczas kochałam ciebie, kapitanie.  
 Drucki przygryzł wargę.  
 — Nie wiedziałam wtedy, że już noszę pod sercem syna Borysa i że dam mu twoje oczy, kapitanie.  
 — Ale jak? Jak?! Jakim sposobem?!  
 — Ludzie proszą powiedzieliby, że „zapatrzyłam się” na te oczy.  
 — Więc ty w to wierzysz? Wierzysz! Boże! Co za szczęście! — zawołał nagle — mam teraz niezbity dowód dla Karola! Luba! Wiwat!

Stała zdumiona, nie rozumiejąc powodu jego radości. Z sąsiedniego pokoju rozległy się kroki Borysa.  
 — Cicho, Luba, kiedyś to pani wytłumaczę. No, co — zwrócił się do wchodzącego Załkinda — syn śpi?  
 — Śpi, moja pociecha. Luba, a może byś tak nam dała co do przegryzienia?  
 Drucki był w świetnym humorze. Popijając herbatę, opowiadał im, jak idzie „Argentyna”, jak stale powiększa się frekwencja i kasa i jak jest zadowolony, że interes stał się złotym jabłkiem.  
 — Naprawdę moglibyście przyjść kiedy, ręczę, że zabawicie się wesoło — namawiał.  
 — Nie, kapitanie — potrząsnęła głową Borys — ja nie lubię obnosić po lokalach swego kalectwa. Ale jeżeli pan chce zabrać Lubę, to i owszem. Niech się rozerwie.  
 Drucki zrobił gest oburzenia.  
 — To już skandal! Człowieku, znęcasz się nade mną! Jak można wymyślać tak wyrafinowane tortury. To tak, jakbyś pan pijakowi dał butelkę najlepszego koniaku i powiedział: „Wiem, że mi go nie wypijesz, ale możesz go nosić w kieszeni!”  
 Śmieli się wszyscy, później Luba opowiadała, jakie miała powodzenie w Rabce, a następnie w Krynicy, wreszcie Drucki wstał.  
 — No, czas mi do pracy! Jadę.  
 Nie zatrzymywali go, wiedząc, że kapitan Winkler tego nie lubi.  
 — Dziś nie pojedę z panem — powiedziała na pożegnanie Luba — ale innym razem nie uda się kapitanowi mnie tak łatwo pozbyć.  
 — To trudno! Już jakoś przecierpię.  
 Wybiegł na ulicę i znowu z całą wyrazistością uprzytomnił sobie, że nareszcie zdobył możliwość udowodnienia Brunickiemu, że Piotr słusznie nosi nazwisko Brunickich!  
 Zatrzymał się i zdjawszy kapelusz z głowy, podrzucił go w górę.  
 — Hurra! — krzyknął. — Hurra!  
 Przechodnie czym prędzej schodzili mu z drogi.  
 — Hurra!...

Na rogu stała taksówka. Drucki ostatni raz podrzucił kapelusz i wpakowawszy go zawiadaczko na bakier, zapytał szofera:  
 — Wolny?...

Szofer spojrział nań nieufnie i odwrócił głowę.  
— Wolny, ale motor zepsuty — odezwał się po chwili wahania.  
— Bierzesz mnie pan za wariata? Nie bój się pan! Już mi lepiej! A tu oliwa do motoru.  
— Wyjął kilka drobnych banknotów i wetknął w rękę taksjarszowi. — Jazda, panie gazda!  
Dobry dziś mam dzień.  
Usiadł i zatrzasnął drzwiczki.  
— Do „Argentyny”, Hortensja.  
Samochód ruszył.

## ROZDZIAŁ 6

Sala sądu okręgowego pełna była po brzegi. Publiczność szczerze zajęła ławki, przy stole prasy brakło miejsca i niektórzy sprawozdawcy, stojąc, robili notatki.

Za stołem sędziowskim ustawiono dużo krzeseł, zajętych teraz przez wielu sędziów niebiorących udziału w rozprawie, członków prokuratury, wyższych urzędników z Ministerstwa Sprawiedliwości i wybitnych prawników.

Dziś z miejsca oskarżyciela publicznego po raz pierwszy przemawiać miała kobieta — podprokurator Alicja Horn.

Sensacja ta była spotęgowana samym faktem, że sprawa Zygmunta Orczyńskiego po trzech dniach rozprawy przedstawiała się równie zagadkowo, jak i w samym początku śledztwa. Przewód sądowy nie zdołał ustalić ani winy oskarżonego, ani jego niewinności i wyrok równie dobrze mógł opiewać na długoterminowe, może nawet dożywotnie więzienie, jak i uwolnić od kary tego przystojnego, o tragicznym wyrazie twarzy, młodego człowieka.

Przewodniczący rozprawie prezes Turczyński odezwał się krótko:

— Głos ma prokurator.

Alicja Horn wstała. Salę zaległa zupełna cisza. Ogarnęła wzrokiem gęsto stłoczone głowy, setki par oczu wpatrzonych w nią, rozciekawionych, chciwych, natrętnych.

Nie miała jednak tremy.

Gdy odezwała się, głos jej zabrzmiał czysto i metalicznie:

— Wysoki Sądzie! Jeden z panów obrońców nie bez słuszności zaznaczył, że brak w tej sprawie jakichkolwiek dowodów winy oskarżonego Orczyńskiego. Istotnie nie mamy dowodów materialnych, nie mamy też naocznych świadków zbrodni. Jedynym dowodem jest psychika oskarżonego, jedynym świadkiem strasznego czynu jest on sam. Świadek ten odmawia nam zeznań, które by były dostatecznie wiarygodne. Musimy zatem wydobyć je wbrew jego woli. Przewód sądowy dał nam możliwość poznania tego człowieka. Wiemy, że w życiu był zawsze zimny. wyrachowany, że głównym motorem jego działań był pieniądź. I nagle przed czterema miesiącami zmienia się nie do poznania. Dlaczego?... Dlaczego, spotkawszy na swej drodze naiwną, ubogą dziewczynę, dziewczynę nieodznaczającą się ani urodą, ani inteligencją, oświadcza się jej i robi wszystko, by ślub przyspieszyć? Nie z miłości przecie, bo wiemy, że ani na chwilę nie zerwał z kochanką. Nie z miłości, bo sam w dniu ślubu kpi z „sentymentalnego osła Borkiewicza” w rozmowie z Puszkowskim. Nie z miłości, bo matka zamordowanej miała przecie jej list pełen rozpacz, list, który w niewykryty sposób zaginął właśnie po wizycie Orczyńskiego w domu teściowej. Oczywiście mógł nie wiedzieć o milionowym spadku amerykańskim, lecz tylko mógł! A to jeszcze nie znaczy, że nie wiedział! Po cóż upierał się przy sporządzeniu intercyzy<sup>86</sup> ślubnej? Jeżeli chodziło mu o zabezpieczenie żony na wypadek własnej śmierci, wystarczyłby zwykły testament. Lecz Orczyński, człowiek zamożny, żąda intercyzy, która gwarantowałaby mu dziedziczenie majątku żony, nieposiadającej jeszcze wówczas nic poza drobną hipoteką<sup>87</sup> i skromniutką biżuterią. Oskarżony Orczyński nie należy do ludzi, którzy nie wiedzą, co i po co robią. Wysoki Sądzie! Niepodobna sobie wytłumaczyć też pobudek, dla jakich

<sup>86</sup>intercyza — pisemna umowa zawierana przed ślubem, ustalająca sprawy majątkowe w małżeństwie. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>hipoteka — tu: zapis w publicznej księdze wieczystej, w której spisano prawa właściciela nieruchomości oraz roszczenia pieniężne jego ewentualnych wierzycieli; w tym przypadku domyślnie: prawo własności pewnej nieruchomości, poświadczone urzędowo. [przypis edytorski]

ten człowiek, nienawidzący manifestowania czułości, człowiek nieustraszony życia towarzyskiego nagle po ślubie zaczął demonstracyjnie obnosić się ze swymi uczuciami do żony, składać wraz z nią wizyty u najdalszych znajomych i obsypywać żonę, niekochaną żonę, podarkami, podczas gdy nawet dla kochanki zdobywał się tylko na jeden prezent w roku! W aktach sprawy znajduje się list oskarżonego do dyrektora firmy, której był prokurentem. W liście tym Orczyński, usprawiedliwiając się z tego, że tak długo załatwia umowę na dostawy, pisze: „...nie umiem nic robić na aby zbyć. Mój system polega na dokładnym zbadaniu terenu, poznaniu ludzi, ustawieniu figurek na szachownicy, na drobiazgowym opracowaniu planu i na wyczekaniu najodpowiedniejszego momentu. Wówczas dopiero działam. Dzięki temu nawet w drobnych transakcjach zawsze wygrywam, a tu przecie chodzi o przeszło trzysta tysięcy. Gruby kusz<sup>88</sup>, wart miesiąca solidnej roboty”. Wysoki Sądzie, tutaj kusz wynosił półtora miliona złotych i wart był czterech miesięcy solidnej roboty!...

Przez ławy publiczności przeszedł głośny szmer. Adwokaci pochylili do siebie głowy i coś szeptali.

Podprokurator Alicja Horn zrobiła pauzę i zaczęła znowu.

— A robota to była precyzyjna. Oskarżony zmienił mieszkanie nie dla własnej profesji, lecz za radą lekarza. Opowiadał wszystkim, że lekarz stanowczo radził jego żonie przenieść się na przedmieście, gdzie jej wątle płuca nie będą narażone na wchłanianie takiej ilości kurzu. Prawda. Doktor Baranowski potwierdził przed sądem tę swoją radę, lecz stanowczo utrzymywał, że nie było potrzeby wynoszenia się na przedmieście i że tylko na pytanie Orczyńskiego powiedział: „Owszem, radziłbym, jeżeli to państwu różnicy nie zrobi”. I oto oskarżony Orczyński, nieznoszący jazdy tramwajami, a żalujący sobie na taksówki, sprzedaje swoje mieszkanie na Senatorskiej i kupuje inne aż na Wierzbnie. On, niecierpiący chodzenia po schodach, dla niekochanej żony, dla drobnego niedomagania jej płuc decyduje się na mieszkanie aż na piątym piętrze! Kiedy właściciel kamienicy proponuje mu także mieszkanie na drugim, Orczyński upiera się przy piątym. „Czystsze powietrze”, powiada. Zamieszkuje w niewykończonym domu, naraża się na wiele, bardzo wiele niewygód. Zapytuję, cóż go tam pociąga?...

Zniżyła głos i skandując każde słowo, odpowiedziała na swoje pytanie:

— Pociąga go czarna przepaść windy... Pociągają go otwarte, niczym nieosłonięte paszcze framug wiodących do pustej czterdziestometrowej studni, zakończonej betonowym dnem! Jeżeli ktoś znajdzie się na progu czarnego otworu na piątym piętrze, wystarczy lekko go pchnąć! Nie ma dlań ratunku! Napelni czarną studnię rozpaczliwym krzykiem i runie w dół, a na twardym dnie betonu legnie krwawą miazgą! Oskarżony słyszał ten krzyk, oskarżony widział tę miazgę już wtedy, gdy klęczał na stopniach ołtarza!

Podniosła rękę do góry i zawołała przejmującym głosem:

— Wsłuchiwał się w jej głos, przysięgający mu miłość i głos ten zmieniał się w jego uszach w krzyk śmierci, patrzył na biel ślubnej sukni i widział krew! Człowieku! Tyś już wtedy był mordercą!...

Salę zalegała śmiertelna cisza.

Oskarżony zerwał się z ławy, na twarzy białej jak papier wystąpiły krople potu. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, wyciągnął ręce, zatoczył się i upadł na ziemię...

Zemdlał.

Gdzieś z kąta rozległ się spazmatyczny śmiech, Ktoś krzyknął: „Boże!...” Kilka osób zbliżyło się do zemdlonego, skropiono mu twarz wodą.

— Zarządzam przerwę piętnastominutową — zabrzmiał drżący głos przewodniczącego.

Sąd wyszedł. Sala opustoszała. Oskarżonego wyniesiono do pokoju dla podsądnych, dokąd też zaraz udali się adwokaci.

Pozostała tylko Alicja Horn. Coś notowała na wąskim pasku papieru. Mechanicznie wstała, gdy ostro zabrzmiał dzwonek.

Sędziowie zajęli swoje miejsca, wprowadzono oskarżonego. Wciąż był blady, lecz z twarzy jego znikła już maska bólu. Usta zaciśnięte były ironicznym uśmiechem.

<sup>88</sup>kusz (reg., z ros.) — znaczna suma pieniędzy, kawał grosza; daw.: stawka w grze. [przypis edytorski]

— Wysoki Sądzie! — zabrzmiał znów metaliczny głos podprokuratora Alicji Horn. — Przewód sądowy wykazał, że oskarżony Orczyński wprawdzie nigdy nie był karany, lecz zamieszany był wielokrotnie w sprawy wręcz brudne. Nadto szereg małych i nikczemnych podłostek, z których zawsze umiał się wykręcić, ukazuje nam jego spryt, precyzyjny chłód, spryt o zawsze rozległej maszynierii.

Mówiła dalej o zeznaniach świadków, o protokole wizji lokalnej, o sposobie reagowania oskarżonego w różnych wypadkach i w danym.

Głos jej napęlił metalicznym drganiem salę. Wszystkie oczy przyłgnęły wzrokiem do jej pięknych, nieprawdopodobnie bogatych rysunkiem ust, z których padały słowa bezlitosne, ciężkie, zabójcze.

Ci, którzy po to przyszedli na rozprawę, by przyjrzeć się tej kobiecie, podobno niezwykle pięknej, widzieli teraz przed sobą jakąś groźną i daleką boginię.

Czuchnowski, zaszyty w kącie, dosłownie drżał całym ciałem. Napęliło mu pierś jakieś przerażenie, jakiś lęk, jakby chęć ucieczki od nowego wizerunku tej, którą tak kochał. Kurczył się za każdym razem, gdy głowa Alicji odwracała się ku sali i kiedy przesuwali się po ławach publiczności płomienne, czarne oczy.

Zachwyty i strach zawarły się w mózgu Czuchnowskiego w niedający się rozerwać węzeł.

Tymczasem Alicja kończyła swą mowę krótkim wywodem prawniczym, żądała zastosowania paragrafu 455. kodeksu karnego, a wobec niezwykle obciążających okoliczności uwzględnienia artykułu 15. przepisów przechodnich<sup>89</sup>.

Czuchnowski odetchnął, gdy usiadła.

Zaczęły się mowy obrońców.

Jeden z sąsiadów Czuchnowskiego zwrócił się doń szeptem:

— Przepraszam pana, ale czy pan nie wie, jaką karę przewidują te paragrafy?

— Nie wiem — odparł doktor.

Pochylił się ku nim jakiś pan w średnim wieku.

— Paragraf czterysta pięćdziesiąt pięć za morderstwo żony przewiduje od dziesięciu do piętnastu lat ciężkiego więzienia — objaśnił — a piętnastka z przepisów przechodnich to podwyższenie kary aż na dożywocie, albo nawet na tamten świat!

Jakaś pani informowała sąsiadkę, że wie od policjanta, że oskarżony, jak go ocucili z omdlenia, wcale nie chciał z nikim gadać, nawet do swoich adwokatów nie odezwał się słowem.

Czuchnowski precyzyjnie się wyszedł na korytarz zapalić papierosa. Gdy wrócił na salę, mówił już drugi adwokat. Później krótko replikowała Alicja.

Z kolei oskarżonemu przysługiwało prawo ostatniego słowa.

Wstał zimny, spokojny, opanowany, podniósł głowę i powiedział cicho i dobitnie:

— Przyznaję się do popełnienia morderstwa na osobie mojej żony Felicji. Proszę o karę śmierci.

Zapanowało głuche milczenie. Niespodziewane przyznanie się winowajcy zrobiło wstrząsające wrażenie, które odbiło się na wszystkich twarzach.

Tylko podprokurator Alicja Horn siedziała nieruchomo. Nie była zaskoczona: jedyny świadek zbrodni musiał przemówić i przemówił.

Sąd udał się na naradę. Oskarżonego wyprowadzono. Salę napęlił gwar rozmów.

Jeden z obrońców zbliżył się do Alicji.

— Niebezpiecznym jest pani przeciwnikiem. Pani mowa była imponująca. Bałbym się dostać do rąk pani.

Uśmiechnęła się doń niemal zalotnie.

— Czyż moje ręce są tak okropne?

Adwokat spojrzał na jej długą, rasową rękę o subtelnym, lekko zaróżowionych palcach i potrząsnął głową.

— Pani wie, że są piękne. Za piękne jak na prokuratora.

— A jednak boi się ich mecenas?...

Zajrzał jej w oczy i westchnął:

— Boję się. Robią na mnie takie wrażenie, jak wzrok węża na...

<sup>89</sup>przechodni (daw.) — przejściowy, tymczasowy. [przypis edytorski]

Szukał porównania.

— Na gazetę? — odpowiedziała.

Machnął ręką.

— Gdzież tam, po prostu na starego muła.

Alicji skłonił się woźny i zameldował, że pan prokurator Martynowicz prosi do siebie.

Na korytarzu ujrzała w tłumie doktora Czuchnowskiego. Był skulony i błady. Nie-dostrzegalnie wzruszyła ramionami i udała, że go nie widzi.

Czuchnowski spostrzegł ją, gdy już znikwała za drzwiami. Spojrzał na zegarek i mruknął:

— Z Łęczyckim to tak zawsze. Umówi się i nie przychodzi.

Mylił się jednak, bo mecenas Łęczycki z grubą teką przepychał właśnie swój równie gruby tułów wśród publiczności, szukając doktora.

Okazało się, że bronił właśnie w apelacyjnym i sprawa przeciągnęła się dłużej, niż przypuszczał.

— Ale nie żałuję tego, bo wygrałem gruuuby proces. Kapnie mi z tego paręnaście tysięcy. No, cóż jesteś taki przybity, Władku? Czyżby twoja narzeczona zblamowała się?

Czuchnowski nic nie odpowiedział.

— No, nie martw się, stary — pocieszał go Łęczycki — o ile wiem z gazet i od kolegów, sprawa tego Orczyńskiego była jasna: żadnych dowodów, niewinność muirowane. Ale to nic. I tak musimy dziś oblać debiut pani Alicji, no i moją wygraną. Kiedy wyrok?

— Nie wiem. Ma być wkrótce.

Istotnie nie upłynęło wiele czasu a dzwonek zawiadomił wszystkich, że sąd wchodzi.

Sala zapełniła się znowu po brzegi.

Wśród zupełnej ciszy przewodniczący odczytał wyrok: dożywotnie ciężkie więzienie.

Oskarżony nie drgnął nawet.

Wychodząca publiczność napełniła korytarze gwarem głośnych dyskusji.

Przyjaciele czekali na Alicję — tak, jak było umówione — na dole w sieni.

Łęczycki wypytywał o szczegóły rozprawy, doktor niechętnie opowiadał. Zdumienie adwokata nie miało granic.

— Żebym wiedział, psiakość — kłął z zacięciem — tobym postarał się o przesunięcie mego terminu. Coś niesłychanego! Żeby taki cyniczny numer zemdla! Psiakość! W jej przemówieniu musiało być, do diaska, wiele ekspresji, hm... sugestywności...

— I okrucieństwa — cicho dodał Czuchnowski.

— Ach, ty sentymentalny starszku — roześmiał się mecenas — przecież to był zbrodniarz!

— Tak, bez kwestii.

— I stało się zadość sprawiedliwości! Z tego, co mówisz, miarkuję, że gdyby nie mowa pani Alicji, wypuszczono by lotra na wolność.

— Ja nic nie mówię — bronił się Czuchnowski — ja sam nie wiem właściwie... Ale mnie w tym wszystkim coś po prostu przeraża.

— Furda, chłopie!...

— Ja rozumiem... ale...

— Mój drogi Władku, jakże ty możesz być lekarzem?! A jak trzeba pacjentowi nogę uciąć, to co? Albo, dajmy na to...

Nie dokończył.

Po schodach szybkim elastycznym krokiem schodziła Alicja.

— Jestem głodna — powiedziała wesoło, witając się z nimi — zabieram was do siebie na obiad, a właściwie na kolację. No chodźcie.

Wyszli na ulicę.

— Winszuję pani — mówił mecenas — sukces niezwykle, jak na debiut. Co mówię, niezwykle! Tryumf, zwycięstwo na całej linii! Serdecznie winszuję.

— Straszne jednak to — ze smutkiem westchnął doktor Czuchnowski — że człowiek do końca życia będzie gnął w więzieniu.

— Zwariowałeś?! — spojrzał nań z irytacją mecenas Łęczycki.

— Władek, mecenasie — lekceważącym tonem powiedziała Alicja — powinien zostać franciszkaninem.

— Po pierwsze — irytował się Łęczycki — nie będzie do śmierci gnął w więzieniu, bo przychodzą wciąż różne amnestie, przychodzą redukcje kary za przyzwoite odsiadywanie ciupy<sup>90</sup> i tak dalej. Więc posiedzi jakieś dziesięć lat i już. A po drugie, mój drogi, cóż do ciężkiego pioruna?! Szuja ostatniego gatunku, padalec, ohydny zbrodniarz!... Gdyby go na pal wbito, jeszcze nie byłoby dla niego dość. Sam zresztą prosił o karę śmierci.

— Ale przecież przyznał się — oponował Czuchnowski.

— Tak, przyznał się, lecz tylko dzięki pani Alicji. Gdyby go nie zdemaskowała, pewno zostałby w ogóle uwolniony.

— Nie przeczę. Lecz to właśnie mnie przybija, że dzięki Alicji.

Alicja wybuchnęła śmiechem, Łęczycki zaś zatrzymał się na środku chodnika i rozłożył bezradnie ręce.

— Panowie — powiedziała Alicja ze złośliwym błyskiem oczu — dla uczczenia mojej pierwszej wiktorii<sup>91</sup> mam zamiar spędzić dziś wieczór wesoło.

— Brawo! — zawzięcie przytaknął Łęczycki. — Brawo pani Alicjo. Tym lepsza zdarza się racja biby<sup>92</sup>, że i ja dziś właśnie wygrałem piękny proces.

Czuchnowski nie odezwał się ani słowem.

Pojechali taksówką. Podczas drogi Alicja opowiadała mecenasowi o przebiegu rozprawy, o gratulacjach, jakie złożyli jej koledzy, i o pochwałę prokuratora Martynowicza.

Julki jeszcze nie było w domu. Odrabiała dziś lekcje z dwiema koleżankami. Zaraz po obiedzie wyszła i miała wrócić przed dziewiątą. Dowiedzieli się tego z kartki, zostawionej na stole. Józefowa bowiem kończyła właśnie popołudniową porcję pacierzy i za skarby świata nie powiedziała ani słowa.

Jej zwiotczale i pomarszczone wargi poruszały się drobnym, falującym ruchem, mówiąc nabożne słowa, ale gdy podawała obiad z jej złośliwych spojrzeń nietrudno było odgadnąć niezadowolenie z powodu tak znacznego spóźnienia się pani na obiad. Jakże — pieczeń wyszła, a jabłka w cieście wystygły.

Nie zepsuło to natomiast apetytu ani Alicji, ani Łęczyckiemu. Tylko doktor był pochmurny, co zdawało się napełniać jego narzeczoną tym zajadlejszą wesołością.

Zanim wypili kawę, była już ósma. Na kolację iść stanowczo się nie opłacało.

— Wiecie co? — zaproponował Łęczycki — pani Alicja przebierze się, my obaj na szczęście jesteśmy w czarnych marynarkach, pojedziemy do kina na Marlenę Dietrich<sup>93</sup>, a później na lumpę<sup>94</sup> do „Argentyny”! Co?...

— Dobry pomysł. Film podobno wyborny, a o tej „Argentynie” słyszałam, że tam świetnie się bawią.

— A ja słyszałem — odezwał się Czuchnowski — że właśnie piekielne nudy.

— Były! Były, przyjacielu — z miną znawcy odparł mecenas — teraz kupił tę budę jeden Amerykanin i on dopiero pokazał, jak się powinno takie rzeczy robić. Pierwsza klasa! Amerykanie mają to wycucie interesu!...

— Więc pojedziemy — zdecydowała Alicja — tylko zaczekamy na małą. Muszę ją ucałować na dobranoc.

Doktor niecierpliwie kręcił się na krześle, wreszcie wyrzucił z siebie:

— A mnie się zdaje, że komu jak komu, ale tobie, Alu, nie wypada pokazywać się w takich lokalach.

— A to dlaczego? — spojrzała nań niechętnie Alicja.

<sup>90</sup>ciupa (pot.) — areszt, więzienie. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>wiktoria (z łac.) — zwycięstwo. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>biba (pot., z łac.) — popijawa; pijaństwo. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>Dietrich, Marlena, właśc. Marie Magdalene Dietrich (1901–1992) — amerykańska aktorka filmowa i piosenkarka pochodzenia niemieckiego, wielka gwiazda kina lat 30. XX w. (*Błękitny anioł*). [przypis edytorski]

<sup>94</sup>lumpa a. lumpowanie (daw. pot.) — włóczenie się po knajpach, hulanie. [przypis edytorski]

— No, w takim nocnym dancingu — zaśmiał się nieprzyjemnie — prokurator?  
 — Władku, nie zwracaj głowy. Jestem takim samym człowiekiem, jak i każdy inny. Mój drogi, nie sądź, że dla swego urzędu zamierzam stać się archaniołem.  
 — Tak — upierał się — ale właśnie dziś... po tej strasznej sprawie i po tym wyroku...  
 — Oj, Boże, jaki on nudny.  
 Mecenas klepnął go po kolanie.  
 — Nie bądźże ciotką, do diaska. Ministrowie chodzą do knajp...  
 — No dobrze, dobrze — bronił się Czuchnowski — jeżeli Alę nie razi ten kontrast nocnego lokalu z wyrokiem dożywotniego więzienia, to cóż?... Jednak nie zapominajcie, że we wszystkich niemal pismach zamieszczono jej fotografię i że zjawienie się prokuratorki Horn zwróci uwagę całej publiczności!...  
 Alicja skinęła głową.  
 — Tu masz rację.  
 — I tego można uniknąć! — zawołał Łęczycki. — W „Argentynie” są łóżka położone znacznie ponad poziomem sali i osłonięte. Możemy przejść wprost z szatni na górny korytarz.  
 Spojrzał na zegarek.  
 — Jeszcze za wcześnie, ale za godzinkę zadzwonię i poproszę o zarezerwowanie łóżka. Znam osobiście tego Winklera, on mi to zrobi.  
 — To ten Amerykanin? — zapytała Alicja.  
 — Tak. Polak, ale urodzony i wychowany w Ameryce.  
 Wróciła Julka i ze śmiechem wpadła wprost do jadalni w botach, w futerku i w ak-samitnym bereciku, w którym było jej tak ślicznie. Jej oczy iskrzyły się, zarumieniona buzia promieniała.  
 — Alu! Alu! — zawołała. — Nie masz pojęcia, co miałam za emocję! Dzień dobry panu, dzień dobry doktoru. Wyobraź sobie, że... ale panowie nie będą się śmiać?  
 — Nie będziemy, któż by się odważył?! — zapewnił z powagą mecenas.  
 — Otóż ledwie pożegnałam się na rogu Śniadeckich z Kurką...  
 — Z kim?  
 — Kurka, to jedna moja koleżanka. Ledwie się z nią pożegnałam, a tu zbliża się do mnie taki młody i bardzo, no bardzo elegancki facet, w takim, wiesz, brązowym futrze, uchyla kapelusza i bardzo poważnie pyta: „Czy pani nie wie czasami, która godzina?”. Oczywiście powiadam krótko: „Nie wiem”. Myślę, że tak wypadło, nie?... A on wówczas, wyobraź sobie, wyciąga taki cieniutki, cieniutki złoty zegarek i powiada: „To ja pani powiem, jest za dziesięć ósma...” To łotr, co?...  
 — No, i cóż dalej?  
 — Rozśmieszył mnie, bo taki sprytny. A zęby, powiadam ci, miał białe, że no! Widziałam, bo uśmiechał się szelma, że mnie nabrał. I powiada: „A widzi pani, że jestem bardziej od niej uprzejmy, więcej — powiada — bo gotów jestem uprzejmość swoją posunąć aż do tego, by nie napastować już pani i odejść, ale — powiada — wiem, że pani sprawiłoby to przykrość, dlatego też poświęcę się i kawaleczek panią odprowadzę”. To bezczelny! Co?...  
 — A cóż ty, stałaś i słuchałaś? — z niezadowoleniem zapytała Alicja.  
 — Alu, jak możesz nawet tak myśleć? Wcale nie słuchałam.  
 Obaj panowie wybuchnęli śmiechem.  
 — Nie słuchałaś, ale pamiętasz każde słowo.  
 — No, przecie uszu sobie zatknąć nie mogłam.  
 — Więc cóż mu odpowiedziałaś?  
 — Oczywiście, powiedziałam, że pójde sama i że to jest bardzo brzydko zaczepiać kobiety na ulicy. To on powiada, że rzeczywiście, że zawsze był tego samego zdania, że takich, co zaczepiają kobiety on sam obilby laską (wcale nie miał laski!), ale że ja przecie nie jestem kobietą, tylko aniołem (uważasz?!), a on nie jest takim, co zaczepia, tylko bardzo samotnym i nieszczęśliwym sierotą, a sierotami i wdowami trzeba się opiekować, że jeżeli go odpędzę w daleką zimną dal, to pójdzie z rozpaczy upić się, a jak tylko się upije, to go później głowa boli, a ja nie wyglądam na taką, co chciałaby cierpieć bliźniego, i tak gadał, że pojęcia nie macie.



— No, ty oczywiście nie odpowiadałaś mu wcale?  
 — Iiii... bardzo mało.  
 Doktor Czuchnowski skrzywił się i powiedział:  
 — Bardzo źle, panno Julko. Należało zwrócić się do policjanta i poprosić, by uwolnił panią od natręta.  
 — Kiedy on wcale nie był taki natrętny — z oburzeniem zaprzeczyła Julka — taki przystojny brunet z małymi wąsikami. Inżynier, pracuje w fabryce czekolady! Nigdy nie wiedziałam, żeby do robienia czekolady potrzebni byli inżynierowie. Prawda?  
 — Rzeczywiście, po prostu kłamał.  
 — I ja mu tak powiedziałam, a on wówczas zaczął mi dowodzić, że są potrzebni do kontroli maszyn i do organizacji pracy, i czegoś tam jeszcze i opowiadał, jak się robi czekolada i czy ja lubię czekoladę, bo jeżeli lubię, to on mi może przysłać bardzo dużo, bo jego to prawie nic nie kosztuje, i odprowadził mnie pod sam dom, i chciał się przedstawić, ale ja powiedziałam, że nie i że idę tu do babci, bo babcia chora jest na tyfus<sup>95</sup>, i żeby poczekał kilka minut, to wyjdę i pójdziemy na spacer!  
 — Juleczko! — ze zgrozą zawołała Alicja.  
 — Poczekajże! Otóż wchodzę na schody (a on powiedział, że dobrze, że będzie czekał, ale po tym tyfusie to mu się od razu mina zmieniła), wchodzę na schody i patrzę przez okno ukradkiem, a mój facet wieje!... Aż się kurzy!!  
 Klasnęła w ręce i śmiała się do rozpuku.  
 — Dobrze mu dałam bobu<sup>96</sup>, co?  
 — Tak, Julko — odezwała się Alicja, — ale na przyszłość stanowczo proszę cię, byś nie pozwalała się zaczepiać. Absolutnie tego sobie nie życzę. Pomówimy zresztą o tym obszerniej jutro. Jakże ci lekcje dziś poszły?  
 — Dziękuję, dobrze. Pytali mnie z łaciny i z matematyki. Ach, Alu, a nic mi nie mówisz, czy ten proces skończył się?  
 — Tak, skończył się.  
 — I co?..  
 — Został skazany na bezterminowe więzienie.  
 — Panno Julko — bolesnym głosem powiedział doktor — któż to widział pół godziny grzać się w futrze i w botach.  
 — Zapomniałam — roześmiała się i wybiegła do przedpokoju.  
 Czuchnowski i Łęczycki asystowali Julce przy kolacji, podczas gdy Alicja przebierała się.  
 Mecenasa załatwił telefonicznie łóżę w „Argentynie” i o wpół do dziesiątej pojechali do kinematografu<sup>97</sup> na Marlenę Dietrich.  
 Julka, gdy wyjeżdżali, pluskała się w łazience i pożegnali ją przez drzwi.  
 — Stanowczo, Alu — powiedział doktor, gdy wsiedli do taksówki — powinnaś krócej trzymać Julkę. Z jej pobudliwością i temperamentem o nieszczęście, nie daj Boże, nietrudno.  
 — Przyznaję ci rację. Chociaż umiem docenić jej silnie rozwinięte ośrodki hamujące i roztropność, jednak przygody w rodzaju dzisiejszej nie zlekceważę.  
 Film rzeczywiście był interesujący i miał szereg momentów o wysokiej artystycznej wartości.  
 Najmniej podobał się Czuchnowskiemu.  
 — Nie interesują mnie postacie patologiczne — mówił — w sztuce chcę mieć ludzi żywych i normalnych.  
 — Przeciętnych, chciałeś powiedzieć? — zapytał mecenas.  
 — Chociażby, byle takich, jakich spotykamy w życiu.  
 Alicja wzruszyła ramionami.  
 — Mój przyjacielu, a czyż w życiu często spotykamy ludzi niepatologicznych? Niemal każdy ma większe lub mniejsze zniekształcenie psychiczne... Ale dajmy temu pokój. Władek jest zły — zwróciła się do Łęczyckiego — że idziemy do „Argentyny” i dlatego wszystko mu się nie podoba.

<sup>95</sup>tyfus — bakteryjna choroba zakaźna, przyczyna ciężkich epidemii. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>dać komuś bobu — dać komuś nauczkę, dokuczyć komuś. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>kinematograf — filmowy aparat projekcyjny; daw.: kino. [przypis edytorski]

Na Hortensję było tak blisko, że poszli pieszo. W przeciwieństwie do olbrzymich reklam neonowych, opiewających zalety „Argentyny” na wszystkich wielkich arteriach miasta, istnienie samego lokalu na Hortensji zdradzał tylko mały szyldzik alabastrowy z rytmami na nim literami: „Argentyna”. We dnie napis ten był zupełnie niewidoczny, dopiero o dziesiątej zapalały się ukryte za alabastrem lampki kolorowe i wówczas występował napis.

Po szerokich marmurowych schodach, zasłanych puszystym, białym dywanem wchodziło się do hallu, stąd zaś bocznymi schodami do łóż.

Służba witała mecenasa Łęczyckiego jak starego znajomego. Łóżę, oczywiście, zarezerwowano i to całe szczęście, bo już teraz nie ma ani jednej wolnej.

Orkiestra murzyńska w białych smokingach grała bostona<sup>98</sup>.

Łoża była tak osłonięta, że z sali, położonej o trzy prawie metry niżej, niepodobna było do niej zajrzeć. Natomiast Alicja widziała wszystko. Urządzenie sali przypominało okrągły podwórzec hiszpańskiego pałacu, łożę — okratowany balkon, porośnięty winem. Służba w strojach argentyńskich kowbojów uwijała się z brzękiem ostróg między niskimi masywnymi stolikami.

Publiczności było jeszcze niewiele, lecz wciąż jej przybywało.

— No, jak się pani podoba ta buda? — zacierał ręce Łęczycki.

— Owszem, bardzo tu miło.

Podano moc<sup>99</sup> zimnych przekąsek, koniak, wermut i czerwone wino.

— Gorącej kuchni tu nie prowadzą — objaśnił mecenas — głównie ze względu na zapach potraw, ale pomimo to bywa w „Argentynie” gorąco.

Wyjrzał na salę i dodał:

— O, niech pani zobaczy: w tej łoży nad fontanną teraz nie ma nikogo, ale koło pierwszej zjawi się Powiniecki. Nie było jeszcze wypadku, by nie wywołał awantury...

— Winszuję — wzruszył ramionami Czuchnowski.

— Właśnie, że bardzo się cieszę — na złość mu zaakcentowała Alicja.

— A tam — ciągnął mecenas — koło baru, widzi pani tego z gwoździkiem w klapie?...

— Widzę...

— To major szwoleżerów<sup>100</sup>, baron Szegenyj, Węgier, ale w naszej służbie. Jak się trochę urżnie, śpiewa węgierskie piosenki, a głos ma kolosalny.

— Jak to — irytował się Czuchnowski — i pozwalają tu na takie wybryki?

— A dlaczegoż by nie? Ty byś chciał cmentarz zrobić z nocnego lokalu, czy trupialnię? Właśnie wyborze, że ludzie się tu bawią.

— A to kto? — zapytała Alicja.

— Który?

— Ten blondyn, co rozmawia z Węgrem.

— Aaaa!... — ucieszył się mecenas. — To jest właśnie właściciel „Argentyny” i jej główny magnes, dyrektor Winkler.

— Ten Amerykanin?...

— Tak. Podoba się pani?

— Owszem, niebrzydki. Dlaczego pan pyta?

Mecenas Łęczycki roześmiał się szeroko.

— Dlatego, pani Alicjo, że wszystkie kobiety za nim szaleją? O, niech pani spojrzy po stolikach. Widzi pani? Wszystkie główki zwrócone są w stronę tego szczęściarza.

Alicja wzruszyła ramionami.

— Przykro mi, mecenasie, że mogło panu bodaj przez chwilę wydawać się, że należą do typu kobiet „szalejących” za kimkolwiek. Jedzmy.

— Dobrze, jedzmy — skapitulował Łęczycki — zresztą Winkler i tak, obchodząc łożę, odwiedzi nas. Można koniaczku?

— Dziękuję — ponuro odsunął swój kieliszek Czuchnowski.

Alicja spojrzała nań zimno.

<sup>98</sup>boston — rodzaj tańca pochodzenia amerykańskiego, także muzyka do niego. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>moc (daw., gw.) — mnóstwo, bardzo dużo. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>szwoleżer — żołnierz lekkiej kawalerii. [przypis edytorski]

— Władku, jeżeli masz poświęcać się i psuć nam nastrój, to lepiej idź spać. Nie jestem przyzwyczajona do znoszenia czyichkolwiek fum<sup>101</sup>.

Wypiła duszkiem kieliszek i zwróciła się do mecenasa:

— Więc powiada pan, że ten właściciel odwiedza łoże?

— Tak, proszę pani, ma taką zasadę, że wszystkich swoich gości zna osobiście. Zobaczy pani, jaki to miły człowiek.

„Miły człowiek” nie dał na siebie długo czekać. Po kilku minutach kotara odchyliła się i usłyszeli za sobą niski, głęboki głos:

— Dobry wieczór państwu. Czy nie przeszkodzę, jeżeli podziękuję drogiemu panu mecenasowi za popieranie „Argentyny”?

— Ależ, kochany dyrektorze, proszę, proszę — zawołał, wstając, Łęczycki. — Czy pani pozwoli?... Pan Winkler, pani Horn...

— Czuchnowski — mruknął pod nosem doktor, podając przybyłemu rękę.

Ten, nie czekając na zaproszenie, usiadł przy stole.

— Nie nudzą się państwo? Teraz jeszcze pustawo, ale za pół godziny zaczynają się tak zwane produkcje artystyczne. Jak się pani podoba u mnie? — zwrócił się do Alicji.

— Bardzo... przyjemny lokal — przyjrzała się dyrektorowi uważnie i pomyślała, że już gdzieś, kiedyś na pewno go widziała. Tak, tak, zaraz... było to bodaj w jakiejś cukierni.

— Wydaje mi się, że kiedyś już widziałam pana — powiedziała, jakby na usprawiedliwienie swego milczenia.

— Z całą pewnością — roześmiał się Drucki — poznałem panią już przed kwadrantsem, z dołu.

— W cukierni na Nowym Świecie? — zapytała. — Kilka miesięcy temu?

— Tak. Byłem wówczas tak niezgrabny, że strąciłem ze swego stolika popielniczkę.

— Prawda, prawda! — uśmiechnęła się. — Pamiętam. Nawet wówczas odniosłam wrażenie, że pańska twarz nie jest mi obca.

— Zaraz! — zawołał Łęczycki. — I ja pamiętam. Byliśmy wówczas w tym samym komplecie.

— Aha? — zdziwił się Drucki. — Więc to pan, mecenasie, pstrykał wówczas czeczotkową papierośnicę?... O, jest *corpus delicti*<sup>102</sup>!

Śmieli się wszyscy, oprócz doktora, który udawał, że zajęty jest przecieraniem okularów.

Zamienili jeszcze kilka zdań i Drucki wstał.

— Czy pozwolą państwo, że jeszcze raz ich odwiedzę?

Alicja skinęła uprzejmie głową, a Łęczycki hałaśliwie upominał go, by tylko nie zapomniał.

Widzieli go następnie, jak wchodził do łoż naprzeciwko, jak chodził po sali i wesoło witał się ze wszystkimi.

Tymczasem rozpoczęły się „atrakcje”.

W kolorowych reflektorach tańczyła trójka zgrabnych, muskularnych chłopców, później na tanecznym ringu zjawiała się *signorita* Fiametta i w nieprawdopodobny sposób wyginała niemal nagie ciało w akrobatycznym tangu. Po hucznych oklaskach znowu publiczność zapełniła ring zbitą masą, drgającą w takt rumb<sup>103</sup>.

Czuchnowski pod wpływem wypitego alkoholu stał się rzewny i ze łzami w oczach błagał Alicję, by mu przebaczyła. Tak gorliwie przy tym zapewniał, że już będzie wesoło, że aż się całkiem rozplakał.

Alicja śmiała się serdecznie, patrząc na jego minę i na żywy kontrast w osobie Łęczyckiego, który przytupywał i z fantazją zagarniał czuprynę.

Setki różnobarwnych baloników napęliły salę. Gwar buchał z dołu, z łoż rzucano kwiaty w tańczących.

<sup>101</sup>*fumy* — kaprysy, fochy, zarozumiałość. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>*corpus delicti* (praw., łac.) — dowód przestępstwa. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>*rumba* — szybki taniec towarzyski pochodzący z Kuby; powstały pod koniec XIX w. [przypis edytorski]

I znowu były dwa występy: trzy tancerki przebrane za myszki fleischerowskie<sup>104</sup>, Mickey<sup>105</sup> i przekomiczny niedźwiedź (oczywiście aktor), grający na saksofonie i tańczący taniec marynarski.

Gdy z kolei rozpoczął się dancng, w łóży Alicji zjawiła się egzotycznie ubrana kwiaciarka i położyła przed nią pęk białych róż.

Czuchnowski przestraszył się, a mecenas wydobyl banknot stużłotowy.

— Dziękuję — dygnęła kwiaciarka — ale to od dyrekcji.

— Jakże to — zastanowił się po jej wyjściu doktor — prezenty?

Alicja odsunęła kwiaty, lecz mecenas podał je jej znowu.

— Niechże pani weźmie, tu jest taki zwyczaj, że paniom rozsyła się kwiaty.

Alicja wzięła róże i powiedziała:

— Wspaniale. A pachną! Ten pański znajomy, mecenasie, zrukuje się, jeżeli wszystkim paniom rozsyła takie luksusowe kwiaty.

— Nie ma obawy — usłyszała za sobą niski głos — rodzaj i piękność kwiatów dostosowuję bowiem zawsze, proszę pani, do urody moich klientek.

Przyjrzała mu się. Wyraz twarzy miał poważny i rzeczowy, taki, jakby załatwił w tej chwili handlowy interes. Nie zauważyła niczego, co wyglądałoby na poufalość ze strony tego Amerykanina, i dlatego powiedziała:

— Dziękuję panu. Przepiękne róże. Dużo też pan rozsyła takich bukietów co wieczór?

— Takich? — zrobił minę, jakby się namyślał. — Hm... o ile mnie pamięć nie zawodzi... odkąd wprowadziłem ten zwyczaj, taki jest pierwszy...

Alicja nic nie odpowiedziała, natomiast Łęczycki, lubiący stawiać rzeczy konkretnie, zaopiniował:

— Wcale się temu nie dziwię. Do diaska! Niech się panu nie zdaje, dyrektorze, że powiedział pan komplement o jotę lepszy, niż zrobiłoby to pierwsze z brzegu lustro.

Straszny hałas w łóży nad fontanną i wybuch ogólnego śmiechu na sali odwrócił ich uwagę.

Widok był niezwykły: elegancki, młody człowiek w smokingu, trzymany za nogę przez kilka osób, a zwieszony przez parapet łóży głową w dół, usiłował dosięgnąć do strumienia fontanny trzymanym w rękę damskim pantofelkiem i nabrać wody.

Tylko Alicja zauważyła, że dyrektor Winkler wybiegł.

Tymczasem po kilku nieudanych próbach młodzieńcowi udało się zaczerpnąć wody i ogłuszające brawa zagłuszyły orkiestrę.

— Idiota! — skrzywił się Czuchnowski.

— Szampana! — zawołał Łęczycki.

— Szampana! — powtórzyła Alicja.

— Państwo rozkażą? — skłonił się kelner, podając kartę.

— Pozwoli pani, droga pani Alicjo — pochylił się ku niej z miną znawcy mecenas — że wypijemy „Nexy” sec?

— Doskonale!

— Zamrozić butelkę „Nexy” — kiwnął na kelnera, a gdy ten, ukłoniwszy się, wychodził, zatrzymał go. — Czekał pan! Zamrozić dwie! Jak szaleć, to szaleć!

W płaskich kryształach zapienił się pachnący płyn. Na sali nagle zapanowała cisza i usłyszeli głos dyrektora Winklera:

— Proszę państwa! Dzisiaj bawimy się w koty!

— Co? co?... — rozległy się pytania.

— Bawimy się w koty! Nie jest to mój wynalazek, ale przecie tak dobry, jakby był mój własny!

— Brawo! Brawo! — posypały się oklaski. — Jak to w koty?

— Proszę państwa! W jacht klubie na Filipinach jest zwyczaj, że orkiestra gra pewne tango, a wszyscy obecni miauczą!

— Brawo! Brawo! Miauczeć!

Zabawa

<sup>104</sup>*Fleischer Studios* — pionierskie amerykańskie studio animacji filmowej, zał. w 1929 przez braci Maxa i Dave’a Fleischerów; główny producent kreskówek animowanych dla kin, z którym w latach 30. XX w. konkurowała wytwórnia Walt Disney Productions. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>*Mickey Mouse* — Myszka Miki, postać z filmów animowanych, stworzona w 1928 przez Włta Disneya i Uba Iwerksa. [przypis edytorski]

— Proszę państwa! Tylko miauczeć w rytmie! Kto wykaże najwięcej muzykalności, oryginalności i znajomości prawdziwej kociej muzyki, otrzyma ten oto order Złotego Kota pierwszej klasy! Uwaga! Zaczynamy.

Orkiestra uderzyła mocnym akordem i popłynęła cicha, namiętna melodia.

— Miauuu — odezwał się cieniutki głosik kobiecy.

— Miau! — odpowiedział mu przy końcu frazy chrapliwy głos męski.

Buchnęła fala śmiechu, lecz amatorzy miauczenia opanowali sytuację. Kto żyw rozdzierał się wniebogłosy, prychał, furczał, orkiestra zesłała do roli dyskretnego akompaniamentu, wśród miauczących stopniowo następowała selekcja i zabawa szła coraz sprawniej.

Czuchnowski zdjął okulary i szeroko otwartymi oczyma krótkowidza ze zdumieniem obserwował salę. Łęczycki literalnie wisiał na parapecie i miauczał jak opętany. Alicja też wyjrzała w dół.

W środku ringu na taborecie stał Winkler i z pasją dyrygował, niczym kapelmistrz. Właśnie w chwili tej spojrzął ku ich łożu i przywitał utkwione w sobie oczy Alicji łobuzerskim uśmiechem i przeciągłym koloraturowym miauknięciem.

Cofnęła się i przyciskając do ust zmiętą serwetę, zamiauczała. Nie mogła wytrzymać! Nastroj udzielał się przemocą. Roześmiała się sama z siebie: „Miauczący prokurator! A to ładna historia!” Wypiła kieliszek szampana duszkiem. Trochę kręciło się jej w głowie. Co za pyszna zabawa!...

Tango się skończyło, lecz na gremialne, a hałaśliwe żądanie publiczności powtórzono je jeszcze raz, po czym przez aklamację<sup>106</sup> przyznano order Złotego Kota ogromnemu siwemu panu, jak się okazało, angielskiemu dyplomacie, który rzeczywiście był mistrzem w tym koncercie.

Aktu dekoracji dokonała z wyboru odznaczonego młodzietka, miniaturowa brunetka, jak objaśnił Łęczycki: żona znakomitego automobilisty Winiarskiego. Musiała wspiąć się na palce, by dosięgnąć butonierki<sup>107</sup> laureata.

Ten wygłosił krótkie przemówienie po angielsku i z dostojną miną zajął miejsce przy swoim stoliku.

Zagrano bluesa<sup>108</sup> i ring znowu zapełnił się tańczącymi.

Alicja spojrziała na zegarek i z żalem stwierdziła, że już czwarta.

Czas było jechać do domu.

Uregulowali rachunek, przy czym Alicja wyjątkowo zgodziła się nie zapłacić swojej trzeciej części. Łęczycki upierał się, że on funduje, a jeżeli nie pozwoli mu zapłacić całości, przyniesie mu to pecha w sądzie.

— Jak Boga kocham — zaklinał się — ile razy nie obleję wygranego procesu, tyle razy przegrywam następną sprawę, jak amen w pacierzu!...

Była w tak świetnym humorze, że nie spierała się o to.

Odwieźli najpierw zasypiającego Czuchnowskiego, później mecenas odprowadził Alicję.

— No, pani Alicjo — powiedział z przechwałką, żegnając ją przed bramą — warto było pójść do „Argentyny”, co?

— Bardzo wesoło spędziłam czas. Od dawna nie bawiłam się tak dobrze.

— Ba! Ten Winkler umarłego by rozruszał! Bajeczny, prawda?

— Dobranoc, mecenasie — podała mu rękę. — Dziękuję i dobranoc.

Na palcach przeszła do swego pokoju, szybko rozebrała się, zapaliła gaz w łazience, umieściła róże w kryształowym wazonie i po chwili wahania postawiła je przy łóżku.

Już świt był na dworze.

## ROZDZIAŁ 7

Wprost z dworca profesor Karol Brunicki pojechał na wykład.

<sup>106</sup>aklamacja (z łac.) — jednogłosne przyjęcie jakiejś decyzji, bez konieczności głosowania i liczenia głosów. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>butonierka — dziurka od guzika w lewej klapie marynarki; do butonierki wkłada się niewielki żywy kwiat. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>blues (muz.) — wokalnie-instrumentalny styl muzyki rozrywkowej wywodzący się od ludowych pieśni czarnoskórej ludności z południa Stanów Zjednoczonych; powstały pod koniec XIX w., spopularyzowany w pierwszych dekadach XX w. [przypis edytorski]

Pomimo zmęczenia, wywołanego długą podróżą, mówił, jak zwykle, głośno, dobitnie, akcentując definicje i robiąc krótkie pauzy przed użyciem własnych argumentów.

Gdy skończył, czuł się tak wyczerpany, że zażył proszek kamfory<sup>109</sup> dla wzmocnienia serca. Jednakże już po chwili telefonował do „Bristolu”.

Odpowiedziano mu, że pan Winkler jest w swoim numerze<sup>110</sup>, ale zapewne śpi. Pomimo to kazał się z nim połączyć.

— Tu mówi Karol, obudziłem ciebie?

— Nie, jak się masz! Wróciłeś?

— Wróciłem i chciałbym cię prosić, byś wpadł do mnie.

— Do kliniki? — zapytał Drucki.

— Nie, do domu. Może na obiad?

— Zgoda.

Drucki odłożył słuchawkę i westchnął z ulgą:

— No, nareszcie przyjechał.

— Kto przyjechał? — zapytała zza parawanu Teczka.

— Pewien mój przyjaciel. Ale pośpiesz się, mała.

— Kiedy mi podwiązka pękła.

Drucki roześmiał się.

— Pękła? No, chodź tu, może wspólnymi siłami łatwiej zaradzimy katastrofie. Chodź.

Była w króciutkiej jasnozielonej kombinezce<sup>111</sup> i nieporadnym gestem wyciągnęła ku niemu urwany koniec podwiązki. Wyglądała przy tym tak dziecinnie i ładnie, że powiedział:

— Wiesz, mała, żałuję, że już jest tak późno.

— Mój kochany, mój najśłodszy.

Posadził ją sobie na kolanach i zabrał się do reparacji uszkodzenia. Tymczasem Teczka ocierała twarz o jego policzki i szeptała w kółko:

— Kochany, jedyny, kochany.

Biła od niej świeżość i wciąż jednakowe silne pragnienie.

Drucki odezwał się:

— Słuchaj, mała, albo daj spokój, albo do końca świata nie naprawię ci tej podwiązki.

— Ach, jak to byłoby cudownie!

— Niby co?

Różowym paluszkiem przesunęła mu po kolanach.

— To, żebyś mogła tu siedzieć do końca świata. Tylko ja! Żeby mój pan był tylko dla mnie i żeby te obrzydliwe baby nie wywracały do niego oczu. A zwłaszcza ta mała Kazia...

— Podaj mi agrafkę — przerwał Drucki — musi być w tym okrągłym pudełku.

Sięgnęła i mówiła dalej:

— Taka obrzydliwa kokota. Jak ona nawet śmie podnosić oczy na mego pana! Taka, co to za pieniądze z każdym. A przy tym ma krzywą łopatkę.

Drucki zerknął na nią z uśmiechem.

— Jak Boga kocham! — zawołała. — Ma krzywą łopatkę.

— Nie gadaj, nie gadaj, mała. Kazia jest bardzo ładna.

— Nienawidzę jej!

— To inna sprawa. Tylko, Teczku, uważaj! — pogroził palcem. — Żeby w „Argentynie” żadnych awantur ani kłótni nie było! Nie znoszę tego i gdyby tylko!... No!

— Ja?! — oburzyła się Teczka. — Z nią? Z taką lafiryndą<sup>112</sup>? Ja w ogóle jej nie spotrzegam, chociaż wiem, że ona oczy by mi wydrapała. Jej się zdaje, że...

— *Gemacht!*<sup>113</sup> — skończył Drucki. — Podwiązka w porządku. Ubieraj się.

Postawił ją na ziemi i usiadł przed lustrem, by zawiązać krawat.

<sup>109</sup>*kamfora* — substancja o charakterystycznym, ostrym zapachu, szybko ulatniająca się, stosowana zewnętrznie jako lek rozgrzewający i przeciwbólowy. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>*numer* — tu: pokój hotelowy, opatrzony numerem. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>*kombinezka* (daw.) — jednoczęściowa bielizna damska, halka przedłużona doszytymi szortami. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>*lafirynda* (obelż.) — kobieta lekkich obyczajów, ladacznica. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>*gemacht* (niem.) — zrobione. [przypis edytorski]

— A pamiętaj, mała — dodał — że ze mną żartów nie ma, żadnych awantur!

Dziewczyna nic nie odpowiedziała.

Po paru minutach byli gotowi.

Tecia wyszła pierwsza. Drucki pozamykał szafy i biurko i również zszedł na dół.

Portier zatrzymał go ukłonem.

— Uszanowanie panu dyrektorowi.

— Dzień dobry panu.

— Właśnie, panie dyrektorze, zwracałem się według pańskiego życzenia do reprezentacji samochodów Reenclar. Powiedziałem, że jeden z naszych gości chce się dowiedzieć, kto w Warszawie ma Reenclara i kto mógłby udzielić o ich marce referencji.

— Aha! — ucieszył się Drucki. — No i cóż?

— Powiedzieli, że w Warszawie chodzą trzy wozy Reenclar. Jeden należy do hrabiego Lubockiego, drugi do pani Cotchen i trzeci do profesora Brunickiego. Wszyscy troje mają już te wozy od kilku lat i są zupełnie zadowoleni.

— Od kilku lat?

— Tak, panie dyrektorze, powiedziano mi, że są zupełnie zadowoleni. Oczywiście, wypytywali mnie, kto interesuje się ich samochodami, i proponowali przysłanie wozu na próbę, ale w myśl życzenia pana dyrektora nie wymieniłem jego nazwiska.

Drucki podziękował i wyszedł na ulicę.

„Rzecz jasna — pomyślał, podając szoferowi adres Brunickiego — że Karol spreparował kłamstwo. Auto, które widziałem pierwszego dnia wieczorem, było jego Reenclarem”.

W hallu willi profesora zastał doktora Kunoki, pogrążonego w lekturze. Przywitał Druckiego serdecznie i prawie wesoło:

— Bardzo rad<sup>114</sup> jestem, że pana widzę. Ma pan w sposobie bycia coś, co rozsiewa wokół pana jakąś witalną radość.

— Niechże doktor nie przesadza — zaśmiał się Drucki, ale zrobiło mu się przyjemnie.

— O, nie! — przechylił głowę Japończyk — nie przesadzam. Jestem zdania, że nie doceniamy na ogół towarzystwa ludzi miłych, wesołych i zdrowych. A działa ono wręcz... kuracyjnie. Tak, panie, kuracyjnie! Wiemy, że wszystkie ciała emanują różnego typu energię, a nie zwracamy uwagi na emanację fizyczną, emanację ludzi, z którymi stykamy się. Gdyśmy się widzieli ostatnio, mówiliśmy, zdaje się, o przesądach ludowych?

— Tak, o nawrocie nauki do pogardzanych zabobonów.

— O, widzi pan — ożywił się Kunoki — jeszcze jeden przykład. Niektóre szczepy hinduskie wierzą w to, że młodość, siła i zdrowie mogą udzielać się tak, jak płomień: ten, kto daje, nic nie traci, a ten, kto bierze, zyskuje. Dlatego ludzie starzy i słabi śpiją w jednym łóżku z młodymi i zdrowymi. Są przekonani, że zwłaszcza podczas snu uzdrawiająca emanacja młodego ciała wzmaga się najbardziej.

— I co? — zdziwił się Drucki. — Czy to rzeczywiście ma jakieś znaczenie?

— Odpowiem panu tak: nie wiem, czy ma, ale wiem, że musi mieć.

— Oczywiście chodzi o emanację, że tak powiem, psychiczną?

Doktor Kunoki potrząsnął głową.

— Ja osobiście jestem zdania, ale zastrzegam się, że nie jest to opinia oficjalnej nauki, jestem zdania, że emanacja wręcz fizyczna, tak jak emanacja radu, żelaza...

— Słowem elektronów? Cząstki atomów?

— Tak.

— Niezwykłe! Tedy i myśl ludzka?...

— Jest również emanacją, dającą się nawet empirycznie stwierdzić w przypadkach telepatii. Tak. Otóż pańska emanacja, pańska aura jest po prostu kuracyjna. Czuję to po sobie.

— Powinienem wobec tego — zaśmiał się Drucki — wynajmować się na godziny szpitalom w charakterze aparatu leczniczego. Ale rzeczywiście wydaje mi się, że pan ma dużo racji, doktorze. Sam zaobserwowałem zadziwiające wzmaganie się nastrojów w tłumie.

— A widzi pan. Wzajemne oddziaływanie emanacji.

<sup>114</sup>rad (daw.) — zadowolony; chętny; *bardzo rad jestem*: bardzo się cieszę. [przypis edytorski]

— Albo w zabawie! Wie pan zapewne, że prowadzę teraz nocny kabaret. Otóż na przykład wesołość udziela się bardzo szybko. Niech kilka osób się rozbryka i rozbawi, a za pięć minut humory idą w górę. Właśnie namawiałem Karola, żeby rozerwał się w mojej „Argentynie”, ale ani rusz. Pan, doktorze, powinien poradzić mu, by chociaż raz spróbował.

— Ależ z przyjemnością. Jestem zupełnie pańskiego zdania.

— Co to, nie ma go w domu? — zapytał Drucki.

— Owszem, tylko jest czymś zajęty. Za chwilę przyjdzie. Nie gniewa się pan chyba na niego, że mimo woli skazał pana na towarzystwo nudnego...

— Panie doktorze — przerwał Drucki — czy pan naprawdę ma mnie za tak głupiego, że nie umiem ocenić wartości towarzystwa jednego z najmądrszych uczonych naszego wieku?...

Japończyk próbował oponować, lecz Drucki nie dał mu przyjść do słowa:

— Przecie ja, doktorze, powinienem płacić szkolne wpisowe za każdy kwadrans rozmowy z panem, z człowiekiem o takiej wiedzy i takich horyzontach myślowych. Aha, chciałem pana o coś zapytać. Mianowicie, czy to prawda, że brodawki dają się leczyć sugestią?

— Naturalnie — z zadowoleniem potwierdził Japończyk — brodawki są rodzajem choroby psychicznej.

— Właśnie. Czytałem — powiedział Drucki — że brodawki powstają na skórze człowieka, gdy ten dozna silnego przykrego wrażenia na widok takichże brodawek u innych.

— Niezupełnie tak. Ale coś zbliżonego. Najczęściej znaki rodzime, brodawki i pewnego typu liszaje są skutkiem wrażeń odniesionych przez matkę danego osobnika podczas ciąży.

— Co? — zerwał się Drucki. — Więc zapatrzenie?

— Zapatrzenie.

— Doktorze, pan wierzy w zapatrzenie?

Japończyk zrobił nieokreślony ruch ręką.

— Słowo „wierzyć” nie jest tu odpowiednie. Jestem natomiast przekonany, że zapatrzenie jako takie istnieje.

— Jak to? I pan sądzi, że nauka może to potwierdzić?

— Proszę pana — zmarszczył czoło Japończyk — cała moja teoria elektroneuronów, czy, jeżeli pan woli, teoria psychonów, zmusza właśnie do wykazania swej nieodpartej słuszności na prawdziwości naukowej ludowego „przesądu” o zapatrzeniu.

Drucki nerwowo podsunął swoje krzesło.

— Niechże mnie pan objaśni.

— Z przyjemnością. Czy hodował pan kiedy konie lub psy?

— Psy owszem. Kiedyś namiętnie lubiłem polowanie.

— Dobrze, zatem hodował pan psy myśliwskie, rasowe?

— Naturalnie — potwierdził Drucki — wyżyły i gończe. Trochę jamniki.

— Nie o to chodzi. Ale czy pan zauważył, jakie skutki daje skrzyżowanie rasowej sukki ze zwykłym kundlem? — pytał Japończyk.

— No, ma się rozumieć, szczenięta będą nierasowe.

— To mało. A co się stanie z suką?

— Aha! — klepnął się Drucki po kolanach. — No, suka będzie zepsuta!

— Właśnie, panie Winkler, suka będzie zepsuta, to znaczy, że już nigdy nie urodzi rasowego potomstwa, choćby następne zapłodnienia dokonane były przez psa najczystszej jej rasy. To samo jest z końmi i tak dalej.

— To prawda — potwierdził Drucki — ale cóż stąd wynika?

— Przepraszam, najpierw musi pan stwierdzić, że płód wywiera wpływ na matkę.

— No tak.

— Nie zaprzeczy pan również, że dziecko często po matce dziedziczy różne cechy fizyczne i psychiczne. Prawda?... A teraz odrobina analogii i biologii. Wie pan, że na



przykład płód człowieka, pomimo najskrupulatniejszych badań, w swoich pierwszych fazach, od owulu<sup>115</sup> poczynszy, niczym nie różni się od płodu ryby, amfibii<sup>116</sup> i ssaków?

— Wiem, wiem, znam Darwina<sup>117</sup> i widziałem tablice Haeckla<sup>118</sup>.

— Tym lepiej. Zatem przyzna pan, że dalsze formowanie się płodu, a zwłaszcza jego indywidualizowanie się pozostaje pod wpływem organizmu matki. W terminie „organizm” mieszczę zarówno jego stronę fizyczną, jak i psychiczną. Otóż nauka do dziś oficjalna utrzymuje, że płód już w samym początku musi posiadać cechy psychiczne *a priori*<sup>119</sup> ustalone, gdyż z matką jest połączony wyłącznie kanałem, noszącym nazwę *funiculus umbilicalis*<sup>120</sup>...

— A pępowina? — zastrzegł się Drucki.

— Właśnie — uśmiechnął się doktor Kunoki — o niej mówię. Wszyscy embriolodzy wykluczają możliwość psychicznego oddziaływania matki na płód, ponieważ jedyne połączenie całkowicie pozbawione jest jakiegokolwiek unerwienia. Rozumowanie na pozór słuszne: nerwy nie łączą płodu z matką, zatem oddziaływanie psychiki matki i zaburzeń w tej psychice podczas ciąży nie może odbić się na płodzie. Nie wiem czy mówię dość jasno?

— Najzupełniej.

— Tedy — ciągnął Japończyk — zapatrzenie według tych panów jest nonsensem. Oczywiście tego twierdzenia musi jednak ulec gruntownej rewizji z chwilą odkrycia przeze mnie elektroneuronów w ziarnistych ciałkach Nissla<sup>121</sup>, w protoplazmie komórek nerwowych. Pan wie na czym polega moje odkrycie?

— Bardzo pobieżnie — zawstydził się Drucki.

— Polega na odnalezieniu we krwi i w całym organizmie fal nerwowych półmaterialnych i półenergetycznych, będących emanacją, która ulega ustawicznym a niesłychanie precyzyjnym wahaniom, a ustaje dopiero wówczas, gdy ziarniste ciałka, będące jakby akumulatorami tej energii, ulegną wyczerpaniu, a nie uzyskując nowego naładowania, po prostu znikają. Powoduje to śmierć komórek nerwowych i atrofię<sup>122</sup> samych nerwów. Otóż z chwilą tego odkrycia odpada dość naiwna teoria naszych witalistów, którzy z braku laku kontentują<sup>123</sup> się koncepcją *nisus formativus*<sup>124</sup>, czyli predestynacji<sup>125</sup> owulu do z góry przewidzianego kierunku rozwoju.

— Strasznie to uczone — westchnął Drucki — ale zdaje mi się, że rozumiem, o co chodzi: z chwilą odkrycia pana doktora tłumaczy się naukowo fakt zapatrzenia?

Doktor Kunoki pokiwał głową.

— Niestety, jeszcze się nie tłumaczy. Tylko może być tłumaczony w ten sposób, że matka ma psychiczną komunikację z własnym płodem pomimo braku łączących je włókien nerwowych. Jeżeli mówiłem o telegonii<sup>126</sup>, czyli o psuciu się samicy rasowych, to dlatego, że daje nam ono możliwość naoczego stwierdzenia wpływu płodu na matkę,

<sup>115</sup>owul (neol., z łac.: *ovum*: jajo) — tu zapewne w znaczeniu: *zygota* jako zapłodniona komórka jajowa; z komórki jajowej (żeńskej komórki rozrodczej) w wyniku zapłodnienia, czyli z połączenia z plemnikiem, powstaje zygota, pierwsze stadium rozwojowe nowego, genetycznie unikalnego osobnika potomnego. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>*amfibia* (z gr.) — tu: płaz (np. żaba, salamandra). [przypis edytorski]

<sup>117</sup>*Darwin, Charles* (1809–1882) — brytyjski przyrodnik i geolog, twórca teorii ewolucji. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>*Haeckel, Ernst* (1834–1919) — niemiecki filozof, podróżnik, biolog, zwolennik darwinizmu; dokonał przełomowych odkryć w biologii ewolucyjnej, tworząc pierwsze kompletne drzewo ewolucyjne organizmów żywych i uwzględniając w nim człowieka. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>*a priori* (łac.) — z góry, z założenia. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>*funiculus umbilicalis* (anat., łac.) — sznur pępowinowy, pępowina: przewód łączący zarodek z łóżyskiem, doprowadzający krew i substancje odżywcze. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>*ciałka Nissla* (biol.) — grudkowate, ziarniste struktury w komórkach nerwowych (neuronach), stanowiące miejsca intensywnej syntezy białek. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>*atrofia* (biol., med.) — zmniejszenie się; zanik. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>*kontentować się* — zadowalać się, poprzestawać na czymś. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>*nisus formativus* (łac.) — siła kształtująca; dawny termin oznaczający specyficzną dla organizmów żywych siłę czy też dążność organiczną, która je samodzielnie kształtuje i kieruje ich rozwojem. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>*predestynacja* (z łac.) — przeznaczenie, z góry przeznaczony los; także: koncepcja religijna mówiąca o tym, że pośmiertny los człowieka jest już z góry ustalony przez Boga. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>*telegonia* (z gr., daw. biol.) — powstała w XIX w. pseudonaukowa teoria dziedziczenia, według której samce mogą wpływać nie tylko na cechy swojego genetycznego potomstwa, lecz także na cechy kolejnych potomków tej samej samicy pochodzących od innych samców; istnienie zjawiska telegonii było przez pewien czas akceptowane w środowisku naukowym, ale negatywne wyniki eksperymentów oraz odkrycie przez Mendla

wplywu tak trwałego, że nie ustępuje do końca jej życia, że jaskrawo odbija się na innym jej potomstwie. Dlaczego zatem mamy odrzucać myśl o wpływie odwrotnym matki na płód, o działaniu wrażeń ciężarnej matki na konstytucję płodu?

— Ja osobiście święcie wierzę w zapatrzenie — żarliwie przytwierdził Drucki. — Miałem wiele dowodów, które utrwaliły we mnie to przekonanie. Nawet...

Zawahał się, czy powiedzieć doktorowi Kunoki o synku Załkindów, i urwał, bo właśnie wszedł Brunicki. Widać było, że jest czymś mocno podniecony i zdenerwowany. Zanim przywitał się z Druckim, spojrzął porozumiewawczo na Japończyka, a ten, przeprosiwszy ich, natychmiast wyszedł.

— Jak się masz, Fakirze? — uśmiechnął się z przymusem profesor, podając Druckiemu rękę.

— Ja świetnie, ale ty Karolu, daruj, wyglądasz bardzo mizernie.

— Zmęczyła mnie podróż.

— Właśnie — zapalił papierosa Drucki. — Wyjeżdżałeś za granicę?

Brunicki pochylił głowę.

— Byłem u... Piotra.

— W Szwecji?

— Tak — ponuro powiedział profesor i spojrzął na swego gościa. — Bohdanie! Postanowiłem powtórnie zrobić próbę krwi. Daruj mi, ale wówczas twoją krew brałem nie sam, przysłałeś mi... Czy ja wiem, mogła zajść jakaś pomyłka...

— Ależ jestem do twojej dyspozycji, Karolu.

— Nie miej, Bohdanie, do mnie urazy, gdyż i próbki krwi Piotra nie byłem pewny. Lekarz szkolny w Uppsali<sup>127</sup> również mógł się omylić. Teraz przywiozłem wziętą przeze mnie osobiście...

— Karolu! — zawołał z wyrzutem Drucki. — Przecie rozumiem twój stan, po cóż te skrupuły?! Służę ci.

Profesor szybko wyjął z kieszeni przyrząd iniekcyjny<sup>128</sup> i mały flakonik ze szklanym korkiem. Drucki odsunął mankiet i igła bezboleśnie weszła pod skórę. Po niespełna minucie na dnie flakonika zaczerwiło się kilka kropel krwi.

— Słuchaj, Karolu, mam dla ciebie coś, co pewniej niż ta próba udowodni ci to, że Piotr jest twoim synem.

Brunicki zbladł.

— Jak to?

— Siadaj, Karolu, i posłuchaj.

Drucki opowiedział, podkreślając wszystkie ważne szczegóły, historię Luby, Załkinda i ich synka.

Mówił zwięźle, prosto i treściwie, głosem spokojnym, a jednak Brunicki drżał przez cały czas i stawał się coraz bledszy.

— Otóż, Karolu — kończył Drucki — chłopiec ten jest tutaj, w Warszawie. Tu też są jego rodzice. Ponieważ są moimi przyjaciółmi, na pewno zgodzą się, byś mógł chłopca zbadać osobiście.

Profesor nagle wybuchnął nerwowym śmiechem.

— I cóż mi z tego? — zapytał z wręcz obrażającą ironią.

— Jak to co? — oburzył się Drucki. — Zobaczysz dziecko, które ma oczy podobne do moich jak dwie krople wody, dziecko kobiety, która nigdy nie była moją kochanką.

— Właśnie! Jeżeli nie była nią!

— Karolu! Ona sama gotowa ci przysiąc!

— Ba! — wykrzywił usta Brunicki. — Sam powiadasz, że jest mężatką. Dlaczego nie miałaby przysięgać sto razy?! Wanda też przysięgała.

— Ależ ten chłopak ma rysy podobne do ojca i jego usposobienie.

Profesor wzruszył ramionami.

— To niczego nie dowodzi. Znam wiele wypadków, kiedy dzieci z biegiem lat upodobniają się do przybranych rodziców.

---

reguł przekazywania cech dziedzicznych, potwierdzonych i uzasadnionych późniejszymi ustaleniami genetyki, spowodowały odrzucenie tej koncepcji. [przypis edytorski]

<sup>127</sup> Uppsala — miasto w Szwecji. [przypis edytorski]

<sup>128</sup> iniekcja (med.) — wstrzyknięcie; zastrzyk. [przypis edytorski]

Drucki bezradnie opadł na fotel i niemal jęknął:  
 — Boże drogi! Więc cóż ja ci poradzę!  
 — Owszem, owszem — przetarł czoło profesor — chyba nie zapomniałeś o swojej obietnicy?...

— Nigdy się nie cofam.  
 — To dobrze... Wybacz, Bohdanie, moją niewiarę, ale jest ona silniejsza ode mnie, jeżeli nawet...

Urwał, bo wrócił doktor Kunoki i oznajmił, że podają do stołu.  
 Od ubrania Japończyka zaleciał zapach chloroformu i Drucki przez asocjację<sup>129</sup> przypomniał sobie koty.

Rozejrzał się. Nie było ich w hallu.  
 — A gdzież ta kocia menażeria? — zapytał zdziwiony.  
 — Zdaje się, że na spacerze — wymijająco odpowiedział profesor.  
 Drucki roześmiał się.  
 — Ja mam lepszą! Jeżeli namówię was, panowie, do spędzenia wieczoru u mnie w „Argentynie”, pokażę wam autentyczną kocią muzykę.  
 — Orkiestra naśladuje koty? — zapytał Brunicki, wskazując gościowi miejsce przy stole.  
 — Nie, publiczność. Cała publiczność miauczy.  
 — To może i nam kazalbyś miauczeć? — spróbował żartować profesor.  
 Japończyk posypał solą kawałek chleba i powiedział z przekonaniem:  
 — Pan Winkler powinien to zrobić.  
 Widząc zdziwione wzniesienie brwi profesora, doktor Kunoki dodał:  
 — Rzeczywiście, profesorze, powinien pan dać się namówić przyjacielowi. To jest konieczne dla pańskiego zdrowia. Gdybym wychodził z domu, chętnie bym panom towarzyszył.  
 — Zobaczmy — uśmiechnął się Brunicki — może wybiorę się... A dlaczego, doktorze, nie wychodzi pan z domu?  
 Japończyk zamienił spojrzenie z profesorem i odezwał się innym tonem:  
 — Widzi pan... Nie chcę afszować swojej obecności w Warszawie... Nawet prosiłbym pana, by pan nikomu o tym nie wspominał, że jestem w Polsce i że pozostaję gościem profesora. Nie lubię rozgłosu... Poza tym są jeszcze inne powody...  
 — Nie zamierzam wtrącać się w nie — pośpieszył zapewnić Drucki. — Niech pan mi wierzy, doktorze, że nie zaliczam siebie do gadatliwych.  
 Nastąpiła chwila ciszy. W milczeniu jedli zupę. Wreszcie profesor uznał za stosowne udzielić Druckiemu pewnych wyjaśnień.  
 — Poznałem — zaczął, chrząknąwszy — doktora Kunoki na międzynarodowym zjeździe w Londynie. Ponieważ zaś łączyły nas zbliżone, a poniekąd wspólne zainteresowania naukowe, zaś doktor w swojej ojczyźnie nie miał odpowiednich warunków do prac badawczych, zgodził się przyjąć moje zaproszenie i kilka miesięcy spędzić u mnie.  
 Postukał palcami po stole i z wyraźną intencją zmiany tematu rozmowy zapytał:  
 — Jakże ci się powodzi?  
 — Dziękuję ci. Wybornie.  
 Opowiadał o „Argentynie”, o swoim systemie prowadzenia tego przedsięwzięcia, lecz myśl jego zajęta była nowym, mglistym i tajemniczym punktem w nieprzejrzystym życiu tego domu. Nie, stanowczo nie będzie nad tym się zastanawiać. Bo i w jakim celu? Czy mógłby jakiś użytek zrobić ze swych odkryć, gdyby nawet do jakichś doszedł?... Oczywiście nie. Dla zwykłej zaś ciekawości nie kiwnąłby nigdy palcem. Zresztą przecucie mu mówiło, że usługi, których odeń zażąda Karol, wyświełła i tak wszystko.  
 Tymczasem rozmowa skierowała się znowu na tematy naukowe. Uwaga obu uczonych zbyt silnie, widocznie, była ześrodkowana w tej dziedzinie, by na czas dłuższy mogła odwrócić się od niej.

<sup>129</sup> *asocjacja* (z łac., psych.) — samorzutne kojarzenie ze sobą dwóch niezależnych od siebie zjawisk, wrażeń, pojęć. [przypis edytorski]

Nie martwiło to Druckiego. Szczерze interesował się tym wszystkim, co otwierało mu całkiem nowe strefy poznania, choćby pobieżnego i spopularyzowanego do tego stopnia, jaki jest dostępny dla laika.

Gdy napomknął o tym, doktor Kunoki zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie, proszę pana, te strefy nie tylko dla laików są nowe. Jeszcze lata upłyną, zanim ich nowość przestanie być nowością nawet w laboratoriach biologicznych. Na przykład po dziś dzień biolodzy upierają się przy niewytrzymującej krytyki hipotezie determinacji płci, o czym mówiliśmy w hallu.

— Doktor mówi o z góry ustalonej płci potomstwa? — zapytał Drucki.

— Niezupełnie — ciągnął Japończyk — współczesna genetyka twierdzi, że płeć płodu zostaje ustalona już w chwili zapłodnienia, mówiąc ściślej w chwili kariogamii<sup>130</sup>, gdy następuje *amphimixis*<sup>131</sup>...

— Litości — jęknął Drucki — nie znam tej terminologii!

Japończyk bezradnie rozłożył ręce w stronę profesora. Ten zaś wyjaśnił z uśmiechem:

— Doktor mówi o momencie wnikięcia plemnika w owul. Następuje wówczas zmieszanie się substancji chromatynowych<sup>132</sup> obu komórek płciowych...

— Zaraz, zaraz — przerwał Drucki — bo pragnąłbym zrozumieć. Cóż to jest ta substancja chromatynowa?

— Właśnie — uderzył palcem w stół Japończyk — ci panowie wierzą, że ta substancja zawiera związki dziedziczne. Ich hipoteza powiada, że w owulu jest niezmienny chromosom X, a w plemniku męskim chromosomy dwóch typów: X albo Y. Otóż ich zdaniem spotkanie się owulu z plemnikiem gatunku X daje nam dziewczynkę, a z plemnikiem Y daje chłopczyka!<sup>133</sup> Rozumie pan?

Japończyk wybuchnął śmiechem, a profesor zaśmiał się również.

— A tymczasem jak jest naprawdę? — zapytał Drucki.

— Jak jest naprawdę, jeszcze nie wiemy z zupełną dokładnością — odpowiedział doktor Kunoki — jednakże długotrwałe badania Parkesa<sup>134</sup>, a także i moje skromne wysiłki wykazały, iż płeć płodu ustala się dopiero w łonie matki pod wpływem dwóch czynników. Pierwszy to hormon żeński, czyli folikulina, drugi to prolan<sup>135</sup>, czyli hormon przysadki mózgowej. Jeśli teza okaże się słuszna, już wkrótce będziemy mogli przy pomocy odpowiednich zastrzyków hormonalnych dowolnie ustalać płeć płodu.

— Niesłychane! — zdumiał się Drucki. — Zatem każda kobieta będzie mogła według woli mieć syna lub też córkę?

— Tak.

— Wspaniale!

— Mało tego — uśmiechnął się Japończyk. — Dokładne poznanie sekrecji<sup>136</sup> wszystkich gruczołów da jeszcze bardziej rewelacyjne skutki. Jeżeli pan zechce, będzie pan mógł decydować o wzroście, o sile fizycznej, o kolorze włosów i skóry swego potomstwa.

Nauka, Kobieta, Mężczyzna,  
Dziecko

Nauka

<sup>130</sup>*kariogamia* (biol.) — zlewanie się jąder komórek rozrodczych (u człowieka: komórki jajowej i plemnika) w jedno jądro zygoty. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>*amphimixis* (biol., z gr.) — połączenie gamety żeńskiej i męskiej; termin wprowadzony w 1891, obecnie w jęz. polskim nieużywany. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>*chromatyna* (biol.) — włóknista substancja występująca w jądrze komórkowym, zbudowana z DNA, histonów, niehistonowych białek i małej ilości RNA; stanowi główny składnik chromosomów i jest nośnikiem genów. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>*[Ich hipoteza powiada, że (...) spotkanie się owulu z plemnikiem gatunku X daje nam dziewczynkę, a z plemnikiem Y daje chłopczyka!]* — jest to opis systemu determinacji płci XY (płci chromosomalnej, genotypowej), odpowiadający obecnej wiedzy naukowej, potwierdzonej szczegółową wiedzą genetyczną; płeć chromosomalna nie decyduje bezwzględnie o wszystkich cechach uznawanych za wyróżniki płci, dlatego współcześnie do określenia płci danej osoby stosuje się kilka kryteriów, m.in. płeć hormonalną; streszczona przez doktora Kunokiego koncepcja regulowania pewnych cech płciowych hormonami zasadniczo nie jest sprzeczna z opisanym procesem powstania płci genotypowej. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>*Parkes, Alan Sterling* (1900–1990) — angielski biolog zajmujący się rozrodczością; badał m.in. kontrolę hormonalną drugorzędnych cech płciowych u ptaków. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>*prolan* (daw. biol.) — utworzone w 1928 ogólne określenie jednego z dwóch hormonów gonadotropowych wytwarzanych w przysadce mózgowej: hormonu folikulotropowego (folikulotropiny) oraz hormonu luteinizującego (lutropiny), które u kobiet pobudzają dojrzewanie pęcherzyków jajnikowych i produkcję estrogenów, zaś u mężczyzn kontrolują czynność jąder i produkcję plemników. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>*sekrecja* (z łac.; biol.) — wydzielanie; wydzielina. [przypis edytorski]

— Fenomenalne! I wszystko przy pomocy zastrzykiwania takich czy innych hormonów?

— Oczywiście.

— No, a czy można będzie wpływać także na rozwój inteligencji, na poziom umysłowy dziecka?

— Przypuszczam, że tu także hormony odegrają swoją rolę. Na razie zaś jest to już teraz do pewnego stopnia możliwe przez stosowanie hipnozy...

— Nie rozumiem — przerwał Drucki.

— To bardzo proste — z uśmiechem wyjaśnił Japończyk — kobiecie ciężarnej w śnie hipnotycznym sugeruje się pewne wrażenia, które, ustalając się w jej psychice, oddziałują na tworzenie się psychiki płodu...

— Tak — westchnął Brunicki — ale nie myśl, by w tym względzie można było osiągnąć wyniki bodaj zadowalające.

— A to dlaczego?

— Bo, *primo*<sup>137</sup>, poglądy te pozostają jeszcze w dziedzinie teorii, a *secundo*<sup>138</sup> nie mogą być sprawdzone w praktyce, gdyż eksperymentowanie jest zakazane prawem.

Wstali od stołu i zapalili papierosy.

— W każdym razie — zachwycał się Drucki — to jest po prostu cudowne! Do czego dochodzi geniusz człowieka!...

Japończyk zatrzymał go ruchem ręki.

— Niech się pan tak nie entuzjazmuje umysłem ludzkim. Są istoty, które od milionów lat umieją dowolnie wpływać na formowanie się swego potomstwa. Chodźmy do biblioteki. Zaraz panu pokażę rezultaty ich systemu.

— O jakich istotach pan mówi?

Japończyk sięgnął na półkę i zdjął z niej tom oprawny w skórę.

— O mrówkach i termitach. Zwłaszcza o termitach.

Odwrócił kilkadziesiąt kart i podsunął Druckiemu barwną tablicę.

— Widzi pan te owady?

— Tak. To są różne gatunki termitów?

— Myli się pan. To jest czternaście różnych typów jednego i tego samego gatunku, wyhodowanych z identycznych pod każdym względem jajeczek.

Istotnie, trudno w to było uwierzyć. Tablica przedstawiała owady niemal zupełnie do siebie niepodobne. Jedne małe z olbrzymimi głowami, drugie skrzydlate, trzecie posiadające oczy, inne całkiem pozbawione szczęk. W samym środku był olbrzymi owad.

— To jest matka — objaśnił Japończyk. — Ta dama ma zwyczaj znoszenia przez całe życie, trwające do piętnastu lat, znoszenia trzech tysięcy jajeczek na godzinę i jest osiem tysięcy razy większa od każdego termita. Gdy zdechnie ze starości, termity z pierwszego lepszego jajeczka wyhodują jej następczynię. Z tegoż samego jajeczka mogą jednak równie dobrze wyhodować każdy z czternastu typów, różniących się morfologicznie<sup>139</sup> do tego stopnia, że uczeni przez całe wieki uważali je za całkiem różne stworzenia.

— No, dobrze — dziwił się Drucki — ale jakże one to robią?

— Niestety, na to pytanie nauka jeszcze odpowiedzi nie dała. Wiadomo tylko, że nie decyduje tu rodzaj pokarmu, gdyż wszystkie termity żywią się wyłącznie celulozą. Natomiast ilości pokarmu są zmienne, no i prawdopodobnie stosowane są już na jajeczkach masaże, tudzież termo- i hydroterapia<sup>140</sup>. Jak pan widzi, termity wyprzedziły znacznie człowieka w umiejętności hodowania swego gatunku tak, by społeczeństwo miało specjalistów do różnych prac.

— Kapitalne! — zawołał Drucki.

— Teraz chyba nie imponują ci już te wyniki, do jakich doszła biedna ludzka nauka? — zapytał Brunicki.

— Czyżbyś sądził, że kiedyś i ludzie będą, jak termity, hodować kilkanaście typów człowieka?

<sup>137</sup>*primo* (łac.) — po pierwsze. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>*secundo* (łac.) — po drugie. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>*morfologicznie* (z gr.) — pod względem *morfologii*, tj. formy i budowy. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>*termopatía i hydropatía* — dziś zwykle: termoterapia i hydroterapia, tj. metody polegające na leczeniu ciepłem, zimnem albo wodą. [przypis edytorski]

Profesor z powagą skinął głową, a Japończyk powiedział:

— Naturalnie. Będziemy wtedy mieli monstrualnie silnych robotników fizycznych, naukowców o olbrzymim mózgu, pianistów o niesłychanie rozwiniętym słuchu i o palcach znacznie dłuższych...

— Boże drogi! — wybuchnął Drucki. — I przecie mówicie mi to panowie! Ludzie wielkiej wiedzy! A brzmi to jak fantastyczna powieść!

Profesora wezwano do telefonu. Drucki pozostał z doktorem Kunoki, który w dalszym ciągu tłumaczył mu działanie różnych hormonów.

Było już ciemno na dworze, gdy Drucki pożegnał się z nim i z Brunickim.

— Do widzenia — ścisnął dłoń profesora — a wpadnij do „Argentyny”. Nie pozalajesz.

— No dobrze, dobrze, spróbuję — uśmiechnął się Brunicki.

Gdy znaleźli się w przedpokoju, Drucki zapytał:

— Więc nie chcesz widzieć tego chłopca?

— Nie, nie!... Zresztą zadzwonię do ciebie... To nie ma celu...

— A kiedy zbadasz krew, proszę cię, Karolu, zawiadom mnie o wyniku.

Brodaty służący zamknął za nim furtkę i z nieoczekiwaną życzliwością powiedział przez kratę:

— A niech pan uważa, bo dziś ślisko.

— Dziękuję — kiwnął mu Drucki — będę się trzymał wiatru.

Istotnie po całodziennej odwilży chwycił lekki mróz i wszystko pokryło się szkliwem gołoledzi. Niebo zaczynało się iskrzyć. Na zachodzie różowiło się ostatnimi resztkami dnia.

W hotelu czekał Załkind, co zdziwiło Druckiego, gdyż nie było to w jego zwyczaju. Ani do „Argentyny”, ani do „Bristolu” nie przychodził nigdy.

Okazało się, że tym razem szło o rzecz ważną. Gdy znaleźli się w numerze Druckiego, Załkind po paru słowach wyjaśnił:

— Pamięta kapitan, co mówiłem o moim kontrakcie leśnym i o tych łobuzach Fajersonach?

— A tak. Milionowa historia?

— Milionowa — potwierdził Żyd. — Otóż oni zawładnęli moim kontraktem i chcą przystąpić do wyrębu lasu. Ja nie wiem, co mam robić. Przecie nie dam sobie wydrzeć takich pieniędzy.

— Podać do sądu.

Załkind zaczął tłumaczyć, dlaczego tego zrobić nie może. Na przeszkodzie stoi fakt, że obie strony nie są tu z prawem w porządku. Pozostaje tylko siłą lub podstępem odebrać kontrakt. Otóż czy kapitan nie zgodziłby się pojechać do Białowieży i załatwić się z tymi Fajersonami?

— Kiedy trzeba jechać? — krótko zapytał Drucki.

Załkind wyjaśnił, że jeszcze nie wie — może za tydzień, a może i za kilka miesięcy. Chodzi tylko o zasadniczą zgodę kapitana.

— Więc dobrze, może pan na mnie liczyć.

Załkind mocno potrząsnął jego ręką. Dodał jeszcze parę szczegółów i biorąc kapelus, powiedział:

— Mam jeszcze jedno do kapitana.

— Cóż takiego? — wesoło zapytał Drucki, widząc zakłopotanie gościa.

— Widzi pan, kapitanie, jutro są imieniny Luby. To ona się martwi, że kapitan nie wie. Niech pan nie zdradzi mnie, że ja pana uprzedziłem, ale jej będzie tak przyjemnie, jak się okaże, że pan pamiętał. Czy dobrze?

— Ależ dziękuję panu, Jack, oczywiście będę u was!

— I to jeszcze — uśmiechnął się Załkind — że u nas wieczorem będzie dużo gości. Ale co to za towarzystwo? Sami Żydzi!... To nie dla pana...

— Niby dlaczego?...

— Nie dla pana i już. Ja wiem, co mówię. Ale na obiedzie to my będziemy sami i tylko moja siostrzenica, studentka. Jakby pan tak niespodziewanie przyszedł, tożby się Luba ucieszyła!

Drucki solennie obiecał, po czym przystąpił do omawiania interesu. „Argentyna” rzeczywiście dawała poważny dochód i Załkind był zachwycony. Robił trochę wymówek Druckiemu za to, że ten przysłał mu księgi buchalteryjne<sup>141</sup> do sprawdzenia, ale przyznał, że takimi księgami to warto się pochwalić.

— No i widzi pan, kapitanie — powiedział na wychodnym — że miałem rację. Pan to żywy kapitał!

Jeszcze raz poprosił o przemilczenie tej wizyty przed Lubą i wyszedł.

„Ten ją kocha!” — pokręcił głową Drucki i pomyślał, że sam nie byłby zdolny do takiej miłości. Kochał kobiety, żyć by bez nich nie umiał i nie miałby po co, ale kochał wszystkie. Niemal w każdej odkrywał jakiś nowy indywidualny wdzięk, jakiś niespotykany szczególnie urody, rys temperamentu czy oryginalny ustrój psychiczny, który go pociągał. Nie umiał i nie chciał wyrzekać się tych powabów życia, które urobiło jego bujną naturę, intensywnego życia, wysysanego do ostatniego włókna.

Przebrał się i pojechał do „Argentyny”.

Wszystko było w porządku, wszyscy na swoich miejscach, w oczekiwaniu na publiczność, która niebawem zacznie napływać.

Przejrzał zamówienia na stoliki i łoża i powiedział kasjerowi:

— No, dziś będzie ładne żniwo! Wszystkie łoża zamówione i to nie przez byle kogo.

— Ba — wyszczerzył zęby kasjer — a ile osób musieliśmy odprawić z kwitkiem. Telefonował dyrektor Szulc, później ten Radwan, co to ma konie na wyścigach, jakiś cudzoziemiec, mecenas Łęczycki, inżynier Fum...

— Co?! — przerwał Drucki. — Mecenas Łęczycki? Kiedy telefonował?

— Może kwadrans temu.

— I co? Chciał łożę?

— No tak, panie dyrektorze, ale już były wszystkie zamówione. Później dzwonił pan Krupin...

— Czekaj pan, do pioruna! Gdzie książka telefoniczna? Daj pan!

Szybko przerzucał kartki katalogu. Znalazł numer i zadzwonił:

— Tu mówi Winkler. Dobry wieczór panu mecenasowi.

— ...

— Podobno pan mecenas chciał dziś mieć łożę u mnie?

— ...

— Panie mecenasie, dla pana zawsze. Jakoś sobie dam radę. Pan będzie łaskaw. Zarezerwuję.

— ...

— Niezmiernie mi miło. Do zobaczenia.

Położył słuchawkę i podniósłszy wskazujący palec, powiedział:

— Uważaj pan! Ile razy mecenas Łęczycki chce mieć łożę, łoża musi być! Co innego stolik na sali, ale łoża musi być!

— Ależ, panie dyrektorze — sumitował<sup>142</sup> się kasjer — wszystko było zajęte!

— To uwolnić! Pokaż pan spis... O, patrz pan, na przykład ten Holzer. To bardzo miły chłop i na pewno się nie obrazi. Dzwonił pan do niego i przeprosił, że nie możemy służyć, że zaszła pomyłka, i daj mu pan stolik przy orkiestrze. On lubi hałas.

Przejrzał się w lustrze i przesunął dłonią po podbródku.

— Jak pan myśli — zapytał — czy nie warto się ogolić?

— Ależ po co? Pan dyrektor zupełnie przyzwoicie wygląda.

Do gabinetu weszła panna Teczka i Drucki z miejsca ją zapytał:

— Jak, mała, nie uważa pani, że powinienem się ogolić?

Zaśmiała się.

— Nie. Im gorzej będzie pan wyglądał, tym lepiej.

— Więc dobrze — odpowiedział półgłosem, gdy kasjer zabrał się do telefonu — dobrze zazdrośniczo, nie ogolę się, a ty pierwsza będziesz ukarana. Nie narzekaj, gdy ci buzię pokłuję!

Pogroził jej palcem i poszedł do bufetu.

<sup>141</sup>buchalteria — księgowość. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>sumitować się (przestarz., z łac.) — tłumaczyć się, usprawiedliwiać się. [przypis edytorski]

Goście zaczęli się schodzić, orkiestra już grała. Zajrzał do garderoby „artystek”. Była tylko *signorita* Fiametta, która mierzyła błyszczący diadem z różnobarwnych szkiełek.

Na widok Druckiego spłoszyła i oparłszy się plecami o ścianę, zapytała:

— Co pan dyrektor każe?

Drucki wziął ją pod brodę.

— Nie złość się, mała, co cię znów ugryzło?

Kazia zacisnęła wargi.

— No, mówże, mała!

— Pan jeszcze pyta?! — wybuchła. — Myśli pan, że nie wiem, że ta Teci, ten ślimak, ta dziewczica patentowana, ta fałszywa gęś do pana chodzi! Wszystko wiem, widziałam wczoraj sama! Tak na własne oczy!

Gwałtownie oddychała, zaciskając pięści.

— No i cóż z tego, żeś widziała? — zimno zapytał Drucki.

Ponieważ milczała, dodał:

— Co ci do tego?... Nie tylko tamta bywała, ale i inne. Bywały, bywają i będą bywać. Zwariowałaś, czy co? Może upstrzyłaś sobie, że przysięgnę ci wierność?

— Tak, tak... bo ja jestem taka...

Drucki wzruszył ramionami.

— Ani taka, ani owaka. Jesteś taka, jak każda inna, i masz takie same prawa, to znaczy, że nie masz żadnych. Chcesz, dobrze — nie chcesz, drugie dobrze. Śmieszna jesteś.

Chwyciła go za rękę.

— Nie gniewaj się! Ja przepraszam, to ta głupia zazdrość.

— Nie gniewam się. Ale wymagam, byś była rozsądna. I ani mi się waży zrobić jakąkolwiek przykrość pannie Teci.

— Nienawidzę jej.

— Na zdrowie. Ale uprzedzam, że jeżeli tylko coś... No!... To rozstaniemy się z trzaskiem. A teraz daj pyszczek i przebieraj się.

Zarzuciła mu ręce na szyję. Drucki pogładził ją po włosach i wyszedł.

Obchodził salę, witając się z bywalcami.

„Przyjdzie, czy nie przyjdzie?” — myślał.

Zapowiedział służbie, by natychmiast zawiadomiono go, skoro tylko przyjdzie towarzystwo mecenasa Łęczyckiego. Zatrzymał kwiaciarkę i kazał jej wybrać pęk, duży pęk róż dla pani, która będzie w łoży numer 9.

— Wiem, panie dyrektorze — uśmiechnęła się dziewczyna — mają być najładniejsze i białe.

— Tak... albo, hm... niech będą czerwone.

Przyszła około dwunastej z mecenasem i z tym pocziwym doktorem. Może bywaliby częściej, ale ceny „Argentyny” prawdopodobnie są na ich kieszeń za wysokie. Drucki zatrzymał kelnera.

— W dziewiątce, panie Wrzosek, proszę liczyć o trzydzieści procent niżej.

— Dobrze, panie dyrektorze.

— Ale! Tylko delikatnie, rozumie pan? Nie rabat z całego rachunku, tylko każdą pozycję obniżyć. Kasjerowi wydam dyspozycję.

Drucki umyślnie do pierwszej nie poszedł na górę. Widział z kąta, jak kwiaciarka odniosła róże, widział, jak z łoży wyglądano. Dopiero gdy zaczęły się produkcje, zjawił się w łoży Łęczyckiego.

Alicja tu była trzeci raz, a za każdym razem wydawała mu się ponętniejsza. Od dawna nie interesowała go tak żadna kobieta. Instynktownie trzymał się w jej obecności nieco sztywno, lecz nie usiłował wcale maskować swego zachwyty dla jej urody.

Czuchnowskiego obecność Druckiego doprowadzała do rozpacz. Czuł się przy nim słaby i bezbronny tym bardziej, im więcej Drucki okazywał mu pobłażliwej życzliwości. Doktor wszystkimi siłami odpędzał od siebie myśl, że Alicja upodobała sobie „Argentynę” właśnie dla dyrektora Winklera. Cóż nadzwyczajnego, że skoro już tu jest, zamieni z nim kilka zdań? Ten Winkler, chociaż Amerykanin, jest wcale *comme il faut*<sup>143</sup>...

<sup>143</sup>*comme il faut* (fr.) — jak należy. [przypis edytorski]



Orkiestra huczała oszalamiającym rytmem, powietrze, przesycone zapachem wina i perfum, podniecało. Łęczycki gęsto dolewał koniaku.

Gdy Alicja z uśmiechem dziękowała za różę, Drucki powiedział:

— Pragnąłbym, by nie straciły świeżości do czasu, gdy będę miał możliwość zastąpić je innymi.

— Zbyt wiele wymaga pan od kwiatów — spojrzała mu śmiało w oczy — chociaż lubię różę i zapewniam pana, że dołożę wszelkich starań, by przetrwały jak najdłużej.

— Źle mnie pani zrozumiała — zaoponował. — Ja wołałbym, by zwiędły do jutrzejszego wieczoru.

— Nie ma pan współczucia dla kwiatów — udawała, że nie zorientowała się w jego intencjach.

— Cóż robić — westchnął z komiczną skruchą — jestem egoistą.

Czuchnowski poczerwieniał i zapytał:

— Jak to mamy rozumieć?

Zanim Drucki zdążył otworzyć usta, Alicja wyjaśniła:

— Dyrektor Winkler dba bardziej o frekwencję publiczności niż o życie róż.

— Che... che — z dowcipną miną wtrącił Łęczycki, obierając banana — nie czas żałować róż, kiedy, panie drogi, lasy płoną.

Powiedział to ni w pięć, ni w dziewięć, sądząc, że robi dobry dowcip, lecz Alicja nie wiadomo dlaczego zmieszana się i zapytała:

— Czy urządzi nam pan dzisiaj kocią muzykę?...

— Nie — z tajemniczym podniesieniem brwi odpowiedział Drucki — na dziś mam coś nowego.

— O! Znowu coś nowego? Więc też i nie rebusy muzyczne?

— Nie.

— Niechże nam pan wyjawi tę tajemnicę. Musi pan uwzględnić to, że jako kobieta jestem zaciekawiona.

— Więc dobrze, ale powiem to tylko pani. Panowie będą cierpliwi.

Pochylił się do ucha Alicji, lecz Czuchnowski zawołał:

— Nie, nie! Niech dyrektor nie mówi. Lepiej mieć niespodziankę.

Alicja uśmiechnęła się doń słodko:

— I sądzisz, że pan Winkler mi nie powie?

— No — speszył się jej tonem doktor — tak myślę...

— Zatem będziesz miał jeszcze jedną niespodziankę. Słucham, dyrektorze.

Umyślnie tak zbliżyła ucho do ust Druckiego, że omal ich nie dotknęła. Zapach jej włosów i skóry napełnił jego nozdrza.

— Niech pani ma trochę litości dla doktora — szepnął przerywanym głosem.

— Nie wart jej — powiedziała głośno, nie odrywając ucha. — Więc?

— Będzie zabawa w kozy neapolitańskie — szepnął.

— Dziękuję — skinęła głową — to może być ciekawe.

Drucki przeprosił towarzystwo i zbiegł na salę.

Po kilku popisach i kilku ogólnych tańcach zjawił się w środku ringu witany oklaskami i zaczął objaśniać: pod Neapolem jest multum<sup>144</sup> kóz i owiec. Całe stada. O zachodzie stada wracają do zagród i drogi polne wyglądają wówczas jak spienione potoki białej wełny, nad którymi unosi się nieustająca wielotonowa symfonia.

— Proszę państwa! Nazwałbym tę symfonię beee-mol, gdyby nie było w niej i meeee-mol! Dlatego zwracam uwagę na konieczność uwzględnienia sprawiedliwego podziału między kózki i owieczki! Nie namawiam was, drodzy państwo, byście beczeli z przekonania. I tak wiem, że to zrobicie. Wystarczy, jeżeli pamiętać będziecie o strzyżeniu, jakie was nie ominie pod postacią rachunku!

Hałas śmiechu i oklasków napełnił salę. Jakiś tęgi niski jegomość z sumiastymi wąsami zerwał się od stolika i ryknął:

— Setny<sup>145</sup> chłop z pana! Jak Boga jedynego kocham! Niech mnie piorun strzeli, ale takiemu dam się nawet ostrzyć!

<sup>144</sup>multum (z łac.) — mnóstwo; wielka ilość. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>setny (daw.) — znakomity, wyborny. [przypis edytorski]

Siwiejąca dama przemocą ciągnęła grubasa za połę, reflektując<sup>146</sup> go:

— Siadajże! Wszyscy patrzą!

— Dajże mi spokój! — zirytował się wąsal. — To cóż z tego, że patrzą! Właśnie niech patrzą!

— Brawo! Brawo! — wołano zewsząd.

— Dyrektorze — z coraz większą pasją wołał grubas — brudzia<sup>147</sup>! Napiję się z panem brudzia! Niech mnie piorun trzaśnie!

— Z rozkoszą! — ze śmiechem zawołał Drucki.

Grubas napełnił dwa kielichy, wypili wśród radości całej sali, po czym wąsal wziął w objęcia Druckiego, a właściwie jego talię i zaczął ścisnąć.

Orkiestra huknęła fanfarą.

Drucki z wolna się wyprostował i oto nogi grubasa zawisły w powietrzu. Przylepiony do wysokiej sylwetki Druckiego wyglądał jak olbrzymi pękaty worek.

Drucki z wolna zaczął się obracać w kółko. Raz, drugi, trzeci, coraz prędzej. Nogi grubasa opisywały teraz szerokie koło, orkiestra przeszła w furię rytmu, bęben zaterkotał.

— Brawo! Brawo! — krzyczano.

Mężczyźni zbliżyli się do ringu. Z łóż sypały się oklaski.

Wreszcie Drucki stanął jak wryty, niespodziewanym chwytem pod ramiona podniósł grubasa na całą długość rąk i postawił na ziemi.

Nieopisany hałas napełnił salę. Grubas, nieco skonsternowany, ścisnął rękę Druckiego i chwytając się na nogach, nalewał mu wina. Wszyscy wstali z miejsc; niektórzy, stojąc na fotelach, wymachiwali rękoma. Jakiś pan wgramolił się na brzeg basenu fontanny, zachwiał się, rozpaczliwym ruchem usiłował uratować równowagę, chwytając się za strugę wody, i chlupnął do basenu, rzęsiście opryskując sąsiednie stoliki. przy których na szczęście w tej chwili nikogo nie było.

— Topielec! Ratować tonącego! — rozległy się wesole krzyki.

— Rzucić mu pas ratunkowy!

— S. O. S.!

— Ratunku! Ratunku! — wydzierał się topielec, siedząc wygodnie w wodzie i ani myśląc wychodzić.

— Panie! Tu nie wolno się kąpać! Wylaż pan na plażę!

— Panowie! Pole do popisu dla bohaterów! Medal za ratowanie tonących.

Wśród niebywalej wrzawy wydobyto go z wody, służba owinęła pechowca w wielki obrus, spod fałd którego dochodził gromki głos:

— Na miłość boską dajcie koniak! Pół mego królestwa za kieliszek koniak!

Podczas gdy gwar nie ustawał, wyniesiono ofiarę katastrofy do gabinetu dyrekcji. W pięć minut potem pomocnik portiera pędził samochodem do domu poszkodowanego, a po kwadransie wrócił z kompletem garderoby, gdyż gość uparł się, że nie wyjdzie. Jego powrót sala powitała gromkimi brawami.

Tymczasem rozpoczęła się zabawa „becząca”.

Alicja siedziała nieruchoma. Jej czarne oczy, do połowy przysłonięte powiekami, wyrażały bunt i gniew. Ileż radości kipiącego życia jest na świecie! Dlaczego, dlaczego przepływa to obok niej, dlaczego nie może się w tej fali zanurzyć? Dlaczego ten człowiek zajmuje się tym tłumem? Przecie musi czuć, że fala ta obok niej przepływa... Czy chce tę falę tak rozhuścić, by sięgnęła aż tutaj...

Drucki stał w środku i dyrygował.

Sala rozbrzmiewała bezsensownym, głupim, niedorzecznym beczeniem, rozkosznym, dziecinnym, żywiołowym... Ta wspaniała, orla linia czaszki... ten imperatywny<sup>148</sup> załam linii brwi, iskrzące się oczy i to ubranie, któremu się tylko zdaje, że okrywa smukłe mięśnie.

Ocknął ją brzęk i lekki ból: tak, zgniotła w rękę kieliszek.

<sup>146</sup>reflektować kogoś (daw.) — przywozić kogoś do opamiętania, rozwagi; uspokajać. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>brudzio (pot. żart.) — bruderszaft (niem.: braterstwo); zwykle w zwrotach: wypić, pić brudzia, tzn. dokonać ceremonii poprzedzającej przejście z kimś z form oficjalnych na mówienie sobie po imieniu, „na ty”, polegającej na wypiciu po kieliszku alkoholu, wymianie pocałunków i przedstawieniu się sobie imionami. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>imperatywny (z łac.) — rozkazujący; stanowczy. [przypis edytorski]

Krew i wino rozpląły się na obrusie barwną mapą.  
 — Boże! — jęknął Czuchnowski i zerwał się z miejsca. — Alu! Co ci jest?  
 — Rozbiłam kieliszek — wzruszyła ramionami.  
 Doktor umoczył serwetę w kubie z lodem i pieczołowicie wycierał pokaleczoną dłoń.  
 — No, szczęście — mruczał — że to tylko powierzchowne.  
 Obwiązał jej rękę chusteczką.  
 — Chodźmy — powiedziała Alicja.  
 Zbierali się do wyjścia i doktor wziął różę, lecz Alicja zatrzymała go:  
 — Nie, tak nie można. Gotowe zmarznąć. Każ kelnerowi zapakować w bibułkę i jeszcze w gruby papier.  
 W westybulu spotkali Druckiego. Stał z jakimiś panami, lecz zaraz ich przeprosił i zbliżył się do Alicji.  
 — Bardzo dziękuję państwu — powiedział z głębokim ukłonem — i proszę pamiętać o „Argentynie”.  
 Służba podawała Czuchnowskiemu i Łęczyckiemu futra.  
 — Nie wiem — odezwała się, patrząc na sufit, Alicja — czy będę miała czas...  
 — Musi pani znaleźć — uśmiechnął się do niej z jakąś niespodzianą dla obojga poufalością.  
 — Dlaczego to aż muszę? — zmierzyła go zimnym spojrzeniem.  
 Sądziła, że się zmiesza, lecz Drucki nie opuścił oczu i powiedział krótko, bez uśmiechu:  
 — Bo proszę. Bardzo proszę.  
 Przygryzła wargi i odwróciła się do szatni.  
 — No? Jeszczeście nie gotowi?  
 — Już, już — oznajmił Łęczycki, borykając się z rękawem.  
 Alicja skinęła Druckiemu głową i nie podając mu ręki, wyszła.  
 Portier z domyślnym uśmiechem zapytał:  
 — Co, panie dyrektorze, klasa kobita?  
 — Co? — ocknął się Drucki. — Klasa? Macie rację, braciszku! — dodał ze śmiechem i tak go klepnął po ramieniu, aż ten przysiadł.  
 Łęczycki zaproponował Alicji, że ją odprowadzi, lecz ta podziękowała.  
 — Mam z doktorem do pomówienia. Siadajmy, Władku, tylko uważaj! Zgnieciesz kwiaty!  
 — Słucham cię, Alu — odezwał się Czuchnowski, gdy wóz ruszył.  
 — Poczekaj, pomówimy na miejscu.  
 — Czy to wypada — zafrasował się doktor — bym teraz, w nocy, wchodził do twego mieszkania.  
 W odpowiedzi tylko wzruszyła ramionami.  
 Przeczuwał przykrą rozmowę i bezradnie spoglądał na zegarek. Ona jednak nie zwracała nań żadnej uwagi.  
 Przemówiła dopiero wówczas, gdy znaleźli się w jej pokoju:  
 — Proszę cię, byś mi wyjaśnił, co mają oznaczać twoje niemądre odezwania się i dzikie miny?  
 — Jakie miny?  
 — Nie udawaj. Wiesz doskonale, że mówię o twoich manifestacjach przeciw panu Winklerowi.  
 — Chyba... chyba... nie możesz się temu dziwić... przecie kocham ciebie...  
 — I cóż z tego?  
 Czuchnowski zbladł.  
 — Przecie nie mogę znosić, by ktoś tak nachalnie zachwycał się tobą, jak ten... ten...  
 — Dlaczego? Cóż ci to przeszkadza? — niemal prowokacyjnie zapytała Alicja.  
 — Przeszkadza! Przeszkadza, bo mam oczy — wybuchnął doktor — bo widzę, że tobie to sprawia przyjemność, bo widzę, że on też się tobie podoba! Lecz dość tego! Moja cierpliwość też ma swoje granice! Więcej nie pójdziemy do tej spelunki!  
 Alicja wybuchnęła śmiechem:  
 — Ze co? Co ty mówisz? Cha... Cha... To paradne!... Od kiedy to nauczyłeś się tego tonu?  
 Czuchnowski nie panował nad sobą:

— Dość tego! Mam tego powyżej uszu! I tej spelunki, i tego draba, i tych jego ohydnych kwiatów!

Chwycił nierozpakowane jeszcze róże i cisnął nimi o podłogę.

Alicja drgnęła.

— Podnieś! — powiedziała groźnie.

— Nie podniosę!

— W tej chwili podniesiesz — powtórzyła spokojnie.

Czuchnowski jęknął, podniósł bukiet, po czym bezsilnie upadł na krzesło.

Zapanowała cisza. W sąsiedniej jadalni zegar wybił szóstą.

— Dlaczego ja tak ciebie kocham, dlaczego tak kocham — wybuchnął goryczą Czuchnowski. — Och, nie dziwię się teraz twemu mężowi, że cię porzucił, że zwariował...

— Mylisz się — obojętnym głosem zaprzeczyła Alicja — mój mąż porzucił mnie z innego powodu. Zawsze był ciekaw, dlaczego? Nigdy nie zdobyłeś się na zapytanie mnie o to. Teraz powiem ci sama. Paweł podczas nocy poślubnej przekonał się, że nie byłam dziewczącą... I nie mógł tego znieść, nie mógł, nie umiał z tym się pogodzić... Porzucił mnie, chociaż nie przestał mnie kochać, a nawet obwiniać mnie nie miał prawa...

— Jak to, nie miał prawa?...

— On tak mówił i ty też to przyznasz. Straciłam niewinność, mając lat czternaście. Silny był, szedł za mną ulicą, wszedł na schody, przemocą wdarł się do mieszkania, w którym, niestety, nikogo nie było. Wziął mnie gwałtem...

— Straszne!... — jęknął Czuchnowski.

Alicja zacisnęła palce.

— I widzisz, Paweł pomimo to nie mógł mi przebaczyć!...

— Ależ na miły Bóg! Czyż nie było nikogo w pobliżu? Czyż nie mogłaś krzyknąć?!

— Owszem — wzruszyła ramionami — broniłam się, krzyczałam, wreszcie ktoś zaczął się dobijać do drzwi. Wówczas on wyskoczył oknem z pierwszego piętra... Bardzo był silny i zręczny...

— No i co? Paweł nie uwierzył ci?

— Uwierzył. Musiał uwierzyć. Przecie wówczas zrobiła się wielka awantura, z policją, z badaniami lekarskimi, z kompromitacją całej mojej rodziny. Paweł mógł nawet znaleźć opis w dziennikach...

— Straszne! A ten łotr? Złapali go?

— Nie. Zresztą cóż by to mi pomogło. Paweł i tak nie wróciłby do mnie.

— Po coś mi to powiedziała? — zawołał nagle z wyrzutem.

Alicja założyła nogę na nogę i potrząsnęła głową.

— Opowiedziałem to dlatego, byś wiedział, dla jak szaleńczych, jak zbrodniczo głupich pretensji Paweł złamał życie i mnie, i sobie. Nedorzeczna, potworna zazdrość o moją przeszłość, której nie byłam winna, zazdrość o moją krzywdę... O, nie mój drogi!... Dlatego właśnie powiedziałam ci to wszystko, byś pojął, że za żadne skarby na świecie nie będę żoną człowieka, który z zazdrości dostaje obłędu, przestaje panować nad swymi nerwami i potrafi urządzić sceny. Chcę być niezależną panią swoich zamiarów, a chociażby zachcianek. Dziś poznałam cię dostatecznie. I miałeś słusność, żeś powiedział słowo: „dość”.

— Alu!...

— Nie przerywaj, proszę. I jeszcze jedno: bądź tak uprzejmy, nie rób tu tragedii. Postanowiłam zerwać narzeczeństwo. Od początku było ono warunkowe i od początku nie miało sensu. Wiedziałeś, że nie kocham ciebie, że na uczucia macierzyńskie jesteś za stary, a na uczucia kobiety za słaby. Dość tego. Uroiłeś sobie jakieś prawa do mnie.

— Przecie, sądzę, że jako narzeczoney mam prawo...

— Jesteś naiwny. Jeżeli wobec kobiety mężczyzna powołuje się na swoje prawa, dowodzi tym, że nie ma żadnych. Prawem dla kobiety jest bezprawie, narzucona wola, przemoc moralna. Takie prawo kobieta czci i sama w sobie nosi jego sankcje.

Wstała i rozwinęła kwiaty. Pokój napełnił się zapachem róż.

— Cieszę się, że zrozumiałeś mnie — ciągnęła, ustawiając bukiet wazonie. — Małżeństwo nasze byłoby nedorzecznością. Przyznasz chyba, że nigdy nie potrafiłbyś narzucić mi swojej woli, a ja nie znajduję przyjemności w użeraniu się o tysiące drobniactw i w łatwych zwycięstwach.

Zazdrość

Przemoc, Kobieta

Mężczyzna, Kobieta, Prawo

— Alu — szepnął, nie patrząc na nią, Czuchnowski — błagam cię, byś cofnęła swoją decyzję, i daję ci słowo, że nigdy już nie dam ci powodów do niezadowolenia.

— Pyszny jesteś — zaśmiała się — nie spostrzegasz, że tym samym dajesz mi powód więcej niż do niezadowolenia, godząc się na rolę pieska na smyczy.

— Alu!...

— Nie obrażaj się. Tak, Władku, dawno już wyzbyłam się nadziei, że będziemy mogli stanowić parę równych i jednakowo od siebie zależnych ludzi. To była utopia.

Czuchnowski zaczął mówić, prosić, żebrać chociażby o prolongatę<sup>149</sup>, rozplakał się, malując beznadzieję swojej samotności, drżał na całym ciele, starając się wytłumaczyć, jak bardzo ją kocha — na próżno. Alicja nie miała zwyczaju zmieniania swoich postanowień i on o tym wiedział.

— Trudno — powiedział ponuro — porzucasz mnie... Porzucasz dla niego, dla tego... Winklera.

— Mylisz się. Zwykle wprawdzie kobiety porzucają mężczyznę dla innego, ale ja nie jestem taką zwykłą kobietą. Bądź zdrow.

Zasunęła łańcuch, zgasiła światło w przedpokoju i przeszła do łazienki.

Kąpiel była gotowa. Rozebrała się i stanęła przed lustrem.

„Piękna jestem — pomyślała — warto być piękną”.

Wyprężyła ręce. Nie czuła bólu. O skaleczonej dłoni przypomniała sobie dopiero wówczas, gdy ujrzała w lustrze, jak po jej wzniesionym ramieniu spływają krople krwi, zatrzymując się chwilę nad wypukłością piersi i grube, jędrne, okrągłe toczą się w dół po szeroko wygiętej linii biodra, znacząc krętą rubinową ścieżkę na złotawej skórze.

## ROZDZIAŁ 8

— Wezmę to — powiedział Drucki, wskazując jubilerowi diadem z pięciu wspaniałych storczyków.

Właściciel sklepu spojrzał nań nieufnie.

— To jest bardzo drogi klejnot — przestrzegł go.

— Drogi? Owszem, wygląda nawet na to. Cóż zrobić, skoro pan nic ciekawszego poza tym nie ma. Ile?

— Cztery tysiące — powiedział obojętnie.

— Cztery? Hm... To dużo.

— Dużo. Ale warte tego. Sto dwadzieścia cztery szafiry, czterdzieści dwie perły... a oprawa jest szczytem...

— Dam trzy pięćset — przerwał Drucki.

— Gotówką? — zdumiał się jubiler.

— Proszę.

Drucki wydobył paczkę banknotów i odliczył.

— Szanowny pan każe specjalnie zrobić ozdobne etui?

— Nie, zwykły papierek albo pudełeczko bez firmy<sup>150</sup>.

— Szanowny pan chyba nie wstydzi się naszej firmy? — uśmiechnął się jubiler. — Jesteśmy najstarszą i największą firmą jubilerską w Polsce.

— Cieszy mnie to i życzę, panu abyście się stali jeszcze starszą firmą, ale ja chcę mieć pudełko zwykłe.

— Jak pan każe.

Mieszkanie Załkinda znowu tonęło w kwiatach. Luba kończyła swoją toaletę. W salonie był tylko Załkind i jego kuzynka, Tonia, studentka medycyny, ładna, drobna dziewczyna.

Drucki od razu zauważył, że jego wejście musiało przerwać jakąś emocjonującą rozmowę, gdyż Tonia była czerwona i zdradzała wielkie zdenerwowanie, a Załkind miał zjadliwą minę.

<sup>149</sup>prolongata (z łac.) — przedłużenie terminu jakiejś umowy. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>firma (ekon., praw.) — nazwa, pod którą prowadzone jest przedsiębiorstwo, chroniona przez prawo; wyraz używany w języku ogólnym także w znaczeniu „przedsiębiorstwo”. [przypis edytorski]

— Niech pan sobie wyobrazi, kapitanie, że moja kuzynka chce mnie nawrócić na bolszewizm<sup>151</sup>...

— Przestań — przerwała Tonia — to pana nie interesuje.

Drucki zaprzeczył i z żartobliwą powagą zapewnił ją, że bardzo zajmuje go ta kwestia i że sam już nieraz myślał nad wstąpieniem do partii komunistycznej.

Zjawiała się Luba. W białej atlasowej sukni wyglądała oszalamiająco.

— Kochany kapitanie! — zawołała na jego widok. — Pan pamiętał!

— Jakżebym mógł zapomnieć?! — z oburzeniem zawołał Drucki.

— Drogi! Kochany! Muszę pana za to ucałować! Borys! Odwróć się, bo chcę cię zdradzić.

Bez żenady zarzuciła mu ręce na szyję i mocno pocałowała w same usta.

— Ach, Tonia! — westchnęła. — Żebyś ty wiedziała, jak on całuje!

Załkind śmiał się również, ale niezupełnie szczerze i Drucki zrobił doń oko, jakby mówiąc: „No, i oplacało się mnie zapraszać?”

— Ale! — uderzył się w czoło. — Byłbym zapomniał! Mam coś dla pani Luby.

Wydobył pudełko i podał jej.

— Boże, jakież to cudne! — zawołała. — Patrz, Tonia! Storczyki! Piękne! Jakież to śliczne teraz umieją robić imitacje! Pan pewno z zagranicy sprowadził, bo tu nie widziałam w żadnym sklepie. Wspaniała.

Diadem przeszedł z kolei do rąk Załkinda.

— Oj! Luba!...

— Co?

— Poczekaj! — podszedł do lampy i krzyknął: — Luba! Co ty głupstwa gadasz!

— Jakie głupstwa?

Załkind położył diadem na stole i z groźną miną zwrócił się do Druckiego:

— Co pan wyprawia, kapitanie! Jakże tak można! Przecie to oczy z głowy kosztuje! Luba! Oj, ty, głupia! Przecie to prawdziwe kamienie!

Luba schwyciła klejnot i rozszerzonymi oczyma oglądała go ze wszystkich stron.

— Takie zbytki — wyszeptła w zachwycie — takie zbytki. Boże mój. To co najmniej dwa tysiące kosztuje.

— Dwa — przedrzeźniał ją mąż — *ausgerechnet*<sup>152</sup> dwa? No, to już ja dam trzy i jeszcze na tym zarobię.

— Co ty mówisz!... O, Boże... kapitanie! Jaki pan kochany!

Drucki śmiał się.

— Gdybym wiedział, że tylko jeden dostanę pocałunek, tobym może nie starał się znaleźć...

Nie dokończył.

Luba chwyciła go za szyję i raz po raz zaczęła całować.

Druckiemu zacisnęły się szczęki, nieco zbłądł i odsunął ją od siebie.

— Ej, Jack — powiedział cicho — niechże pana wszyscy diabli wezmą.

Załkind zaśmiał się:

— Cooo?!...

W głosie jego zabrzmiała duma, że ma oto kobietę taką, jakiej drugiej nie znajdziesz na świecie.

Luba była w bajecznym usposobieniu. Obecność tych dwóch mężczyzn, i jakich mężczyzn, którzy obaj jej pożąдали i których obu pożądała ona, napępiała jej serce tak dziwnym i tak mocnym uczuciem. Czula swoją kobiecość każdym nerwem, promieniowała nią i wiedziała, że jest piękna jak nigdy.

Przy obiedzie pili dużo wina. Bawili się świetnie. Tylko Tonia siedziała cicha i zgaszona. Przytłaczał ją urok Luby, którą teraz prawie nienawidziła.

Po obiedzie Załkind puścił gramofon.

— Dziś wieczorem — powiedział — będzie orkiestra.

<sup>151</sup>*bolszewizm* (polit. hist.) — filozofia działania politycznego stworzona na pocz. XX w. przez Włodzimierza Lenina, obejmująca utworzenie scentralizowanej i zdyscyplinowanej partii rewolucyjnej, obalenie istniejącego ustroju społeczno-politycznego, przejęcie władzy i ustanowienie „dyktatury proletariatu” w celu budowy społeczeństwa komunistycznego. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>*ausgerechnet* (niem.) — akurat. [przypis edytorski]

— Nam wystarczy gramofon! — zawołała Luba i pociągnęła Druckiego na środek pokoju.

Tańczył z nią, później z Tonia i znowu z Lubą.

— Kapitanie — mówiła mu Luba do ucha — może to jest bardzo bezwstydne, co powiem, ale muszę. Czy wie pan, kiedy czułabym się zupełnie szczęśliwa?

— No?

— Kiedy mogłabym mieć was obu. Borysa i pana. Obu.

Ocierала się oń całym ciałem i Druckiemu kręciło się w głowie.

— Luba, dość... To już nad moje siły...

Tonia wyszła razem z Druckim.

— Czy może mnie pan odwiedzić do domu? — zapytała.

— Ależ z przyjemnością.

Gdy usiedli w taksówce, Tonia wtuliła się w kąt i milczała.

— Co pani jest? — zapytał Drucki.

Nie odpowiedziała.

Wziął ją za rękę, zsunął rękawiczkę i pogłaskał.

— Smutno pani?

Wyrwała mu rękę, zakryła oczy i zaczęła płakać.

Drucki przysunął się do niej, objął ją i przytulił.

— Mnie nikt... nie... kocha... — mówiła w szlochu — mnie nikt nie pożąda...

Druckiemu zrobiło się żal.

— No, cicho... cicho...

Podniosła mokrą od łez twarzyczkę i przywarła do jego ust.

Dalszy ciąg rozmowy byłby w tych warunkach bezcelowy, toteż obywali się bez niej aż do chwili, gdy auto stanęło.

— Chodźmy — wzięła go za rękę.

Zaśmiał się.

— Muszę panią pożegnać, panno Tonia — próbował bronić się, lecz spojrzawszy w jej oczy, zrezygnował.

Mieszkała na trzecim piętrze. Drucki nieco speszył się, gdy w przedpokoju eleganckiego mieszkania ukazała się starsza dama.

— To moja matka — powiedziała niedbale Tonia, poprawiając włosy przed lustrem.

Drucki uklonił się, na co dama odpowiedziała niechętnym skinięciem głowy.

— Niech się pan nie dziwi — wyjaśniła Tonia, wprowadzając go do dużego ładnego pokoju — moja matka nie bywa uprzejma dla moich znajomych. Napije się pan kawy?

— Dziękuję.

— Nie?... No to niech pan siada. Moja matka żywi się wciąż moralnością zjełczałej burżuazji. Stara piosenka: ojcowie i dzieci.

— No, ale że pozwała pani na...

— Na taki tryb życia, jaki jedynie uznaję? Och, na szczęście jestem pełnoletnia. Jeszcze na pana — zaśmiała się — *maman*<sup>153</sup> tak nie skrzywiła się. Jest pan przyzwoicie ubrany i nie wygląda na komunistę, żeby pan wiedział, jakie tu u mnie typy bywają... Tylko niech pan nie wyobraża sobie... Bywają po trzech, po czterech, miewamy takie dyskusje. Plują na dywan, a niedopałki...

— Tonia, i bawi panią to wszystko?

— Nie bawi — potrząsnęła głową — ale pociąga. Nowi ludzie, nowe, mocne życie... Wiem od Luby, że pan też kocha bujne życie...

Stanęła przed nim i zapytała:

— Kocha pan Lubę?

Zaśmiał się wymijająco.

Tonia położyła mu ręce na ramionach.

— Ale ona działa na pana. Jej bliskość pana roznamiętnia. O, widziałam to doskonale!

— Panno Tonia, jestem jeszcze dość młody, bym odczuwał bliskość każdej młodej i ładnej kobiety.

<sup>153</sup>*maman* (fr.) — mama. [przypis edytorski]

— Czy jestem ładna? — zbliżyła twarz do jego twarzy, opierając się kolanami o jego kolana.

Wziął ją za talię i posadził przy sobie.

— Nie, tu nie chcę — oparła się i usiadła mu na kolanach — wiem, że jestem bardzo przeciętnie ładna. Ale mam dla pana radę: niech pan zamknie oczy i wyobrazi sobie, że to jest Luba.

Powiedziała to z taką goryczą w głosie, że Drucki zdecydował się na wszystko, co mogło tej małej udowodnić, że i ona jest godna pożądania.

Ponieważ zaś Tonia nie dała się zbyć byle jednym czy drugim argumentem, było już po jedenastej, gdy znalazł się na ulicy. Pomimo późnej godziny szedł pieszo.

„Psiakrew — myślał — tyle na świecie jest kobiet. Strasznie dużo!”

Nie mógł jednak stwierdzić w sobie zmartwienia z tego powodu.

Gdy przyszedł do „Argentyny” już kilka stolików było zajętych. Swoim zwyczajem przejrzał listę zamówień na stoliki i z radością znalazł na niej nazwisko mecenasa Łęczyckiego.

Zadzwoił telefon.

— Odbierz, mała — uśmiechnął się do Teci.

— To jakiś profesor — powiedziała, odkładając słuchawkę — już drugi raz dzwoni.

— Profesor?

— Tak. Ale nazwisko mówi niewyraźnie.

Dzwonił Karol. Nie ma dziś nic do roboty i chce przyjść do „Argentyny”.

— Hurra! Czekam! — zawołał Drucki. — Ręczę ci, Karolu, że nie pożałujesz.

Z szczególną werwą zabrał się do przeglądu lokalu. Cieszył się niezmiernie. W przejściu zatrzymał *signoritę* Fiamettę.

— Kaziu! Uważasz, będzie tu dziś mój serdeczny przyjaciel. Bardzo poważny pan. Profesor. Posadzę cię przy jego stoliku i musisz go rozruszać. Rozumiesz?

— To nie pojedziemy razem?... — zapytała z zawodem w głosie.

— Ach ty, głuptasku! Obiecałem, więc pojedziemy... Jego trzeba tylko rozruszać, żeby mu było wesoło. To stary nudziarz, a chcę, żeby się ubawił i nie naciągaj go, bo to mój przyjaciel. Pamiętaj!

— Dam sobie radę — z przekonaniem kiwnęła główką.

— I staraj się być... hm... inteligentna, rozumiesz?

— Zrobione.

Drucki zatarł ręce. Ta mała szelma istotnie była tak sprytna, że niektórzy goście naprawdę wierzyli jej, że jest córką argentyńskiego arystokraty i że ukończyła Sorbonę<sup>154</sup>. Umiała kilkanaście zdań francuskich, które zostawił jej w spadku jakiś dyplomata egzotyczny i operowała tym kapitałem bez zarzutu. Powinna zająć Brunickiego.

Drucki sam czekał na niego w hallu. Przy każdym obrocie kołowrotu drzwi odwracał głowę.

— Dziś pewno jakie ważne goście będą? — zapytał portier.

— Dlaczego?

— No, bo pan derektor osobiście.

W tej chwili weszła Alicja z mecenasem Łęczycyckim.

Drucki witał ją rozpromieniony.

— Jakże się cieszę! — ucałował z szacunkiem jej rękę i kordialnie<sup>155</sup> przywitał się z adwokatem.

— „Argentyna” — mówiła Alicja — działa kojąco na nerwy... A przy tym... róże już zwiędły.

Służba zdejmowała jej bobry, więc odpowiedział tylko wymownym spojrzeniem i w tym momencie ujrzał w lustrze wchodzącego Brunickiego.

Przeprosił Alicję i przywitał profesora serdecznie:

— No, brawo! Już zatrzymałem dla ciebie stolik przy samym ringu. Służba!

<sup>154</sup>*Sorbona* — tradycyjna nazwa Uniwersytetu Paryskiego, od nazwy kolegium zał. w 1257. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>*kordialnie* (z łac.) — serdecznie. [przypis edytorski]



Brunicki zdejmował futro i rozglądał się z pobłażliwym zdziwieniem, z jakim rodzice przyglądają się zabawom dzieci. Wtem spostrzegł utkwione w sobie oczy Alicji i uśmiech ma jej twarzy.

„Oho!” — pomyślał i zapytał zaraz Druckiego, czy nie mógłby go lepiej umieścić gdzie w kąci. Może są łóżka?

Drucki był w kłopot. Nie miał ani jednej wolnej łóżki. Nadto Alicja nie wiadomo dlaczego fiksowała<sup>156</sup> profesora wyrokiem. Wziął go więc pod rękę, wprowadził na salę i póty perswadował, aż Brunicki zgodził się zająć zarezerwowany dlań stolik.

— Owszem ładnie tu u ciebie — zaopiniował — tylko orkiestra gra zbyt głośno.

— Oswoisz się, drogi Karolu, tylko oczywiście musisz nieco poprawić swój humor. Mam zaledwie kilka butelek autentycznego przedwojennego „Benedyktyna”... Czy może wolisz szampana?...

— Nie, mój drogi — z uśmiechem odparł profesor — skoro już tu jestem muszę spróbować, co to jest koktajl.

— Ależ wybornie!

Drucki usiadł obok niego, wybrał z karty koktajl „Old Tony” i zaczął zaznajamiać profesora z organizacją lokalu. Po chwili na stoliku zjawily się owoce, czarna kawa i dwa płaskie kielichy mętnawego płynu o silnym aromacie.

Brunicki spróbował i podobało mu się.

— Wiesz, że to wcale nie jest złe.

Ring zapelniał się tańczącymi. Nagie plecy kobiet połyskiwały bielą ciepła, sztywne gorsy mężczyzn robiły wrażenie sinawych. Panowie Druckiemu przyjaźnie kiwali głowami, panie posyłały mu subtelne uśmiechy lub namiętne spojrzenia.

— A teraz, Karolu, wypijemy koktajl mego własnego pomysłu: „Boul-boul”.

Tu i ówdzie z ogólnego gwaru strzelały wesołe śmiechy, orkiestra przeszła w śpiew refrenu, kolorowe oświetlenie napelniało salę gęstym, zdawałoby się dotykającym powietrzem.

— Mocny, ale dobry — pochwalił profesor — nie znam się na trunkach, ale w tym musi być sporo koniaku.

Drucki informował, wskazując różnych panów i panie, objaśniał, kto to jest, cieszył się ze zdumienia Brunickiego, że ludzie tak poważni i tak wysoko usytuowani bywają w tego rodzaju lokalach. Wreszcie zobaczył zbliżającą się Kazię i powiedział:

— Chyba nie będziesz miał, Karolu, nic przeciw temu, że ta mała tu usiądzie?

— Po co? — skrzywił się Brunicki.

— To jest jedna z gwiazd, mistrzyni tanga argentyńskiego, *monna*<sup>157</sup> Fiametta, *vulgo*<sup>158</sup> panna Kazia. Miła dziewczyna. Pozwolisz?

Nie czekając na odpowiedź, wstał.

— *Otosignorita* Fiametta.

Kazia z wdziękiem skinęła głową i wyciągnęła błyszczącą od bransolet rękę.

Brunicki, nie mając drogi do odwrotu, przywitał się z nią i wskazał jej fotel:

— Proszę bardzo.

— Ach — zwróciła się doń Kazia — bardzo mi miło. Co to? Panowie piją koktajl „Muza”?

— Nie, proszę pani, to „Boul-boul” — z powagą odpowiedział profesor.

Panna Kazia też chciała „Boul-boul”, a Drucki, który niecierpliwie zerkał ku łóżki numer 9, nareszcie mógł wstać.

— Przyjdę za chwilę — przeprosił.

Poszedł do gabinetu i kazał zawołać kwiaciarkę. Poklepał po policzku Tecię, przepisując rachunki, i gdy kwiaciarka weszła, zawołał:

— Ma pani coś dla „dziewiątki”?

Dziewczyna zrobiła dowcipną minkę.

— Już zaniósłam, panie dyrektorze.

— Co? Już?...

— Myślałam, że pan dyrektor i tak...

<sup>156</sup>*fiksować kogoś* (daw.) — patrzeć uporczywie na kogoś. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>*monna* (wł. przest.) — pani (skrótowiec od: *madonna*). [przypis edytorski]

<sup>158</sup>*vulgo* (łac.) — albo, czyli. [przypis edytorski]

— Bardzo ci, mała, dziękuję. Jesteś prawie tak domyślna, jak ładna.  
 Dziewczyna bezczelnie patrzyła mu w oczy.  
 — A chociaż wybrałaś coś lepszego? — zapytał.  
 — Najlepsze — powiedziała, nie spuszczać oczu.  
 — Ach, ty szelmo! — nie wytrzymał Drucki, przyciągnął ją ku sobie, pocałował w usta i pędem wybiegł na korytarz.  
 Tęcia obrzuciła kwiaciarkę lekceważącym spojrzeniem.  
 — Dlaczego to do „dziewiątej” miała pani wybrać najlepsze kwiaty?  
 Kwiaciarka wyduła wargi.  
 — Nie pani babski interes. Jeszcze mi się każda wtrącać będzie.  
 — Można chyba grzeczniej — zaczerwieniła się panna Tęcia.  
 — O! Niby dlaczego grzeczniej? Taka wielka dama? Że do Winklera się przystawia...  
 — Proszę wyjść! — krzyknęła Tęcia.  
 Kwiaciarka wzruszyła ramionami i otworzyła drzwi, lecz zatrzymała się na chwilę w progu, by wycelować jadowitą strzałę:  
 — A że jest pani taka mądra, to powiem pani, że w „dziewiątce” siedzi taka, co dyrektor leci na nią na całego. I warto!... Piękna, jak nie wiem co, i wielka dama. Nie taka sobie za przeproszeniem, co to cip-cip-cip na maszynie.  
 Trzasnęła drzwiami i znikła.  
 — Gadzina! Podła gadzina! — jęknęła panna Tęcia.  
 Och, gdyby mogła w tej szarej sukience wyjść na salę i zająrzeć, kto tam siedzi w tej „dziewiątej”. Czy naprawdę taka ładna?... Pewno on tam teraz jest przy niej i „leci na nią na całego”...  
 Rzeczywiście Drucki siedział przy Alicji i pytał, co się stało z doktorem.  
 — Nudził mnie — powiedziała Alicja.  
 — Biedak! — z prawdziwym żalem westchnął Łęczycki, już nieco zawiany.  
 — Chciałabym zatańczyć — odezwała się niespodziewanie Alicja.  
 Drucki zerwał się. Jego oczy aż nadto dobitnie wyrażały radość.  
 — Nie, jeszcze nie teraz. Grają tango, a ja wołałabym walca. Zwykłego starego walca.  
 — Ależ rozkaz! Zaraz wydam polecenie!  
 — Nie, nie — zatrzymała go — przedtem musimy wypić po kieliszku wina.  
 — Z rozkoszą.  
 — Brak umiejętności tańca — filozoficznie zauważył Łęczycki — jest nie do powetowania. Cóż, kiedy ja absolutnie nie mam poczucia rytmu!  
 — Dziwi pana zapewne — zwróciła się do Druckiego Alicja — że zdobyłam się na odwagę? Sama sobie się dziwię, ale tak dawno nie tańczyłam... Pijmy!...  
 Miała dziś w oczach szczególne błyski i ruchy bardziej ożywione niż zwykle.  
 — Pan ma szalone powodzenie u kobiet — rzuciła lekko.  
 — Zdaje się, że tak — powiedział po chwili namysłu.  
 — Przypuszczam — mówiła — że niewiele w życiu spotkał pan takich, które pana nie chciały?  
 Drucki podniósł brwi.  
 — Nie, takich nie spotykałem wcale — powiedział z przekonaniem.  
 — Nie zbywa panu na skromności.  
 — Myli się pani. Stykam się bowiem tylko z takimi kobietami, które chcą, bym je zdobył. A inne... mijają mnie. Przechodzą obok. Nie istnieją dla nich, a one nie istnieją dla mnie. Gdy ktoś szuka w lesie malin, nie dostrzega kwiatów i odwrotnie. Po prostu nie dostrzega. Gdy wróci, a zapytamy go: „Czy też dużo było kwiatów?”, odpowie: „Bardzo dużo malin”.  
 — Nie o to mi chodzi — przechyliła głowę Alicja. — Pytałam, czy zbierając maliny, nie zapragnął pan kwiatów, których zdobyć nie udało się panu?  
 — Widywałem je z daleka, ale nie zatrzymywałem się przy nich, bo one tego nie chciały. Ich zapach ściągał motyle lub pracowite pszczoły. A ja jestem... trutniem.  
 Nic na to nie odpowiedziała, lecz gdy zagrano walca i schodzili na salę, zapytała:  
 — Dlaczego pan zatem mnie nie ominął?  
 — Bo... bo i pani obok mnie nie przeszła.  
 Ujął mocno jej kibić i zawirowali wśród kilkunastu innych par.

Kochanek

Taniec, Pożądanie

Czuł ją każdym nerwem i każdym mięśniem. Zapach jej włosów i skóry nappełniał jego nozdrza. Jego ramię prężyło się pod ciężarem tego pięknego, giętkiego ciała, w którym — wiedział — krew też szybszym musiała uderzać pulsem.

— Nie mogliśmy się minąć — wyrzucił przez zaciśnięte zęby — byłoby to szaleństwem...

Podniosła ku niemu płonące oczy i z wolna rozchyliła wargi. Kusila go, prowokowała i oboje doskonale zdawali sobie z tego sprawę.

Przycisnął ją tak do siebie, że czuł wyraźnie szybkim przyspieszonym oddechem wznoszone wypukłe piersi. Nie protestowała, nie odsunęła się od niego.

Drucki zbladł, w skroniach łomotał mu puls, nozdrza się rozděły. Gdyby mógł myśleć teraz nie o niej, zdziwiłby się sam sobie, że tańczy i nie traci rytmu.

— Prawda — szeptał — prawda? Nasze drogi musiały się skrzyżować...

Orkiestra przestała grać i stanęli w środku ringu. Drucki klaskał wraz z innymi i znowu zaczęli tańczyć.

— Tak... — przerywanym głosem powiedziała Alicja — naturalnie... Po to się skrzyżowały... bym... mogła pana obdarzyć wrażeniem... jakiego pan jeszcze nie miał...

— Moja... moja... — wpił się oczyma w jej oczy.

— Nie — potrząsnęła głową — nie pana.

— Musisz!

— Nie. Właśnie chcę, bym była tą jedyną kobietą, obok którą pan przejść musi, chociaż nie chce.

— Niech pani mnie nie drażni — ściągnął brwi Drucki.

— Bo?...

— Bo nie należą do tych, z którymi to można robić bezkarnie.

— Urodzony zwycięzca? — zapytała prawie ironicznie. — Pogromca?...

— Tak! Po stokroć tak! I nie ujdzie mi pani... Sama to pani wie... Musisz... musisz...

Przecie widział jej wspaniałe oczy i zachwyty ich, i pożądanie.

— Musisz...

Zaśmiała się.

— Żałuję bardzo, ale nie uważam, bym musiała.

— A jednak pani dziś przyszła, jednak tańczy pani ze mną, jednak pociągam panią mocniej niż inni, niż tysiące innych. Niech pani nie kłamie, pani wie, że nie potrafi...

Orkiestra umilkła.

Przy wyjściu z ringu zapanował tłok. Posuwali się z wolna i tak znaleźli się obok stolika Brunickiego. Profesor siedział sam. Widocznie Kazia poszła się przebrać, a raczej rozebrać do swego tańca.

Niespodziewanie dla Druckiego Alicja przystanęła i z uśmiechem skłoniła się profesorowi. Ten, nie wiedząc, co ma zrobić, zerwał się i również się uklonił.

— Pan profesor mnie nie poznaje — swobodnie powiedziała Alicja — jestem dawną pańską słuchaczką...

W kącie sali powstał jakiś krzyk i tumult. Do Druckiego przycisnął się kelner i gwałtownie żądał jego interwencji. Cóż miał robić? Awantura w kącie wzmagała się...

— Przepraszam państwa na jedną sekundę — zawołał — drogi Karolu, może będziesz tak dobry i odprowadzisz panią do łóżka.

— Ależ naturalnie — zgodziła się Alicja. — Niech pan idzie... Pan profesor nie przypomina mi siebie, a ja winnam mu wdzięczność i to dwukrotnie...

— Istotnie, nie przypominam — tłumaczył się Brunicki.

— Nazywam się Hornowa. Pan profesor niedawno był tak uprzejmy, że udzielił informacji o moim nieszczęsnym mężu, Pawle.

— Aha!... Tak, tak... przypominam sobie. Tak... biedak.

— A drugi tytuł do mojej wdzięczności — ciągnęła Alicja — to pańskie piękne wykłady, które tak wzbogaciły mój umysł. O, to już dawne czasy. Pan profesor może sobie przypomni, gdy mu powiem swoje ówczesne, panieńskie nazwisko: Żerańska...

— Aha — uprzejmie skłonił się profesor — no, oczywiście, panna Żerańska. Naturalnie, pamiętam.

W rzeczywistości nie pamiętał wcale. Odprowadził Alicję i wracając na dół, nagle przystanął.

— Żerańska... No... tak... Żerańska...

Nie miał pamięci do nazwisk, ale to przecież z jakiegoś powodu musiało mu się wgrzyźć w pamięć... Żerańska.

Gdy zajął miejsce przy swoim stoliku, *signorita* Fiametta już tańczyła, a w łoży na górze ujrzał Druckiego.

Brunicki kazał sobie podać jeszcze jeden koktajl i zanurzając w nim słomkę, znowu się zastanowił: „Żerańska?...”

Drucki siedział przy Alicji milcząco.

— Cóż — zapytała — nie zaaranżuje pan dziś zabawy?

— Owszem.

— Coś nowego?

— Nie. Koty.

Alicja przymrużyła oczy.

— Jest pan lakoniczny.

— Pani woli gadatliwość?

— Dyrektorze — przechylił się do nich mecenas Łęczycycki — robicie państwo wrażenie, jakbyście się pokłócili, czy co u licha? Dajcie spokój!

— Przeciwnie, mecenasie — błysnął oczyma Drucki — pogodziliśmy się.

Alicja podniosła kieliszek.

— Wypijmy. Pan Winkler pogodził się z... losem.

— Wypijmy — ostrzegawczym tonem powiedział Drucki. — Pani Alicja, bogini losu, sama się z nim nie pogodzi!

— Nic nie rozumiem — oświadczył Łęczycycki.

— Ja też — uciął Drucki i wstał.

— Pan odchodzi? — zapytała Alicja.

— Nie. Broń Boże. Tylko wychodzę — położył akcent na ostatnie słowo.

— Nie wiem, czy panu dzisiaj udadzą się koty.

— Dlaczego?

— Miałam wrażenie, że stracił pan humor.

Drucki zatrzymał się.

— Pani jako dziecko musiała przepadać za zabawkami, a raczej za psuciem ich.

Potrząsnęła głową.

— Nigdy nie lubiłam zabawek i dlatego właśnie je psułam. Lekceważyłam zabawki.

— Dziękuję pani — skłonił się z ironicznym uśmiechem.

— Nie pan powinien dziękować — powiedziała lekko podrażnionym tonem.

— Więc nie uważa mnie pani za...

— Niech pan już idzie — przerwała — publiczność zacznie się nudzić.

Spojrzał na nią i z wyrzutem zapytał:

— Jeszcze jedno. Pozwoli mi pani odprowadzić ją do domu?

— Proszę — odparła bez wahania.

Zbiegł ze schodów. Jego zjawienie się w środku ringu sala przyjęła hucznymi brawami. Mówił.

Alicja oparła głowę o framugę łoży i słuchała.

Oczywiście, był zawsze ten sam. Z każdej nuty jego niskiego głosu, z każdego ruchu bił żywioł. Nieodparty żywioł. Przyroda zakłęła w tym człowieku jedną ze swych najbardziej tajemniczych sił — życie!

Bije z niego jak gejzer. Ogarnia, zatapia...

Powiodła oczyma po sali. Kobiety... Ich wzrok nie wymagał klucza do odczytania treści pragnień... Brał je... Co by to było, gdyby nagle jakąś mocą zniweczyć u ludzi wszystkie ośrodki hamujące, względ na przyzwoitość, na cnotę, na moralność, na jutro... Co by one wszystkie zrobiły?...

Alicja przymknęła oczy. Tak, oto biegną ku niemu, otaczają gęstą drgającą masą ciał, prężących się pożądaniem... setki ramion splatają się w sieć, setki piersi rzezi pragnieniem, chłoną go swoją kobiecością... Natura układa je w ofiarny stos przed tym mężczyzną, podświadoma potęgą zachowania gatunku, prawo doboru naturalnego... Wybierają właśnie tego samca, bo jest najbardziej męski... Selekcja... Instynkt wszechwiedzący zmusza je, te swoje ślepe narzędzia, do szukania w nim ojca ich potomstwa...

Pożądanie, Kobieta

A ona sama?... Alicja drgnęła.  
Przeraźliwe „Miauuuu...!” rozległo się wśród ciszy.  
Drugie, trzecie, dziesiąte... Nizały się na dyskretną melodię orkiestry namiętym wolaniami.

— Miauuu... miauuu...  
Przetarła czoło i naląła sobie wina.  
Mecenas Łęczycki miauczał z pasją; jego ochryply od alkoholu głos drażnił nieznośnie.  
Drucki na dole z powagą dyrygował. Profesor Brunicki, splótłszy ręce na piersiach, śmiał się: jego binokle<sup>159</sup> nieco się przekrzywiły, nadając mu tragikomiczny wygląd.

— Mecenasie! — pociągnęła go za rękaw — niechże pan da spokój!  
— A bo co?... — oderwał się od parapetu.  
— Dosyć! Wydobywa pan z siebie tony lwa, ale dosyć.  
— Wspaniała zabawa, pyszna!  
— Niech pan mi lepiej przysunie kawę.

Tymczasem orkiestra po burzliwych brawach zagrała jakiegoś foksa<sup>160</sup> i Drucki zjawiał się na górze.

— Niech pan nie siada — powstrzymała go Alicja. — Idziemy.  
Odpowiedział uśmiechem.  
Łęczycki uregulował rachunek i zeszli do westybulu.

— I moje futro — kiwnął Drucki.  
— Pan dyrektor wychodzi? — podbiegł zdumiony kasjer.  
— Tak, ale wkrótce wracam. Niech pan czeka na mnie z kasą. Hrabiemu Posznickiemu z czwartej łoży można rachunek zapisać. Do widzenia.  
— Uszanowanie panu dyrektorowi.

Na dworze uderzył ich ciepły powiew wiatru. Ulica była sucha, wysoko na niebie lśnił księżyc.

— Pójdziemy pieszo — orzekła Alicja.  
— Co? — przeraził się mecenas.  
— Ja pójdę pieszo, a pan Winkler mnie odprowadzi. Pan, mecenasie, oczywiście jedzie do domu. Dobrej nocy.  
Podała mu rękę.

Mecenas widocznie przyzwyczajony był do bezapelacyjności postanowień Alicji, gdyż nie oponował. Wsiadł do najbliższego auta i mijając ich, powiewał swoim melonikiem.

— Zauważyła pani, że wiosna daje się odczuć nie tylko wzrostem temperatury?  
— Tak. W powietrzu jest jakaś miękkość — powiedziała swobodnie.  
— Nie mówiłem o zewnętrznych, o zachodzących zewnątrz nas zmianach w naturze — uśmiechnął się.

Alicja spojrzała nań przelotnie.

— Czy pan jest takim... barometrem?  
— Bo ja wiem... W danym wypadku może to być niepewne.  
— Co?  
— Że wiosna idzie.  
— Dlaczego? Wystarczy, jeżeli pan spojrzy na kalendarz.  
— Mówiła pani o barometrze. Otóż jako żeglarz, włóczęga i w ogóle człowiek dobrze obznajomiony z kompasem, wiem, że ten przyrząd nie zawsze wskazuje północ. Czasem strzałka zwraca się ku najbliższemu przedmiotowi metalowemu.

Alicja zaśmiała się.

— Barometr też się myli?  
— Wszystko możliwe.  
— No, to jest bardzo zły barometr, jeżeli we mnie preczuwa wiosnę. Mam, proszę pana, dwadzieścia dziewięć lat. Bliżej do jesieni.  
— Nie — zaprzeczył — jesień jest okresem zamierania wiosny, która wyżyła się w lecie. A panią wiosna zawładnęła. To nic, że ją pani opancerza...

Kobieta, Młodość, Starość

<sup>159</sup>binokle — rodzaj okularów bez uchwytych, mocowanych na nosie z pomocą sprężynki. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>foks (daw., pot.) — fokstrot, amerykański taniec towarzyski z posuwistymi krokami. [przypis edytorski]

— Wie pan co, znalazłam panny, które do lat siedemdziesięciu strzegły swojej wiosny. Nie przekonał mnie pan.

— W nich wiosna jest, tylko zsiadła się, jak kwaśne mleko. Ale przecież jest.

— Oryginalne ma pan poglądy.

— To nie są moje poglądy, proszę pani. Tak zdawało mi się w tej chwili. Możliwe, że jest zupełnie inaczej.

Skręcili w Mokotowską i szli w milczeniu.

— Dlaczego mnie pan chciał odprowadzić?

— Bo dobrze mi z panią tak, jak i pani dobrze jest ze mną.

Nie odpowiedziała. Gdyby teraz pozwoliła sobie na jedno słowo, nie umiałaby powiedzieć innego niż to, które oddawałoby ją w niewolę.

Alicja umiała panować nad wrażeniami chwili. Doskonale zdawała sobie sprawę, że obok tego człowieka nie mogłaby utrzymać swojej niezależności. Nie wiedziała jeszcze dobrze, dlaczego odczuwa w nim pierwiastek jakby przyrodzonej władzy, władzy podświadomej, lecz niemniej zaborczej, jednak wiedziała, że nią nie oładnie.

Szedł obok zamyślony i spokojny.

— Pan jest niepodobny do wielu swoich rodaków. Ameryka nie zdołała wyrzucić na panu swego okropnego standardowego piętna.

— Jestem z całego świata — powiedział przed siebie.

— Dużo pan podróżował?

— Dużo.

— No niechże pan coś o tym powie! — zawołała niecierpliwie.

— Nie. I panią, i mnie teraz inne sprawy zajmują. Chyba nie zależy pani, bym ją... bawił?

— Nie.

— Pani jest prokuratorem.

— Podprokuratorem.

— Dlaczego pani tak przykry zawód obrała?

— Zależy panu na odpowiedzi?

— Tak.

— Więc... z zemsty.

— Z zemsty? Nad kim pani się mści?

— Na... sobie... Zresztą, czy to nie wszystko jedno. Wymagałoby to długich komentarzy.

— Dobrze. Opowie mi to pani jutro.

— Ani jutro, ani pojutrze... Nigdy. Nie zobaczymy się więcej.

Spojrzał na nią surowo.

— Nieprawda — powiedział twardo.

Alicji serce uderzyło mocniej. Oczywiście nieprawda! Zobaczą się jutro, pojutrze i następnego dnia, i co dzień...

— Prawda — odezwała się spokojnie — nie przyjdę więcej do „Argentyny”.

— Ależ to nonsens! — oburzył się — przecie pani sama będzie tego żałowała!

Odwróciła głowę.

— Czyż nie, czyż nie? — nalegał.

— To jest obojętne — powiedziała zimno.

Nagłym ruchem chwycił ją pod rękę.

— Nie zrobi pani tego, nie wolno pani ani wobec mnie, ani wobec siebie.

Ścisnął tak mocno jej rękę, że uczuła ból, i powiedziała stanowczo:

— Proszę, niech pan mnie puści.

Opamiętał się.

Na wschodzie niebo szarzało. Dochodzili właśnie do Politechniki.

— Nie będę widywała pana — zaczęła Alicja — kierując się pobudkami wyłącz- nie egoistycznymi. Powiem panu szczerze... Uwaga! — krzyknęła nagle i odskoczyła na środek ulicy.

Było już jednak za późno. Ciężka żelazna laska spadła na jego głowę. Skulona czarna

Bijatyka

postać rzuciła mu się z tyłu pod nogi, z przodu otrzymał silne uderzenie pięścią między oczy i nie minęła sekunda, a leżał na chodniku.

Trzeci drab przystawił Alicji długi nóż do piersi.

— Tylko cichutko, sikorko, cichutko, bo tak pomacam, że no!...

Alicja nie krzyknęła.

Widziała, że Winkler leży nieruchomo. Dwie postacie nad nim, czujnie wyprostowane, nasłuchiwały.

— No, jazda! — ostrym szeptem zawołał drab stojący przy niej. — Zabierać frajerowi forszę, taka wasza mać! Na co czekacie?! Jazda!

Obaj tamci pochylili się nad leżącym i nagle stała się rzecz dziwna.

Jeden z nich wyleciał ogromnym łukiem w górę i grzmotnął się o jezdnię jak wór z piaskiem.

W tejże chwili drugi wywinął nogami kozła w powietrzu i znalazł się na ziemi obok Winklera.

Sekunda i zerwał się, lecz trzymany w pasie przez Winklera. Opryszek z nożem, pilnujący dotychczas Alicji, jednym susem dopadł ich.

— Uwaga! — krzyknęła Alicja i odetchnęła, widząc, że Winkler zorientował się i zasłonił się przed ciosem, trzymany w ramionach drabem.

Przelotnie rzuciła okiem na trzeciego.

Ten dźwignął się z trudem i pełził na czworakach w stronę parkanu placu wyścigowego. Na jezdni pozostała laska.

Nie namyślając się, porwała ją i zamierzywszy się oburącz, chciała uderzyć tego, który właśnie usiłował dotrzeć nożem do ramienia Winklera.

Pewna była ciosu, jednakże zaszło coś niespodziewanego: Winkler rzucił trzymanego w objęciach draba na jego towarzysza i cios żelaznej laski ugodził w rękę ściskającą nóż.

Napastnicy porwali się z ziemi i zaczęli uciekać.

Spojrzała na Winklera.

Śmiał się!

— Strasznie dawno nie miałem nic w tym rodzaju — w jego głosie zadźwięczała jakby ulga.

Po twarzy sphywała mu krew. Kołnierz futra zwisał żałośnie, prawie zupełnie urwany.

Uważnie obejrzała laskę i rzuciła ją na chodnik.

— Że też nikt nie nadszedł — powiedziała spokojnie, otrzepując rękawiczki.

Drucki ocierał chusteczką krew.

— Owszem — zaprzeczył — widziałem dwóch przechodniów w wylocie ulicy Śniadeckich, ale widocznie woleli nie wtrącać się do nieswoich spraw. Torebki pani nie zrabowali?

— Nie.

— Chodźmy zatem.

Szli w milczeniu. Alicja sama nie była tchórzem. Toteż jeżeli jej tak bardzo ten Winkler zaimponował, to nie odwagą, lecz swą niesłychaną przytomnością umysłu, no i zręcznością. Jego mózg, zmysły i mięśnie znajdować się musiały od lat w zażyłej współpracy, działały tak sprawnie i tak błyskawicznie.

— Nie uważa pani — przerwał jej rozmyślenia — że należałoby jednak dać znać policji?

— Oczywiście. Zatelefonuję z domu. W tej dzielnicy dotychczas podobne napady nie zdarzały się.

— Myślę, że się nie powtórzą.

— Czy pan przypuszcza, że specjalnie chodziło o napad na pana?

— Skądże — zaśmiał się. — Z nikim nie mam tu żadnych porachunków, a większych sum przy sobie nie noszę. Poza tym, gdyby ci biedacy wiedzieli, z kim będą mieli do czynienia — błysnął ku niej oczyma — przypuszczam, że dobraliby sobie jeszcze ze dwóch, trzech towarzyszy.

— Tak — powiedziała — ładnie pan to zrobił. Tu mieszkam... Wejdzie pan do mnie na górę, przemyję panu ranę.

— Dobrze.

Poprawił kołnierz.  
 — Widzi pani — uśmiechnął się, gdy minęli zaspanego stróża — wbrew wszystkiemu przecież będę u pani.  
 — Proszę zachowywać się cicho — odpowiedziała, wpuszczając go do przedpokoju.  
 — Niech pan zdejmie futro.  
 Zapaliła światło i spostrzegła bladość jego twarzy.  
 — Co panu? — przestraszyła się.  
 — Nie, nic. Tylko... może pani pomogłaby mi zdjąć... coś w karku. Trudno mi lewą rękę...  
 — Zaraz.  
 Ostrożnie ściągnęła zeń futro. Całe wewnątrz zalane było krwią. Nad lewym ramieniem nóż przebił frak i tędy się sączyła.  
 Trzeba było zdjąć frak, kołnierzyk, kamizelkę i koszulę. Przeprowadziła go do łazienki, pomogła się rozebrać, przyniosła bandaż i jodynę.  
 Rana nie sięgała, na szczęście, zbyt głęboko, lecz była szeroka i bolesna.  
 O wiele bardziej niepokoiła się o tę nad skronią. Tu skóra była starta od uderzenia na przestrzeni kilku centymetrów, lecz mogła być uszkodzona i czaszka.  
 — Tu boli? — pytała, naciskając okolice rany końcami palców. — A tu?... a tu?  
 — Nie, nie boli. Trochę mi szumi we łbie, ale głowę mam twardą.  
 — Obandażuję panu głowę.  
 — Nie. Dziękuję. Krew nie idzie to i dobrze.  
 — Może kieliszek koniaku?  
 — Dziękuję pani. Proszę mi tylko pozwolić chwilę posiedzieć.  
 — Może położyłby się pan?  
 — Broń Boże!  
 Krzątała się chwilę, uprzążając pokrwawione kawałki waty i myjąc ręce. Potem usiadła naprzeciw niego na brzegu wanny. Teraz dopiero przyszło jej na myśl, że oto on jest tutaj, z obnażonym torsem, z muskularnymi ramionami, że przed chwilą dotykała jego nagiej skóry, brązowej, gładkiej i lśniącej. Jakże wspaniale sklepiona pierś!... I szyja smukła a mocna jak dąb...  
 Miał oczy zamknięte i półuśmiech na ustach.  
 I czemu, czemu... teraz nie powie jej: „Położę się, a ty mnie pielęgnuj, klękaj przy łóżku... zostanę tu z tobą i tylko dla ciebie... wyłącznie...”  
 W niezasłonięte okno uderzył pierwszy promień różowawy i żółty.  
 Otworzył oczy i wstał.  
 — Przepraszam panią. Ubiorę się.  
 — Pomogę panu.  
 — Dziękuję. Dam sobie radę. Bardzo dziękuję.  
 — Cóż znowu, chyba się pan nie wstydzi?  
 — Wstydzę się — odpowiedział z uśmiechem.  
 — Ale, niechże pan da spokój. Jestem tylko samarytanką.  
 Pomogła mu ubrać się w koszulę, która tymczasem obeschła, jednak w końcu musiała zostawić go samego, gdyż i dolną część koszuli należało ulokować na odpowiednim miejscu.  
 Tymczasem kilku szpilkami przypięła kołnierz do futra.  
 — Koniecznie musi pan wezwać lekarza — powiedziała, gdy wyszedł do przedpokoju.  
 — Dobrze. Ale ja panią też o coś poproszę. Niech pani zostawi mnie zawiadomienie policji. Wolałbym, by nazwisko pani nie było w to wmieszane.  
 — Ależ dlaczego?...  
 — Ze względu na pani stanowisko i na porę, o której nas napadnięto.  
 — Jak pan chce.  
 — Więc dobrze? Dziękuję pani i do widzenia do jutra.  
 — Nie.  
 — Gdybym temu „nie” miał uwierzyć, nie wyszedłbym stąd w ogóle.  
 — Uwierz pan wtedy, gdy już pan wyjdzie.  
 Potrząsnął głową, syknął z bólu, roześmiał się, pocałował ją w rękę i wyszedł.

Uroda



Alicja oparła się ramieniem o drzwi i zacisnęła palce. Słyszała jego kroki na schodach. Czemuż nie wraca?! Boże, czemu nie wraca?!

Omali nie sięgnęła ręką do zatrasku, by wybiec za nim, by krzyknąć...

Pohamowała się. Przypomniała sobie nagle pewną głupią scenę z filmu, gdzie naiwna dziewczyna stoi przy drzwiach, wsłuchując się w kroki odchodzącego.

To wystarczyło do oprzytomnienia.

Założyła łańcuch i zgasiła światło. Nie położy się spać, już późno.

Wzięła kąpiel, ubrała się w suknię biurową i zabrała się do przeglądania akt sprawy Szermana o przemyt tytoniu.

Tak zastała ją Józefowa, która przyszła ze śniadaniem.

— Czy panna Julka już obudzona? — zapytała Alicja.

— Już myje się, proszę pani.

— To dobrze.

Śniadanie zjadły razem.

— Źle dziś wyglądasz, Alu — mówiła Julka — czy masz smutne i jesteś błada.

— Nic mi nie jest, kochanie. No ale na ciebie czas. Odwiozę cię do szkoły.

Julka bardzo chciała zapytać, co się dzieje z doktorkiem, lecz intuicja jej mówiła, że lepiej tego tematu nie poruszać.

Alicja odwiozła ją taksówką do gimnazjum<sup>161</sup> i kwadrans po ósmej była już w sądzie. Miała tego dnia masę roboty i na dobitkę konferencję u prokuratora Martynowicza. Pomimo to nie mogła pozbyć się myśli o Winklerze. „Wypada jednak dowiedzieć się o jego zdrowie”.

Wreszcie koło czwartej zadzwoniła do „Argentyny”. Jakiś męski głos poinformował ją, że pan dyrektor nigdy o tej porze nie bywa, natomiast może jest u siebie w „Bristolu”.

Tu w centrali powiedziano jej, że owszem, pan Winkler jest w swoim pokoju, i połączono.

Odezwał się wesół głos kobiety. Może to pomyłka?

— Czy to numer pana dyrektora Winklera?

— Tak — odpowiedział głos. — Czy mam poprosić?

I nie czekając odpowiedzi, głos zawołał:

— Do ciebie jakaś pani...

Alicja szybko położyła słuchawkę, odsunęła aparat, poprawiła kołnierzyk sukni i otworzyła następną teczkę z aktami.

„Aha... sprawa Fabiana i Marianny, małżonków Jaczków, o kradzież weksli...”

Ciemno już było i trzeba było zapalić lampę.

## ROZDZIAŁ 9

Profesor Karol Brunicki z mniejszą niż zwykle uwagą słuchał sprawozdania doktora Kunoki. Podziękował mu i zamknął się w swoim gabinecie.

Długo szukał w od dawna nietkniętych szufladach biurka, długo wertował stare kalendarze i notatniki, konfrontował daty różnych zdarzeń, aż wreszcie zapisał na kartce: „Od 25 sierpnia do 3 września”.

Kazał podać samochód i pojechał do biblioteki uniwersyteckiej.

Pomocnik bibliotekarza zdziwił się bardzo, gdy profesor Brunicki poprosił o wyszukanie dlań kompletów sensacyjnego dziennika brukowego sprzed lat piętnastu.

— Pan profesor każe „Głos Ulicy”?

— Tak. „Głos Ulicy” z sierpnia i września.

Po kilku minutach woźny położył przed nim na stole dwa świeżo obtarte z kurzu komplety o pożółkłym papierze.

Profesor szukał dość długo, zanim znalazł. Tytuł brzmiał: „Zbrodnia zwyrodniałego osobnika”. A niżej: „Dokonał gwałtu na czternastoletniej pensjonarce i zbiegł”.

Profesor zaczął czytać:

<sup>161</sup>*gimnazjum* — w okresie międzywojennym gimnazjum było 8-klasową szkołą średnią dla uczennic albo uczniów w wieku od 10 do 18 lat, kończącą się egzaminem maturalnym. [przypis edytorski]

„Wczoraj o godzinie 8 wieczorem uczennica klasy 6 gimnazjum pani Wrzcionowskiej, Maria Alicja Żer... a zauważyła, iż śledzi ją jakiś osobnik w palcie koloru żółtawego i w kapeluszu „Panama”, znajdujący się w nietrzeźwym stanie.

Osobnik ten szedł za nią od Krakowskiego Przedmieścia, aż do domu przy ulicy Smolnej 17, gdzie mieszka panna Ż. przy swym ojcu, z zawodu urzędniku miejskim. Nie podejrzewając nic złego, dziewczę weszło na klatkę schodową i otworzyło posiadany kluczem drzwi mieszkania. W tejże chwili wspomniany prześladowca pchnął ją do środka i zamknąwszy za sobą drzwi na klucz, dokonał na bezbronnej ohydneho gwałtu.

Krzyki nieszczęsnej ofiary oraz donośny hałas mebli, wywracanych przez broniącą swej czci nieszczęsną dziewczynkę, zwróciły uwagę sąsiadów, którzy zaczęli się do drzwi dobijać. Gdy wreszcie drzwi wyważono, zastano ofiarę w podartych sukienkach, pogrążoną w łzach rozpaczy. Otwarte okno wskazywało drogę ucieczki zwyrodniałego zbrodniarza, który wyskoczył z narażeniem życia ze znacznej wysokości pierwszego piętra na bruk i wyszedł widocznie bez szwanku, gdyż korzystając z ciemności, zbiegł.

Wezwana natychmiast policja znalazła widocznie w zamieszaniu walki zgubione przez zbrodniarza dowody osobiste, listy itp., które ustalają niezłomie, iż sprawcą potwornego gwałtu jest (rzecz nie do uwierzenia!) młody inżynier marynarki handlowej i słuchacz akademii morskiej Bohdan Drucki...”

Profesor Brunicki przetarł czoło i czytał dalej:

„...syn znanej i szanownej rodziny ziemiańskiej z Podola<sup>162</sup>. Policja natychmiast udała się do jego mieszkania, lecz okazało się, że przestępca już zdołał się ulotnić. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Drucki zbiegł za granicę. Wysłano za nim listy gończe. Nieszczęsny ojciec ofiary, p. Z. Żerański, dowiedziawszy się o strasznym wypadku córki, omdlał. W szerokich kołach najlepszego towarzystwa, gdzie częstym gościem bywał Bohdan Drucki, zapanowało zrozumiałe oburzenie”.

Profesor zamknął księgę i wyszedł.

Teraz już nie miał żadnych wątpliwości. Męczyło go pytanie: Czy też oni lub które z nich zdaje sobie sprawę z faktów, które ich wówczas powiązały?

Dlatego pojechał wprost do „Bristolu”, lecz tu Druckiego nie zastał i dowiedział się, że na pewno „przed świtem dyrektor Winkler nie będzie w domu”.

Profesor wrócił wobec tego do domu, przebrał się w smoking i pojechał do „Argentyny”.

Druckiego zastał w świetnym jak zawsze humorze. Na czole nad skronią miał szeroką bliznę zaklejoną angielskim plasterkiem<sup>163</sup>.

— Cóż to — zapytał, wskazując na nią profesor — znowu ci przybyła jedna dziura w skórze?

— A tak — zaśmiał się Drucki — znowu miałem małą awanturkę. Musi w tym tkwić jakaś tajemnica mego przeznaczenia. Dwóch rzeczy szukać nie potrzebuję: awantur i kobiet.

Spostrzegł się, że powiedział to niepotrzebnie, i spodziewał się wyrazu przykrości na twarzy Brunickiego, lecz ten powiedział, wzruszając ramionami:

— Cóż chcesz. Lubisz i jedno, i drugie.

— Może i lubię. Kontentuję się tym, co los mi przeznaczył.

Brunicki tym razem zajął łóżę i poprosił Druckiego:

— Wiesz co? Mógłbyś mi przecie jeden wieczór poświęcić i posiedzieć tu ze mną.

<sup>162</sup>Podole — kraina hist. na terytorium ob. Ukrainy i Moldawii; w okresie międzywojennym jej zach. część należała do woj. tarnopolskiego Polski. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>angielski plaster (daw. med.) — plaster z tkaniny jedwabnej, z jednej strony powleczonej karukiem (klejem z wysuszonych pęcherzy rybich), z drugiej żywicą benzoosową, służący do opatrywania niewielkich, świeżych ranek skaleczeń. [przypis edytorski]

— Dokuczyla ci *monna* Fiametta? — wybuchnął śmiechem Drucki.  
— Chyba nie dziwisz się temu? Zresztą gada wciąż o tobie. Temat ten widocznie jej bardzo odpowiada. Ja jednak wolę już mówić z tobą niż o tobie.

— Z dwojga złego?

— Z dwojga złego — potwierdził profesor.

— No więc dobrze. Załatwię jeszcze kilka spraw i wrócę do ciebie. Czy... czy może dziś masz mi nareszcie wyjaśnić, czego ode mnie żadasz?

— Może... Czekam.

— Za dziesięć minut będę.

Zbiegł na dół, wydał kilka dyspozycji, jeszcze raz przejrzał listę gości zamawiających stoliki i zaklął.

— Do diabła! Cóż ten Łęczycycki, wściekł się?!

Od pięciu dni Alicja nie zaglądała do „Argentyny”. Początkowo brał to za kokieterię, później zaczął zastanawiać się, czy rzeczywiście nie należało poważnie traktować zapowiedzi tej dziwnej kobiety, że więcej się tu nie pokaże, wreszcie zatelefonował do Łęczycyckiego, zapytał o zdrowie i wywiedził się, że mecenas sam usiłował namówić panią Horn do spędzenia wieczoru w „Argentynie”, lecz na próżno.

„Udawala tylko, że się mną interesuje — pomyślał Drucki — lecz jeżeli przypuszcza, że umrę z rozpaczy, myli się bardzo. W każdym razie dziwne”.

Chociaż obiecał sobie machnąć na nią ręką, jednak wyczekiwał jej codziennie i zły był, ilekroć sam siebie na tym przyłapywał. Wiedział doskonale, że nie kocha się w niej, lecz wiedział również dobrze, że ciągnie go coś do niej mocniej niż do innych kobiet. Myślał, że i z nią jest to samo, lecz — jak się okazało — omylił się.

— Służę ci — powiedział, wchodząc do łóży Brunickiego — i prawdę powiedziawszy, jestem rad, że przez jeden wieczór odpocznę i pogawędzę z tobą.

— Powiedźże mi — zapytał, nalewając Brunickiemu wina — czy powtórne badanie krwi mojej i twojego syna dało takie wyniki, jak i poprzednie?

— Tak. Ty masz krew typu C, on zaś typu A<sup>164</sup>.

— No widzisz — odetchnął Drucki — byłem tego pewien. Jakieś przekleństwo zawisło nad naszą przyjaźnią, ale jestem przekonany, że w końcu twoje badania przekreślą wszystkie wątpliwości i wszystkie podejrzenia, które — już mniejsza o mnie — tak krzywdzą świętej pamięci żonę twoją...

Twarz profesora ściągnęła się i powiedział glucho:

— A jednak ona ciebie kochała...

— Pijmy — przerwał Drucki.

Brunicki wypił kieliszek do dna i potrząsnął głową.

— Tak, ty masz nieprawdopodobne szczęście do kobiet... Ale *à propos*<sup>165</sup> — zniżył głos — nie próbowałaś się dowiedzieć co się stało z tą... no z tą dziewczynką...

— Z jaką dziewczynką?

— Z tą pensjonarką, po historii, za którą musiałeś uciekać za granicę.

Profesor obserwował go z ukosa, lecz twarz Druckiego była spokojna.

— Owszem — skinął głową — starałem się zebrać informacje. Otóż ta mała, do dziś dnia nie mogę sobie przebaczyć mego szaleństwa, ta mała zaraz została wywieziona przez ojca na wieś. Jej ojciec porzucił posesję w Warszawie i wziął w dzierżawę mały folwark na Polesiu. Dziewczyna odesłana została do gimnazjum do Łodzi, lecz tam wkrótce dotarły wiadomości o skandalu i trzeba było ją przenieść gdzie indziej. Dokąd — nie wiadomo. Od tej chwili ślad po niej zaginął. Wiem tylko, że ojciec jej umarł, kiedy jeszcze była w Łodzi.

— I nic więcej?

— Nic.

— Czy zwracałeś się do jakiegoś biura detektywów?

<sup>164</sup>masz krew typu C, on zaś typu A — odkrywca grup krwi, Karl Landsteiner, w 1901 na podstawie aglutynacji zmieszanej surowicy podzielił ludzką krew na trzy grupy: A, B i C; niedługo później odkryto czwartą grupę, nazwaną AB; grupa C została później przemianowana na grupę O (od niem. *ohne*: bez) lub grupę o (zero); dzieci dziedziczą grupę krwi po rodzicach, ale wbrew sugestii w rozmowie bohaterów, mężczyzna z grupą krwi o może być ojcem dziecka z grupą krwi A (jeśli matka ma grupę A lub AB). [przypis edytorski]

<sup>165</sup>*à propos* (fr.) — przy sposobności, w związku z tematem. [przypis edytorski]

— Boże broń — roześmiał się Drucki. — Nie posądzasz mnie chyba o tak daleko posuniętą naiwność.

— Więc?

— Wypadkiem natknąłem się tutaj na niejakiego Cierzawskiego. Trochę łobuz, trochę alfons<sup>166</sup>, a głównie pieczeniarski<sup>167</sup>. Otóż ten niebieski ptaszek był kiedyś ekonomem czy rządcą w majątku sąsiadującym z folwarkiem ojca tej małej. Mogłem go bez obawy o wyspę wypytać, bo chociaż spryciarz, jest dość głupawy, gdy się za niego zapłaci kolację i pozwoli się mu opowiadać stare, zwietrzałe anegdoty, gada jak najęty. Udawałem bardzo zaciekawionego i wydobyłem od niego jeszcze i to, że w jednej ze swoich podróży po kraju — on, uważasz, wynajmuje się na czas wyborów jako agitator wiecowy — spotkał gdzieś w Kutnowskim, czy w Płockiem dalszą jej rodzinę, też Żerańskich, czy Żerawskich, bo już nie pamiętam. Ci wręcz wypierali się pokrewieństwa.

Stuknął się kilka razy palcem w czoło i zakończył:

— Straszna krzywdę im wszystkim zrobiłem. Wariat, osio!

Profesor bębnił palcami po stole. Nie ulegało wątpliwości, że Bohdan pojęcia nie miał, kim jest podprokuratorka Alicja Horn.

— I wiesz — ciągnął Drucki — że popełniałem w życiu szaleństwo za szaleństwem, że zrobiłem moc głupstw i niczego nie żałuję, niczego nie pragnąłbym odrobić, cofnąć... A to jedno gnębi mnie jak zmore... Ach, żeby nie był wówczas pijany. Wszystko przez ten alkohol! Pijmy!

Pili. Brunicki czuł już trochę wina w głowie i dlatego postanowił odłożyć rewelację na inny raz lub też w ogóle zataić swe odkrycie.

Dancing tymczasem huczał zabawą. Gwar rozmów, śmiechy i brzęk szkła na tle nieprzystającej grać orkiestry wytwarzały nastrój, który, zdawało się, przyrósł już do tych ścian.

Drucki rozglądał się i kilka razy zapytywał kelnera, czy nie przyszedł mecenas Łęczycycki.

W końcu kelner przyszedł sam z wiadomością:

— Nie ma pana Łęczycyckiego, panie dyrektorze, ani tej pani, co z nim bywa, ale przyszedł ten pan doktor, taki łysawy w okularach, co z nimi chodził.

— Sam? — zerwał się Drucki.

— Tak jest, panie dyrektorze, samiuteńki.

— Gdzież on jest? — wyjrzał na salę.

— Tu, panie dyrektorze, akurat pod tą łożą.

Wówczas Druckiemu przyszło na myśl, że może doktor Czuchnowski ma jakąś misję od Alicji.

Nawet na pewno, bo po cóż by przychodził?

Drucki przeprosił profesora i nie zauważywszy nawet jego ironicznego uśmiechu, zszedł na salę.

Czuchnowski siedział sam przy małym okrągłym stoliku i pił koniak. Twarz jego stała się jeszcze bardziej biała, oczy podsiniąły, a policzki zapadły.

— Dobry wieczór, doktorze — przywitał go Drucki.

Krew buchnęła do twarzy Czuchnowskiego, a jego oczy zaiskrzyły się zza szkielek. Wstał jednak i podał rękę Druckiemu.

— Czy można zapytać — swobodnie zaczął Drucki — dlaczego doktor jest w ostatnich czasach tak rzadkim u mnie gościem? Może coś ze zdrowiem, nie daj Boże?

Czuchnowski spojrzał nań podejrzliwie i wzruszył ramionami.

— Nie, zdrow jestem, dziękuję.

— Tak jakoś i pan, i pańskie towarzystwo zapomnieliście o „Argentynie”.

— Co pan mówi? — zdziwił się Czuchnowski — to i... pani Horn nie bywa?

— A nie. Ani pani Horn, ani mecenas Łęczycycki. Cieszę się, że chociaż pana widzę, doktorze.

— Wcale nie bywają? — dopytywał się Czuchnowski, jakby nie wierząc własnym uszom.

<sup>166</sup>alfons — mężczyzna czerpiący zyski z prostytucji kobiet. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>pieczeniarski — człowiek nawykły żywić się cudzym kosztem, lubiący wygodnie żyć z cudzej pracy; darmozjad. [przypis edytorski]

— Wcale. Nawet zdziwiłem się.

— I ja się dziwię — chmurnie pochwycił doktor.

— Dlaczego? — z udawaną obojętnością rzucił Drucki.

Czuchnowski znowu poczerwieniał.

— Dlatego... dlatego, że sądziłem... że zdawało mi się... No, myślałem, że pani Horn zależało na bywaniu tu.

— Ach — dodał Drucki — i ja miałem wrażenie, że pani Horn nie nudzi się w „Argentynie”.

Połapał się już, że Czuchnowski przyszedł, bo chciał spotkać Alicję. „Biedna fujara”, pomyślał. Po prostu w głowie nie mieściło się Druckiemu, by człowiek inteligentny, który, jeżeli nie z własnych obserwacji, to w każdym razie z literatury musiał orientować się o tyle, o ile w psychice kobiecej, tak bezradnych chwycił się środków. Wiedział, że Czuchnowski jest jego rywalem, lecz nie czuł w nim rywala do tego stopnia, że gotów był chociażby zaraz uderzyć go po kolanie i huknąć: „Przyjacielu! Do diabła ciężkiego, nie tak zdobywa się kobiety! Rób coś! Ruszaj się, nie jęcz i nie chlipaj do stu piorunów!”.

Drucki wstał.

— Zatem życzę doktorowi przyjemnej zabawy... A przy sposobności najżyczliwsze ukłony dla pani Horn i dla pana Łęczyckiego.

— Chwileczkę — zatrzymał jego rękę Czuchnowski — sekundę...

— Słucham pana!

Doktor gryzł dolną wargę.

— Nie, właściwie nic... Bardzo przepraszam... Może innym razem...

Drucki rozzłościł się. Dość miał tego! Tak ścisnął dłoń doktora, aż ten syknął z bólu i klapnął na fotel.

— Słuchaj pan — wyrzucił z pasją — albo pan jesteś mężczyzną, albo miękką fujarą bez kości. Co pan ze sobą wyprawiasz, do stu par beczek! Albo pluń pan za siebie i postaw pan krzyżyk, albo weź się pan w kupę! Nie będziemy obwijali w bawełnę, bo i nie ma po co! Czego pan kwęczysz do pioruna! Ma pan dwa życia, czy co, że to jedno tak pan sobie zatruwa?!

Czuchnowski bezwładnie opuścił głowę na piersi.

— Bądźmy szczerzy — ciągnął Drucki, podniecony beznadziejną miną słuchacza — patrzysz pan na mnie jak na wroga, bo myślisz, że ja ci ją zabrałem. Tak?

Czuchnowski milczał.

— Tak czy nie? — nalegał Drucki.

— Tak.

— Otóż nie zabrałem, bo nie dostałem.

Twarz doktora rozjaśniła się, gotów był uściskać Druckiego, co tego doprowadziło omal do wściekłości.

— I czego pan się cieszy, do diabła! Czego? Że ja nie zabrałem?... Powiem panu: jeżeli nie ja, to zabierze ją każdy, rozumiesz pan, każdy, tylko nie pan. Nie ja, to inny, ale nie pan ze swoim placzliwym stosunkiem do życia. Panie, na miły Bóg, czy pan tego nie widzi?

— Widzę... widzę — pokiwał głową doktor.

— I cóż pan zrobi?

— A cóż ja mogę zrobić?... — rozpaczliwie rozłożył ręce.

Drucki wstał.

— Powiesić się, panie drogi, powiesić się. Ja bym się na pańskim miejscu powiesił. Był tak wzburzony, że wytłukłby tego cymbała tu zaraz na miejscu.

Wpakował ręce w kieszenie i nie pożegnawszy się, poszedł na górę.

Przy Brunickim siedziała Kazia i mizdrzyła się do profesora na potęgę. Biedny Karol wyglądał bardzo tym strapiony. To wprawilo Druckiego w taką wesołość, że od razu zapomniał o Czuchnowskim.

— A, przepraszam — cofnął się, udając dyskrecję — zdaje mi się, że państwu przeszkadzam?

— Nie, nie — zawołał skwapliwie profesor — bynajmniej, chodźże tu!

— Może jednak?... — certował się Drucki.

— No chodźże! — prosił Brunicki tym razem, jakby wołał: „Ratunku!”.

— Prosimy, panie dyrektorze — rzuciła mu gorące spojrzenie Kazia.  
 Gdy tylko usiadł, stopniowo zaczęła się przysuwać do niego.  
 — Wiesz co — po kilku minutach zdecydował się profesor — o naszych sprawach pomówimy innym razem. Dziś i za późno, i za dużo było wina. Zatelefonuję do ciebie.  
 Drucki go nie zatrzymywał.  
 Nie zamierzał wykręcać się od zobowiązań wobec niego powziętych, lecz również nie spieszo mu było do ich realizacji, tym bardziej że pojęcia nie miał, jakiego to poświęcenia Karol od niego zażąda.  
 Gdy po odprowadzeniu profesora wrócił na salę, Czuchnowskiego już nie było.  
 Usiadł na chwilę przy jednym stoliku, przy drugim, trzecim, później porozmawiał z barmanem, zajrzał do piwnicy i do kuchni.  
 Tu znalazł go kasjer.  
 — Panie dyrektorze, awantura!  
 — Na sali?  
 — Nie, tylko w gabinecie u pana dyrektora. Ten huncwot<sup>168</sup> Kazia...  
 Drucki wiedział już, co to ma znaczyć. Oczywiście awantura z Tecią.  
 — No! Już ja im pokażę — mruzczał do siebie, pędząc wielkimi krokami.  
 Nie omylił się.  
 Gabinetik wyglądał jak pobojuwisko. Aparat telefoniczny, maszyna do pisania i moc papierów leżały na ziemi. Krzesła były wywrócone.  
 Panna Teczka z rozwianymi włosami siedziała w kącie na podłodze i zalewała się łzami.  
*Monna* Fiametta stała nad nią w sukni podartej i krzyczała, wygrażając piąstkami.  
 — Cicho! — huknął Drucki.  
 Kazia opamiętała się i ciężko dysząc, zwróciła się do niego:  
 — Panie dyrektorze...  
 — Milczec! Panno Teci, proszę wstać!  
 Chlipiąc, podniosła się i zakryła oczy rękami, znowu zanosząc się łkaniem.  
 Za Druckim i kasjerem do gabinetu wcisnęło się jeszcze kilka osób z personelu restauracyjnego i z zespołu „artystów”.  
 — Czego tu? — syknął na nich Drucki.  
 Przepychając się, pośpiesznie wynieśli się na korytarz.  
 Drucki rozpoczął śledztwo.  
 Okazało się, że Kazia przysłała do gabinetu, gdyż chciała poprosić dyrektora o zwolnienie na jutrzejszy dzień i chciała na niego tu czekać. Teczka niezbyt grzecznie wypraszała ją za drzwi. Słowa przeszły w rękoczyn, przy czym niepodobna już było ustalić, która z przeciwniczek dała początek walce czynnej. Drucki jednak, znając usposobienie i jednej i drugiej, nie miał żadnej wątpliwości, że napastniczką była pełna temperamentu *signorita* Fiametta, a nie słodka i nieśmiała panna Teczka.  
 Pod koniec tych dochodzeń chciało mu się już śmiać, powstrzymywał się jednak i nie zmieniał groźnej miny. Przede wszystkim należało utrzymać porządek i dyscyplinę. Doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że awantura wynikła na tle zazdrości o niego. Dlatego też nie sprawdziły się przepowiednie, jakimi dzielono się teraz w kuchni, szatni, w barze, a brzmiące jednogłośnie: „Dyrektor wyleje obie na zbity łeb”.  
 Nie wylał. Kazał Teci ubrać się i iść do domu, a jutro stawić się do pracy. Zapowiedział też, że wobec tego, co zaszło, nie wypłaci jej gratyfikacji<sup>169</sup>.  
 Kazię zatrzymał.  
 Gdy tylko zostali sami, dziewczyna rozplakała się, zaczęła go przeproszać, próbowała rozrzewnić, potem wybuchła przekleństwami pod adresem rywalki, nie żałując najso-  
 czystszych słów.  
 — Dość tego! — zawołał Drucki. — Wiesz, co ciebie czeka, bo cię ostrzegalem. Kasjer wypłaci ci należną gażę i do widzenia.  
 — Daruj! Daruj! Niech pan dyrektor daruje! Przysięgam, że już nigdy, nigdy!...  
 Rzuciła się przed biurkiem, na którym siedział, na kolana.

<sup>168</sup>*huncwot* (daw., pot.) — szelma, łobuz. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>*gratyfikacja* — dodatkowe, zwykle jednorazowe wynagrodzenie okolicznościowe albo nagroda za specjalne zasługi. [przypis edytorski]

— Wstań, bo mnie nie rozczulisz, a kolana cię zabolą. Powiedziałem i rzecz skończona.

— Ten jeden raz — szlochała — ostatni raz... Boże, Boże! I to przez takie ścierwo, przez taką małpę!... Ja przysięgam!....

— Przysięgasz, a wymyślasz dalej, nic ci nie wierzę...

— Już nie będę, przysięgam, że nie będę, daruj, przebacz, ja tak strasznie ciebie kocham... Już tej bezczelnej małpy palcem nie tknę...

Drucki zerwał się i podszedł do okna. Musiał ukryć twarz, gdyż śmiech go po prostu dusił.

Wreszcie zdołał się opanować i powiedział:

— No dobrze może ci i daruję, ale pod warunkiem... Czekajże!

Dziewczyna rzuciła się nań i zaczęła go całować.

— O, jakiś ty dobry, jaki kochany, jaki jedyny...

— Dajże spokój — odsunął ją lekko, lecz stanowczo — wysłuchaj najpierw, co ci powiem. Może wówczas będziesz wolała odejść.

— Na pewno nie — potrząsnęła głową.

— Więc słuchaj. Zostawię cię pod następującymi warunkami: po pierwsze zaraz jutro pójdziesz do panny Teci i przeprosisz ją, a to...

— Niech tam, dobrze...

— Czekaj. Przeprosisz w ten sposób, że ją pocałujesz w rękę.

— Ja? Tę cholere?

— Ty ją.

Dziewczyna spojrzała ponuro w podłogę i odpowiedziała:

— Niech tam.

— Ale to nie wszystko. Zrobisz to tak, żebym ja był zadowolony. Rozumiesz? Nie byle jak, tylko jak się należy.

— Niech tam.

— Poza tym codziennie będziesz się jej pierwsza kłaniać i to uprzejmie!

— Niech tam.

— Nie żadne „niech tam” — krzyknął Drucki — tylko uważaj! Bo teraz, jeżeli tylko coś będzie, to nie tylko pożegnamy się, ale jeszcze na pożegnanie spódniczkę do góry i wlepię ci po ojcowsku takie paternoster<sup>170</sup>, że przez tydzień nie będziesz miała na czym siedzieć.

Kazia kiwnęła głową, pomilczała chwilę i spytała:

— To już dobrze?

— Jeżeli dotrzymasz obietnicy, to dobrze.

— Dotrzymam... O, ty jesteś bardzo srogi, ale ja i tak ciebie kocham.

Przytuliła się do niego.

— Możesz mnie nawet wybić, a i tak ciebie kochać nie przestanę... A dzisiaj... dzisiaj przyjdiesz do mnie?... Prawda, że przyjdiesz, mój kochany, mój jedyny!

Drucki roześmiał się. I rób tu coś z babami. Spłynęło po niej wszystko i ona teraz uważa, że on nie znajdzie nic lepszego do zrobienia po całej awanturze, jak właśnie pójść do niej.

Wygląda tak apetycznie, że omal nie dał się skusić, jednak ze względów pedagogicznych ostro odmówił, nie wierząc zresztą, by zrozumiała sens tej odmowy. Będzie się w duchu dziwić, o co jemu jeszcze chodzi, skoro już wszystko w porządku.

„Wszystko ma swoje dobre strony — myślał w duchu Drucki, jadąc do hotelu — przynajmniej raz dobrze się wyśpię”.

— Uszanowanie panu dyrektorowi — przywitał go nocny portier — u pana dyrektora czeka jedna pani.

Druckiemu serce zabiło mocniej.

„Alicja!” — przebiegło mu przez głowę.

Ogromnymi krokami pędził po schodach i otworzył drzwi.

<sup>170</sup>paternoster (żart. pot.) — surowe upomnienie kogoś, reprimenda; od łacińskiej nazwy modlitwy *Pater noster* (*Ojcze nasz*), być może od nazwy dawnego sznura modlitewnego, na którym odmawiano tę modlitwę. [przypis edytorski]

Na łóżku, w kapeluszu, w futerku i w botach, siedziała skulona — Tacia.  
— Szalenie trudno wyspać się — westchnął Drucki i zaczął się rozbierać.

## ROZDZIAŁ IO

Prezes sądu okręgowego, Turczyński, chodził po pokoju, od czasu do czasu zerkając z ukosa na prokuratora Martynowicza, który zdawał się namyślać.

— Jednak trudno zaprzeczyć faktowi — podjął wobec tego prezes — że kobieta ta ma jakiś instynkt psa policyjnego, czy powiedzmy ozdobniej, urodzonego kryminologa. Wiem od adwokatów, iż wprost im ręce opadają, gdy oskarża ona.

— Bo pani Horn — poprawił się w fotelu Martynowicz — połowę spraw kieruje na umorzenie.

— Właśnie — zatrzymał się przed nim prezes — ma instynkt. Tam, gdzie śledztwo nie daje winowajcy, w którym ona odkryje winowajcę rzeczywistego, nie chce oskarżać. Ale przecież w setce procesów przez nią wszczętych wina była więcej niż wątpliwa, a jednak wyroki musiały być skazujące.

— Nie zawsze — zaoponował prokurator — a sprawa Kuszelskiego? Sam pan przewodniczył rozprawie i Kuszelski został uniewinniony.

— Ba — zaśmiał się Turczyński — ale pani Horn sama mi później mówiła, że pan wbrew jej opinii narzucił jej to oskarżenie.

— Narzucił, narzucił — obruszył się prokurator — nic nie miałem do narzucania. Otrzymałem wyraźny nakaz z ministerstwa. Rząd sobie tego życzył i już.

— Mniejsza o to — upierał się prezes — pozostaje faktem, że Kuszelski był uczciwym człowiekiem i ona to wyczuła.

Przeszedł się jeszcze raz i zawrócił.

— Niezwykła kobieta i do tego piękna jak wszyscy diabli.

Martynowicz uśmiechnął się zjadliwie i odezwał się takim tonem, jak gdyby zmieniał temat rozmowy:

— Jakże, prezesie, nie zamierza pan żenić się?

— Ja? — stanął jak wryty Turczyński.

— No, przecie pan jest kawalerem... hm... że tak powiem, do wzięcia — od niechcienia wyjaśnił prokurator.

— Pan też jest kawalerem — szyderczo zauważył prezes.

— Ja... cóż ja... — bąknął Martynowicz — pan co innego.

— Jesteśmy w jednym wieku.

— Tak, ale pana jeszcze kobiety, panie dobrodzieju, biorą. Może pan godzinami wypowiadać zachwyty...

— Niby ja? — oburzył się prezes.

— Ano pan. Cóż to, przed chwilą chociażby o pani Horn.

— Pani Horn jest prokuratorem i wypowiadałem opinię o jej kwalifikacjach zawodowych.

Martynowicz pokiwał głową.

— No tak, oczywiście. Od dziś dnia będę zwracał baczną uwagę, czy moi podwładni mają kwalifikacje zawodowe, to jest, czy są piękni jak wszyscy diabli, jakie mają rączki, jakie oczka, jakie nóżki...

— Wcale o tym nie mówiłem — zirytował się prezes — a jeżelibym i mówił, to lepiej mówić, niż o tym myśleć i pogrążyć się w tego rodzaju kontemplacje.

— Ja też ani mówię, ani myślę.

— Tak? Wobec tego oczerniają pana tu wszyscy.

— Mnie oczerniają?

— Pana, pana, kochany panie prokuratorze. Opowiadają, że pan aż chudnie z miłości do pani Horn.

— Ja? Chudnę? — zacerwienił się Martynowicz — chudnę, bo piję „Karlsbad”<sup>171</sup>. A to gniazdo plotkarstwa...

Krótkie silne pukanie do drzwi i wejście Alicji Horn jak nożem ucięło spór.

<sup>171</sup>*Karlsbad* (niem.) — ob. Karlove Vary, miejscowość uzdrowiskowa w zach. Czechach; tu: marka wody mineralnej z tej miejscowości. [przypis edytorski]



— Dzień dobry panom — przywitała się z uśmiechem i zaraz rozłożyła przed Martynowiczem jakieś papiery.

Wchodząc, od razu wyczuła, że między obu starszymi panami musiał zająć jakiś spór. Prokurator był czerwony, a prezes nerwowo skubał wąsy. Ze spojrzeń zaś, które ją spotkały, wywnioskowała, że mówili o niej, a była pewna, że nic złego.

Nie było to zresztą dla niej nowiną. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że podkochuje się w niej niejedyn mężczyzna w sądzie. Jeżeli nie sprawiało to jej przyjemności, bynajmniej nie było też przykre. Zresztą nie unikała sposobności podobania się tak, jak ich nie szukała.

Pozycja jej była coraz mocniejsza. Nie tylko w pałacu Paca, nie tylko w świecie prawniczym, lecz i w ministerstwie uważana była za jednego z najzdolniejszych członków prokuratury.

Jeżeli w jakimkolwiek stopniu do wyrobienia tej opinii przyczyniła się jej uroda, nie martwiła się tym wcale.

Przecie przede wszystkim była kobietą, inną niż większość, mądrzejszą, inteligentniejszą, niezależną w całym tego słowa znaczeniu, ale tym niemniej kobietą, a dopiero później prokuratorem, co — jak to udowodniła swoją półroczną działalnością — nie tylko nie kolidowało ze sobą, lecz stwarzało całość, z której mogła być dumna.

Oto stała się żywym dowodem pełnego człowieczeństwa kobiety.

Prokurator Martynowicz przejrzał papiery i burkliwiej niż zwykle wypowiedział kilka uwag, po czym skinął głową na znak, że Alicji nie zatrzymuje.

Prezes Turczyński demonstracyjnie wyszedł razem z nią. Na złość Martynowiczowi!

Po drodze wypytywał Alicję o zdrowie, o zamiary na lato, wreszcie przeszedł na stosunki w sądzie, wyraził kilka spostrzeżeń w związku z ostatnimi sprawami i żegnając Alicję przed drzwiami jej gabinetu, powiedział:

— Nauczyłem się wierzyć w pani instynkt kryminologa. Nazywam to instynktem, gdyż zważywszy wiek pani, nie mogę mówić o doświadczeniu. Nie umiem sobie wytłumaczyć tylko jednej rzeczy: — jakim cudem w pani, istocie tak bardzo kobiecej, znalazł się talent od wielu stuleci właściwy wyłącznie mężczyźnie.

— Przywłaszczony przez mężczyznę.

— Powiedzmy — roześmiał się Turczyński — stworzony i zmonopolizowany, tak samo, jak i wiele innych dziedzin: rządzenie, wojowanie, sądzenie.

— Upieram się jednak przy słowie „przywłaszczenie” — zaakcentowała Alicja.

Stali na korytarzu i musieli wciąż odpowiadać na ukłony wielu przechodzących tędy osób.

Pomimo to prezes nie zdradzał widocznie chęci przerwania rozmowy, gdyż zapytał:

— Tedy, zdaniem pani, kiedyś mężczyźni dzielili z kobietami przywilej rządzenia, sprawowania sądów i tym podobne?

— Nie dzielili, gdyż w ogóle go nie posiadali. Przecie pan prezes wie, że pierwotna organizacja społeczeństw ludzkich była oparta na ustroju matriarchalnym<sup>172</sup>. Patriarchat liczy zaledwie, jeżeli chodzi o Europę, trzy do czterech tysięcy lat...

— Drobiazg — żartobliwie zauważył prezes.

— A tak — poważnie powiedziała Alicja — drobiazg. Malutki ułamek w historii ludzkości. A przedtem długie tysiąclecia panował matriarchat, rządziły tylko kobiety. A widocznie robiły to niezgorzej, skoro dziś świat usta otwiera z zachwytem nad odkryciami etruskimi i egejskimi<sup>173</sup> z owej epoki cywilizacji wyższej niż epoka Wersalu<sup>174</sup>, a kultury wspanialszej i wyższej niż nasza obecna.

<sup>172</sup>*matriarchat, patriarchat* — formy organizacji społeczeństwa oparte na dominującej pozycji, odpowiednio, kobiet albo mężczyzn; w poł. XIX w. wysunięto hipotezę, że w społeczeństwach pierwotnych, prehistorycznych panował matriarchat, ale nie znalazła ona potwierdzenia i obecnie uznaje się, że społeczeństwa matriarchalne nigdy nie istniały. [przypis edytorski]

<sup>173</sup>*odkrycia etruskie i egejskie* — odkrycia archeologiczne związane z cywilizacją Etrusków w płn. Italii (ok. 900–27 p.n.e.) oraz kulturami epoki brązu wokół Morza Egejskiego: cywilizacją minojską na wyspie Krecie, cykladzką w archipelagu Cyklad oraz helladzką w Grecji kontynentalnej (ok. 3100–1100 p.n.e.). [przypis edytorski]

<sup>174</sup>*Wersal* — wspaniały zespół pałacowy z kompleksem ogrodowo-parkowym, powstały pod Paryżem z polecenia Ludwika XIV; do 1789 stanowił rezydencję królów francuskich; od czasów Ludwika Filipa znajduje się tam muzeum historyczne. [przypis edytorski]

— Niestety, nic nie wiem o tym. Nigdy się tym nie zajmowałem — rozłożył ręce prezes — ale przyjmując to do wiadomości, nie przypuszczam, by pani chciała przez to powiedzieć, że świat wraca do ustroju matriarchalnego?

— Któż to może wiedzieć? — uśmiechnęła się Alicja. — Jesteśmy wprawdzie świadkami powrotu kobiety do czynnego życia społecznego i państwowego, lecz zbyt mały mamy wycinek czasu do obserwacji. Jednakże wszystko zdaje się przemawiać za uzasadnieniem... obawy pana prezesa.

— Jeżeli ustrój ten ma nas, mężczyzn, zmusić do abdykacji na rzecz takich kobiet, jak pani, proszę mi wierzyć, że obawy moje zmienią się w szczerą radość.

Powiedział to z tak ujmującą kurtuazją dżentelmena starej, dobrej szkoły, że Alicja podziękowała mu najmiłszym i najzalatniejszym ze swych uśmiechów.

Szarmancko pocałował ją w rękę i wyraźnie słyszała, jak, odchodząc, bardzo chrząkał.

Pracowała tego dnia tylko do drugiej. Julka gorączkowo przygotowywała się do egzaminów maturalnych i Alicja poświęcała teraz wiele czasu przerabianiu z nią trudniejszych przedmiotów.

Teraz, gdy oswoiła się już zupełnie z pracą w sądzie, gdy zaprzestała bywania w restauracjach i gdy zabrakło Czuchnowskiego, Alicja niemal całkowicie zajęła się Julką. Kochała ją bardzo i za główny punkt swej ambicji uważała wychowanie Julki na kobietę-człowieka własnego pokroju, na istotę rozumną, duchowo niezależną, a życiowo samodzielną.

Taką odda ją życiu. Uzbrojoną i opancerzoną przed niedorzecznymi wszelkimi uderzeniami, z zewnątrz i z wewnątrz, które Alicja sama musiała przejść i które omal nie zgruchotały jej do cna.

Julka już tego nie będzie musiała przechodzić. Teraz jest jeszcze dzieckiem o naturze zbyt miękkiej, zbyt giętkiej i zbyt skłonnej do wygodnej, a zgubnej dla kobiety roli bluszczu.

Na drodze planów Alicji stała i zmysłowość Julki, wyrażająca się w jej nadwrażliwości na wszelkie tematy erotyczne, jakie spotykało się w mitologii, anatomii, psychologii, historii, czy nawet w starannie selekcionowanych przez Alicję utworach beletrystycznych. Mała miewała potem sny pełne podniecających wizji i romantycznych sytuacji.

Nauczona od szeregu lat zwierzała się z nich zawsze Alicji, zapłoniona i z lśnięcymi oczyma.

Do snów tych Alicja wielką przywiązywała wagę, bacznie je notowała i szukała klucza do nich w psychoanalizie. Nie była bezwzględna zwolenniczką freudyizmu<sup>175</sup>, lecz brała pod uwagę wiele metod psychoanalitycznych przy wychowaniu Julki.

Widziała też u niej za silny pociąg do pieszczot. Julka od dziecka miała nadmierne zamiłowanie do przytulań się, obcałowywała swoje koleżanki, przepadała za panami, którzy nosili „na barana”, i lubiła wysiadywać na ich kolanach. Teraz zaś kolekcjonowała fotografie artystów filmowych i całe swoje drobne oszczędności wydawała na zakup tych pocztówek.

Wszystko to niepokoiło Alicję.

Sama, będąc dziewczynką — doskonale to pamiętała — była bardzo zmysłowa. Może mniej to uzewnętrzniała niż Julka, lecz za to ileż nocy spędzała bezsennie, spalając się w najwstydlivszych bezwstydnym marzeniach i do krwi gryząc palce, poplamione szkolnym atramentem.

Dlatego nie obawiała się zmysłowości Julki, zmysłowo może równie silnej, lecz równiejszej i nieburzliwej. Co więcej, była przekonana, że z łatwością zdoła rozwinąć w dziewczynie dostatecznie silne ośrodki hamujące, skoro przy swoim własnym, znacznie niebezpieczniejszym usposobieniu, posiadała już jako podlotek tak dojrzałe, że w chwili rzucenia się na nią mężczyzny, w chwili gdy ziszczał się wreszcie wymarzony w długie noce moment oddania się, znalazła w sobie dość siły i dość woli, by uciekać po ciemnym mieszkaniu, walczyć i bronić się do ostatka sił. Jeżeli doznała wówczas szalonej, dzikiej, nieprawdopodobnej rozkoszy, to jednak już w chwilę potem znalazła w sobie dość mocy psychicznej,

<sup>175</sup>freudyzm — zespół poglądów wywodzących się z koncepcji stworzonych przez twórcę psychoanalizy, Sigmunda Freuda (1856–1939), który podkreślał rolę popędu seksualnego jako motoru postępowania człowieka oraz stosował metodę terapeutyczną opartą głównie na analizie swobodnych skojarzeń, snów i wspomnień. [przypis edytorski]

Matka, Córka

Kobieta, Przemoc

by oddzielić oszalamiające przeżycie swego ciała od siebie, by wzbudzić w sobie nienawiść, żal i pogardę do tego człowieka. Mniejsza o to, że z biegiem lat, w miarę dojrzewania umysłu, uczucia te poddała rewizji i korekturze. Pozostało faktem, że ośrodki hamujące miała rozwinięte wspaniale.

Tym bardziej uda się je wykształcić u Julki.

Jeżeli to było możliwe, zbliżyły się teraz ze sobą jeszcze bardziej.

Były same. Nikt u nich nie bywał i one u nikogo. Alicja nie uznawała życia towarzyskiego, uważając je za puste, jałowe i odpowiednie wyłącznie dla natur płytkich, pozbawionych treści wewnętrznej i jakichkolwiek aspiracji umysłowych.

Julka, ubóstwiając swą opiekunkę, zgadzała się z nią całkowicie i nie tęskniła za innymi rozrywkami niż teatr, książka, wystawy obrazów czy odczyty. Tego jej nie brakowało.

Zresztą obecnie pochłaniała ją zupełnie nauka. Chwile odpoczynku wypełniała sobie marzeniami o wyjeździe nad morze i co kilka dni dla utwierdzenia swych planów pytała:

— Powiedz, Alu, czy myślisz, że ja łatwo nauczę się pływać?

Albo też:

— Jak wysokie bywają fale na Bałtyku?

Krótkie, informacyjne odpowiedzi Alicji brzmiały dla Julki tak, jak zapewnienie: „Owszem, pojedziemy nad morze”.

Alicja sama sporo o tym myślała, stwierdzając swój zły stan nerwowy. Należało na pewien czas zmienić środowisko. Nie przyznawała się sama przed sobą, że codziennie wieczorem, po zaśnięciu Julki, odczuwała zniechęcenie do wszystkiego i pustkę swego życia. Tłumaczyła to chwilową depresją i gdyby nie natrętne wspomnienia, które — ledwie przymknęła oczy — stawały przed nią obraz wysokiego, barczystego mężczyzny o przedziwnie złojących się żrenicach, gdyby nie echo jego niskiego przejmującego głosu, które w ciszy dźwięczało niepokojąco, mogłaby uwierzyć, że wymazała z pamięci wszystko, co miało jakąkolwiek łączność z Winklerem.

Nie spotkała go ani razu, co uważała nawet za dziwne: tylu znajomych spotyka się na ulicy.

Zresztą to i dobrze: cóż jej może na tym, a w ogóle na nim zależeć? Mówił, że ich przejście obok siebie jest niemożliwością, a cóż zrobił, by ją zatrzymać? Nic! Dosłownie nic! Zostawił jej możliwość dostąpienia zaszczytu przez zaliczenie się do haremu jego kochanek! Grubo się pomylili. Bardzo grubo!

Nawet nie raczył zatelefonować. Napisać! Czy postarać się spotkać ją przypadkiem. Palcem nie ruszył!

Zarozumiałec! Zdawało się mu, że ona, jak inne, nie potrafi odwrócić się od niego, że z pokorą przyjmie rolę jednej z wielu, że nie potrafi o nim zapomnieć...

Nie umiał poznać się na niej, więc niewart jest ani jej, ani jej pamięci.

Tak dalece niewart, że nie pamiętałyby o nim, gdyby pamięć człowieka od niego samego była zależna.

Pamięć

## ROZDZIAŁ II

— Oj, kapitanie! Ja jeszcze nie jestem gotowa — zawołała Luba przez drzwi.

— Co? Jeszcze? — z udawanym oburzeniem krzyknął Drucki.

— A co pan chciał pokazać?

— Swój nowy sprawunek, ale jeżeli pani nie gotowa, to do widzenia, wychodzę!

Zaczął tupać nogami i cichutko usiadł na krześle tuż przy drzwiach.

— Kapitanie! Kapitanie! — wołała Luba, a nie usłyszawszy odpowiedzi, wpadła do salonu.

Była rzeczywiście nieubrana: w kombinezce i w szlafrocжку, który zdążyła nałożyć tylko na jedną rękę.

Nie spostrzegłszy Druckiego, przebiegła do drzwi prowadzących do jadalni i wychyliwszy zza nich głowę, wołała:

— Już, już, jestem gotowa, proszę wrócić.

Jednocześnie usiłowała zwalczyć opór drugiego rękawa. Gdy w końcu to się jej udało, Drucki, nie ruszając się z miejsca, powiedział bardzo głośno:

— No, nareszcie!

— Ach! — przestraszyła się Luba. — O, niedobry kapitan! Jak można... Podglądać mnie nieubraną!

Podbiegła do niego i pochyliwszy się, surowo groziła mu palcem.

Zaśmiał się i złapał ją za rękę.

Czy chwyt był za mocny, czy dywan jej się usunął, dość że zachwiała się, straciła równowagę i znalazła się u niego na kolanach. Zastygła w bezruchu, nie puszczać jego ręki.

— Luba!... — ostrzegawczym szeptem powiedział Drucki.

Wybuchnęła śmiechem i zarzuciła mu rękę na szyję.

— Przestraszył mnie, to teraz musi uspokoić.

— Luba! — chrapliwie powtórzył Drucki.

Rozchyliła usta tuż przy jego wargach, oczy jej zarzyły się. Nagie ramiona przesuwają się po szyi i karku. Przywarły doń tak, że czuł przyspieszony oddech jej piersi.

Zacisnął szczękę i odwrócił głowę. Wówczas zaczęła mu szeptać do ucha, że wszystko nic, że niech świat się zawali, że służąca nie wejdzie, że już dłużej nie potrafi, że kochany, że to męczarnia, że niech się stanie co chce...

Jej chciwe wargi przesuwają się gorącą smugą po jego twarzy.

Porwał ją nagle na rękę, zdusił w uścisku, zerwał się i zaczął chodzić po pokoju. Oczy zachodziły mu mgłą, w piersi rzęziło, krew szalonym tętnem waliła w skroniach. Nie czuł jej ciężaru, a przecież zataczał się jak pijany.

Nie, to było ponad jego siły!

Oderwał przemocą jej rękę od siebie, rzucił się na fotel.

— Nie można tak... Luba... to straszne... nie można... — mówił przerywanym głosem — ...dałem twemu mężowi słowo...

Podeszła do niego.

— Więc co? Więc co? Więc nie dotrzymasz — szeptała, czepiając się jego rąk.

— Dotrzymam!... Luba... Muszę dotrzymać i dotrzymam...

— Dałeś słowo — nie ustępowała — że nie weźmiesz mnie... No więc, dobrze, dobrze... Ale nie odmawiaj mi swoich pieścizot... Przecież to wolno...

— Luba, ja oszaleję! Czy ty nie rozumiesz?!...

— Nic nie rozumiem, nic nie chcę rozumieć — tuliła się do niego — mój cudny, mój najśladzyszy...

Miał ręce gorące jak płomień, a skóra jej jak marmur była zimna. Miał wargi spieczzone, a usta jej były soczyste i wilgotne.

Ostry dzwonek telefonu obudził ich i otrzeźwił.

Słuchawka drżała w rękę Luby i głos jej drżał:

— Słucham?

— ...

— A, to ty?... Co chciałeś?

— ...

— Mały na spacerze. A ja zaraz wychodzę, bo przyszedł kapitan. Idziemy razem.

— ...

— Dobrze. I ja cię całuję. A nie spóźnij się na obiad.

Drucki przetarł czoło, poszedł do jadalni, wypił duszkiem dwie szklanki wody i zapalił papierosa.

Luba pocałowała go w usta i pobiegła ubierać się. Po kilku minutach zjawiała się gotowa.

— Pani Luba — zaczął Drucki, lecz ona mu przerwała:

— Tylko nie morały, kapitanie, tylko nie morały!

— Jednak...

— Przecie to było takie niewinne, a takie cudne. Chodźmy, chodźmy.

Zajrzała jeszcze do kuchni, wydała jakieś dyspozycje i zesłi na ulicę.

Przed bramą stał długi, popielaty jak mysz, dwuosobowy samochód, lśniący świeżym lakierem.

— Ach, jaki piękny samochód! — zawołała Luba. — Ciekawam, czyj to może być.

— Cacko — potwierdził Drucki.

— To pewnie Bauman kupił — domyśliła się Luba.

Pożądanie

Pocałunek, Pożądanie

— Nie.  
— Kapitanie!  
— Tak — kiwnął głową — to jest właśnie ten nabytek, który chciałem pani pokazać.  
— Cudowny!  
— A zobaczy pani, jak chodzi!  
Otworzył drzwiczki, pomógł jej wsiąść i sam zajął miejsce przy kierownicy.  
— Jaka to marka? — zapytała Luba.  
— Fould. Sześć cylindereków.  
— Musiał kosztować ładne pieniądze.  
— Znacznie taniej — zaśmiał się Drucki — niż wygląda.

Pojechali do Wilanowa.

Za miastem wiosna już była w pełni.

Rozorana ziemia pachniała mocnym, intensywnym zapachem, przydrożne rowy zieleń się runiła<sup>176</sup>. Drzewa pokryte były pierwszym, drobnutkiem liściem.

W Wilanowie pili mleko i jedli czarny, miodem pachnący razowiec.

Wracali do Warszawy w doskonałych humorach.

Wóz istotnie szedł doskonale, chociaż Drucki zauważył, że trzeba będzie podkręcić amortyzatory przy resorach.

Odwiózł Lubę do domu i wrócił do hotelu.

— Jest list do pana dyrektora — zatrzymał go portier.

W białej kopercie była tylko krótka kartka, pisana na maszynie: „Czekam koniecznie dziś wieczorem — K.”.

— Ano, przyszło — westchnął Drucki.

Punktualnie o ósmej był już na Żoliborzu. Brunicki czekał nań w hallu.

— Jestem — powiedział Drucki.

— Dziękuję ci — wskazał mu fotel profesor. — Czy zniszczyłeś moją kartkę?

— Oczywiście.

— Musimy pomówić dłużej. Może pozwolisz herbaty?

— Jeżeli nie zrobi ci różnicy, prosiłbym o mocną.

Profesor nacisnął dzwonek. Natychmiast zjawił się kwadratowy brodac i wysłuchawszy rozkazu, po chwili przyniósł tacę z herbatą.

— O jedno muszę cię prosić — zaczął profesor — mianowicie, o przyjęcie tego, co ci powiem, z dobrą wiarą, a zatem o niepytanie, czy raczej o niewypytywanie mnie o rzeczy, których sam nie powiem.

— Nie przyszedłem tu dla zaspokajania swojej ciekawości — kiwnął głową Drucki.

— Zatem rzecz się ma, jak następuje: przepisy prawne nie pozwalają na eksperymentowanie naukowe na pacjentach. Wiesz dobrze, że pytaniem, jakie zadałem nauce i na jakie od lat szukam odpowiedzi, jest: czy tak zwane zapatrzanie jest możliwe?

— Wiem.

— Otóż kierowały mną pobudki, przyznaję, a ty, Bohdanie, wiesz to lepiej niż ktokolwiek inny, osobiste. Dlatego mógłbym być w niezgodzie z moją etyką, gdyby nie obojętność kwestii pobudek badań dla samej wiedzy. Chodzi o rzecz zbyt doniosłą, zbyt wielką, bym moje czy twoje ewentualne skrupuły mógł tu brać pod uwagę. Badania zaś mogą być prowadzone wyłącznie drogą eksperymentalną. Do tego potrzebne mi są odpowiednie obiekty, dostarczeniem których ty zająć się musisz.

— Dostarczeniem... ludzi? — zapytał Drucki.

— Kobiet — potwierdził Brunicki.

— Kobiet?... Wielu kobiet?

— Poczekaj. Jak zapewne domyślasz się, dotychczas musiałem to robić sam. Jednak z wielu względów było to niebezpieczniejsze i zbyt często niecelowe. Chodzi mi bowiem o kobiety wyłącznie ciężarne. Nie będę ci wskazywał sposobów, do jakich musiałem się uciekać, by kobiety takie zdobyć. Pozwolę sobie zwrócić twoją uwagę na dwa główne źródła: pierwsze to pokątne akuszerki, do których zwracają się od ciąży, drugie to brzegi Wisły, przejazdy kolejowe, ogrody publiczne i tym podobne, czyli miejsca najczęstszych samobójstw tych dziewcząt, które doznały tak zwanego zawodu miłosnego, a których

<sup>176</sup>*runi* — młode, zielieniejące pędy zboża lub trawy. [przypis edytorski]

warunki materialne czy rodzinne uniemożliwiają poród lub też sztuczne poronienie. Rozumiesz?

Drucki zacisnął palce.

— I te mam dostarczać tobie?

— Nie te. Wśród nich bywa bowiem wiele i takich, które inne powody pchają do samobójstwa. Dlatego trzeba wybierać. Trzeba najpierw upewnić się, że dany osobnik rzeczywiście znajduje się w odmiennym stanie. Inaczej szkoda byłoby zachodu i narażania się na niebezpieczeństwo. Poza tym trzeba wybierać kobiety młode, do trzydziestu lat, zdrowe, silne. Najpożądany jest element inteligentniejszy, o psychice wrażliwej.

— Cóż z nimi mam robić?

— Zadaniem twoim będzie odnalezienie odpowiedniego obiektu bez zwrócenia na siebie czyjejkolwiek uwagi i następnie dostarczenie go tutaj. Ze względów bezpieczeństwa należy być szczególnie ostrożnym. Dlatego przewóz do tej willi pacjentki musi się odbyć w stanie jej odurzenia. Może być odurzona alkoholem, chloroformem, eterem lub też innymi środkami, w które cię zaopatrzę. W każdym razie nie może ona zdawać sobie sprawy, dokąd jest wieziona i gdzie się znajduje. Normalnie nie gra to większej roli, są jednak wypadki, gdy zaniedbanie odurzenia może doprowadzić do nieobliczalnych następstw.

— I to wszystko, czego ode mnie żadasz?

— Niezupełnie. Po kilku dniach będziesz musiał odszukać winowajcę ciąży i zdobyć jego fotografię oraz, o ile to będzie możliwe, podobizny jego rodziców i rodziców dziewczyny. Nie przedstawia to wiele trudności, bowiem zazwyczaj po zniknięciu dziewczyny robi się awantura. Interesują się tym reporterzy, wywiadowcy policyjni, często detektywi prywatni. Tedy twoja osoba nie może ściągnąć szczególnej uwagi.

Profesor flegmatycznie zapalił papierosa i dodał:

— W przyszłości będą od ciebie oczekiwali jeszcze pewnych uprzejmości, ale na razie to wszystko.

Drucki wbił weń ponury wzrok.

— Trupy wywozić, co?

— Dlaczego trupy? — nieprzyjemnie roześmiał się Brunicki. — Żadnych trupów nie będzie, upewniam cię.

— Więc daruj, jak sobie wyobrażasz moje i twoje własne bezpieczeństwo? Przecie te nieszczęsne po opuszczeniu twego domu...

— Prosiłem cię — przerwał profesor — byś nie wypytywał.

Drucki wstał i zaczął wielkimi krokami chodzić po hallu. Nie wierzył Brunickiemu. Teraz najfantastyczniejsze przypuszczenia i obawy, jakie go trapiły po obietnicy danej profesorowi, zostały zdystansowane. Ma spełniać haniebną rolę... Oczywiście... najhaniebniejszą... Zdobywać zaufanie nieszczęśliwych, okłamywać je i oddawać, wydawać w ręce Brunickiego i tego Japończyka... na diabli wiedzą jakie udręki.

„Dla dobra nauki” — zbudziła się w nim perfidna refleksja.

— Ohyda — powiedział głośno.

— Skądże nagle taka wyczulona moralność? — z gryzącą ironią zapytał profesor.

— Ohyda — powtórzył Drucki.

— Więc... odmawiasz?

— Czeka! Powiedz mi tylko... Daj mi słowo honoru, że ich nie zabijesz, że...

Profesor zatrzymał go ruchem ręki.

— Człowieku! Nie potrzebuję ich zabijać! Cóż zresztą robiłbym z trupami? Przeciwnie, są zawsze najstaranniej pielęgnowane.

— Słowo honoru?

— Więc dobrze, daję ci słowo honoru — z irytacją powiedział Brunicki. — Nie jestem bezmyślnym zwierzęciem, które zabija ludzi bez celu. Ja nie tylko celu w śmierci tych kobiet nie mam, lecz chcę, by żyły w zdrowiu, szczęściu i wszelkiej pomyślności.

Rozmowa przeciągnęła się do późnej nocy. Drucki zadzwonił do „Argenty” i wydał kilka poleceń. Kolację jedli we dwójkę. Doktor Kunoki nie pokazał się wcale.

Drucki wyszedł zmęczony i wyczerpany nerwowo.

W najbliższych dniach miał zająć się swym nowym, obrzydliwym rzemiosłem. Ostatecznie nie miał innego wyjścia. Dał Brunickiemu solenną obietnicę i przyszedł czas jej dotrzymania.

Dnia tego dyrektor Winkler nie był usposobiony różowo. Zaraz po zjawieniu się jego przekonał się o tym portier, który miał pecha właśnie dziś trochę podpić. Następną ofiarą stał się inżynier Turman, któremu polecił odmówić dalszego kredytu. Podczas tańca zespołowego elektromonter zapomniał kolejności efektów świetlnych i dowiedział się, że w Ameryce poznalby za to kolejność własnych zębów. Panna Teca została poinformowana, że karczochy lubią być pisane przez „ch”, kiper, że może nie wydawać „Cristalu”, gdy proszą go o „Cordon rouge”, gospodyni zaznajomiła się z poglądami dyrektora na kwestię zamykania kuchni, a Kazia usłyszała opryskliwe „odczep się”.

Od początku nie pamiętano tu dyrektora w takim nastroju. Na dobitkę kazał podać sobie do gabinetu butelkę dżinu i pił kieliszek za kieliszkiem, nie zwracając uwagi na lękliwe spojrzenia Teci, straszliwie przygnębionej i zaniepokojonej stanem humoru szefa.

Drucki nie spał tego ranka wcale. Położył się do łóżka i palił papierosy.

O dziewiątej był już na nogach. Zatelefonował do banku, do jednego z dostawców, wreszcie do Zalkinda, od którego dowiedział się, że Luba jest zachwycona jego samochodem.

„Przejadę się — pomyślał — to mi dobrze zrobi”.

Poszedł do garażu, obejrzał silnik, sam nalał benzyny i wyprowadził wóz.

Wczesnym rankiem musiał padać deszcz, gdyż powietrze było czyste, a jezdnia wilgotna. Ruszył przez Nowy Świat, skręcił w aleję Trzeciego Maja<sup>177</sup> i zaczął dodawać gazu. Ponieważ złożył szybę, wiatr bił mu prosto w twarz.

Przez most Poniatowskiego przeleciał jak strzała, nie zwracając uwagi na groźną miną posterunkowego, i w ciągu minuty był za miastem.

Strzałka na zegarze szybkości przesunęła się na setkę, sto dziesięć, sto dwadzieścia... trzydzieści...

Na szczęście szosa była dobra i prawie pusta.

Pęd powietrza zapierał mu oddech i wprost oślepił. Obraz mijanych drzew, zabudowań, ludzi, zlewał się w niewyraźną mgłę.

„Tak wyróżnić się teraz o jakiś mur — myślał — sekunda i po wszystkim!”

Nagle na dość łagodnym zakręcie ujrzał o kilkanaście metrów przed sobą stado krów.

Nie zmniejszył szybkości.

W lewo biegła wąska i nierówna droga polna. Skręcił.

Wóz w podskokach wpadł na wyboje.

„Diabli wezmą maszynę” — przemknęło mu przez głowę.

Gdyby nie ścisnął w obu dłoniach kierownicy, wyleciałby w górę jak piłka.

„A niech wezmą!”

Droga szła między wznoszącymi się po obu stronach zagonami, zwijając się w bezsensowne pętle i zbiegała do małej, szeroko rozlanej i na oko niegłębokiej rzeczulki, za którą dość stromo wznosiła się na pagórek.

Woda ze świstem wzbijała się dwiema szerokimi fontannami spod kół auta.

— Hooe! — krzyknął z całej piersi Drucki, nie słysząc własnego głosu.

Na szczęście dno było równe i, choć mokry do ostatniej nitki, przejechał bród.

Z pagórka dojrzał małą wioskę, do której właśnie prowadziła droga i z furią zakręcił wprost na zorane pole.

Była to piekielna huśtawka, lecz prawie tego nie czuł. Pędził wprost przed siebie na drewniany płot. Tuż przed nim pochylił głowę i jeszcze dał gazu.

Deski musiały być niegrube i niezbyt mocne, gdyż ani na sekundę nie zatrzymały auta. Krótki trzask, brzęk rozbitego szkła reflektorów, zgrzyt po blasze maski i wóz wypadł na szosę.

Drucki zamknął gaz i nacisnął hamulce.

— Jestem wariat — powiedział głośno.

<sup>177</sup>aleja Trzeciego Maja — ulica w Warszawie, na Powiślu, przedłużenie Alej Jerozolimskich, od Nowego Świata do mostu Poniatowskiego. [przypis edytorski]

Nowiuteńki samochód wyglądał rozpaczliwie. Emalia poodpadała, zderzaki były po-  
gięte, zapasowe koło gdzieś zgubił i cały wóz pokryty był błotem.

Drucki roześmiał się.

— Kwalifikuję się wprost do Tworek.

Na szczęście silnik ani podwozie nie zostały uszkodzone, a przynajmniej auto szło  
nieźle, chociaż wszystko w nim brzęczało i zgrzytało.

„Trzeba je od razu oddać do remontu — pomyślał, jadąc wolno w stronę miasta —  
ze dwa tysiączki będzie kosztowała ta wariacka jazda”.

Jednak nie żałował tego. Auto było zniszczone, sam czuł znużenie wszystkich mięśni  
i ból w karku, lecz nastrój poprawił się znakomicie. Ostatecznie, mógł to samo osiągnąć  
bez psucia samochodu. Polatać po polu z wywieszonym językiem czy postukać głową  
w ścianę...

— Boże drogi — chwycił się za głowę inżynier warsztatowy, gdy zobaczył, w jakim  
stanie jest wczoraj sprzedany, nowiuteńki wóz — co się stało? Miał pan katastrofę?

— Nie — śmiał się Drucki — nie miałem. Po prostu pański Fould dostał szalu  
i ponosił mnie po wertepach.

— Jak to?! Hamulce nie działały?

— Owszem, tylko tak bestia rwała, że nie miałem serca hamować.

Inżynier popatrzał nań nieufnie, wymienił krótkie porozumiewawcze spojrzenie z me-  
chanikiem i powiedział:

— Aha!

— Myśli pan, że zwariowałem? — poważnie zapytał Drucki.

— Skądże, broń Boże! — bez przekonania zaprzeczył inżynier.

Nagle wpadł na pomysł nastraszenia inżyniera. Niespodziewanie podskoczył w górę  
i ryknął:

— Wiwat!

— Może pan odpocznie? — nieśmiało zaproponował inżynier — może szklaneczkę  
wody?...

Drucki wybuchnął śmiechem.

— No, niech się pan nie obawia, już mi lepiej. Więc na kiedy spodziewa się pan  
wyreperować tego gruchota?

— Najmniej tydzień — zaopiniował inżynier, starając się trzymać możliwie daleko  
od niebezpiecznego klienta.

Temu jednak widocznie rzeczywiście przeszło, bo już całkiem spokojnie i rzeczowo  
zaczął mówić o szczegółach naprawy.

— Ale był pan zdenerwowany — z westchnieniem ulgi zęgnął go inżynier.

— Panie kochany — powiedział Drucki po chwili namysłu — byłem piekielnie zde-  
nerwowany i zaaplikowałem sobie tego bzika dla odciążenia, jak mówili nasi dziadowie,  
humorów.

Wrócił do hotelu pieszo i położył się na kanapie. Był bardzo zmęczony i natychmiast  
zasnął.

Gdy obudził się, było już ciemno. Przebrał się i pojechał do „Argentyny”.

Znowu był w normalnym wesołym usposobieniu, żartował z personelem i śmiał się.

„Humory” zostały odciążone, jednak troska nie ustąpiła.

Najbliższe dni Drucki poświęcił obserwacjom „terenu” i przemyśliwaniu nad podję-  
tym zadaniem. W tym celu włóczył się po przedmieściach.

Postanowił ograniczyć się wyłącznie do samobójczyń. Dlatego czytywał teraz kronikę  
wypadków w pismach sensacyjnych.

W Warszawie codziennie kilka młodych dziewcząt odbierało sobie życie. Lecz jego  
prześladował pech. Raz wprawdzie zobaczył młodą kobietę, wyglądającą na kucharkę,  
która miała bardzo smutną minę i siedziała na przejeździe kolejowym, lecz nie tylko nie  
miała zamiaru rzucenia się pod pociąg, a bez zbytnich ceregieli przyznała się, że kiedyś  
spotykała się tu ze znajomym dróżnikiem i teraz przychodzi na ten przejazd, bo „miło  
wspomnieć”.

Brunicki dzwonił dwa razy w odstępach kilkudniowych, pytając o nowiny.

Wreszcie po tygodniu poszukiwań — udało się.



Szedł właśnie Ogrodową, gdy ujrzał pod latarnią wysoką, szczupłą brunetkę, liczącą drobne pieniądze.

Zwolnił kroku i czekał. Po chwili wahania obserwowana otuliła się wełnianą chustką i weszła do pobliskiego składu aptecznego.

Drucki stanął przy oknie. Sklepek był mały i wyraźnie widział obojętną minę sprzedającego i podniecony wyraz twarzy kupującej. Butelecзка esencji octowej została ukryta pod chustką i dziewczyna wyszła.

Rozejrzała się niezdecydowanie dokoła, wreszcie skierowała się pośpiesznym krokiem w stronę placu Kercelego<sup>178</sup>. Drucki myślał, że tu się zatrzyma, lecz nie — skręciła na Młynarską.

Ulica była pusta. Szedł szybko, bojąc się ją stracić z oczu, gdyż niemal biegła.

Zatrzymała się dopiero pod murem cmentarza<sup>179</sup> i znowu się rozejrzała. Widocznie czekała, aż on przejdzie.

— Panienko — zapytał — a nie wie panienka, która to może być godzina?

— Nie wiem — odpowiedziała drżącym głosem — może ósma.

Stanął o kilka kroków od niej i powiedział żartobliwie:

— A to panienka nie boi się tak po ciemku tu, koło nieboszczyków?

Odwróciła się odeń.

— Niech pan mnie zostawi... Nie mnie bać się nieboszczyków — dokończyła szep-tem.

Drucki flegmatycznie zapalił papierosa, zgasił zapalkę i westchnął sentencjonalnie:

— Z żywymi zawsze lepiej.

— Jak komu.

— Każdemu — zapewnił Drucki.

— Idź pan swoją drogą — odezwała się nadspodziewanie opryskliwie i obrzuciła go smutnym spojrzeniem.

— Rzucił?... — zapytał krótko po pauzie.

Zakryła twarz chusteczką i zapłakała.

— Z panienki to niemądra dziewczyna — pokiwał głową. — Rzucił ten, to będzie inny. Mało to mężczyzn... Jeszcze dla takiej młodej i ładnej... A może wróci...

— A niech go piorun strzeli! — wybuchnęła. — Niech go krew zaleje! Nie potrzebuję jego. Ani jego, ani nikogo! Odejdź pan, czego się przyczepił?

— No to po co sobie krzywdę robić? — nie zrażał się Drucki. — Dałabyś panienka spokój, żyć zawsze warto.

— Takiś pan mądry — szlochała. — A co, panu zdaje się, że to dadzą człowiekowi żyć?

— Niby kto nie da?

— Wszyscy. Rodzice z domu wypędzą, z pracy wyrzucą, palcami będą wytykać. A i żyć trzeba, panna z dzieckiem — to nikt grosza nie da zarobić... Takie są ludzie.

— I takie, i nie takie — reflektował Drucki — a resztą może jest jeszcze rada?

— Za późno, już za późno... Drań obiecał żenić się i żeni się... Tylko nie ze mną. Cóż mi zostało, gdzie ja się podzieję, ot, chyba tu... za murem...

Wybuchnęła znowu płaczem.

Drucki bez ceremonii objął ją i pogładził po ramieniu.

— Cicho, cicho... Ktoś idzie.

Rzeczywiście przeszli obok nich dwaj robotnicy. Gdy kroki ich ucichły, Drucki powiedział:

— Ja panienką się zajmę. Wszystko zrobimy tak, że ani o porodzie nikt wiedzieć nie będzie, ani palcami wytykać.

Przestała płakać i wytarła nos w czystą, białą chusteczkę.

— Co też pan mnie buja...

— Nie bujam.

— A może pan z jakiej policji czy z magistratu?

<sup>178</sup>plac Kercelego — dawny plac targowy w Warszawie, w dzielnicy Wola, w rejonie ulic Chłodnej, Towarowej i Okopowej, obejmujący ok. 1,5 ha, zw. pot. „Kercelakiem”, istniejący od 1867 do 1947. [przypis edytorski]

<sup>179</sup>pod murem cmentarza — mowa o zabytkowym cmentarzu ewangelicko-augsburskim w dzielnicy Wola w Warszawie, przy ulicy Młynarskiej 54/58. [przypis edytorski]

Roześmiał się.

— Ani z policji, ani z magistratu. Ot, mam za dużo pieniędzy i chcę panience pomóc, bo i mnie ludzie pomagali.

Przełknął ślinę i pomyślał, że przecież nie skłamał. Czyż jemu ludzie inaczej pomagali? Może z wyjątkiem Załkinda...

Dziewczyna spojrzała mu w oczy, a on opuścił powieki.

— Chodźmy.

Bez słowa szła obok niego.

— Niech panienska odda mi tę buteleczkę.

Spojrziała nań podejrzliwie i stanęła.

— Co ja pana obchodzę? — zapytała.

— A co by panienska zrobiła, gdyby zobaczyła, jak jakieś dziecko wkłada rękę do ognia.

— No tak, ale ja nie jestem dzieckiem.

— Jesteś, mała, jesteś.

Znowu szli w milczeniu.

— Dokąd pan mnie prowadzi?

— Dokąd? Ano najpierw musimy oblać naszą znajomość i szczęśliwe zakończenie niemądrych zamiarów.

— Ja tam nie piję — otuliła się w chustkę dziewczyna.

— Ja też nie — zaśmiał się Drucki — ale tak, raz jeden, na poprawienie humoru. O, wejdźmy tu.

Nie opierała się.

Była to mała knajpka, taka, jakich pełno na Woli. Kafłowa posadzka, wysypana trocinami, niskie okna, zaciągnięte żółtym perkalem<sup>180</sup>, czerwony szynkwias<sup>181</sup> i kilka stolików na żelaznych nogach. Za szynkwasem stał gruby baryłkowaty mężczyzna z wielką szramą na policzku i z zakręconymi po wilhelmowsku<sup>182</sup> czarnymi wąsami, lśniącymi od fiksatuaru<sup>183</sup>.

— Szanowanie — burknął takim tonem, jakby był śmiertelnie obrażony.

— Serwus<sup>184</sup>, panie starszy<sup>185</sup> — skinął mu głową Drucki, nie zdejmując kapelusza — zakrapiana wiśniówką i jaką byczą zagrychę.

Siedli w kąciuku. Oprócz nich w knajpce był tylko stary dorożkarz, który nawet nie zwrócił na ich wejście uwagi.

Dziewczyna mogła mieć dziewiętnaście, może dwadzieścia lat, ubrana była bardzo skromnie, lecz schludnie. Drucki, chociaż do swoich wycieczek używał najbardziej zniszczonego ubrania, spostrzegł, że i to budziło w jego towarzyszce estymę<sup>186</sup>.

Gospodarz przyniósł wódkę, kielbasę, serdelki i dwa widelce.

— Ogórka? — zapytał.

— Daj pan ogórka.

Gdy wypili po tegim kieliszku, dziewczyna westchnęła:

— Pan to naprawdę musi być dobry człowiek.

— Eee tam, dobry...

— Z oczu panu dobrze patrzy — uśmiechnęła się blado.

— Paniencie jeszcze lepiej.

— Co tam mnie, ja się nie liczę... Przepadłam...

— Zdrowie nasze kawalerskie — uderzył w jej kieliszek Drucki.

<sup>180</sup>perkal — cienkie płótno bawełniane. [przypis edytorski]

<sup>181</sup>szynkwias — bufet, lada w szynku, w karczmie, przy której kupowało się trunki. [przypis edytorski]

<sup>182</sup>z zakręconymi po wilhelmowsku czarnymi wąsami — takimi jak u Wilhelma II, ostatniego cesarza Niemiec, który abdykował po zakończeniu I wojny światowej. [przypis edytorski]

<sup>183</sup>fiksatuar — pomada do włosów i wąsów. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>Serwus (przest. pot.; z łac. *servus*: sługa) — cześć, witam; dawny pot. zwrot powitalny i pożegnalny, skrót od zwrotu grzecznościowego: „jestem pańskim uniżonym sługą”. [przypis edytorski]

<sup>185</sup>panie starszy (daw. pot.) — dawna forma zwracania się do każdego kelnera, odwołująca się do nazwy funkcji starszego kelnera, nadzorującego pracę innych kelnerów; obecnie uważana za nieodpowiednią. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>estyma (daw.) — szacunek, poważanie. [przypis edytorski]

Po półgodzinie humor jej poprawił się. Oddała buteleczkę z esencją octową, zaczęła opowiadać o sobie. Była córką motorniczego z tramwajów, mieszkała na Pelcowiznie<sup>187</sup> z rodzicami, a pracowała w sklepie modniarskim na Ogrodowej, zarabiając trzy złote dziennie. Tak ją los pokierował, bo miała być nauczycielką. Skończyła szkołę powszechną i chcieli ją oddać do gimnazjum. Ale przyplątał się drań bez sumienia i zawrócił jej głowę. Głupia była i tyle. Teraz za to odpokutuje. A on żeni się z córką kelnera, z taką dziobatą Jadzią, co to psy na nią wyją, bo i ruda do tego.

— A on?

— Ma się rozumieć, ślusarz, u Lilpopa<sup>188</sup> pracuje. Może pan słyszał: Walendziak Józef, taki brunet.

— A może zjedlibyśmy co gorącego? — zachęcał Drucki.

— Dobrze. Tylko pieniędzy szkoda.

— Dużo mam, nie szkoda.

Wyjął stuzłotówkę i położył na stole.

— Panie starszy, a może co na gorąco?

— Albo kotlet wieprzowy, albo nic — zawarczał gospodarz.

— Każ pan zrobić dwa. Ale, panie starszy, telefonu tu nie ma?

— Czego?

— Telefonu?

— Na rogu w aptecę — otarł nos rękawem, poprawił wąsy i poszedł do kuchni.

— Ja zaraz wrócę, sekundka — powiedział Drucki — tylko proszę czekać! Dobrze?

Dziewczyna kiwnęła głową.

— A gdzie się podzieje? Będę czekać. Tylko niech pan przyjdzie, bo jak nie, to ja nie mam czym zapłacić i do komisariatu odprowadzą.

— Przecież zostawiam za siebie zastaw — zaśmiał się Drucki, podsuwając banknot pod talerz.

Roześmiała się i ona. Alkohol robił swoje.

Pogładził jej podbródek i wyszedł. Apteka była tuż i telefon wolny. W kilku słowach rozmówił się z Brunickim, używając języka angielskiego, by aptekarz nie mógł zrozumieć.

Gdy wracał, przemknęło mu przez głowę, że dziewczyna zabrała pieniądze i ulotniła się. Wbrew zdrowemu sensowi ucieszyłby się tym ogromnie.

Zastał ją jednak przy stoliku.

— O, wrócił pan! — zawołała prawie radośnie.

— Pijmy! — odpowiedział, nalewając kieliszek.

Była już prawie nieprzytomna, gdy wychodzili. Wziął ją pod rękę. Ulice były zupełnie ciemne i zanim doszedł do umówionego miejsca, nie był pewien, czy profesor przysłał samochód, tym bardziej że szofer zgasił światła.

— Taksówką pojedziem? — pytała, zataczając się.

— Taksówką — potwierdził, wciągając ją do auta.

Zasnęła prawie natychmiast na jego ramieniu.

Żuł między zębami przekleństwa.

Teraz może cofnąłby się, lecz auto mknęło z wzrastającą szybkością. W niespełna kwadrans zatrzymali się przed bramą willi na Dębowej. Widocznie czekali tu na nich uważnie, bo brama otworzyła się natychmiast. Wóz zatoczył koło i stanął przed małymi drzwiami na tyłach willi. Dwie postacie wynurzyły się z mroku. Drzwiczki samochodowe otworzyły się z zewnątrz i Drucki usłyszał przytłumione pytanie Brunickiego:

— Przytomna?

— Nie. Śpi.

— Alkohol?

— Tak.

— Dawaj ją tu.

Pomógł wydobyć bezwładną dziewczynę i chciał zamknąć drzwiczki, lecz dotknął czegoś wilgotnego. To Japończyk mokrą serwetką wycierał klamki i poduszki wozu.

<sup>187</sup> *Pelcowizna* — dawna dzielnica Warszawy, ob. część dzielnicy Praga-Północ. [przypis edytorski]

<sup>188</sup> *Lilpop* (pot.), właśc. *Lilpop, Rau i Loewenstein* — dawna polska spółka akcyjna, zał. w 1866; zakłady „Lilpopa” były największym zakładem przemysłowym międzywojennej Warszawy, zatrudniającym w 1938 ok. 3500 osób. [przypis edytorski]

— Weź za nogi — szepnął Brunicki.

Szli, niosąc ją po omacku przez długi, ciemny korytarz.

Za nimi rozległ się warkot odjeżdżającego samochodu, trzaśnięcie klucza w zamykanych drzwiach i szybkie kroki Japończyka.

Doktor Kunoki wyprzedził ich i zapalił światło.

Był to ładny biały pokój, przypominający urządzeniem sanatoria i nieco pracownie malarskie, gdyż okna umieszczone były w suficie.

Położyli dziewczynę na łóżku. Japończyk zbadał jej puls, Brunicki przyniósł aparat do iniekcji i zastrzyknął jej pod skórę na rękę jakieś lekarstwo.

— Chodź — wziął pod rękę Druckiego.

Szli znowu korytarzem, mijając kilkoro drzwi, bliźniaczo podobnych do tych, za jankimi została nowa pacjentka profesora. Wszystkie były obite grubym wołokiem<sup>189</sup> i nie miały klamek.

Przeszli obok pokoju kąpielowego, w którym słychać było pluskanie wody i płacz dziecka.

— Ty masz tu cały szpital — zauważył Drucki.

Przeszli dość dużą, ciemną salę, pobłyskującą z kątów niklowanymi aparatami. Laboratorium, czy też sala operacyjna. Znowu korytarz, grube drzwi, które profesor otworzył kluczem, i oto znaleźli się w znajomym hallu.

— Dziękuję ci — powiedział Brunicki.

— Karolu — przytrzymał jego dłoń Drucki — pamiętaj, że ona ma żyć.

— Będzie żyć — poirytowanym głosem odparł profesor. — Teraz powiedz mi tylko, czy wszystko w porządku?

— Myślę, że tak.

— Nie śledzono cię?

— Tego jestem pewien.

— Nie będą mogli cię poznać?

Drucki zapewnił, że nie ma żadnych obaw.

— Dziś już za późno i ty pewno nie masz czasu — spojrzał na zegarek profesor — zatem może będziesz tak dobry i wpadniesz jutro koło południa do Kliniki Psychiatrycznej.

— Bo co jeszcze?

— Muszę opisać szczegóły biograficzne, rodzinne i tym podobne tej dziewczyny. Teraz powiedz mi tylko, czy ona na pewno jest w ciąży?

— Na pewno.

— A który miesiąc?

— Pojęcia nie mam.

— Zamach samobójczy?

— Tak, chciała się otruć esencją octową.

Profesor odprowadził go aż do furtki i ostrzegł:

— Uważaj na ulicy.

— Nie bój się — skrzywił się Drucki — na tym znam się lepiej od ciebie.

Nikogo w pobliżu nie było. Jednak nie wziął najbliższej taksówki, a wszedł do tramwaju. Po przejechaniu kilku przystanków wyskoczył, skręcił w boczną ulicę i tu dopiero wziął auto.

Gdy przebierał się, znalazł w kieszeni buteleczkę z esencją.

„Jednakże jestem nieostrożny” — pomyślał.

Po drodze do „Argentyny” wrzucił buteleczkę do kosza na śmiecie.

— Panie dyrektorze — z uśmiechem przywitał go kasjer Justek — dzwonił mecenas Łęczycycki i zamówił łóżę.

— Co pan mówi! — ucieszył się Drucki.

— Zarezerwowałem dziewiątkę.

— Dziękuję panu.

Odzyskał dobry humor.

„Więc jednak przyjdzie” — pomyślał.

<sup>189</sup>wojłok — filc gorszego gatunku, produkowany z odpadów wełny. [przypis edytorski]

Omylił się. Alicja nie przyszła. Łęczycki zjawił się z większym towarzystwem, lecz bez Alicji.

„To zacięta baba” — z podziwem skonstatował w duchu Drucki.

Pił tej nocy i zburczał Kazię za natręctwo. Wszakże wołał nie być sam i zabrał ze sobą do hotelu Tecię. Starał się nie myśleć o swej dzisiejszej eskapadzie<sup>190</sup>, lecz nie mógł w żaden sposób odpędzić wspomnienia tamtej dziewczyny.

Wreszcie alkohol i zmęczenie zrobiły swoje.

Wyprawił Tecię i zasnął kamiennym snem.

Obudziło go pukanie do drzwi. Spojrzał na zegarek: jedenasta, to pewno służący. Ryknął:

— Proszę! — i usiadł na łóżku, szeroko otwierając oczy.

We drzwiach stała Luba.

— O, kapitan jeszcze śpi? — zawołała swobodnie. — Dzień dobry.

— Luba! — powiedział z wyrzutem. — Po co pani to zrobiła?

— Co? — zapytała z naiwną minką.

— Niech pani zejdzie do hallu i zaczeka. Za pół godziny będę gotów.

Zaśmiała się i podeszła do łóżka.

— Miałam o panu lepszą opinię. Sądziłam, że taki mężczyzna jak pan zawsze jest gotów... Szczególniej, kiedy leży w łóżku, i to w takiej ładnej pidżamie.

— Luba! Proszę się wynosić!

Usiłował swemu głosowi nadać możliwie groźne brzmienie, lecz ona wciąż się śmiała.

— Patrzcie, jaki niegościnnie! No, nie przywita się pan ze mną?

— Nie przywitam się!

Zawinął się w koldrę i z rozmachem odwrócił się twarzą do ściany.

Wówczas usiadła na łóżku i zdjawszy rękawiczkę, przesunęła rozstawionymi palcami po jego włosach.

— Jedwab — powiedziała cicho.

— Luba! Czy jedwab, czy szczecina, a zaraz wyskoczę i bez ceregieli dam w skórę.

— Nie wiedziałam — zaśmiała się, — że kapitan jest sadystą.

Zsunęła kapelusik i zdjęła futro.

— Gorąco tu — zauważyła.

— Luba — zaczął tonem perswazji — po co pani to robi? Przecie trzeba się zastanowić! Jak można?

— Boże, jaki pan dziś nudny — westchnęła, znowu siadając na łóżku i pochylając się nad nim. — Przychodzi do niego piękna, młoda i spragniona kobieta, a on...

— A on nie jest wcale spragniony — przerwał Drucki.

— Nie? — zapytała z kokieteryą.

— A nie! Zupełnie nie! Żebyś wiedziała, że przed chwilą miałem tu, w tym samym łóżku młodą i piękną kobietę.

Powiedział to umyślnie. Przypuszczał, że tym ją zrazi, lecz Luba jeszcze bliżej przysunęła się.

— Tak, tak, łóżko pachnie jeszcze jej perfumami, jeszcze jest ciepłe od jej pieszczot. Jakaż ona musiała być szczęśliwa! Powiedz, czy była namiętna?

— Wiesz, Luba — oburzył się Drucki — jesteś bezwstydną.

— Jestem, jestem, chcę być bezwstydną. Powiedz, czy była ładniejsza ode mnie? Ach, kapitanie, chciałabym chociaż widzieć, jak ją brałeś, jak jej ciało gięło się w twoich ramionach, jak oplatała cię sobą... To musiało być piękne!... Żywioł! Płomień! Huragan! Wszystko, co ty robisz, musi być piękne i potężne...

Tuliła się do niego i jej gorący szept oblewał mu szyję.

— Luba, oszalałaś?

— Oszalałam! Ach, jacy jesteśmy głupi i przesądni! Czemuż nie mogę upić się tobą! Upić się do nieprzytomności! Pojęcia nie masz, co dałabym za to, byś mi pozwolił tak leżeć przy tobie i patrzeć, jak bierzesz inną.

— Luba!

<sup>190</sup>eskapada — ryzykowna, lekkomyślna wyprawa. [przypis edytorski]

— Nie, nie, ty tego nie rozumiesz, że to jest druga połowa rozkoszy... Och, chciałabym być taka bezwstydną, tak rozkielzaną, rozpustną... Wiesz, co byłoby moim marzeniem?... żeby w twoich oczach oddawać się Borysowi i w jego oczach tobie i żeby była jeszcze druga kobieta tak ładna i tak rozpustna jak ja, i żeby...

Drucki usiadł i zawołał:

— Luba! Ty jesteś chora?! Czy ty zdajesz sobie sprawę, że to jest wstrętne, co ty mówisz?!

— Upojne, oszalamiające...

Oplotła go ramionami i rozpaloną twarzą przywarła do jego piersi.

— Weź mnie, weź — szeptala urywanym głosem — bo się spalę na popiół...

Drapieżnymi chwytami zdarła zeń koldrę i całym ciałem przywarła.

— Jak blisko jestem ciebie... Jak czuję cię... kochany... kochany... kochany...

Głos przeszedł w rżenie, w długi jęk, w krzyk i zemdląca — ramiona jej opadły.

Drucki, zataczając się, wstał i przetaił oczy. Sam był nieprzytomny.

Dopiero po dłuższej chwili znalazł flakon z kolońską wodą i zaczął jej nacierać skronie.

— Luba! Luba! — potrząsał nią.

Była bezwładna i blada jak płótno.

— Co tu robić?

Poważnie zaniepokojony, chciał już dzwonić po pogotowie, gdy otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

— Luba, czy lepiej pani?

Ruchem powiek przytaknęła. Podał jej szklankę wody i przytrzymując głowę, wlał do ust kilka kropel.

Była bardzo jeszcze osłabiona, ale usiadła.

— Może kieliszek wina? — zaproponował.

— Dobrze.

Wypiła chciwie.

— Jeszcze? — zapytał.

— Proszę.

Gdy osądził, że już jest jej lepiej, zaczął perorę<sup>191</sup>. Mówił długo i bardzo przekonująco. Ona słuchała z uśmiechem i w końcu powiedziała:

— Chciałabym tak umrzeć, jak teraz zemdlalam. Jeżeli w ten sposób odczuwa się śmierć, życie jest znacznie mniej warte, niż sądziłam.

— Kobieto! Zlituj się nad sobą! Trzeba przecie panować nad swoimi namiętnościami.

— Ja wyznaję inną zasadę — przecząco potrząsnęła głową. — Nie wiem, kto to powiedział, ale musiał być mądry: jedynym skutecznym środkiem zwalczania pokus jest ich zaspokajanie. Czyż to nie słuszne?

— Niesłuszne! — z przekonaniem zaakcentował Drucki i pomyślał, że sam wprawdzie zawsze postępował w ten sposób, lecz wcale przez to nie utrzymuje, że postępował słusznie.

Luba wstała i zrobiła kilka kroków.

— Nogi mi drżą, to dziwne — powiedziała z uśmiechem.

— No, widzi pani.

— Nie widzę, czuję. Och, mój słodki!

Usiadła mu na kolanach i bezwładnie oparła głowę o jego policzek.

— Przyjdę tu jutro... pojutrze... co dzień będę przychodziła.

— Nie przyjdiesz! — rozgniewał się.

— Nie potrafię nie przyjść.

— Więc wyniosę się gdzie indziej i nie zostawię adresu.

— Widzisz, jakiś ty niedobry!

Drucki zdjął ją z kolan.

— Luba, musisz to zrozumieć. Jestem mężczyzną i palnąłbym raczej sobie w łeb, niż mógłbym zostać twym kochankiem. Mam jedno słowo honoru! Gdybym je złamał, gdybym twemu mężowi tak się odplacił za jego przyjaźń i pomoc, uważałbym siebie za łajdaka. Dlatego też błagam cię, byś mnie zrozumiała. Nie potrafię żyć, mając dla siebie pogardę.

<sup>191</sup>perora (daw.) — długa, uroczysta przemowa. [przypis edytorski]

— O, ty jesteś bardzo szlachetny!

— Nie o to chodzi — zirytował się — inaczej patrzę na szlachetność i moralność niż inni. Mam rację, czy oni ją mają, to druga sprawa. Dość, że oświadczam ci kategorycznie: jeżeli jeszcze raz przyjdiesz do mnie, zmusisz mnie do wyjazdu. Pojadę do Ameryki, czy do ciężkiego diabła, i nie zobaczymy się więcej. Daję ci na to słowo.

Zrozumiała, że dotrzyma groźby, i rozpląkała się.

— Strasznie głupie jest życie, strasznie...

— No, nie płacz, Luba, to też nie jest mądre.

— Wiem — ocierała łzy.

— Chyba wiesz, że nie odpycham cię, bo nic do ciebie nie czuję. Chyba wierzysz, że robię to wielkim kosztem.

— Tym gorzej. Och, te obrzydliwe przesady!

Roześmiał się.

— Anarchisty<sup>192</sup>!

— A żebyś wiedział! Tonia jest idiotka ze swoim komunizmem. Idiotka. Burzy jedno więzienie, by wybudować sobie drugie. Ja bym w ogóle to wszystko wysadziła w powietrze. W drobne kawałeczki!

— I po co?

— Żeby była prawdziwa wolność!

— A cóż to jest prawdziwa wolność?

Luba zamyśliła się.

— Żeby każdemu wszystko było wolno!

— Jak to wszystko? Więc wolno byłoby, na przykład, mnie zabić twego syna?

— A tak, wolno!

— Głupstwa gadasz, kochana Lubo, w największym więzieniu można być wolnym. Patrz na mnie, ja właśnie jestem wolny jak ptak.

— Ładna mi wolność. Mówisz sam, że chciałbyś mnie mieć, a nie możesz, bo krępuje cię słowo, które dałeś Borysowi.

— Dałem je z własnej woli.

— Ale ci teraz ono ciąży.

— Nie.

— Jesteś, kapitanie, impertynentem<sup>193</sup>!

— Źle mnie zrozumiałaś. Mnie ciążyłoby bardziej złamanie słowa. Widzisz, w tej chwili jestem szczęśliwy, że zdołałem zapanować nad sobą, gdyśmy byli tam — wskazał na łóżko.

— Kapitanie! — westchnęła żałośnie.

— Luba, bądź prawdziwym mężczyzną — powiedział ze śmiechem — a teraz zejdź do hallu. Za kwadrans będę ubrany i odprowadzę cię. Jak się czujesz?

Czuła się już dobrze.

Wstąpili do cukierni na kawę, po czym odwiózł ją do domu.

Rzeczywiście, nie przyszła ani nazajutrz, ani dni następnych. Wstawał zresztą teraz znacznie wcześniej, gdyż auto już wyszło z remontu, dzięki czemu mógł robić wycieczki za miasto.

Czasem zabierał ze sobą Lubę, Tecię, lub Tonię. Kazia też kilkakrotnie napraszała się, lecz zawsze zbywał ją wymówkami.

Dokuczyła mu. W ostatnich czasach nie odwiedzał jej wcale. Dlatego ona wilkiem patrzyła na Tecię, a to znów odsuwało ją od Druckiego.

Była to sobota, dzień z najlepszą w „Argentynie” frekwencją i kasowo najmocniejszy. Drucki przyszedł już o ósmej. Przejrzał listę zamówień i wziął się do przeglądania korespondencji. Przeważnie były to listy handlowe i miłosne. Wśród nich znalazła się jednak duża, szara koperta, zaadresowana pismem maszynowym. Wewnątrz zawierała arkusik papieru, również zapisany maszynowo i bez podpisu.

<sup>192</sup>*anarchista* (polit.) — zwolennik anarchizmu (z gr.: bez-rząd): filozofii politycznej i ruchu społecznego, które cechuje uznawanie wolności jednostki za wartość nadrzędną, sprzeciw wobec wszelkich form hierarchii i władzy publicznej oraz postulat likwidacji państwa. [przypis edytorski]

<sup>193</sup>*impertynent* — człowiek cechujący się impertynencją: obraźliwym, wyzywającym sposobem zachowania się w stosunku do kogoś. [przypis edytorski]

Ze zdziwieniem przeczytał:

„Dziś w nocy odbędzie się rewizja. Proszę usunąć wszystko. Pisze to nieznany panu przyjaciel. Koniecznie spalić ten list”.

Następowała data.

— Co za rewizja, u diabła? Jakiś wariat, czy co?

Pomimo to list spalił.

Na próżno łamał sobie głowę, nie mógł pojąć, przed jaką rewizją go ostrzegano? Z jakiej racji miano rewidować „Argentynę”? I co ma usunąć? Przecie nie ma tu tajnej gorzelni ani fabryki fałszywych pieniędzy!

Jakby naprawdę powziął w tym względzie wątpliwości, obszedł cały lokal od piwnicy do balkonów. Wszystko było w zupełnym porządku.

„Albo mistyfikacja — pomyślał — albo pomyłka, a raczej mistyfikacja”.

Bo i kto w dodatku mógł go ostrzegać o rewizji? W policji nikogo nie znał, a o takich rzeczach może wiedzieć tylko policja czy tam inny sędzia śledczy.

Gości było coraz więcej. Bawiono się świetnie. Minęła druga, trzecia, czwarta...

— Oczywiście, mistyfikacja!

Drucki w swej wędrówce od stolika do stolika śmiał się, witał się, przysiadł, gdy podszedł doń kelner i szepnął do ucha:

— Panie dyrektorze, policja!

— Co?

— Policja.

Czym prędzej wybiegł do hallu; istotnie pełno było policji mundurowej i ubranej po cywilnemu.

— Czy pan jest właścicielem tego lokalu? — zwrócił się doń komisarz, tęgi brunet, którego nieraz widywał na ulicy.

— Ja — powiedział spokojnie. — Czym mogę panu służyć?

— Otrzymałem rozkaz przeprowadzenia tu rewizji.

— Rewizji? — udał zdziwienie Drucki. — Ależ, panie komisarzu, z jakiego powodu?

— Otrzymaliśmy rozkaz. Jedyne, czym panu mogę służyć, to okazanie go na piśmie, jeżeli pan mi nie wierzy.

— Ależ wierzę w zupełności.

— Zatem zechce pan mi towarzyszyć.

W ciągu pięciu minut wszystkie drzwi zostały obstawione. Wśród publiczności zapanało niezadowolenie. Służba szeroko otwierała oczy i była wystraszona.

Rewidowano lokal systematycznie, zaglądano do każdego kąta, ostukiwano ściany i podłogi, badano zawartość worków z kawą i z cukrem.

Drucki uśmiechał się tylko.

— To musiał być jakiś łajdacki donos.

Komisarz wreszcie wszedł do gabinetu Druckiego, wyprosił przerażoną pannę Tecię i zażądał kluczy od szafy ogniotrwałej i od biurka.

— Służę, oto klucze od kasy. Biurko jest otwarte.

— Tu są pieniądze — powiedział komisarz, otwierając pancerną szafę — pan będzie łaskaw asystować przy rewidowaniu. A to, jak się otwiera? — wskazał małą kasetkę.

— O tak — podniósł wieko Drucki.

Wewnątrz były kontrakty, kwity podatkowe itp.

Kasę zamknięto i przystąpiono do badania biurka. W środkowej szufladzie, w której tkwił klucz, Drucki ujrzał ze zdumieniem dość dużą płaską paczkę w żółtym papierze. Wiedział na pewno, że takiej paczki nie miał w ręku i z całą pewnością nie wkładał jej do szuflady.

Na paczce przyklejona była drukowana etykieta: „Tłuszcz roślinny Bix”.

Wywiadowca, który ją wydobyl, zamienił z komisarzem porozumiewawcze spojrzenie, które nie uszło uwagi Druckiego.

— Czy w kuchni „Argentyny” — zapytał lekko komisarz — używany jest ten tłuszcz roślinny?

— Bynajmniej, panie komisarzu, w ogóle nie używamy żadnych tłuszczów.



— Aha, więc to zapewne kupił pan na próbę.  
— Bynajmniej, wcale nie kupowałem. W ogóle widzę tę paczkę po raz pierwszy w życiu — odpowiedział spokojnie.

— Otworzyć — kazał komisarz.

W papierze było drewniane pudełko, a w pudełku mocno upakowane stały dwa rzędy flakonów z białym proszkiem.

Komisarz przymrużył oko i zaśmiał się.

— Ładny tłuszcz! Co?...

— Morfina! — zawołał wywiadowca.

Wszyscy funkcjonariusze policyjni znajdujący się w gabinecie stłoczyli się koło biurka.

— Dobry zapasik — odezwały się głosy pełne zadowolenia.

— To nie należy do mnie — nie tracił spokoju Drucki.

— Wziął pan na przechowanie? — ironizował komisarz.

— Nie. To zostało podłożone.

Komisarz usiadł i wyjął z teki papier.

— Podłożone? No, oczywiście! Zrozumiałe? Zapewne ktoś z publiczności?

— Z publiczności — to wykluczone. Publiczność nie ma tu dostępu.

— Zatem kogo pan posądza?

— Nikogo nie posądzam.

— No, dobrze, a kto z personelu ma tu dostęp?

Drucki wzruszył ramionami.

— Gdy ja jestem — każdy.

— A gdy pana nie ma?

— Gdy mnie nie ma, jest tu zawsze obecna moja sekretarka i często kasjer, pan Justek.

— Więc ich pan podejrzewa?

— Bynajmniej, panie komisarzu. Oczywiście, nieraz wchodzi tu i inni pracownicy. Lecz nie mogą przecie zaglądać mi do biurka. Ani kasjer, ani sekretarka nie pozwoliliby na to.

Komisarz szybko robił notatki. Mimo powagi, z jaką słuchał objaśnień Druckiego, widać było, że zupełnie mu nie wierzy. Szepnął coś jednemu z policjantów i ten po chwili powrócił z panną Tecią. Dziewczyna cała się trzęsła.

— Czy pani jest sekretarką dyrektora Winklera? — zapytał komisarz.

— Ja.

— Pani imię i nazwisko?

— Antonina Kruczevska.

— Czy pani zna tę paczkę? — pokazał jej zapakowaną już z powrotem morfinę.

— Owszem, znam.

— Tak? Na pewno?

— Z całą pewnością, panie komisarzu. Gdy dziś przyszedłam do pracy, znalazłam ją na swoim stoliku przy maszynie.

— Ach tak? A skąd znalazła się w biurku?

— Sama ją włożyłam.

Zapanowała cisza. Nikt nie spodziewał się tej odpowiedzi.

— Powiada pani — odezwał się wreszcie komisarz — że pani ją włożyła do biurka. W jakim celu?

— Żeby nie leżała na wierzchu. Myślałam, że to paczka pana dyrektora, więc włożyłam do biurka do środkowej szuflady.

— A wie pani, co ta paczka zawiera?

— Owszem. Jakiś tłuszcz roślinny.

— A dlaczego sądziła pani, że ta paczka jest własnością dyrektora? Czy widywała pani u niego dawniej takie paczki?

— Nie. Ale tu tylko bywają rzeczy pana dyrektora. Pan kasjer nigdy by tu nic swego nie położył.

— Więc pani jest pewna, że takich paczek nie widywała pani dawniej.

— Ależ nigdy, panie komisarzu. Jeszcze nawet powiedziałem panu Justkowi, że dziwię się, po co panu dyrektorowi ten tłuszcz.

— Więc i kasjer był przy tym?

— Tak jest.

Zeznania kasjera Justka potwierdziły to w zupełności. Widział, jak panna Tecia wkładała paczkę do biurka.

Sprawa komplikowała się i komisarz widział się zmuszonym aresztować nie tylko dyrektora, lecz także jego sekretarkę i kasjera.

— Zatrzymuję państwa do dyspozycji sędziego śledczego. Proszę ubrać się.

Decyzja ta była konieczna już nie tylko ze względu na znaleziony dowód rzeczowy, lecz i na to, że wśród bywalców obecnych na sali poznano sześć osób notowanych jako nałogowi morfiniści, którzy zapewne w Argentynie zaopatrywali się w narkotyki.

Trójkę aresztowanych przewieziono do urzędu śledczego i po przesłuchaniu zamknięto w oddzielnych celach.

Kasjer był zrozpaczony, Tecia zalewała się łzami. Tylko Drucki nie przejmował się zbyt. Po pierwsze warunki, w jakich się obecnie znalazł, nie były dlań nowością, po drugie pewien był, że go uwolnią, po trzecie nie wątpił, że barman Grabowski da ostatecznie sobie radę z prowadzeniem „Argentyny” przez kilka dni.

Oczywiście, był to łajdacki podstęp, morfinę mu podłożono. Kto to mógł zrobić i jaki w tym miał cel — Drucki na próżno usiłował domyślić się. Łączyć się to musiało z autorem anonimu, lecz w jaki sposób? I dlaczego?

Nie tracił ani na chwilę nadziei, że śledztwo szybko to wyjaśni.

W ciągu doby dochodzenie policyjne zostało zakończone i sprawa przeszła do rąk sędziego śledczego.

Gdy Drucki został doń przeprowadzony, w poczekalni ujrzał, oczekujących widocznie na przesłuchanie: portiera, dyrygenta orkiestry, kilku kelnerów, kwiaciarke i parę osób z bywalców dancingu.

Sędzia, niski i dość otyły starszy pan z kocią bródką, robił wrażenie człowieka poczciwego. Uprzejmie wskazał Druckiemu krzesło i rozpoczął badanie stylem rozmowy salonowej. Drucki odpowiadał krótko i jasno, powtarzając zeznania złożone policji. Nie obawiał się niczego, nie bez słuszności przypuszczając, że nikomu nie przyjdzie na myśl zakwestionowanie autentyczności jego amerykańskich dowodów tożsamości.

— Sprawa zupełnie inaczej wyglądałaby dla pana — mówił sędzia śledczy — gdyby zapas morfiny znaleziony w pańskim biurku przeznaczal pan do wyłącznego swego użytku. Czy pan nigdy nie używał morfiny?

— Nigdy, panie sędzio.

— Tym gorzej — westchnął sędzia. — Ale może miał pan zamiar?

— Żałuję bardzo, ale nie.

— Podczas rewizji w zajmowanym przez pana numerze hotelowym znaleziono tę oto buteleczkę bez etykiety. Co ona zawiera?

— Chloroform — bez wahania odparł Drucki.

— Aha, a do czego pan go używał?

Chloroform był przeznaczony do usypiania kobiet, na które polował dla Brunickiego. Teraz należało szybko coś skomponować.

— Miewam silne bóle newralgiczne — powiedział — w klatce piersiowej. Kilka oddechów chloroformem uspokaja je, pozwalając szybko usnąć.

Sędzia widocznie nie znał się zupełnie na medycynie, gdyż wobec tego wyraził gotowość oddania flakonu dozorca aresztu, który każdorazowo, w razie powtarzania się przypadłości, mógłby wręczać Brackiemu lekarstwo do użytku.

— Będę bardzo wdzięczny panu sędziemu — z uśmiechem zaczął Drucki — lecz mam nadzieję, że pan mnie w ogóle wypuści.

Sędzia rozłożył ręce.

— Na razie jest to niemożliwe.

— Więc może za kaucją?

— Zobaczymy za kilka dni. Teraz pan będzie łaskaw podpisać swoje zeznanie. I proszę nie mieć do mnie żalu, że jeszcze dziś po południu będę pana trzymał do siebie.

W ciągu najbliższych trzech dni Drucki był badany i konfrontowany niezliczoną ilość razy.

O ile mógł sobie wyrobić pogląd na stan swojej sprawy, nie przedstawiała się ona zbyt różowo. Kasjer i panna Tecia zostali zwolnieni bez kaucji. Jego zaś przetrzymywano.

Portier zeznał, że dyrektor Winkler dość często przychodził do lokalu z różnymi paczkami. Z drugiej strony ustalono, że niektórzy goście „Argentyny” istotnie tam zaopatrywali się w morfinę, a chociaż nie chcieli powiedzieć, kto ją im wręczał, było zupełnie prawdopodobne, że załatwiał to dyrektor, często przysiadający się do różnych stolików.

Twierdzenie aresztowanego, że paczkę mu podrzucono, na niczym się nie opierało, przeciw niemu świadczył zaś dowód rzeczowy pod postacią znalezionej narkotyku i cały szereg poszlak.

W tym czasie dowiedział się od uprzejmego sędziego śledczego, że był tu Załkind, by przyjęto oden kaucję.

— Ów pan Załkind — śmiał się sędzia — musi być wielkim pańskim przyjacielem. Ofiarowywał każdą kwotę, przysięgając, że i głowę dałby za niewinność pana.

Czy to, czy też przeświadczenie o tym, że Drucki nie będzie chciał zbiec, wpłynęło wreszcie na decyzję sędziego: po tygodniu Drucki został wypuszczony za kaucją dwudziestu tysięcy złotych.

Pierwszą osobą, którą ujrzał po wyjściu na ulicę, była Luba. Czekala nań i teraz nie mogła mówić ze wzruszenia i z radości.

Kurczowo przyłgnęła do jego ramienia.

— Cóż tam dobrego? — zapytał.

— O, teraz wszystko jest dobre! — patrzyła mu w oczy promieniejącym wzrokiem. — Jedziemy do nas na obiad. Borys czeka, mrozi szampana.

— Aż taka uroczystość?

— Ogromna!

W taksówce zaczęła go całować.

— Kochany, słodki, biedactwo, tak nacierpiał się...

— Luba, chyba pani żartuje?! Taki drobiazg! Żebyśmy tylko większych zmartwień nie miał.

— Tak, prawda, Borys mówił, że kapitanowi byle czym nie zaleją sadła<sup>194</sup>. Kochany!

— Borys? — zrobił do niej oko.

— I Borys też. Nie masz pojęcia, kapitanie, jak wysiłał się, by ci dopomóc! On za ciebie dałby się porąbać.

Załkind stał na balkonie i już z daleka powiewał ku nim chusteczką, po czym, kulejąc bardziej niż zwykle, wybiegł aż na schody.

Mocno uścisnęli sobie dłonie.

— *Hallo, old Jack!*<sup>195</sup> — powiedział Drucki.

— *All right, John!*<sup>196</sup> — ochryplym głosem odpowiedział Załkind.

A Luba stała tuż przy nich i czuła, że jej serce wyrywa się z piersi.

Weszli do salonu i mężczyźni długo nic nie mówili, siedząc naprzeciw siebie.

Luba, nucąc jakąś piosenkę, krzątała się w jadalni.

— Myślę, Jack, że mamy ładną wiosnę — zauważył Drucki.

— Dni robią się coraz dłuższe — dorzucił Załkind.

I obaj odchrząknęli.

— Wiecie — zawołała, stojąc w drzwiach, Luba — że w tym musi być kobieta. Głowę dałabym, że kobieta. Chodźcie, już podają.

— Bardzo możliwe — powiedział Załkind — bo przecie kapitan wrogów tu nie ma. Co pan sądzi o tym, kapitanie?

— Jestem ciemny jak tabaka w rogu.

— Ale prawda, Borys, że kapitan zostanie uniewinniony?

— Hm... Któż to może wiedzieć? W każdym jednak razie mamy teraz dość czasu, by na własną rękę rzecz zbadać.

— A co, Jack, pan od początku byłś pewny, że mi morfinę podłożono?

— No, naturalnie! Po jakiego diabła zajmowałby się pan morfiną? Przecież o pieniądzu panu nie chodziło nigdy, kapitanie. A dla sportu? To też nie pański rodzaj.

— A spirytus? — zaśmiał się Drucki.

<sup>194</sup>zalać sadła za skórę (fraz. pot.) — bardzo dotkliwie dokuczyć komuś. [przypis edytorski]

<sup>195</sup>*Hallo, old Jack!* (ang.) — witaj, stary Jacku! [przypis edytorski]

<sup>196</sup>*All right, John!* (ang.) — w porządku, Johnie! [przypis edytorski]

— W spirytusie pluskały kulki, kapitanie! Ba! Alboż to i z armat nie walili do pańskiej „Aurory”?!  
— Dobrze były czasy, co, Jack?  
— Ba!  
— A poza tym — postukał się w czoło Drucki — byłbym skończonym idiotą, gdybym trzymał morfinę w biurku.  
— Powiadam, że to jakaś kobieta — powtórzyła Luba. — Niech się pan zastanowi, kapitanie, czy nie może tu w grę wchodzić kobieta?  
Drucki roześmiał się.  
— Za dużo ich wchodziłoby w grę — domyślnie odpowiedział Załkind.  
— Ale! — zawołał Drucki. — Wyobraźcie sobie, że na kilka godzin przed najściem policji otrzymałem anonim z ostrzeżeniem, że będzie rewizja.  
— Anonim?  
— Tak. Podpisany był „dobry przyjaciel”, czy coś w tym rodzaju, i ostrzegał przed rewizją, radząc „usunąć wszystko”.  
— Ajajaj! — podrapał się po nosie Załkind.  
— Właśnie! Myślałem, że to jakaś mistyfikacja. Miałem przecie zupełnie czyste sumienie.  
— A kto mógł to napisać?  
— Diabli wiedzą.  
— Bo ciekawe, że, jak tego dowiedziałem się po pańskim aresztowaniu, policja też otrzymała anonimową denuncjację<sup>197</sup> na „Argentynę”. Tylko w tej denuncjacji było podane, że narkotyki znajdują się u sekretarki dyrektora.  
— Skąd pan wie o tym, czy aby pewne? — zdziwił się Drucki.  
— Najpewniejsze. Moja siostra dowiedziała się przez jednego wywiadowcę z urzędu śledczego. Donos był napisany ręcznie i wysłany pocztą do prokuratora, a dopiero prokurator przesłał ten anonim policji. W policji nawet bardzo by chcieli złapać tego, co anonim wysłał, bo daliby mu też bobu.  
— Autorowi donosu?  
— Tak. Bo on, uważa kapitan, napisał, że dlatego zawiadamia wprost prokuratora, bo policja wzięłaby łapówkę i zatuszowała sprawę.  
— Głowę dam, że to kobieta! — twierdziła Luba.  
— No, a drugi anonim, ten do mnie z przestrożą?  
Pani Luba zamyśliła się.  
— Kto wie? Może ta sama kobieta?..  
— Że opamiętała się w ostatniej chwili? — zapytał Drucki.  
— Kobiety są nieobliczalne — odpowiedziała.  
Jednak Załkind wykluczał tę możliwość. Gdyby anonimy pochodziły z jednych rąk, byłyby oba pisane na maszynie.  
— W każdym razie, kapitanie — ciągnął — teraz, gdy jest pan na wolności, znacznie łatwiej panu będzie wyszukać zamieszane w to osoby.  
Dlatego też Drucki nie pojechał na Dębową. Zadzwoił z mieszkania Załkinda do Brunickiego i zawiadomił profesora, że został wypuszczony za kaucją do czasu rozprawy sądowej. Profesor ze swej strony również ostrzegł przed inwigilacją, tym samym dając do zrozumienia, że na razie rezygnuje z pomocy Druckiego.  
— A czy wszyscy zdrowi? — zapytał ogólnikowo Drucki, myśląc o porwanej przez siebie dziewczynie.  
— Bądź spokojny — zapewnił go Brunicki — wszystko jest w porządku.  
— Nie będę się odzywał do ciebie, Karolu, póki ta rzecz nie skończy się.  
— Jakie przewidujesz zakończenie?  
— Jestem niewinny. Podłożono mi, widocznie przez zemstę, tę morfinę.  
— I ja tak myślałem — powiedział profesor. — Może potrzebujesz pieniędzy?  
— Nie, dziękuję ci.  
— Więc życzę ci powodzenia.  
— Serwus.

<sup>197</sup>denuncjacja — doniesienie władzom o popełnieniu przez kogoś wykroczenia. [przypis edytorski]

Położył słuchawkę.

Długo jeszcze rozmawiał z Lubą i z Borysem o swojej sprawie i o szkodach, jakie cała awantura wyrządzi „Argentynie”.

— Obawiam się, że publiczność przestanie chodzić — martwił się Załkind.

— A ja nie przypuszczam. Ci goście, co mnie znają, nie powinni uwierzyć w moją winę.

— Naturalnie! — zawołała Luba.

W hotelu portier i cała służba przyjęli Druckiego z dość chłodną rezerwą.

Kończył właśnie przebieranie się, gdy przyszedł doń dyrektor hotelu.

— Strasznie przykra historia — zaczął.

— Przykra — wzruszył ramionami Drucki — ale skończy się dobrze.

— Ja też tak sądziłem — powiedział dyrektor z miną świadczącą, że wcale tak nie sądził.

— Czymże mogę panu służyć?

— Ja... tego... przyszedłem — jąkał się dyrektor — zapytać, czy szanowny pan nadal zatrzyma swój numer?...

Drucki wyprostował się i spojrzał mu prosto w oczy.

— Zatrzymam.

— A, no tak... Bo myślałem...

— Nie dogadza to może panu? — zapytał z groźbą w głosie.

— Mnie? — uderzył się w piersi dyrektor. — Skądże mnie?

— No to dobrze. Jeżeli zaś komukolwiek to nie podoba się, przyślij go pan do mnie.

Ręczę panu, że mu... dogodzę.

— Che... che... — śmiał się dyrektor — pan to jest prawdziwym Amerykaninem.

I doprawdy źle mnie pan zrozumiał. Skoro zamierza pan nadal zaszczyścić nasz hotel...

— Zamierzam zaszczyścić nadal — przerwał mu Drucki — a teraz żegnam pana.

— Moje uszanowanie panu.

Dyrektor, który przyszedł oczywiście z zamiarem wymówienia Druckiemu gościny, wyszedł z niczym.

Na dworze był dopiero zmierzch, gdy Drucki zjawił się w garażu.

Tu przeciwnie, powitano go z radością, a szofer zarządzający garażem odprowadził go na stronę.

— Proszę pana, był taki agent z urzędu śledczego i kazał mi telefonować doń, jeżeli tylko pan poleci wyszykować wóz do dalszej drogi. Takie szpicle, cholera! — zakończył z oburzeniem, zaprawionym odrobiną podziwu.

— Dziękuję panu — potrząsnął ręką Drucki — w żadną dalszą podróż nie wybieram się. A teraz daj mi pan wóz. Przewietrzę się trochę po tej ciupie.

— Z pana to morowy człowiek — zaśmiał się szofer — tak tu mówiłem ze sobą, że panu i wszyscy diabli nie daliby rady.

Gdy wóz zniknął za bramą, szofer zwrócił się do pomocnika i wskazując głową w kierunku odjeżdżającego auta, powiedział:

— Złoty gość. Już ja niejednego widziałem, na ludziach znam się, a ten to i swój chłopak, można powiedzieć, co to nie nawali i pan z panów całą gębą. No, co stoisz jak malowany? Zamykaj!

## ROZDZIAŁ 12

O uwolnieniu szefa nie wiedzano w „Argentynie”. Toteż jego zjawienie się wywołało wśród personelu sensację.

Wszyscy pracownicy zebrali się w hallu. Z uśmiechem ścisnął im dłonie. Potem zamknął się w gabinecie z kasjerem i z Grabowskim. Wysłuchał ich sprawozdań, przejrzał książki.

Frekwencja istotnie znacznie spadła, lecz Drucki bardziej zmartwił się tym, że obniżył się też poziom publiczności. Zdarzały się ordynarne awantury, a raz nawet musiano wezwać policjanta.

— Z tym musimy z miejsca skończyć. Panie Grabowski, niech pan tu wezwie portiera i Wrzoska.

Starszy kelner Wrzosek i Grabowski otrzymali kategoryczne polecenie zupełnego ignorowania nieporządných gości.

— A w razie awantur zawiadamiać mnie.

Portier zaś miał odtąd nie wpuszczać byle kogo, co mu się zresztą podobało.

— Może pan dyrektor być spokojny — powiedział — od dziesięciu lat jestem portierem po pierwszorzędných interesach i wszystkich porządných gości znam, a hołodrańca<sup>198</sup> poznam o miłę.

Następną czynnością Druckiego był drobiazgowy przegląd lokalu. Znalazł wiele zaniedbań i nieporządków. Winowajcy otrzymali po jednym, krótkim spojrzeniu. To im wystarczyło.

Gdy wrócił do gabinetu, była już tam Teca. Musiała już przed przyjściem do „Argentyny” dowiedzieć się o uwolnieniu Druckiego, gdyż ujrzał pęk kwiatów na swoim biurku.

Ze wzruszenia drżały jej usta, a oczy jarzyły się radością.

— Nareszcie, nareszcie... Boże drogi — szeptała, kurczowo ściskając jego dłonie — a to wszystko przeze mnie przez moją głupotę. Ty mi do śmierci tego nie darujesz...

— Czego głuptasku, czego? — śmiał się, tuląc ją do piersi.

— No tego, że ja włożyłam tę przeklętą paczkę do biurka, ale ja naprawdę nie myślałam...

— Uspokójże się, niemądrasku, najmniejszego żalu do ciebie nie mam. Tyle samo jesteś winna co i ja. Ale nie smuć się, bo już minęło. No, nosek do góry i daj pyszczka... Tylko po co robisz wydatki na kwiaty? — pogroził jej palcem.

— Na kwiaty? — zdziwiła się.

Ruchem głowy wskazał biurko.

— To nie ja — potrząsnęła głową.

— Nie ty?

Zbladła i powiedziała:

— To Kazia.

— Eee.... skądże.

— Z całą pewnością. Gdy wchodziłam, na własne oczy widziałam, jak kładła tu te swoje kwiaty.

Drucki nagle zmarszczył brwi. Uderzyła go myśl: „A może i morfina?...” Tak, mogła tak samo wejść i położyć. Tylko w jakim celu? Zaniedbywał ją ostatnimi czasy, ale przecież był dla niej dobry, nie miałyby za co mścić się aż w tak łajdacki sposób.

— Nie, nonsens — powiedział głośno.

— Ależ to ona, sama widziałam — zapewniła Teca, sądząc, że Drucki myśli o kwiatkach.

— Jak to? — zerwał się. — Widziałas?

— Widziałam. Układała je bardzo starannie.

— A... kwiaty!... No tak — zaśmiał się — teraz do roboty.

Załatwił zaległą korespondencję, podyktował kilka wzmianek reklamowych do prasy.

Z sali dochodziły dźwięki orkiestry i gwar głosów. W korytarzu coraz częściej rozlegało się przytłumione dywanem dudnienie szybkich kroków. To kelnerzy, kursujący między kuchnią a dancinżem.

Przyszedł kasjer Justek.

— Dziś niezłe, panie dyrektorze. Połowa łóż zajęta i prawie wszystkie stoliki.

— No, muszę się pokazać — zdecydował się Drucki — urządzę im dziś kocią muzykę.

Jednak szedł, ociągając się. Niezbyt to miło świecić czołem, gdy się jest tak usmarowanym, choć i niewinnie.

Przechodząc obok pokoju „artystów”, ujrzał Kazię.

— Jak się masz, mała? — zawołał wesoło. — Po co wyrzucasz pieniądze na kwiaty? No, ale dziękuję ci. Cóż się tak na mnie gapisz?

Rzeczywiście patrzyła nań rozszerzonymi oczyma, jakby z przestraczem.

— No? — pogładził ją po policzku.

— Dyrektorze — wyszeptała — ja mam panu coś ważnego do powiedzenia.

<sup>198</sup>hołodraniec (reg., z ukr.) — hultaj, nicpoń. [przypis edytorski]

— Ważnego? O, słucham?  
— Nie, nie tu. Na osobności. Ja przyjdę do gabinetu po moim występie. Tylko w cztery oczy.

— Dobrze.

Znikła za drzwiami.

Już zza kontuaru amerykańskiego baru ogarnął wzrokiem salę. Nie brakowało starych bywalców. Właśnie orkiestra kończyła bostona i pary tańczących rozchodziły się do stolików.

Jego zjawienie się na sali wywołało chwilę ciszy. Nagle ktoś głośno krzyknął:

— O! Patrzcie, Winkler! Serwus, dyrektorze! Serwus!

— Wiwat! — wrzasnął ktoś z kąta.

Z drugiego rozległy się oklaski. Zrazu samotne pociągnęły jednak za sobą inne, brawa przeszły w huk, napełniający salę. Pojedyncze okrzyki zmieniły się w ogólny hałas.

Niektórzy mężczyźni powstawali i otoczyli Druckiego zwartym kołem. Pytania, zapewnienia, szczerze uściski dłoni, a z dala uśmiechnięte zalotne oczy kobiet.

Orkiestra różnęła w ogólnym zgielku fanfary. Służba z pełnymi rękoma zamarła w bezruchu, tłocząc się w drzwiach.

Grabowski pochylił się do Justka i krzyczał mu do ucha:

— Ma szczęście do ludzi nasz stary! Co?!

Dancing grzmiał.

Miauczenie udało się świetnie. Drucki wracał do gabinetu sam, rozbawiony jak nigdy, kiedy zobaczył oczekującą nań Kazię.

— No, mała?

— Ale ja muszę w cztery oczy — powiedziała dziewczyna, wskazując ruchem głowy drzwi, zza których rozległ się lekki klekot maszyny do pisania.

— To może jutro?

— Nie, muszę dziś. Bardzo ważna sprawa.

Drucki zamyślił się.

— No, więc dobrze. Przyjdź za pół godziny. Wyprawię pannę Tecię do domu.

Nie zastanawiał się nad tym dłużej. Podpisał przygotowane listy i zwolnił Tecię:

— Do widzenia, mała. Idź do domu.

— Mnie się nie śpieszy — spuściła oczy.

— Będę tu miał różne rozmowy, a roboty już nie ma. Do widzenia i niech ci się aniołki przyśnią. Zobaczymy się dopiero jutro.

Ostatnie dwa słowa wypowiedział z naciskiem. Nie chciał, by przychodziła teraz do hotelu. Na pewno i on, a może i ona są teraz śledzeni.

Przysiadł na parapecie okna, przeglądając rachunki, i czekał. W kilka minut po wyjściu Teci w drzwiach ukazała się Kazia.

— No, chodź tu i gadaj. Co się stało?

Stała przed nim milcząca z szeroko otwartymi oczyma, z których wyglądał strach.

— Cóż u diabła, oniemiałaś, moja mała?

— Niech mnie pan tak nie nazywa — powiedziała cicho — nie jestem tego warta. Za chwilę kopnie mnie pan jak psa, bo na nic innego nie zasłużyłam. To ja podłożyłam morfinę.

Drucki wstał, włożył ręce w kieszenie spodni i wolno podszedł do niej.

— Upiłaś się? — zapytał spokojnie. — Jesteś pijana?

— Nie — potrząsnęła głową — jestem trzeźwa i mówię prawdę. To ja, podła, podłożyłam. Z zemsty, ze ślepej zemsty.

Położył jej rękę na ramieniu.

— Z zemsty? Kobieto! Za cóż ty się na mnie mścisz? Czym cię skrzywdziłem?

— Ooo... — jęknęła — nie na pana, nie na pana... Dla pana serce wydarłabym ze swojej piersi... Ja na niej chciałam się zemścić.

— Na kim, ty szalona?!

— Na tej Teci, na tej chytrej dziwie, co to świętoszkę udaje, co zabrała mi ciebie... Ja ją chciałam usunąć z pańskich oczu. Ale byłam za głupia. Nie wiedziałam, jak to zrobić, i wszystko spadło na pana. O ja nieszczęśliwa!

Wpiła sobie palce we włosy i oparła się o ścianę.

Druckiemu twarz ściągnęła się, a na czole wystąpiły zmarszczki.

— Więc to ty sprzedawałaś tutaj morfinę?

— Ja, ja... Ja przeklęta, ja zgubiona...

— Opowiadaj — rzucił rozkazująco.

Zacząła opowiadać cichym, znękanym głosem. Już dawno poznała niejakiego Cierzawskiego, takiego machera<sup>199</sup> od wyścigów i od innych rzeczy i on ją namówił. On przynosił jej do domu morfinę i on sam brał z góry pieniądze od odbiorców, a jej zadaniem było tylko wręczanie im słoików. Przychodzili tu, a ona wręczała. Cierzawski płacił jej po pięć, dziesięć złotych od słoika, a sam, łajdak, brał od nabywców po dwadzieścia złotych za gram. I to jeszcze oszukiwał ich, bo z każdego pięćdziesięciogramowego słoika odsypywał po trochu. Sama to widziała, bo on to robił u niej w mieszkaniu. A odbiorcy nawet tego nie zauważyli, bo zawsze byli zdenerwowani i zadowoleni, że otrzymują.

— Bo wiadomo, wybulą takiemu oczajduszy tysiąc złotych, a czy to starczy, to i nie wiadomo. Pan dyrektor nie ma pojęcia, co to za numer ten Cierzawski.

— Znam go. Mów dalej.

— On i polityką zajmuje się, mówi, że ma stosunki i że mu nikt nic nie zrobi. Ale zobaczmy! Otóż niektórzy goście byli tak zadowoleni, że jeszcze ten i ów wsunął mi do torebki jeden, dwa papierki. Nie mogłam się skarżyć. Najwięcej dawali stali odbiorcy. Ale jak ja zobaczyłam, że ta świętoszka całkiem pana opętała, to diabeł jakiś we mnie wlaźł. Myślę, co mi po tych pieniądzach, a ją tak zapakuję, że jej prędko pan nie zobaczy. A ot... tymczasem...

Odwróciła się doń plecami i zapłakała.

— Dalej! — krzyknął brutalnie.

— Ano — ciągnęła, łkając — złe mnie podkusiło. Poprosiłam takiego jednego, żeby mi napisał donos do prokuratora.... I posłałam. A wieczorem, jak ta Tęcia wyszła za potrzebą, wpadłam tu i wsunęłam paczkę za jej torebkę.

— Och, ty idiotko! — wzruszył ramionami Drucki.

— Żebyśmy przypuszczała, że ta cholera znajdzie paczkę i wsunie panu do biurka!... Ale ja myślałam, że policja prędzej przyjdzie, i żeby pośpieszyli, to ta świętoszka nie zdążyłaby. Akurat złapałoby ją...

— Jak mogłaś! Jak mogłaś?!

— Potem głową w ścianę tłukłam, tą moją głupią głową. Ale co miałam robić? Jeszcze myślałam sobie, że pana wypuszczą, a ją zatrzymają... Ale tak wszystko nagle spadło i ten s...n Cierzawski jeszcze do mnie się czepia, że taki majątek — powiada — zaprzepaściłam, dziesięć tysięcy złotych, a ja mu figę pod nos, bo mówię, że rewizja przyszła i co, miałam sama dać się złapać?

— No i cóż teraz będzie? — zapytał ponuro Drucki.

Wyjęła z torebki grubą kopertę i pokazała Druckiemu. Niezbyt wprawną ręką wypisany był na niej adres: „Do Wielmożnego Sądu Okręgowego w Warszawie”.

— Co to jest?

— Ano opisałam tu całą prawdę, co i jak. Wszystko po porządku. Że nikt nie winien, tylko ja i Cierzawski. Wszystko opisałam.

Rzucił list na biurko i zaczął chodzić po pokoju z rękoma w kieszeniach.

— A pana przepraszam, przed Bogiem przepraszam i proszę o darowanie. Jestem zła i nieszczęśliwa. Diabłu duszę zaprzedałam, ale swój honor mam. Ten list jeszcze dziś wyślę.

Chrząknął i zatrzymał się przed nią.

— I cóż, uciekniesz?

Uśmiechnęła się blado.

— A paszport masz?

— Mam. Mam dobry paszport — przycisnęła torebkę do piersi.

— Bo jak cię złapią — ostrzegł — to dwa, albo i trzy lata murowane. Może nawet i więcej.

— O, nie, z tym paszportem przejadę tak, że mnie nikt nie znajdzie.

— Za granicę jedziesz, oczywiście?

<sup>199</sup>*macher* — kombinator, naciągacz, cwaniak. [przypis edytorski]



— Tak — kiwnęła głową, po chwili milczenia dodała: — Nic tu już po mnie, nic po wszystkim.

— No, jesteś młoda, ładna, zrobisz jeszcze za granicą karierę — powiedział, patrząc w okno.

— Ścierka — odezwała się bezdźwięcznie.

Odwrócił się zdziwiony.

— Jaka ścierka?

— Ja jestem ścierka, łachman... O, niech pan wie, że przez ten tydzień ja więcej zmądrzałam niż przez całe życie... Pójdę już — wzięła list z biurka. — Nie pożegna się pan ze mną?...

Głos jej drżał.

— Nie jestem tego warta, ale niech pan ot tak, przez litość...

Podszedł do niej i pogłodził ją po włosach, po policzku.

Chwyliła jego rękę i przyłgnęła do niej ustami.

— Jedź. A list lepiej wrzucić, jak już będziesz za granicą. Ty przez Gdańsk, czy jak?...

Wizę masz?... Pokaż no paszport.

Odskokczyła jak oparzona.

— Nie, nie, ja wszystko mam w porządku i wizy, i papiery.

Przyjrzał się uważnie i zrodziło się w nim podejrzenie.

— Daj tu paszport! — kazał.

— Do widzenia! — zawołała i rzuciła się do drzwi.

Jednym skokiem był przy niej, jednym szarpnięciem wyrwał jej torebkę. Przekręcił klucz w zamku, wyjął i schował do kieszeni.

— Oddaj, niech pan odda — błagała.

— Cicho! — huknął na nią.

Otworzył torebkę: list, chusteczka, puderniczka, pomadka do ust i — mały czarny rewolwer.

Drucki wyjął broń, podrzucił do góry, złapał za lufę w powietrzu i schował do kieszeni.

Dziewczyna klęczała skulona na ziemi z głową ukrytą między ramionami, a szloch wstrząsnął tym bezradnym kłębkim ciała.

Drucki stał i milczał.

Wyjął papierosa i zapalił, nie śpiesząc się, rozerwał kopertę i rozwinął duży arkusz papieru.

Pod śmiesznym, naiwnym nagłówkiem: „Wielmożny Sądzie Okręgowy” zaczynało się: „O śmierć moją proszę nikogo nie winić. Odbieram sobie...”

Nie czytał dalej. Złożył arkusz i szarpnął. Przez pół i jeszcze raz przez pół, i jeszcze raz.

Posypały się na dywan małe skrawki papieru. Jedne padały tuż przy jego nogach, inne odlatywały dalej.

Strzepnął ręce, zgasił papierosa, pochylił się nad Kazią, wziął ją za ramiona, bez wysiłku uniósł i posadził na stole. Trzęsła się jak w febrze<sup>200</sup>, twarz miała mokrą od łez.

— I cóż ty sobie myślałaś, smarkata — zaczął drwiąco — że takie szczenię jak ty ma jechać na tamten świat, bo takiemu słoniowi jak ja ktoś czymś grozi? Patrzcie no! Ofiarę mi tu robi! Poświęcenie!...

Roześmiał się, a ona wciąż płakała, spoglądając nań od czasu do czasu załzawionymi oczyma.

Tłumaczył, strofował, żartował, gniewał się, wymyślał, groził, upokarzał, aż przestała szlochać i uspokoiła się.

— No, sama widzisz, że byłaś głupia?

— Nie — potrząsnęła głową.

— Ale dasz mi słowo, że będziesz mnie słuchała?

— Będę.

— Więc teraz zapudruj nos i marsz do domu. Coś dla ciebie wymyślę. Ale jeżeli zrobisz to, jeżeli swoim głupim samobójstwem obciążysz moje sumienie, to ci nigdy nie przebaczę. Zrobiłaś mi krzywdę, chcąc czy mimo woli, ale zrobiłaś. Prawda?

<sup>200</sup>febra (daw.) — gorączka połączona z dreszczami. [przypis edytorski]

— Wielką krzywdę — szepnęła.  
 — No, widzisz... i chcesz ją naprawić?  
 — Chcę.  
 — Zatem pozwól mi, bym ja sobie wybrał satysfakcję. A ty chciałaś mi jeszcze jedną krzywdę zrobić.  
 — A jak pana zasądzą?  
 — Nie bój się, nie zasądzą. A jeżeli nawet, to już nie twoja rzecz. Masz słuchać i tyle. Buzię na kłódkę i rób tymczasem swoje. A ja coś dla ciebie...  
 Zapukano do drzwi i Kazia drgnęła.  
 Drucki otworzył. Za drzwiami stał chłopiec z portierni.  
 — Tam jeden pan do panny Kazi.  
 — Kto taki? — zapytał Drucki.  
 — Taki łysy jeden.  
 — To on — spochmurniała Kazia — Cierżawski.  
 — Czekaj — kazał chłopcu Drucki i zamknawszy mu drzwi pod nosem, zwrócił się do niej: — Czego ten łotr chce od ciebie?  
 — Wiadomo — wzruszyła ramionami — chce, żebyśmy morfina wręczała odbiorcom. Ale ja za żadne skarby... Dość mam tego...  
 — Więc słuchaj — wziął ją za rękę Drucki — idź do swojej garderoby i za dziesięć minut masz iść do domu. A nie przyjdź jutro! To ci nic nie powiem!  
 Chciała go znowu pocałować w rękę, lecz ofuknął ją:  
 — Dajże spokój, głupia. Jeszcze nie jestem biskupem.  
 Cmoknął ją w policzek i mocno poklepawszy po plecach, wypuścił na korytarz.  
 — Słuchaj, chłopcze, i uważaj: pójdziesz do tego łysego i powiesz, że panna Kazia nie może do niego wyjść, ale że czeka na niego...  
 — W garderobie — pojętnie zakończył chłopak.  
 — Nie w garderobie, a tu, w gabinecie. Powiedz, że jest sama i czeka, żeby koniecznie przyszedł. Rozumiesz?  
 Cekał długo. Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Cierżyński, wysoki, tegi, prawie czterdziestoletni drab z łysą czaszką i z grubym faldzistym karkiem. Zrobił ruch, jakby się chciał cofnąć, lecz opanowawszy się, zawołał z uśmiechem na błyszczącej, obleśnej twarzy:  
 — A, kogo widzę, kochany pan dyrektor Winkler.  
 — Cieszę się, że pana widzę, panie Cierżawski.  
 — Ja właściwie nie do kochanego dyrektora, ale chłopiec mi tu wskazał. Skoro jednak...  
 Urwał, bo Drucki podszedł do drzwi i zamknął je na klucz.  
 — Zamykam — wyjaśnił — bo chcę, by nam nie przeszkodzono. A ja mam z panem do pomówienia, panie Cierżawski.  
 — Zawsze do usług — bąknął ten niepewnie.  
 — Wie pan, że jestem oskarżony o handel morfina?  
 — Właśnie! Co za nieszczęście — jęknął żałośnie Cierżawski. — To na pewno jakieś nieporozumienie, a tyle przykrości!  
 Drucki systematycznie zdjął marynarkę i powiesił ją na poręczu krzesła. Cierżawski natychmiast zorientował się w sytuacji i zrobił krok ku drzwiom.  
 — Czekaj! — warknął Drucki, nie ruszając się z miejsca.  
 — Czego pan chce ode mnie, panie Winkler?  
 — Chcę ci podziękować osobiście za uprzejmość, zanim poczęstują cię kryminałem.  
 — Niby za co? — bezczelnie podniósł głowę Cierżawski.  
 — Nie bój się, draniu! Już mam wszystko. Twoja Kazia powędrowała na posiedzenie, a i tobie kilka lat odpoczynku się należy.  
 — Niech mnie pan wypuści!  
 — Nie, braciszku, nie ma tak dobrze.  
 Szedł ku niemu wolno, uśmiechnięty, spokojny jak nigdy. Nie mógł go wprowadzić oddać policji, gdyż równałoby się to wydaniu i Kazi, ale ten musi mu zapłacić za wszystko.  
 Cierżawski cofał się krok za krokiem. Z małych, zatłuszczonych powiek strzelały szybkie, niespokojne spojrzenia, szukające drogi ratunku, na lśniącej twarzy wystąpiły grube krople potu.

Walka, Przemoc

Znalazł się już w kącie i jego grube ręce o palcach przypominających serdelki podniosły się obronnym ruchem.

O sekundę, o ułamek sekundy za późno.

Zwarty węzeł pięści mignął błyskawicznym łukiem i ze straszliwą siłą spadł na szeroki nos Cierzawskiego. Niemal jednocześnie druga pięść sztychowym uderzeniem w ogromny brzuch skurczyła jego ciało w wielki kłęb, który pod nieustającymi ciosami związał się, falował, przewalał w sobie, zmieniając swój kształt.

— Aaaaa... — charczał Cierzawski.

To, że nie próbował obrony, zwiększyło jeszcze bardziej pasję Druckiego. Olbrzymie chłopisko, zdrowe niczym wół, a takie niemrawe.

Silnym pchnięciem wyrzucił go na środek pokoju i zaaplikował kilkanaście nowych ciosów, niezwykle bolesnych. Drab wydobył z siebie głuchy ryk i zaczął bezładnie machać rękami.

— Licz zęby! — krzyknął Drucki i potężny cios spadł na szczękę z prawej strony. Cierzawski zatoczył się, lecz nie upadł, gdyż z lewej otrzymał jeszcze silniejsze uderzenie, i znowu z prawej, a wreszcie sprawne pod brodę.

Teraz runął na podłogę, jak piorunem rażony, całym ciężarem swoich niemal stu kilogramów. Musiał jednak być niesłychanie wytrzymały, gdyż nie stracił przytomności. Jego oczy żarzyły się wściekłością, z grubych ust język wypychał krwawą pianę z wybitymi zębami.

— Dentysta policzyłby ci za to ładnych parę złotych — powiedział Drucki, lekko dysząc.

Cierzawski nagłym ruchem sięgnął do tylnej kieszeni, lecz zanim zdołał wydobyć broń, otrzymał tak błyskawiczne kopnięcie w łokieć, że zawył z bólu i poderwał się na równe nogi.

— A widzisz, wróbelku — zaśmiał się Drucki i natychmiast odskoczył, gdyż Cierzawski pochylił się całym tułowiem. Było jasne, że chce atakować tak zwanym „bykiem”, czyli uderzeniem głowy w dołek przeciwnika.

Drucki dobrze to znał. Kiedyś, gdy jeszcze był niedoświadczonym młodzieńcem, został zwalony takim ciosem na tydzień do szpitala i w dodatku połamał sobie kości trzech palców o twarde łeb irlandzkiego bosmana. Wiedział, jak się ma bronić. Są tylko dwa sposoby: uskoczyć i wyrzucić pięścią w odsłoniętą nasadę czaszki, to znaczy zabić na miejscu, i drugi — odparować uderzeniem kolana.

Nie ruszył się z miejsca i gdy lśniąca czaszka rozmachem całego tułowia zamierzyła się do ataku, w samą porę poderwał kolano. Trafił w pochyloną twarz między oczy i głowa Cierzawskiego, opisawszy wielki łuk, pociągnęła za sobą tułów i grzmotnęła ciemieniem o podłogę.

Leżała teraz bezwładna na wznak ta góra mięsa i sadła z twarzą przypominającą opuchłą i niezbyt świeżą wątrobę.

Drucki z pewnym wysiłkiem przewrócił go plecami do góry, wyjął rewolwer z tylnej kieszeni i schował do swojej, po czym podciągnął Cierzawskiego i posadził go na ziemi, oparłszy o ścianę.

Sam stanął naprzeciw i z satysfakcją przyglądał się swemu dziełu. Lubił solidną robotę.

Wyładował furię i teraz był w doskonałym humorze. Cierzawski jęczał, z wolna odzyskując przytomność.

— No — zaczął Drucki — tym razem, wróbelku, pomacałem cię lekko. Ale nie życzę twojej siwej prababce, byś się kiedyś na oczy mi nawinął. Wówczas, robaczku, obawiam się, że dla diabłów na piecyste mało z ciebie zostanie i do trumny cię przez lejek wleje twoja nieutulona w żalu rodzina...

— Wody!... — chrapliwym głosem odezwał się Cierzawski.

— Przyjemności na później, gołąbku. Teraz gadaj: masz dosyć?

Stęknęcie było jedyną odpowiedzią.

— Więc zbieraj twoje gnaty i niech cię diabli porwą. Na ten raz daruję ci. Idź na zbity łeb.

Cierzawski spojrział nań nieufnie spod straszliwie opuchniętych powiek.

— To znaczy — zapytał — że pan nie wezwie policji?

— Nie. Pal cię lichu.

Z trudem, jęcząc i krzywiąc się, podniósł się z ziemi i zataczając się, padł na krzesło. Wsadził gruby palec w usta.

— Prawie wszystkie zęby — skarżył się żałośnie.

— Uważaj na resztę! — ostrzegł Drucki. — Najlepszym sposobem konserwacji pozostałego uzębienia jest unikanie spotkania ze mną. A teraz uważaj. Puszczę cię i zmiataj na cztery wiatry. Nie radzę ci zaglądać do domu, bo tam już na ciebie czeka pewno policja. Twoje mieszkanie i mieszkanie twojej współpracownicy jest obstawione. Wał na dworzec kolejowy i korzystaj z tego, że teraz cię rodzona matka nie pozna. Masz pieniądze?

— Mam... Ile pan chce?...

— Idźże do diabła ze swymi pieniędzmi. Nic nie chcę — nacisnął dzwonek i otworzył drzwi.

— A tu na ulicy nie ma szpiclów? — nieufnie zapytał Cierzawski.

— Myślę, że są, ale pewno pilnują frontu.

— Dlaczego pan mnie puszcza?

— Taka moja pańska fantazja.

Do drzwi zapukał chłopiec. Wszedł i rzuciwszy okiem na Cierzawskiego, nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Uważaj, smarkaczu — ofuknął Drucki — ten oto pan hrabia czuje się cokolwiek niedysponowany.

Usta chłopca rozciągnęły się od ucha do ucha.

— Jest niedysponowany, bo ma jakieś zmartwienia rodzinne. Odprowadzisz go do kuchennych drzwi i powiesz dozorczy, by go wypuścił przez bramę. Rozumiesz?

— Tak jest, panie dyrektorze.

— Marsz! Uszanowanie panu hrabiemu!

Cierzawski chwiejnym krokiem wyszedł za chłopcem, który po drodze wziął z krzesła jego kapelusz.

Drucki nałożył marynarkę.

Sala była już pusta. Służba sprzątała. Huk wentylatorów i brzęk naczyń, pośpieszanie zbieranych, głużył rozmowy.

Znowu obszedł cały lokal, zrobił kasę z Justkiem, wydał dyspozycje i pojechał do hotelu.

Pierwsze promienie słońca zalewały ulicę jasnym przezroczystym, jakby świeżo wymyтым światłem.

„W gruncie rzeczy wariat ze mnie — pomyślał Drucki, konstatuując, że samochcą wziął na siebie cudzą winę — wariat nieuleczalny!”

Dodał gazu i świeży wiatr uderzył w zmęczone oczy.

— Ale dobrze jest być wariatem! — zaśmiał się, a motor mu odpowiedział cichym pomrukiem aprobaty.

W powietrzu pachniało bzem.

## ROZDZIAŁ 13

Gdzieś w najdalszym korytarzu rozległ się pierwszy dzwonek, w sekundę po nim ostro zaterkotał drugi na dole, aż wreszcie i ten już przy ósmej klasie odezwał się radośnie. Nudna, zasuszona pani Krupowa w pół zdania przerwała swój wykład o produkcji ropy naftowej i zaczęła składać książki i notatki.

Nikt już zresztą na nią teraz nie zważał. Panienci powstawały z miejsc, szybko dopinając teczek. Klasa napełniła się gwarem pośpiesznie rzucanych przypomnień o pożyczaniu podręczników, o spotkaniu się wieczorem przed kinem, o wzorach na hafciki. W rzeczywistości żadna z nich nie myślała już o nafcie pani Krupowej ani o hafcikach, ani o książkach.

Teraz całe były pochłonięte świadomością swobody, tej największej chwili dnia, kiedy znajdują się same na ulicy. Na jedne z nich czekają w pobliskich bramach studenci czy kadeci, na inne więcej jeszcze, bo całe tłumy nieznanomych przechodniów, przystojnych mężczyzn, pod łakomymi spojrzeniami których będą się popisywały sprężystością swoich młodych ciał.

Wysypują się oto na chodnik w swoich granatowych mundurkach z marynarskim kołnierzem, roześmiane, rumiane, piskliwe, śmiałe. Ich oczy iskrzą się, ich krok staje się elastyczny, nerwowy, od którego na wpół rozwinięte piersi drgają pod luźnym materiałem bluzki.

Jakże chciwe są ich świeże, nieumalowane usta, jakież wielkie czują w sobie bogactwo te jędrne młode ciała, bogactwo, które by garściami rozrzuciły między tych panów w jasnych ubraniach o szykownie zawiązanych krawatach. Głupcy! Czyż mogą domyślić się, że mijają oto skarby najfantastyczniejszych pragnień, oszalamiających marzeń, tajonych wstydy!...

Idą po dwie, po trzy, przykulone do siebie, ruchliwe, niezgrabne, rozszczebiotane, odważnie szukające oczyma wzroku mężczyzn, wzroku, który czują na swojej gładkiej skórze poprzez żakieciki.

— Jak myślisz, czy spotkamy dziś tego aktora?

— A ja ci mówię, że to jest inżynier. I w dodatku żonaty. Wczoraj widziałam go, jak kupował papierosy na Marszałkowskiej. Ma na palcu obrączkę.

— Nie krwaw serca Julki!

Julka wzruszyła ramionami.

— On ma rudy zarost i zawsze jest źle ogolony — powiedziała pogardliwie.

— Nie mów! To też ma swoje zalety. Jak tak drapie! To musi podniecać!

Julka w duchu przyznawała jej słuszność, lecz właśnie nadchodził obiekt ich rozmowy, więc zdążyła tylko powiedzieć:

— Idzie.

Wszystkie trzy zrobiły do niego oko i obejrzały się.

Stanął i patrzył za nimi z uśmiechem.

— Czekajcie! — zawołała jedna. — Teraz pożegnamy się i zobaczymy, za którą z nas pójdzie.

Zgodziły się. Karpowska poszła w ulicę Śniadeckich, Bodzikówna w Polną, a Julka w stronę domu. Szła prędko. Pewna była, że on idzie za nią, ale bała się obejrzeć. Gdy na rogu Topolowej zdecydowała się wreszcie, przekonała się, że ten cymbał ani myślał jej towarzyszyć.

Pał go sześć! Niechby sobie nawet poszedł za piegowatą Bodzikówną!

Drzwi otworzyła Józefowa.

— Czy panienka będzie czekać z obiadem na panią? — zapytała.

— Zaczekam.

Przebrała się i poszła umyć ręce. Na oknie stała torba papierowa. Zajrzała do niej i zdziwiła się.

— Józefowo! Po co Józefowa postawiła w łazience cukier?

— Jaki cukier?

— No stoi ta torebka z pudrem cukrowym.

Staruszka przydreptała.

— A rzeczywiście. Ale to chyba pani tu przyniosła. Bo któż by?

— Po co pani przynosiłaby?

— Ano w domu zawsze przydać się może.

Julka nakryła do stołu i zadzwoniła do Alicji. Odezwwał się woźny i oświadczył, że pani prokuratorka już wyszła, będzie ze dwadzieścia minut, jak wyszła.

Prawie w tejże chwili Julka usłyszała trzask otwieranych drzwi.

— Alu, to ty?

— Ja.

— To świetnie. Można podawać obiad?

— Naturalnie.

Siedziały naprzeciw siebie przy stole i Julka opowiadała, co dziś było w gimnazjum.

— Jesteś blada dziś, Alu — zauważyła ze współczuciem — może się źle czujesz?

— Nie, trochę się przemęczyłam.

— Czy to ty postawiłaś cukier w łazience?

— Cukier? — zarumieniła się Alicja. — A tak... tak. Kupiłam sobie do herbaty.

— Puder?

— Właśnie, dali mi przez pomyłkę puder. Zresztą, czy to nie obojętne? Powiedz, czy pytano cię już z łaciny?

— No, przecie przed chwilą ci mówiłam!

— A tak, tak. Jestem dziś trochę roztargniona. Miałam bardzo męczącą rozprawę.

— To tego bandyty z Mazowieckiej?

— Tak. Dożywotnie więzienie.

Alicja wstała i zabrawszy tekę, przeszła do swego pokoju. Miała jeszcze dużo pracy z przygotowaniem się do jutrzejszego oskarżenia, w sprawie o rozpowszechnianie narkotyków przeciw Janowi Winklerowi, właścicielowi nocnego dancingu „Argentyna”.

\*

Adwokat huśtał się na swym amerykańskim fotelu i milczał.

— Zatem — przerwał ciszę Drucki — jak pan oblicza szanse za i przeciw?

— Gdyby oskarżała nie ta piekielna baba, wierzyłbym w wyrok uniewinniający, a tak... No, powiedzmy z pewną dozą optymizmu, że szanse są równe.

Mecenas Koldinger niezbyt podobał się Druckiemu. Możliwie, że był rzeczywiście tak sprytny, jakim go przedstawił Załkind, możliwe, że na sali sądowej potrafił wydobyć z siebie energię, teraz jednak robił wrażenie apatycznego i zrezygnowanego, co irytowało w najwyższym stopniu.

— Niech pan mi powie, mecenasie, jedno: czy w razie wyroku skazującego aresztują mnie natychmiast?

— Nie sądzę. Kaucja jest wysoka, posiada pan duże i dobrze prosperujące przedsiębiorstwo, ucieczki pana nie będą się chyba obawiali. Chociaż z drugiej strony, jeżeli prokurator bardzo będzie nalegał...

Drucki wstał.

— Do widzenia. O której trzeba być w sądzie?

— O dziesiątej. Do widzenia panu. I niech się pan nie denerwuje. Zrobimy wszystko, co będzie w naszej mocy.

Drucki, zbiegając po schodach, żuł przekleństwa. Ładnie go ten adwokat urządzi. Ciepłe kluski. Niby fachowiec, a nic nie wie. Powiedziałby po prostu: uciekaj pan, bo sprawa przegrana, albo: kpij pan sobie ze wszystkiego, wyrok uniewinniający jest pewny. Wiadomo byłoby, czego się trzymać!

Drucki nie żałował już wypuszczenia z rąk Cierzawskiego i swojej wielkoduszności wobec Kazi, którą wysłał do Krynicy, pod warunkiem, że w ciągu roku nie pokaże się w Warszawie.

— Pál ich wszyscy diabli!

Przypomniała mu się Luba i dlatego poszedł do Toni.

Spędził u niej noc i za kwadrans dziesiąta był już w sądzie. Poprawił mu się humor tak dalece, że wesoło zapytał woźnego, gdzie tu jest miejsce dla głównej osoby.

Rozprawę wyznaczono w niedużej sali, toteż ta wkrótce po brzegi zapełniła się publicznością: kilku panów i około setki pań. Luba, Teczka, generałowa Wolińska, kwiaciarka Zosia, hrabina Holanowska, baletnica Jeresówna, córka prezesa Celińskiego, pokojówka z „Bristolu”, siostra kapelmistrza z operetki, rudowłosa manicurzystka od fryzjera... Wszystko klientki „Argentyny” lub też jego osobiste, a często łączące w sobie obie zalety, względnie takie, które chciałyby je łączyć.

Drucki swobodnie rozmawiał z mecenasem Koldingerem, który wydawał się dziś zmieniony do niepoznania. Ruchliwy, wesoły, dowcipny, dzielił się ze swym mocodawcą pikantnymi uwagami na temat publiczności.

— Ma pan szczęście do kobiet — mówił. — Szkoda, że zagalopowało się ono aż tak daleko, że i oskarżycielem jest kobieta.

„Prawda! — przypomniał sobie Drucki — co za kaprys losu. Oskarżać mnie będzie ta piękna blondynka! Podprokurator Alicja Horn”.

Rozległ się dzwonek i przeciągły ostry głos woźnego oznajmił:

— Proszę wstać. Sąd idzie.

Prawnik

Prawnik

Rumor wstających i z drzwi, znajdujących się za zielonym stołem, wysunęły się postacie trzech starszych panów w togach oraz małej czupurnej protokolantki w wielkich, rogowych okularach.

Jednocześnie z bocznych drzwi weszła Alicja Horn, wysoka, smukła o wspaniałych płonących oczach, zasłoniętych do połowy nieprawdopodobnie długimi rzęsami, o wypukłych zmysłowych ustach, których tak pragnął.

Drucki przez chwilę miał nieprzepartą ochotę uklonić się jej według wszelkich zasad dobrego tonu, lecz pohamował się.

Czytano akt oskarżenia.

Przewodniczący, prezes Turczyński, miły siwy pan o inteligentnym wyrazie twarzy, nerwowo drobny sędzia Pszczółkowski, którego rysy przypominały srokę, i referent sprawy, gruby, ponury jegomość, sędzia Hum, z wystającymi z twarzy złego buldoga krzywymi, żółtymi zębami.

— Ten mi da bobu — szepnął do ucha adwokatowi.

— Hum? Myli się pan. Człowiek o najlepszym sercu. Kolosalnej dobroci. Najgorszy jest Pszczółkowski.

Drucki złapał kilkakrotnie wzrok, wpatrującej się weń aplikantki i spojrzał na Alicję. Ta nie odrywała oczu od papierów.

„Niemożliwe, żeby mnie nie poznawała” — stwierdził w myśli.

Na stole leżała paczka z morfiną: dowód rzeczowy.

„Ach, ta głupia Kazia!”

Jakże łatwo mógł się uwolnić od oskarżenia. Wystarczyłoby szepnąć kilka słów Koldingerowi!...

Patrzył na Alicję. Marmurowy spokój, pod którym ukryte jest całe piekło temperamentu. Dlaczego go odepchnęła?...

— Oskarżony Jan Winkler! — rozległ się głos przewodniczącego.

Imię, nazwisko, wiek... Obywatel amerykański, urodzony w Detroit, kapitan marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, później handlowej, obecnie kupiec, właściciel zakładu gastronomicznego „Argentyna” w Warszawie. Do winy się nie przyznaje. Jak może wytłumaczyć obecność w jego gabinecie paczki z morfiną? — Całkiem po prostu. Ktoś podrzucił. — Z jakich pobudek?... — Może zawiść konkurencyjna, może chęć zemsty osobistej, a może po prostu żart... psikus...

— Czy strony mają pytania?...

Owszem. Prokuratorka Alicja Horn zapytuje, czy oskarżony przychodził do swego zakładu z paczkami? — Owszem. — Czy często?... — Dość często przynosił sobie papierosy, książki...

— Czy „Argentyna” miała licencję na sprzedaż papierosów? — Ma ją. Ale oskarżony pali inne. — Oskarżony miał dużo zajęć w lokalu? — Tak. — Zatem nie miał wolnego czasu? — Nie, lub bardzo mało. — Kiedyż więc czytał przynoszone przez siebie książki? — Zabierał je z powrotem do hotelu. — Oskarżony twierdzi, że morfina została podrzucona ze złej woli. Czy oskarżony nie podejrzewa nikogo? — Nie. — Więc któż to mógł zrobić? — Może ktoś dla żartu.

Padaly zimne, krótkie pytania, wypowiedane głosem, który dźwięczał jak stal, jak stal zadająca błyskawiczne, a celnie wymierzone pchnięcia.

Drucki odpowiadał spokojnie. Jego niski baryton nie drgnął ani razu, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że każdą odpowiedzią obciąża siebie, że każde pytanie jest jakby drobnym nakłuciem. Nakłucia jedno przy drugim tworzą oto cały ścieg, przecinający jego obronę. Wystarczy później mocne szarpnięcie i zostaną z niej szmaty.

A pytania wciąż padaly. Zręczne, wnikliwie, na pozór niegroźne. Osaczały go ze wszystkich stron, zamykały wszystkie drogi odwrotu. I zatrzymały się nieruchome, czujne i nieprzebyte, jak zasieki z drutu kolczastego.

— Dziękuję. Skończyłam.

Na sali zapanowała głęboko cisza.

„Ona mnie nienawidzi — pomyślał Drucki. — I za co?...”

Zaczął pytać adwokat. Był błądy, jego usta lekko drżały. Po prostu obezwładniała go finezja przeciwnika. Nie wygrał przeciw tej babie ani jednej sprawy, a przecież ta właśnie była do wygrania!

Nastąpiła nowa seria pytań. Drucki odpowiadał z równym spokojem. Nigdy nie miał do czynienia z narkotykami. Dochód przeciętny z „Argentyny” wynosi znacznie więcej, niż potrzeba mu na wydatki, książki kupował najczęściej po południu, do stolików się przysiadł, ale nigdy nikomu nic nie wręczał ani pieniędzy żadnych nie inkasował, do gabinetu mógł wpaść na chwilę nawet ktoś z gości...

Odpowiadał, lecz czuł, że zasieki ustawione przez tę piękną kobietę, która nienawidzi go z całej duszy, ani drgnęły.

Przesłuchiwanie świadków. Znowu jej drażniący metaliczny głos. Barman Grabowski, portier, starszy kelner Wrzosek. Zeznają, że Drucki był lubiany nie tylko przez personel, ale i przez gości. Czy kto mógł mieć do niego złość? Poczciwi powiadają, że broń Boże. A do jego paczek nikt nie zaglądał. Jak dyrektor Winkler mówi, że tam były książki czy papierosy, to pewno tak i było. A czy brał papierosy z baru? — Czasami brał. — Jak często? — Ano raz na tydzień, może dwa. — A może i trzy? — Może.

Koldinger wydobywa z nich, że dyrektor był zawsze wesoły, pogodny, dobry dla służby, sprawiedliwy, że nie był skąpy, że nikt z nich nie widział, by wręczał gościom jakie paczki lub by brał pieniądze.

Przesuwają się przed stołem sędziowskim świadkowie jeden za drugim. Mecenas Koldinger gryzie wargi i stuka nerwowo ołówkiem o pulpit. Drucki widzi swoją sytuację zupełnie jasno. Odwraca się. Spojrzenie jego spotykają oczy czarne, niebieskie, zielone, orzechowe... Oczy wszystkie pełne przestachu... Oto odzywa się znowu metaliczny, dźwięczny jak stal głos i oczy zwracają się na Alicję Horn, oczy odmienione w ciągu mgnienia — palą się teraz nienawiścią.

Przed pulpitem dla świadków staje aspirant<sup>201</sup> policji z urzędu śledczego, kierownik brygady tępiącej handel narkotykami. Wysoki, zgrabny, inteligentny mężczyzna.

— Czy pan może powiedzieć, co zawiera ta paczka? — pyta Alicja Horn.

— Morfinę. W takich paczkach szmuglują morfinę z Niemiec.

— Jakie są ceny morfiny?

— Musiałbym obejrzeć etykiety na słoikach — mówi aspirant.

Sędzia Hum podaje świadkowi paczkę. Ten otwiera pudełko, wyjmuje słoik z białym proszkiem.

— *Morphium muriaticum* — czyta — w handlu legalnym gram kosztuje około złotych.

— A w nielegalnym jaką cenę można osiągnąć?

— O, to ogromna różnica. Morfiniści płacą za jeden gram od dwudziestu do trzydziestu złotych, a czasem i więcej.

— Zatem jaką wartość w nielegalnym handlu ma cały ten transport?

Aspirant obejrzał słoiki i policzył w pamięci.

— Jest tu pięćset gram, zatem wynosi to od dziesięciu do piętnastu tysięcy złotych.

Sędziowie spojrzeli po sobie. Na sali nastąpiło poruszenie. Alicja Horn zapytała znowu:

— Czy handlarze narkotykami są ludźmi tak bogatymi, że kwota taka może nie robić im większej różnicy?

— Skądże — zaśmiał się świadek — najczęściej to ich cały kapitał obrotowy.

— Oskarżony twierdzi, że ta paczka wartości kilkunastu tysięcy złotych została mu podrzuciona przez kogoś z zemsty lub też dla... żartu. Czy świadek przypuszcza, że którykolwiek z handlarzy mógłby w tym celu poświęcić taką kwotę?

— Uważam to za absurdalnie niemożliwe. Wystarczyłyby mały słoik, gdyż...

Adwokat zerwał się, sam zły na siebie za spóźnione zorientowanie się.

— Wysoki Sądzie, proszę o uchylenie tego pytania! Świadek nie jest kompetentny w tym względzie.

Przewodniczący Turczyński zerknął na Alicję i otworzył usta, lecz ona zareplikowała:

— Świadek jest kompetentny, gdyż z racji swego stanowiska zna stosunki panujące wśród handlarzy narkotykami. Obrona zaś nie kwestionuje faktu, że dowód rzeczowy pod postacią dziesięciu słoików zawiera narkotyk, a mianowicie morfinę.

Przewodniczący kiwnął głową i Alicja Horn zadała świadkowi nowe pytanie.

<sup>201</sup> aspirant — tu: stopień oficera w policji. [przypis edytorski]



Mecenas pochylił się do ucha Druckiego.

— Przegraliśmy — szepnął ponuro.

— Na pewno?

— Bez wątpienia. Dwa, trzy lata.

— Mogą mnie aresztować? — szepnął Drucki.

Adwokat skinął głową i powiedział cicho:

— Jedyne, co mogę zrobić, to zażądać odroczenia, jeżeli pan... pan chce zrezygnować z kaucji i ulotnić się?

— Wał pan — zdecydował się Drucki i pomyślał, że widocznie nie sądzono mu zagrząć miejsca w Warszawie. Znowu ucieczka, znowu włóczęga...

Mecenas Koldinger wstał.

— Wysoki Sądzie, składam wniosek o powołanie eksperta dla zbadania zawartości słoików i odroczenie rozprawy.

— Przecie na słoikach — skrzywił się przewodniczący — jest wyraźny napis.

— Tak — upierał się adwokat — ale etykieta może być nalepiona na słoikach z każdym proszkiem, z sodą, z chininą<sup>202</sup> i temu podobnych. Wobec powstania kwestii ceny tej paczki, zbadanie produktu jest konieczne i dlatego żądam analizy chemicznej.

Prokurator Alicja Horn oświadczyła, że chociaż wniosek pana obrońcy zmierza do przewleczenia sprawy, jednak nie sprzeciwia się mu, gdyż w rzeczywistości niepoddanie morfiny, stanowiącej dowód rzeczowy, analizie — jest przeoczeniem śledztwa.

Przewodniczący wstał.

— Sąd udaje się na naradę.

Salę napelniał gwar rozmów. Mecenas Koldinger pochylił się do swego klienta.

— Muszą uwzględnić mój wniosek.

Drucki wzruszył ramionami. Doskonale wiedział, że to mu nic nie pomoże.

— W każdym razie — mówił adwokat — będzie pan miał przynajmniej dobę czasu. Zanim odeślą morfinę, zanim zrobiona będzie analiza, zanim przyślą orzeczenie... Przypuszczam, że sprawa będzie odroczone nawet na trzy dni.

Drucki rozejrzał się po sali, z uśmiechem kłaniając się paniom, przestraszonych był dlań zabawny. W gruncie rzeczy nic w tym nadzwyczajnego. Jutro o tej porze będzie już daleko. Czyż nie wygląda na takiego, co to sobie potrafi gwizdać na drobne niepowodzenia w tym rodzaju?...

Narada sędziów przeciągała się. Dziesięć minut, dwadzieścia, pół godziny.

— Cóż do licha!...

— Pewno jedzą śniadanie — ziewnął Drucki.

Lecz oto rozległ się dzwonek. Sąd powraca, zajmuje miejsca. Wśród zupełnej ciszy przewodniczący komunikuje, iż sąd przychylił się do wniosku pana obrońcy, postanawiając wezwać w charakterze biegłego stałego eksperta sądowego, docenta politechniki, doktora Mariana Krawca. Został on już wezwany telefonicznie i wkrótce przybędzie, wobec tego sąd postanowi nie odraczać rozprawy, lecz prowadzić ją w dalszym ciągu.

Drucki obejrzał się: sala miała troje drzwi, lecz przez żadne z nich niepodobna było próbować ucieczki. Dwoje prowadziło w głąb gmachu, a przejście do trzecich zatłoczyła publiczność. Nadto stał tam policjant.

Tymczasem przesłuchiowano następnych świadków, zatrzymanych w „Argentynie” morfinistów. Ci nic nowego do sprawy nie wnieśli, potwierdzając jedynie zeznania aspiranta co do cen płaconych za morfinę.

„Jeżeli mnie aresztują — myślał Drucki — na pewno nie dadzą eskorty większej, zaś z jednym policjantem rozprawię się bez trudu”.

Przebiegł w pamięci plan najbliższych ulic. Popędzi Miodową do Kapucyńskiej, tu wpadnie do bramy i na drugie podwórze... Zresztą, może obawy są przedwczesne. Skazujący wyrok nie jest jeszcze równoznaczny ze zmianą kaucji na areszt.

Woźny zameldował przybycie eksperta, który też natychmiast został wezwany przed stół sędziowski. Na pytanie przewodniczącego odpowiada, że owszem, może natychmiast

<sup>202</sup>chinina — lek przeciwmalaryczny w postaci białego, gorzkiego proszku otrzymywanego z kory chinowca. [przypis edytorski]

zbadać przed sądem zawartość słoików, gdyż przywiózł ze sobą wszystko, co jest potrzebne do pobieżnej analizy.

Podsuwają mu pudełko. Wyjmuje zeń jeden słoik, potrząsa nim, wysypuje szczyptę białego proszku na papier i przez wydobytą z kieszeni lupę przygląda się mu chwilę.

— No? — pyta niecierpliwie sędzia Pszczółkowski.

— Proszę Sądu — mówi powoli ekspert — morfina zwykle bywa sprzedawana w kryształkach, tu zaś mamy do czynienia z proszkiem tartym.

— Ale bywa i morfina tarta?

— Może być, chociaż ja dotychczas takiej nie spotykałem.

— A czy we wszystkich słoikach jest taka sama? — zapytał przewodniczący.

Chemik starannie obejrzał przez lupę resztę słoików i skinął głową.

— Tak. Morfina krystalizuje się w drobnych igielkach, a tu wszędzie jest miał.

Wydobył z kieszeni dwa flakony. Jeden z cieczą przezroczystą, drugi z rudawą, koloru rdzy. Następnie do dużej epruwetki<sup>203</sup> nasypał po odrobinie proszku z wszystkich słoików i nalał nań sporo przezroczystej cieczy, po czym, zatknąwszy probówkę palcem, zaczął flegmatycznie potrząsać rękami.

Drucki przyglądał mu się obojętnie, przesunął spojrzenie po skupionych twarzach sędziów i zatrzymał wzrok na Alicji Horn. Siedziała nieruchomo, wpatrzona w eksperta. W jej oczach tliła się jakby iskierka ironii. „Naturalnie — myślał — przejrzała podstęp adwokata i teraz cieszy się, że podstęp zostanie udaremniiony w ciągu pół godziny”.

„Co za diabeł w niej siedzi! — zgrzytnął zębami. — Och, żebym ją mógł dostać w swoje ręce! Sam może oszalałbym, ale ją nauczyłbym szaleństwa, nauczyłbym, że mnie nienawidzić nie potrafi, wy dostałbym z niej całe piekło...”

Poczuł wzdłuż stosu pacierzowego przebiegający dreszcz.

Wśród ciszy rozległ się głos eksperta:

— Zmieszałem proszek i rozpuściłem w wodzie destylowanej. Teraz wleję do tego roztworu kilka kropel chlorku żelaza. Chlorek żelaza wykrywa obecność morfiny, nawet w najdrobniejszych ilościach. Jeżeli w tej próbówce znajduje się bodaj miligram, bodaj setna część miligramu morfiny, płyn nabierze natychmiast jaskrawej barwy szafirowej.

Wszystkich oczy zawisły na próbówce.

Chemik, nie spiesząc się, odkorkował flakon z rdzawym płynem.

Jedna kropla zawisła na brzeżku i wpadła do próbówki, druga, trzecia, czwarta... piąta...

Bezbarwna ciecz w szklanej rurce zaczęła się zabarwiać na brudnożółty kolor.

Chemik potrząsnął epruwetką i wznosił ją na wysokość oczu.

Mijały sekundy... minuta, dwie... trzy...

Ani śladu niebieskiego koloru. Płyn pozostawał brudnożółtawy.

W śmiertelnej ciszy sali rozległo się przytłumione:

— Aaaaa....

Ciecz nie zmieniała barwy.

— Aaaaa... — rósł dźwięk ulgi.

— Aaaaa... — potężniał, wydobywając się z licznych piersi, w których obawa i nadzieja zatrzymały oddech.

Oczy adwokata Koldingera rozszerzyły się i zdawało się, że wypadną z orbit.

Drucki przetarł dłonią wilgotne czoło.

Ekspert z niewzruszonym spokojem odłożył swoje przybory, wytarł ręce chusteczką i powiedział:

— To nie jest morfina.

— Czy może pan stwierdzić z całą pewnością? — zapytał przewodniczący.

— O tak. Z zupełną pewnością. We wszystkich tych słoikach nie ma żdźbła morfiny.

Jeszcze raz przyjrzał się epruwetce i powtórzył:

— Ani żdźbła.

— Cóż to zatem za proszek — odezwał się sędzia Pszczółkowski.

Docent chemii wzruszył wątlymi ramionami i bezradnie rozłożył ręce.

<sup>203</sup>epruwetka (daw., z fr.) — próbówka, szklane naczynie laboratoryjne o wąskim, cylindrycznym kształcie. [przypis edytorski]

— Ustalenie składu tego proszku wymagałoby dłuższej analizy laboratoryjnej. W każdym razie nie jest to morfina. Zresztą...

Zanurzył palec w słoiku i wziął na język odrobinę białego pyłu. Na jego twarzy zjawił się obojętny uśmiech.

— Tak — powiedział — wykluczona tu jest morfina. Wszystkie związki morfiny mają smak wyraźnie gorzki, bardzo gorzki, a to jest zupełnie słodkie.

Przewodniczący Turczyński również wyciągnął palec, dotknął proszku, oblizał, posmakował chwilę, jego brwi podniosły się wyrazem zdumienia i powiedział tonem odkrycia:

— Cukier!

— Najprawdopodobniej zwykły cukier. Puder cukrowy — potwierdził ekspert.

Wśród publiczności rozległy się śmiechy.

Przez mózg Druckiego przebiegały myśli: „Cukier?... Skąd?” Przecież on wiedział, wiedział ponad wszelką wątpliwość, że w tych słoikach była morfina!

I nagle w jego świadomość uderzył fakt: „Dowody rzeczowe przechowywane są przez prokuratora!... Alicja Horn... No tak! Całe oskarżenie skoncentrowała na autentyczności morfiny. Na tym oparła wszystko... Boże! Jakiż ze mnie głupiec!”

Adwokat coś mówił do niego, lecz on nie słyszał, nie rozumiał.

„Alicja Horn... A ja myślałem, że mnie nienawidzi... Cóż za potężna skala działania! I odwaga!... śmiałość raczej. Prawda, że z samej natury swego stanowiska mogła nie obawiać się podejrzeń, że otoczona opinią najsurowszego oskarżyciela...”

Ekspert zabrał swoje przybory i przeciskał się do wyjścia.

Przewodniczący ruchem ręki uspokoił szmer sali i powiedział:

— Głos ma prokurator.

Alicja Horn wstała. Boże, jakaż ona piękna.

Drucki dostrzegł drwiący triumf na twarzy swego obrońcy i pomyślał: „A to bałwan!”.

Alicja Horn powiedziała:

— Zrzekam się oskarżenia — i usiadła, nieco błada, lecz niezmiernie spokojna i opanowana.

Drucki już nie zwracał uwagi na dalszy przebieg rozprawy.

Wpił się oczyma w jej opuszczone powieki i patrzył. Patrzył tak długo, aż powieki uniosły się z wolna i płomień jej oczu uderzył w jego źrenice.

Och! Trwało to sekundę, ułamek sekundy — lecz i to mgnienie wystarczyło, by zrozumiał.

Przewodniczący ogłaszał wyrok uniewinniający, Ostatnie jego słowa zagłuszył hałas okrzyków i oklasków. Początkowo chciał przywołać publiczność do porządku, lecz powiódłszy wzrokiem po rozpalonych twarzach kobiecych, uśmiechnął się i machnął ręką.

Alicja stała, a koło jej ust błąkał się uśmiech smutny, uśmiech człowieka, który złamał siebie i zapał się siebie — i wie, że wszystko to utonie w pastce.

Nie patrzyła już na histeryczną scenę obsypywania go kwiatami. Czula jego wzrok na sobie i szła zgięta, z opuszczoną głową, nieludzko zmęczona.

Na korytarzu przyłączył się do niej prezes Turczyński. Mówił coś o niedbalstwie sędziego śledczego, o wiecznych niedopatrzeniach, o niedopuszczalności dawania wiary anonimowym denuncjacjom...

Nie słyszała go.

Zaczął pocieszać. Sypał zachwytnymi nad jej talentem, rozplywał się podziwem dla jej metod.

„Pocziwicz” — pomyślała.

— Nie ma doprawdy czym się tak martwić, pani Alicjo.

— Myli się prezes, ja się cieszę — powiedziała złamanym głosem i podała mu rękę na pożegnanie.

Niezwykły wysiłek nerwowy ostatnich dni, bezsenność długich nocy, oddanych na pastwę walki z sobą, najwyższe napięcie woli, gorączkowa czujność mózgu — wszystko to teraz odezwało się niezmiernym zmęczeniem, przytłaczającym ciężarem, dzwoniącą próżnią. „I po co?” Za co zapłaciła tak ogromnym haraczem? „Musiałam... musiałam...” Zresztą i o tym myśleć nie mogła — w głowie miała chaos. Nerwy zdrętwiały. Rozegrała

wielką ciężką grę, grę więcej niż śmiertelną. Miała teraz prawo stanąć przed sobą i powiedzieć: „Zwycięstwo!”. Miała prawo teraz stanąć przed światem i powiedzieć: „Wiedźcie, że jestem mocna, straszliwie mocna!”. A szła blada i czuła w sobie klęskę i czuła w sobie słabe, biedne, samotne serce — kobiety.

Automatycznie ubrała się, wyszła na ulicę, wsiadła do tramwaju. Bezmyślnie patrzyła w okno.

Jakże była wyczerpana, jak bezsilna wobec bezładnego natłoku myśli.

Otworzyła drzwi z zatrasku. Na spotkanie wyszła Józefowa.

— Jezu Nazareński, pani do siódmej bez obiadu, jakże tak można! Cielęcina przegrzała się, nie będzie smakować, ale ja nic innego nie mam. Czy zaraz podać?

— Nie. Nie trzeba.

— Wolalabym zaraz, bo to muszę już iść na majowe nabożeństwo.

— Niech Józefowa idzie.

— A obiad?

— Nie chce mi się jeść.

— O tak nie można. Pani zapracowuje się...

— Niech Józefowa idzie, sama sobie wezmę. A gdzie panna Julka?

— Panienka poszła do koleżanki uczyć się. Mówiła, że o dziewiątej wróci.

— Dobrze.

Alicja przeszła do swego pokoju i położyła się na tachcie<sup>204</sup>. Słyszała trzask drzwi, zamykanych przez Józefową, urywane krzyki dzieci, bawiących się na ulicy. Nie spała, lecz pogrążyła się w stan jakby półświadomości.

W przedpokoju rozległ się dzwonek. Nie od razu uprzytomniła to sobie.

Gdy zadzwonił powtórnie, ciężko wstała. Leniwie przeszła do przedpokoju i otworzyła.

Nagle cofnęła się — w drzwiach stał on.

W głowie Alicji zawiroowało wszystko. Oparła się o ścianę i chciała coś powiedzieć, lecz nie mogła wydobyć głosu.

Drucki, nie zdejmując kapelusza, zamknął za sobą drzwi, bez słowa podszedł do niej, wziął jej bezwładnie zwisającą rękę w obie dłonie.

Patrzyli sobie w oczy: oczy o złotych źrenicach w oczy płomiennie czarne, oczy płomiennie czarne w oczy o złotych źrenicach.

Pomału wysunęła dłoń z jego ręki i zaczęła się cofać. Wolno, krok za krokiem...

— Pani — odezwał się cicho.

Stanęła, drżąc na całym ciele.

— Pani!...

— Czego pan chce, po co pan przyszedł? — zawołała z rozpaczą w głosie.

— Dlaczego pani to zrobiła?... Dlaczego poświęcała się pani dla mnie?... Dlaczego narażała się pani na niebezpieczeństwo?...

Przycisnęła rękę do piersi i milczała.

— Dlaczego? — mówił. — Przecież mam prawo zapytać się, dlaczego?

Alicja opuściła głowę i wyszeptwała:

— Bo kocham... Ja pana kocham...

Objął ją ramieniem i mocno przytulił do siebie.

Pocałunek

Nie bronila się, a gdy jego usta przywarły do jej ust, zarzuciła rękę na szyję.

Jakże wielkie jest szczęście, które pozwala zapomnieć o tym, że co dzień tysiące pospolitych, naiwnych kobiet tak samo zarzuca rękę na szyję tysiącom mężczyznom, które pozwala zapomnieć, że w tych ramionach tyle już tuliło się innych...

Pożądanie

Pragnęła go, pragnęła wbrew samej sobie, wbrew zapomnianym teraz przysięgom... Wbrew wszystkiemu, na czym zbudowała swoje życie.

— Nareszcie... nareszcie...

Ogarnął ją i prawie niósł przez otwarte drzwi na szeroką, pokrytą dywanem tachtę. Krew szybkimi falami, falami coraz gwałtowniejszymi nabiegała do mózgu.

Oto miał ją wreszcie, płonącą jak żagiew, powolną, bezsilną, wspaniałą...

Nagle niespodziewanie dla siebie samej wyrwała się z jego rąk, odepchnęła go i potrąciwszy krzesło, które przewróciło się z hałasem, zaczęła uciekać.

<sup>204</sup>*tachta* (daw.) — rodzaj dużej kanapy bez oparcia; tapczan. [przypis edytorski]

Rzucił się za nią i chwycił ją za rękę, lecz bezmyślny paniczny strach dodał jej sił...

Jednym szarpnięciem uwolniła dłoń i uskoczyła w bok...

Lecz Drucki był już nieprzytomny. Jego płuca spazmatycznie łapały powietrze. Nie rozumiał, dlaczego ona ucieka, jak niczego teraz nie rozumiał. Wiedział jedno: że chciał ją mieć, że nie ma siły na świecie, jaka zdołałaby go powstrzymać.

Oboje nie słyszeli brzęku rozbitej porcelany, która wraz ze stolikiem legła na ziemię, nie spostrzegli przewróconych sprzętów.

Widzieli tylko siebie, słyszeli tylko własne przyspieszone oddechy.

Dopadł jej...

Teraz broniła się zaciekle, aż z sykiem bólu wykręconych rąk, z ustami pełnymi krwi z jego dłoni, w którą wpiła się zębami, w podartej na strzępy sukni, znalazła się w mocy jego dzikiego uścisku.

W przemocy upokarzającej, pijanej, zwierzęcej, szalonej, upragnionej...

Zwarły się dwa ciała w potężny węzeł, zwinęły się w hieroglif, którym natura znaczy swoje odwieczne prawo życia.

Pożądanie, Seks

\*

...Pokój tonący w mroku, bezkształtne kontury poprzewracanych mebli i tuż nad jej oczyma złocące się źrenice... i tuż nad jej ustami usta... i ten owal twarzy... Halucynacja?... Czy to halucynacja?... Jakiś koszmarny refleks wspomnienia?...

Nie... nie...

Pomału odzyskiwała przytomność, a obraz nie zmieniał się...

Odsunęła go od siebie i szeroko rozwartymi źrenicami wpatrywała się w bladą, rozedrganą twarz.

— To ty — powiedziała tępo.

Nie zrozumiał.

Oparła się na łokciu i pokazała mu poprzewracane sprzęty.

— Czy pamiętasz?

— Co? — zdziwił się.

— Nie poznajesz?

— Daruj, byłem szalony — przytulił ją — ale czemu opierałaś się?...

— Czekaj — przerwała mu. — Czy nie pamiętasz letniego wieczoru, pokoju tonącego w mroku, poprzewracanych mebli?

Zerwał się i przetarł czoło.

— Nie pamiętasz poszarpanej sukienki młodej dziewczyny, którą wzięłaś przemocą?...

— Boże! — krzyknął i zasłonił twarz rękoma.

— Poznałam cię teraz... Tak, to ty...

Oderwała jego ręce od twarzy.

— To ty... Nazywasz się Bohdan Drucki.

— Boże, Boże... — jęczał — jakże mogłem ciebie nie poznać, jakże mogłem...

Alicja oparła głowę na dłoni i powtarzała:

— To ty... to ty...

W jej głowie kłębiły się myśli pełne niepokoju... Więc jakieś niepojęte fatum<sup>205</sup>... Dzika fantazja losu, kaprys czy świadomą ręką kierowana siła...

— Nienawidzisz mnie — przybitym głosem powiedział Drucki.

— Kocham ciebie.

— Musisz mnie nienawidzić... Byłem plamą na twojej młodości.

— Mylisz się... Byłeś przekleństwem całego mego życia. Złamałeś je... Byłeś autorem tragedii nie tylko mojej... O, straszną, straszną krzywdę mi zrobiłeś... Nie możesz wiedzieć, jak wielką krzywdę...

Przygryzł wargi i wstał.

— Mogę ci zapłacić za to tylko mizerną ceną. Zabij mnie.

Wyjął z kieszeni rewolwer i wyciągnął rękę.

<sup>205</sup>fatum — przeznaczenie, nieuchronny los, zwłaszcza zły; także: przemożna siła, wyznaczająca nieodwołalnie bieg zdarzeń. [przypis edytorski]

Wzięła broń i ważyła w rękę.

— Zabiję cię — powiedziała poważnie — zabiję, gdy... przestaniesz... być moim...

— Więc... ty naprawdę mnie kochasz?... naprawdę pomimo tamto?

Przygarnął ją do siebie.

Oparła głowę na piersi Druckiego. Oboje w tym uścisku szukali obrony przed lękiem, jaki w nich zadygotał na widok tajemniczej maski przeznaczenia. Oboje, spotkawszy się na niezrozumiałym zygżaku ponownego skrzyżowania dróg swego życia, uczuli wokół przepaść, karkołomną przepaść niepojętego, przed którym jedyną ostoją i jedyną nadzieją ratunku dla każdego z nich dwojga było to drugie. A przecież wiedzieli, że są dla siebie groźbą i niedającym się wyrzec z piersi memento<sup>206</sup> klęski, że związała ich pętla tragicznej fantazji losu, jak dwóch śmiertelnych wrogów skutyk łańcuchem na złowieszczej pustce wielkich wód, dwóch rozbitków na resztkach zdruzgotanej łodzi. Któż z nich oszaleje i zepchnie towarzysza w otchłań, wiedząc, że nieuchronnie pójdzie za nim?...

Za oknami gęstniał mrok. Ciężkie, wzdęte chmury zaciągnęły niebo.

Przez otwarte okno wpadł poryw wiatru, na blaszanych parapetach zadzwoniły pierwsze grube krople. Uderzyły coraz prędzej, coraz niecierpliwiej, coraz gwałtowniej... ulewa.

Alicja mówiła.

Nie rozumiał jej słów. Czuł na policzku ciepłą gamę jej oddechu i dotyk jej ust. I wiedział. Wiedział, że te wyrazy wiążą się taśmą bolesnych wyznań, że oplatają go, jak jej ręce, drżące ręce skrzywdzonego dziewczęcia, pełne nierozdanych pieszczot, ręce kobiece, chciwe ręce człowieka, które w rozpaczliwym wysiłku zdobyły oto swoje dzikie, niespodziewane, umęczone szczęście i nie oddadzą go inaczej, jak wraz z własnym życiem.

Alicja mówiła:

— ...każdą myślą, każdym nerwem, każdą kroplą krwi... Ileż hańby, ile upokorzeń, ile nienawiści przeżarło moje życie...

Za oknami huczała ulewa.

— ...i kocham cię, i obłęd mnie ogarnia na myśl, że ty mnie nie kochasz...

Przytulił ją mocniej do piersi.

— Powiedz... — szeptała — powiedz...

— Kocham, jakżebym mógł nie kochać — powiedział poważnie.

Milczała, zasluchana w echo jego głosu i zapytała z niepokojem, który ścisnął jej krtań.

— Iluż kobietom... powtarzałeś to samo?...

Drucki odsunął jej twarz od swojej.

— Spójrz mi w oczy, poznasz, że nie kłamię. Żadnej, rozumiesz, żadnej, nie powiedziałem tego nigdy.

— Dlaczego?

— Bo żadnej nie kochałem... Owszem, było ich wiele. Niektóre lubiłem bardzo... Nie kochałem żadnej.

Mówił prawdę. Miał wstręt do tego rodzaju kłamstwa. Nie analizował pobudek tego wstrętu, lecz zadowalał się tym, że wiedział, iż po prostu kłamać nie potrzebuje. Teraz nagle zaniepokoiło go własne zapewnienie: Czy istotnie Alicję kocha? Czy to jest miłość?

Dla uspokojenia samego siebie zaczął mówić:

— Widzisz, nigdy jeszcze nie spotkałem takiej kobiety, jak ty... Już wtedy... przed laty... Pomyśl, przez chwilę nie zastanawiałem się, że łamię sobie życie, a nawet nie powstrzymała mnie świadomość, że popełniam podłość, że i tobie, właśnie tobie, której sam widok mnie obejmował płomieniem, wyrządzą straszliwą krzywdę... Byłem wówczas pijany, ale nawet... Prawda, wiele miałem w życiu pożądań... lecz ani jedno nie oświadczyło mi tak potężnie... A teraz, gdy cię już wówczas pamiętam, w cukierni zobaczyłem, nie poznałem cię wprawdzie, tyle lat minęło, a jednak od razu ogarnęło mnie to dziwne uczucie... i później... Jakże wyczekiwałem każdego twego przyjścia... Jaka wściekłość ogarniała mnie, gdyś nie przychodziła... Zdawało mi się, że i ty nie możesz pozostać obojętna...

Zamilkł na chwilę.

— Mów, mów — tuliła się do niego.

<sup>206</sup>memento (łac. dosł.: pamiętaj) — przestroga, ostrzeżenie. [przypis edytorski]

— A kiedy odepchnęłaś mnie... nie rozumiałem, o co ci chodzi... Tłumaczyłem to sobie, jako chęć zdrwienia ze mnie. I... bardzo to mnie bolało... Dopiero dziś... poznałem, że mnie kochasz, że kocha mnie najpiękniejsza, najwspanialsza kobieta, jaka kiedykolwiek żyła na świecie... I jakżeby cię mógł nie kochać?

— Wierzę ci i tylko boję się, że się mylisz...

— Jeżeli się myślę, więc jakaż jest miłość? Więc czymże się wyraża? Jeżeli myślę się, to nie ma w ogóle miłości... To i ty mnie nie kochasz, chociaż nie zawahałaś się dziś popełnić przestępstwa, dla uratowania przestępcy...

— Ty nie byłeś przecie winien — uśmiechnęła się i raczej odczuł jej uśmiech, niż mógł go dojrzeć w ciemności.

— To prawda, nie jestem winien. Jednak ty nie wiedziałaś o tym.

— Wiedziałaś.

— W jaki sposób? — zadziwił się.

— Gdybyś istotnie był winien, wiedziałbyś, że masz w biurku tę paczkę z morfiną. A przecie otrzymałaś list ostrzegający przed rewizją?

— Ach... — uderzył się w czoło — więc to ty?...

— Ja — skinęła głową.

Zamyślił się i odezwał się po chwili:

— Więc jednak... jednak ostrzegłaś mnie. Zatem wierzyłaś oskarżeniu, byłaś więc przekonana, że mam tę morfinę. A jednak...

— Mylisz się. Byłam przekonana, że jesteś wciągnięty w pułapkę, że... ty nie zrobiłbyś tego.

— Może zbyt pochlebnie mnie oceniasz — roześmiał się cicho.

— Cóż chcesz, intuicja... intuicja...

Zwarli się w długim pocałunku.

— Muszę wyglądać strasznie — opamiętała się Alicja — która to godzina?

Wydobył zegarek, nafosforyzowane wskazówki którego zbliżyły się do dziesiątej.

— Muszę pokój doprowadzić do porządku — zerwała się Alicja — zaraz mogą powrócić...

— Kto? — zapytał.

— Służąca i moja wychowanka. Tylko ulewie zawdzięczamy naszą samotność — zaśmiała się nieszczerze.

Oboje czuli się teraz nieswojo. Alicja wyjęła z szafy suknię i przeszła do sąsiedniego pokoju, by się przebrać.

Tymczasem Drucki spuścił rolety, odszukał kontakt, zapalił światło i energicznie zabrał się do uporządkowania powywracanych mebli. Przechodząc obok lustra, poprawił krawat i przygładził włosy.

Teraz dopiero zauważył, że ma pokrwawioną rękę. Wytrzeł zakrzepłą krew chusteczką umaczną w wodzie toaletowej i ku swemu zadowoleniu stwierdził, że deszcz nie przestaje padać.

Weszła Alicja. W czarnej, jedwabnej sukni wydawała się jeszcze piękniejsza, jeszcze bardziej giętka i tak wspaniale kobieca. Chociaż wyglądała teraz niemal młodocianie, nic w niej nie było z dziewczęcia, a wszystko właśnie z kobiety, wprost bił od niej dosyt kobiecości, świadomej, dojrzałej, imponującej siłą wyrazu, skończonością linii.

W jej oczach dostrzegł ten sam, tak dobrze mu znany pobłysk, który niezliczoną ilość razy wywoływał na jego usta niefrasobliwe, pieszczotliwe, zwycięskie słowa: „Moja mała...” Teraz jednak oczywistością stał się absurd użycia tych słów. A innych nie umiał.

Widocznie i ona nie mogła znaleźć żadnych, gdyż rozejrzała się niepewnym wzrokiem po pokoju i zapytała:

— Napracował się... pan?

— Tak, zdaje się, że wszystko w porządku...

Zawisło między nimi jakieś zakłopotanie, jakaś obopólna nieśmiałość, dla obojga nieznośna, prawie zawstydzająca.

Drucki zbuntował się przeciw tej niewidzialnej przemocy i pierwszy zaśmiał się.

— Czujemy się jak dorośli ludzie — powiedział — którzy przyłapali siebie na dziecięcej zabawie.

Strój, Kobieta

Zdefiniowanie przykrego nastroju zawsze jest równoznaczne z jego rozchwianiem. Został jakby zdemaskowany i nie pozostaje mu nic innego, jak zniknąć. Po odezwaniu się Druckiego oboje poczuli się swobodniej. Alicja zbliżyła się i pocałowała go w usta.

Objął ją, w uścisku uniósł w górę, przytrzymał lewą ręką, prawą podsunął pod jej kolana i oto trzymał ją na rękach.

Gdy mówił, usta ich niemal dotykały siebie.

— Wiesz, kiedy cię tak trzymam, mam poczucie jakiegoś wielkiego bogactwa, tyle, tak dużo mam cię w ramionach... I zdaje mi się, że gdy cię wypuszczę, stracę coś niesłychanie cennego, coś, czegom całe życie pragnął...

Jej ręce otoczyły jego szyję, usta zwarły się z ustami.

Gożąca fala przepłynęła mu po grzbiecie, szczęki zaciskały się kurczowo.

Oderwała się od jego warg.

— Powiedz, powiedz, czy mnie kochasz?...

— Kocham, kocham do szaleństwa — zarzęziło mu w płucach.

Alicja opamiętała się.

— Nie, nie, już późno...

— Najdroższa, jedyna...

Znow był półprzytomny i niósł ją na tachtę.

— Zaraz przyjdą!... — broniła się.

— Nie przyjdą, nie, deszcz pada...

W tejże chwili rozległ się trzask otwieranych drzwi frontowych.

Alicja wyrwała się z jego ramion.

— Psiakrew! — strzepnął palcami i opadł na fotel.

Alicja wyszła do przedpokoju.

— Czy to Józefowa?

— Tak, proszę pani. Leje jak z cebra. Nie mogłam wyjść z kościoła.

— Zmokła Józefowa?

— Do suchej nitki, proszę pani. A czy panienka wróciła?

— Właśnie nie. Niech Józefowa weźmie parasol, wsiądzie do taksówki i przywiezie panienkę. Zaraz dam Józefowej pieniądze.

Drucki usłyszał szcęk otwieranej torebki, brzęk monet, ciężkie westchnienie Józefowej i znowu trzask drzwi.

Weszła i stanęła w progu.

— Poszła? — szeptem zapytał Drucki.

— Tak — zaśmiała się — ale najdalej za dziesięć minut wróci. Taksówki stoją tuż przed domem, a moja Julka jest u koleżanki, która mieszka blisko.

— To fatalne — powiedział żałośnie.

— Fatalne — potwierdziła — ale przecie dziś... nie kończy się nasze życie... Moje... dziś się zaczyna.

— Piękne jest życie. Prawda? — zapytał, tuląc ją do siebie.

— Mocne jest, mocne, jak ty...

— Kochana...

— I jasne, i żywiołowe, jak ty... Gdybyś odszedł, i ono by odeszło.

— Nie odejdę. Nie chcę, nie potrafię.

Wzięła jego głowę w obie ręce i wpatrywała się mu w oczy.

— Życie ma złote oczy, jak ty...

Ich usta znowu zwarły się w długim, bardzo długim pocałunku.

— Już musisz iść. — Oderwała się od niego.

— Muszę koniecznie?

— Koniecznie.

— Więc... do jutra?

— Do jutra!

Jeszcze jeden uścisk, jedno spotkanie ust, potem chwila poszukiwania kapelusza i już zbiegł ze schodów.

Zatrzymał się na pierwszym podeście. Alicja stała oparta o drzwi.

Uśmiechnęła się i zawołała głośnym szeptem:

— Jestem sentymentalna!...



— Do jutra! — powiał ku niej kapeluszem.

Deszcz nie ustawał. Z podniesionym kołnierzem marynarki dopadł rzędu samochodów i wskoczył do pierwszego.

— „Argentyna”! — krzyknął szoferowi.

Spod kół bryzgała woda, migwały latarnie uliczne.

Drucki zapalił papierosa. Teraz dopiero uprzytomnił sobie, że od kilku godzin nie miał papierosa w ustach.

Nie należał do natur refleksyjnych. Wprost brzydził się szperania w tym, co minęło. Powieści, w których bohaterzy zagłębiali się w labirynty samoanalizy, doprowadzały go do wściekłości. Jeżeli myślał o „wczoraj”, to tylko i wyłącznie w związku z przewidywaniami na „jutro”. Fakt raz dokonany stawał się dlań pozycją istotną, z którą się należy liczyć bez względu na jego dodatnie czy ujemne strony. Mózg po prostu notował, wciągał do rejestru rzeczywistości i wyprowadzał wnioski na przyszłość. Na tym zamykała się funkcja mózgu.

Oczywiście w pełnej niezależności od tego procesu racjonalnego, rozwijał się proces emocjonalny. To znaczy: Drucki był wesoły, był zły, był smutny czy wściekły. Był i tyle. Dlaczego? Nigdy się nad tym nie zastanawiał.

Teraz jednak zauważył dziwne zaburzenia w swych myślach i w stanie psychicznym. Zjawiały się jakieś niedorzeczne pytania: Co się właściwie stało? Po co się stało? Jakie są tajemnice przeznaczenia? I czy cieszyć się wypadem, czy martwić, czy rozpaczać, czy wyć z radości?...

„Do stu diabłów, co mi jest?” — zacisnął pięści.

I odpowiedział sobie pytaniem: „A może to właśnie jest miłość?...”

W każdym razie był nie w swoim sosie i czuł się z tym nieznośnie, póki taksówka nie zatrzymała się przed „Argentyną”.

— Panie drogi — zapytał szofera, czekając na resztę — cobyś pan zrobił, gdybyś nie mógł wymiarkować, czy panu dobrze, czy źle?

Szofer, młody chłopak o pociągłej twarzy, zerknął nań spod oka i powiedział z przyjaznym uśmiechem:

— Ano, zrobiłbym to samo, co i pan.

— To znaczy?...

— Ano, poszedłbym do knajpy.

— Masz, bracie, rację.

Publiczności jeszcze nie było i służba mogła zrobić swemu szefowi owację. Znowu zbrali się w westybulu i po krótkim przemówieniu Justka, wśród ogłuszających wiwatów zaczęli podrzucać Druckiego do góry. Cieszyli się naprawdę z pomyślnego zakończenia sprawy, a ponieważ ten i ów napomknął coś o „oblaniu”, Drucki oświadczył, że po rozejściu się gości stawia im bibę.

Tecia, która nie brała udziału w ogólnej owacji, spotkała go w gabinecie najradośniejszym z uśmiechów.

— No, mała — zawołał — wszystko w porządku!

— Jaka jestem szczęśliwa! — złożyła ręce jak do modlitwy.

Oczekiwała, że Drucki jak zwykle przygarnie ją i pocałuje, lecz zawiodła się. Wprawdzie zrobił taki ruch, jakby zamierzał ją objąć, ale schował zaraz ręce w kieszenie i lekko zmarszczył brwi.

— Daj mi, mała, koniak — powiedział — i każ przynieść z kuchni coś na przekąskę.

— Coś gorącego? — zapytała zdziwiona, gdyż Drucki nigdy tu nic nie jadał.

— Nie, jakieś kanapki, byle prędko i dużo. Jestem głodny.

Tecia postawiła na stole butelkę koniaku i kieliszek, zerknęła na opartego o framugę okna szefa i szybko wybiegła.

Po kilku minutach powróciła z tacą pełną przekąsek.

— Gdzie mam to postawić? — zapytała.

— Postaw na biurku.

Zauważyła, że tymczasem sporo ubyło w butelce, a i teraz Drucki napełnił kieliszek, wychylił duszkiem i usiadł przy biurku.

Zaśmiała się.

— Co tam? — zaciekał się jej wesołością.

— Eee... nic... tylko, że usiadłeś przy biurku — zaczęła zmieszana — jeszcze nigdy nie widziałam, byś siedział przy biurku.

W tej chwili zorientował się, że ona sama przynosiła mu przekąski. Na pewno też sama wybierała i układała tak starannie. A w sędzie miała oczy pełne łez.

„Jakie to dobre i jakie śliczne stworzenie” — pomyślał i nagle zrobiło mu się żal jej i żal siebie.

— Malutka — powiedział — dziękuję ci bardzo. Malutka!...

— Za co?...

— Za twoje serduszko.

— Oooh — uśmiechnęła się, jakby zawstydzona.

On znowu zmarszczył brwi i nie wiedział dlaczego, ale zdawało się jej, że musiało zajść coś ważnego, coś, co wywoła jakieś smutne dla niej zmiany.

Drucki pił i jadł. Dużo pił i dużo jadł. I Teci wydało się to nienormalne, przykre, prawie chorobliwe. Przy tym nie ruszał się od biurka.

Nawet gdy zagrała orkiestra, nie podniósł głowy, a gdy wszedł kasjer Justek, kazał mu przysłać jeszcze butelkę koniaku.

Zadzwonił telefon.

— Niech sobie dzwoni — burknął Drucki.

— Ale może coś ważnego?

— No więc odbierz, mała, a jeżeli poproszą mnie, powiedz, że nie przyszedłem i że dziś nie będę. Chyba, że...

Dzwonek telefonu turkotał natarczywie.

— Zresztą — wziął słuchawkę. — Słucham?

— Jak się masz, kapitanie.

Poznał głos Załkinda.

— A, serwus — odpowiedział — trochę źle mam się... nie, nic nadzwyczajnego, łeb mnie boli... Co?...

Załkind mówił, że Luba chce koniecznie jechać do „Argentyny”, a ponieważ on sam nie chodzi nigdzie, więc tylko odwiezie Lubę i odda ją pod opiekę Druckiemu.

Drucki skrzywił się.

— Dajcie spokój, może innym razem. Głowa mnie boli i sam zaraz wychodzę.

— To Luba zmartwi się, ale trudno, życzę zdrowia kapitanowi.

Drucki położył słuchawkę i znowu wypił kieliszek koniaku.

Tecia chciała go prosić, by nie pił, skoro go głowa boli, chciała zapytać, czy rzeczywiście wychodzi, czy weźmie ją ze sobą, lecz miał minę tak nieprzystępną, że nie odezwała się ani słowem.

„Co mu jest? — myślała. — Co mu jest?...”

Był już mocno podchmielony, a kazał sobie podać butelkę szampana i butelkę porteru<sup>207</sup>. Mieszał pół na pół i wypił wszystko.

O dwunastej wezwał Justka, wydał mu dyspozycje ogólne, a w szczególności dotyczące biby, którą obiecał personelowi, kiwnął głową Teci i wyszedł.

W hotelu polecił portierowi dostarczenie do numeru jeszcze butelki szampana, otworzył okna i chwiejnym krokiem chodził po pokoju, popijając musujący płyn i wsłuchując się w monotony szum deszczu.

Gdy w butelce nie zostało ani kropli, rozebrał się i zasnął kamiennym snem.

Obudził się wcześniej. Pokój zalany był słońcem i pełen świeżego, ożywczego powietrza.

Zerwał się z łóżka rześki i wesoły. Goląc się gwizdał bez przerwy, dzięki czemu omal się nie zaciął brzytwą, wziął chłodną kąpiel, ubrał się.

„Życie jest piękne!” — zawyrokował i nagle uprzytomniwszy sobie wczorajszy wieczór, chwycił katalog telefoniczny, odszukał numer, spojrzął na zegarek.

„Pół do ósmej, chyba już nie śpi”.

Zadzwonił.

Odezwał się jasny, metaliczny głos.

— Hallo!

<sup>207</sup>porter — ciemne, mocne piwo. [przypis edytorski]

— Życie jest piękne, jak ty! — powiedział.  
 Chwila ciszy, jakiejś cieplej, pełnej niewymówionych słów ciszy i krótki okrzyk:  
 — Wiedziałam!...

— Czy pani moja pozwoli, bym po nią przyjechał?  
 — Nie, nie... I to, po co „pani moja”?  
 — A jak?  
 — Trzeba sobie wymyślić — zaśmiała się — ja już wymyśliłam. Całą noc myślałam i mam.

— Więc jak?  
 — Boh!  
 — Nie dosłyszałem?...

— Boh! B, jak bajka, o, jak oszołomienie, h, jak... czwarta litera w słowie Kocham.  
 Boh!

— Tak mnie nazywano, gdy byłem małym chłopcem.  
 — A ty?...  
 — Będę mówił: „moja Al”.

— Moja?... Nie rozumiem tego, zdawało mi się zawsze, że potrafię być tylko... swoją...  
 — A teraz będziesz czyjaś, moja Al.  
 — Tym lepiej dla mnie, jeżeli zdołasz mnie tego nauczyć.  
 — Tym lepiej dla nas, moja Al. Będę wzorowym pedagogiem.  
 — Al, to brzmi orientalnie.  
 — Nie. Na wyspie Waihu<sup>208</sup> istnieje legenda, że kiedyś rządziła tam królowa piękna jak płomień. Nazywała się Al.

— Jestem nieukiem — zaśmiała się Alicja — i nie wiem, gdzie leży wyspa Waihu? Czy kapitan zawijał do jej portów swoją armadą<sup>209</sup>?  
 — Nie zawijałem armadą. Były to inne okoliczności, lecz na tej wyspie spędziłem trochę mniej niż pół roku. Jest to jeden z najpiękniejszych zielonych klombów na starym Pacyfiku. Na południe aż do bieguna nie ma już żadnego lądu. Na wschód trzeba tydzień wiosłować, przy pomocy starego żagla, by dotrzeć do skalistego wybrzeża Chile.  
 — Tak — westchnęła — świat jest olbrzymi. A dlaczego powiedziałaś, że była piękna jak płomień?  
 — Tak mówi legenda starych Polinezyjczyków z czasów jeszcze, gdy czcili ogień.  
 — Kiedyś opowiesz mi o królowej Al, wyspie Waihu i o wielu innych wyspach.  
 — Opowiem, moja Al.  
 — A dziś przyjdiesz na obiad do... twojej Al.  
 — Czy... będziemy sami?  
 — Nie. Poznasz moją wychowankę i starą Józefową, której głos już znasz. Przyjdź o czwartej.

— Dobrze, moja Al.  
 — Do widzenia, mój Boh.  
 — Mój? — roześmiał się. — To rewanż?  
 — Gorące pragnienie rewanżu. Może nawet więcej: konieczność... Chyba... chyba rozumiesz? — w jej głosie zabrzmiała twarda stalowa nuta.  
 — Więcej niż rozumiem, moja Al. Ja tego chcę — powiedział poważnie.  
 — Życie jest mocne, jak ty.  
 — Jest bogate, jak ty, moja Al.  
 — Tak. Bogate w piękność, w rozkosze, niebezpieczeństwa, w tysiące możliwości i niemożliwości, w promienistość słońca i w burze, w huragany...  
 — Takie jest twoje życie?  
 — Takie jak ty.  
 — Widzisz — zaśmiała się — już muszę iść, a tak trudno położyć słuchawkę. No, do widzenia!

— Do widzenia, moja Al.

<sup>208</sup> *Waihu* (daw. geogr.) — nazwa części Wyspy Wielkanocnej na południowym Pacyfiku, błędnie przyjęta w XVIII w. przez Europejczyków za nazwę całej wyspy (polinez. Rapa Nui). [przypis edytorski]

<sup>209</sup> *armada* — wielka flota wojenna; także: duża grupa statków. [przypis edytorski]

Podszedł do okna i przeciągnął się w słońcu.

„Tak — pomyślał — ona jest jak moje życie. Bujna, radosna i niebezpieczna... Czy radosna? Ach! Co tam!”

Należało pomyśleć o mieszkaniu. Trzeba przecie liczyć się z faktem, że ona nie może przychodzić do hotelu. A znowuż u niej ta jakaś wychowanka i służąca... Alicja musi liczyć się z opinią, i to bardzo. Jest prokuratorem.

Uśmiechnął się do siebie: do długiej galerii jego kobiet przybywa i taka, która jest prokuratorem.

„Nie — zaprzeczył samemu sobie — to nie to, co tamte... Tu jest coś całkiem innego”.

Zabrał się do roboty.

Znalazł ogłoszenie biura pośredniczącego w wynajmie mieszkań, rozmówił się telefonicznie, kazał podać swój wóz i zajechał przed biuro, zabrał agenta, który miał mu pokazać kilka mieszkań do wynajęcia.

— Powiem panu krótko, o co mi chodzi — zaczął, ruszywszy z miejsca w stronę Belwederu. — Muszę mieć dwa, ewentualnie trzy pokoje z łazienką...

— I z kuchnią.

— Nie. Kuchnia jest mi niepotrzebna.

— Rozumiem, garsoniera<sup>210</sup>, *pied-à-terre*<sup>211</sup>...

— Nic pan nie rozumiesz. Będę tam mieszkał. Słuchajże pan, do diaska: mieszkanie musi być przyzwoicie umeblowane, wygodne, słoneczne w ładnym i dużym domu.

— Czy całe urządzenie będzie szanownemu panu potrzebne?

— O, tak. Jestem Amerykaninem. U nas wynająć można mieszkanie w ten sposób, że wprowadzając się, trzeba mieć jedynie własną szczoteczkę do zębów.

— O?! — zdziwił się agent.

— Chodzi mi o coś zbliżonego.

— Owszem, mam kilka takich obiektów, ale tam, na Górnośląskiej, dokąd właśnie jedziemy, niestety, nie ma całego urządzenia. Jest tylko umeblowanie jadalni... Co to, zepsuło się coś?

Drucki zatrzymał samochód.

— Do stu piorunów! Nic nie zepsuło się, tylko ja nie mam czasu do stracenia. Po diabła będę oglądał to na Górnośląskiej, skoro mi nie odpowiada?

— Ale to bardzo ładne mieszkanie...

— Albo pan wysiadaj, albo wyciągaj swój notes i dawaj adres takiego, o jakie mi chodzi!...

— Szanowny pan — upierał się agent — może bardzo tanio kupić umeblowanie, na dowolne raty... Już, już — przerwał sobie, widząc, że Drucki otwiera drzwiczki: — pojedziemy na aleję Szucha.

— Nie rozumiem — podjął, gdy samochód ruszył — dlaczego szanowny pan nie chce sam się umeblować podług własnego gustu. Byłoby to taniej.

— A zna pan ewangelię? — niespodziewanie zapytał Drucki.

— Znam — zdziwił się agent.

— Otóż tam jest powiedziane: „Nie skarbcie skarbów na ziemi!...”<sup>212</sup> Uważasz pan?... Ja właśnie wszystko rezerwuję na Niebo. To tu?

— Tak jest.

Wysiedli. Było to jasne dwupokojowe mieszkanko na pierwszym piętrze, urządzone z luksusem.

Przyjął ich sam właściciel, szcuple wymokły blondyn, niewymawiający litery „r”. Miał różową jedwabną pidżamę, ondulowane włosy i przyczernione rzęsy i brwi.

„Dziwaczny facet” — pomyślał Drucki.

— To jest rozkoszne mieszkanko, wymarzona garsoniera — omdlewającym głosem tłumaczył blondas — a proszę zobaczyć, co za łazienka. Kocham się w pięknych pokojach kąpielowych i ten urządziłem ściśle według wzoru łazienki lorda Kentbury... Prawda, że wspaniała?...

<sup>210</sup>*garsoniera* — kawalerka, małe mieszkanie dla pojedynczej osoby. [przypis edytorski]

<sup>211</sup>*pied-à-terre* (fr. dosł.: stopa na ziemi) — niewielkie mieszkanie, z którego korzysta się od czasu do czasu. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>*Nie skarbcie skarbów na ziemi!...* — Mt 6, 19 w tłum. Biblii Gdańskiej. [przypis edytorski]

Istotnie, Drucki musiał przyznać, że niczego podobnego w życiu nie widział.

Obszerny pokój o ścianach z mozaiki, utrzymanej w pastelowych tonach, wyobrażającej różne sceny z mitologii greckiej, o posadzce wyłożonej kunsztownym wzorem parkietu z żółto-różowego korka, miękkiej i elastycznej. W głębi nisza, zasłonięta jasnobarwną zasłoną dżetową z przyszcicami, natryskami, niezliczonymi rurkami, połyskującymi niklem. Naprzeciw druga, z szerokim białym tapczanem.

W środku wspaniała marmurowa wanna, a raczej basen, wpuszczony w podłogę, na czterech rogach którego cztery marmurowe posągi, spełniające jednocześnie rolę kranów w ten sposób, jak służy temu celowi słynny posązek w Brukseli<sup>213</sup>.

— Do diabła — zaklął Drucki — musiał pan w to wpakować masę pieniędzy!

— I gustu — zachichotał blondas — posągi Adonisa<sup>214</sup> i Apollina<sup>215</sup> są dłuta Peverry, a Neptuna<sup>216</sup> i gladiatora wyszły z pracowni van Recka.

Przeszli dalej. Mieszkanko istotnie urządzone było z przepychem, chociaż raziło w nim Druckiego dziwne upodobanie gospodarza do miękkości linii i półtonowości barw. Obszerna sypialnia z kolosalnym, niskim łóżem, zawieszona była cennymi obrazami o treści erotycznej, poprzedzający ją hall urządony był w stylu wschodnim.

Pokoju służbowego nie można było obejrzeć, gdyż na dyskretne pukanie gospodarza służący odpowiedział, że jeszcze jest w łóżku i nikogo przyjąć nie może.

W małej kuchence stały potężne kufry, już zapakowane.

— Wyjeżdżam do Lizbony — objaśnił blondas — i pragnąłbym, by moje mieszkanie przez ten rok zostało w ręku człowieka ucywilizowanego i kulturalnego.

— A? Pan tylko na rok wyjeżdża?

— Tak sędzę — wskazał im fotele blondas. — Jestem w służbie dyplomatycznej i zostałem przeniesiony do tamtejszego poselstwa.

Nastąpiło omawianie warunków. Młody człowiek był widocznie nieobeznany z interesami, czy też zbyt bogaty, by troszczył się o dodatkowy dochód z wynajmu mieszkania, gdyż zażądał stosunkowo niezbyt wygórowanej, jak na ten luksus, kwoty stu dolarów miesięcznie. Główny nacisk kładł na kwestię konserwacji urządzenia i przyjrząwszy się Druckiemu, oświadczył, że co do tego nie żywi żadnych obaw.

Załatwienia wszelkich formalności podjął się agent mieszkaniowy, ponieważ zaś blondas wraz ze służącym wyjeżdżał nazajutrz wieczorem, Drucki miał się wprowadzić pojutrze rano. Pozostawało jeszcze wynalezienie służącego czy służącej. Wobec tego, że blondas polecał stróża, jako człowieka zupełnie uczciwego, a posiadającego liczną rodzinę, Drucki posłał poń agenta.

Stróż oświadczył, że ma dwóch synów i dwie córki i zawsze będzie ktoś do dyspozycji, a jaśnie pan będzie na pewno zadowolony, gdyż i tak oni zawsze robili tu większe sprzątaniami i ze wszystkim są obeznani. Przed wprowadzeniem się jaśnie pana doprowadzi się mieszkanie do porządku i wszystko będzie świeciło „jak lalka”.

Drucki nie mógł znaleźć nic równie wygodnego i był zupełnie zadowolony. Poświęcił jeszcze godzinę czasu na zakupy niezbędnych uzupełnień, jak pościel itp., po czym wrócił do hotelu, kazał podać rachunek i przebrał się.

„Swoją drogą to zabawne — pomyślał — od ilu to lat nie miałem własnego mieszkania!”

## ROZDZIAŁ 14

Alicja, już ubrana do wyjścia, wydawała dyspozycje Józefowej, gdy do kuchni zajrzała również gotowa Julka.

— Idziemy, Alu?...

— Zaraz — kiwnęła jej głową Alicja i prędko skończyła instrukcje.

— Cóż to dziś taki wspaniały obiad? — zapytała Julka, gdy już były na schodach.

— Mamy dziś gościa.

<sup>213</sup>słynny posązek w Brukseli — Manneken pis (Susiający chłopiec), atrakcja turystyczna Brukseli, wykonana z brązu figurka-fontanna z XVII w., przedstawiająca nagiego, sikającego chłopca. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>Adonis (mit. gr.) — otaczany kultem piękny młodzieniec, w którym kochały się boginie Afrodyta i Persefona. [przypis edytorski]

<sup>215</sup>Apollo (mit. gr.) — bóg słońca i światła, klasyczny ideał męskiego piękna. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>Neptun (mit. rzym.) — bóg morza, odpowiednik greckiego Posejdana. [przypis edytorski]

— Doktorek! — krzyknęła Julka.

Alicja zaśmiała się.

— Nie, nie pan Czuchnowski. Stary mój znajomy, pan Winkler.

— Stary! — z nutką zawodu skrzywiła się Julka. — Czy bardzo stary?

— Nie bardzo.

— Ale pewno bardzo poważny i nudny jak flaki z olejem.

— O, nie. Zobaczysz.

Powiedziała to bez namysłu i dopiero teraz spostrzegła się, że w jej powiedzeniu brzmiała jakby duma. Dodała zatem:

— Bardzo miły jegomość.

Odprowadziła Julkę do szkoły i pojechała na Miodową.

W bramie spotkała aplikanta Modronia, który niezręcznie jej się uklonił i obrzuciwszy jej postać zachwyconym wzrokiem, westchnął.

Nagle poczuła chęć kokieterii, nieprzepatą chęć oddziaływania na zmysły Modronia. Modronia, Martynowicza, Peszkowskiego, każdego mężczyzny, każdego bez wyjątku. Chciała teraz czuć się pożądaną, podziwianą, otoczoną spragnionymi spojrzeniami. Potrzebowała tego, jakby sprawdzianu uczuć Druckiego, a może — myślała — dlatego, by dla niego właśnie uczynić się cenniejszą.

— Jaka pani dziś cudna — dreptał przy niej Modroń, potykając się o okrągłe kamienie podwórza. — Jeszcze nigdy nie widziałem panią tak...

— Piękną? — zapytała, rozchylając usta.

— O, nie! — zadygotał — tego nie wolno nazywać tak banalnie! Cóż znaczy piękność wobec pani!... Gdybym umiał znaleźć słowa — wybuchnął — jakimi można panią opisać, stałbym się autorem najwspanialszych... erotyków, jakie zna poezja świata!

Przechodzili przez ciemną sieni i Alicja zatrzymała się przed schodami.

— To znaczy — pochyliła się ku niemu — że działam panu na zmysły?...

Spod długich rzęs opłynęło go gorące jak lawa spojrzenie, rozchylone wargi zdawały się oddawać się pocałunkom.

Młody człowiek zachwiał się, zbladł i chwycił się poręczy. Niezdolny był wydobyć z siebie ani słowa i rozszerzonymi źrenicami patrzył za nią, gdy lekko wchodziła na schody.

Idąc długim korytarzem, nie ominęła żadnego mężczyzny, by nie wypróbować na nim swej siły. Chciwie łowiła ich spojrzenia i rozdzielała swoje hojnie, rozrzutnie. Wprost czuła fale swoich bioder, drganie swoich piersi pod dotykiem tych oczu, wprost odczuwała sprężystość swego ciała, ogarnianego pożądliwym wzrokiem mężczyzn.

Przez pootwierane okna płynęło powietrze wiosny, wiosny, którą miała w sobie.

„Ach — pomyślała — można tak różnie interpretować wszystko: czy jestem samicą podczas rui czy Fryne<sup>217</sup>, z woli bogów składającą dar swej piękności oczom śmiertelnych, by wzbudzić w nich podświadome pragnienie nadbudowania swego życia życiem nowym?... Czy to zresztą nie jest to samo?...”

To zestawienie nasunęło jej inną myśl:

„Zabawne: ilekroć chcemy wyrazić coś, co nam, ludziom dwudziestego wieku, wydaje się brzydota i brudem, zapożyczamy porównań ze świata antycznego, gdzie to samo było pięknem, lecz za żadne skarby nie odważymy się powiedzieć publicznie, że w gruncie rzeczy jesteśmy mali, zakłaman i śmieszni z tym bagażem moralności, zmaistrowanej nie z nakazów, lecz z zakazów, zakazów skierowanych przeciw temu, co jest naszą naturą...”

— Dzień dobry pani — zatrzymał ją prezes Turczyński — czy można wiedzieć, jakie myśli, jak te orły, ważą się pod sklepieniem pani czoła?

— Nie orły, panie prezesie — zaśmiała się — zwykle wróble.

— Oooo!

— Zwykle wiosenne, rozświergotane wróble.

— Nie wierzę — powiedział z tą żartobliwą powagą, a raczej z poważną żartobliwością, jaka zawsze dźwięczała w ich rozmowach.

— Czyż nie wyglądam wiosennie? — przechyliła zalotnie głowę.

Uroda, Pożądanie

Piękno, Cnota, Obyczaje,  
Historia

Uroda, Wiosna, Grzeczność

<sup>217</sup>Fryne (IV w. p.n.e.) — słynna z piękności hetera (kurtyzana) grecka, modelka Praksytelesa (posąg *Afrodyta Knidyjska*) i Apellea (obraz *Afrodyta Anadyomene*), znana z licznych starożytnych anegdot. [przypis edytorski]

— Niech pani raczej spyta, czy wiosna wygląda tak, jak pani. Wówczas powiem: prawie! I będzie to komplementem.

— Dla mnie?

— Dla wiosny.

Zaśmiała się i zamieniwszy jeszcze kilka zdań z Turczyńskim, poszła do swego gabinetu.

Do pracy zabrała się z zapalem. Umysł jej pracował ze zdwojoną sprawnością, co dziwiło ją samą. Przecie w ostatnich czasach czuła się tak zmęczona, tak roztrzęsiona nerwowo, tak wyczerpana. Zamierzała nawet prosić o urlop zdrowotny... O, wiedziała, że potrafi wydobyć z siebie największy wysiłek. Nie wiedziała tylko, że tyle będzie kosztował, bo czyż mogła przypuszczać, że bliska będzie omdlenia w chwili, gdy jej plan, obmyślany z żelazną logiką, zawiśnie na pajęczynie problematycznej inteligencji adwokata. A jeżeli ten nie połapie się w sytuacji, jeżeli nie chwyci się podsuniętego mu środka ratunku, jeżeli nie zażąda oddania do analizy rzekomej morfiny?...

Przeżyła wówczas straszny moment wyczekiwania. Widziała każde drgnienie mięśni na twarzy obrońcy, widziała nagły błysk w jego oczach i wreszcie rozmowę z oskarżonym, a później... już wszystko dobrze. Gdyby nie to, pozostałaby bezsilna. Nie mogła przecie sama postawić wniosku o ekspertyzę. Równałoby się to skierowaniu podejrzeń na siebie, równałoby się zakwestionowaniu uczciwego przechowania depozytu i podwójnej kłęsce.

Ach, jakże chętnie uściskałaby tego naiwnego adwokata za jego minę zwycięzcy! I ten wyrok: oskarżony Jan Winkler jest wolny od winy i kary...

Jan Winkler...

Odłożyła teraz pióro i przymknęła powieki.

A gdyby wiedziała, kim jest oskarżony Jan Winkler?! Gdyby wiedziała, że człowiek ten, którego ma w swej mocy, jest winowajcą jej hańby, jest sprawcą krzywdy, którą życie zamieniło w jej piersi w gorzką truciznę nienawiści?... Gdyby z liter, składających się na nazwisko i imię oskarżonego Jana Winklera, umiała odczytać słowo „zemsta”, gdyby olśnienie odkryło jej, że stoi przed nią Bohdan Drucki, który dał jej poznać pierwszą rozkosz ciała i długie piekło zdeptanego życia, że ma przed sobą tego, za którego inni jej płacą długimi latami cierpień w ciemnych więziennych celach....

Gdyby?!...

Nie, wołała o tym nie myśleć. Popęłiłaby rzecz straszną, bezpowrotną... Nie... nie... Przecież wiedziała, że był niewinien!... O... czyż to mogłoby powstrzymać cios, którym i siebie ponownie by zabiła?...

„Nie! Nie chcę w sobie szukać odpowiedzi na to pytanie!”

Przetarła końcami palców skronie i pochyliła się nad aktami... „Aniela Kurkowska widziała swą macochę, wychodzącą z piwnicy około godziny jedenastej...” Tak, to jasne, musiała tam ukryć tymczasowo owe srebra...

A gdyby nie przyszedł?...

Widocznie nie mogło być inaczej, widocznie jest jednak jakieś przeznaczenie, które gra nami w szachy... Dlaczego nie mogła go wymazać z pamięci?... Przecie nie dlatego, że wyciągają się doń ręce wszystkich innych samic, przeciwnie, właśnie to ją odpychało od niego... A z morfina... nie miała żadnej wątpliwości, że wchodzi tu w grę kobieta! A jednak... jednak żyć by bez niego już nie umiała...

Gdy w zmroku wówczas otwarły się jej oczy, gdy ujrzała nad sobą te same złocące się źrenice... I za cóż miała go nienawidzić? Przecie to nie on, tylko zbrodnicze, przerażające bezmiarem obłudnej głupoty kanony moralności społecznej zdruzgotały jej życie... Nie, część jej życia, przeszłość... Gdyby nie te kanony, gdyby nie te haki paragrafów, którymi ludzkość szarpie swoje żywe ciało, cóż stałoby na przeszkodzie, by już wówczas zostali ze sobą?

Och, jakże nienawidziła społeczeństwa! Jakże pogardzała tym bożkiem, któremu służyła z więziennymi kluczami w ręku, tym bałwanem ulepionym z ekskrementów pokoleń i ze śliny wyplutej przez nieśmiertelną obłudę tradycji.

Stała w pierwszym szeregu kapłanów, bijących czołem przed tym bożyszczem, i pierwsza rzuciłaby weń kamieniem, gdyby nie wiedziała, że szczybka natychmiast zostanie naprawiona skwapliwymi rękami wiernych, a świętokradczyni zginie ukamienowana.

Alicja Horn, doktor praw, podprokurator sądu okręgowego, wiedziała, że walka z bał-

Prawnik, Prawo

waniem prawa, porządku społecznego i moralności publicznej, że walka z tym kolosem jest beznadziejna. Nawet wówczas, gdy potwór zostanie rozbity, niczym garnek gliniany na drobne czerepy przez zbuntowanych wyznawców, ci natychmiast rzucą się do lepienia drugiego, równie pustego i równie napelnionego jedynie ich jęklwym, niewolniczym skowytem.

W tysiącach rewolucji od początku świata zdruzgotano tysiące bałwanów, by lepić nowe, coraz groźniejsze, coraz zawziętsze, coraz mściwsze, coraz mocniej przygniatające swymi potwornymi cielskami życie człowieka, coraz więcej zasłaniające mu słońce i gwiazdy...

W jakimś potępieńczym oblędzie ludzkość wciąż ciasniej zaciska pętlę zakazów na swojej szyi, coraz niżej bije łbem Molochowi<sup>218</sup>, wymyślonemu przez siebie na własną udrękę...

Tak myślała Alicja Horn, pilny stróż kultu, nieubłagany inkwizytor, składający codziennie całopalne ofiary na ołtarzu wszechpotężnej Fikcji, na której mściła się w sobie, jak nad pamięcią męża, obląkanego fanatyka, który sam skoczył w paszczę Molocha.

Jakże wielkim zadośćuczynieniem było teraz dla niej odzyskanie Bohdana, jakimś triumfem nad znieawidzoną bestią!

Rozzarzy go w wielkie ognisko, we wspaniały stos, na którym przetapiać będzie łańcuch swoich kajdan w złote krople niezliczonych dni miłości...

Złoty jak jego źrenice...

Zdobyła go sobie i teraz nie mieściło się w jej wyobraźni, by mogła istnieć tak wielka potęga, która by zdołała wyrwać go z jej ramion.

Och, wiedziała, że i on w nich znajdzie szczęście stokroć większe, niż dać mu mogą jakiegokolwiek ramiona na ziemi.

Nie zastanawiała się nad tym, jak ułoży się ich życie. Znała jego treść, nie obchodziła ją forma. Nie wątpiła, że i w tej chwili, kiedy ona siedzi tu nad aktami Bohdana, myśli o niej. Boh...

Złożyła papiery, wzięła dwie teczki i poszła do Martynowicza.

Stary prokurator, przejrawszy akta, zapytał:

— Cóż to pani dziś taka wesoła?

— Z czego pan wnioskuję, że jestem wesoła? — zaśmiała się Alicja.

— No tak... hm, może źle się wyraziłem, nie wesoła, tylko... hm... język ludzki jest częstokroć bezsilny, brak w nim wielu określeń. Prawda?

— Zgadzam się z panem w zupełności.

— A widzi pani. Jestem bystrym diagnostą, ale kiepskim majstrem w definiowaniu tych różnych faramuszek<sup>219</sup>... W każdym razie przyznaje pani, że jest pani dziś w jakimś szczególnym nastroju?

— Jest pan dobrym psychologiem — przyznała z uśmiechem.

Martynowicz zdjął szkła i zatarł ręce.

— Che... che... che... Jakby tu powiedzieć.... A pani nie pogniewa się?

— Za co?

— Ot, za żart.

— Nigdy w świecie.

— Widzi pani, ja jestem z Wileńszczyzny, a u nas tam to taki nastrój określają, hm... tylko, jak pani pogniewa się...

— Śmiało, panie prokuratorze!

— Sama pani chciała. Więc mówią tak: Wiosna idzi, kochać chce si, a kochadło tak daleko!

Alicja wybuchnęła śmiechem, a Martynowicz kontent<sup>220</sup> z dowcipu klepał się po kolanach.

— Jednego nie rozumiem — powiedziała Alicja — dlaczego „kochadło” ma być daleko? Może jest właśnie bliżej, znacznie bliżej, niż pan przypuszcza...

<sup>218</sup>Moloch (mit. semicka) — bóg Fenicjan i Kananejczyków, któremu wg Biblii miano składać ofiary z dzieci; przen.: coś bezlitosnego, złego, pochłaniającego niewinne ofiary. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>faramuszka — błahostka, drobnostka. [przypis edytorski]

<sup>220</sup>kontent (przestarz.) — zadowolony. [przypis edytorski]



Rzuciła mu przy tym powłóczyście spojrzenie i z trudem hamowała się, by nie parsknąć śmiechem na widok nagłego zażenowania tego starszego pana, pośpiesznie nakładającego okulary i bez potrzeby przekładającego papiery.

Na pożegnanie pocałował ją w rękę, czego nigdy nie robił.

Było jeszcze wcześniej, lecz Alicja chciała załatwić kilka sprawunków i dlatego wyszła z biura. O trzeciej była już w domu.

Spotkała ją rozszczebiotana i roześmiana Julka.

— Co za uczta Sardanapala<sup>221</sup>! — wołała radośnie, rozpakowując paczki. — Czy ten pan Winkler jest takim smakoszem?

— Przypuszczam, że takim właśnie, jak twój Sardanapal — odpowiedziała Alicja wesoło. — No, cóż tam w szkole?

Nastąpiła cała seria relacji, jak zawsze szczegółowych, o lekcjach, o nauczycielkach, o koleżankach. Nakrywały przy tym do stołu.

— Tak dawno nie miałyśmy nikogo na obiedzie. Bardzo się cieszę — mówiła Julka — a ty, Alu, dziś cudownie wyglądasz! Cudownie! Czy przebierzesz się?

— Naturalnie. Nałóż i ty swoją kremową sukienkę.

Julce udzielił się nastrój Alicji. Czuli, że ten gość to jest więcej niż zwykły znajomy, i była niezmiernie ciekawa, aż z tego powodu dostała wypieków.

Były zupełnie gotowe już na dziesięć minut przed czwartą i Julka ciągle wyglądała oknem. Alicja miała wielką ochotę zrobić to samo, lecz powstrzymywała się.

Z wybiciem zegara zadzwieczał krótki dzwonek w przedpokoju.

— Punktualność jest zaletą ministrów — z aprobatą powiedziała Julka.

Alicja wyszła do przedpokoju i ze względu na obecność Józefowej tylko podała mu rękę. Ucałował jej dłoń w milczeniu, lecz spojrzenie, którym ją obrzucił, miało w sobie tyle zachwyty, że oblało ją gorącą falą.

Prędko cofnęła się do jadalni.

— Pan będzie łaskaw... Pan pozwoli: moja kuzynka, Julka, pan Winkler.

— Nie wiedziałam, że pan jest monarchą — wypaliła Julka, a widząc, że gość nie orientuje się w intencji jej pretensji do Alicji, dodała: — no, bo zostałam przedstawiona panu, a tylko monarchom przedstawia się kobiety.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

— Czy to ładnie tak z miejsca stawiać Bogu ducha winnego człowieka w kłopotliwej sytuacji?

— Nie doceniasz, kochanie, przewagi swej młodości — zaśmiała się Alicja, ubawiona czupurnością Julki.

— Ani siwizny moich włosów — zrobił dostojną minę Drucki.

Julka rzuciła wzrokiem na jego siwiejące skronie, spotkała uśmiechnięte spojrzenie i nieco się zdetonowała<sup>222</sup>.

— No, na patriarchę pan nie wygląda.

— Siadajmy do stołu — przerwała Alicja. — Zadzwoń, Julko.

— To wybornie, bo jestem piekielnie głodny.

— I ja też — dorzuciła Alicja, siadając.

— Niechże pan siada — powiedziała Alicja.

— Nie mogę, proszę pani. Tylko monarchowie pozwalają sobie na zajęcie miejsca przed damami.

Julka zaśmiała się i usiadła.

Drucki zaczął mówić o etykiecie i w ogóle o formach towarzyskich przyjętych w różnych egzotycznych krajach. Z humorem opowiadał o sensacji, jaką wywołał kiedyś w Nikaragui, całując damy w rękę. Moda ta przyjęła się tam natychmiast i zyskała ogólne uznanie.

<sup>221</sup>*Sardanapal* — postać ze starożytnej literatury greckiej, ostatni król Asyrii, zniewieściany, żyjący w przepychu władca, który swymi działaniami doprowadził do upadku państwa; legendarna dekadencja Sardanapala stała się tematem literatury i sztuki, zwłaszcza epoki romantyzmu. Sardanapal jest prawdopodobnie zniekształconą formą imienia Aszurbanipala, który w rzeczywistości był ostatnim z wielkich władców Asyrii, wykształconym, skutecznym, zdolnym i ambitnym królem-wojownikiem. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>*zdetonować się* — speszzyć się, zmieszać się. [przypis edytorski]

Mówił swobodnie i wesoło, odpowiadając dowcipnie na z rzadka rzucane pytania Alicji.

Julka przyglądała się mu z rosnącym zainteresowaniem. Nie był piękny, nie był nawet ładny, ale miał w sobie coś dziwnie imponującego. Julka nie wiedziała dlaczego, ale tak właśnie wyobrażała sobie Alaina Gerbaulta<sup>223</sup>. Niski, głęboki jego głos miał w sobie coś fascynującego. Spojrzała na Alicję — o! jej na pewno się ten pan Winkler podoba również. Musiał wiele podróżować...

Widocznie myśli ich jednymi szły torami, gdyż Alicja powiedziała:

— Ależ pan zna cały świat!

— No, nie cały — zaśmiał się — na przykład nigdy nie byłem w Turcji, nigdy na Syberii, a Szwecję i Norwegię znam tylko z portów.

— Ach, więc pan jest marynarzem! — zawołała Julka.

— Owszem, przeważnie marynarzem.

— Ach — westchnęła Julka — gdybym była mężczyzną, na pewno zostałabym marynarzem. Ja wprost kocham morze.

— Jest to — zażartowała Alicja — najidealniejsza miłość.

— Dlaczego? — zapytał Drucki.

— No, bo nigdy morza nie widziałam. Ale w tym roku pojedziemy z Alą na Hel i będziemy robiły dalekie wycieczki na pełne morze. Szkoda, że pana z nami nie będzie.

— O, to jeszcze nie jest powiedziane — zastrzegł się Drucki — możliwe, że i ja wybiorę się na Hel.

Po obiedzie Julka oświadczyła, że idzie do koleżanki odrabiać lekcje.

— Przejdźmy do mego pokoju — zaproponowała Alicja.

Józefowa przyniosła kawę i brzęcząc nakryciem, zaczęła sprzątać ze stołu.

Gdy zostali sami Drucki, objął Alicję i przyciągnął do siebie.

— Nie, nie — powstrzymała go. — Julka przyjdzie pożegnać się...

Musnęła ustami jego wargi i dodała:

— Proszę mi teraz powiedzieć, co Boh robił dziś rano?

— Plany.

— Jakie?

— Mieszkałem dotychczas w hotelu. Teraz znalazłem ładne i zaciszne mieszkanie przy alei Szucha. Jutro rano przeprowadzam się. Zobacz moja Al, że nie przesadziłem w pochwałach.

— O, ja zobaczę? — udała zdziwienie.

Stropił się.

— Przecież... przecież jedynie po to je wynająłem.

Alicja zaśmiała się i chciała coś odpowiedzieć, lecz właśnie weszła Julka.

— Do widzenia państwu — dygnęła kokieteryjnie. — Alu, bądź tak dobra, jeżeli zadzwoni Janka, powiedz jej, że jestem u Zośki. Dobrze?

— Dobrze, kochanie, tylko wróć przed dziewiątą.

— Wróć. Do widzenia!

Po kilku minutach wyszła i Józefowa.

Zostali sami.

W ciszy popołudnia i nadchodzącego zmierzchu, gdy dwoje ust znajdzie się tak blisko, umięją one zapomnieć o istnieniu słów i odnaleźć znacznie pełniejsze, dużo wymowniejsze wyrazy.

Biła ósma na zegarze w jadalni, gdy się rozstali.

Alicja zaczęła naprawę swoje życie od nowa.

## ROZDZIAŁ 15

Profesor Karol Brunicki położył słuchawkę i powiedział:

— Będzie tu za kilka minut.

Doktor Kunoki mruknął coś w odpowiedzi, nie odrywając oczu od czytanej książki.

<sup>223</sup> Gerbault, Alain (1893–1941) — francuski żeglarz, inżynier, badacz Polinezji; na jachcie Firecrest samotnie opłynął świat (1923–29); odbył wiele samotnych rejsów po Pacyfiku; napisał kilka książek o swoich podróżach. [przypis edytorski]

— Czy temperatura w siódmym pokoju nie spadła?  
 — Trzydzieści osiem i sześć.  
 — Więc jednak. Mam wrażenie, że zastrzyk był zbyt silny.  
 Doktor Kunoki odłożył książkę i spojrzał z uśmiechem na Brunickiego.  
 — Pan dziś jest zdenerwowany — powiedział łagodnie.  
 — Może.  
 — Pan lubi bardzo pana Winklera?  
 Ponieważ profesor nie odpowiedział, Japończyk dodał:  
 — Nie dziwię się. W tym człowieku jest wprost imponująca siła witalna.  
 — Myli się doktor, ja go nie lubię. Ja... nie potrzebuję jego emanacji witalnych.  
 Zresztą, to jest zbyt skomplikowane.  
 Kunoki dyskretnie zamilkł. Lecz Brunicki sam odezwał się po chwili:  
 — Powinien by już być.  
 — Czy tylko — zmienił kierunek rozmowy Kunoki — czy tylko tak w kilka dni po jego procesie bezpieczne jest powierzanie mu tej sprawy? Mogą go śledzić.  
 — Wątpię — wzruszył ramionami Brunicki — zresztą on sam zadecyduje.  
 Wyjrzał przez okno właśnie w chwili, gdy przed bramą zajeżdżała taksówka. Wysiadł z niej Drucki.  
 Po chwili był już w hallu i mocno potrząsając ręką profesora, śmiał się.  
 — Widzisz, Karolu, diabli mnie w żaden sposób nie chcą wziąć! Witam doktora. Jakże tam pańskie... króliki?  
 — Wszystko w porządku.  
 — A ta mała, za którą będę wysłany do piekła?  
 — Może pan być o nią spokojny. Polubiła powieści o Murzynach.  
 — Dlaczego, do pioruna, o Murzynach? — zdziwił się Drucki.  
 Kunoki spojrzał pytająco na Brunickiego i potwierdził:  
 — Jeżeli się nie mylimy, ma ona zamiar urodzić małego Murzynka lub w najgorszym wypadku Mulata.  
 — Przecież ten jej amant nie był Murzynem?!  
 — Właśnie, ale to tym lepiej. Robimy pierwszy eksperyment na pigmentację. Za to więc gwarantować nie możemy. Pewne jest tylko, że będzie to syn, według wszelkiego prawdopodobieństwa zdrowy i niezwykle silny, który z wiekiem dojdzie do olbrzymiego wzrostu i odznaczać się będzie talentem muzycznym.  
 Drucki patrzył nań podejrzliwie.  
 — Kpi doktor ze mnie? — zwrócił się do profesora.  
 — Nie — zaprzeczył Brunicki — doktor jest optymistą.  
 — No więc jakim sposobem? Na jakiej zasadzie można to przepowiedzieć?  
 — O, to nie ma nic wspólnego z prorocत्वami — uśmiechnął się Japończyk — po prostu chodzi o osiągnięcie zamierzonego efektu przez odpowiednie oddziaływanie na organizm i na psychikę matki...  
 Profesor przerwał:  
 — Dajmy temu spokój. Nie lubię mówić o rozpoczętych badaniach.  
 — Obawa pecha?  
 — Nie. Obawa niepoważnego potraktowania ze strony...  
 — Laika? — podpowiedział Drucki.  
 — Laika, czy specjalisty, to wszystko jedno. Zapewniam cię że z Kolumba, odpływającego na Zachód celem odszukania bliższej drogi na Wschód, śmiali się zarówno laicy, jak fachowi marynarze. Zaś doktor Kunoki taki jest znużony moim wyłącznie towarzysstwem, że zapomina o przysłowiowej japońskiej powściągliwości.  
 — To odziedziczyłem po matce — zaśmiał się Kunoki i spojrzał na zegarek. — Już chyba czas zdjąć bandaże?  
 — Chyba — potwierdził profesor, rzuciwszy okiem na własny — niech pan tylko nie zapomina o masażu.  
 — Czy to tę moją nieboraczkę tak maltretujecie?  
 — Nie — zaprzeczył Japończyk — pańska ma gruczoł tarczycowy wybornie rozwinięty w przednim płacie, a tu właśnie...

— To gadała! — ze zgrozą zawołał Brunicki i doktor, rozłożywszy komicznym gestem ręce, wyszedł, nie dokończywszy zdania.

— No?... — zapytał Drucki po chwili milczenia.

— Telefonowałem do ciebie z dwóch powodów — zaczął profesor — po pierwsze chciałem ci powinszować szczęśliwego wybrnięcia z procesu.

— Musiałem wybrnąć, bo byłem niewinny.

— Jeżeli chodzi o morfinę, tak.

— A o cóż jeszcze chodzi?

Profesor bębnił palcami po poręczy fotelu i przyglądał się Druckiemu uważnie.

— Chodzi — wycedził — o deflorację, popełnioną przez Bohdana Druckiego na osobie pensjonarki Marii Alicji Żerańskiej.

Drucki zaczerwił się. Przyszło mu na myśl, że przecież Brunicki nie może wiedzieć! Wzruszył więc ramionami.

— Mój Karolu, nikt mnie nie mógł poznać, od tego czasu tyle lat minęło.

— Owszem — nie spuszczał zeń oczu Brunicki — nikt. Nikt z wyjątkiem Marii Alicji z Żerańskich, obecnej prokuratorce Alicji Horn.

Pewien był kolosalnego efektu i nie zawiódł się. Drucki zbladł. Skąd, jaką drogą profesor mógł dojść do tego odkrycia? Jakie z niego zechce wyciągnąć konsekwencje? Wpił wzrok w nieruchome oczy Brunickiego.

Zaległo milczenie.

## ROZDZIAŁ 16

Drucki ważył w myśli ciężar sytuacji. Jeżeli profesor Brunicki w jakikolwiek sposób zechce wyzyskać przeszłość, trzeba przede wszystkim ostrzec Alicję, no i działać...

— Więc jej nie poznałeś? — cicho zaśmiał się profesor. — Błogosław swój los, że i ona cię nie poznała. A mówię ci: prokurator Alicja Horn, twoja oskarżycielka, jest tą samą dziewczyną, przez którą zламаłeś sobie życie i karierę.

— Zdumiewające! Jak do tego doszedłeś?

— Mniejsza o to. Zbieg okoliczności. Chciałem cię nawet ostrzec przed procesem, ale zaniechałem tego w obawie o stan twoich nerwów. Sądzę, że byłbyś mniej spokojny podczas rozprawy, gdybyś wiedział, kto cię oskarża?

— Przypuszczam — bąknął Drucki i pomyślał, że skoro Brunicki wiedział dawniej wszystko i nie ostrzegał go, musiał w tym mieć jakiś cel.

— Dziwne, prawda? — pytał profesor.

— Bardzo dziwne. Niesłychanie dziwne... No, ale teraz to już rzecz obojętna... Skoro nie poznała mnie na rozprawie... Pewno nigdy w życiu więcej jej nie zobaczę.

— Więc nie przychodzi już do „Argentyny”?

— Nie. Od dawna.

— W każdym razie, Bohdanie, miej się na baczności.

Drucki skrzywił się.

— Chyba tobie nie zależy specjalnie na moim bezpieczeństwie?

— Zależy, i to jest druga sprawa.

— Słucham?

— Przed tygodniem jedna z moich pacjentek...

— Czyli jedna z twoich królików?

— Nie, pacjentka z kliniki psychiatrycznej została wypisana. Jest to typ psychasteniczki<sup>224</sup>, z pewnych względów niezmiernie mnie interesujący.

— I co? — ponuro zapytał Drucki. — Mam ją ci dostarczyć do twojej jatki?

— Poczekaj. Otóż jest to młoda i bardzo przystojna kobieta. Z zawodu śpiewaczka operowa, znajdująca się obecnie w skrajnej nędzy z tej prostej przyczyny, że... oniemiała.

— Jak to, oniemiała?

— Oniemiała. Zaburzenie psychiczne na tle seksualnym. Uważaj, co mówię, to będzie ważne przy wyborze odpowiedniej taktyki.

— Może każesz mi ją leczyć? — zdziwił się Drucki.

<sup>224</sup>psychasteniczka — kobieta cierpiąca na psychastenię; *psychastenia*: zaburzenie niegdyś niegdyś uznawane za jedną z najczęstszych nerwic; termin nieużywany w obecnej diagnostyce psychiatrycznej. [przypis edytorski]

— O to chciałem cię prosić — niewyraźnie uśmiechnął się profesor.

— Słucham tedy?

— Otóż jest to dziewczyna przeciętnie inteligentna. Ukończyła gimnazjum, konserwatorium i była na prawie. Jako śpiewaczka cieszyła się dość znacznym powodzeniem, które dawało utrzymanie jej i jej starym rodzicom, mieszkającym gdzieś w Sochaczewie czy Pułtusku, już nie pamiętam. Jak już zaznaczyłem, oniemiała. Nastąpiło to przed miesiącem, gdy dowiedziała się, że jest w ciąży...

— Aha!

— Nie „aha”. Skonstatowanie ciąży sprawiło jej wielką radość.

— A jest panną?

— Tak. Była pewna, że powiadomienie o tym stanie rzeczy jej ukochanego uszczęśliwi go oraz skłoni do małżeństwa. Zaznaczam, że jest to dziewczyna egzaltowana, zapewne dlatego przeceniała szlachetność partnera.

— A ten czmychnął? — domyślił się Drucki.

— Tak, i to w dość brutalny sposób. Ten nieoczekiwany cios tak wstrząsnął moją pacjentką, że zamknęła się w swoim pokoju i w ciągu trzech dni nie przyjmowała pokarmów, ani nie odezwała się do nikogo — rodzaj czarnej melancholii. Gdy zaalarmowani przez znajomych przyjechali rodzice — była już niema...

— Może głucha w dodatku?

— Nie. Paraliż strun głosowych, a raczej, moim zdaniem, czasowe porażenie nerwu rządzącego fałdami noszącymi nazwę *plicae ventriculares*<sup>225</sup>... ale to już cię nie interesuje. Otóż lekarz, którego do tej dziewczyny wezwano, skierował ją do kliniki psychiatrycznej. Po krótkiej, lecz dokładnej obserwacji doszedłem do przekonania, że wypadek ten jest do uleczenia i...

— I mnie chcesz powierzyć pacjentkę.

— Tobie.

— Jaka to ma być kuracja?

— Całkiem prosta. Chodzi mi o to, byś po kilka, powiedzmy: dwie godziny dziennie z nią przestawał. Żebyś starał się być dla niej miły, serdeczny, delikatny...

— Ładna historia!

— Żebyś postarał się zapewnić jej sporo rozrywek. Na przykład, możesz ją zabierać do teatru, na spacer, do swojej „Argentyny”. Słowem, pragnąłbym, by ona odniosła wrażenie, że jesteś dla niej bardzo życzliwy, dobry i przyjacielski. Wszelkie wynikające z tego koszty pokryjesz, oczywiście z kwoty, którą ci służę.

Drucki zapalił papierosa i milczał.

— Zgadzasz się? — zapytał tonem zniecierpliwienia Brunicki.

— Ale dlaczego zwracasz się z tym do mnie? Czy nie możesz powierzyć tego któremuś ze swoich asystentów, słuchaczy, czy komukolwiek?

— Nie mogę. Zależy mi specjalnie na tobie.

— Psiakrew! — zaklął Drucki. Wcale nie było mu na rękę zajmować się teraz jakąś babą, i w dodatku niemą.

Wstał, zaczął chodzić po pokoju i z pasją kopnął tłustego kota, który mu się nawinął pod nogi.

Kot miauknął przeraźliwie, a Drucki zawołał:

— Daruj, Karolu, ale to żądanie nie leży już w granicach przyjętych przeze mnie zobowiązań. To nie ma nic wspólnego ze sprawą... ze sprawą twego... ojcostwa.

Profesor zacisnął wargi, a Drucki dorzucił:

— Nie możesz ode mnie tego wymagać. Jestem do twojej dyspozycji we wszystkim, co może cię utwierdzić w przekonaniu, że świętej pamięci pani Wanda była ci wierną żoną. Tu rozumiem twoje cierpienie i jako mimowolny ich winowajca gotów jestem do wszelkich poświęceń. Ale nie zamierzam dla twoich fantazji stawać się pielęgniarką czy guwernantką...

— Poczekaj, Bohdanie — cicho przerwał Brunicki. — Moja prośba nie jest fantazją, jest natomiast ściśle związana ze sprawą, o której mówisz. Poczekaj...

<sup>225</sup>*plicae ventriculares* (łac., med.) — fałdy przedsióinkowe (struny głosowe rzekome), para fałdów błony słuzowej krtani, które w warunkach prawidłowych nie biorą udziału w wytwarzaniu głosu, a jedynie przyczyniają się do działania obronnego krtani. [przypis edytorski]

Otworzył biurko i wyjął z niego fotografię.

— Masz, Bohdanie, i przyjrzyj się podobiznie kobiety, którą chcę polecić twojej opiece.

Drucki zauważył, że ręka profesora drżała.

Przez chwilę obojętnie przyglądał się jej, lecz nagle zbladł, a jego brwi podniosły się w zdumieniu. Spojrzał na profesora.

— Karolu?!...

— Więc widzisz — odetchnął Brunicki i znów przygryzł wargi.

— Ona... ona jest przecież prawie zupełnie podobna do Wandy! — mówił Drucki, wpatrując się w fotografię. — Niesłychane! To prawie jej portret!

— Niezupełnie — wycedził profesor — ale w każdym razie podobieństwo jest niezwykłe. Co więcej, ma podobne usposobienie, zamiłowania, zbliżony charakter.

— Słuchaj, Karolu, czy ona nie jest jakąś...

— Krewną zmarłej? Nie. Nie jest z nią nawet spokrewniona przez najdalszą rodzinę. Zbadalem to dokładnie. Rozumiesz, że sam byłem uderzony tym podobieństwem. Gdy ją przyprowadzono do kliniki, dostałem ataku serca...

Drucki nie mógł oderwać oczu od fotografii.

— Nie dziwię ci się. Ile ona ma lat?

— Dwadzieścia sześć.

— Zatem...

— Po prostu zbieg okoliczności.

— I jest w ciąży?

— Tak. Koniec drugiego miesiąca.

Drucki położył fotografię, przetarł skronie i rzucił się na fotel.

— Teraz rozumiem — westchnął.

Brunicki kurczowo chwycił go za rękę.

— Rozumiesz? Rozumiesz?...

— Tak. Rozumiem, że żądasz ode mnie łajdactwa.

— Dlaczego łajdactwa? Przecież wydobędziesz tę nieszczęsną z jej kalectwa, wydobędziesz ją z jej rozpacz! Pomyśl sam!

— Chcesz — cedząc słowa, powiedział Drucki — bym postarał się... rozkochać ją w sobie, bym, nie kochając jej, grał przed nią komedię...

— Bynajmniej! Nie graj żadnej! Okazuj jej tylko tyle współczucia i sympatii, na ile to biedne stworzenie zasługuje.

— Biedne stworzenie — gorzko zaśmiał się Drucki — i chcesz temu biednemu stworzeniu dać nowe rozczarowanie. Chcesz to biedne stworzenie narazić na nową tragedię...

— Mylisz się.

— Więc do diabła — wybuchnął — nie spodziewasz się chyba, że się z nią ożenię?!

— Nie. Spodziewam się tylko, że ona, znalazłszy w tobie pocieszyciela, zapomni o tamtym, a co najważniejsze, odzyska głos, który jest źródłem jej utrzymania.

Drucki w milczeniu palił papierosa.

— Jestem pewien — ciągnął profesor — że porażenie nerwu ustąpi.

— Dlaczego właśnie oniemiała, a nie oslepla lub ogłuchła?

— Jest śpiewaczką. Na strunach głosowych koncentrowała zawsze całą świadomą i podświadomą uwagę.

— Jakże mam ją poznać?

— Całkiem po prostu. Wstąp jutro przed pierwszą do kliniki. Przyjmę ją w twojej obecności.

— I przedstawiś mnie jako lekarza?

— Nie, jako swego przyjaciela. Sądzę, że najlepiej będzie, gdy dla waszego wzajemnego zbliżenia zaproponujesz nam, to znaczy jej i mnie, przejażdżkę samochodem.

— Mój wóz jest dwuosobowy — zauważył Drucki.

— Weźmiemy mój. Po drodze wysadzicie mnie na Dębowej, a sami pojedziecie dalej. Reszta należy do ciebie.

— A jeżeli ona w ogóle nie zechce przestawać ze mną?

— O, to nawet jest do przewidzenia ze względu na stan jej psychiki. Ze swojej strony zalecę jej przebywanie w twoim towarzystwie, a myślę, że taki wytrawny... uwodziciel, jak ty, da sobie radę. Zatem?... Zgoda?

— Zgoda — opuścił głowę Drucki.

Profesor uściśnił jego rękę i pośpiesznie dodał:

— Lecz o tym ani słowa doktorowi Kunoki!

— Dobrze.

Brunicki zamknął fotografię w biurku, poczęstował gościa papierosem i powiedział:

— Poza tym chciałem cię zapytać, czy nie obawiasz się, że jesteś śledzony?

— O, to wykluczone. Z jakiej racji?!

— Więc mógłbyś też zająć się dostarczeniem nam nowej pacjentki?

— Tam, do diabła! — zaklął Drucki.

— Jak mam to rozumieć? Odmawiasz?

— Nie odmawiam, do licha, tylko czy nie uważasz, że wkrótce zmuszony będę porzucić wszelkie własne sprawy?!

Brunicki pokiwał się w fotelu.

— No, oczywiście, nie nalegam, byś się z tym śpieszył, chociaż doktor Kunoki gwałtownie potrzebuje nowej pacjentki, gdyż chodzi o bardzo ważną kontrolę pewnego eksperymentu. Powiedziałem też, że mógłbyś się tym zająć. Może się przecież zdarzyć, że zaobserwujesz potrzebny obiekt.

— No, może się zdarzyć — niechętnie bąknął Drucki, rozgniatając niedopałek w popielniczce.

— O to też chodzi... Zatem, doktorze — zwrócił się do wchodzącego Japończyka — pan Winkler podjął się wyszukania nam młodej blondynki.

— Jeżeli pan taki uprzejmy — dorzucił doktor — wołałbym, by nie była szczupła.

Drucki zaśmiał się sucho.

— Możecie ją utuczyć, do stu piorunów!

Chcieli go zatrzymać na obiedzie, lecz był tak zniechęcony do obu, że podziękował i odmówił.

Zresztą dopiero dziś przeprowadził się w aleję Szucha i chciał jeszcze szczegółowiej zająć się urządzeniem mieszkania, gdyż o siódmej miał po raz pierwszy przyjąć u siebie Alicję.

Poza tym wypadło wpaść bodaj na kwadrans do Załkindów, z którymi od dnia procesu nie widział się wcale.

Pojechał na Nowolipie.

Luby nie było w domu. Spotkał go Borys z kompresem na głowie.

— Znowu powróciły mi te nieznośne migreny, kapitanie — narzekał — chcę mnie wysłać do jakiegoś francuskiego kurortu, ale przecież nawet marzyć o tym nie mogę, bo komuż powierzyłbym swoje interesy? Dziś rodzonemu bratu ufać nie można.

— Nie potrzeba przesadzać, Jack, ma pan swoich dyrektorów, adwokata...

— Ba... Jest jeden człowiek, któremu w zupełności ufam, ale...

— Ale ja też wyjeżdżam na lato — uratował się Drucki.

— Właśnie — westchnął Załkind. — Zresztą i tak nie miałbym odwagi kapitana prosić po tym szpasiu<sup>226</sup> morfinowym... Ale... Wie pan, że chyba Luba miała rację, że była tam kobieta.

— Owszem, miała.

— To kapitan już wie?

— Wiem.

Załkind zagwizdał.

— Przez te baby to nic dobrego człowieka nie spotka — powiedział sentencjonalnie.

— Czy pan to mówi z myślą o Lubie? — zażartował Drucki.

— Skądże — zachnął się Załkind. — Luba to anioł. Jak ona będzie żalowała, że nie było jej w domu, ale może zaraz nadejdzie!...

Wyjrzał oknem.

<sup>226</sup>szpas (pot., z niem.) — złośliwy żart, kawał. [przypis edytorski]

— Niestety — Drucki wstał. — Muszę iść. Mam teraz wiele ważnych spraw na głowie i czasu ani za grosz.

— Interesy, kapitanie? — zaciekawiał się Zalkind.

— Gdzież tam... Takie, trochę... osobiste historie. Serwus. Ukłony dla pani Luby. Jak będę miał wolną chwilę, wpadnę znowu. Aha... Przeprowadziłem się. Na aleję Szucha.

— Dlaczego?

— Dość miałem życia hotelowego. Starzeję się, Jack, co?

— No, no! — niedowierzająco mruknął gospodarz, zamykając za nim drzwi.

Po drodze Drucki wstąpił do kwiaciarni i kazał przysłać dużo róż i goździków. Wpadł do najbliższego baru na lekką przekąskę i pojechał do domu.

— Do domu — zaśmiał się — chyba do końca życia nie będę wiedział, co znaczy słowo „dom”, własny dom, prawdziwy dom.

A jednak chciał, by jego mieszkanie zrobiło na Alicji wrażenie domu.

Drzwi zastał otwarte, a wewnątrz całą rodzinę dozorcy, kończącą sprzątanie. Dwaj tędy chłopcy rozciągali dywan i ustawiali na nim niskie, miękkie mebelki. Ich matka, sążnista<sup>227</sup>, rozrosła baba ze spódnicą zakasaną powyżej kolan, szorowała pokój kąpielowy, pochylona tak, że jej szeroki jak u klaczy zad chwiał się w prawo i w lewo, w takt poruszeń szczotki, na potężnych, muskularnych nogach.

— No, jak tam, matko? — zawołał przyjaźnie Drucki wśród szumu spływającej z pryszniców wody.

Podniosła ku niemu zaczerwienioną twarz i wyprostowała się. Obrzucił spojrzeniem jej kopulaste piersi, mocne bary, potężne biodra i olbrzymie łędwie, myśląc: „Matka, właśnie tak powinna wyglądać matka. Cóż za niezrównany okaz. Gdyby ludzie urządzali dla siebie takie wystawy, jakie robią dla rasowych zwierząt, dostałaby złoty medal, chociaż musi już być po czterdzieście”.

Baba otarła czoło mokrą ręką i jej tegie policzki rozsunęły się w uśmiechu, ukazując mocne, szerokie zęby.

— Ano, za pół godziny będzie fertik<sup>228</sup>, proszę jaśnie pana.

— Dajcie, matko, spokój z tym „jaśnie państwem” — zaprotestował Drucki. — Ja nie jestem latarnia, bym się świecił.

— Juści! — zaśmiała się. — Ale taki obyczaj.

I nie zwracając nań więcej uwagi, znowu zabrała się do roboty.

Wszedł do hallu, pomógł chłopcom przesunąć dwa ciężkie tapczany i otrzepawszy ręce, zajrzał do sypialni. Tu już wszystko było skończone, tylko przed oknem stała składana drabinka, a na niej siedziała wysmukła brunetka, starsza córka dozorcy.

— Dzień dobry paniencie. Pi, pi, jak ładnie ułożyła pani te firanki!

W ustach trzymała igłę z nitką, a że obie ręce miała zajęte, skinęła tylko głową i zaśmiała się wstydliwie.

Widział ją już dwukrotnie i wiedział, że jest kasjerką w narożnym sklepie kolonialnym<sup>229</sup>.

— Cóż to — zapytał — panienska dziś nie poszła do zajęcia?

Wyjęła igłę i powiedziała:

— Zwolniłam się, proszę pana. Tyle tu roboty. Musiałam pomóc.

Zauważył, że ubrała się dziś ładniej, w granatową sukienkę z białym kołnierzykiem. Sukienka była przykrótka i stojąc niżej, widział jej zgrabne, chociaż za szczupłe łydki, obciągnięte, widocznie na jego benefis<sup>230</sup>, jedwabnymi pończochami ze strzałką.

— Już tu skończyłam — powiedziała, lustrując swoje dzieło. — Muszę jeszcze poprawić przy drugim oknie.

Chciała zejść z drabinki, lecz ją zatrzymał.

— Proszę zaczekać, przeniosę panienkę!

<sup>227</sup>sążnisty — wysoki, długi; por. *sążeń*: daw. jednostka miary długości wynosząca ok. 2 m. [przypis edytorski]

<sup>228</sup>fertik (gw., z niem. *fertig*) — gotowe. [przypis edytorski]

<sup>229</sup>sklep kolonialny — sklep sprzedający egzotyczne produkty spożywcze i przyprawy sprowadzane z Afryki i Azji (gdzie wówczas znajdowały się kolonie państw europejskich). [przypis edytorski]

<sup>230</sup>benefis (z fr. *bénéfice*: pożytek, korzyść) — daw.: przedstawienie a. koncert, z którego zyski były przeznaczone dla jednego z artystów; dziś: okolicznościowe przedstawienie a. koncert dla uhonorowania artysty lub zespołu, najczęściej z okazji jubileuszu; *na czyjś benefis*: na czyjąś rzecz, dla kogoś. [przypis edytorski]



Nim zdążyła zaoponować, wszedł pod rozstawiony kąć drabinki i przy akompaniamencie nieco wystraszonych „ojej!” przeniósł ją do drugiego okna.

— Ale pan to jest silny! — zawołała z jakimś strapionym podziwem.

Zaśmiał się wesoło i zapytał:

— A gdzie siostrzyczka?

— Zośka? Sprząta w kuchni, proszę pana.

— No, jakże panience podoba się moje mieszkanie? A, przepraszam, bo wciąż nie wiem, jak panience na imię?

— Franciszka.

— Panna Frania?

— Nie, Franka... A mieszkanie pewno, jest bardzo ładne... tylko...

— Tylko co?

— No, te... Po co te nieprzyzwoitości... Aż wstyd patrzeć.

— Nie moje — usprawiedliwiał się — to przecież tego pana, co tu mieszkał.

— Eee... — wzruszyła ramionami — tamten to... Dzięki Bogu, że wyjechał.

— Nie lubiła go panna Franka?

— Paskudztwo — powiedziała po chwili wahania, schodząc na podłogę. — Tomek! Zabierz drabinkę! — krzyknęła na brata. — To już wszystko, proszę pana.

— Nie, panno Franko, zaraz przyniosą tu kwiaty, a ja się na tym nie znam. Może pani jakoś porozmieszcza je po wazonach, dobrze?

— Ja też się na tym nie znam — zrobiła skromną minkę — ale skoro pan sobie tego życzy, spróbuję.

— Życzę sobie — uśmiechnął się do niej i miał wielką ochotę pogłodzić ją po głowie, lecz powstrzymał się pytaniem: po co? Pytaniem, którego dotychczas nigdy sobie nie zadawał w podobnych sytuacjach, a możliwość którego zdziwiła go teraz i zaniepokoiła.

Jak to „po co”? — no, miła i niebrzydka dziewczyna, to chyba wystarcza?... Zawsze wystarczało.

Chodził po pokojach, przestawiając to i owo, rozkładając bibeloty i przyglądając się całości.

„No, tak — myślał — wszystko tkwi w jednym. Jaki diabeł kazałby mi dawniej zajmować się tymi bzdurami?”

Właśnie przyniesiono kwiaty i Drucki przyglądał się delikatnym rękoma Franki, wydobywającym je z pudeł. Przypomniał sobie, że nie widział jeszcze kuchni, no i... tej małej, Zośki.

Kuchnia lśniła czystością, a Zośka — jędrna, zdrowa dziewczyna, boso i w zakasanej perkalikowej spódnicy — uwijała się przy półkach z naczyniami.

Ta była podobna do matki jak dwie krople wody. Nie miała jeszcze szesnastu lat, a już była rozrośnięta i dojrzała. W jej ruchach, w rozwarciu piwnych, prawie okrągłych oczu i małych, mięsistych ust, w swobodzie uśmiechu, w linii każdego gestu była ta sama żywność, płodność i obfitość życia.

Nie można było tego nazwać kokieterią, nawet nie zalotnością, a przecież od chwili, gdy wszedł tu i gdy go powitała śmiałym skinięciem głowy i prostym „dzień dobry”, odczuł jakby magnetyczny prąd, którym go pociągnęła.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że dzieje się to poza jej świadomością i postanowił przy najbliższym widzeniu się z doktorem Kunoki zapytać, czym należy tłumaczyć istnienie tych fluidów. Czy jest to niezależny od nas poryw zamkniętej w nas siły natury, dążącej do wiecznej reprodukcji życia, czy tylko... autosugestia niepoprawnego kobieciorza?

— W mig będzie gotowe — wyszczerzyła doń równe, białe zęby dziewczyna i rozejrzawszy się, wzięła się pod boki. — Aż się świeci!

— Prawda — przyznał — panna Zośka musiała się porządnie napracować.

— Ano, dla siebie, to i nie szkoda.

— Jak to, dla siebie? — nie zrozumiał.

— Ano, matula mówiła, że to ja będę panu kucharzyć, jak co będzie trzeba. Że to niby mam się wprawić — zachichotała — do własnego gospodarstwa.

Nagle spojrzała na niego z przestachem.

— Chyba, chyba, że by pan nie chciał?...

Uroda, Młodość

— Co znowu — zaprzeczył — dlaczegoż bym miał nie chcieć?

— Czy ja wiem... Może pan będzie miał służącego.

— Otóż nie. Nie będę miał żadnego służącego, a jestem rad<sup>231</sup>, że to panna Zośka będzie mi kucharować.

— Rad, nie rad, niech pan nie mówi, bo może akurat nie do gustu będzie.

Roześmiała się i zaczęła płukać nad zlewem ścierki.

— Uszanowanie panu — usłyszał za sobą głos dozorczy.

— A, jak się macie?

— Dziękuję wielmożnemu panu. Przyszedłem zobaczyć, czy tu moi wszystko w porządku zrobili.

— To ja wam dziękuję — podał mu rękę Drucki — mieszkanie wygląda jak cacko. Już to na waszą rodzinę skarżyć się nie możecie.

— Niby na moją? — podrapał się po ciemieniu. — Ano, zdatne są, nie krzywduję<sup>232</sup> sobie.

Powiedział to z najbardziej obojętną miną, ale widać było, że pochwała uradowała go bardzo, nawet wzruszyła, bo chrząknął prawie ponuro.

Druckiemu przypomniało się to, co kiedyś, będąc jeszcze młodym chłopcem, usłyszał od stryja:

— Polscy chłopci i angielscy dżentelmeni mają jedną wspólną cechę: i ci, i tamci uważają okazywanie swoich uczuć za największą nieprzyzwoitość.

Po kwadransie został sam. Stanął przy oknie i czekał, aż zobaczył Alicję idącą płynnym, elastycznym krokiem.

Na powitanie podała mu obie ręce i powiedziała:

— To takie trywialne, że przychodzę do ciebie, a jednak, jak każda kobieta przychodząca po uścisk do mężczyzny, chcę w tym widzieć coś nadzwyczajnego... Powiedz, czy to nie śmieszne?

— To jest piękne — powiedział, tuląc ją mocno.

Pomyślała, że zawsze jest piękne dla aktorów, z widowni jednak zawsze wyglądać musi naiwnie i banalnie, że pomimo to wszystko jest mniej ważne od faktu posiadania go dla siebie, odczuwania nierozzerwalnej mocy jego ramion, chciwości jego pocałunków...

— Zobacz, Al, jak ci się podoba moja jaskinia? — pociągnął ją naprzód.

— Tyle kwiatów — uśmiechnęła się.

— Dla ciebie, Al.

Stała i wpatrzyła się w jego oczy.

— Ty cały jesteś dla mnie... Tylko dla mnie... — powiedziała cicho.

— Dla ciebie — przyznał z uśmiechem.

— Dla mnie, i dla nikogo więcej...

Jej palce otoczyły twarz Druckiego zaborczym ruchem.

— Dla nikogo więcej — zapewnił.

— Ja wiem — odezwała się po pauzie — że ty nie rozumiesz, jak wielkie to szczęście... Niczego więcej nie pragnę... Chcę tylko wierzyć, że ty jesteś mój, że... nigdy ode mnie nie odejdziesz. Nigdy! Powiedz, czyż za wiele żądam od życia?

— Za mało — powiedział poważnie. — Mogłabyś, moja Al, zażądać jeszcze kieliszka dobrego wina i jeśliś to uczyniła, ja, jako pełnomocnik życia, odkorkowałbym butelkę i...

Zamknęła mu usta pocałunkiem.

Alicji podobała się „jaskinia”, chociaż oświadczyła, że nie jest w stylu Druckiego.

— Ty inaczej urządziłbyś sobie mieszkanie.

— Czy w ogóle urządziłbym? — zaśmiał się. — Może to wpływ koczowniczego życia, a może po prostu moja natura, ale ja nie mam potrzeby mieszkania czy zamieszkiwania.

— Dziwne, że tak mało o sobie wiemy. Prawie nic, a przecie... znamy się doskonale. Prawda?

— Widocznie, znać kogoś można bez większej sumy wiadomości o nim.

<sup>231</sup>rad (daw.) — zadowolony; chętny. [przypis edytorski]

<sup>232</sup>krzywdować sobie (reg.) — uważać się za skrzywdzonego, mieć żal, narzekać na coś. [przypis edytorski]

— Nie, mnie nie chodzi o kronikę życia, lecz o szczegóły usposobienia, poglądów, nawyków. Otóż, patrząc na ciebie, czy myśląc o tobie, mam cię całego w pełnym obrazie i jeżeli zastanawiam się nad jakąś częścią, wiem, że musi być taka, że nie może być inna...

— Dedukcja?

— Niezupełnie. Może raczej intuicja.

— I cóż ci ona mówi?

— Jak dotychczas, nie żałuje ci komplementów.

Zaśmiali się oboje.

Alicja miała wrócić do domu o dziesiątej, lecz tak się złożyło, że nie zwrócili uwagi na zegarek. Zbliżała się już północ, gdy odwiózł ją samochodem i pojechał do „Argentyny”.

— W gabinecie u pana dyrektora czeka jedna pani! — zameldował mu portier.

— Jaka pani?

— Wygląda na Żydówkę, ale w ogóle pierwsza klasa!

„To Luba!” — pomyślał.

Nie omylił się. Rzeczywiście, siedziała przy biurku i bezczynnie przyglądała się plecóm pochylonej nad maszyną Teci.

— No, nareszcie — zerwała się na jego widok. — Myślałam, że już nie doczekam się kapitana.

— Co się stało?

— Nic się nie stało. Ładnie mnie pan przyjmuje. Jak ja przychodzę, to trzeba się cieszyć i skakać z radości.

— Już skoczę — zaśmiał się — co, Luba, chce ci się „szaleć”?

— Tak. Anektuję<sup>233</sup> kapitana na cały wieczór. Muszę się wytańczyć i upić.

— Dobra! Będziemy szaleli — nadrabiał humorem, chociaż w gruncie rzeczy był niezadowolony.

Przeprosił ją na chwilę, załatwił kilka spraw, wybrał stolik koło ringu i zaprowadził tam Lubę.

Luba istotnie chciała się wytańczyć i nie opuszczała ani jednego tańca, tak że Drucki wreszcie zaczął prosić o zmiłowanie:

— Ja już ledwie ruszam nogami! Luba, zlituj się nad zmęczonym starszkiem!

— O? A cóż to tak zmęczyło kapitana? — zapytała podejrzliwie.

— Urządzałem dziś swoje mieszkanie. Już ledwie dyszę.

Luba dużo piła i gdy odwiózł ją o czwartej na Nowolipie, była mocno podchmielona.

Na szczęście nie potrzebował już wozu odprowadzać do garażu, gdyż miał pozwolenie na pozostawianie auta w podwórzu domu, w którym teraz mieszkał.

Stróżowi, który mu otworzył bramę, polecił obudzić siebie o jedenastej i położył się spać.

Był porządnie zmachany, toteż spał kamiennym snem i dopiero jaskrawe światło słońca obudziło go.

Otworzył oczy i zobaczył Zośkę, rozsuwającą zasłony okien.

— Ale pan śpi! — zawołała wesoło.

— Dzień dobry, mała, jak tu weszłaś? — zdziwił się.

— Ano, przecież pan zostawił drzwi otwarte. Gdyby jakie złodzieje chcieli, to by pana mogli nawet z łóżkiem wynieść.

— A która to?

— Jedenasta. Czy panu zrobić herbaty, czy kawy?

— Zrób, mała, co chcesz, byle prędko, bo na dwunastą muszę być fiut!

— Fiut?

— No, na mieście.

— A... A co podać do herbaty?

— Co ci się podoba, a teraz wiesz stąd, bo wylażę z łóżka.

Nim wykąpał się i ubrał, Zośka ustawiła w hallu nakrycie i podała herbatę, bułki, masło, wędlinę.

— A sera nie kupiłam, bo nie wiem, czy pan lubi.

<sup>233</sup> *anektować* — polit.: zagarniać całość lub część terytorium innego państwa; książk.: zagarniać coś dla siebie. [przypis edytorski]

— Lubię, ja wszystko lubię — oświadczył, zabierając się do jedzenia — nie będziesz miała ze mną kłopotu.

— A obiadów to pan w domu jeść nie będzie?

— Nie będę.

— To szkoda... Czy pana co dzień budzić o jedenastej?

— Co dzień.

— To najlepiej będzie, jeżeli pan zostawi mi klucz. Pan ma przecie dwa.

— Dobrze, masz tu klucz, mała, i rób, co chcesz, byleś tylko mnie nie pytała.

Zaśmiała się.

— To pan lubi, żeby tak panem rządzić?

Spojrzał na nią z uśmiechem.

— A ty to lubisz?

— Bo ja wiem? Zobaczę. To jak teraz pan pójdzie, ja tu posprzątam, wywietrzę...

A kiedy pan wróci?

— Jeszcze nie wiem.

— Ale nieprędko?

— Nieprędko.

Wziął kapelusz i chciał wyjść, lecz Zośka zatrzymała go:

— A jak będzie z pieniędzmi, proszę pana?

— Nie chcesz mieć mnie na utrzymaniu — zażartował — no, to masz tu na wydatki.

Brunickiego zastał jeszcze samego.

— Nie spóźniłem się?

— Nie. W sam raz. Powinna tu być lada chwila.

— Jak się ona nazywa?

— Panna Łęska. Urszula Łęska. Musiałeś słyszeć o niej, jest, a raczej była znaną śpiewaczką.

— Jak żyję, nie byłem na żadnym koncercie.

W drzwiach stanął woźny.

— Przyszła panna Łęska, czy pan profesor ją przyjmie?

— A, prosić, prosić — zawołał Brunicki i sam wybiegł na jej spotkanie.

Panna Łęska, szczupła, niewysoka szatynka o przejrzystych, zielonych oczach i jasnej, matowej cerze, była istotnie uderzająco podobna do zmarłej żony Brunickiego. Wrażenie to wzmacniały jej ruchy i sposób trzymania głowy. Drucki nie mógł nie spostrzec, że jej obecność i na profesora oddziaływała silnie. Był nieswój i jakoś nienaturalnie ruchliwy.

— Pani pozwoli, że jej przedstawię mego dobrego przyjaciela, pana Winklera.

Podala mu małą rękę, opiętą w czarną rękawiczkę, i bezgłośnie poruszyła wargami.

Brunicki podsunął jej fotel i nie przestawał mówić:

— Właśnie opowiadałem przyjacielowi o tym rzadkim wypadku czasowego porażenia nerwu pod wpływem przeżycia psychicznego. Pan Winkler jeszcze mnie utwierdził w przekonaniu, że ten uraz minie. Mianowicie przypomniał sobie, że podczas pobytu w Chicago poznał jednego inżyniera górnika, który miał podobny wypadek, spowodowany wiadomością o wybuchu kopalni, której był dyrektorem. Również utracił głos, lecz że był posłusznym pacjentem — uśmiechnął się Brunicki — więc zastosował się do wskazań lekarzy, no i po trzech tygodniach głos odzyskał. A wie pani, jaką mu przepisano kurację?

Panna Łęska przecząco potrząsnęła głową.

— Wcale miłą, proszę pani — ciągnął profesor. — Mianowicie polecono mu używać jak najwięcej rozrywek. Wycieczki, zabawy, tańce, wesołe towarzystwo. Minęło wszystko bez śladu, bez najmniejszego śladu.

Uśmiechnęła się blado i wydobywszy z torebki notes i ołówek, napisała:

„Bardzo ładna bajeczka”.

— No, słuchaj, powiedz pani, że to nie bajeczka.

— Upewniam panią — odezwał się Drucki niepewnie.

„Pański przyjaciel nie ma talentu do kłamstw dydaktycznych” — napisała.

Brunicki roześmiał się i podał notes Druckiemu. Ten zrobił bardzo zakłopotaną minę i powiedział:

— Cóż możemy poradzić wobec pani przenikliwości? Poddaję się... Hm... ale to chyba nie podrywa wiary pani w skuteczność recepty profesora? Ja święcie wierzę, że on się w tych rzeczach nie myli.

Skinęła głową i napisała:

„Wierzę w receptę, lecz nie wierzę, by mnie pomogło”.

— Dlaczego?

„Bo ja się bawić nie potrafię” — napisała po chwili wahania.

— Plotki, proszę pani — oburzył się profesor. — Będzie się pani bawiła, aż miło. To już proszę nam zostawić...

Spojrzała zdziwiona na obu.

— Mówię „nam” — wyjaśnił profesor — gdyż obawiam się, że taki nudziarz jak ja nie potrafiłby nikogo rozweselić. Dlatego poprosiłem pana Winklera, by mi pomógł. Chyba nie weźmie mi pani tego za złe?

Z uśmiechem wruszyła ramionami.

— Musi mi pani przyrzec tylko jedno: dobrą wolę i stosowanie się do moich wskazówek. Czy dobrze?

Potwierdziła skinieniem głowy.

— No, to już jestem spokojny. Wobec tego dziś zrezygnujemy z badania i odwiedzicie mnie państwo do domu.

Zgodziła się z rezygnacją.

Zajęli miejsce w limuzynie Brunickiego i profesor mówił bez przerwy. Opowiadał o ostatnich wydarzeniach naukowych, o nowych metodach leczenia psychastenii, o latach intensywnego życia:

— Dzisiejsza wiedza obaliła dawne poglądy naukowe, widzące najwyższe lekarstwo w ciszy, spokoju i oszczędzaniu sobie silnych wzruszeń. Wprost przeciwnie. Dla zdrowia psychicznego niezbędne jest odbieranie jak największej ilości wrażeń i to możliwie różnorodnych. Strach, gniew, wesołość lepsze są niż kontemplacja. Należy dużo pracować i dużo się bawić.

— *Medice, cura te ipsum*<sup>234</sup> — zaśmiał się Drucki. — Czy pani wie, że profesor sam nie stosuje się do swoich przepisów...

— Owszem, stosuję się ściśle.

— No, pracujesz intensywnie, ale niepodobna cię namówić do zabawy.

— Nieprawda. Tylko moje zabawy są innego rodzaju. Mnie, upewniam was, moi państwo, znacznie więcej wzruszeń daje mikroskop niż innym dancing... Ale przyznaję, że właściwie powinienem interesować się i tamtym. Jeżeli nie stać mnie na to, dowodzi to mojego... spierniczenia. I niech pani patrzy, jak widoczne są tego skutki. Jesteśmy z Winklerem rówieśnikami, a przecież ja wyglądam, powiedzmy oględnie, na jego stryjaską. Prawda?

Przyjrzała się obu i zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie? Ale w każdym razie czuję się przy nim jak zasuszony mól przy skaczącym koniku polnym. A dlaczego? Bo on pracuje jak wół i bawi się jak młody koziołek, a ja tego nie potrafię. Dlatego z niego aż tryska życie, a ja kopczę sobie jak stara łożówka.

Znowu zaprzeczyła i napisała:

„Wcale tego nie znajduję<sup>235</sup>. Każdy z panów jest w innym typie i to wszystko”.

— Tak — zaśmiał się nieszczerze profesor — tylko że do takich typów jak on należy życie. Niechże pani sama osądzi. Gdyby na przykład zmuszono panią do wyboru jednego z nas — tylko proszę się nie krępować — kogo by pani wybrała? No? Szczerze!

Obrzuciła ich smutnym spojrzeniem i uśmiechnąwszy się blado, wskazała profesora.

Drucki wybuchnął śmiechem.

— A widzisz? Nie doceniasz siebie!

— E... pani sobie ze mnie żartuje — nagle zbladł Brunicki i zamilkł.

Auto stanęło przed jego willą. Wysiadając, zmusił się do paru wesołych zdań na pożegnanie i poprosił Druckiego, by ten nie krępował się i zatrzymał auto dopóty, póki mu będzie potrzebne.

<sup>234</sup>*Medice, cura te ipsum* (łac., przysł.) — Lekarzu, lecz się sam. [przypis edytorski]

<sup>235</sup>*znajdować* (daw.) — uważać, sądzić; odnosić wrażenie. [przypis edytorski]

Pojechali z powrotem przez miasto, potem przez most na Wiśle i Grochów.

Drucki spuścił okna i powiedział:

— Nie lubię zamkniętych aut. Człowiek traci największą satysfakcję jazdy: pęd powietrza przestaje jakby brać udział w szybkości. Prawda, proszę pani?

Skinęła głową.

— Kiedyś miałem przyjaciela, prawdopodobnie obilo się pani o uszy jego nazwisko. Nazywał się Mac Woold i przez kilka lat uważany był za „najszybszego człowieka Stanów Zjednoczonych”. Otóż kilka razy miałem przyjemność z nim jeździć podczas treningu na specjalnym smoku wyścigowym, który wyciągał do czterystu kilometrów na godzinę. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek przeżył równie niezwykle emocje.

„Obawę też?” — napisała na kartce.

— Nie. A raczej, owszem, tylko nie strach o życie, a strach o swoje zmysły. Przy takiej szybkości wzrok i słuch przestają działać, a przy tym ma się uczucie zapadania w głąb. Nie jest to zbyt przyjemne, zwłaszcza, że po pięciu minutach takiej jazdy człowiek przez pół godziny jest półprzytomny. Mam teraz niezły wózek sportowy, na którym zrobić można sto dwadzieścia do stu czterdziestu na godzinę. Jeżeli pani zechce, możemy choćby jutro wypróbować. Za Raszynem jest kilkanaście kilometrów wybornej szosy.

Napisała, że dobrze, ale teraz już chce wracać do domu: Miodowa 18.

— Wydaje mi się — powiedział, żegnając się z nią przed bramą — że Karol grubo przecenił atrakcyjność mego towarzystwa.

Uśmiechnęła się i zaprzeczyła ruchem głowy.

— O której pani pozwoli jutro po sobie zajechać?

Wyznaczyła godzinę dwunastą.

Drucki natychmiast odesłał auto. Miał dziś znowu być na obiedzie u Alicji, lecz przedtem musiał wstąpić do „Argentyny” dla sprawdzenia rachunków i podpisania korespondencji, w czym mu Luba wczoraj przeszkodziła.

Punktualnie o czwartej był już na Topolowej.

Przyjęła go Julka, oświadczając, że Alicja bardzo przeprasza za spóźnienie, ale jeszcze nie może wyjść z sądu.

— Skazuje jednocześnie dwie osoby — zaśmiała się — kogoś tam na więzienie, a pana na moje towarzystwo.

— O, to chyba jest najłagodniejszy wyrok, jaki kiedykolwiek wymierzono.

— Mógłby się pan zdobyć na miłszy komplement — zauważyła wesoło.

— A po cóż pani komplementy — udał zdziwienie — przecież żadne lustro nie odmówi pani najpochlebniejszych.

— Nie patrzę w lustra — powiedziała z widoczną intencją — tu wszystkie lustra odbijają tak piękną istotę, że wprost nie odważyłabym się.

Przyglądała mu się z ukosa, chcąc sprawdzić, jakie na nim wrażenie wywrą te słowa. Nie wątpiła, że on musiał kochać się w Alicji, a Alicja oczywiście w nim. Oczywiście, jakżeby mogła pozostać obojętną wobec takiego człowieka.

Rozmawiali przez kilkanaście minut o różnych rzeczach, związanych z projektami na lato, gdy wreszcie wróciła Alicja.

— Jakie to szczęście, że już przysłaś! — powitała ją Julka.

— A co się stało?

— Nic. Tylko obawiałam się, że uspię pana Winklera swoją konwersacją.

— Czy wyglądam na śpiącego?! — protestował Drucki. — Niech pani sama osądzi?

— Wygląda pan na zmęczonego — orzekła Alicja.

— Właśnie! — ucieszyła się Julka.

— Jak to, właśnie?

— No, tyle wysiłku kosztowała pana obrona przed zaśnięciem, że się pan aż zmęczył.

— Przepraszam was. Zaczekajcie jeszcze chwilę. Przebiorę się — powiedziała Alicja, znikając w swoim pokoju.

— Nie, panno Julko. Do piątej w nocy pracowałem, spałem bardzo mało. Oto przyczyna.

— A cóż pan robił do piątej w nocy?! — zdziwiła się.

— Pilnowałem swego przedsięwzięcia.

— W nocy?

— Moje przedsiębiorstwo jest czynne właśnie w tej porze doby.  
Widząc, że trudno jej zdobyć się na pytanie, powiedział:  
— Jestem właścicielem dancingu „Argentyna”.  
— A... a... rgentyna!  
— Pomyślę, że pani przestraszyła się.  
— O, nie, nie — zaprzeczyła Julka — tylko...  
— Tylko co?  
— Ja tyle o tej „Argentynie” słyszałam, to bardzo, bardzo ciekawe. Nareszcie dowiem się prawdy. Bo u nas, proszę pana, w szkole to najróżniejsze rzeczy opowiadają...  
— Na przykład?  
— O, ja nie powiem!  
— Więc jak będę mógł sprostować?  
— Może kiedyś, jak będę pana lepiej знаła. Teraz niech pan mi powie, co się tam właściwie dzieje?...

— Nic niezwykłego. Ludzie tańczą, piją, bawią się...  
— Bawią się? — zatrzymała go.  
— Naturalnie. Kogo to bawi, ten bawi się.  
Pokręciła główką.  
— Ale czy tam jest coś, co nie jest odpowiednie?  
— Odpowiednie? O, to zależy dla kogo.  
— No, na przykład, dla młodych panien?  
— Owszem — zaśmiał się. — Dla młodych panienek, takich jak panna Julka, wszystko tam jest nieodpowiednie.  
— Właśnie, ale dlaczego?  
— Bo młode panienki powinny zajmować się...  
— Ostrzegam — przerwała — jeżeli wyjedzie pan teraz z maturą i ze szkołą, to obrażę się na pana na całe życie.  
Wybuchnął śmiechem.  
— Wcale nie miałem zamiaru, skąd takie posądzenie?  
— No, bo wszyscy zawsze...  
— Ja nigdy nie robię tego, co wszyscy i co zawsze — powiedział żartobliwie.  
Ona jednak przyjęła to poważnie i potwierdziła z namysłem:  
— Tak... To prawda... Pan nie jest taki. Niech pan więc powie, czym powinny zajmować się, pańskim zdaniem, młode panienki?  
— Myślę, że swoją młodością. Knajpa to dobre dla stępałych i zużytych nerwów, szukających sztucznego podniecenia. A młodość? O, młodość ma jeszcze takie bogactwo rzeczy do poznania, ma tyle odkryć do zrobienia, tyle prawdziwych radości i podniet...  
Przetarł czoło i zrobił szeroki, nieokreślony gest ręką.  
— Bardzo pan to pięknie powiedział.  
— Nie umiem pięknie mówić. Dlatego mówię to, co czuję.  
— A...  
— Co czuję, bo nawet może nie to, co... myślę.  
Wyglądał teraz na jeszcze bardziej niezwykłego, na jeszcze bardziej interesującego.  
— A pan — zapytała. — Czy pana bawi „knajpa”?  
— Mnie? — zastanowił się — o, mnie wszystko bawi... Najmniej może knajpa, ale to dlatego, że wciąż jestem... że wciąż mam zielono w głowie... Powiem pani w sekrecie, że skoro bym się przekonał, że już przestało być zielono, nie wiedziałbym, po co żyję... Tak się rozfilozofowałem chyba po to, żeby pani udowodnić, że rozsądek nie wschodzi razem z siwymi włosami, moja mała.  
Julka patrzyła na jego złote, uśmiechnięte oczy, na siwiejące skronie i smagłe policzki. Jak on do niej powiedział: „moja mała”... Ślicznie to powiedział...  
I nagle przyszło jej na myśl, że nie zniosłaby od nikogo takiej pobłażliwej poufałości. Nie powinna tego tolerować, przecie jest prawie dorosła.  
„Powiem mu to kiedyś” — postanowiła sobie.  
Weszła Alicja i podano obiad.

Młodość

## ROZDZIAŁ 17

Mijały dni i tygodnie.

Życie Alicji Horn znalazło swój właściwy nurt, głęboki, silny i spokojny, uzyskało swój pełny sens i najwyższą wartość, w trwałość której wierzyła bez zastrzeżeń, tak jak wierzyła w potęgę i niezniszczalność uczucia, które łączyło ich dwoje.

— Miłość nasza — mówiła Druckiemu — jest tym dla naszego istnienia, czym duch dla ciała. Daje mu treść, usprawiedliwienie i cel. Jest celem dla siebie samej.

— Nie jestem twego zdania — odpowiadał Drucki — zawsze sądziłem, że miłość jest tylko środkiem, drogą wiodącą do celu.

Wówczas broniła swego poglądu, a jej sprawny umysł nie zawodził w doborze argumentów i w umiejętności operowania nimi.

Drucki ustępował. W ogóle nie przepadał za tymi rozmowami. W sferze abstrakcji czuł się po prostu niepotrzebny, zbędny, zbłąkany. Zresztą wystarczały przecież fakty: kochają się, czyż tego nie dość?

Lecz Alicji było tego mało. Chciała przeżywać tę miłość kompletnie, wydobyć z niej nie tylko jej skarby emocjonalne, nie tylko najpiękniejszą tęczę uczuć i całą gamę rozkoszy, lecz i te nadwartości, jakie daje intelektualne badanie jej włókna po włóknie, szczegółowa, a tak pasjonująca analiza najdrobniejszych przejawów, najmniej dostrzegalnych wiązań, przyczyn i skutków.

— Zabierasz się do miłości, moja Al — śmiał się Drucki — jak smakosz do ryby. Jestem pewien, że zostaną z niej same ości.

— A ty ją połokasz na surowo? — wpadła w jego ton.

Tak dalece żyli terazniejszością, że ich rozmowy prawie nigdy nie sięgały w przeszłość. Z rzadka, przy różnych sposobnościach, Drucki napomykał o tych czy owych zdarzeniach ze swej włóczęgi po świecie. Alicja jednak, widząc, jak zapalają mu się oczy, jak wiele ciepła nabiera wówczas jego głos, nie lubiła tych chwil i bała się trochę tej jedynej swojej rywalki, jaką poznała i wyczuła w tęsknocie Druckiego do niekończących się dróg koczownika.

Uwielbiała w nim ten wchłonięty przezeń świat, lecz wołała trzymać skarbiec zamknięty.

O przyszłości też nie mówili. Raz tylko Drucki zaczął:

— Wiesz, Al, że postępujemy dość niemądrze.

— Dlaczego?

— Przecie oboje jesteśmy wolni. Moglibyśmy zamiast kryć się ze swoją miłością, pobrać się, i już.

— Nie, Boh, nie — potrząsnęła głową.

— Przecież nie istnieją chyba żadne przeszkody?

— Owszem, Boh. To bardzo miło z twojej strony, że prosisz o moją rękę, ale niestety, muszę ci dać kosza.

Zasępił się i odwróciwszy głowę, powiedział:

— Rozumiem.

— Nic nie rozumiesz — zaśmiała się.

— Nie możesz zostać żoną człowieka, który jest w oczach prawa... zbrodniarzem.

— O!... Boh! Jakże możesz mnie tak krzywdzić!

— Konstatuję tylko stan rzeczywisty.

— Bardzoś mnie dotknął tym posądzeniem.

— Przykro mi. Daruj i nie mówmy już o tym.

— Boh!

— Nie mówmy. Sprawa jest jasna.

— Przeciwnie. Muszę ci wytłumaczyć...

— Al — przerwał — zapewniam cię, że nie czuję do ciebie najmniejszej urazy. Wstąpiłem z tym projektem bez namysłu, lecz teraz widzę całą jego niedorzeczność. Prokuratora zostaje żoną przestępcy... Cha... cha...

— Boh — chwyciła go za rękę — jeżeli tak stawiasz kwestię, więc dobrze. Udowodnię ci, że się mylisz, że mnie krzywdzisz, że nie doceniasz mojej miłości. Dziś jeszcze przenoszę się do ciebie i tu zostanę. Kpię sobie ze wszystkiego. Z opinii, z prawa, ze skandalu. Chyba to ci wystarczy jako dowód, żeś mnie posądził niesłusznie?

Miłość



Drucki wstał i zaczął chodzić po pokoju.

— W takim razie będziesz musiała zrzec się swego urzędu — powiedział.

— Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Jeżeli nie zrzeknę się sama, to mnie wyrzucą.

— Mówiłaś nieraz, że lubisz i cenisz swoją pracę — zauważył.

— Tak, to prawda. Ale ciebie kocham i jeżeli za tę cenę mogę ci sprawić bodaj najmniejszą przyjemność, cena ta jest dla mnie niczym.

— Posłuchaj, Al — stanął przed nią — ja nie żądam od ciebie żadnych ofiar i żadnych poświęceń. Nie chcę ich. Powiedz mi tylko dlaczego w takim razie nie godzisz się na zostanie moją żoną?

— A po co? — spojrzała mu w oczy. — Po co? Czy w ciągu twego życia nabrałeś szacunku i uznania dla instytucji małżeństwa?

— No... to zależy od wchodzących w grę osób...

— Nie! — zawołała. — Po stokroć nie! Ja przysięgam sobie, że nigdy, za żadną cenę, nie popełnię tego ustępstwa na rzecz najgłupszej, najohydniejszej, najwstrętniejszej instytucji, wymyślonej przez niewolniczą moralność ludzką. Pogardzałabym sobą, gdybym świadomie i własnowolnie wyrzekła się swego człowieczeństwa, gdybym siebie i ciebie chciała związać najniedorzeczniejszym z obowiązań, dlatego tylko, że miliony innych pokornie pakuje swoje puste głowy w kierat, po to, by zniechęcić się po kilku latach lub wegetować w zaduchu przymusu. I po co nam to? Po co? Przecie ty wiesz równie dobrze jak i ja, że miłość nasza nie zgaśnie, a jeżeliby zgasła, nie ma takiej siły, która by zdołała nas zatrzymać. Więc pytam cię, po co? Dlaczego nie możemy zostać ludźmi wolnymi? Dlaczego mamy sami na siebie kręcić bat, by wisiał na ścianie jak nieustanna przestroga i przypomnienie, że jesteśmy niewolnikami? Wprost nie rozumiem, skąd tobie, istocie wolnej jak ptak przyszła ta dzika myśl?! Czy teraz rozumiesz dlaczego?

— Nie rozumiem, dlaczego jesteś prokuratorem — powiedział po chwili wahania.

— O — zaśmiała się ironicznie — bo jako prokurator mam największą możliwość czuwania nad tym, by bydło pilnowało kieratów, skoro ich tak pragnęło. Bo mam w ręku ten właśnie bat, który ukreśli na swoje niewolnicze grzbiety. Bo mogę dać im najdobitniej odczuć ich tępą głupotę.

— Jesteś straszna, Al — powiedział smutnym głosem.

Zaśmiała się.

— O, Boh! Ciebie jednak kocham, kocham do szaleństwa i jeżeli... Mówiłam, że za żadną cenę nie popełnię małżeństwa. To nieprawda. Jeżelibyś bardzo tego chciał, jeżeli byłaby to cena twojej miłości, wówczas, nawet z pogardą dla własnej słabości, musiałabym się pogodzić, Boh!

— Dobrze. Nie mówmy już o tym, Al.

I rzeczywiście, nie powracali już do tematu małżeństwa. Zresztą, dobrze się czuł w każdej sytuacji, którą raz uznał za konieczną.

Tryb ich życia ułożył się w ramach godzin wolnych od pracy Alicji w sądzie i Druckiego w „Argentynie”. Obiad zwykle jedli razem z Julką. Wieczór spędzali w mieszkaniu jego, po czym rozstawali się do jutrzejszego popołudnia. Czasami chodzili do kina lub teatru, zabierając ze sobą Julkę.

Alicja nie opowiadała mu o swoich zajęciach związanych ze stanowiskiem służbowym, tak jak i nie wypytывała Druckiego o jego interesy. Ufała mu bezwzględnie, zaś ciekawość nie leżała w jej naturze. W ten sposób żyli tylko tym, co stanowiło ich życie wspólne, i obojgu było z tym najlepiej.

Drucki nie zdradzał Alicji. Nie dlatego, że przestały mu się podobać inne kobiety, lecz z tej przyczyny, że w Alicji znalazł kochankę, która wręcz pochłaniała całą jego wyobraźnię i wszystkie jego pragnienia. Była wciąż ta sama, a przecież wciąż inna i tak, jak codziennie odkrywał nowe powaby jej ciała, nieustannie odnajdywał niespodziewane właściwości tej tak jednolitej, a jednocześnie skomplikowanej natury. Zdawało mu się, że z każdym dniem bardziej jest pożądany i sam bardziej pożąda.

Potwierdzeniem tego były szalone godziny ich pieśzchot, krwistych, burzliwych, pół-przytomnych, gdy w płomieniach orgazmu stapiały się dwa ciała, jak dwa metale w jeden stop, gdy zastygały potężnym splotem brązu i marmuru...

Drucki nie zdradzał Alicji.

Małżeństwo

Prawnik

Kochanek

Pożądanie, Seks

Na smętne spojrzenia Teci odpowiadał nieco zakłopotanym uśmiechem, z Lubą widywał się bardzo rzadko, gdyż przeniosła się na lato do Konstancina i do Warszawy wpadała zaledwie raz na tydzień. Tonia na próżno doń szturmowała, a liczne oferty pań, odwiedzających „Argentynę”, pozostawiał — bez rozpatrzenia.

Obietnicy danej Brunickiemu dotrzymywał ściśle. Codziennie widywał się z panną Łęską, obwoził ją po okolicach miasta, zabierał do „Argentyny”, starał się zrobić wszystko, by umożliwić jej zapomnienie przeżytej tragedii. Polubił ją bardzo i widział, że sam również zyskał jej sympatię. W sympatii jej jednak, ku swej radości, nie mógł dopatrzeć się tych uczuć i pragnień, które tak często w kobietach budził. Przeciwnie, spostrzegając, że panna Łęska bardziej interesuje się osobą Brunickiego, że godzinami może słuchać opowiadań o profesorze i nie ukrywa zadowolenia, gdy go spotka.

Spotkania te zdarzały się zaś dość często, gdyż Brunicki czasami wpadał do „Argentyny” w zamiarze poczynienia obserwacji co do postępów jego metody kuracyjnej.

Niemota wprawdzie nie ustępowała, lecz w usposobieniu pacjentki dawały się spostrzec wyraźne objawy polepszenia.

W tymże czasie udało się Druckiemu dostarczyć jeszcze jedną dziewczynę do „królikarni” doktora Kunoki i Brunickiego.

Stało się to w sposób zupełnie przypadkowy. Pewnego dnia zatelefonował Załkind z pytaniem, czy nie mógłby pożyczyć auta, gdyż chciałby pojechać do Konstancina, a ostatni pociąg już odszedł. Drucki zaoferował się, że sam go odwiezie.

Było już dobrze po północy, gdy wracając do miasta, wjechał na lepszy odcinek szosy i dał pełny gaz. Reflektory znakomicie oświetlały drogę na dużą odległość i dlatego już z daleka zauważył stojącą na skraju szosy postać.

Przyszło mu na myśl, że jest to albo wystawiona na wabia kobieta, pozostająca w zmo-wie z bandytami ukrytymi w rowie, albo też rzeczywiście dziewczyna chcąca prosić o podwieszenie jej do Warszawy. W obu wypadkach warto było stanąć, gdyż albo będzie zajmująca przygodą, albo znajdzie towarzyszkę na dalszą drogę.

Postanowił zwolnić pęd samochodu i to uratowało życie dziewczyny. Mianowicie, w chwili, gdy rzuciła się pod auto, zdążył jeszcze gwałtownym szarpnięciem kierownicy skręcić w bok i pomimo dwóch silnych zarzutów wyrównać i zahamować.

Momentalnie wyskoczył i dopadł jej w chwili, gdy zerwała się z ziemi i rzuciła do ucieczki.

- Stój! — złapał ją za rękaw. — Co to ma znaczyć?!
- Niech mnie pan puści — próbowała szamotać się.
- Co to? Krew? — zawołał, uczuwszy pod palcami lepką ciecz.
- Niech mnie pan puści — błagała.
- Nie, aniołku, pójdiesz ze mną.

Pomimo jej oporu zaprowadził ją przed reflektory auta. Była to młoda, skromnie ubrana panienka. Na ramieniu miała rozdarty szeroki zakiet, skąd obficie sączyła się krew. Domyślił się od razu, że musiał zawadzić ją błotnikiem.

- Niech pan mi pozwoli odejść — dygotała na całym ciele.
- Mamy czas, moja pani. Przede wszystkim trzeba zatamować krew.

Bez ceremonii zdjął z niej zakiet i bluzkę. Tę ostatnią porozrywał na pasy i silnie obwiązał rękę.

- Bardzo boli? — zapytał.

Milczała, patrząc w ziemię. Stała przed nim bezradnie i jej obnażone ręce drżały jak w febrze.

Ponieważ zakieci był cały pokryty krwią i kurzem, zarzucił jej na ramiona własną marynarkę, gdyż wieczór był dość zimny. Nie bronila się, gdy posadził ją na stopniu auta, i posłusznie wypila łyk koniaku.

— No, a teraz pogadamy — usiadł obok niej. — Po co pani chciała zrobić to głupstwo?

- To nie było głupstwo — odpowiedziała szeptem.

— No, chyba nie było też najmądrzejszą rzeczą?... Zawracanie głowy, proszę pani! Nie myślę tu pani robić wykładów o moralności, gdyż nie znam się na tej pięknej i pożytecznej instytucji. Ale trzeba mieć sporo wody w główce, żeby samobójstwo uważać w jakimkolwiek wypadku, w jakiejkolwiek sytuacji, za rozsądne załatwienie sprawy.

Na jej twarzy pojawił się bolesny uśmiech.

— Tak, tak, moja pani. Nie trzeba uśmiechać się z politowaniem, bo to jest wcale groteskowa zarozumiałość. Cóż pani, do stu diabłów, zdaje się, że jest mądrzejsza od wszystkich ludzi na świecie, że warunki, w jakich się pani znalazła, są całkiem wyjątkowe i nikomu się nigdy nie zdarzyły? Moja mała, gdybym pani opowiedział historię mego życia, na pewno orzekłaby pani, że powinienem być ze dwadzieścia razy popełnić samobójstwo. A jednak żyję i, do stu piorunów, czuję się świetnie.

— Pan jest mężczyzną — powiedziała cicho.

— Co to za różnica? — nie zrozumiał.

— Ach, to proste... Zresztą, jest mi to już całkowicie obojętne. Jestem przekonana, że gdyby pan wiedział... nie zmieniałby pan kierunku swego auta...

— Oczywiście! Gdybym wiedział, że pani nie ma pieniędzy — podchwycił z ironią — że kocha się pani bez wzajemności i że pokłóciła się pani z ciocią, przejechałbym panią kilkakrotnie tam i z powrotem, a w dodatku byłbym szczęśliwy, że pomogłem bliźniemu uwolnić się od tragedii życiowej...

— Nie, panie — zaprzeczyła drżącym głosem — ale gdyby pan wiedział, że uwalnia pan od ciężaru życia dziewczynę zdychającą z głodu, ciężarną i zarażoną chorobą weneryczną, wypędzoną z domu, niemogącą nikomu oczu pokazać... Co by pan zrobił?

Drucki oniemiał pod wpływem tych słów.

— Niechże pan ma odwagę uczciwie odpowiedzieć — nalegała. — Co by pan zrobił?! Wciąż milczał.

— Tak, uniemożliwił mi pan samobójstwo, ale sam pan musi przyznać, że nie mam innego wyjścia. Przedłużył mi pan tylko moje męczarnie.

Zaśmiała się.

— I siebie wciągnął pan niepotrzebnie w kłopotliwą sytuację...

Wstała, zrzuciła jego marynarkę i zabierała się do odejścia.

— Proszę zaczekać — zdecydował się Drucki.

— Na co?

— Mam dla pani pewną propozycję.

— Chce mi pan dać jałmużnę?

— Nie. Nigdy nie daję jałmużny.

— Zatem?

— Mogę panią umieścić pod opieką lekarzy, gdzie znajdzie pani ciszę, wygodę i życiowość.

— Przytułek dla upadłych dziewcząt?! O nie, dziękuję panu.

— Bynajmniej nie przytułek. Klinika prywatna.

— Więc skądże ta filantropia<sup>236</sup>? — spytała nieufnie.

— Tam chodzi o eksperymenty naukowe. Klinika jest tajna i nielegalna. Ale pani żadnej krzywdy nie uczynią. Przeciwnie, wyleczą panią, będą dbać, by jej dziecko przyszło na świat w jak najlepszych warunkach i zapewnią pani dalszą egzystencję. Tym zresztą i ja sam mogę się zająć. Co pani umie?

— Jestem nauczycielką.

— Tu, w Warszawie?

— Nie, daleko stąd, na Wołyniu<sup>237</sup>.

— I rodzina pani tam mieszka?

— Tam. Tu przyjechałam w nadziei, że znajdę jakąś instytucję czy jakiegoś lekarza, który bezpłatnie uwolniłby mnie od ciąży. Czytałam o tym, iż lekarze robią to darmo... Byłam u kilkunastu i wyśmiali mnie. Myślałam też, że uda mi się w jakikolwiek sposób zarabiać na życie...

— Więc przyjmuje pani moją propozycję? Ręczę pani słowem honoru, że będzie pani traktowana z pełnym szacunkiem i życzliwą troskliwością. A lekarze, w których ręce panią oddaję, to dwaj wielcy uczeni o światowej sławie. Nie wolno mi wyjawiać pani ich nazwisk, ale proszę mi wierzyć, że żadna krzywda pani nie spotka.

— Jakaż mnie jeszcze krzywda może spotkać?!

<sup>236</sup>filantropia — dobroczynność; gr. dosł.: miłość do ludzi. [przypis edytorski]

<sup>237</sup>Wołyni — kraina hist. w dorzeczu górnego Bugu oraz dopływów Dniepru; w okresie międzywojennym województwo wołyńskie w Polsce; ob. część Ukrainy. [przypis edytorski]

— Więc się pani zgadza?  
 — Dobrze.  
 — No, to brawo! Jeszcze łyk alkoholu, dla kurażu<sup>238</sup>.  
 Podał jej podróżny kubeczek z koniakiem.  
 — I proszę siadać.  
 Po upływie kilkunastu minut dzwonił do bramy willi profesora Brunickiego.  
 — Otwieraj szybko! — kazał brodaczkowi, zbliżając swoją twarz do sztachet, by ten mógł go poznać.  
 Samochód wjechał w podwórze.  
 Dziewczyna rozglądała się obojętnie.  
 — Jest coś? — rozległ się przyciszony głos profesora, który wyszedł w szlafroku.  
 — Tak — odpowiedział krótko Drucki.  
 — Antoni — zwrócił się profesor do służącego — obudź pana doktora. My przenie-  
 siemy sami.  
 — To jest zbędne — powiedział Drucki — ona jest przytomna.  
 — Jak to? — przestraszył się Brunicki.  
 — Za chwilę opowiem ci wszystko. Proszę panią.  
 Pomógł jej wysiąść z auta, wziął pod rękę i poprowadził ciemnym korytarzem wprost do łazienki.  
 W tej chwili zjawiał się doktor Kunoki.  
 — Doktorze — przywitał się z nim Drucki — trzeba pani zrobić nowy opatrunek.  
 — Rana? Postrzałowa?  
 — Nie, nieduże skaleczenie, ale mocno krwawi.  
 — No, to doktor sam już sobie da radę — niecierpliwił się profesor — chodźmy.  
 Przeszli do hallu i Drucki szczegółowo opowiedział przebieg wypadku.  
 — Ona wcale nie zna Warszawy — zakończył — a poza tym uczciwie patrzy jej z oczu.  
 — No, byłem trochę zaniepokojony — odetchnął z ulgą Brunicki. — Posądzam cię o zbyt daleko posuniętą lekkomyślność.  
 — Masz mnie za dudka<sup>239</sup>, Karolu?  
 — Nie, ale mogła to być, przypuścimy, agentka policji.  
 — Wykluczone. Policję to ja, mój drogi, czuję na dystans, jak jamnik lisa. Chciałbym jeszcze pożegnać się z tą małą, bo mi czas do mojej knajpy.  
 — Cóż za czułości! — zaśmiał się Brunicki, ale przeprowadził go do pokoju, w którym umieszczono nowego „królika”.  
 — Do widzenia pani — pocałował ją w rękę Drucki — a proszę pamiętać o mnie. Nazywam się Winkler, Jan Winkler. Po dojściu do zdrowia proszę mnie odwiedzić. Panowie tu znają mój adres.  
 Pożegnała go spojrzeniem pełnym wdzięczności.  
 Profesorowi i Japończykowi, którzy odprowadzili go do samochodu, powiedział:  
 — Pamiętajcie, panowie, że dałem jej słowo honoru, gwarantując waszą życzliwość i uprzejmość!  
 — Nie obawiaj się.  
 — A jak, doktorze, z tą chorobą? Co?  
 — Drobiazg. Wyleczy się prędko.  
 — Więc do widzenia!  
 Wyjechał z bramy z niezapalonymi światłami. Ulica była pusta. Nacisnął kontakt i ruszył dobrym gazem w stronę „Argentyny”. Dopiero przejeżdżając przez jasno oświetlony plac Teatralny, spostrzegł, że na rękawie marynarki ma dużą plamę krwi.  
 — Psiakrew, trzeba się przebrać! — skonstatował i zawrócił na aleję Szucha.  
 Już podjeżdżając, zauważył, że okna jego mieszkania są oświetlone. Zdziwiło go to, lecz stróż wyjaśnił, że to Zośka ściele łóżko.  
 — Tak późno? — zapytał Drucki.  
 — Ano, pan nigdy wcześniej nie wraca, a ona dotychczas otwierała bramę, a teraz obudziła mnie i poszła sprzątać u pana.

<sup>238</sup>kuraż (daw.) — odwaga, śmiałość. [przypis edytorski]

<sup>239</sup>dudek (daw., pot.) — głupek. [przypis edytorski]

Zośka przywitała go tym nieodmiennym w swej niefrasobliwości i swobodzie powitaniem, tak niespodziewanym u wiejskiej dziewczyny, i nie przerwała swojej roboty.

— Już pan spać będzie? To dziś wcześnie!

— Nie, muszę się przebrać — odpowiedział.

Rzuciła nań okiem i zawołała:

— O rany! Pan cały we krwi!

Zdjął marynarkę. Istotnie, w wielu miejscach widniały duże plamy.

— Co panu? Pokaleczył się pan?

— Nie — odpowiedział krótko.

Dziewczyna wzięła marynarkę do ręki i zapytała:

— A skąd tyle krwi?

— Deszcz taki czerwony padał — zażartował Drucki.

Zrobiła się nagle bardzo poważna i przyglądała mu się w milczeniu.

— No, co się gapisz, mała? — śmiał się. — Wyjmij z szafy czarne ubranie i idź spać.

Spełniła jego polecenie, lecz zatrzymała się w drzwiach.

— Proszę pana — zapytała jakimś tajemniczym głosem — a może by lepiej zaraz zaprac?

— A to się da?

— Póki świeże, to się da. I śladu nie będzie... Czy tylko ojciec nie widział?

Odwrócił się do niej. Stała z marynarką w ręku, a skupiona tajemniczość w twarzy była niezwykle zabawna.

— Bo co ty myślisz, Zośka, że ja kogoś zamordowałem?

Nie poruszyła nawet ustami, lecz było oczywiste, że nie wątpiła w to.

— Nie obawiaj się! Wszyscy żywi i zdrowi. A marynarkę uprać można choćby za parę dni.

— A może lepiej zaraz — nie uwierzyła — strzeżonego Pan Bóg strzeże.

— Ach, ty! Cóż ty, mała, myślisz, że Pan Bóg strzeże morderców? — zaśmiał się.

— Ja tam nie wiem... Ale lepiej upiorę. Zawsze lepiej, żeby śladu nie było.

— Cóż ci na tym zależy? — zainteresował się.

— No, bo mogą pana nakryć — powiedziała po prostu.

— A czy ty wiesz, że jeżeli odkryją, żeś mi tę marynarkę prała, to i ciebie wsadzą do ciupy?

— Niby za co?

— Żeś pomagała ukryć zbrodnię.

Wahała się chwilę i w końcu wzruszyła ramionami.

— A to niech!

Wzruszyło go to i czuł nieprzepartą chęć wyrażenia jej swojej sympatii i wdzięczności. Że zaś tego rodzaju uczuć nie umiał objawiać inaczej, przycisnął ją do siebie, podniósł jej podbródek i pocałował w usta.

Usta były jędrne i gorące, a skóra pachniała mlekiem.

Dziewczyna stała nieruchomo. Nie oddała pocałunku ani się nie opierała. Tylko oczy spuściła i oddychała nieco szybciej, a jej duże, wypukłe piersi wznosiły się szybkim rytmem pod różowym perkalikiem bluzki.

Drucki zgrzytnął zębami i zaśmiał się nieszczerze.

— No, Zośka, jesteś bardzo dla mnie dobra. Dziękuję ci, a tu masz na cukierki.

Podał jej banknot, lecz ona potrząsnęła głową.

— Nie chcę.

— Weź, weź, nie udawaj mi hrabiny.

— Kiedy ja nie lubię cukierków. I niech pan nie myśli, że ja do pana z życzliwością, bo pan mnie płaci!... Ja tak... z przyjaźni.

— No i ja ci daję z przyjaźni.

— Ja i tak nikomu nie powiem.

Usiadł na tapczanie, zapalił papierosa i kazał jej podejść.

— Słuchaj, mała. Nie nabijaj sobie głowy głupstwami. Krew jest stąd, że przejechałem jedną osobę. Czy wierzysz mi?

— Wierzę.

Pocałunek

— No więc, nie trzeba prac, a trzeba marynarkę oddać do pralni chemicznej. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— I nie ma tu nic do ukrywania. A że mi okazałaś swoje dobre serce, to pozwól, że i ja tobie je okazę i weź to na cukierki.

Wahała się sekundę i potrząsnęła głową.

— Nie.

— Dlaczego nie? — zirytował się.

— Bo i pan mnie też okazał dobre serce — zarumieniła się — ot, jesteśmy na kwit.

Zakręciła się na pięcie i wybiegła.

Drucki siedział i palił papierosa. W skroniach czuł wyraźne uderzenie pulsu, a w nozdrzach zapach skóry, świeżej, gładkiej skóry, pachnącej mlekiem.

— Może jeszcze nie śpi — powiedział głośno.

Zerwał się, wziął słuchawkę telefonu i wymienił numer Alicji<sup>240</sup>, lecz rzuciwszy okiem na zegarek, zawołał:

— Nie, proszę pani, nie! Proszę nie łączyć! Pomyliłem się.

— Więc który numer pan chce? — zapytała telefonistka.

— Ja, proszę pani, nie co do numeru pomyliłem się, tylko co do godziny! — zaśmiał się.

— Aha, że tak późno?

— Właśnie. Za późno się namyśliłem.

Zaśmiała się zalotnie.

— A pan do kobiety dzwonił?

— Tak, moja pani. A tymczasem już jest po trzeciej, ona oczywiście śpi i będzie zła, że ją budzę.

— Niech się pan nie boi. Nie będzie zła. Żadna kobieta o to się nie pogniewa. Chyba że...

— Chyba że ten, kto dzwoni, jest stary i brzydki? — podchwycił.

— Ano tak — zaśmiała się.

— A widzi pani! Ja właśnie jestem bardzo brzydki i mam wielką, siwą brodę.

— To niech się pan ogoli! — odpowiedziała wesoło i wyłączyła aparat.

— Szelma — westchnął Drucki i zaczął się przebierać.

## ROZDZIAŁ 18

Julka zdała maturę. Oczekiwała wielkiego szczęścia, jakie miał dać jej ten przełomowy moment, i była nieco rozczarowana własną obojętnością.

Właściwie cieszyła się tylko tym, że wszyscy muszą ją teraz uważać za dorosłą pannę i że nie trzeba będzie zrywać się co dzień do szkoły.

Alicja w tym wielkim dla Julki dniu nie mogła brać udziału w jej radości, gdyż w sądzie rozpatrywano jakąś niezmiernie ważną sprawę, w której Alicja prowadziła oskarżenie. Prawdopodobnie nawet na obiad nie przyjdzie i ten galowy, uroczysty obiad Julka odcelebruje we dwójkę z panem Winklerem, z panem Jankiem, jak go nazywała.

Tym się zresztą zbyttnio nie martwiła. Tak rzadko zdarzała się jej sposobność pozostawiania z nim sam na sam, kiedy to nareszcie musiał zwracać z konieczności na nią uwagę.

Przy Alicji w dodatku nigdy nie mówił o swoich podróżach, czego można było słuchać godzinami z zapartym oddechem. Julka przepadała za tymi chwilami, kiedy udawało się jej przy pomocy bardzo przebiegłej dyplomacji zwrócić rozmowę na temat jakiegoś egzotycznego kraju, jakichś plemion, sztuki poławiania wielorybów czy pereł, trudów poszukiwaczy złota czy polowań na węże.

<sup>240</sup>wziął słuchawkę telefonu i wymienił numer Alicji — przed upowszechnieniem się automatycznych centrali telefonicznych połączenie dwóch użytkowników było realizowane ręcznie przez operatorkę firmy telekomunikacyjnej, która łączyła ze sobą dwie linie za pomocą wtyczki i gniazda; chcąc przeprowadzić rozmowę telefoniczną, należało ze swojego aparatu ustnie zgłosić telefonistce numer, z którym powinna połączyć. [przypis edytorski]

Wówczas stopniowo wyraz twarzy pana Janka tracił swój pogodny, przyjacielski wyraz, zaostrzały mu się rysy, ostro połyskiwały oczy, a nozdrza rozchyłały się, jakby w nie wciągał zapach dżungli czy ostrą woń morza.

Och, stawał się wtedy taki piękny! Taki wspaniały, taki bohaterki! Mięśnie zdawały się grać pod śniadą skórą twarzy, brwi spinały się w ostry łuk, a głos wydobywał się z szerokich, dudniących najdziwniejszymi echami płuc, echami splatającymi się w żywej wyobraźni Julki z rykiem fal dalekich mórz, z wyciem wichru w żaglach, z tętentem kopyt kowbojskich koni, ze słodkimi melodiami hawajskich pieśni, z szumem dziewiczych puszczy, pełnych odgłosów dzikich bestii, z hukami dział pancerników i trzaskiem strzelaniny w portowych tawernach...

Ach, głos jego był wówczas potężną rapsodią<sup>241</sup>, w której słyszała całą wielkość, bujność i piękność świata!

Gdy zaczynał mówić tak prosto, tak jasno i zrozumiale, wpadała jakby w trans, jakby w odurzenie. Na grzbiecie czuła nieznane dreszcze, na wargach smak słonej wody, a w młodych, nierozwiniętych piersiach dojmujące dziwne ściągnięcie.

Wydymował papierosa z ust, spoglądał w okno i zaczynał:

— Na Filipinach Pacyfik jest wiosną cichy i łagodny. Drobne fale prawie bez szmeru układają się na płaskim brzegu...

Albo też:

— O dzień drogi od Forbes<sup>242</sup> zaczyna się kraina kangurów...

Julka siedziała wtulona w kąt sof, nieruchoma, z podciągniętymi pod siebie nogami, i zamieniała się w słuch.

Gdy w trakcie opowiadania spojrział czasem na nią, dodawał wówczas te słowa: „moja mała”, a były one piękniejsze od wszystkich słów, jakie człowiek wymyślił.

Jakże szczęśliwa jest Alicja, że będzie żoną pana Janka! Że on ją kocha. O, bo Julka była pewna tego, że kocha i że stara się o rękę Alicji. Alicja zresztą w zupełności zasługuje na jego miłość. W zupełności. Może żadna inna na całym świecie nie warta byłaby jednego małego palca pana Janka, lecz Alicja sama jest tak wspaniale piękna, taka rozumna, taka wartościowa. Julka w życiu swoim nie spotkała kobiety, dla której — abstrahując od osobistych uczuć — musiałaby mieć tyle pietyzmu<sup>243</sup>.

Nie zazdrościła jej niczego, nie zazdrościła nawet pana Janka. Przeciwnie! Całym sercem życzyła jej tego szczęścia, o jakim sama, głupiutka, pospolita i przeciętnie zaledwie ładna dziewczyna ani marzyć, ani śnić nie mogła.

Może los tak zrządzi, że i ona kiedyś, kiedyś spotka w życiu mężczyznę, który bodaj w czymkolwiek będzie podobny do pana Janka, i może tamten zechce ją wziąć za żonę... I może też będzie do niej mówił... „moja mała”...

Wprawdzie pan Janek nigdy do Alicji w ten sposób nie mówi. Mówi „pani Al”, lecz po ślubie naturalnie będzie jej mówił „moja mała”.

Julka dwa razy zapytywała Alicję o pana Winklera.

Sama, nie mając żadnych tajemnic przed Alicją, powiedziała jej, że szczęśliwa jest, że się pan Janek i Alicja kochają, bo pan Janek jest cudowny.

— Podoba ci się? — z uśmiechem zapytała Alicja.

— Bardzo! Ale to bardzo! Tak się cieszę, że się kochacie... Prawda, że się kochacie, Alu?

— Prawda, Juleczko, kochamy się.

— A czy on ci się już oświadczył? Czy prosił cię już o twoją rękę?

— Jeszcze nie, niezupełnie — wymijająco powiedziała Alicja.

— Ale tak, to jesteście jakby nieoficjalnie zaręczeni?

— Jakby — potwierdziła i przeszła do innego tematu.

Od tego czasu nurtowała Julkę dziwnie niepokojąca ciekawość: czy też oni całują się, gdy są sami? W gruncie rzeczy nie byłoby nic nadzwyczajnego, gdyby się całowali. Wszyscy naręczeni się całują — perswadowała sobie — a oni przecież są prawdziwie zaręczeni.

<sup>241</sup>*rapsodia* (muz.) — utwór instrumentalny o swobodnej formie oparty na motywach muzyki ludowej. [przypis edytorski]

<sup>242</sup>*Forbes* — miasto w Australii, w stanie Nowa Południowa Walia. [przypis edytorski]

<sup>243</sup>*pietyzm* (z łac. *pietas*: pobożność) — głęboki szacunek, cześć dla jakiejś osoby lub rzeczy. [przypis edytorski]

Jednak nie mogła się z tym pogodzić. Wszyscy tak, ale oni na pewno nie. Alicja przed ślubem na pewno nie całowały się! Najprościej zresztą zapytać ją o to, chociaż to niedyskretne. Po paru dopiero dniach noszenia się z tym zamiarem zdobyła się na decyzję i zapytała, całując ją na dobranoc:

— Alu, czy wy z panem Jankiem całujecie się?

Alicja obrzuciła ją zdumionym spojrzeniem.

— Pytam, Alu, bo przecie wiem, że narzeczeni zawsze się całują — dodała Julka na swoje usprawiedliwienie.

— O czym ty myślisz, Juleczko! — strofującym tonem odpowiedziała Alicja. — Masz egzaminy na głowie, a zajmujesz się stawianiem niedorzecznych pytań. Dobranoc, kochanie, idź spać.

„No naturalnie, że nie całują się” — myślała Julka, zasypiając, i nie wiadomo dlaczego była tym ucieszona. Gdyby się całowali, postępowaliby bardzo brzydko! Nie umiała tego uzasadnić, ale zdawało się jej, że wówczas zawiedliby jej zaufanie.

Odtąd zadawała się własnymi obserwacjami, które jeszcze dalej odsunęły jej nieczesne podejrzenia.

Żegnała się teraz z koleżankami. Nie bez żalu rozstawiała się z większością. Obiecywały sobie korespondować i po wakacjach urządzić w szkole zjazd.

Wybiegła, z łezkami w kącikach oczu, na ulicę i szła prędko do tramwaju, gdy usłyszała za sobą głos:

— Panno Julko!

Odwróciła się i aż krzyknęła z wrażenia — przed nią stał doktor Czuchnowski.

— Doktorku! — zawołała. — Dzień dobry! Tyle czasu pana nie widziałam! Co pan porabia?

Uściskał jej rękę. Był widocznie wzruszony.

— Ja, panno Julko, pracuję.

— Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, że pana spotkałam.

— O, to nie zbieg okoliczności — uśmiechnął się — umyślnie czekałem na panią.

— Umyślnie?

— Tak. Przecie dziś pani otrzymała maturę. Chciałem powinszować.

— Pamiętał doktorek — rozczuliła się. — Jaki pan dobry!

Wyglądał mizernie i jeszcze bardziej nieporadnie niż dawniej. Jego ubranie nosiło ślady niedbałości. Był nieogolony i miał stary, źle zawiązany krawat.

— Jakżebym mógł nie pamiętać tak uroczystego dnia — mówił — przecie to upragniona data...

— A nie pomyślał pan, że mogłam się obciąć<sup>244</sup>? — zapytała wesoło.

— Pani? Ani mi to do głowy nie przyszło — protestował.

— Doktorek w którą stronę? Może mnie pan odprowadzi?

— O nie, nie — przestraszył się — tylko kawaleczek. Pani pewnie przykro iść po ulicy w tak pięknej sukience w towarzystwie tak nieeleganckiej osoby, jak ja...

Uczuła dla niego wiele, wiele litości. Nie wątpiła, że ją lubi, ale wiedziała, była tego pewna, że miesiącami czekał tej okazji, by się czegoś dowiedzieć o Alicji. Chętnie powiedziałaby mu jak najwięcej, gdyby nie to, że wszystko, co mu mogła powiedzieć, byłoby dlań bolesne. Dlatego wolała mówić o szkole i planach na lato.

Na następnym przystanku tramwajowym pożegnał ją.

„Jakiż on nieszczęśliwy — myślała, wracając do domu — jaki smutny. Ale chyba sam rozumie, że może tylko do siebie mieć żal. Dziwiłabym się, gdyby już nie Alicja, ale jakakolwiek kobieta mogła go pokochać. Taki już jego los... Los, swoją drogą, jest niesprawiedliwy, takiemu panu Jankowi dał wszystko, a doktorowi nic”.

Już w przedpokoju stwierdziła, że pan Janek jest. Na jednym z kinkietów<sup>245</sup> tkwił jego jasny, prawie biały kapelus z szerokim rondzie. Że też nigdy po ludzku nie umieści swego kapelusza!

<sup>244</sup>obciąć (pot.) — dać komuś na egzaminie ocenę niedostateczną; obciąć się: nie zdać egzaminu, oblać. [przypis edytorski]

<sup>245</sup>kinkiet — przyścienny świecznik lub lampa. [przypis edytorski]



Wbiegła do jadalni i stanęła jak wryta: przed nią na podłodze leżał olbrzymi gumowy żółw, a na jego grzbiecie siedział pan Janek w stosownym kapeluszu, zrobionym z gazety, i przepasany wielką, czerwoną dętką samochodową.

Na jej wejście zaszalutował i tonem meldunku zawołał:

— Admirał floty bałtyckiej Jan Winkler melduje się na czele eskadry waszej królewskiej mości po rozkazy!

— Ach! — krzyknęła. — To moja eskadra?

— Tak. Oto jest „Żółw”, łódź podwodna.

— Podwodna? Dlaczego?

— Bo siadłszy na niej, nic łatwiejszego, jak znaleźć się pod wodą.

— Wspaniała! Boże, co za ogrom!

— A to — zdjął z siebie dętkę — jest pływający dok. Siada się w nim w ten sposób i wiosłuje rączkami.

— Ach... i to dla mnie?

— O ile pani jest Julią Pierwszą, królową Bałtyku i naczelną syreną tego morza, to tak.

— Bardzo, bardzo dziękuję — wyciągnęła doń obie ręce.

Drucki niespodziewanie chwycił ją pod pachy i kilkakrotnie podrzucając pod sufit i łapiąc w powietrzu, wołał:

— Hip, hip, hurra! Hurra!

— Oj, spadnę! — popiskiwała, a gdy ją wreszcie postawił zaczerwienioną na podłodze, zrobiła obrażoną minkę.

— Czy to tak postępuje się z dojrzałymi osobami?

Zmrużył oczy i powiedział:

— Ech!... Można by jeszcze inaczej...

— O! Na przykład?

Wpatrywał się chwilę w jej roziskrzzone oczy, w rozchylone usta, w smukłą figurkę, zastygłą w jakimś oczekiwaniu.

— Jesteś śliczna, moja mała — powiedział nieoczekiwanie dla samego siebie.

Julia zbladła i zamknęła oczy. Drucki opamiętał się i nienaturalnie swobodnym tonem zawołał:

— A może byśmy tak coś zjedli?

— Tak, tak — zerwała się spłoszona — pan pewno głodny.

Nacisnęła guzik dzwonka.

— Jestem głodny jak sam zezowaty Billy.

— Więc siadajmy. Zaraz dostaniemy paszteciki z mózdzkiem.

— No i chyba dziś wypije pani dla uczczenia historycznego momentu kieliszek korniaku, panno Julko? Co?

— Wypiję!

Józefowa zaczęła podawać. Drucki napełnił kieliszki.

— Zdrowie dorosłej osoby! — wznosił toast.

— O, jakie to niesmaczne — skrzywiła się — brrr... czuję, że nigdy nie będę pijakiem.

Proszę, panie Janku... A dlaczego powiedział pan, że jest głodny jak zezowaty?...

— Billy?... Ach, to taka historia o pewnym żarłoku, którą zna każdy marynarz.

— Któż to był ten Billy?

— Podobno był! Możliwe, że wszystko jest tylko anegdotą, wymyśloną dla reklamy baranów z wyspy Hartog<sup>246</sup>, w Zatoce Rekinów.

— Dlaczego baranów?

— Bo wyspa ta słynie z wielkości hodowanych tam baranów. Otóż, pewnego razu, podczas dorocznego jarmarku wełnianego w Adelajdzie<sup>247</sup>, jeden z farmerów przechwalał się, że ma w stadzie takie barany, których nie zdoła dźwignąć najsilniejszy człowiek. Ponieważ działo się to w portowym barze, przechwalki te zgniewały szypra<sup>248</sup> szkunera<sup>249</sup>

<sup>246</sup> *Dirk Hartog* — wyspa u zachodnich wybrzeży Australii, w Zat. Rekina, nazwana na cześć jej odkrywcy Dirka Hartoga. [przypis edytorski]

<sup>247</sup> *Adelajda* — duże miasto w pld. Australii. [przypis edytorski]

<sup>248</sup> *szyper* — dowódca mniejszego statku lub dużej łodzi. [przypis edytorski]

<sup>249</sup> *szkuner* — żaglowiec mający dwa lub więcej masztów o ożaglowaniu skośnym. [przypis edytorski]

„Albatros”. Już nieco podchmielony, uderzył pięścią w stół i oświadczył, że takiego barana na świecie nie ma, którego by on nie podniósł. A co więcej, dodał, że zna człowieka, który może z łatwością zjeść na jednym posiedzeniu całego barana dowolnej wielkości.

— Czyżby to było możliwe? — zdziwiła się Julka.

— Otóż — ciągnął Drucki — i farmer w to nie uwierzył. Stał tedy gruby zakład. Farmer twierdził, że wybierze takiego barana, którego ani ów szyper nie uniesie, ani jego żarłok nie potrafi zjeść. Szyper obstawał przy swoim, wobec czego postanowiono natychmiast, gdy tylko „Albatros” załaduje swoją wełnę, płynąć do Zatoki Rekinów. Oprócz farmera na pokład weszło jeszcze kilkunastu gapiów i łazików, których w Adelajdzie, jak zresztą i w każdym porcie nie brak. Między nimi też powstały zakłady. Ci, co widywali barany z wyspy Hartog, stawiali za farmerem, ci zaś, którzy znali apetyt bosmana<sup>250</sup> z „Albatrosa”, zezowatego Billy’ego, za szyperem.

— No, i którzy wygrali?

— Ani jedni, ani drudzy. Po przybyciu na miejsce farmer wybrał istotnie olbrzymiego barana. Związano go i położono na ziemi. Szyper, tęgi drab, przez godzinę na próżno się pocił, usiłując barana podnieść, i wreszcie zrezygnował.

— A ten zezowaty?

— Billy. Właśnie zezowaty Billy nie.

— A widział barana?

— Nie widział. Wcale nie schodził z pokładu. Utrzymywał tylko, że zje. Więc pod nadzorem obu zakładających się stron barana zarżnięto, wypatroszono i obdarto ze skóry, po czym z głowy, nóg i z wątroby zrobiono potrawkę, a całe mięso upieczono. Wtedy dopiero sprowadzono bosmana. Na stole postawiono dwa ogromne półmiski z potrawką i butelkę whisky, a farmer, pewien swego, zażartował: „No, Billy, najpierw mała przekąska!”. Bosman zabrał się do jedzenia, lecz pochłonawszy półtora półmiska, odłożył łyżkę i oświadczył: „No, dość tych przekąsek. Każcie teraz dać barana, bo później może mi minąć apetyt”.

— Jak to? — nie zorientowała się Julka. — Więc on myślał, że to była dodatkowa przekąska?

— Oczywiście.

— No i co się stało z resztą?

— Zjadł wszystko. Tak przynajmniej mówi anegdota, opiewająca chwałę baranów z wyspy Hartog i żarłoków z Belfastu<sup>251</sup>. Zezowaty Billy był bowiem Irlandczykiem.

Julka śmiała się i zasypywała pana Janka niezliczonymi pytaniami, na które on odpowiadał wesoło.

— To dziwne — powiedziała Julka — uczą nas przecie w szkole i geografii, i botaniki, i zoologii, i ekonomii, a nikt z nas po tym wszystkim nie ma zielonego pojęcia o świecie. Gdybym miała gimnazjum, nie, uniwersytet, tobym ustanowiła tam katedrę... światologii, a pana mianowałabym profesorem.

— Wolałbym katedrę życiologii... stosowanej — zażartował.

— Czyli uczyłby pan ludzi żyć? O, ja byłabym pańską najpilniejszą słuchaczką...

Zadzwoił telefon. Alicja zawiadamiła, że rozprawa skończy się bardzo późnym wieczorem, wobec czego radziła im wybrać się do kina, jeżeli pan Winkler ma czas.

Pan Winkler miał nie tylko czas, lecz i ochotę, wobec czego pojechali do kina, gdzie wyświetlano film Claira *A nous la liberté*<sup>252</sup>. Drucki był już na nim z Alicją, teraz jednak chciał pokazać ten film Julce.

— Widzi pani — mówił — gdybym został profesorem życiologii, posyłałbym wszystkich słuchaczy na ten film i obcinałbym bez pardonu tych, którzy nie będą nim zachwyceni.

— O, więc i ja muszę się zachwycać?

— Tu nie chodzi o przymus — odpowiedział poważnie — lecz o zbadanie kwalifikacji życiowych, taki rodzaj egzaminu psychotechnicznego. Komu nie odpowiada *A nous la liberté*, powinien natychmiast przenosić się z wydziału życiologii na wydział prawa.

<sup>250</sup>bosman — starszy marynarz. [przypis edytorski]

<sup>251</sup>Belfast — stolica i największe miasto Irlandii Północnej. [przypis edytorski]

<sup>252</sup>*A nous la liberté* (pol.: *Niech żyje wolność*) — francuska komedia muzyczna z 1931 w reżyserii René Claira. [przypis edytorski]

— Dlaczego właśnie prawa?...

— Hm... Dlatego, że prawo uczy, jak uszczęśliwić siebie i innych wbrew naturze, a moja katedra głosi inną filozofię. Nie znaczy to bynajmniej, bym uważał moją za lepszą! Po prostu jednej kategorii ludzi odpowiada to, a innej tamto.

— Więc ten film?...

— Jest, jak myślę, niezawodnym sprawdzianem kategorii, do której ktoś należy.

Zamyślił się i powiedział:

— Najgorzej jest tkwić nie w swojej kategorii.

— Dlaczego?

— Bo się człowiek szarpie z samym sobą i nigdy nie będzie żył pełnią życia. Nie może doznać prawdziwego szczęścia.

Powiedział to z myślą o Alicji. Gdy był z nią w kinie, tak określiła film:

— Jest to najpiękniejszy i najmądrzejszy film, jaki kiedykolwiek widziałam. Nie mówię o stronie technicznej, lecz o filozoficznej. Za tę filozofię, stojąc na stanowisku prokuratora, powinnam złożyć wniosek o zakazanie demonstracji tego filmu.

Nic jej wówczas nie odpowiedział, gdyż dyskusje z Alicją zrażały go do niej, a tego nie chciał. Poglądy Alicji miały w sobie coś sadystycznego i masochistycznego, raziły bezwzględnością, odpychały zawziętą pasją.

Przy jakiejś okazji zwrócił jej na to uwagę, dodając, że nie godzi się to z jej społeczną pozycją stróża moralności.

Wówczas odpowiedziała mu:

— Wszyscy stróże moralności rekrutują się z ludzi o podłożu najbardziej niemoralnym. Są to indywidualia tak przerażone nadmiarem brudu, pokrywającego dno ich świadomości, że wszędzie widzą brud i aż wyją o zakazy i anatemy<sup>253</sup>. W szlamie zapełniającym ich podświadomość ci ideowi moralisci mają wylegarnię sprzeciwów przeciw własnej naturze. Dlatego nie wiedzą, kim są, i tę reakcję uważają za swoją naturę. Najzawzięciej tępi złodziejstwo ten, który jest wręcz predestynowany na złodzieja. Pornografie wszędzie widzi ten, który w swym gruncie jest najbezwstydniejszym erotomanem. Cała jego uwaga koncentruje się na kwestiach płciowych i w tym widzi największą zbrodnię. Przeważnie jest zwykłym brudasem i płaskim hipokrytą<sup>254</sup>, czasami jednak święcie wierzy w swój wstręt do spraw seksualnych. Wówczas jest erotomanem, u którego mamy do czynienia z urazem psychicznym, powstałym na tle gwałtownego zahamowania popędów erotycznych i wbicia ich w podświadomość, skąd nadają siłę diametralnie przeciwnej reakcji. Tacy są stróże moralności. Różnią się od nich tylko tym, że znam siebie i nie łudzę się, no i tym, że stać mnie na należyłą ocenę moralności w ogóle.

Cnota

Drucki nie zgadzał się z Alicją, nie rozumiał jej i nie chciał rozumieć.

Spojrzał teraz na Julkę i powtórzył:

— Najgorzej jest tkwić nie w swojej kategorii.

— Ciekawam, do której ja siebie zaliczę po tym filmie — powiedziała Julka. — Ala mówiła mi, że film jest niemoralny i społecznie szkodliwy.

Właśnie seans się skończył i weszli na widownię.

Film zrobił na Julce wielkie wrażenie. Była dość inteligentna, by szybko zorientować się w jego tendencji. Twórca w sposób subtelny wykpiwał wszystko to, co ogranicza wolność człowieka, co jeży się zakazami, co piętrzy się murami więziennymi: państwo, społeczeństwo, rodzina, praca, posiadanie... Wykpiwał, demaskował, z uśmiechem po-brzękiwał tym wszystkim, co uważał za bezwartościowe blaski, za liczman<sup>255</sup>, którymi nie można kupić sobie prawdziwego szczęścia. Bo szczęściem jest tylko wolność. Niefrasobliwa wolność włóczęgi, idącego w świat z wesołą piosenką na ustach, z piosenką: „*a nous la liberté*”, *la liberté* i nic więcej, i niczego nam więcej nie trzeba.

Gdy wyszli z kina, Julka powiedziała:

<sup>253</sup> *anatema* — klątwa kościelna, oficjalne potępienie. [przypis edytorski]

<sup>254</sup> *hipokryta* — człowiek, którego postępowanie cechuje *hipokryzja*, czyli udawanie, obłudność, fałsz, dwulicowość: głośne, obliczone na pokaz przyznawanie słuszności pewnym zasadom postępowania i normom moralnym przy jednoczesnym niestosowaniu się do nich w działaniu; niespójność taka w przypadku hipokryty jest zamierzona i obliczona na konkretne korzyści. [przypis edytorski]

<sup>255</sup> *liczman* — krążek miedziany lub mosiężny zastępujący monetę, służący do rozliczania się w grze; żeton. [przypis edytorski]

— Jest to piękne, ale...

— Co ale?

— Ale nie umiem powiedzieć, do jakiej kategorii muszę się zaliczyć. Nasza nauczycielka niemieckiego, powtórzyłaby po tym filmie swoje ulubione „*die Gedanken sind zollfrei*”<sup>256</sup>...

— Oczywiście, miałyby nawet sporo racji — powiedział Drucki.

— Ten wesoły anarchizm sugestionuje<sup>257</sup>. Jednak mnie się wydaje, że umiałabym pogodzić osobistą wolność z tym, co stanowi nasze życie.

Drucki nic nie odpowiedział. Znowu po wyjściu z tego filmu uczuł niedający się nazwać niepokój, jakąś nagłą tęsknotę, pragnienie przestrzeni. Zdawało mu się, że marnuje, przesypania życie...

— Nad czym się pan zamyślił? — zapytała Julka.

— Starzeję się, panno Julko, starzeję.

— O! — zawołała z powątpiewaniem.

— Tak, zamyślanie się nad sobą jest pierwszym tego objawem.

— To znaczy, że lepiej nie myśleć.

— Naturalnie, lepiej nie myśleć.

Gdy odwiózł ją do domu, nie było jeszcze Alicji. Julka zakrzętała się, przygotowując stół do kolacji.

— Puszczę gramofon, żeby się panu nie nudziło — oświadczyła.

Ponieważ siedział milczący i jakby smutny, podeszła do niego i leciutko pogłaskała go po rękach.

— Proszę się nie martwić, bardzo proszę... Ja nie chcę, żeby pan był smutny.

Roześmiał się.

— Więc będę wesoły! Puścimy fokstrotę i zatańczymy!

— Wolę walca.

— Dobrze, tańczmy walca.

Tańczyli właśnie, gdy wróciła Alicja.

— Co widzę — zawołała — tutaj prawdziwy bal!

— Tak, bal wydany na cześć panny Julii Horn, z okazji maturalnej — odpowiedział Drucki.

— Alu! Patrz, co dostałam od pana Janka! — cieszyła się Julka, ciągnąc gumowego żółwia i oponę. — Cały ekwipunek morski!

— Wspaniały — przyznała Alicja. — Zatem pojutrze wyjeżdżamy na Hel.

— Wiwat! Wiwat! — zaczęła podskakiwać Julka.

— Dorosła osobo! — udawał zgorzonego Drucki.

Resztę wieczoru spędzili we trójkę, omawiając szczegóły wyjazdu. Panie miały jechać pociągiem, a Drucki nazajutrz autem. Drucki wziął na siebie telegraficzne zamówienie trzech pokojów w pensjonacie „Godiva”, z którym już poprzednio pertraktowali listownie.

— Po co nam trzy pokoje? — zauważyła Julka. — Panu wystarczy jeden, a nam z Alą drugi.

— Lepiej wziąć dla każdej z nas osobny — wyjaśniła Alicja. — Nad morze jedziemy dla wypoczynku, a mieszkanie dwóch osób, bodaj najbliższych sobie, jest krępujące zawsze dla obu. Aha, bądź tak dobra i zrób z rana spis rzeczy, jakie byś chciała kupić. Jutrzejszy dzień poświęcimy sprawunkom.

Gdy Julka poszła do swego pokoju, Alicja powiedziała półgłosem:

— Czy wiesz, Boh, że ona jest przekonana, że my się nie całujemy?!

— Tym lepiej...

— Dla niej, oczywiście. Musimy dbać o utrzymanie Julki w jej przeświadczeniu.

— To jest złota dziewczyna i ma kryształowy charakter — odpowiedział Drucki. — Dużo bym dał za to, gdybym mógł ją zawsze widzieć szczęśliwą.

— Będzie nią z pewnością. To jest przecie cel mojego życia.

Starość

Dom

<sup>256</sup> *die Gedanken sind zollfrei* (niem. przysł.) — myśli są wolne od cla. [przypis edytorski]

<sup>257</sup> *sugestionować* — dziś: sugerować, wywierać wpływ, skłaniać do czegoś. [przypis edytorski]

Przed północą Drucki pożegnał się i pojechał do „Argentyny”, a przed trzecią już był w domu. Jak zwykle, zastał wszystko w idealnym porządku, wszystko przygotowane nie tylko z sumiennością, lecz wręcz z pieczołowitością.

„Jak ta mała dba o mnie” — pomyślał.

Po dobrze przespanej nocy obudził się na dźwięk głosu Zośki.

Stopniowo poznała jego zamiłowania i gusty i teraz już nie zasypywała go ustawicznymi pytaniami. Odwrotnie, zaczęła widocznie uważać za swój obowiązek bawienie opowiadaniem o kamienicy i jej mieszkańcach. A że głos miała miły, a sposób wyrażania się zabawny i swoisty, z przyjemnością z nią gawędził. Zauważył w niej również jedną oryginalną cechę: nie miała fałszywego wstydu. O sprawach wywołujących zwykle u kobiet dwuznaczny uśmiech czy zażenowanie mówiła z zupełną prostotą i swobodą. To samo w ustach innych byłoby nieprzyzwoite, a tu młodziutka dziewczyna mogła na przykład powiedzieć:

— Pewno, że chciałabym chłopca, ale mam czas. Kto dłużej wyczekuje, temu lepiej smakuje.

I nie było w tym nie tylko nic brzydkiego czy niesmacznego, lecz przeciwnie, dużo ujmującego wdzięku.

Także jej pogląd na specyficzną ornamentację łazienki był diametralnie przeciwny od poglądu jej starszej siostry.

— Frania mówi, że to nieprzyzwoite i że na to wstyd patrzeć, a ja jej mówię, że co w tym takiego? Wiadomo, każdy mężczyzna jest taki, jakiego Bóg stworzył. To ona mówi, że dlaczego ludzie goło nie chodzą, to ja mówię, że nie chodzą, bo zimno, to ona mówi, że latem jest gorąco, a ludzie i tak nie chodzą, bo to jest grzech, a ja mówię jej, że to ludzie i kradną, i zabijają, i obmawiają, a to jest grzech, a oni robią, a pani baronowa z drugiego piętra to guwernantkę wyrzuciła, że to rybę nożem jadła i mówiła, że to wstyd, a samej nie wstyd takiego szczeniaka, jak nasz Walek, do siebie namawiać. Co komu wstyd, a co komu nie wstyd, i tyle.

Kręciła się po mieszkaniu, napełniając je swoim świeżym głosem i zapachem świeżo upranego perkalu. Zdawała się napełniać sobą powietrze, stanowić sens i treść tego, co nazywał swoim domem. Wodził za nią oczyma, a gdy się ich wzrok spotykał, uśmiechali się do siebie.

Kiedy stawiała przed nim filiżankę, podawała pidżamę czy jakikolwiek inny przedmiot, nie unikała mimowolnego przesunięcia jego ręki, otarcia się oń ramieniem czy biodrem.

Drucki wówczas zaciskał zęby, lecz nie robił nic, co by przypadkowość i bezpretensjonalność tych zetknięć mogło zmienić w taki czy odwrotny sposób. Wiedział, że ta mała bardzo go lubi, lecz również miał pewność, że nie zdaje ona sobie sprawy ze swej podświadomej zalotności, która raczej była naturalną inercją<sup>258</sup> jej dojrzwania niż pragnieniem podniety.

— U pana to wcale goście nie bywają — powiedziała kiedyś — tylko ta piękna pani.

— Widziałaś ją?

— Bo to raz? Piękna, bo piękna, ale...

— Tobie nie podoba się?

— Co mi się tam ma podobać, czy nie? Tak, ot...

Pomyślał, że jest o nią zazdrosna, i zapytał:

— No, powiedz, mała, coś tam w niej увидziała?

Zośka, milcząc, sprzątnęła ze stołu, zaniósła tacę do kuchni i wróciwszy, bąknęła:

— Ona musi być bardzo zła.

— Dlaczego myślisz, że zła?

— Nie wiem. Oczy ma takie. Jak onegdaj<sup>259</sup> ja państwu bramę otwierałam, to tak na mnie spojrziała, jakbym jej co ukradła.

— Wydawało ci się.

— Może... Dobry człowiek na każdego dobrze patrzy. A ona i na pana nie patrzy się dobrze.

Roześmiał się.

Wstyd

Dobro, Wzrok

<sup>258</sup>inercja — bezwładność. [przypis edytorski]

<sup>259</sup>onegdaj (daw.) — przedwczoraj; dziś w znaczeniu: niegdyś, dawno. [przypis edytorski]

— Niech się pan nie śmieje. Wlepia w pana gały, bo pana kocha, a to co innego.

— Skądże ci, moja mała, przyszło do głowy, że ta pani mnie kocha?

— A bo ja taka głupia? Przecież widzę. Jeszcze pana miałaby nie kochać.

Nalala świeżej wody do wazonu i powiedziała:

— Na pana to wszystkie lecą. W całej kamienicy. Każda wypytuje, a to, a tamto. A ja mówię: „Spytajcie samego jego”. I już.

Drucki postanowił przed wyjazdem sprawić Zośce jakiś prezent. Ponieważ upierała się, by nie brać od niego napiwków, a chciał jej okazać wdzięczność, dyktując pannie Teci depeszę do pensjonatu „Godiva”, zapytał:

— Co by dać takiej małej córce stróża, która prowadzi moje gospodarstwo?

Po paru informacjach Teci poradziła, by w jednej z kas oszczędnościowych złożył pieniądze, a małej dał książeczkę na zadatek posagu.

Drucki zastosował się do tej rady i nazajutrz z rana powiedział:

— Słuchaj, Zośka, czy ty wybierasz się za mąż?

— A dlaczego pan pyta?

— No, bo chciałbym dowiedzieć się, czy masz posag?

— Mam — zaśmiała się, wyciągając przed siebie ręce — oto mój posag!

— No, to ja ci do niego jeszcze coś dodam. Weź tę książeczkę, a jak będziesz miała oszczędności, zanieś tam i złóż.

Wzięła nieufnie książeczkę, obejrzała ją i nie wiedząc, co to właściwie jest, powiedziała:

— Dziękuję.

Tego dnia Drucki miał wiele roboty. Przede wszystkim załatwił bilety kolejowe dla Alicji i Julki, później musiał wstąpić po pannę Łęską i zabrał ją na obiecany spacer.

Biedactwu nie mijają porażenie strun głosowych, lecz usposobienie jej znacznie się poprawiło. Z rozbawioną miną słuchała wesołych żartów Druckiego. Właśnie zmuszony był zatrzymać auto na skrzyżowaniu Brackiej z Jerozolimską i opowiadał o nowych osadach w Brazylii, gdzie pomimo braku ruchu kołowego ustawiono policjantów do jego regulowania, gdy na chodniku ujrzał przechodzącą Alicję.

Nie mogła go nie spostrzec, jednakże udąła, że go nie widzi. Tak mu się przynajmniej wydało.

I nie omylił się. Gdy w godzinę później przyjechał na Topolową, zastał Alicję przy pakowaniu walizek. Julki nie było, poszła pożegnać się z przyjaciółkami. Przywitał się i zaoferował swą pomoc. Podziękowała mu uprzejmie, ale z nieukrywanym chłodem. Po chwili, gdy w milczeniu zapalił papierosa, odezwała się:

— Cóż dziś porabiałeś?

— Ja? Ano, kupiłem dla was bilety, załatwiłem kilka interesów, zrobiłem małą przejażdżkę autem i oto jestem.

Umyślnie nie wspominał o ich spotkaniu. Chciał wiedzieć, czy go zainteresuje<sup>260</sup> i w jaki sposób.

— Wcale przystojna kobieta — odezwała się Alicja po chwili.

— Co za kobieta?

— No, ty chyba wiesz lepiej ode mnie, co to za jedna.

— Możliwe, Al, nie wiem tylko, o kim mówisz.

— O tej pani, która... pomagała ci w załatwianiu kilku interesów oraz w urozmaiceniu przejażdżki.

— A, rzeczywiście niebrzydka — odpowiedział spokojnie. — To jest pacjentka Brunickiego, panna Łęska.

Alicja wpatrzyła się w niego przenikliwym wzrokiem i odezwała się przyciszonym głosem:

— Słuchaj, Boh. Czy mogę ci wierzyć?

Wstał, objął ją i pocałował w usta.

— A czy mi wierzysz? — zapytał poważnie.

— Wierzę, Boh — skinęła głową — ale nie miej do mnie żalu. Kocham cię ponad wszystko... Widziałam was razem. Widziałam, że się uśmiechała do ciebie...

<sup>260</sup>interpelować — składać oficjalne zapytanie w sprawach urzędowych; tu żart.: pytać. [przypis edytorski]

— Nie miej jej tego za złe, Al, to jest bardzo nieszczęśliwa istota, a uśmiech stanowi jedyny sposób, w jaki może porozumiewać się z ludźmi.

— Dlaczego jedyny sposób?

— Ona jest niema. Przeżyła jakiś szok nerwowy i oniemiała.

— A Brunicki ją leczy?

— A może nawet więcej... może czuje do niej szczególną sympatię...

Więcej o tym nie mówili, ale Drucki wiedział, jak silnym i gwałtownym przeżyciem były dla Alicji te godziny podejrzeń. Nie zastanawiał się nad tym, lecz czuł odrobinę irytacji. Pojęcie wierności było dlań zawsze czymś śmiesznym i upokarzającym. W słowie tym tkwił zakaz dla niego wręcz niedorzeczny. Nie zdradzał, lecz nie był wierny.

Wierność, Zdrada

Panie wyjeżdżały o siódmej. Odprowadził je na dworzec i umieścił w przedziale. Po krótkich pożegnaniach i zapewnieniach, że wyjedzie jutro rano, stał na peronie i powiewał kapeluszem. Póki z oddali odpowiadała mu chusteczka Julki, myślał o niej i o Alicji. Gdy jednak na przestrzeni pociętej niezliczonymi rozwidleniami szyn pozostał tylko uchodzący i malejący punkt pociągu, z obłoczkami rwącego się dymu — zapomniał o wszystkim. Słyszał tylko dźwięk szyn, widział tylko ich nieskończoność.

Ogarnął go dziwny niepokój, niezrozumiałe uczucie, że czegoś zaniedbał, o czymś zapomniał, że spóźnił się i trzeba śpieszyć...

Przetarł czoło i wolnym krokiem zawrócił.

Przed nim leżało nieruchome, codzienne, rytmem ustalonych godzin pulsujące — miasto.

Miasto

Omali nie potknął się o chudego wyrostka, tkwiącego na skraju peronu. Stał z rękoma w kieszeniach wylatanych spodni, spod nasuniętej na czoło czapki patrzyły czarne oczy wzdłuż torów, roztapiających się we mgle.

„Nostalgia” — uśmiechnął się smutno Drucki i zatrzymał się.

— Co, przyjacielu — zapytał — chciałoby się w świat?

Chłopiec obrzucił go roztargnionym spojrzeniem, podciągnął porcięta i splunął cienką strugą śliny daleko...

Drucki zaśmiał się. Poczul nieprzepartą chęć dopomożenia temu wyrostkowi o chudych, opalonych policzkach do spełnienia jego marzeń.

— Słuchaj, przyjacielu, a gdybyś miał forszę, dokąd byś pojechał?

— Odczep się pan, co panu do tego?

— Głupiś, bracie, weź!

Chłopiec dopiero po chwili wyciągnął rękę po zwitek drobnych banknotów, przyjrzał się im od niechcienia i wsunął obojętnie do kieszeni.

Drucki kiwnął mu głową i zaczął przeciskać się przez tłum, wypełniający halę dworca.

Wsiadał już do samochodu, gdy uczuł, że go ktoś lekko pociąga za brzeg marynarki. Za nim stał ów wyrostek.

— Dziękuję panu — powiedział cicho.

— Głupiś — rzucił mu Drucki i z furią nacisnął starter.

Odprowadził wóz do garażu, polecając przygotować maszynę do dalszej drogi, potem zadzwonił do Brunickiego.

— Wyjeżdżam, Karolu, nad morze.

— Na długo?

— Może miesiąc, może dwa. Ale w tym czasie pewno wpadnę do Warszawy.

— A co będzie z panną Łęską?

— Trudno, muszę jechać. Przypuszczam, że teraz ty więcej czasu znajdziesz dla niej.

— Przynajmniej pisz do niej — prosił profesor.

— Dobrze. A jak tam... wszyscy zdrowi?

— W największym porządku. Zatem do widzenia.

— Do widzenia, Karolu.

Przed wieczorem był u Załkinda. Zawiadomił go o swoim wyjeździe oraz o tym, że zarząd „Argentyny” na ten czas powierzył kasjerowi Justkowi i barmanowi Grabowskiemu. Jeżeli nie będą mogli dać sobie rady, zadeszują na Hel. W razie zaś nagłych wypadków polecił Justkowi zwracać się do Załkinda.

Wpadł jeszcze na godzinkę do „Argentyny” dla wydania ostatnich instrukcji i wrócił do domu. Stróż, otwierając mu bramę, zaczął dziękować za książeczkę oszczędnościową Zośki, lecz przerwał mu:

— To drobiazg. Pamiętajcie, żeby tu wszystko było w porządku. O świcie wyjeżdżam.

Było jeszcze ciemnawo, gdy obudził go dźwięk klaksonu pod oknami. Niemal jednocześnie przyszła Zośka i żwawo zabrała się do przygotowywania śniadania.

Szofer, który przyprowadził wóz z garażu, zabrał walizki, by umieścić je w kuftrze samochodu.

— No, Zośka, bywaj zdrowa — powiedział Drucki, chowając do kieszeni mapkę trasy.

— Niech pan zdrow wraca — odpowiedziała swoim jasnym głosem.

Pogładził ją po policzku i poklepał po ramieniu.

W kwadrans później był już daleko poza rogatkami<sup>261</sup> miasta.

Willa „Godiva”, dwupiętrowy biały pałacyk wśród młodych sosen, wystrzelała nad ich ciemną zielenią swą jasnozieloną wieżyczką jak młodym pędem.

Alicja i Julka otrzymały dwa małe, śliczne pokoje na drugim piętrze. Jediną ich wadą, jak zaopiniowała Julka, było to, że nie łączyły się ze sobą.

Za to za niewątpliwą przewagę, co zaznaczyła Alicja, nad pokojami pierwszego piętra, gdzie zamieszkał pan Janek, uznać należało wspaniały widok na bezkresne morze.

Parter zajmowały: salon, jadalnia i mieszkanie właścicielki willi, pani Czerwieńskiej, sympatycznej starszej damy, wdowy po znanym pianście.

Pomimo zaledwie końca czerwca sezon kąpielowy już się rozpoczął, gdyż lato było wyjątkowo upalne. Nocami wprawdzie panował przejmujący chłód, a wieczorami wilgotna mgła zapędzała ludzi do domów, lecz już od południa plaże roily się od różnobarwnych kostiumów, pidżam i parasolek.

W „Godivie” tylko część pokojów dotychczas wynajęto. Na drugim piętrze mieszkała żona jakiegoś przemysłowca z Katowic i adwokat ze Lwowa, starszy już dżentelmen, na pierwszym gadatliwa ziemianka spod Kalisza z dwiema niebrzydkimi córkami, śpiewak operowy z Poznania i dwaj bracia Therling, młodzi yachtmani<sup>262</sup>, synowie konsula amerykańskiego w Warszawie.

Ci dwaj ostatni uważali za swój obowiązek przedstawić się wszystkim, pozostali zaś ograniczali się do wymiany zdawkowych ukłonów przy spotkaniu. Spotykano się zaś stunkowo rzadko, gdyż każde towarzystwo inaczej ułożyło sobie porządek dnia.

Gdy Alicja i Julka o ósmej rano schodziły do jadalni, zastawały tam tylko Druckiego, a czasami Therlingów, pośpiesznie dojadających śniadanie i śpieszących nad morze. Reszta pensjonariuszy spała często do jedenastej, to jest do czasu, gdy Alicja, Julka i Drucki wracali już z przechadzki i przebierali się na plażę. Obiad jedli o czwartej. Po obiedzie Julka musiała, według przepisów lekarza, przeleżeć godzinę. Nudziła się wówczas i nawet nie chciało się jej czytać.

Przed wieczorem robili krótkie wycieczki łodzią, wynajętą motorówką lub, w razie zbyt wielkiej fali, autem. Ponieważ jednak w aucie było miejsce poza Druckim tylko dla jednej tylko osoby, Alicja ustępowała je Julce. Zatapiała się wtedy w książkach, których sporo zabrała ze sobą.

Julka nade wszystko lubiła te chwile. Prawda, latami marzyła o wycieczkach morskich, ale teraz miała ich tyle. Prawda, były cudowne, ale ileż uroku miał w sobie ten furczący pęd auta, te jego płynne, a nagle zwroty pod nieznacznymi ruchami kierownicy, na której tak swobodnie, a tak pewnie leżała brązowa, żyłasta ręka pana Janka.

Zawsze tak prowadził, jedną ręką. Rozmawiał przy tym, odwracał głowę, śmiał się. Zdawało się, że kieruje żywą istotą, do której ma zupełne zaufanie i w której umiejętność wierzy. Początkowo ogarniał Julkę nieraz strach, gdy pan Janek, wymijając jakiś samochód, wlokący się z przepisową szybkością, cudem przemykał się między nim a pędzącym naprzeciw wozem, gdy nie hamując, w jakiś niewytłumaczony sposób przeprowadzał auto przez stado pędzących środkiem szosy krów.

Po kilku wszakże wycieczkach nabrała takiej pewności co do mistrzostwa pana Janka, że ani drgnęła nawet w najbardziej krytycznej sytuacji.

<sup>261</sup>rogatka — dawny posterunek na granicy miasta, na którym pobierano opłaty za wjazd; przen. granica miasta. [przypis edytorski]

<sup>262</sup>yachtmian (daw., z ang. *yachtman*) — żeglarz, właściciel jachtu. [przypis edytorski]



Zdarzyła się ona w ten sposób:

Na półwyspie Hel przejazdy kolejowe nie są zabezpieczone szlabanami. Kierowcy aut ostrzegani są o niebezpieczeństwie wyłącznie znakami drogowymi oraz dzwonieniem lokomotywy.

Pewnego razu na znacznej szybkości zobaczyli z prawej nadjeżdżający pociąg. Do przejazdu było ponad dwieście metrów i można było z łatwością wóz hamować, lecz pan Janek zrobił wręcz przeciwnie i dodał gazu, zawoławszy:

— Trzymaj się, mała!

Maszynista gwizdał i dzwonił gwałtownie, z otwartych okien pociągu rozległ się głośny wrzask przerażonych podróżnych.

Auto mknęło z szaloną szybkością w punkt, w którym musiało spotkać się z parowozem.

Julka ani przez moment nie czuła strachu: ona wiedziała, że nic złego nie stanie się. Wprawdzie zauważyła, że rysy twarzy jej towarzysza ściągnęły się, że z ust jego znikł uśmiech, ale jakież on był teraz piękny!

Żwir nasypu zadzwonił na błotnikach gwałtownym porywem pędu, w plecy uderzył gorący oddech parowozu i oto auto zaczęło zwalniać.

Obejrzała się: pasażerowie z pociągu krzyczeli coś, gniewnie wymachując pięściami.

— Panie Janku! Oni nam wygrażają! — zawołała z oburzeniem.

Zatrzymał samochód i też się obejrzał, co wzmogło jeszcze bardziej gestykulację w oknach. Pociąg teraz biegł wolno, gdyż widocznie maszynista w ostatniej chwili zahamował, chcąc zabrać ofiary katastrofy.

— Grożą nam i wściekają się — zaśmiał się Drucki. — Gdyby nas przejechali, rozczulaliby się nad nami i niejeden by się popłakał, ale ponieważ wyszliśmy cało, są na nas wściekli. Tak, panno Julko, tacy są ludzie. Nie brak im współczucia, ale tylko dla nieboszczyków.

Śmiali się oboje.

— A powinni mi podziękować za silne wrażenie — mówił — chodzą do kina, by je przeżyć w bezpiecznym fotelu i płacą za to pieniądze. Oczywiście myślą, że jest to zwykły fotomontaż, i dlatego nie przeżywają większej emocji. Pokazałem im wtedy, jak to wygląda naprawdę.

— Czyżby, panie Janku, w filmach robiono to też naprawdę?

— Nie zawsze, ale często. Widzi pani, moja mała, że mam w tym niejaką wprawę. Nabrałem jej właśnie w Hollywood.

— Pan był aktorem filmowym?! — zawołała z entuzjazmem.

— O nie, do tego nie mam żadnego powołania. Po prostu zastępowałem sławnych aktorów wówczas, gdy zdjęcia wymagały pewnego ryzyka, a ci bali się o swoją skórę. W Hollywood jest ponad tysiąc osób zarobkujących na takich zastępstwach.

— I pan dla zarobku?

— Po części dla zarobku, po części dla sportu. Takich gipsów<sup>263</sup> jak ten robiłem ze dwadzieścia, nie licząc prób. Ale jestem stary osioł, pewno napędziłem pani porządnego stracha, moja mała?...

— Pan?... O! Panie Janku! — głos jej drżał.

— Nie bało się maleństwo?

— Z panem... — wyszeptala — z panem niczego się nie boję...

Nie odpowiedział i tylko jego uśmiechnięte, złocące się oczy migotały jasnymi błyskami.

Julce uciekła krew z twarzy.

— Jedźmy — wymówiła, nie poruszając wargami.

— Dobrze, jedźmy.

Woda w morzu była jeszcze zimna i niewiele osób decydowało się na dłuższą kąpiel. Julka, siedząc w dętce samochodowej, żeglowała przy brzegu. Alicja odpływała na dobry kilometr, a pan Janek nawet przy wyższej fali codziennie oddalał się na przeszło godzinę.

Najpierw, siedząc na piasku, widziały jego brązowe ramiona w równych, silnych za-

Morze, Niebezpieczeństwo

<sup>263</sup> gips (pot.) — sprawa; zwykle we fraz.: taki gips, ładny gips. [przypis edytorski]

rzutach, migające nad grzbietami, później nił im z oczu i trzeba było popatrzeć przez lornetkę, by odróżnić jego jasną głowę od seledynowej barwy morza.

Alicja po pewnym czasie niezmiennie zaczynała się niepokoić, wstawiała z lornetką, by lepiej widzieć, spoglądała raz po raz na zegarek i uśmiechała się nerwowo. Natomiast Julka nie obawiała się wcale. Była pewna, że pan Janek nie może utonąć, że byłby to po prostu nonsens, żeby on mógł zginąć! Wiedziała, że powróci, że jeszcze dziesięć czy dwadzieścia minut, a znowu zobaczą duże, brązowe śmigły, przecinające pianę fal, że potem wychyli się z wody jego szeroka pierś, czarne majteczki i że będzie szedł ku nim swoim elastycznym krokiem, uśmiechnięty, oddychający głęboko, a strugi kropel będą ściekały po jego dziwnie gładkiej i cienkiej skórze, pod którą tak pięknie grają mięśnie.

Po pływaniu biegł jeszcze kilka minut, a one wodziły za nim oczyma.

Widziały, że także i inne kobiety, wylegujące się na piasku, nie odrywają od niego spojrzeń. Gdy Julka zwróciła na to uwagę, Alicja obojętnie wzruszyła ramionami. A Julkę to cieszyło: niech podziwiają, jaki niezrównany jest nasz pan Janek, niech nam zazdroszą.

I nagle przyłapała siebie: „Dlaczego nam?...”

Uczuła w sercu ostre ukłucie... „Nie nam, nie mnie, tylko Alicji...”

I natychmiast zgromiła siebie za egoizm, niewdzięczność i przyziemność.

Tak mijały dni.

Dwaj młodzi Therlingowie początkowo bardzo nadszkakiwali Julce, kilkakrotnie proponowali jej wycieczkę jachtem, lecz ona, pomimo namów Alicji, stanowczo odmawiała:

— Takie gołowasy! — pogardliwie wykrzywiła usta.

Gdy zaś pewnego popołudnia i pan Janek (na pewno namówiony przez Alę!) zaczął wychwalać starszego z Therlingów i radzić, by przekonała się, jak on sprawnie prowadzi jacht — Julka rozplakała się i pobiegła do siebie.

Teraz już nie umiała ukryć przed sobą, że kocha pana Janka, że go kocha nad życie.

Oczywiście, robiła wszystko, co umiała, by ani jemu, ani tym bardziej Alicji nie zdradzić starannie ukrywanej tajemnicy nieszczęśliwego serca. Udawała pogodną i wesołą, a tylko noce spędzała wśród łez i gorączkowych marzeń.

Nigdy nikogo nie kochała. Owszem, durzyła<sup>264</sup> się po dziecinnemu w panu Relmanie, nauczycielu fizyki, w brunecie z wielką teką, który zajmował mieszkanie naprzeciw okien klasy siódmej, w pani Letycji, młodziutkiej nauczycielce historii, w kuzynce rudej Waliszewskiej — w wielu. Ale teraz dopiero była to miłość, prawdziwa, wielka miłość, taka, od której się umiera.

Wstawiała mizerna, z podkrążonymi oczyma, ze śladami łez na policzkach.

— Julce nie służy, zdaje się, klimat morza — mówiła Alicja.

Istotnie nie służył. W ciągu dnia wypijała oczyma każdy jego ruch, wchłaniała w siebie niezrównany dźwięk jego głosu, spojrzeniami, jak ustami, przypadała do jego rąk.

A noce były długie, bolesne, beznadziejnie samotne.

Tak mijały dni, tak mijały tygodnie.

Żaden bunt nie rodził się w jej sercu, żadne nadzieje nie oplątywały jej myśli. Widziała, że poniosła klęskę i odpowiedziała rezygnacją. Cóż znaczyła jej mała, głupia miłość wobec miłości wzniosłej, bogatej, wspaniałej, jaką mu ofiarowywała Alicja?... Nic... I do Alicji nie miała żalu. Przeciwnie, tym bardziej ją uwielbiała, tym bardziej czciła jej miłość...

Wiedziała, że była to miłość święta, o, jakże inna od tych romansów, o których czyta w książkach, od tych chociażby, które mogła z łatwością zaobserwować w samym pensjonacie. Wstrętne! Młodszy Therling obcałowywał pokojówkę, a tenor operowy — o czym prawie głośno mówiono — spędzał noce w pokoju pani Czerwieńskiej... Brr... Ta panna spod Kalisza oczywiście udawała na plaży, że dostała porażenia słonecznego, tylko po to, by ją pan Janek musiał odnieść do domu. Bezcelna! Julka przecież dobrze widziała, jak bezwstydną kokietką tuliła się do jego nagiej piersi...

Tymczasem jednego dnia zdarzył się i znacznie poważniejszy wypadek, któremu było sądzono tak wielką rolę odegrać w życiu ich trojga.

Mianowicie dość silny wiatr odlądowy porwał gumowego żółwia. Gdy Julka to spostrzegła, było już za późno i na swej dętce nie mogła go dogonić, a że Janek przed chwilą

Uroda, Męczyzna

Miłość romantyczna,  
Miłość platoniczna

<sup>264</sup>durzyć się — kochać się w kimś. [przypis edytorski]

właśnie wrócił ze swej codziennej podróży „transbałtyckiej” — jak nazywały jego rajdy pływackie — Alicja skoczyła do wody, by dopędzić żółwia.

Przeglądali się jej z brzegu. Widzieli, jak dopłynęła i mocnym pchnięciem ręki zawróciła żółwia z powrotem.

Nagle dobiegł ich jej krzyk i zniknęła pod wodą.

Julka usłyszała obok siebie głośny plusk wody i zanim zorientowała się, co się stało, ujrzała pana Janka płynącego z szaloną, z wprost nieprawdopodobną szybkością.

Teraz dopiero zrozumiała, że Alicja tonie.

Istotnie, wychyliła się jeszcze raz z wody i znowu znikła.

— Mój Boże! Mój Boże! — powtarzała Julka.

Obok niej zebrał się tłum ciekawych. Jeszcze trzech czy czterech mężczyzn rzucili się do wody. Motorówka, przepływająca o dobre dziesięć minut drogi do miejsca wypadku, zmieniła kierunek i waliła pełnym gazem ku czerwonej plamie żółwia, kołyszącej się na fali.

Lecz oto pan Janek dopłynął. Jego nogi opisały łuk w powietrzu i znikł.

Długie sekundy oczekiwania... Niewypowiedziane długie... I oto na powierzchni ukazuje się on, a obok szafirowa czapeczka Alicji.

Julka słyszy za sobą urywane, podniecone głosy:

— Uratowana!

— To jeszcze nie wiadomo.

— On nie może płynąć prędko.

— Nic jej nie będzie...

— Życzę panu, żeby pan bez ciężaru umiał pływać z taką szybkością!

— Gdybym ratował swoją kochankę, może bym i ja potrafił.

— Lekarza!

— Gdzie doktor Łoziński? Był tu!

— Nie widziała pani? Popłynął ratować!

— Tak, tak! O! Patrzcie, podchwytuje ją z drugiej strony.

— We dwójkę idzie im lepiej.

I rzeczywiście, oto już dopływają, pan Janek z doktorem Łozińskim wynoszą ją na piasek. Tłum rozstępuje się, by otoczyć ich zwartym kołem. Julka pozostaje poza nim. Widziała jej zwisające ręce i twarz, strasznie bladą... Boże!

Gwar zmieszanych głosów. Wszyscy coś radzą, każdy zna niezawodny sposób. Julka staje na palce. W środku kręgu doktor i pan Janek, pochyleni... Sztuczne oddychanie... Masaż... tak... tak... gwar się wzmaga. Nagle doktor, poirytowany, wyprostowuje się i zdyszany woła:

— Ta cicho, państwo, do cholery!

Jego twarz jest spokojna, a głos pewny.

Zalega milczenie. Słychać tylko przyśpieszone oddechy dwóch mężczyzn, pracujących nad ocuceniem Alicji.

Z koła wyciąga się jakiś pan w binoklach.

— Uratuje ją pan, panie doktorze?

Lekarz, nie odwracając głowy, odpowiada:

— Takiej ładnej kobiety miałbym nie uratować?...

— Doktorze, pan jej kości połamię — woła jakiś pan.

— Ja panu połamię, jeżeli pan nie przestanie nudzić!

Mijają sekundy... Julka drży na całym ciełe.

Nagle czyjś krzyk:

— Oddycha!

— Oddycha! Oddycha!

Julce krew zbiegła się do serca. Nie widzi Alicji, ale oto ujrzała dwie brązowe twarze: pana Janka i doktora. Na obu jednocześnie — gdy spotkały się oczy — zajaśniał uśmiech. Nie wymówili ani słowa, lecz w tym uśmiechu było wszystko: uratowana.

Przyniesiono jakieś lekarstwa. Lekarz kończył swoje zabiegi. Alicja, już przytomna, siedziała na piasku, oparta o ramię pana Janka.

— Kurcz — mówiła cicho — kurcz w obu nogach...

Niebezpieczeństwo

Lekarz

Doktor Łoziński, który właśnie klęczał obok, badał puls, przesunął ręką po nogach Alicji.

— Mięśnie już wolne. Nie czuje pani bólu?

— Nie.

— Hm... że też kurcz czepia się tak pięknych nóg, nie uważa pan, panie Winkler, że to skandal?

Alicja uśmiechnęła się.

— No i co? Bardzo pani osłabła?

— Nie, trochę.

— Teraz do łóżka? — zapytał pan Janek.

— Tak, jeśli państwo chcą stracić dwie godziny dobrego słońca — wzruszył ramionami lekarz — to można i do łóżka.

— Zatem nie jest to konieczne?

— Pani nie wygląda na osobę lubiącą się cackać ze sobą. Potrzeby nie ma. Dzięki Bogu, pani organizm bez szkody zniósł tę historię.

— Zostaniemy — zdecydowała Alicja. — Bardzo dziękuję panu doktorowi.

— W każdym razie — pocałował ją w rękę — niech pani przez kilka dni unika zmęczenia.

Julka, gdy znalazły się same — pan Janek odszedł na chwilę z doktorem — zarzuciła Alicji ręce na szyję i tuliła ją do siebie, a jej gorące łzy spadały na szafirowy kostium.

— Moja kochana, moja jedyna Alu!...

— Już wszystko dobrze, Juleczko — całowała ją Alicja.

Po powrocie z plaży i po obiedzie z panem Jankiem namówili Alicję, by położyła się do łóżka — wypoczynek nie zaszkodzi. Siedzieli przy niej aż do wieczora i chociaż zapewniała, że czuje się świetnie, nie pozwolili jej wstać do kolacji.

Gdy nastała noc, Julka nie mogła zmrużyć oka. Wciąż jej się zdawało, że Alicji może zrobić się gorzej. Nasłuchiwała.

Tam, przy łóżku, nie ma dzwonka. Trzeba czuć. Usiadła, oparła się o poduszki i czekała.

Nagle w sąsiednim pokoju usłyszała jakiś szmer, jakby kroki...

Załomotało jej serce. Oczywiście, Alicji jest niedobrze, na pewno wstała do dzwonka.

Julka zerwała się, z pośpiechem założyła szlafroczek i nocne pantofle. Otworzyła drzwi.

Na korytarzu panowała zupełna cisza. Tylko z dołu, z pierwszego piętra doleciał ją szelest jakby zamykanych drzwi. W razie czego trzeba będzie obudzić pana Janka i zatelefonować po lekarza. Stała przy drzwiach Alicji. Wewnątrz było ciemno. Zapukała leciutko i po chwili nacisnęła klamkę.

— Alu! — zawołała półgłosem. — Alu!...

Może leży zemdlona, a może po prostu śpi? W każdym razie trzeba przekonać się. Cichutko zamknęła za sobą drzwi i idąc na palcach, zbliżyła się do łóżka. W pokoju było zupełnie ciemno. Ręce natrafiły na brzeg poduszki... Dalej... dalej...

— Nie ma!

Pościel była jeszcze ciepła. Boże! Alicja pewno leży tu gdzieś na podłodze!... Julka odnalazła kontakt nocnej lampy i... pokój był pusty. Brakowało tylko szlafroka, położonego wczoraj przez Julkę na krześle przy łóżku, i pantofli. Zresztą wszystko było w porządku.

— Głupia jestem — uśmiechnęła się do siebie i usiadła na łóżku.

Chciała poczekać na Alicję i ją też ubawić swoim niepokojem. Lecz mijały minuty, minął kwadrans, a Alicja nie wracała. Co to mogło znaczyć?

Julka na palcach poszła aż na koniec korytarza: łazienka i toaleta również były puste.

Powoli, bardzo powoli wracała. W pokoju Alicji zgasiła światło, weszła do siebie i zamknęła się, sama nie wiedząc dlaczego, na klucz. W jej skroniach głośno kołatał puls, kolana drżały.

„Więc to tak?!“

Teraz zrozumiała wszystko. Wszystko!!! Wszystkie drobne szczegóły, półsłówka, spojrzenia, telefony, manewry z wynajęciem trzech pokojów...

„Oszukiwali mnie — pomyślała z goryczą — w najokropniejszy sposób oszukiwali!“

Są tacy sami jak wszyscy inni... Nie, to tylko Alicja oszukiwała! On, cóż on mógł zrobić? Alicja... jest podła! Tak, podła!

Stała oparta o drzwi, lecz że nogi jej trzęsły się nieznośnie, osunęła się na podłogę. Będzie tak czekać, póki nie usłyszy, że ta fałszywa kobieta wraca, wraca z bezwstydną nocy!... Podła! Zagarnęła go sobie! O! Julka była dotychczas bardzo naiwna! Teraz to skończyło się już raz na zawsze!

„Święta miłość... cha... cha... cha... święta miłość, wobec której pochylałam głowę... wobec której wyrzekłam się nawet marzeń o nim...”

O, czemu ją wczoraj wyratowali! Niechby utonęła!

Nagle przeraziła się własnej myśli.

„Nie, nie, jestem nędzna!... Jak mogłam, o jakaż ja jestem zła, jaka niewdzięczna!”

Ostatecznie... Alicja miała przecież wszelkie prawo. Przecież nie było jej obowiązkiem wyrzekać się pana Janka... Skoro kochają się...

„Ładna miłość! — jej usta wykrzywiły się ironią. — Taka, jak tego tenora do pani Czerwińskiej!”

Mijały godziny, a Julka, drżąca, skulona, siedziała pod drzwiami.

Znajdowała tysiące usprawiedliwień i tysiące oskarżeń, wybuchała nienawiścią, rozpalala się przysięgami zemsty i znowu wydierała z siebie potępienie dla swej małości i zła.

Modliła się najczulszymi wyrazami do niego i do krwi zagryzała wargi na myśl, że on tam o piętro niżej leży w objęciach tej przewrotnej, kłamliwej, fałszywej kobiety, której ona, Julka, zawdzięcza tak wiele, której otwierała bez zastrzeżeń swoje samotne serce, z którą dzieliła się każdą myślą...

Szary świt roztapiał się w różowości na roletach okien, gdy usłyszała jej kroki, ostrożne, kocie, podstępne, gdy usłyszała szmer zamykanych drzwi...

Julka nie zasnęła tej nocy, lecz gdy zaczęła się ubierać, miała już gotowe postanowienie: będzie walczyła o niego. Nie cofnie się przed niczym, co by mogło odsunąć go od Alicji, przed niczym, co by mogło pociągnąć do niej. Ma do tego prawo. Na hipokryzję Alicji odpowie też hipokryzją, na podstępny podstępami, na fałsz fałszem. Alicja nie może niczego się domyśleć... To jest najważniejsze. A on?...

„Zobaczymy!”

Nałożyła najładniejszą ze swych sukienek, dłużej niż zwykle siedziała przed lustrem, starannie układając włosy. Z zadowoleniem skonstatowała, że nieprzespana noc zostawiła jej „interesujące” cienie pod oczami, a samym oczom nadała ostry blask.

Nie czekając na Alicję, zbiegła do jadalni.

Therlingowie, stojąc, kończyli śniadanie i jeden przez drugiego opowiadali coś panu Jankowi, który siedział na stole z rękami w kieszeniach.

— Panowie na morze? — zapytała wesoło, podając im mocno rękę.

— Tak — odpowiedział za młodzieńców Drucki — chociaż im nie radzę, bo wiatr piekielny.

— Tym lepiej chyba? Dla takich wilków morskich, jak panowie, to furda<sup>265</sup>!

Therlingowie łamaną polszczyzną zapewniali, że to dopiero prawdziwa przyjemność. Julka najwyraźniej kokietowała ich uśmiechami i wyciąganiem ust w dzióbek, co było jej specjalnością. Młodzieńcy, zaskoczeni taką łaskawością, ociągali się z wyjściem i skakali koło niej jak frygi<sup>266</sup>.

Gdy wreszcie wybiegli, Drucki zaśmiał się.

— Do licha! Cóż to, panno Julko, próbuje pani swych uroków na tych smarkaczach?

— Czy źle to robię? — spojrzała nań zalotnie.

— Hm... myślę, że do tego płeć piękna nie potrzebuje wprawek.

— Owszem — kiwnęła noskiem — to właśnie były wprawki, próbne manewry... przed... obłudzeniem — pokazała ząbki w uśmiechu i pochyliła głowę.

— Któraż forteca ma trząść się ze strachu?

Zbliżyła się do niego tak, że omal dotykała go piersią, i kładąc palec na jego ustach, powiedziała:

— Cyt! To tajemnica wojenna. Proszę nie pytać.

Druckiemu zwężyły się oczy.

<sup>265</sup> *furda* (daw.) — błahostka. [przypis edytorski]

<sup>266</sup> *fryga* (daw.) — wirująca zabawka dziecięca, bączek; w przenośni: ktoś zwinny, ruchliwy. [przypis edytorski]

— Cóż to, i na mnie robisz wprawki, moja mała?  
Zaśmiała się, urwała i po zastanowieniu powiedziała figlarnie:  
— A może to nie wprawki, tylko...  
— Tylko co? — zapytał.  
— Przypuśćmy... badanie terenu... rekonesans...  
— To niebezpieczne, moja mała — powiedział cicho, cedząc słowa.  
— O, Ala idzie — zawołała Julka, słysząc jej kroki — śniadanie! — nacisnęła dzwonek.

Alicja uściśnęła Julkę, która ucałowała ją serdecznie, jak zwykle.

— Jakże się czujesz, Alu? — zapytała troskliwie. — Czy dobrze spędziłaś noc?

— Ach, świetnie — odpowiedziała Alicja, rzucając przelotne spojrzenie Druckiemu. Julka, czując, że blednie, odwróciła się i zaczęła pomagać służącej przy stole.

Pan Janek mówił coś o Therlingach i ich ryzykownej wyprawie. Julka nie słyszała jego słów. Minęło dobrych kilka minut, zanim zdołała uspokoić się. Przy śniadaniu omawiali projekt zwiedzenia portu gdyńskiego<sup>267</sup>.

— Odlóży to na jutro — oświadczyła Alicja — jeżeli dziś jest taka duża fala.

Po śniadaniu zrobili prawie trzykilometrową przechadzkę. Drucki, wypytywany przez Alicję, objaśniał zasady konstrukcji doków pływających i łodzi podwodnych. Julka szła obok, a gdy umilkł, powiedziała:

— Nigdy bym się nie odważyła podróżować w łodzi podwodnej.

— Próbowałem tego raz — zaśmiał się Drucki — i na powtórzenie nie mam najmniejszej ochoty.

— Tam jest duszno, prawda?

— Nie, to nie to. Po prostu człowiek czuje się uwięziony, nie jest panem swojej woli. Zresztą, jeżeli chodzi o mój wypadek, pod koniec było duszno.

— Zabrakło tlenu? — pytała Julka.

— Owszem. Mieliśmy wówczas drugiego oficera cierpiącego na katar. A kto chce bezpiecznie wprowadzić łódź do portu w Bahía<sup>268</sup>, płynąc trzydzieści pięć stóp<sup>269</sup> pod powierzchnią, temu wprawdzie wolno mieć katar, ale kichać nie wolno.

— A on kichnął?

— Właśnie.

— Nie rozumiem, panie Janku, w jaki sposób mogło to zaszkodzić?

— Hm... gdy pani szyje, a podczas tego niespodziewanie kichnie, może się zdarzyć, że igła trafi w palec?

— Aha!

— Otóż dzióbek naszej skorupy trafił w jedną ze skał podwodnych, których, diabli wiedzą dlaczego, nie brak tam, chociaż całe wybrzeże jest płaskie jak półmisek. Skorupa usiadła sobie wygodnie na piasku i nie chciała się ruszyć. Było nas czternastu, a chociaż każdy nabił sobie przy okazji porządnego guza, zrozumieliśmy, że nie ma na co czekać na dnie...

— Chyba już czas zawracać — przerwała Alicja.

— I jakże się panowie ratowali? — pytała Julka, z zadowoleniem konstatując, że pan Janek nie zauważył, po prostu nie zauważył uwagi Alicji.

— Ano, podniosło się kłapę. Gdy się wówczas człowiek lekko odbije od pokładu, wylatuje w górę jak korek...

— Aż na powierzchnię morza?

— Gdyby to, moja mała! Wyskakuje się najmniej na dziesięć stóp ponad powierzchnię, niczym wystrzelony z armaty. Otóż dno w tej paskudnej zatoce jest diabelnie muliste, początkowo jest kawał drogi przez prawdziwą zupę, a później już się nic nie widzi, póki

<sup>267</sup>port gdyński — wielki port w Gdyni; zbudowany w okresie międzywojennym przy osadzie rybackiej Gdynia, jako główny i jedyny port na polskim wybrzeżu Bałtyku (gdyż Wolne Miasto Gdańsk nie należało do Rzeczypospolitej); jedna z najważniejszych inwestycji państwa polskiego w okresie międzywojennym. [przypis edytorski]

<sup>268</sup>Bahía — tu zapewne: meksykańska zatoka o nazwie *Bahía de Todos Santos* (Zatoka Wszystkich Świętych), na zach. wybrzeżu Płw. Kalifornijskiego, z portem Ensenada; albo też: *Bahía de Todos os Santos* w Brazylii, nad którą leży stolica stanu Bahía, Salvador. [przypis edytorski]

<sup>269</sup>stopa — anglosaska jednostka długości, ok. 30 cm. [przypis edytorski]

człowiek brzuchem nie spadnie na powierzchnię. Najgorsze jest to, że wskutek różnicy ciśnienia nieco traci się przytomność, jeżeli w ogóle nie wyskakuje się prosto do nieba. Wyskoczyliśmy wszyscy, ale nie wszystkim udało się...

— Zawracamy — ostro przerwała Alicja. — Niech mi pan powie, która godzina?

— Co? — jakby oprzytomniał Drucki. — Aha, dwadzieścia po dziesiątej.

— No, to już czas zawrócić. Czy pan sądzi, że po wczorajszym nie zaszkodzi mi pływanie?

Drucki wyraził przekonanie, że nie, i zapowiedział, że będzie towarzyszył Alicji. Julka zauważyła, że uczył się dotknięty narzuconą zmianą tematu i że Alicja zrobiła to demonstacyjnie, bo przecież sama ma na rękę zegarek.

Dlatego, gdy wrócili do „Godivy”, Julka przebrała się w rekordowym tempie, dzięki czemu znowu zyskała kilka minut sam na sam z panem Jankiem.

— Jestem szczęśliwa — powiedziała — że dziś jest duża fala.

— I ja to lubię.

— O, ja myślę o popołudniu... Pojedziemy autem, prawda, panie Janku?

— Pojedziemy. Pojedziemy dziś aż nad granicę Tucholskiej Puszczy<sup>270</sup>. Podobno jest tam bardzo ładnie.

— Tak, i nikt nie będzie mi przeszkadzał słuchać pana!

Chrząknął i nic nie powiedział.

— Nie rozumiem Ali — mówiła jakby do siebie — jej dzisiejsze zachowanie się robiło takie wrażenie, jakby... Dlaczego ona jest taka oschła?... Wyglądała tak, jakby...

Na schodach rozległy się kroki Alicji i Julka zamilkła.

Dął silny, północno-zachodni wiatr, rozwiewając ich płaszcze kąpielowe. Na plaży było jeszcze niewiele osób. Morze huczało. Jak okiem sięgnąć, zorane w olbrzymie bruzdy, zapienione na grzbietach fal, zdawało się gniewne, ponure, zbuntowane.

Pomimo to Alicja postanowiła spróbować pływania i oboje z Druckim oddalili się dość nawet znacznie od brzegu. Julka, leżąc na piasku, to traciła ich z oczu, to odnajdywała wzrokiem szafirowy czepek Alicji i brązowe ramiona pana Janka.

— Dzień dobry pani — usłyszała za sobą głos doktora Łozińskiego. — Jakże się miewa pani siostra?

— Dziękuję panu, pan mówi o mojej kuzynce, którą ratowaliście wczoraj?

— Ach, to kuzynka? Rzeczywiście, panie nie są podobne do siebie. Cóż to za piękna kobieta!

— Dziękuję za uprzejmość — obraziła się Julka.

Doktor zaśmiał się.

— Chciałem przez to powiedzieć, że panie są w różnym typie. Gdzież jest pani kuzynka?

Julka niechętnie wskazała noskiem morze.

— Widzę, że straciłem pani łaskę — westchnął lekarz.

— Można stracić tylko to, co się miało — odezwała się.

— A w jaki sposób można mieć?

— Trzeba się o to postarać.

— Chyba myli się pani. Mam kolegę, poczciwego chłopca z kościami. Pracujemy w jednym szpitalu. Na głowie stawał, starając się o łaski pewnej panny, w której kocha się jak wariat. Ze skóry wyłaził, i nic. Nieraz mu mówiłem: „Władek, ta<sup>271</sup> daj spokój!”, a on wciąż wdychał, aż dostał, co było do przewidzenia, kosza. Tak, proszę pani, starania na nic. Trzeba mieć szczęście.

— Czy sądzi pan, doktorze — zapytała — że odwrotnie, żadne starania nie pomogą?

— Jak to, odwrotnie?

— No, na przykład, jakaś kobieta pragnęłaby zdobyć uczucia mężczyzny?

Zaczerwieniła się, mówiąc to, aż po białka oczu.

Doktor Łoziński uśmiechnął się.

— Zgaduję, że pani mówi nie o sobie.

<sup>270</sup>Tucholska Puszcza — dziś: Bory Tucholskie, wielki kompleks leśny w płn. Polsce, w dorzeczu górnego biegu Brdy, na pld. skraj historycznego Pomorza; od 1996 park narodowy. [przypis edytorski]

<sup>271</sup>ta (reg. pot.) — wyraz ekspresywny, używany zwykle jako partykuła nawiązująca, charakterystyczny dla pld.-wsch. części Polski, zwłaszcza dla przedwojennej gwary lwowskiej. [przypis edytorski]

— Jest pan obrzydliwy! — krzyknęła, lecz zaraz dodała: — Właśnie myślę o sobie i o panu.

— Jeżeli tak, już jest załatwione.

— Nie — skrzywiła noseć — to za prędko. Lubię emocje niepewności.

— Zgoda i na to. Mam w zapasie masę niepewności. Jedna większa od drugiej.

Żartobliwy nastrój lekarza rozbawił i Julkę. Gdy Alicja i Drucki powrócili na brzeg, zastali oboje w świetnych humorach.

Po obiedzie Julka oświadczyła, że zrobi wyłom w swoim porządku dnia i nie odbędzie swej godzinnej sjesty. Zależało jej na przedłużeniu wycieczki z panem Jankiem i gdy tylko stwierdziła, że Alicja zgodzi się, zaraz zaczęła naglić pana Janka do odjazdu.

— Cóż ci tak pilno? — obojętnie zapytała Alicja.

— Mamy dziś długą trasę, a nie chcę, byś czekała na nas z kolacją.

— Możecie nawet zbytnio się nie śpieszyć. Otrzymałam dziś z Warszawy pewną sprawę i będę musiała ją przestudiować.

Pod oknami rozległ się sygnał samochodu i Julka wybiegła.

— Dziś silny wiatr, mała — powiedział — może wzięłaby pani jakieś palto?

— Nie. Ciepło mi.

— Wieczorem może być chłodniej.

— To czemu pan nie bierze marynarki?

— Ja nie mam gołych nóg i rąk. Zresztą, jeżeli będzie pani zimno, to na drugi raz posłużę za przestroagę.

Wóz ruszył.

— Jeżeli mi będzie zimno, to... mnie pan przytuli i ogrzeje.

Udał, że nie słyszy, i zwiększył szybkość.

— Dobrze? — dopominała się odpowiedzi.

— Co? Nic nie słycać! — odrzucił i otworzył tłumik.

Teraz już naprawdę nie było nic słycać, Julka jednak nie dawała za wygraną i niemal przykładając usta do jego ucha, zawołała:

— Będzie słycać, jeżeli pan zamknie tłumik.

— Ostrożnie! Nie opieraj się o mnie, mała, bo wjadę jeszcze na drzewo.

Dla zilustrowania niebezpieczeństwa zachybotał kierownicą i wóz wypisał na szosie kilka zygzaków.

Julka udała obrażoną i siedziała cicho, nie mogła jednak wytrzymać długo i gdy tylko spojrział na nią, uśmiechnęła się zalotnie.

— No, już zgoda między nami — powiedziała i wzięła wolną jego rękę. Uścisnęła ją, położyła na swoich kolanach i zaczęła głaskać, leciutko, z pełną czułości pieśczołą.

Gdy ręka drgnęła i chciał ją cofnąć, położyła na niej swoje dłonie, a w tym dotknięciu było tyle prośby, że musiał jej ulec.

Przez cienki fular<sup>272</sup> sukienki czuł ciepło jej ciała, po wierzchu dłoni wolniutko przesuwali się smugi dotyków palców Julki, przedziwnie delikatnych, zdawałoby się, mówiących każdym nieznacznym ruchem o swojej radości, o głębokiej kontemplacji małego ułamka szczęścia.

Auto wypadło z zarośli na wolną przestrzeń falistych wrzosowisk.

Tu droga za czerwonym domkiem skręcała wolno i nagle wspiniała się pod górę stromą serpentyną. Należało przełożyć na pierwszy bieg i Drucki, uśmiechnąwszy się serdecznie do Julki, zabrał rękę.

Siedziała cicho, nieruchoma. Auto wzięło zakręt i sunęło znowu płaszczyną, tu i ówdzie porośniętą kępkami sosen i jodeł, forpocztami<sup>273</sup> czarnego lasu.

— Oto i puszcza — głośno powiedział Drucki.

Zwolnił pęd auta, gdy wjechali w ciemnosiny korytarz, zamknął tłumik.

— Kolos! Około trzech tysięcy kilometrów kwadratowych lasu... Kiedyś, bardzo dawno, polowałem tu na dziki. Piękny las?

— Piękny i tak huczny jak morze — powiedziała Julka — w nocy musi tu być strasznie.

<sup>272</sup>fular — rodzaj cienkiej tkaniny jedwabnej. [przypis edytorski]

<sup>273</sup>forpocztka — wojskowy oddział zwiadowczy lub wysunięte stanowisko posterunkowe. [przypis edytorski]



— Jeśli nic się tu nie zmieniło, znajdziemy pewną śliczną polankę... Wygląda jak studnia o wypukłym dnie. Wkrótce w lewo powinna iść wąska droga leśna.

Jechali kilka minut w milczeniu.

— Oto jest — zawołał Drucki. — Mam jednak niezłą pamięć.

Zawrócił. Jechali teraz wąską, krętą drogą, na której koła samochodu raz po raz podskakiwały, trafiając na korzenie.

— Trzęsie, co? — zapytał.

— Troszeczkę — odpowiedziała Julka, podskakując jak piłka.

— Jesteśmy bodaj u mety — zatrzymał wóz, wyskoczył i pomógł wysiąść Julce. — Pachnie tu żywicą. No, chodźmy.

Szedł przodem ledwie widoczną ścieżką, wydeptaną przez zwierzęta w gąszczu jałowców. Teren wciąż się wznosił, a jałowce rzedły. Natomiast ziemię pokrywał coraz grubszy, miękki i elastyczny mech. Wysokopienne sosny, rozchwiane aż do połowy wysokości, tworzyły nad nimi ruchomy dach.

— Trafiliśmy dobrze — odwrócił się do Julki — oto nasza polanka.

— Nasza? — zapytała.

— No, ta, której szukamy.

Był to rodzaj kurhanu, wznoszącego się obłym stożkiem. W środku leżał wielki głaz, dokoła zamykał się las, tworząc istotnie rodzaj studni o sześciu czy siedmiu metrach średnicy. Wzgórek i kamień, pokryte wełnistym, siwym mchem, robiły wrażenie oazy czy wyspy.

— Tu biwakujemy — powiedział Drucki.

Usiadł na kamieniu i wskazał Julce miejsce obok.

— Wolę tu — potrząsnęła głową i położyła się przed nim na mchu, podkładając dłonie pod głowę.

Drucki w milczeniu palił papierosa.

— Chciałabym — odezwała się Julka — bym przez całe życie mogła to miejsce nazywać... naszą polaną... Naszą, to znaczy nie pańską i moją, lecz Naszą... Boję się tylko, czy pan zechce, nie... czy pan potrafi, czy będzie mógł zdobyć się na tę wspaniałomyślność, by mi na to pozwolić.

— Mogę ją nawet nazywać polanką małej Julki — zażartował.

— To mało... to bardzo mało — powiedziała smutno — to tak, jakby z litości dla tej biednej Julki, śmiesznej, głupiutkiej dziewczyny... Takie odczepne za to, że zdobyła się na odwagę ofiarowania panu rzeczy tak taniej i takiej niepotrzebnej jak... wszystkich swoich uczuć...

Spojrzał na nią. Leżała na wznak z zamkniętymi oczyma, błada jak płótno.

— Julka!

— Ale to wszystko, co mam — mówiła, jakby nie słysząc jego okrzyku — i dlatego może wydaje mi się ta moja miłość skarbem... Nieprzyjętym, niepotrzebnym... nawet niezauważonym...

— Julka! Co ty wygadujesz! Przecież jesteśmy przyjaciółmi!

Widział, że chce coś powiedzieć, lecz wargi jej drżą, a w kącikach jej zamkniętych powiek połyskują łzy.

— Malutka, no, moja mała, czyż zasłużyłem na to, że w ten sposób mówisz do mnie?

— O, ja wiem — zaprzeczyła — wiem, że pan mi każe milczeć, że jestem bezwstydna, narzucająca się... że jestem podła...

— Oszalałaś, dziewczyno?! — oburzył się.

— Tak, tak, podła. Bo przecież wiem, że Alicja pana kocha, Alicja, wobec której mam olbrzymi dług wdzięczności... Jestem podła... Ale ja tak szalenie, tak niezmiernie pana kocham... Ja żyję tylko marzeniem o panu... Musiałam, musiałam to panu powiedzieć... Bo jestem strasznie bezsilna, strasznie bezradna... Cóż miałam począć, skoro tak pana kocham?...

Głos jej przeszedł w szept i umilkł. Po białych policzkach zaczęły spływać łzy.

To było ponad siły Druckiego. Krtań jego stała się sucha, w płucach uczuł prawie fizyczny ból.

Zerwał się, chwycił ją w ramiona, uniósł bezradną i przytulił.

Jego wargi zaczęły spadać na bladą, zapłakaną twarz Julki, gorącymi, serdecznymi

Las

Miłość niespełniona,  
Młodość

Miłość niespełniona

Pocałunek, Łzy

pocałunkami. Włosy, czoło, oczy, usta — aż poczuł słony smak łez... Kołysał ją w ramionach, jak dziecko.

— Cicho, cicho, moja mała, cicho — powtarzał, chociaż ona i tak płakała cichutko.

Jej ręce oplotły się koło jego szyi, usta przywarły do ust. Nie puszcżając jej, usiadł na mchu. Przytuliła się do niego mocno, z całych sił.

— Mój kochany, mój jedyny... — powtarzała, ustami przy jego policzku.

— Cicho, moja mała, cicho.

Siedzieli tak długo. Drucy po raz pierwszy w życiu nie wiedział, po prostu nie wiedział, co ma robić z młodą, ładną dziewczyną, trzymaną w ramionach. Ani nawet przez myśl mu nie przeszło, że mógłby postąpić tak, jak zawsze postępował w podobnych wypadkach. Dlaczego? — nie umiał tego sobie sprecyzować. Rozkoszował się bliskością tej świeżej, pachnącej istotki, znajdował niedającą się określić radość w tym, że tak naturalnie, tak zwyczajnie wybrała jego, że obdarzyła właśnie jego swoimi pięknymi uczuciami. A jednak... nie wiedział, dlaczego siedzi nieruchomo, czemu jest rozczulony i wzruszony, czemu szuka innych wyjść i wyjaśnień niż zwykle... Alicja?... Aż zdumiał się, że to imię znalazło się teraz w jego świadomości... Cóż tu ma Alicja?...

Gdyby nie obawa wykonania jakiegokolwiek ruchu, wzruszyłby ramionami. O nie, dziwnie obca i obojętna wydała mu się w tej chwili tamta kobieta, dziwnie bezzasadnej jej pretensje do jego wierności. Że jest opiekunką Julki?... To jest bez znaczenia. Doskonale zdawał sobie sprawę, że żaden z tych motywów nie powstrzymywał go, nie zdołałby powstrzymać. Więc co?...

„Może to, że tak bardzo lubię tę małą? — pomyślał. — Ja ją, do stu diabłów, zanadto lubię!”

Nie zadowolilo go to rozwiązanie zagadki własnego postępowania, lecz nie umiejąc znaleźć innego, zrezygnował.

— Panie Janku — cichutko mówiła Julka — pan nie może wiedzieć, jaka ja jestem szczęśliwa, jaka bardzo szczęśliwa... Jak bardzo myślałam o takiej chwili... Niczego bym nie pragnęła więcej, tylko żeby tak zawsze było...

— Zreflektuj się, mała — zażartował — może padać deszcz!

— Niech pada. Och, panie Janku... — urwała nagle i skończyła smutnym głosem: — pan mnie nigdy nie pokocha.

— Julko! Niechże pani będzie rozsądna. Co by ci przyszło po takim starym gracie?

— O nie, nieprawda!

— Mógłbym być twoim ojcem. Czy pani wie, że mógłbym być jej ojcem? Co?...

— To nic nie znaczy — zaprzeczyła żarliwie.

— To dużo znaczy, moja mała, dużo!

— Rozumiem. Jestem za dziecinna, za głupia...

— Owszem, ale tylko dlatego, że tak mówisz...

— Gdybym była tak mądra i tak piękna, jak Alicja, wtedy miałabym prawo mieć nadzieję, że mnie pan pokocha jak ją...

Zastanowił się, a Julka, biorąc jego milczenie za przyznanie jej słuszności, zapytała drżącym głosem:

— Niech pan mi powie, niech pan mi powie szczerze...

— Co?

— Chcę, żeby pan mi szczerze powiedział, żeby tym chociaż odwzajemnił mi się za to, że gotowam całą swoją duszę panu otworzyć...

— Dobrze, moja mała, powiem ci szczerze wszystko, o cokolwiek byś zapytała.

Spojrzała mu w oczy. Były poważne i smutne.

— Wszystko?

— Tobie... tobie wszystko — zapewnił i nagle zrozumiał, że tej małej dziewczynie, jej jednej jedynej na całym świecie mógłby powiedzieć wszystko, ba!... chciałby!... Nie potrafił sobie wytłumaczyć przyczyny tego zupełnego zaufania, a jednak wiedział, że nie zawahałby się ani przez moment.

Julka jednak o czymś innym myślała.

— Więc dobrze — mówiła przyspieszonym szeptem — dobrze. Niech pan mi powie, czy Alicja jest pańską kochanką?

Czekała z zapartym tchem.

— Tak — odpowiedział krótko i twardo.

— Aaa — wyrwał się Julce bolesny krzyk. Pewna była tej odpowiedzi, lecz jakże pragnęła zaprzeczenia!

Wszystko było stracone...

— Niech mi pan jeszcze powie... czy, czy bardzo ją pan kocha?

— Czy ja wiem, moja mała? — zamyślił się — może i Kocham. Przynajmniej dawniej zdawało mi się, że ją Kocham...

Wyrwała się z jego ramion i patrzyła nań szeroko rozwartymi oczyma.

— Jak to, zdawało się?

— No, tak przypuszczałem. To są bardzo skomplikowane rzeczy...

— Dziwne — powiedziała.

— Dużo jest rzeczy dziwnych, tak dziwnych, że jeżeliby człowiek nie machnął ręką nad podziwianiem ich dziwności, sam by zdziwaczał.

— Ale przecież ona pana kocha!

— Chyba tak.

— A pan, pan jej tak nie kocha, tak mocno nie kocha, jak ona pana?

Wzruszył ramionami i milczał.

Julka przygryzła wargi. W jej głowie kołatały się myśli. Starła się zrozumieć, aż wreszcie wybuchnęła:

— To niemożliwe! Przecież musi pan wiedzieć, czy ją pan kocha?! Pan na pewno już nieraz kochał, ma pan przecież możliwość porównania. Ja wiem, pan chce mi oszczędzić przykrości i dlatego nie jest pan szczery!

— Panno Julko — odpowiedział spokojnie — jestem zupełnie szczery. Powiedziała pani, że nieraz kochałem. To nieprawda... Wciąż kochałem i wciąż Kocham, Kocham świat, Kocham to, co on mi daje i co w nim zdobyć mogę. Ja nie umiem mówić, moja mała. Znam kilka języków, lecz wszystkie razem nie posiadają takich słów, którymi by zawsze można było każde uczucie i każdą myśl wyrazić. Przynajmniej ja tych słów znaleźć nie umiem. Mówię ci, że Kocham życie, że Kocham świat — w to wierzę, bo to czuję każdym nerwem. Więc może kochałem kobiety, które przeszły przez ten mój świat, a może kochałem tylko świat, w którym były i one. Nie wiem.

Podparł głowę ręką i zaśmiał się.

— Zresztą, czyż jest miarodajna nazwa, którą dajemy temu, co czujemy? Widziałem ludzi, którzy spóźniwszy się o godzinę na obiad, mówili, że umierają z głodu, a znałem też takich, co nie mając nic w ustach przez trzy dni, w końcu zapewniali, że chętnie by coś zjedli.

— To prawda — powiedziała Julka — jednak ja wiem ponad wszelką wątpliwość, że pana Kocham, że Kocham ponad wszystko i ponad wszystkich na świecie... I wiem także, że nie warta jestem pańskiej miłości...

— Nie gadaj głupstw — rozgniewał się Drucki.

— Tak jest — powiedziała cicho.

— Moja mała! Chyba nie wątpisz, że cię bardzo lubię? Wiele, bardzo wiele jestem gotów zrobić dla ciebie. Ale nie trzeba się egzaltować, nie trzeba przesadzać. Czytałem gdzieś bardzo mądre zdanie, że dzień dzisiejszy jest szkłem powiększającym, przez które wszystko wygląda znacznie większe i ważniejsze niż jest w rzeczywistości. Dlatego ludzie rozsądni z oceną różnych rzeczy czekają do jutra albo i dłużej.

— Może tak jest, ale ja w to nie chcę wierzyć. Muszę być nieszczęśliwa.

— Bardzo nierozumnie! — oburzył się.

— Kiedy mi dobrze z tym nieszczęściem. Niech się pan ze mnie nie śmieje. Naprawdę dobrze. Chcę tylko jednego: by pan pozwolił Kochać siebie, bym mogła pana widywać... To przecie tak niewiele, prawda?

Znowu miała w oczach łzy.

— Chodź tu, mała — powiedział.

Posadził ją na kolanach i gładził po włosach, jak małe dziecko. Julka tuliła się doń i drżała na całym ciele.

— Wszystko dobrze, moja mała panienko — mówił — ale pamiętaj, że przede wszystkim jesteśmy przyjaciółmi, dobrymi przyjaciółmi.

— Tak, tak — szepotała.

Miłość

Czas

— No, a teraz czas z powrotem! — zawołał niespodziewanie, podrzucił Julkę na metr prawie w górę; złapał w powietrzu i postawił na ziemi.

— Oj! — krzyknęła i roześmiała się.

Zeszli z pagórka, trzymając się za ręce.

— Teraz to naprawdę nasza polanka — powiedziała tonem pytania.

— Nasza, nasza. Twoja i moja — potwierdził.

Jeszcze raz zarzuciła mu rękę na szyję i pocałowała w usta.

Auto trzeba było prawie przez pół kilometra prowadzić tyłem, gdyż na wąskiej drodze o zawróceniu nie mogło być mowy.

Gdy wyjeżdżali z lasu, słońce już zaszło i zrobiło się chłodniej.

— Nie zimno ci, mała?

— Mnie troszeczkę.

— Więc przysuń się do mnie.

Skwapliwie skorzystała z tej rady. Ponieważ zaś, jak zawsze, prowadził wóz jedną ręką, Julka zaanektowała drugą.

Gdyby nie stentorowy<sup>274</sup> warkot motoru, słyszałby na pewno ciche, pieszczotliwe słowa, jakimi obsypywała jego dłoń, tuląc ją do ust i piersi.

Gdy wjeżdżali do osady Hel, trzeba już było zapalić reflektory.

## ROZDZIAŁ 19

Ekspres sztokholmski wpadł na białą stację w Malmö<sup>275</sup> z dziesięciminutowym opóźnieniem. Dlatego służba celna pobieżniej niż zwykle przejrzała paszporty i bagaże podróżnych, a już w pięć minut potem pociąg, sunąc wolniutko, zanurzył się w czarnym wnętrzu statku promowego „Axel”, odbywającego swą codzienną wędrówkę między Szwecją a stolicą Danii. Połknął teraz jednym haustem rozdygotane wagony i umocowywał je w swych trzewiach skrzeczącymi chwytami żelaza.

W przedziałach zapaliły się lampy elektryczne.

Profesor Karol Brunicki odłożył książkę, szkła i przetarł zmęczone oczy. W tej chwili dostrzegł, że Piotra nie ma i że pozostał sam z siwym Bawarczykiem, który też z chwilą zmiany oświetlenia odłożył swoje notatki i zakręcał wieczne pióro.

— Morze z daleka wygląda dość spokojnie — odezwał się, chowając pióro do kieszeni.

— Byłbym zadowolony, gdyby pozostało takie aż do końca — odpowiedział Brunicki — mój organizm nie znosi chybotania.

— Ja też cierpię na morską chorobę — odpowiedział Bawarczyk — ale moje interesy zmuszają mnie do częstego podróżowania, nie zawsze udaje się skrócić drogę do tak małego odcinka, jak z Malmö do Kopenhagi. W sierpniu jeździłem do Nowego Jorku i myślałem, że ta przekłeta choroba wprost przenicuje mnie, niczym worek na drugą stronę. Mam dwóch synów. Jeden z nich jest lekarzem w Monachium, a drugi inżynierem w Hamburgu<sup>276</sup>. Lekarz i inżynier! Uważa pan! Zapowiedziałem obu, że ich wydziedziczę, jeżeli nie znajdą sposobu na morską chorobę.

— Nie wiem, jak będzie z inżynierem — uśmiechnął się Brunicki — podobno są już jakieś wynalazki zmniejszające chwieianie się okrętów. Ale co dotyczy drugiego pańskiego syna, obawiam się, że będzie pan musiał dotrzymać groźby.

— I cóż, do stu diabłów, warta jest cała medycyna?! — oburzył się Bawarczyk. — Nie umieć sobie poradzić z taką głupią rzeczą jak morska choroba!... Otóż ma pan, zaczyna się przyjemność!

Istotnie, prom został widocznie odcumowany, gdyż lekko zaczął się chybotać. Głuchy warkot śruby wprawił okna wagonu w lekkie drżenie.

— Sam jestem lekarzem — potrząsnął głową Brunicki — i muszę panu przyznać, że medycyna dzisiejsza jest wciąż w pieluszkach. Przypuszczam, że astronomowie więcej wiedzą o konstelacjach, odległych od nas o miliony lat świetlnych, niż my o własnym organizmie, którego możemy dotykać ręką.

<sup>274</sup>stentorowy — gromki, donośny jak głos Stentora, herolda opisanego w *Iliadzie*. [przypis edytorski]

<sup>275</sup>Malmö — miasto i port morski w pld. Szwecji, centrum gospodarcze i kulturalne, jeden z kluczowych węzłów komunikacyjnych. [przypis edytorski]

<sup>276</sup>Hamburg — wielkie miasto portowe w pln. Niemczech, niedaleko ujścia Łaby do Morza Północnego. [przypis edytorski]

— I kiedyż to się skończy, do licha?! Czy panowie nie uważacie, że należy się z tym załatwić na parę dni bodaj przed sądem ostatecznym?... To samo zawsze powtarzam memu synowi, chociaż on jest chirurgiem i powiada, że żadnej odpowiedzialności za medycynę na siebie brać nie zamierza. „Wytnę, powiada, ojcu, co tylko ojciec zechce i wstawię, powiada, co się ojcu podoba, a na pewno będzie sztykowało<sup>277</sup>”. To łajdak, co?

Uderzył się po kolanach i pochylił do Brunickiego z miną wyrażającą podziw i oburzenie.

Profesor Brunicki roześmiał się.

— Ma rację. Chirurgia już wiele potrafi.

— A pański syn — wskazał Bawarczyk na puste miejsce — też studiuje medycynę?

— Niestety, nie. Jest słuchaczem Akademii Morskiej.

— Dzielny chłopak — z uznaniem skinął głową Bawarczyk. — Będzie z niego pierwszorzędnym marynarz. Wzrost, postawa... Dzielny chłopak. Winszuję panu syna.

— O, dziękuję — przygryzając wargi, odpowiedział cicho Brunicki.

Bawarczyk spojrział nań spod krzaczastych brwi, a biorąc jego rezerwę<sup>278</sup> za żal do syna, że nie chciał zostać lekarzem, powiedział:

— Daruje pan, ale jestem od pana znacznie starszy. Czego pan, u licha, chce od tego chłopca? W nim aż kipi życie, śmieje się do niego cały świat, a pan chciałbyś go zamarynować w karbolu<sup>279</sup>, oleju rycynowym i w innych waszych paskudztwach! Lubię to i owo wygadywać na swoich smarkaczach, to prawda. Ale panu przyznam się, że jestem z nich dumny, chociaż nic wymyślić nie umieją na morską chorobę. Ale z ręką na sercu muszę panu powiedzieć, że Bogu dziękowałbym, gdybym miał trzeciego takiego jak pański. Nic nie przesadzam. Od Sztokholmu na niego patrzę. Chłopak jak młody dąb. I jaki swobodny, jaki wesoły, widać, że go aż rozsadza, a przy tym spokojny, niekrzykliwy, czego nie lubię, słowem, będzie z niego mężczyzna całą gębą. I chyba sportsmen zawołany?

— Owszem, ma tam nawet jakieś rekordy.

— No, patrzcie! I cóż, kieruje go pan do marynarki wojennej czy handlowej?

Brunicki uśmiechnął się ze smutkiem.

— Pyta pan raczej, dokąd on sam się kieruje?... Do handlowej.

— Bardzo mądrze — zadzierżyście zawołał Bawarczyk. — Co, u licha, widzi pan złego w tym, że chłopak ma własny łeb na karku i wie, czego chce? Obaj jesteśmy ojcami i możemy tak sobie poufnie powiedzieć, że w gruncie rzeczy zmuszanie dzieci do wybrania takiego, a nie innego zawodu to nonsens. To tak, jak chcieć kurę gwałtem uczyć pływać, a kaczkę gdać. Obie same wiedzą najlepiej, co potrafią. Czyż nieprawda?

Ponieważ Brunicki nie odpowiedział, Bawarczyk pokiwał głową.

— Tak, panie. Nam zawsze się zdaje, że jesteśmy grubo mądrzejsi od młodzieży. Powiem panu, że sam lubię mówić o tej przewadze wieku dojrzałego głośno, nawet bardzo głośno, ale między nami... che... che... dajmy temu spokój. Jeżeli pański syn wybrał marynarkę, ma pewno swoją rację?

— Przypuszczam.

— A dlaczego kształci go pan w Szwecji? Przecie macie w Polsce szkoły morskie?

— Tak, ale były względy natury rodzinnej — niechętnie bąknął Brunicki.

W tej chwili rozsunęły się drzwi przedziału.

— No — odezwał się głos Piotra — może tata być spokojny. Pogoda wprawdzie mglista, ale morze ledwie się porusza.

— Byłeś na pokładzie?

— Tak. Poznałem bardzo miłego Duńczyka. Ma łódź motorową z dieslem. Jak żyję, nie jeździłem dieslem. Jeżeli ojciec zatrzyma się w Kopenhadze dłużej niż dwa dni, skorzystam z propozycji tego pana i pojedziemy na wyspę Anholt<sup>280</sup>. On ma tam wielkie przedsiębiorstwo rybackie. I niech sobie ojciec wyobrazi, że już od pół roku stosuje sieci elektryczne!

<sup>277</sup>sztykować (pot., z niem.) — pasować, zgadzać się. [przypis edytorski]

<sup>278</sup>rezerwa — tu: powściągliwość. [przypis edytorski]

<sup>279</sup>karbol — wodny roztwór fenolu; żrący środek odkażający o silnym, nieprzyjemnym zapachu, dawniej szeroko używany w lecznictwie do dezynfekcji pomieszczeń i przedmiotów. [przypis edytorski]

<sup>280</sup>Anholt — niewielka duńska wyspa w cieśninie Kattgat, w połowie drogi między Jutlandią a Szwecją. [przypis edytorski]

— Prawdopodobnie będę musiał przesiedzieć w Kopenhadze trzy lub cztery dni — odpowiedział Brunicki — możesz więc skorzystać z zaproszenia.

— To świetnie — ucieszył się młody człowiek i zaraz zaczął mówić po niemiecku, powtarzając Bawarczykowi, że wybornie spędzi czas na Anhołt.

— A Kopenhaga pana nie interesuje? — zapytał ten.

— Ach, Kopenhagę znam nieźle. Dość często robiliśmy wycieczki jachtami w te strony. Ale jestem szalenie ciekaw tych sieci elektrycznych.

— Jak to, elektrycznych? — zainteresował się Bawarczyk.

— Właściwie nie są to wcale sieci — wyjaśnił Piotr. — Jeżeli pan sobie życzy, narysuję panu schemat tej instalacji.

Nie czekając na odpowiedź, wydobyl z kieszeni notes i usiadłszy przy Bawarczyku, rysując, objaśniał.

Profesor Brunicki spod przymkniętych powiek przyglądał się jego żywym ruchom, płowym włosom, dużym, muskularnym rękóm, ostrym nozdrzóm i śmiałej, jakby niecierpliwie rzuconej, linii brwi.

Zdumiewająco, wręcz niezwykle podobny jest do Druckiego. Może rysy ma nieco subtelniejsze i głos bardziej miękki, chociaż o tym samym niskim brzmieniu.

Profesor zamykał chwilami oczy, by wsłuchiwać się w ten głos, który działał nań jak trucizna.

Piotr tylko w uśmiechu miał coś z matki, coś, co tak bardzo przypominało uśmiech panny Urszuli Łęskiej.

Jeszcze przed wyjazdem z Warszawy profesor widział się z nią w jej małym pokoiku, gdzie połowę miejsca zajmował fortepian, a na ścianach wisiały za szkłem programy koncertów... Ze Sztokholmu wysłał do niej tylko krótką kartkę. Z Kopenhagi napisze dłuższy list...

— ...i wszystkie ryby, które znajdują się między tymi dwoma statkami, zostaną porażone prądem. Pozostaje tylko zebrać je zwykłą siecią z powierzchni. Podobno już dziś, uważa pan, jest sposób na wyławianie egzemplarzy pożądanej wielkości. Zależy to od długości fali elektrycznych...

— Którędy wychodzi się na pokład, Piotrze? Chciałbym się trochę przejść — przerwał profesor.

Młody człowiek przeprosił Bawarczyka i wyprowadził ojca na koniec wagonu. Przy samych jego drzwiach prowadził na górę wąski trap.

— Tędy, ojcze, tylko proszę ostrożnie, bo schodki są śliskie.

— Dziękuję ci, chłopcze.

Piotr stał i patrzył za wspinającym się ojcem, patrzył z takim uśmiechem, z jakim niania spogląda na oddalające się dziecko. Bardzo szanował ojca i miał dlań uczucie, jakie według jego mniemania syn powinien był żywić dla swego rodziciela.

Wiedział już w liceum od nauczycieli, że jego ojciec jest światowej sławy uczonym, że nazwisko jego wymawiane jest dla dodania autorytetu zjazdóm naukowym, w których bierze udział, że i teraz w Kopenhadze oczekuje go świat uniwersytecki, gdyż ojciec ma otrzymać jakieś odznaczenie honorowe.

Dlatego w stosunku ojca do siebie nie widział nic dziwnego. Zajęty nauką i sportami, nie próbował dociec powodów, dla których wysłany został do szkoły za granicę. Nie uważał tego bynajmniej za wygnanie, tym bardziej że gdy teraz właśnie, po raz pierwszy, powiedział ojcu, że chciałby poznać Polskę, którą opuścił jako małe dziecko, ojciec natychmiast się zgodził.

Raczej podobał mu się u ojca ten brak czułości, którego wcale nie należało uważać za chłód.

Teraz wrócił do przedziału, by dokończyć rozmowy ze starym Bawarczykiem.

„Axel” przybijał do portu, sunąc między niekończącymi się szeregami zakotwiczonych statków. Jeszcze kwadrans i z jego wnętrza wynurzył się pociąg.

— Kopenhaga!

Na zabloconym peronie dworca Bawarczyk zęgnął się z towarzyszem podróży. Profesorowi uściśnął dłoń, a Piotrowi podał swój bilet wizytowy.

— Jeżeli będziesz pan kiedyś, młodzieńcze, w Monachium, nie zapomnij wpaść do mnie.

Syn

W tejże chwili jakiś niski, krępy pan w kraciastym ubraniu krzyknął:

— Hallo, przyjacielu! Nie zapomnij pan: jutro, piąta rano!

— Pamiętam — odpowiedział wesoło Piotr i zwracając się do ojca, dodał: — to mój Duńczyk z wyspy Anholt.

„Ma takie samo szczęście do ludzi, jak tamten” — pomyślał profesor.

Ich pobyt w Kopenhadze przeciągnął się do tygodnia, a jeszcze w Berlinie Brunicki musiał zatrzymać się przez dwa dni.

— Chyba nigdy nie dojedziemy do Warszawy — żartował Piotr, gdy wsiadali do pociągu na Friedrichs-bahnhof<sup>281</sup> — na wszelki wypadek przejrzą rozkład jazdy, dla upewnienia się, czy po drodze nie ma miast uniwersyteckich.

— Żałuję, że nie ma Zurichu<sup>282</sup> — odpowiedział profesor — miałbym do pomówienia z Ottonem Pernissonem.

— Też psychiatra?

— Nie, Piotrze, to jest student, biolog, niewiele starszy od ciebie, wschodząca gwiazda nauki. Twórca nowych prądów.

— Ojczy, jestem skruszony. W tym porównaniu mego wieku z wiekiem owego Pernissona usłyszałem wyrzut, że nie jestem twórcą nowych prądów w nauce!

— Nie wyrzut, ale może była w tym odrobina zazdrości — uśmiechnął się Brunicki.

— Poczekaj, ojczy, kilka lat, a może i ja ci dam powód do dumy.

Brunickiemu ścisnęło się serce.

„Mój Boże — myślał — czyż i tak nie miałbym być z niego dumny, gdybym wiedział, że on jest moim synem!”

Z całą jasnością uświadamiał teraz sobie, że niczego bardziej w życiu nie pragnął, jak właśnie takiego syna. Już w szkole, gdy przyjaźnił się z Bohdanem Druckim, marzył o tym, by być do niego podobnym. Starał się naśladować go w jego brawurze, zamięowaniach, zainteresowaniach... A później, gdy ożenił się z Wandą, wciąż pozostawał pod urokiem Bohdana, czyż nie oczekiwał jako największej łaski losu, że urodzi im się syn właśnie taki, jak Bohdan?!...

„Wiedzieć, wiedzieć — jęczało w piersiach — wiedzieć za wszelką cenę!”

I nagle w mózgu, łapczywie szukającym odpowiedzi, zrodziła się nowa myśl:

„Czy istnieje dziedziczna ciągłość psychiki? Czy istnieje w podświadomości człowieka więź psycho-fizjologiczna z poprzednimi pokoleniami? A jeżeli istnieje, jak można odkryć i zbadać?”

Profesor przetarł czoło i wpił spojrzenie w twarz syna, zatopionego w czytaniu.

„Zaraz, zaraz — przywoływał do porządku rwącą się myśl. — Więc przede wszystkim, antropologicznie<sup>283</sup> rzecz biorąc, istnieją rasy. Przekazują one potomstwu nie tylko właściwości morfologiczne, lecz i pewien stały pion psychiczny. To aksjomat<sup>284</sup>. Zatem zupełnie jest dopuszczalne, że u podstaw tej psychiki leży podświadomy grunt wspólny. Więc teoria Freuda może i powinna być rozciągnięta jeszcze dalej poza granicę, do której doprowadził ją doktor Kunoki. Psychika człowieka zaczyna powstawać nie w łonie matki, lecz znacznie wcześniej, w uwarstwieniach psychicznych całych pokoleń... Jednakże z punktu widzenia psychologa należałoby wówczas wykluczyć decydujące wpływy postronne i całą teorię elektroneuronów?”

— Absurd! — powiedział głośno.

— Słucham ojca? — podniósł głowę Piotr.

— Nic, przepraszam cię. Zaczynam już mówić głośno do siebie. Jestem przemęczony. Piotr zerwał się.

— To prawda, ojczy. Wyjmę poduszkę i pled. Niech się ojciec położy i spróbuje zasnąć. Dobrze?

Każdy taki objaw uwagi ze strony Piotra wzruszał Brunickiego niesłychanie. Zdawał sobie sprawę, że swym chłodem w obejściu z nim, chłodem niedopuszczającym żadnych

<sup>281</sup>*Friedrichs-bahnhof* — dziś: dworzec kolejowy Friedrichstrasse w Berlinie, zbudowany w latach 1919–1925. [przypis edytorski]

<sup>282</sup>*Zurich* — duże miasto w Szwajcarii, stolica kantonu. [przypis edytorski]

<sup>283</sup>*antropologia* — nauka o człowieku, jego pochodzeniu, rozwoju i zróżnicowaniu fizycznym. [przypis edytorski]

<sup>284</sup>*aksjomat* (z gr.) — pewnik, niewzruszona zasada. [przypis edytorski]

czułości, musiał raczej zrażać go do siebie. Tym żywiej przyjmował wszystkie te jego proste, niewymuszone, a tak wyraźnie serdeczne uprzejmości. Napawał się przy tym tonem, sposobem, rodzajem tej pieczołowitości, w której była nutka jakby opieki silniejszego nad słabszym, tyle prostoty i swobody.

Profesor w takich razach nie umiał zdobyć się na opozycję. Poddawał się woli Piotra z wewnętrzną radością, której sam sobie nie pozwalał stwierdzić i nazwać, lecz która tym niemniej nie dawała się zagłuszyć żadnymi refleksjami.

Piotr, gwizdząc pod nosem, otworzył walizkę ojca, wyjął pled, jasiek, ranne pantofle.

— Niech ojciec zdejmie kołnierzyk, będzie wygodniej — powiedział — a za jednym zamachem schowam do walizy, żeby się nie kurzył.

Profesor położył się i gdy Piotr owinął mu nogi pledem i zatrzymał się bez ruchu, zapytał, nie otwierając oczu, zapytał głosem cichym, który wyrwał mu się wbrew jego woli, powtarzając myśli:

— Czy ty mnie kochasz, Piotrze?

— Kocham cię, ojcze — odpowiedział równie cicho Piotr.

I gdyby profesor zdobył się na odwagę podniesienia powiek, zobaczyłby nad sobą lekko pochyloną twarz z dobrym, ciepłym uśmiechem złączących się oczu.

Widocznie jednak samo brzmienie głosu syna dość było wymowne, gdyż twarz profesora pokryła się bladością.

— Śpij, ojcze — powiedział Piotr.

Wziął książkę i usiadł naprzeciw.

Profesor Brunicki nie mógł zasnąć. Leżał bez ruchu jak skamieniały, lecz w jego mózgu nieustannie gonily się myśli. Powiedział mu, że go kocha! Za co?... Za co może kochać jego, oschłego, zimnego pana, którego widuje dwa razy do roku, z którym go nic, ale to nic nie łączy?

I druga myśl: co powiedziałby Piotrowi, gdyby od niego usłyszał takie pytanie? Czy umiałby wydobyć z siebie takie słowa?... Czy w tych słowach nie zgrzytnęłoby kłamstwo?... Tak, kłamstwo, bo przecież równie bliski jest nienawiści do tego chłopca, jak i miłości.

Żeby nie zapomnieć: kwestia śladów istnienia w poprzedzających pokoleniach i warunki wydobycia tych śladów z podświadomości osobnika.

Należy to gruntownie przemyśleć i przedyskutować z profesorem Konstynowiczem, a także z doktorem Kunoki. W Klinice Psychiatrycznej da się przeprowadzić doświadczenia na kilku pacjentach, których biografia i pochodzenie są szczegółowo opisane... Może to dać fenomenalne rezultaty — nieomylność orzeczeń w ustalaniu ojcostwa!

Profesor Brunicki zasnął. Obudził go dopiero głos konduktora, oznajmającego Warszawę.

Samochód czekał przed dworcem. Gdy usadowili się w nim, ojciec zapytał:

— Więc jakże ułożyłeś swoje plany?

— Najpierw, ojcze, chcę poznać Warszawę, później pojadę do Krakowa, Wilna, Lwowa... no i chciałbym też wypróbować moje nogi w Tatrach...

Rozglądał się wokół z zaciekawieniem.

— Jak bardzo inna jest Warszawa od miast, które znam. Ojciec ma dom na przedmieściu, prawda?

— Tak. Na Żoliborzu. I hm... właśnie chciałem o tym z tobą pomówić, jak z... mężczyną.

Piotr spoważniał.

— Słucham ojca.

— Otóż widzisz, w moim domu są ludzie... którzy... których... nie będziesz widywał. Zajmują oni znaczną część domu. O ich obecności nikt nie wie i wiedzieć nie powinien. Czy mogę być pewny, że nie będziesz się tym interesował?

— Ojcze — powiedział Piotr z wyrzutem.

— Nie wątpiłem — zapewniał profesor — że cokolwiek mogło ci się wydawać, będziesz miał zaufanie do mnie. Otrzymasz więc pokój na parterze i proszę cię, byś nigdy nie przestąpił drzwi prowadzących z hallu do dalszych pokoi.

— Obiecuję to ojcu i nie ma o czym mówić.



— Wierzę ci, chłopcze, i dziękuję. Poza tym mieszka u mnie niejaki doktor Kunoki, bardzo znany biolog... Otóż przebywa on w Warszawie incognito<sup>285</sup> i pragnąłbym, byś nikomu o tym nie wspomniał.

— Widzę, że ojciec — zaśmiał się Piotr — ma mnie jednak trochę za babę, lubiącą wsadzać wszędzie swój nos i plotkować.

— Bynajmniej, Piotrze, gdybym tak cię sądził, nie mógłbym cię przywieźć do siebie. Po prostu chcę cię zapoznać z góry z warunkami, w jakich się znajdziesz, z sytuacją wytworzoną może przez bardziej ważne sprawy, niż mógłbym ci powiedzieć.

— Chociażby była to tylko zwykła fantazja czy kaprys ojca, i tak wystarczyłoby mi to w zupełności.

— Dziękuję ci.

Piotr otrzymał narożny pokój obok hallu, z oknami wychodzącymi na ogród. Gdy brodaty służący zawiadomił go, że pan profesor już się wykapał i łazienka jest już dla niego przygotowana, Piotr wyraźnie usłyszał kobiecy głos, nucący jakąś piosenkę. Głos musiał pochodzić z otwartego okna na pierwszym piętrze a nie skądinąd, gdyż w ogrodzie nikogo nie było, a wokół ciągnęły się niezabudowane place.

Kiedy po powrocie z łazienki ubierał się do kolacji, znowu usłyszał głos, lecz tym razem męski. Mimo woli stanął i zaczął się przysłuchiwać, zanim uszu jego dobiegł charakterystyczny szmer.

— Gramofon! — skonstatował.

Zresztą, nie obchodziło go to wcale.

Przy stole poznał doktora Kunoki, który bardzo mu się podobał, a to dzięki miłemu rozczarowaniu, jakie sprawiło to, że ten uczony Japończyk świetnie znał się na sportach, o jachtingu, szermierce i o nartach mówił tak, jakby się niczym innym w życiu nie zajmował, a poza tym potrafił zaimponować Piotrowi wyrażeniem uznania dla eugenicznej<sup>286</sup> roli ćwiczeń fizycznych:

— To rozpowszechnione fałszywe przekonanie — mówił — że ludzkość się degeneruje, że jesteśmy coraz słabsi i coraz mniejsi, jest już dziś zupełnie obalone przez naukę. Wprost przeciwnie, każde pokolenie coraz bardziej dystansuje swoich przodków pod względem eugeniki.

— Cieszyłbym się, gdyby tak było — odpowiedział Piotr — no i muszę panu doktorowi wierzyć, że tak jest. Jednak widziałem w zamku Troem pod Uppsalą zbroje i broń rodu Foentierna. Młody Foentierna jest moim kolegą i żaden z nas nie może przecież zaliczać się do ułomków. A jednak ani on, ani ja nie mogliśmy swobodnie włączyć tych mieczami czy kuszami, a w pancerzach wprost nikliśmy.

— O, to jest zupełnie zrozumiałe — uśmiechnął się Japończyk. — W tych warunkach higienicznych, w jakich żyło średniowiecze, wszystkie organizmy słabsze skazane były na śmierć, jeśli nie w niemowlęctwie, to w dzieciństwie. Przetrwać mogły tylko najsilniejsze. Te, dzięki nieustannemu trudowi fizycznemu, rozwijały się w olbrzymów. Z biegiem pokoleń z poszczególnych rodów rycerskich, na skutek tego, co Spencer<sup>287</sup> nazywa „przeżyciem najlepiej przystosowanych”, a Darwin „doborem naturalnym”, wytworzyła się nie tyle rasa, ile klasa ludzi silnych. Obok nich wszakże wegetowała degenerująca się klasa znacznie liczniejsza. Ta skazana była na zagładę, tak zresztą jak i pierwsza, która w miarę zmiany warunków egzystencji zarzucała wyprawy wojenne i turnieje, a ubierała swoje matki w ciasne gorsety, tworząc wylęgarnie cherlactwa<sup>288</sup>.

— Musisz to znać z literatury — wtrącił profesor.

— Oczywiście — zaśmiał się Piotr — był nawet taki okres, kiedy cherlactwo dawało jakby patent uduchowienia.

— To jest symptomatyczne. Zwróć, Piotrze, na to uwagę — powiedział Brunicki —

Historia

<sup>285</sup>incognito (z łac.) — nie ujawniając swojej prawdziwej tożsamości. [przypis edytorski]

<sup>286</sup>eugeniczny — odnoszący się do eugeniki; eugenika (z gr. *eugenes*: dobrze urodzony): idea ulepszenia gatunku poprzez tworzenie warunków pozwalających na rozwój dodatnich cech dziedzicznych i ograniczenie cech ujemnych, w szczególności przez odpowiednie dobieranie przyszłych rodziców od odpowiednich cechach. Pojęcie wykorzystywane w ideologii nazistowskiej, po drugiej wojnie światowej stało się niepopularne. [przypis edytorski]

<sup>287</sup>Spencer, Herbert (1820–1903) — angielski filozof i socjolog; przedstawiciel ewolucjonizmu w naukach społecznych. [przypis edytorski]

<sup>288</sup>cherlactwo — wątrość, chorowitość. [przypis edytorski]

że zawsze idee czy prądy nurtujące daną epokę wynikają właśnie ze stanu rzeczywistości. Rozumiesz? Nie stwarzają tego stanu, lecz są zjawiskiem wtórnym, zostają spreparowane na jego usprawiedliwienie. Przyda się to i tobie, gdy zechcesz trzeźwo spojrzeć na dzisiejsze bałwochwalstwo sportowe. Powszechność, nagminność bałwochwalstwa dla siły i sprawności fizycznej jest niczym innym, jak tylko tłumaczeniem się przed samymi sobą z zaniku życia umysłowego i duchowego w szerokich warstwach.

— Zgoda, ojciec — odpowiedział Piotr — ale biorąc pod uwagę kwestię podniesioną przez pana doktora, kwestię „przeżycia najbardziej przystosowanych”, nie należy nad tym płakać.

— O, młody przyjacielu, należy to uznać za reakcję witalnych sił gatunku ludzkiego, za żywotność człowieka, jego obronę przed degradacją, że zaś tak jest, potwierdza nam statystyka. Weźmy chociażby tylko dane dotyczące wzrostu człowieka. Zachwycał się pan wzrostem prapradziadów, lecz obok nich były miliony ludzi małych i słabych. Miara może być tylko miara przeciętna. Otóż w ciągu ostatnich dwudziestu lat, jak to wykazują statystyki poborowych, przeciętny wzrost człowieka we Francji zwiększył się o dwa centymetry, w Niemczech o trzy, we Włoszech o dwa z ułamkiem, a w Japonii o siedem! I rośnie wciąż!

Pomimo tego, że rozmowa przeciągnęła się do późna i gdy Piotr szedł spać wybiła już jedenasta, profesor zasiadł z doktorem Kunoki w gabinecie. Na biurku zjawily się wielkie arkusze wykresów graficznych, dziennik obserwacji, klisze zdjęć rentgenowskich, noty różnych analiz, opisy snów pacjentek, stenogramy rozmów z nimi...

Jedna po drugiej przesuwały się przed dwiema nachylonymi głowami zielone teczki, pokryte szeregami cyfr, skrótów, liter.

Doktor Kunoki zdawał sprawozdanie z trzytygodniowego okresu swojej pracy. Często zatrzymywali się przy tym lub owym i zamieniali kilka urywanych zdań, kilkakrotnie wywiązywał się między nimi spór o takie czy inne zakwalifikowanie objawu.

Było już dobrze po północy, gdy Japończyk otworzył ciężką kasę ogniotrwałą, schował gruby plik zielonych teczek i zabierał się do odejścia.

— Chwileczkę, kolego — zatrzymał go profesor — chciałbym poznać pański pogląd na pewną koncepcję, która przyszła mi do głowy.

— Służę profesorowi.

Brunicki oparł głowę na rękę i zaczął mówić. Kunoki słuchał z uwagą. Profesor rozwijał swój pogląd na możliwość odnalezienia w psychice danego osobnika podświadomego przechowanego obrazu życia jego przodków, a przynajmniej rodziców i zakończył podkreśleniem wagi, jaką miałyby empiryczne stwierdzenie tej hipotezy już nie tylko dla nauki, lecz i dla życia praktycznego — uznawania ojcostwa!

Poza krótkim błyskiem oczu twarz Japończyka nie zdradziła najmniejszego wrażenia. Przyznał, że hipoteza może mieć ogromną wartość, że oczywiście należy poddać ją systematycznym badaniom eksperymentalnym, że też w rozstrzygnięciu problemu tak zwanego „zapatrzania” powinna ona oddać ogromne usługi.

— Właśnie — zerwał się profesor — tu męczą mnie wątpliwości. Zresztą... pomówimy jeszcze o tym.

Zamienili jeszcze kilka zdań i życząc doktorowi dobrej nocy, Brunicki zapytał:

— Jakże się panu podobał mój syn?

— Bardzo — odpowiedział lakonicznie Kunoki.

Nazajutrz Piotr w towarzystwie ojca zwiedzał miasto, Łazienki, kościoły, muzea, Zamek.

Właśnie wychodzili z Zamku, gdy tuż przy samochodzie ujrzeni kobietę, jakby na nich czekającą. Mogła mieć około pięćdziesiątki. Nos jej był czerwony, spod starego, słomkowego kapelusza, przekrzywionego na bakier, wymykały się kosmyki brudnosiwych włosów, cały wygląd świadczył o ubóstwie, zaniedbaniu i alkoholizmie.

Na widok profesora jej usta rozsunały się w szyderczym uśmiechu i lekko zataczając się, zrobiła ku niemu kilka kroków.

— Wsiadaj do auta — rozkazał Piotrowi Brunicki, sam zaś podszedł do baby i zapytał z groźną miną:

— Czego Bułałowa czatuje na mnie? Tyle razy mówiłem...

Siła, Rozum

Starość

— Cicho, doktorku, cicho — przerwała skrzeczącym głosem — czego się zaraz gniewać. Pogodzimy się.

— Bułałowa znowu jest pijana!

— Ze zmartwienia, ojczulku. Zarobków nijakich nie mam. Doktorek o mnie zapomniał...

— Mówiłem już wam — ostrożnie rozejrzał się wokół Brunicki — że więcej niczego nie potrzebuję.

Śmiało wyciągnęła rękę w dziurawej rękawiczce i chwyciła go za łokieć.

— Ale ja potrzebuję. Potrzebuję pieniędzy.

— Nie dam więcej.

— A ja panu mówię, że pan da — zachichotała. — Wprawdzie nie wiem, jak się pan nazywa i gdzie pan mieszka, ale numerki samochodu to pamiętam. Ot, co! Numerki 82-822. Ładny numerki i do śmierci go nie zapomnę. A już tam po numerku znaleźć nietrudno...

— To szantaż! — syknął Brunicki. — Czy Bułałowa rozumie, że za to jest kryminal?

— Kryminal jest obszerny i pan się w nim zmieści — warknęła.

Profesor przygryzł wargi.

— Ile Bułałowa chce?

— A i pięćset złotych nie zaszkodzi. Tak sobie powiedziałam. Nie zaszkodzi.

Gdy jednak sięgnął do portfela, pośpiesznie dodała:

— Pięćset nie zaszkodzi, a siedemset pomoże. Pan bogaty jest. Stać pana.

Prędko wyjął banknoty, zwinął i podał jej.

— Proszę. A niech Bułałowa zapomni wreszcie o mnie.

— Doktorku — rozczuliła się — niech Bóg wynagrodzi za dobre serce. Nie robiłabym ja tego, gdyby nie bieda. Ale co dziś akuszerka może zarobić? Służąca jaka najwyżej sto złocików da za poronienie, a od niektórej to i wyciągnąć nie można...

— No, nie mam czasu — zmarszczył brwi Brunicki i chciał odejść, lecz znowu przytrzymała go za rękaw.

— Doktorku, czy naprawdę już panu te dziewczyny niepotrzebne? Mam teraz u siebie taką, co akurat. W drugim miesiącu. I ładna jest. Szwaczka...

Patrzyła mu w oczy z natarczywością.

— Mówiłem, że nie. Jeżeli Bułałowa będzie miała jakąś inteligentną panienkę, to owszem, niech Bułałowa wrzuci kartkę, jak zwykle. Ale, powtarzam, musi być inteligentna i bardzo młoda.

— Skądże ja taką wezmę — załamała ręce — dawniej to się i zdarzały, a teraz to doktorzy cały chleb akuszerkom odebrali. Ale jakby co było, to zawiadomię. Po staremu do „Kurierka”<sup>289</sup>?

— Tak.

Zapiął palto i nie oglądając się, wszedł do wozu.

— Jakaś wstrętna baba — zauważył Piotr.

— Jazda — rzucił szoferowi profesor.

— Pan profesor każe do kliniki?

— Tak. A paniczka odwieziesz do domu. Zjem dziś obiad na mieście, bo mam pilną konferencję — wyjaśnił synowi.

<sup>289</sup> „Kurier Warszawski” — gazeta codzienna wydawana w Warszawie od roku 1821 do 1939; popularna wśród mieszczaństwa, urzędników państwowych i warstwy inteligentkiej. [przypis edytorski]

Piotr siedział w hallu z doktorem Kunoki. Rozmowa zeszła na zagadnienia okultystyczne<sup>290</sup>. Spirytyzm, mediumizm, hipnotyzm<sup>291</sup>. Piotr, który bardzo mało wiedział o tej dziedzinie, słuchał z zainteresowaniem i wypytywał doktora o szczegóły.

W pewnej chwili Japończyk zapytał:

— A pan nigdy nie był hipnotyzowany?

— Nie, nigdy.

— Wie pan, że to bardzo zabawne uczucie — zaśmiał się Kunoki. — Zresztą nie wiem, czy pan w ogóle jest podatnym obiektem do hipnozy?

— Sam chciałbym się przekonać.

— A nie boi się pan?

— Cóż znowu. Poza tym uważam, że wszystkiego w życiu należy spróbować. Czy pan, doktorze, umie to robić?

— Mam w tym niejaką praktykę — zaśmiał się Japończyk. — Jeżeli pan chce, zrobimy ten żarcik?

— Z największą przyjemnością.

— No więc, proszę położyć się na sofie.

Śmieli się obaj i Piotr rozciągnął się na tapczanie.

— Jestem gotów, ale jakoś nie chce mi się wierzyć, by udało się panu.

— I ja wątpię, lecz spróbujemy. Uwaga! Zaczynam.

Doktor Kunoki pochylił się nad Piotrem, końcami palców obu rąk zatoczył dwie pętle tuż nad skroniami, założył dłonie nad nasadą nosa i rozchylając je poziomo, wznosił ponad wierzch czaszki.

Rozchybotane falistym ruchem palce zdawały się teraz coś zgarniać z twarzy leżącego, ręce spiralą przesunęły się nad obojczykami, szybkim ruchem skrzyżowały się nad dołkiem i raptownie się wznosiły ku górze. Wszystkie członki Piotra drgnęły wyprężonymi mięśniami i opadły, oddech stał się słaby i powolny — węzeł solarny odpowiedział.

Jeszcze dwukrotne *passy*<sup>292</sup> wzdłuż ciała i Japończyk wyprostował się.

Teraz szybko wyjrzał przez okno, rzucił okiem na zegar, w obu drzwiach przekręcił klucze i wrócił do nieruchomo leżącego Piotra.

Puls był słaby, ale miarowy. Bładość umiarkowana.

— Panie Piotrze, słyszy mnie pan? — zapytał.

Wargi chłopca poruszyły się nieznacznie.

— Słyszy mnie pan? — powtórzył doktor.

— Tak. Słyszę.

— Jak się pan nazywa?

— Nazywam się Piotr Brunicki, Piotr Brunicki.

Japończyk pochylił się nad uśpionym i powiedział twardo:

— To nieprawda. Pan się myli. Piotr Brunicki to młody człowiek, to pański syn. Piotr Brunicki ma dwudziesty rok, a pan jest jego ojcem. Teraz pan uświadamia to sobie?

Twarz Piotra skurczyła się, oddech przyśpieszył się, usta drgnęły.

— Proszę odpowiedzieć — surowo nakazywał głos doktora Kunoki — jak się pan nazywa?

Japończyk powolnym ruchem przesunął końcami palców nad brwiami Piotra i dobitnie powtórzył pytanie, lecz z ust hipnotyzowanego wydobywały się tylko jakieś nieartykułowane dźwięki.

<sup>290</sup>okultystyczny — związany z okultyzmem: doktryną „wiedzy tajemnej” o istnieniu nadprzyrodzonych sił w przyrodzie i w człowieku, które można pobudzić i zużytkować przez stosowanie odpowiednich praktyk. [przypis edytorski]

<sup>291</sup>spirytyzm, mediumizm, hipnotyzm — popularne od poł. XIX w. do poł. XX w. poglądy i praktyki dotyczące wykorzystywania niezwykłych cech i zdolności ludzkich; *spirytyzm*: wiara w istnienie w każdym człowieku „czynnika myślącego”, który po śmierci odłącza się od ciała fizycznego i wciela przez reinkarnację w kolejne istoty, dzięki czemu możliwe jest kontaktowanie się z duchami osób zmarłych, które jeszcze nie przeszły reinkarnacji; *mediumizm*: wiara w wywoływanie zjawisk paranormalnych za pośrednictwem tzw. mediów, osób podatnych na sugestie i hipnozę, zdolnych do odczuwania zjawisk telepatycznych, wywoływania duchów itp.; *hipnotyzm*: wiedza o hipnozie i jej praktycznym wykorzystaniu. [przypis edytorski]

<sup>292</sup>*passy* (z fr. *passés*) — pociągnięcia, ruchy rąk wykonywane przez hipnotyzera nad ciałem osoby hipnotyzowanej. [przypis edytorski]

— Niech pan sobie przypomni — skandując słowa, mówił doktor. — Było to trzydzieści lat temu. Trzydzieści! Rozumie pan?

— Rozumiem.

— Był pan małym chłopcem. Wołają pana. Ktoś pana woła. Słyszysz pan?

— Słyszę?

— Jak pana wołają?

— Peter! Peter! Peter!...

Doktor Kunoki opuścił ręce.

— Myli się pan — zaprzeczył gniewnie. — To wołają pańskiego syna. Prawda?

— Prawda.

— Pan jest ojcem Piotra, rozumie pan?

— Rozumiem.

— Jak się pan nazywa?

— Profesor Karol Brunicki — bez zająknięcia odpowiedział uśpiony.

— Co pan pamięta ze swojego dzieciństwa? Proszę uważać, jest pan dzieckiem. Jak pana wołają?

— Peter!

Kunoki przygryzł wargi i uśmiechnął się bezradnie. Stało się dlań oczywiste, że hipoteza profesora jest błędna, że w podświadomości człowieka nie można znaleźć śladów samowiedzy jego ojca. Zrobił ostatnią próbę.

— Pan jest studentem medycyny, Karolem Brunickim. Rozumie pan?

— Tak.

— Proszę mi powiedzieć, co to jest *nervus vagus*<sup>293</sup>?

— Nie wiem.

Doktor spojrział na zegarek, zbadął puls Piotra. Należało kończyć.

— Proszę uważać, panie Piotrze! I proszę pamiętać. Tego, co powiem teraz, nie wolno panu zapomnieć. Otóż, kiedy był pan małym chłopcem, miał pan czarne włosy. Czarne włosy! Proszę powtórzyć.

— Miałem czarne włosy.

— Tak. Czarne włosy. A wołano na pana: „Karolu”. Wołano na pana: „Karolu”. Jak na pana wołano?

— Karolu — wyszeptał Piotr.

— To trzeba koniecznie pamiętać. Czasami wołano na pana Peter, a czasem Karolu! To jest bardzo ważne. Gdy wołano na pana Peter, był pan blondynem, a gdy wołano Karolu, był pan brunetem. Dlaczego tak jest, pan nie rozumie, ale pan dobrze pamięta, że tak jest. Chcę teraz wiedzieć, co pan pamięta? Proszę powiedzieć!

— Byłem blondynem i wołano na mnie Peter, a... także wołano Karolu, ale wtedy byłem brunetem.

— Zatem dobrze. To jest jedyna rzecz, którą musi pan zapamiętać. Poza tym pan zapomni o tym, że był hipnotyzowany. Za chwilę pana obudzę i usiądzie pan na fotelu. Pan będzie wiedział, że ani na chwilę z niego nie wstawał i że nie przerywaliśmy rozmowy o naukach okultystycznych. Rozumie pan?

— Rozumiem.

Doktor Kunoki otarł pot z czoła i kilkoma passami rąk przywołał Piotra do przytomności. Chłopak otworzył oczy, spojrział nieprzytomnie dookoła, wstał i chociaż drżały mu kolana i nieco chwiało się na nogach, przeszedł do zajmowanego uprzednio fotela.

Tymczasem Japończyk przekręcił znowu klucz w zamku i stając przed Piotrem, zapytał:

— Więc powiada pan, że chciałby dla próby poddać się hipnotyzmowi?

— Tak, panie doktorze, myślę, że człowiek powinien poznać wszystkie wrażenia, jakie są mu dostępne.

— Jest pan błady — zauważył ze współczuciem Kunoki — czuje się pan zmęczony?

— Jakby trochę. Nie wiem dlaczego, bośmy z ojcem stosunkowo niewiele chodzili.

— Prawdopodobnie różnica klimatu. Nie przespaliśmy się pan?

— O, cóż znowu — zaśmiał się Piotr.

<sup>293</sup>*nervus vagus* (łac., med.) — nerw błędny, najdłuższy z nerwów czaszkowych. [przypis edytorski]

— Bo ja muszę pana przeprosić i zostawić samego. Mam trochę roboty.

— Pan doktor będzie łaskaw.

Piotr widział, jak Japończyk wydobyl z kieszeni klucze, odsłonił kotarę i otworzył ciężkie, grube drzwi.

Gdy wrócił profesor Brunicki, zastał Piotra bawiącego się z kotami.

— Nie wiedziałem, że ojciec tak lubi koty — zawołał na jego powitanie. — Trener bokserki w Uppsali, klnąc, zawsze mówił: „Do stu starych panien i ich tysiąc kotów!”. Stąd nabrałem przekonania, że koty stanowią specjalność właśnie starych panien.

— Twój trener miał dużo racji, chłopcze — odpowiedział profesor, ciężko siadając w fotelu — zamiłowanie do kotów i innych kanarków jest u starych kobiet skutkiem niezaspokojenia instynktu macierzyństwa. Małe dziewczynki bawią się lalkami, później zajmują się przyjaciółkami, gdy wyjdą za mąż, traktują męża jak nową lalkę, następnie zaś, gdy mają dzieci czy pieski i koty, zawsze się nimi bawią.

Piotr pomyślał, że w życiu ojca kobiety wiele musiały mu sprawić goryczy i dlatego tyle lekceważenia ma dla nich i tyle niechęci.

— No, ale ojciec nie dla zabawy chyba trzyma te koty? — zapytał.

— Nie, Piotrze. Potrzebne mi są do prac laboratoryjnych. Uf... jestem zmęczony. Gdzie doktor Kunoki?

— Wyszedł tymi drzwiami — wskazał Piotr. — Może ojciec przespałby się trochę?

— Dobrze. Skorzystam z twojej rady — podniósł się Brunicki. — Więc jutro pokażę ci jeszcze kilka rzeczy godnych widzenia, a pojutrze jedziesz do Zakopanego.

— Tak, ojcie. Teraz wyjdę przejść się nad Wisłą. Przyjemnego snu.

Profesor zatrzymał się w drzwiach.

— Słuchaj, chłopcze, czy ty nigdy nie byłeś hipnotyzowany?

— Nie, ojcie. Dlaczego o to pytasz?

— Tak tylko. Przez nalóg starego psychiatry. Do widzenia. A nie spóźnij się na kolarcję.

## ROZDZIAŁ 20

Morze było gładkie jak lustro. Najmniejszy podmuch nie poruszał powietrza. Dlatego młodzi Therlingowie zrezygnowali z wycieczki i obaj byli teraz bardzo zajęci uczeniem Julki sztuki pływania.

Drucki i Alicja, leżąc na piasku po powrocie z długiej wycieczki pływackiej, przyglądali się tej rozbawionej trójce.

— Nie rozumiem, co się stało z Julką — zaczęła Alicja. — Odnoszę wrażenie, że nastąpiła w niej jakaś zmiana. Nie zauważyłeś tego, Boh?

— Jak to zmiana? — zapytał wymijająco.

— Od pewnego czasu wyczuwam w jej sposobie bycia, jakby coś nieszczerzego. Niby po dawnemu mówi ze mną o wielu rzeczach, a jednak jestem przekonana, że nie o wszystkim. Coś ją nurtuje. Nieraz, gdy sądzi, że nie patrzę na nią, zamyśla się i ma zacięty wyraz ust.

— U młodych dziewcząt — wzruszył ramionami Drucki — różne bywają humory.

— Nie, Boh, intuicja mnie nie myli. W tym tkwi jakiś ważny powód, albo przynajmniej taki, który przez nią oceniany jest jako ważny. Spójrz na nią. Przecie najwyraźniej ona udaje, że się śmieje i bawi się. To wszystko jest robione. Poza tym wciąż mizernieje i zdaje mi się, że źle sypia. Kilka razy zauważyłam, że płakała, a gdy ją zapytałam, zaprzeczyła. Przy tym ta kokieteria. Zawsze miała w sobie sporo zalotności, ale nigdy nie przejawiała jej w tak jaskrawy sposób.

— Młoda jest, czego chcesz, Al?

— Przede mną najwyraźniej coś ukrywa. Zbyt dobrze ją znam, bym miała tego nie spostrzec, a i dla ciebie stała się jakaś szorstka. Dawniej tak cieszyła się na każdą wycieczkę samochodową z tobą, a teraz trzeba ją namawiać. W ogóle unika naszego towarzystwa.

Drucki zakrył od słońca twarz rękoma i milczał.

— Posądzałabym ją o zadurzenie się w którymś z młodych ludzi, gdyby nie to, że przynajmniej moim zdaniem, ani ten inżynier Holt, ani ci dwaj smarkacze — wska-

Kot, Kobieta, Zabawa,  
Matka

zała Therlingów — ani taki goguś<sup>294</sup>, jak Tomkowski, nie mogą w ogóle podobać się dziewczynie z jakim takim smakiem. Jak sądzisz?

— Bo ja wiem, może jej po prostu nie służy morze?

— W każdym razie bądź tak dobry i zwróć na nią uwagę.

— No, już tym razem — powiedział — nie będę miał na to czasu, bo przecie jutro rano jadę do Warszawy, a gdy wrócę, może już będzie po humorach.

— Nie, Boh, wątpię. Byłabym ci wdzięczna, gdybyś wziął Julkę dziś na jakąś przejażdżkę i spróbował wybadać.

— Tego ode mnie nie wymagaj, Al — skrzywił się. — Nie czuję powołania ani na sędziego śledczego, ani na pedagoga. Zresztą obiecałem już pani Chełmińskiej, że ją dziś będę uczył prowadzenia auta.

Alicja spojrzała na niego spod przymkniętych powiek i rzuciła lekko:

— To też jest... pedagogika. Ta pani Chełmińska nie odznacza się jednak pojętnością, bo już trzeci raz bierze lekcje...

— Nigdy nie prowadziła auta — wzruszył ramionami.

— À propos, czy wiesz, że i pani Chełmińska jutro jedzie do Warszawy? — zapytała Alicja.

— Wspominała o tym.

— Dziwny zbieg okoliczności.

Nic nie odpowiedział. Nie wątpił, że pani Chełmińska dla niego jedzie do Warszawy, bo nie zadawała sobie trudu ukrywania swojego zainteresowania dla jego osoby nawet w obecności Alicji. A i jemu bardzo się podobała. Wprawdzie nie z jej powodu musiał na kilka dni opuścić Hel, a w stolicy czekało nań sporo pracy w związku z jakimiś pretensjami podatkowymi do „Argentyny”, a jednak rad był, że i ta pikantna brunetka tam będzie.

Nie chciał się sobie samemu przyznać, lecz romans z Alicją zaczynał mu ciążyć. Jego wyobraźnia, wciąż szukająca nowych podniet, nużyła się w jednostajności nastroju, wprawdzie wciąż płomiennego i jednakowo nasilonego do ostatnich granic, lecz właśnie przez swą niezmienną powszedniość.

Nadto od czasu wyznań Julki szczere uczucie sympatii i przyjaźni dla tej małej krępowało go w stosunku do Alicji, wytwarzając sytuację przykrą i skomplikowaną, w jakiej natura Druckiego nie umiała się pomieścić.

Po prostu było mu z tym diabelnie niewygodnie.

Nie cierpiał fałszu i kłamstwa i z innych przyczyn. Toteż cieszył się, że przez kilka dni będzie oddychał swobodnie.

Wiedział, że fakt jednoczesnego wyjazdu pani Chełmińskiej wzbudza podejrzenia Alicji i że jej zazdrość wzrasta z dnia na dzień, lecz nie chciał się nad tym zastanawiać.

Wieczorem Julka nie jadła kolacji i poszła do siebie, tłumacząc się bólem głowy. Tak się umówiła z panem Jankiem, by mógł przyjść i pożegnać się z nią bez świadków.

Gdy wszedł i zamknął za sobą drzwi, rzuciła mu się na szyję.

— Kochany, jedyny — szeptała — będę marzyła o panu, będę strasznie tęskniła...

— Niedługo wrócę, mała, trzymaj się zdrowo.

— O, panie Janku, ja wiem, że nie tylko Ala pana kocha, wiem, że wiele ich pana kocha... Tylko żadna nie tak, jak ja... Dla mnie jest pan wszystkim... wszystkim...

A później, o świcie, gdy stojąc przy otwartym oknie, wsłuchiwała się w oddalający warkot auta, którym odjeżdżał, myślała, że jest to najświętsza prawda, że on jest dla niej wszystkim na świecie.

Tak, bo cóż się stało z jej najświętszymi, najgorętszymi uczuciami dla Alicji?... Och, nie rozgrzeszała siebie z obowiązku wdzięczności wobec niej. Tylko kochać jej już nie mogła. Nie umiała nawet zmusić się do swobodnej z nią rozmowy. Czula do niej jakby żal.

„Ona mi nawet siebie zabrała. Jestem teraz sama, zupełnie sama...”

Wprawdzie czasami dręczyły Julkę wyrzuty sumienia, że tak oto odplaca się Alicji za jej opiekę, troskliwość i serce, lecz wówczas wpadała tylko w rozpacz, że jest zła, niewdzięczna, że ma podłą naturę, lecz ani przez chwilę nie mogła pomyśleć o wyrzeczeniu się swego uczucia dla pana Janka, do którego miała także prawo, jak i Alicja.

<sup>294</sup>goguś (lekcew.) — lalusz, mężczyzna przesadnie dbający o modny, elegancki wygląd. [przypis edytorski]

Na trzeci dzień po wyjeździe Druckiego, gdy wyszły rano na spacer, Alicja postanowiła zbadać sprawę.

— Źle dziś spałaś, Julko — zaczęła — słyszałam, że kaszlałaś.

— Może przez sen — odpowiedziała. — Dziękuję ci, spałam dobrze.

— Nie mówisz prawdy, Julko — łagodnie odezwała się Alicja.

Dziewczyna milczała.

— Nie mówisz prawdy. W ogóle coś ukrywasz przede mną.

Julka zaśmiała się krótkim ironicznym śmiechem.

— Ja? Alu, my przecie przed sobą niczego nigdy nie ukrywamy.

— Źle mnie zrozumiałaś, Julko. Widzę, że coś przeżywasz, że coś cię nurtuje, coś, powiedzmy, trapi. I jeżeli chcę wiedzieć co, to nie przez ciekawość, lecz dlatego, że uważam za swój obowiązek czuwanie nad tobą. Od dłuższego już czasu obserwuję w twym zachowaniu pewne zdenerwowanie, niecierpliwość, jaskrawość, a czasem przygnębienie. Jeżeli dopiero teraz o tym mówię, to tylko dlatego, że byłam przekonana, że ty sama, jak zawsze, powiesz mi o tym, co jest przyczyną twoich zmartwień.

— Zmartwień? Cha... cha... cha... Alu, zapewniam cię, że nie mam żadnych zmartwień.

— Jesteś nieszczerą.

— Wydaje ci się, Alu.

— A jednak ukrywasz coś przede mną.

Julka zacięła wargi i powiedziała obojętnym tonem:

— Przywidziało ci się.

Szły w milczeniu po piasku twardo ubitym miotem<sup>295</sup> fal.

— Kochasz się — mówiła Alicja.

— Ja? — gwałtownie poczerwieniała Julka.

— Więc kochasz się. Tak przypuszczałam. O, nie myśl, że chcę ci z tego powodu robić wyrzuty. Doskonale to rozumiem. Sądzę jednak, że mogłaś mieć do mnie tyle zaufania, by zwierzyć mi się ze swym uczuciem.

Julka odwróciła głowę i Alicja wiedziała, że chce ukryć łzy.

— Juleczko — odezwała się miękko — czy możesz mi powiedzieć, w kim się kochasz?

Dziewczyna spojrzała na nią zażawionymi oczyma, lecz oczyma zupełnie innymi, nienawistnymi, pełnymi złych błysków.

— Nie! — krzyknęła. — Nie kocham nikogo! Nie mogę ci powiedzieć i nie chcę. Nie kocham nikogo! Nikogo!

Alicja przytuliła ją do siebie, pomimo jej prób wyrwania się z objęć.

— Uspokój się, Juleczko. Przecież wiesz, jak cię kocham. No, uspokój się. Pomówmy bez nerwów.

Nie puszczała jej i po pauzie dodała:

— Czy myślisz że on, ten, o którym marzysz, nie spostrzeże twego uczucia? Że nie odpowie ci wzajemnością?

Julka nagle zaczęła się śmiać przykrym, nienaturalnym śmiechem, prawie brutalnie uwolniła się z objęć i obrzuciwszy Alicję ironicznym spojrzeniem, powiedziała:

— Czy zdaje ci się, że tylko takie piękne jak ty mają prawo do wzajemności?... Czy... Ach, zresztą mówimy bezprzedmiotowo.

— Julko?!...

— Uroiło ci się coś, Alu. Dajmy temu spokój.

Alicja jeszcze kilka razy próbowała powrócić do raz poruszonej sprawy w nadziei wydobycia z Julki szczerych wyznań, lecz ta milczała uparcie. Oczywiście, od pierwszej już rozmowy przenikliwy umysł Alicji odkrył tajemnicę dziewczyny. Nie ulegało dla niej wątpliwości, że Julka kocha się w Druckim. Chodziło tylko o ustalenie, na ile to uczucie jest zaawansowane.

Początkowo Alicji wcale nie przychodziło na myśl, że Julka mogła powiedzieć o swej miłości Bohdanowi. Gdyby tak było, Boh nie omieszkalby zakomunikować tego Alicji.

<sup>295</sup>miot — tu: miotanie, rzucanie. [przypis edytorski]



Jednakże z biegiem czasu pewność w tym względzie została zachwiana. Z różnych pólówek, jakie udało się wydobyć z Julki, zrodziło się podejrzenie, a dowodem nieodpartym stało się odkrycie faktu, że Julka zaczęła pisać listy. Pisywała je nocami, a do skrzynki pocztowej biegła bardzo wczesnym rankiem.

Podczas jednej z takich jej wypraw Alicja przeprowadziła gruntowną rewizję w jej pokoju. Owocem tych poszukiwań było odkrycie dwóch przedmiotów, zawiniętych starannie w bibułę i ukrytych na dnie szafy: małego, gładkiego kamyka i kilku włókien miękkiego, siwego mchu.

Nie znalazła ani skrawka zapisanego papieru, lecz uważnie obejrzała suszkę<sup>296</sup>. Przy pomocy lustra nietrudno było odczytać na niej strzępy słów, niepozostawiające już żadnych wątpliwości, że Julka pisała do Druckiego. Urywek adresu: w alei Szucha, koniec słowa „(mi)łości” itp. były dostatecznie wymowne.

Sytuacja stawała się dojmująco jasna. Julka pisuje doń z jego zgodą, on zataił przed Alicją wszystko, no i prawdopodobnie też koresponduje z Julką...

Straszny ból ścisnął serce Alicji. Jej ręce zacisnęły się kurczowo.

Gdyby Julka w tej chwili weszła do swego pokoju, Alicja nie umiałaby zapanować nad porywem nienawiści, lecz już po chwili była spokojna i tylko wzrok, którym spotkała powracającą wychowanek, palił się jakimś złym ogniem.

Teraz należało za wszelką cenę stwierdzić, czy Bohdan pisuje do Julki. Z zimną ostrożnością zbadła panią Czerwieńską, służbę, listonosza, a nawet Therlingów, którzy czasami widywali się z Julką jeszcze przed śniadaniem, to jest wtedy, gdy ta mogła czytać otrzymane listy. Wreszcie udała się na pocztę. Indagowany<sup>297</sup> urzędnik wzruszył tylko ramionami.

— Żadnych informacji pani udzielić nie mogę. To jest moja tajemnica służbowa.

Wobec tego zwróciła się do kierownika urzędu pocztowego, okazała mu swoją legitymację prokuratorską i uzyskała to, że urzędnik przypomniał sobie, iż dwa razy wydawał karty pocztowe adresowane do panny Julii Horn, i otrzymał od szefa polecenie zatrzymania korespondencji, jaka by do niej jeszcze nadejść mogła, do dyspozycji pani prokuratorce.

— Więc pisał do niej, więc pisał — powtarzała Alicja, wracając do pensjonatu i gryząc wargi — poza mymi plecami!

Była tak wzburzona, że przezorność nakazywała unikania Julki, póki nie zdoła się opanować. Zamknęła się w swoim pokoju, rzuciła na łóżko i przyciskając dłonie do twarzy, powtarzała:

— Żmija, żmija, żmija... parszywe szczenię, wyhodowałam ją, żmija... żmija...

Z przegryzionej wargi sączyła się krew, której mdły i ostry smak otrzeźwił Alicję.

— Spokojnie! spokojnie!...

Usiadła i podparła głowę rękoma, myślała:

„Przede wszystkim trzeba mieć diagnozę sytuacji. Jak daleko zaszedł romans Julki z Druckim? Czy oddała mu się? Czy jeszcze nie?... Och, zapłaci mi za to ta żmija!... To bydłatko! Zapłaci!”

Mijały godziny na ważeniu szans takiej czy innej prawdy. Gdy schodziła na kolację, była już zupełnie zrównoważona, spokojna i uśmiechnięta.

Wiedziała, że trzeba czekać nowej kartki Druckiego do Julki, a wtedy dopiero powziąć ostateczną decyzję.

Lecz minęły dwa dni, a kartka nie nadchodziła, natomiast trzeciego dnia przyniesiono depeszę adresowaną do Alicji. Drucki zawiadamił, że przyjechać nie może. Nazajutrz też pani Czerwieńska otrzymała telegraficznie przekaz pieniężny i prośbę o spakowanie i wysłanie jego rzeczy do Warszawy.

Alicja nie powiedziała Julce o otrzymaniu wiadomości, a tylko oświadczyła jej krótko przy obiedzie:

— Dziś wieczorem jadę do Warszawy.

— Jak to „jadę”? — drżącym głosem zapytała Julka. — Więc mnie tu zostawiasz?

— Wróć za kilka dni. Nie widzę powodów zabierania ciebie.

<sup>296</sup>suszka — przedmiot do osuszania papieru z atramentu, w postaci przycisku w przymocowaną do podstawy bibułę. [przypis edytorski]

<sup>297</sup>indagować — dopytywać się, wypytywać. [przypis edytorski]

— Ale ja wolałabym też pojechać.  
— Po co? — spojrzała na nią Alicja, nie mogąc ukryć szyderstwa, a gdy dziewczyna nie odpowiedziała, wzruszyła ramionami: — Zostaniesz tu.

— Dobrze — z zaciętością szepnęła Julka.

Odprowadzając Alicję na dworzec, była milcząca i spokojna. Pożegnały się zimnym pocałunkiem i gdy tylko pociąg ruszył, Julka pobiegła na pocztę.

Okienko „poste-restante”<sup>298</sup> było już nieczynne, lecz nie o to chodziło. Wzięła blankiet telegraficzny i napisawszy depezę, wręczyła urzędnicze. Ta obliczyła słowa.

— Pani płaci dwa złote.

Teraz dopiero Julka spostrzegła się, że nie zabrała torebki.

— Boże drogi! Nie mam ze sobą pieniędzy! — krzyknęła zrozpaczona. — A to takie pilne!

Urzędniczka uśmiechnęła się.

— Jutro mi pani odda.

— O, jaka pani dobra, jaka pani dobra!

— Widzę, że pani bardzo na tym zależy — skinęła głową urzędniczka.

Julka wracała wolnym krokiem do „Godivy”. O, czy jej zależy? Więcej niż zależy! Jutro, oczywiście, odda dług na poczcie. W torebce ma przecie kilkanaście złotych... Nagle uprzytomniła sobie, że są to przecież pieniądze, które otrzymała od Alicji, że ta sukienka, którą ma na sobie, że wszystko, co posiada, wszystko, co umie, wszystko zawdzięcza wyłącznie Alicji.

Znajdowała się w położeniu bez wyjścia i długo w nocy nie spała, szlochając w poduszkę.

## ROZDZIAŁ 21

— Teraz nie mogę się z tobą zobaczyć — mówił profesor Brunicki — ale będę ci wdzięczny, jeżeli przyjdiesz do mnie na obiad.

— Zgoda, Karolu. Widzę, że jesteś w doskonałym humorze?

— Tak, Bohdanie, nawet w czymś więcej, niż to można nazwać humorem. Dzwoniłem do ciebie kilka razy, lecz i wczoraj odpowiedziano mi, że nie ma cię w Warszawie.

— Jestem właściwie pod Warszawą — odpowiedział Drucki.

— Tak, wiem, wspominała mi panna Łęska, że siedzisz w jakichś Chelminach. Dziękuję ci, żeś odwiedził pannę Łęską. Czy nie znajdujesz, że w jej stanie zaszła znaczna poprawa?

— Owszem. Cała zajęta jest myślą o...

Umyślnie zrobił długą pauzę.

— O kim? — zapytał niecierpliwie Brunicki.

— Dlaczego nie „o czym”, co?

— Więc wszystko jedno, o czym?

— O tobie, Karolu.

Brunicki chrząknął w słuchawkę:

— Tak... no... więc czekam cię na obiad, drogi Bohdanie. Do widzenia.

Drucki położył tubę i zaśmiał się.

— Już można hałasować? — zapytała Zośka, stojąca przy tachcie<sup>299</sup> z rurą od odkurzacza w ręku.

— Hałasuj, mała, ile ci się podoba.

Przekręciła kontakt i odkurzacz zawarczał niskim tonem.

Nachyliła się nad dywanem tak, że jej krótkka, perkalowa sukienka w niebieskie paski odsłoniła nogi powyżej jędrnych mięśni, wiążących kolana, zresztą cała przylegała do skóry, wilgotnej od upału.

— Zośka! — zawołał.

Odwróciła zarumienioną twarz.

— Czy ty wiesz, że jesteś ładna, psiakrew?!

Pan, Sługa, Erotyzm

<sup>298</sup> *poste-restante* (fr.) — poczta pozostająca, wysyłka na adres urzędu pocztowego dogodnego dla odbiorcy, a nie na adres zamieszkania; tu: okienko pocztowe do odbioru takich przesyłek. [przypis edytorski]

<sup>299</sup> *tachta* (daw.) — rodzaj dużej kanapy bez oparcia; tapczan. [przypis edytorski]

Wyprostowała się i wyszczerzyła szerokie, białe zęby. Perkal był tak przezroczysty, że wyraźnie zaznaczały się przezeń dwie brązowe plamy na dużych, jędrnych piersiach.

— Ano, ładna może, ale nie dla każdego.

— Jak to, nie dla każdego? — nieco zdetonował się.

— A dyc<sup>300</sup> nie dla pana, bo do pana to przed wyjazdem kudy<sup>301</sup> ładniejsza pani przychodziła, a i ta, co u niej teraz na wsi pan przebywa, to tyż dla pana ładniejsza.

— Chodź tu! — rzucił ostro.

Bez wahania położyła rurę odkurzacza i zbliżyła się do krzesła przy telefonie. Wyciągnął rękę i zagarnął ją sobie na kolana. Nie opierała się, lecz siedziała jakoś sztywno. Przez jedwab pidżamy i cienką sukienkę czuł wilgotność jej skóry. Jego ręka, przesuając się po nagich łydkach, również stała się wilgotna. Zapach jej ciała miał w sobie coś z zapachu czystej bielizny i cząbrów<sup>302</sup>, a skóra na szyi i twarzy pachniała mlekiem.

Wpił się w jej usta.

— Zaraz — odsunęła go lekko — zamknę odkurzacza. Szkoda prądu.

Wstała i on wstał również. Wyłączyła kontakt i wyprężając ręce, powiedziała:

— Straszny gorąc! Żeby tak do Wisły!

— Wykąp się w wannie — wycedził przez zaciśnięte zęby, zapalając papierosa.

— O, nie... Gdzieżbym się ośmieliła.

— Dlaczego? Proszę cię. Napuść sobie wody, tylko nie za zimnej, bo przeziębisz się.

— Można? Naprawdę pan pozwala?

— Ile tylko chcesz.

— Bo ja nieraz, jak pana nie ma, to myślałam, żeby wykapać się, ale bałam się. O, niech pan tylko nie myśli, że ja jestem brudna. Ja i tak myję się, a to dla chłodu.

— Nie, nie myślę. Daj mi śniadanie i kąp się, ile chcesz.

— Dziękuję, bardzo dziękuję! — zawołała z wprost dziecienną radością i w ciągu kilku minut podała mu kawę, po czym znikła.

Spróbował kawy, była gorąca. Zbliżył się do okna. Termometr w cieniu wykazywał trzydzieści siedem stopni. To upał!

Z pokoju kąpielowego dobiegł szuszu plusk wody. Drucki przymknął oczy, wahał się chwilę i nacisnął klamkę drzwi pokoju kąpielowego. Były otwarte.

Dziewczyna stała naga w niszy prysznicowej, wśród gradu kropel, otaczających ją ze wsząd. Ręce oplotła na karku, poddając twarz i piersi bezpośredniej sile natrysku. Oczy miała zaciśnięte, a szum wody zagłuszył kroki Druckiego.

Spostrzegła go dopiero po dłuższej chwili, gdy stojąc o dwa kroki od niej, zaklął:

— Psiakrew!

— Ojej! — krzyknęła i natychmiast przysiadła, zakrywając rękoma piersi, lecz jednocześnie podnosząc nań roześmiane oczy.

— Ach, ty gadzino — powiedział — czemuś się nie zamknęła?!

— A bo nie wiedziałam, że pan wejdzie?... Co pan robi? Zamoczy pan pidżamę! O, rany!

Było już jednak za późno. Drucki wszedł do niszy i w jednej chwili pidżama mokra była do ostatniej nitki.

Pochylił się, ujawszy ramiona Zośki, podniósł ją z ziemi i przyciągnął do siebie. Nie zrobiła jednego ruchu obrony i stali tak chwilę pod rześmistym deszczem chłodnej wody.

— O, jak tu dobrze, prawda? — powiedziała, wspinając się na palcach i z całej siły przywierając do niego.

Trzymał ją jedną ręką, a drugą zrywał z siebie pidżamę! Oczy im zalewała woda, a mózgi krew i wziął ją tak świeżą i jędrną, jak natrysk, który bombardował dwa splecione ciała miliardami kropel.

Gdy zwisła bezwładna w jego rękach, zaniósł ją do przeciwległej niszy i położył na sofie.

— Tak... tak... mi szumi w głowie... od tego prysznicu — powiedziała urywanym głosem, wierzchem dłoni przesunęła po czole i uśmiechnęła się.

<sup>300</sup>dyc (daw., gw.) — przecież. [przypis edytorski]

<sup>301</sup>kudy (gw.) — gdzie. [przypis edytorski]

<sup>302</sup>cząber — rodzaj rośliny zielnej, używanej jako przyprawa. [przypis edytorski]

Sluga, Pan, Woda

Pan, Sluga, Pożądanie,  
Seks, Woda

Patrzył na nią, leżącą przed nim nagą i tak pozbawioną wstydu, jak nie zna wstydu nagość całej przyrody.

Usiadł przy niej i przyglądał się z zachwytem.

— Czy ty wiesz, że jesteś diabelnie ładna?...

— O... o!... — zaśmiała się, i nie tylko ustami i oczyma, lecz, zdawało się, całą swą postacią — abym się tylko panu podobała...

— Mnie?

— Tylko panu.

W dwie godziny później wychodził z domu. Zośka prasowała pidżamę i nuciła coś wesołego. Pocałował ją w usta.

— Do widzenia, mała!

— Do widzenia panu... ale...

— Ale co? — zatrzymał się w proggu.

— Ale na noc to chyba... nie przyjdę... Bo plotkowaliby... Aż jutro rano?

— Dobrze. Rano! Im wcześniej, tym lepiej.

— A pan... pan... dziś nie pojedzie na wieś do tej pani?...

— Za żadne skarby — zaśmiał się.

— To dobrze. Do widzenia.

Odprowadziła go roziskrzonym spojrzeniem.

Drucki zatrzasnął drzwiczki auta i zerknąwszy ku swoim oknom, zobaczył wychylającą się zza firanki Zośkę. Powiał ku niej ręką i ruszył dobrym gazem.

Na Dębowej otworzył mu furtkę mrukliwy brodac i oświadczył, że profesor jeszcze nie wrócił z kolei.

— Skąd?

— No, z dworca. Przecie syna odprowadza.

— Syna? — stanął jak wryty Drucki.

W tej chwili wszedł do przedpokoju doktor Kunoki.

— A, jakże się cieszę! — zawołał z tym żywszym niż zwykle uśmiechem, którym zawsze witał Druckiego. — No, proszę, proszę, profesor niedługo przyjedzie. Cóż pan porabia?

Drucki w kilku zdaniach opowiedział, że był na Helu i nawet miał tam wrócić, ale go coś „ukąsiło” i nie wyjedzie.

— A co to, Antoni mnie powiedział, że podobno Piotr tu był?

Kunoki skinął głową.

— Karol go sprowadził na stałe ze Szwecji?

— Nie. Pan Piotr chciał poznać Polskę. Teraz jedzie do Zakopanego, do Krakowa i dalej, ale wróci tu jeszcze. Prosiłbym — dodał po pauzie — by pan nie zdradzał się przed profesorem, że mu o tym powiedziałem.

— Ależ naturalnie... Naturalnie... naturalnie — powtarzał zamyślony Drucki. — A... czy nie może mi doktor powiedzieć, jaki był... hm... stosunek Karola do syna?...

Japończyk pochylił się ku niemu i zaczął:

— Widzi pan, od dawna przypuszczałem, że impulsem, który skierował zainteresowania naukowe profesora ku problemowi tak zwanego zapatrzenia, była sprawa osobista. Nietrudno było wywnioskować to z namiętności, z pasji, z nerwowości wreszcie, z jaką się tym zajmował. No i samo ryzyko tych badań... Otóż... czy pozwoli pan, że będę z nim szczery?

— Proszę, doktorze!

— Otóż podejrzenia moje zmieniłyby się w pewność z chwilą, gdym zobaczył Piotra, nie, jeszcze wcześniej, z chwilą, gdy usłyszałem przez drzwi jego głos. Był to głos pański, panie Winkler.

Drucki zaciął wargi.

— Tak — ciągnął Kunoki — chłopak ten jest niesamowicie podobny do pana.

— Psiakrew, psiakrew!...

— Nie tylko fizycznie, lecz i psychicznie. Jest prawie pańską kopią. Przyznam, że wtedy wszystko stało się dla mnie jasne. Profesor podejrzewa, że pan jest ojcem Piotra i... trudno mu się dziwić...

— Doktorze — zerwał się Drucki — doktorze, ale ja przysięgam, że nigdy żona Karola nie była moją kochanką. Nigdy! Doktorze, czy pan może mi uwierzyć?

Japończyk wziął go łagodnie za ramię.

— Niech się pan uspokoi. Wierzę panu. Co więcej, jestem przekonany, że tak jest. Myślę, że już pominąwszy wszelkie inne względy, pan, z pańską naturą, z pańskim typem psychiki nie umiałby tu kłamać, nie chciałby i nie potrzebował. A zresztą... zresztą i sam profesor już dziś wierzy panu.

Drucki zbladł i chwycił doktora za rękę.

— Co pan mówi?

— Opowiem panu. Profesor niedawno powziął myśl, że w psychice jednostki, tak jak i w jej morfologii, można odnaleźć ślady bytowania poprzednich pokoleń, a przede wszystkim rodziców.

— I jak jest?

— Nie będę w to wchodził. Dość że profesor przeprowadził cały szereg eksperymentów hipnotycznych zarówno w klinice, jak i tu — wskazał zasłonięte kotarą drzwi — u nas. O ile mogłem z jego skąpych relacji wywnioskować, badania te nie dały takich rezultatów, jakich oczekiwał, a jakie pozwalałyby jego hipotezę nazwać teorią naukową. Jednakże miał cały szereg wypadków, w których uzyskał wyniki bardzo zastanawiające. Wczoraj zaś przeprowadził eksperyment na Piotrze.

— I pan był przy tym?!

— Nie. Wiem tylko, że profesor przez cały dzień przygotowywał się do seansu, że wieczorem zamknął się z synem w gabinecie na przeszło godzinę, a po godzinie... wszedł rozpromieniony, powiedziałbym rozegzaltowany. Oświadczył mi, że jego hipoteza wstrząśnie współczesną wiedzą i że zapatrzenie musi istnieć i musi być uznane przez oficjalną naukę.

Drucki słuchał z zapartym oddechem i teraz prawie krzyknął:

— Do stu diabłów! Kamień mi spada z serca!

Japończyk uśmiechnął się blado.

— O, i bez tego mieliśmy tu szereg, a mówiąc ściśle, dwadzieścia dwa niewątpliwe dowody istnienia częściowego zapatrzenia, wywołanego sztucznie przez sugestię, i siedem przypadków zapatrzeń również częściowych bez stosowania hipnozy, a przy pomocy środków naturalnych.

— Jak to, naturalnych?

— Przy pomocy skoncentrowania uwagi ciężarnej na pewien szczegół. Więc na przykład w pokoju pozbawionym jakichkolwiek ozdób czy urozmaiceń umieszczaliśmy obraz przedstawiający człowieka o nadnaturalnie wielkim jednym uchu. Potworność tego ucha przykuwała oczy pacjentki miesiącami. Syn jej urodził się z uchem prawym większym od lewego o siedemdziesiąt cztery procent.

— Fenomenalne!

— Albo na przykład innej ciężarnej zastosowaliśmy napełnianie pokoju zapachem piżma. Natychmiast potem powodowaliśmy silny, niespodziewany hałas. Kobieta po pewnym czasie, ilekroć poczuła zapach piżma, wiedziała, że nastąpi huk, i zatykała uszy. Otóż jej córka, która obecnie ma lat dziewięć i uczy się w szkole powszechnej, ilekroć poczuje zapach piżma, natychmiast zatyka uszy. Gdy ją wypytywano, dlaczego to robi, odpowiada, że nie wie. Natomiast zahipnotyzowana, bez wahania twierdzi, że będzie wystrzał.

— A matka też zachowała ten ruch?

— Nie. Matka wcale nie reaguje na ten zapach. Ale powiem panu jeszcze coś ciekawego. Oto kobieta ta wyszła za mąż za woźnego z banku i urodziła mu syna. Chłopiec, badany przez profesora Brunickiego przed rokiem, automatycznie reagował na zapach piżma zatykaniem uszu. Jak pan widzi, wrażenie, powzięte przez matkę i przekazane płodowi, płód ten tak utrwalił w organizmie matki, że przekazuje je nawet następnym dzieciom.

— Nadzwyczajne. Zatem różne oryginalne odruchy u ludzi mogą się tłumaczyć?...

— Nie tylko odruchy, lecz zboczenia, idiosynkrazje<sup>303</sup>, męczące sny o rzeczach, których dany osobnik nigdy nie widział, przemawianie przez sen w obcych, nieznanym językach, najczęściej w sanskrycie<sup>304</sup>, wszystko to są następstwa wrażeń odniesionych podświadomie w łonie matki, a często przekazywanych przez setki pokoleń.

— Do zdumiewających rzeczy dochodzi dzisiejsza wiedza — zawołał Drucki.

— No, nie tak bardzo dzisiejsza — uśmiechnął się Kunoki. — Ojciec jatrochemii<sup>305</sup>, lekarz szwajcarski Paracelsus<sup>306</sup> już na początku szesnastego wieku doszukiwał się źródła anomalii i zmian patologicznych w... zapatrzeniu się matki podczas ciąży. Wprawdzie chodziło mu głównie o wyjaśnienie przyczyn achromazji<sup>307</sup>...

— Czego?

— Achromazja jest to kompletny daltonizm<sup>308</sup>, czyli widzenie wszystkiego w kolorze szarym. Paracelsus odkrył to już dwieście lat przed Daltonem<sup>309</sup> i utrzymywał, że ludzie dotknięci achromazją są dziećmi matek, które podczas ciąży trzymane były w więziennej ciemnicy. Oczywiście przypuszczenie to nie wytrzymuje krytyki. Natomiast inne jego twierdzenie już obecnie zostało udowodnione przez kilka moich własnych doświadczeń. Mówię o muzykalności, która czasami bywa dziedziczna, częściej jednak jest skutkiem wrażeń pobranych przez brzemienne.

— Lecz wszystko to są zapatrzenia częściowe, ale na przykład, jeżeli chodzi o Piotra, jest ono zdumiewająco pełne.

— Tak.

— Czy i to się tłumaczy?

— Oczywiście. Wyznam panu, że wypadek ten wielce mnie zainteresował — poprawił się w krześle doktor Kunoki. — Zainteresował nie tylko jako swego rodzaju fenomen, lecz i jako kwestia dotycząca bezpośrednio profesora Brunickiego, dla którego żywięć cześć, uwielbienie i najgłębszą życzliwość.

— Zatem? Doszedł pan do jakichś wniosków?

— Tak. Pragnąłbym tylko, by przedtem zechciał mi pan odpowiedzieć na jedno pytanie.

— Służę.

— Otóż czy żona profesora kochała się w panu?

Drucki zrobił nieokreślony ruch ręką.

— Hm... niestety, tak.

— Pewien byłem tego — uśmiechnął się Japończyk — i widzi pan, to była właśnie siła potężniejsza od wszelkich sugestii. Orientuję się, że wolałby pan, by uczucie to nie miało miejsca. Sądzę jednak, że musiało być silne. Myślę, że całkowitość zapatrzenia tłumaczy się tu trzema wpływami: obrazem pańskim, jaki tkwił w psychice tej kobiety, wyobraźnią, która w chwili zapłodnienia musiała autosugestywnie działać w kierunku przeświadczenia, że akt dokonywany jest przez pana, i wreszcie obecnością pańską w okresie ciąży.

— Jakimiż drogami wpływy te działały?

— Biologia nie zna jeszcze tych dróg. Dopiero je poznaje, opierając się na mojej teorii elektroneuronów, stanowiących emanację ziarnistych ciałek Nissla. Emanacja ta jest

<sup>303</sup>*idiosynkrazja* (z gr.) — szczególny, indywidualny sposób postrzegania i zachowania, często wyrażający odmienność, ekscentryzm lub osobliwość; także: wstręt, niechęć do kogoś; med.: indywidualna, wrodzona nadwrażliwość organizmu na określone związki chemiczne. [przypis edytorski]

<sup>304</sup>*sanskryt* — język indoaryjski z rodziny indoeuropejskiej, używany w staroż. Indiach, później jako język liturgiczny i literacki pełnił funkcję podobną do łaciny w Europie. [przypis edytorski]

<sup>305</sup>*jatrochemia* — alchemia medyczna: kierunek w alchemii w XVI–XVII w., mający na celu na odkrywanie substancji chemicznych, które mogą służyć jako leki, oraz poznawanie procesów zachodzących w organizmie ludzkim; wyparta przez nowoczesną chemię i medycynę. [przypis edytorski]

<sup>306</sup>*Paracelsus*, właśc. *Theophrastus Bombastus von Hohenheim* (ok. 1493–1541) — szwajcarski lekarz, przyrodnik, alchemik i filozof, główny propagator jatrochemii (alchemii medycznej), zwany ojcem medycyny nowożytnej. [przypis edytorski]

<sup>307</sup>*achromazja* (z gr., med.) — tu zamiast popr.: *achromatopsja*, całkowita ślepotą barwna, bardzo rzadka choroba genetyczna, objawiająca się ślepotą barw (postrzeganiem świata niemal lub całkowicie w odcieniach szarości), światłowstrętem oraz znacznym obniżeniem ostrości wzroku. [przypis edytorski]

<sup>308</sup>*daltonizm* (med.) — nierozróżnianie kolorów, zaburzenie wrodzone polegające na niezdolności do postrzegania różnic pomiędzy niektórymi lub wszystkimi barwami, które normalnie są dostrzegane przez inne osoby. [przypis edytorski]

<sup>309</sup>*Dalton, John* (1766–1844) — angielski fizyk i chemik, twórca nowożytnej atomistycznej teorii materii, odkrywca wady wzroku zwanej dziś daltonizmem. [przypis edytorski]

energiją stałą o różnej częstotliwości fal i stanowi w każdym organizmie to, co przyzwyczailiśmy się nazywać energiją psychiczną.

— Więc, emanacja ta nie jest materialna? — zapytał Drucki.

— Proszę pana, zdaje się, że my, biolodzy, przyjdziemy tu z pewną pomocą fizykom, którzy tak gorączkowo pracują nad rozwiązaniem zagadnienia materii i energii. W organizmie żywym bowiem coraz wyraźniej występuje pewnik, że właściwej granicy między materią a energiją nie ma. Zatem i moje elektroneurony znajdują się w nieskończonej ilości ustawicznych przeistoczeń i faz. W swojej postaci energetycznej oczywiście, jak wszystkie niezwiązane w atomach elektrony, przenikają materię i mogą równie dobrze pozostać w wysyłającym je organizmie, jak i działać na inny. Rozumie pan?

— I tą drogą odbywa się wpływ psychiczny jednego człowieka na drugiego?

— Nie tylko psychiczny, drogi panie, nie tylko. To już udowodniło nam istnienie telepatii<sup>310</sup>, hipnozy i tym podobnych. Lecz spostrzegamy i wpływ wręcz fizyczny, anatomiczny! Nie chcę nudzić pana przykładami, wystarczy, jeżeli wspomnę o tym, że epilepsja<sup>311</sup>, będąca następstwem zmian w tkankach włókien nerwowych, udziela się przez zapatrzenie, jak brodawki, zez, jąkanie się i tak dalej.

— Czy elektrony te niczym nie różnią się od elektronów emanowanych, przypuścimy, przez rad<sup>312</sup>?

— Różnią się tylko specjalnym układem emisji.

— A emitowane są przez nerwy?

— Cały organizm jest kompleksem niezliczonych stacji nadawczych, dla których system nerwowy jest jakby anteną. Poza tym posiada nieskończenie większy kompleks stacji odbiorczych. Tymi stacjami są gruczoły wydzielania wewnętrznego. Przyjmują one niezliczone miliony impulsów, zarówno z wewnątrz organizmu, jak i z zewnątrz. Pod wpływem tych impulsów produkują swoje hormony.

— Strasznie to skomplikowane — westchnął Drucki.

— Tylko dla nas — uśmiechnął się doktor Kunoki — w istocie swej wszystko to jest prawdopodobnie idealnie proste. Tylko współczesna nam wiedza znajduje się jeszcze w niemowlęctwie. Niech pan przyjmie, że początek świadomej myśli ludzkiej datuje się od mniej więcej czterystu tysięcy lat, kiedy człowiek odkrył ogień. Po czterystu tysiącach lat pracy myśl ta doszła do posługiwania się radiem i do rozbijania atomu! A jeżeli mamy wierzyć wielkiemu astronomowi Jeansowi<sup>313</sup>, ludzkość będzie żyła jeszcze setki milionów lat. Tak, panie, nasza wiedza nie jest nawet alfabetem. I dlatego wydaje się nam tak trudne i skomplikowane kilkusyłabowe zestawienie dostrzegalnego świata, jak dziecku przeczytanie pierwszego wyrazu w elementarzu. Lecz dajmy temu pokój. Nudzę pana.

— Czy doktor naprawdę uważa mnie za takiego głupca — oburzył się Drucki — który podobnymi rzeczami może się nudzić?

— Nie, nie. Ale wkrótce wróci profesor. Chciałem zaś jeszcze powrócić do interesującej pana sprawy. Otóż zapatrzenie, którego owocem stało się tak zdumiewające podobieństwo Piotra do pana, miało niesłychanie ułatwione działanie dzięki samemu profesorowi Brunickiemu.

— Nie rozumiem?

— To jest naturalne. Był pańskim szkolnym kolegą i przyjacielem od dziecka. Jak mi opowiadał, zawsze był słaby i chorowity, zawsze tym zgnębiony, patrząc na pana i doznając jego obrony i opieki, na pewno miał jedno największe pragnienie: by być takim, jak pan. To jasne. Jasne jest również, że tak sobie wyobrażał ideał młodego chłopca. Podświadomie, podkreślam, podświadomie gorąco pragnął, by przynajmniej jego syn stał się taki.

Drucki zamyślił się.

— Aura, stworzona przez to pragnienie z chwilą, gdy profesor dowiedział się o odmiennym stanie żony, musiała sprzyjać zapatrzeniu.

<sup>310</sup>telepatia (z gr.) — zjawisko rzekomej komunikacji pozazmysłowej, zdolność do przekazywania myśli, obrazów i uczuć na odległość bez pośrednictwa zmysłów. [przypis edytorski]

<sup>311</sup>epilepsja (med.) — padaczka, choroba, w której występują napady drgawek i utrata przytomności. [przypis edytorski]

<sup>312</sup>rad (chem.) — promieniotwórczy pierwiastek chemiczny, odkryty przez Marię Skłodowską-Curie i jej męża Pierre'a Curie w 1898. [przypis edytorski]

<sup>313</sup>Jeans, James Hopwood (1877–1946) — angielski fizyk i astronom, popularyzator nauki, zajmował się kinetyczną teorią gazów, teorią promieniowania oraz kosmologią. [przypis edytorski]

— Czyli aura ta, według pana, działała na stacje odbiorcze jego żony?  
 — Oczywiście.  
 — Nadzwyczajne, nadzwyczajne. Do licha, odkrycia panów zrobią przewrót w medycynie.

— W czym? — zaśmiał się Japończyk.

— W medycynie.

— Nie, panie, tu nie chodzi już o medycynę. Medycyna to wążiuteńki, mizerniutki odcinek wiedzy o człowieku. Odkrycia profesora Brunickiego i moje dadzą — zrobił pauzę — dadzą ludzkości możliwość nieograniczonego a świadomego rozwoju! Rozumie pan? Świadomego!

Doktor Kunoki zaczął rozwijać przed Druckim obraz przyszłego świata, gdy przed willą rozległ się sygnał samochodu. Wrócił profesor Brunicki. Już z samej powierzchowności bił niewidywany dawniej u niego humor.

Długo serdecznie ścisnął rękę Druckiego, przy obiedzie był wesoły i rozmowny. Bez wahania mówił o Piotrze z taką swobodą, z jaką nigdy przy Druckim tych spraw nie poruszał.

Przeszli potem do hallu na kawę i Drucki, siadając na kanapie, omal nie rozgniół kota.

— Do licha, Karolu — zawołał — kiedyś wpadnę w szal i powystrzelam ci te bydłeta!

— Zrobiłbyś nam wielką krzywdę — zaśmiał się profesor — prawda, doktorze?

— Rzeczywiście. Już wołałbym pański instynkt niszczyielski skierować na nasze orpingtony<sup>314</sup> i świnki morskie. Tych ostatnich mamy teraz za dużo.

— Po diabła wam, panowie, to paskudztwo?

— Hormony, przyjacielu. To jest nasza fabryka hormonów. Trzeba ci wiedzieć, że koty mają najbardziej czynne gruczoły, takie jak śledziona, szyszynka, grasicca, a przede wszystkim wątroba. Produkcja tych gruczołów daje się podnieść u kotów znacznie wyżej niż u jakiegokolwiek innego ssaka. Tak samo, jak na przykład u świnek morskich, królików i kur najproduktywniejsze są gruczoły płciowe.

Rozmawiali do późnego wieczora. Drucki wypytywał o zdrowie dostarczonych przez siebie „królików”, o postępy doświadczeń nad spodziewanym Murzyniątkiem i czy to naprawdę będzie chłopiec.

— Widzisz — śmiał się, odprowadzając go do przedpokoju, profesor — ty jesteś jednym z rzadkich i coraz rzadszych na świecie typów jednopłciowych.

— Chyba nie uważasz na przykład siebie za hermafrodytę<sup>315</sup>? — zażartował Drucki.

— Wierzaj mi, Bohdanie, że tak. Nie tylko siebie, lecz olbrzymią większość ludzi. Mówię to nie tylko jako psychiatra, lecz i jako biolog. Gdyby nauka nie doszła do wykrycia działalności poszczególnych gruczołów, ludzkość ze względów eugenicznych nie zdecydowałaby się na wyciągnięcie wniosków z doświadczeń doktora Kunoki i moich, zapewniam cię, że po kilkuset latach różnice psychiczne, a także pod względem drugorzędnych cech płciowych i fizycznych między mężczyzną i kobietą, przestałyby istnieć.

— Do diabła! Nie twierdzisz przecie, że babom będą rosły wąsy? To by nie było zachęcające.

— Nie obawiaj się. Raczej nam przestaną rosnać wąsy, a w zamian rozszerzą się kości miedniczne i zwiększy się podskórny podkład tłuszczowy. Pierwiastek kobiecy jest silniejszy w przyrodzie.

— Psiakrew! To znaczy, że gdybym żył za lat tysiąc, musiałbym rodzić dzieci i karmić je własną piersią! — wybuchnął śmiechem Drucki.

— Przeciwnie — poklepał go po ramieniu Brunicki — możesz się nie obawiać. Raczej kobiety przestaną rodzić. Nie ze swojej, lecz z winy zniewieściałych mężczyzn. Cóż chcesz, setki ras wymarły wskutek tego właśnie zniewieścienia. Społeczeństwo żyjące w zbyt wielkim dobrobycie, wolne od trudu fizycznego muszą się degenerować, a po-

<sup>314</sup>orpington — rasa dużych kur domowych. [przypis edytorski]

<sup>315</sup>hermafrodyta (gr.) — osoba mająca cechy fizyczne zarówno płci męskiej, jak i żeńskiej; pierwotnie imię postaci z mit. greckiej, syna Hermesa i Afrodyty, przez bogów złączonego ciałem z ukochaną nimfą w jedną istotę; obecnie wyraz najczęściej zastępowany w nauce terminem interplciowość. [przypis edytorski]



nieważ każda degeneracja w przyrodzie głównie i przede wszystkim wpływa na atrofię<sup>316</sup> zdolności rozrodczych, wymierają.

— No, Karolu, tyleście mi tych rzeczy nagadali, że na pewno przyśni mi się w nocy, że rodzę trojaczki. Serwus, stary przyjacielu.

— Serwus, stary przyjacielu — z ciepłym akcentem powtórzył profesor i mocno podali sobie dłonie.

Druckiemu jednak tej nocy nie było sądzone usnąć. W „Argentynie”, do której wprost pojechał z Dębowej, zastał panią Chelmińską. Na szczęście była z mężem i z jego siostrą, co utrudniło jej wytoczenie pretensji z powodu długiej nieobecności Druckiego u nich na wsi. Jednakże dopiero o piątej udało mu się wyrwać do domu.

Ucieszył się, że bramę otworzyła mu Zośka.

— Już nie śpisz, mała?

— Czekam — powiedziała, wpatrując się mu w oczy.

— Jesteś dziś jeszcze ładniejsza niż zawsze — pogładził ją po policzku.

— Eee... chyba już nie zamknę bramy — zdecydowała się. — Pójdę zrobić panu śniadanie. A... może za wcześniej?...

Byli już w przedpokoju i Drucki przyciągnął ją do siebie.

— Na takie śniadanie nigdy nie za wcześniej.

Przytuliła się do niego i wyszeptwała:

— Oj, to prawda, to prawda...

Był już rzeczywiście czas na śniadanie, gdyż zegar wskazywał ósmą, gdy nagle Zośka zawołała:

— Ojej! Na śmierć zapomniałam! Toż do pana jest telegram!

— Jaki telegram?

— Przynieśli po północy — podała mu depeszę.

Rozwinął.

Julka wzywała go do natychmiastowego przyjazdu na Hel. Żadnych powodów nie podawała, lecz nie wątpił, że musiały być ważne.

— Psiakrew — zaklął — cóż się tam mogło stać? Muszę jechać.

Z niechęcią myślał o tym. Gdyby pod depeszą była podpisana Alicja, bez namysłu wysłałby depeszę odmowną. Nie może, i koniec. Jednak Julka?... To musi coś znaczyć.

— Pan jedzie? — zapytała zmartwiona Zośka.

— Nie da rady, trzeba — rzucił depeszę na tachtę i wstał.

— Ale pan prędko powróci?

— Prędko, mała, jak najprędzej.

Zadzwoił do garażu, by przygotowano auto, do Załkinda z oznajmieniem, że znowu musi wyjechać, i z prośbą, by przeprosił Lubę za niedotrzymanie obietnicy odwiedzenia jej jutro w Konstancinie.

W trzy kwadranse później Zośka, wychylając się przez okno, widziała, jak auto Druckiego zniknęło na zakręcie.

Nie zdążyła jeszcze zabrać się do sprzątnięcia, gdy w przedpokoju rozległ się dzwonek. Otworzyła drzwi. Na progu stała ta sama piękna pani, która dawniej tu tak często bywała, tylko teraz była opalona na brąz i widocznie wracała z pociągu, bo w ręku trzymała walizkę.

— Pana nie ma — powiedziała Zośka, zasłaniając sobą wejście.

— To nic, zaczekam — odpowiedziała Alicja i weszła.

— Długo by pani musiała czekać, bo pan wyjechał.

— Dokąd wyjechał?

Zośka wzruszyła ramionami.

— Wyjechał, gdzie mu się podobało.

Alicja spojrzała na nią surowo.

— Niech się panienka nauczy grzeczniej odpowiadać! Kiedy pan Winkler wyjechał?

— Nie wiem, nie mój interes.

— Jak to, panienka jest tu służącą i nie wie, kiedy pan wyjechał?

— Ja tam, czy wiem czy nie wiem, a nie moja rzecz każdemu odpowiadać.

Alicja zdjęła kapelusze, poprawiła przed lustrem włosy i usiadła w fotelu.

<sup>316</sup>atrofia (biol., med.) — zmniejszenie się; zanik. [przypis edytorski]

— Przecie panienska zna mnie — powiedziała spokojnie — i wie, że jestem znajomą pana Winklera?

— Wiem. Ale takiego rozporządzenia nie mam, żeby każdej znajomej, co na mego pana leci, wszystko opowiadać. Dużo by się takich amaterek znalazło.

Powiedziała to z umyślną intencją i aż rozpieiała ją radość, że może dokuczyć tej pani, której nie cierpiała.

— To panienska znajduje, że ja „lecę” na pana Winklera?

— A może nie? — szyderczo zapytała dziewczyna.

— A panienska mnie nie lubi?

Zośka wzruszyła ramionami.

— I nie powie mi panienska, kiedy pan wróci?

— Skądże ja mogę wiedzieć? Mówił, że jedzie do takiej ładnej kobiety, co drugiej takiej na świecie nie ma — skłamała z pełną świadomością wrażenia, jakie wywołał jej niewinny ton — a jak taka ładna, to pewna prędko nie będzie mu się chciało wracać.

Alicja zacięła usta i odwróciła głowę. W tej chwili wzrok jej padł na tachtę, na której leżała depesza. Szybko wstała i chwyciła ją, zanim Zośka zdążyła zaprotestować.

Czytała i twarz jej stawała się coraz blejsza. Nagle zrozumiała wszystko: Julka jest kochanką Bohdana, wszystko ukartowali, by pozbyć się Alicji...

— O, gadzino, gadzino... — syknęła przez zaciśnięte zęby i nie zwracając już uwagi na Zośkę, pośpiesznie nałożyła kapelusz, wzięła neseser i wybiegła.

Była półprzytomna, gdy kazała jechać na dworzec. Tu dowiedziała się, że najbliższy pociąg na Hel odchodzi o siódmej wieczór.

— Jeżeliby pani zdążyła jeszcze na lotnisko — powiedział urzędnik — to złapałaby pani jeszcze samolot do Gdańska. Ale chyba pani nie zdąży, bo tylko pięć minut czasu.

Alicja uspokoiła się. Oczywiście nie zdąży. Zresztą przede wszystkim należy się opanować i wziąć się w cugle. Nie pamiętała, by była kiedy w takim stanie wzburzenia.

Podala taksówce adres na Topolowej.

— Och, gadzina, gadzina... Czekażże ty! Szczęnie! Najładniejsza kobieta na świecie — wybuchnęła krótkim szyderczym śmiechem. — Ale zemszczę się, strasznie się zemszczę!... Gadzina!

— Słucham panią? — odwrócił się szofer.

Teraz dopiero zauważyła, że mówiła głośno.

— Nic do pana nie mówiłam — rzuciła prawie ze złością i pomyślała: „Opanować się, opanować się za wszelką cenę”.

Bała się, bała się dopuścić do swej świadomości myśl, że oto traci Druckiego, że wymyka się jej z rąk szczęście, szczęście, którego nie odda za żadne skarby, którego nie może oddać, bo jej życie straciłoby sens i wartość.

— O, Boh, Boh, jak ja cię kocham, jak ja cię kocham...

— Dwa złote, czterdzieści groszy — powiedział szofer, zatrzymując auto.

— Co? — zapytała nieprzytomnie.

— Dwa czterdzieści.

— Aha, proszę.

Zataczała się, wchodząc na schody.

— Czekaż, żmijo, czekaż!

## ROZDZIAŁ 2.2

Julka tuliła się w ramionach Druckiego i na jego jasnej marynarce lży jej znaczyły się wieloma ciemnymi plamami.

— Jestem podła, panie Janku, jestem najpodlejsza z podłych, pan powinien brzydzić się mną, pogardzać... Ale ja tak bałam się o pana. Alicja po tej wiadomości, że pan tu nie wróci, bardzo się zmieniła. Ja ją powinnam kochać i może nawet kocham, ale nie mogę... nie mogę...

— Nie becz, mała — starał się ją uspokoić — jaka jesteś, taka jesteś i nie wyrwijaj sobie włosów z głowy, a staraj się zawsze być sobą. To grunt. Jesteś jeszcze diabelnie smarkata i z wiekiem zmądrzejesz.

— Nie brzydzi się pan mną? — chlupała.

— Ach ty, dzieciaku. Przecie wiesz, że pasjami cię lubię.  
 — A nie gniewa się pan, że depeszowałam?  
 — Nie gniewam się, chociaż zrobiłaś niemądrze.  
 — I nieuczciwie — westchnęła.  
 — Uczciwie, czy nieuczciwie, na tym się już nie znam — zaśmiał się — o to zapytaj kogo innego. Ale niemądrze.  
 — Panie Janku, a Alicję pan... kocha?...  
 — Mówiłem ci, że nie.  
 — Mój drogi, mój jedyny!... Więc i nie martwi się pan, że się teraz z nią nie zobaczył?  
 — Dziewczyno! Nie róbże mi piły drewnianej o jednym zębie! Nie martwię się niczym. Robi to za mnie pewien uprzejmy koń.  
 — Koń?  
 — Tak. On ma większą głowę, więc mu to łatwiej przychodzi. No, chodźmy na plażę. Julka nie ruszyła się i powiedziała, patrząc w ziemię:  
 — A jednak..  
 — Co tam jeszcze?  
 — Jednak pan Alicję kochał... Panie Janku, pan przecie był jej kochankiem...  
 — I cóż stąd?  
 — A... a... moim nie...  
 Wybuchnął śmiechem.  
 — O, pan się ze mnie śmieje — schowała głowę pod jego marynarkę. — Ja wiem, że jestem nieładna.  
 — Guzik wiesz! — rozgniewał się. — Zaraz ci podniosę spódniczkę i tak dam w skórę, że ci się Cape Town<sup>317</sup> przypomni.  
 — Cape Town — rozpromieniła się — gdzie głuptasów biją do trzeciej skóry!...  
 — Pamiętasz? — roześmiał się. — Widzisz ją!  
 — O, ja wszystko pamiętam, wszystko.  
 — Ejże? A wiesz, co się dzieje w Marsylii<sup>318</sup>?  
 — Naturalnie! — podskoczyła. — Tam kiedy ktoś mówi, że kłamie, to też kłamie, bo na pewno nie kłamał. Tak?  
 — Brawo! A dlaczego ryby w Singapurze<sup>319</sup> piją wodę?  
 — Bo tam stoi szkocki garnizon, a ryby nie mają pieniędzy.  
 — Patrzcie no! Jeszcze roczek edukacji, a mogłabyś w pantofelkach nocnych do ciotki Fanny na...  
 — ...śniadania chodzić! — dokończyła tryumfalnie i roześmieli się oboje.  
 Do późnej nocy siedzieli na tarasie i rozmawiali, wczesnym rankiem Drucki odjechał. Z tego, co dowiedział się od Julki, wywnioskował, że Alicja, nie zastawszy go w Warszawie, powróci na Hel. Na pewno Zośka musiała jej powiedzieć, dokąd wyjechał. Pragnął uniknąć spotkania z Alicją. Wiedział, że będzie miał przykrą przeprawę, i cieszył się, że znowu jej nie spotka.  
 Po drodze jego Fould psuł się dwa razy. Dlatego dopiero nad ranem przyjechał do Warszawy i był tak zmachany, że zaraz położył się spać, zostawiwszy wóz na ulicy.  
 Obudził się późno.  
 W sąsiednim pokoju krzątała się Zośka. Musiało już być po południu.  
 — Zośka! — zawołał.  
 — Ojej — powiedziała, stając w drzwiach — pewno obudziłam pana!?  
 — Nie, sam się obudziłem. Która to?  
 — Już po drugiej — zbliżyła się i stanęła oparta kolanami o łóżko — wyspał się pan?

<sup>317</sup> *Cape Town* (ang.) — ob. Kapsztad, miasto w Afryce Płd., dawna stolica bryt. Kolonii Przylądkowej oraz Związku Południowej Afryki; od 1961 stolica Republiki Południowej Afryki. [przypis edytorski]

<sup>318</sup> *Marsylia* — wielkie miasto w pld. Francji, nad Morzem Śródziemnym, z największym francuskim portem morskim. [przypis edytorski]

<sup>319</sup> *Singapur* — miasto-państwo w Azji Płd.-Wsch., położone na wyspach u pld. wybrzeży Płw. Malajskiego; w 1829 kupione przez Brytyjczyków od miejscowego sultana, wykorzystywane jako najważniejsza brytyjska morska baza wojskowa na Dalekim Wschodzie, od 1965 niepodległe. [przypis edytorski]

Zapytał ją, czy podczas jego nieobecności nikt nie przychodził. Zośka zdała dokładną relację z wszystkich wizyt, jedynie o bytności Alicji opowiedziała półsłówkami, nie wspominając o tym, że Alicja czytała depeszę.

— Taka ładna, a taka wredna — zakończyła swoje sprawozdanie.

— Wredna? Co to znaczy wredna?

— A czy ja wiem — wzruszyła ramionami.

Roześmiał się i zagarnąwszy jej nogi, położył obok siebie. Ta dziewczyna wprost skandalicznie działała mu na zmysły. I ten zapach mleka i cząbrów... I ta prostota pożądlivosti.

Pożądanie

Sprawiło to, że po każdym uścisku nie tylko nie nabierał do niej uczucia przykrej obcości, lecz przeciwnie, opanowywała go chęć tkliwych pieszczot i mówienia jej rzeczy miłych, wyrazów czułych i uśmiechniętych.

Właśnie oparty łokciem na poduszce tłumaczył to Zośce, wpatrując się w jej zaróżowioną twarz i w rozchylone szybkim oddechem usta, gdy w przedpokoju rozległ się dzwonek.

— Kogoś diabli niosą — przerwał sobie.

— Otworzę i zobaczę — podniosła się, poprawiając naprędce włosy i perkalową sukienkę, która była niemożliwie wygnieciona.

Łowił uchem odgłos jej bosych nóg, później szcęk zamka w otwieranych drzwiach i zmieszane głosy.

„Ki diabeł?” — pomyślał.

Nieomal w tejże chwili do sypialni wpadła Alicja.

— Boh! — krzyknęła.

— Ta pani odepchnęła mnie i weszła przemocą — zawołała Zośka wzburzonym głosem.

Twarz Druckiego ściągnęła się.

— Zośka — powiedział twardo — proszę iść do domu.

Dziewczyna otworzyła usta, lecz nie odezwała się. Obrzuciła tylko Alicję nienawistnym spojrzeniem i wyszła.

— Boh! — powtórzyła Alicja.

Drucki odrzucił koldrę, nałożył pantofle i poprawiwszy pidżamę, wstał.

— Co to ma znaczyć? — zapytał stłumionym głosem.

— Boh! Tak mnie witasz?

— Witam cię tak, jak ty tu weszłaś.

— Boh!

— No cóż powtarzasz? — zirytował się. — Boh i Boh!

Zapałił papierosa i nie patrząc na nią, usiadł na parapecie okna.

— Ta dziewczka — wyrzuciła ze ściśniętego gardła — ta dziewczka jest twoją kochanką! Wzruszył ramionami.

Zazdrość

— Dobrą znalazłeś dla mnie rywalkę — dodała z ironią.

— O co ci chodzi? — zapytał obojętnie.

— Boh! Jak ty do mnie mówisz? Czym zasłużyłam na ten ton i na te obraźliwe słowa?

— Przepraszam cię, rzeczywiście nie byłem zbyt uprzejmy — zreflektował się — ale wytrąciło mnie z równowagi twoje wtargnięcie tu. Przepraszam.

Zbliżył się do niej i pocałował ją w rękę.

Usiadła na najbliższym krześle i patrzyła nań oczyma pełnymi niepokoju.

— Po co przyjechałaś z Helu? — zapytał tak, jakby nie był ciekaw odpowiedzi.

— Boh. Ty mnie nie kochasz?! — zawołała. — Ty już mnie nie kochasz!

Milczał.

— Powiedz... powiedz... dlaczego? Nie rozumiem dlaczego?! Czy dałam ci jakiś powód, czy się zmieniłam?

— Nie — zaprzeczył — nie zmieniłaś się. Wcale się nie zmieniłaś. Ty w ogóle nie możesz się zmienić.

— Mówisz to tonem wyrzutu?

— Czy ja wiem, Al? W każdym razie nie wyrzutu. Nigdy nikomu nie robię wyrzutów i sam nie znoszę, by mnie je robiono. Nie znoszę!

Alicja chwyciła go za rękę.

— Czekaj, Boh, tu nie chodzi o scenę. Przyszedłam po prostu dowiedzieć się, czy... czy... nie masz już dla mnie dawnego uczucia?...

Ponieważ nic nie odpowiedział, przycisnęła rękę do piersi jakimś kurczowym ruchem.

— Boh, Boh, ty wiesz, że jesteś dla mnie wszystkim, że jesteś całą moją radością, całym moim życiem. Ty to musisz wiedzieć. Ja nie mogę utracić ciebie. Nie mogę. Boh, czy ty rozumiesz mnie?

— Nie rozumiem — wybuchnął — nie jestem w stanie zrozumieć, jak można od kogokolwiek żądać, by przestał być sobą.

— Nie żądam tego.

— Owszem. Żądasz, bym zrezygnował z wolności, z wolności, która właśnie jest mną. Jest moją treścią.

— A pamiętasz, żeś proponował mi małżeństwo?

— Nie przeczę — wzruszył ramionami.

— Zatem?...

— Nic zatem! Odmówiłaś mi wtedy.

— Wtedy ci odmówiłam. Ale przypuśćmy dziś?

— Dajmy temu spokój, Al. Przecie jesteś dojrzałym człowiekiem i doskonale zdajesz sobie sprawę z tego, że dziś jest zupełnie inaczej.

Zagryzła wargi do krwi i spojrzała nań dziwnie zwięzonymi źrenicami.

— Posłuchaj, Al — zaczął pojednawczo. — Znasz mnie dobrze. Wiesz, że nie potrafię znieść żadnych więzów, że są one przeciwne mojej naturze. Było nam dobrze razem. Przecie prawda? Przynajmniej jeżeli o mnie chodzi, zachowam dla ciebie, Al, wiele ciepłych uczuć i wiele wdzięczności za tę cząstkę życia, za tę piękną cząstkę życia, którąś ty była dla mnie. Bo widzisz, nie trzeba...

— Czekaj, Boh — przerwała mu — odpowiedz mi najpierw: czy wszystkim kobietom powtarzasz przy rozstaniu to samo? Umiesz to, zdaje się, na pamięć.

— Niedobra jesteś, Al. Po co chcesz zatruć ironią i twoje, i moje wspomnienia. Skoro rozstajemy się...

— Nie, nie! Nie rozstajemy się — wybuchnęła. — To ty mnie chcesz porzucić, to ty mnie odpychasz.

Wziął ją za rękę.

— Uspokój się, Al, po co ten patos.

— Patos? — zaśmiała się gorzko — ja ciebie kocham, Boh, ja ciebie ubóstwiam, bez ciebie żyć nie potrafię. Czyż nie rozumiesz, że to musi być patetyczne... Ktoś chce mi ciebie odebrać, ale ja nie oddam cię, nie oddam, za żadne skarby!...

Oplotła go ramionami, rozpalonymi ustami przywarła do jego ust.

Nie umiał wyzwolić się z tego uścisku, nie potrafiłby odsunąć od siebie tej kobiety, której piękność wprost go obezwładniała, a namiętność wywoływała burzę w jego zmysłach.

— Pragnę cię, Boh, i ty mnie pragniesz, kocham cię do szaleństwa, Boh!... Ty moje szczęście, ty moje szczęście... Widzisz, widzisz, że nie wygasła i twoja miłość, że nie możesz wyrzec się mnie, Boh!... Jestem tak spragniona... I powiedz, powiedz, czy ty mnie nie pragniesz?...

Uniósł ją w ramionach, a to, co nastąpiło, było najwymowniejszą odpowiedzią na jej pytanie.

Jednakże odpowiedź tę podyktowały tylko zmysły. I teraz, siedząc w fotelu i patrząc, jak Alicja przed lustrem poprawia włosy, Drucki zły był na siebie.

Słuchał tego, co mówiła, lecz z treści tych słów nie zdawał sobie sprawy. Myślał nad tym, w jaki sposób wytłumaczyć jej, że pomimo wszystko nie ma już powrotu do tych czasów, kiedy ona wypełniała mu życie. Nie mógł znaleźć wyrazów, którymi by należało to wyjaśnić, czuł się skrepowany.

Nie znośił tego!

— Czemu nie odpowiadasz? — odwróciła się.

— Przepraszam, nie słyszałem.

— Pytałam, kiedy jedziemy na Hel?

— Nie pojedę. Zostanę już w Warszawie. Zatrzymują mnie interesy...

Rozstanie

Miłość, Pożądanie

Nie namawiała go. Przeciwnie, oświadczyła, że wobec tego i ona pojedzie tylko na kilka dni, zlikwidować swoje sprawy nad morzem.

Ani jednym słowem nie wspominała o Julce. W dalszym ciągu nie wątpiła, że między nią a Druckim miał miejsce romans, jednakże była przekonana, że teraz, po porozumieniu z Bohdanem, skoro tylko pozbędzie się Julki z Warszawy, rzecz urwie się sama przez się. Alicja wiedziała, że Drucki zdradza ją także z innymi kobietami, lecz dość wierzyła w swój wdzięk i w swoją inteligencję, by mieć nadzieję opanowania sytuacji i wyeliminowania z jego życia nie tylko warunków sprzyjających zdradzie, ale wszystkich tęsknot do innych kobiet.

Przede wszystkim postanowiła w ogóle zmienić swój stosunek do Druckiego, postanowiła zbliżyć się do jego spraw osobistych, poznać szczegółowo tryb jego zajęć, no i doprowadzić do tego, by wreszcie zamieszkali, jeżeli nie w jednym mieszkaniu, to w bezpośrednim sąsiedztwie.

Nie zraziła się nawet tym, że Drucki nie przyszedł na dworzec i wsiadając do pociągu, układała szczegółowo plany działania. Dla Julki zdecydowała się znaleźć posadę nauczycielki do dzieci gdziekolwiek na dalekich kresach. W żadnym razie nie zamierzała dłużej zajmować się wykształceniem tej złej dziewczyny, do której teraz poza nienawiścią nic nie czuła. Nie myślała też wdawać się z nią w żadne rozmowy, wyjaśnienia czy dyskusje.

Po przyjeździe do „Godivy” oświadczyła Julce krótko:

— Pakuj rzeczy. Jutro wracamy do Warszawy.

Dziewczyna, jak zaobserwowała Alicja, musiała domyślać się, że jej podłość została odkryta, gdyż nawet nie próbowała powrócić do dawnej swobody stosunków. Milczała uparcie i była przygnębiona. Ilekroć, siedząc naprzeciw siebie w wagonie, spotykały się wzrokiem, Julka bladła, Alicja zaś powstrzymywała się, by nie rzucić jej w twarz słowa „żmija!”.

Przyjechali późnym wieczorem i Alicja natychmiast przebrała się i pojechała do „Argentyny”. Kazała dać sobie łożę i poprosić dyrektora Winklera. Nie była wcale dobrze usposobiona, lecz robiła wszystko, by Drucki czuł się w jej towarzystwie jak najweselej. Piła dużo wina i gdy około czwartej nad ranem wsiadali do Foulda, oświadczyła, że nie potrafiłaby reszty nocy spędzić samotnie.

— Jedźmy do ciebie, Boh, dobrze?

Zgodził się. Zgodził się! Więc wszystko zaczyna układać się według jej przewidywań. I układało się przez kilkanaście dni.

Alicja tymczasem odwiedziła wszystkie większe biura pośrednictwa pracy. Na razie nie było nic dla Julki odpowiedniego, wkrótce jednak miała się uwolnić posada nauczycielki — guwernantki do trzech małych dziewczynek u wzbogaconych chłopów na Wądołach, majątku położonym na krańcach Pińszczyzny<sup>320</sup>, o czterdzieści kilometrów od najbliższej stacji kolejowej. Alicja uznała to za bardzo odpowiednie, a po powrocie do domu powiedziała Julce:

— Chciałam ci zakomunikować, że w dalszym ciągu nie będę mogła cię kształcić. Jesteś już w tym wieku, kiedy korzystanie z obcej pomocy i życie na cudzy koszt jest usprawiedliwione tylko w wypadku posiadania pewnych praw moralnych do przyjmowania tego wszystkiego. Sądzę, że to rozumiesz?

— Tak — odpowiedziała Julka drżącym głosem.

— Otóż nie widzę powodu, dla którego nie miałabyś utrzymywać się sama. O znalezieniu w Warszawie posady zapewniającej możliwość jakiejś takiej egzystencji, oczywiście, w obecnych czasach i przy twoich kwalifikacjach mowy być nie może. Mam jednak nadzieję znalezienia czegoś dla ciebie na prowincji. Czy chcesz z tego skorzystać?

— Tak — odpowiedziała. Była blada i usta jej drżały.

Alicja skierowała się do wyjścia i zatrzymując się we drzwiach, dodała:

— Będiesz nauczycielką do trzech dziewczynek w prywatnym domu na wsi. Wprawdzie to poniekąd odludzie, ale i tam można przy twoim talencie znaleźć kochanka.

Tego dnia wieczorem Alicja słyszała przez drzwi stłumiony płacz Julki, lecz nie wzruszyło to jej wcale.

<sup>320</sup>Pińszczyzna — region Podlasia obejmujący tereny w okolicach miasta Pińsk, ob. pld. część Białorusi; dawniej słabo dostępny, pokryty lasami i bagnami. [przypis edytorski]

Urlop Alicji skończył się właśnie nazajutrz po tej rozmowie i od rana urzędowała w sądzie. Powitano ją z radością. Zwłaszcza prokurator Martynowicz był ucieszony, gdyż w kancelarii zalegało kilka spraw trudniejszych, opracowanie których zamierzał przekazać Alicji.

Z prawdziwą rozkoszą pogrążyła się w pracy. Tu czuła się panią w świecie paragrafów, przepisów, niezliczonych arkuszy zeznań, protokołów, doniesień. Tu lepiej niż w życiu orientowała się w pobudkach czynów skomplikowanej psychiki ludzkiej i w chaosie poszlak. Tu na zimno, bezosobście ustawiać mogła ludzi i szeregować fakty, jak pionki na szachownicy, z pełną świadomością skutków przewidzianych w kodeksie karnym.

Gdyby życie własne i życie osób nam bliskich można było tak opracować na ponumerowanych stronicach, skomentować notatkami inwigilacyjnymi<sup>321</sup>, określić zeznaniami świadków...

Bohdan... Ileż tajemnic kryje jego życie, tajemnic niedostępnych nawet dla niej... Spojrzała na zegarek: już pierwsza, na pewno wstał. Co robi? Machinalnie wzięła słuchawkę telefonu i wymieniła numer.

Słyszała, że podniesiono tubę<sup>322</sup> i głos Druckiego, kończący jakieś zdanie:

— ...żebyś mi tylko nie beczała.

— Hallo!

— To ja, Boh. Nie przeszkodziłam ci?

— Ach, jak się masz. Cóż znowu...

Odniosła wrażenie, że się zmieszał, i nagle uczuła ostry ból w krtani. Była niemal pewna, że u niego jest Julka...

Powiedziała, że ma masę roboty, że nie będzie mogła wyjść z sądu przed trzecią, i pożegnała go, udając dobry humor. W sekundę potem połączyła się z domem. Odezwiała się Józefowa.

— Czy jest panna Julka? — zapytała Alicja.

— Nie ma, proszę pani, będzie może godzina, jak wyszła.

— A nie mówiła, dokąd idzie?

— Nie, proszę pani. Tylko telefonowała, a później wyszła. Pewno do jakiej koleżanki.

— To dobrze. Niech Józefowa nie mówi panience, że ja dzwoniłam. Obiad o trzeciej.

Do widzenia.

Pospiesznie zamknęła biurko, nałożyła kapelusz i zbiegła ze schodów. Tuż w pobliżu znalazła taksówkę i kazała jechać na aleję Szucha. Gdy jednak auto ruszyło, zreflektowała się.

„Jeżeli ma u siebie Julkę czy inną kobietę, na pewno mnie nie wpuści i tylko narażę się na ośmieszenie w jego oczach, a kto wie, czy nie na ponowne zerwanie... Nie, to na nic”.

Zmieniła dyspozycję. Kazała szoferowi stanąć o dwa domy dalej po drugiej stronie ulicy. Stąd doskonale widziała bramę domu Druckiego i musiała zauważyć każdego, kto by stamtąd wychodził. Szofer, który widocznie domyślił się celu tego postoju, z półśmiechem obserwował ulicę, od czasu do czasu zerkając na swoją pasażerkę.

Alicja czuła śmieszność własnej sytuacji, lecz za żadną cenę nie opuściłaby zajmowanej pozycji.

Po upływie czterdziestu minut wyszli.

Nie omyliła ją intuicja. Bohdan w jasnym garniturze i uczepiona do jego ramienia Julka... Żmija, żmija...

„Wypędzę ją z domu jak psa — pomyślała, zaciskając palce aż do bólu — jak psa!...”

Wysiadła i poszła pieszo do domu.

Nie uczuwała żalu do Druckiego. Cała jej nienawiść i pragnienie zemsty skierowały się ku Julce. Oczywiście, Julka narzuca mu się ze swoją miłością... Żmija...

Natychmiast po przyjeździe do domu Alicja zatelefonowała do nauczycielskiego biura. Niestety, posada nie była jeszcze do objęcia. Najwcześniej za miesiąc ma się uwolnić.

„Co począć, co począć?” — gorączkowo myślała Alicja, chodząc po pokoju.

<sup>321</sup>*inwigilacja* — tajne obserwowanie, nadzorowanie jakiejś osoby lub grupy osób przez policję lub inne służby. [przypis edytorski]

<sup>322</sup>*tuba* — tu: słuchawka telefonu (pierwotnie mająca kształt lejkowato rozszerzającej się rurki, służącej do wzmacniania dźwięku). [przypis edytorski]

Nie mogła wyrzucić Julki na bruk, a zresztą ta wówczas zwróci się do Druckiego... Niepotrzebnie zabrała ją z Helu.... Teraz koniecznie należy natychmiast od niej się uwolnić, koniecznie!

Przy obiedzie nie zamieniły ani jednego słowa. Wstając od stołu, Alicja powiedziała:

— Prosiłabym cię, byś unikała wychodzenia, gdy nie ma mnie w domu. Józefowa czasami musi zejść do sklepu i mieszkanie pozostaje bez opieki.

— Dobrze — odpowiedziała Julka i przeszła do łazienki, skąd po chwili rozległ się plusk wody.

„Bezwstydne zwierzę” — pomyślała Alicja.

Nazajutrz i dni następnych Alicja po kilka razy telefonowała do domu z sądu, by sprawdzić, czy Julka stosuje się do jej zakazu. Julka rzeczywiście nie wychodziła. Natomiast nie uległo wątpliwości, że telefonowała do Druckiego. Alicja kilkakrotnie miała zamiar rozmówić się z Bohdanem ostatecznie na temat Julki, lecz zawsze w ostatniej chwili rezygnowała w obawie znalezienia się w sytuacji, w której trzeba będzie kwestię postawić ультymatywnie<sup>323</sup>. Przewidywała, że byłoby to równoznaczne z klęską, gdyż on w żadnym razie nie ustąpi, a ona ustąpić musi.

Zresztą na szczęście Julka zaczęła chorować. Była blada, dostawała zawrotów głowy i mdłości.

Alicja od niechcienia zaproponowała jej pójście do lekarza, lecz dziewczyna podziękowała i odmówiła:

— Nic mi nie jest.

„Tym lepiej — pomyślała Alicja — wkrótce uwolni się posada i pozbędę się tej zmił”.

Stało się jednak inaczej.

## ROZDZIAŁ 23

Sprawa braci Chodorowiczów była jedną z tych, które dają oskarżycielowi publicznemu możliwość nie byle jakiego popisu.

Wprawdzie śledztwo nie zdołało udowodnić im sutenerstwa<sup>324</sup>, lecz przeszło trzydziestu świadków, przesuniętych przez ręce prokuratora Alicji Horn, zostawiło w tych rękach tyle poszlak, tyle ujemnych opinii i dyskredytujących świadectw, że wyrok skazujący dla nikogo nie był niespodzianką. Sala, przepelniona złodziejaskami, alfonsami, prostytutkami, pokątnymi akuszerkami i wszelkimi szumowinami przedmiejskimi, przyjęła wyrok milczeniem, notując w pamięci szczegóły, które kiedyś mogą się przydać do własnej obrony.

Alicja złożyła notatki i wyszła na korytarz, gdy zastąpiła jej drogę chuda, stara kobieta, którą już podczas rozprawy zauważyła wśród publiczności.

— Czego pani sobie życzy? — zatrzymała się Alicja.

— W jednej ważnej sprawie, proszę wielmożnej pani prokuratorowej, w bardzo ważnej sprawie...

— No?

— Ale musowo w cztery oczy, bo to nie byle co.

— Czy w związku ze sprawą Chodorowiczów?

— Jakby to i jakby nie.

— Proszę za mną — rzuciła Alicja.

Miała jeszcze prawie godzinę czasu i postanowiła dowiedzieć się, o co tej podejrzanej osobie chodzi.

— Proszę — wskazała jej krzesło przed biurkiem.

— Bo to ja wiem coś, co pani prokuratorowej może się przydać — zaczęła babina, wpychając pod zrudziały kapelusz kosmyk siwiejących włosów.

— Zaraz — przerwała Alicja — przede wszystkim, jak się pani nazywa?

Kobieta zerwała się na równe nogi.

<sup>323</sup>ultymatywnie (z łac.) — przez postawienie ultimatum, ostatecznego żądania popartego groźbą. [przypis edytorski]

<sup>324</sup>sutenerstwo — czerpanie zysków z czyjejś prostytutki. [przypis edytorski]



— A to po co pani prokuratowej, ja tam sama do niczego rąk maczać nie chcę. Już dość w życiu nacierpiałam się przez te sądy i policję. Ja z uczciwości przyszląm, nie żeby co...

— Proszę się nie niepokoić — zatrzymała ją Alicja. — Jednak rozumie pani, że muszę wiedzieć, z kim mam do czynienia? Pani chce mi coś ważnego zeznać i chce, bym uwierzyła, a przecie nie mogę wierzyć komuś, kto nawet nazwiska swego się wstydzi.

— Boże drogi, toż nie wstydzę się, tylko ja tu nie mam nic do rzeczy. Ot, przysłuchiwałam się rozprawie i temu, co wielmożna pani prokuratowa mówiła i myślę sobie: „O, taka, to znaczy się, wielmożna pani, to i najważniejszym nie przepuści, tylko do kryminału zamknie”. Dlatego ośmieliłam się, a nie to, broń Boże, żeby samej w to włączyć.

— Czemu pani nie zwróciła się do urzędu śledczego czy do komisariatu?

— Właśnie, proszę wielmożnej pani, dlatego, że myślałam sobie, że z panią prokuratową, jako to z kobitą łatwiej dogadam się i krzywdy pani mojej nie zechce, a po drugie, że to w ogóle kobieca sprawa...

— Więc dobrze — powiedziała Alicja — obiecuję pani, że jej nazwiska w to nie wmieszam, ale mnie proszę je powiedzieć. No?

Kobieta skurczyła się i wybąkała:

— Niech tam będzie... Bufałowa jestem, Jadwiga — zerknęła spod oka na Alicję i dodała: — teraz to już pani wie, cóż, nie zapieram się, karana sądownie, ale przysięgam Bogu, że co za Paszczukównę, to niesłusznie. Sama, głupia, szydełkiem próbowała i urządziła się. Ja już nic poradzić nie mogłam. Nie mówię, że przy Malinowszciance nie byłam winna. Owszem. Wiedziałam, że ryzyko wielkie, ale sama uparła się, że to ślub za dwa miesiące... One takie wszystkie, a później człowiek za nie cierpi...

— Pani jest akuszerką?

— A cóż mam być? Szlachcianka jestem, z ziemian, ale ot tak, na ciężki chleb się zeszło...

— Cóż tedy pani ma do powiedzenia?

Bufałowa pociągnęła nosem i rzeczowym ruchem podsunęła swoje krzesło.

— Aha, otóż widzi pani, sama nie wiem, po co on takie upodobanie ma, żeby koniecznie była w ciąży, a i to dla niego ważne, żeby to pierwsze zajście...

— Sekunda — przerwała Alicja — któż to jest?

— Niby on? Ano musi być bogaty. Pieniądzy ma jak lodu i własnym samochodem jeździ, a sam brunecik, taki ni młody, ni stary, ale niczego waty i w binoklach, a jakże...

— To pani nawet nazwiska jego nie zna?

— A skądże mam znać, Boże drogi, on cwany i żadnego pozoru nie daje, nijakich śladów. Przyjedzie, dziewczuchę obejrzy, chloroformem albo czym takim uśpi i ten jego szofer zaraz w płachtę i do auta. A on tylko zapyta, a kto ona, a co, w którym miesiącu, a czy nie wiadomo z kim, pieniądze odliczy i już go nie ma.

— Zaraz. Więc on po prostu kupuje od pani ciężarne dziewczęta?

— Boże drogi, a któż mówi, że ode mnie?! — przestraszyła się Bufałowa. — Od innych, a ja wiem, bo to w jednym fachu, rozchodzi się między ludźmi.

— No, przypuśćmy, że tak jest. Więc powiada pani, że ma samochód. Czy nie przyszło pani na myśl zauważyć jego numer?

— A jakże, na pamięć umiałam i na karteczce miałam zapisane, ale jak na złość karteczka gdzieś zapodziała się, a ja, jak z pamięci zabrałam się zapisywać, to ze strachu, żeby nie poplątać, wszystko mi się we łbie pokiełbało. I teraz nijak nie mogę sobie przypomnieć czy to 87-653, czy 78-356, czy jakoś podobnie. Ale że na początku albo 87, albo 78, to mur...

Alicja szybko zrobiła notatkę i zapytała:

— Jak wygląda to auto?

— Czarne, wielkie, a na przodku trzy złote korony i coś napisane...

— Może „Reenclar”?

— O, jakby tak.

— Torpedo<sup>325</sup> czy limuzyna?

<sup>325</sup>torpedo — dawny typ samochodu o wydłużonym nadwoziu, popularny od pocz. XX w. do połowy lat 30. [przypis edytorski]

— A Bóg jego wie — rozłożyła ręce akuszerka.  
— Otwarte czy karetą? — zmieniła pytanie Alicja.  
— Nie karetą, toż mówię, auto. Niby zrobione na karetę, ale auto. Póki jeszcze pamiętałam numer, to poszłam do urzędu ruchu kołowego i pytam, czyje. A tam taki powiada: „A panusi jaki zakichany interes, przejechał paniusią, czy co?...” To ja mu powiadam, że po pierwsze, nie żadna paniusia, gbur taki, a w ogóle to co, tajemnica wielka?... A na drugi dzień to posłałam szwagra i on dowiedział się, że to jakiegoś generała i przepisany na Poznań.

Alicja niecierpliwie poprawiła się w fotelu.

— A ten pan nie jest generałem?

— Skąd jemu do wojska. Cherlak taki, a przy tym mnie się widzi, że musi być doktor, bo na tym to się zna i po łacinie sobie zapisuje, i pyta fachowo.

— No i cóż robi z tymi dziewczynami?

Bufałowa rozłożyła ręce.

— Pewno jakieś świństwa, nie bez tego, żeby nie było tam rozpusty.

— A dziewczyny, kiedy wracają do domu, co mówią?

— Otóż to, że nic nie mówią, bo nigdy nie wracają. Poszła i przepadła, jak kamień w wodę. Po kilku miesiącach to czasem która napisze, że do Ameryki wyjechała, albo gdzie jeszcze dalej, ale czy kto uwierzy?... Ja bym tam złamanego grosza nie dała, że on je żywe puszcza. Głupi byłby. Jak nic ukatrupia, bo po co by tajemnice robił i tyle forsy bulił? A może co ładniejsze to i na handel puszcza? Kto jego tam wie...

— A w jaki sposób pani daje mu znać, że ma pani odpowiednią pacjentkę?

Akuszerka wzruszyła ramionami.

— Że tam pani prokuratowa wciąż na mnie! Ja tam tym się nie zajmuję, co mi po tym?

Alicja zaśmiała się i robiąc dobroduszną minę, powiedziała:

— Niech pani Bufałowa nie boi się. Co między nami, to między nami. Przecież i teraz już wiem, że pani dostarczała mi ten towar. Gdyby chodziło mi o panią, to już kazałabym panią zamknąć, ale myślę, że pani po to przyszła do mnie, by za coś zemścić się na tamtym jegomościu. Obiecałam, że pani nie aresztuję i może pani śmiało wszystko mówić. Więc w jaki sposób porozumiewała się pani z nim?

Bufałowa otworzyła ogromną, zniszczoną torebkę, wydobyła z niej zatłuszczony karteluszek i powiedziała:

— Niech już będzie. Muszę wierzyć pani prokuratowej, bo komu miałabym wierzyć?... Otóż między nami taka jest umowa, że jak mam u siebie taką, co przyszła się psuć, i chce, żeby po cichu, żeby nikt nie dowiedział się, a nikogo, kto by się o nią upominał, w Warszawie nie ma, to ja piszę do „Kurierka” ofertę na jego ogłoszenie, niby, ot taką.

Podła kartkę Alicji.

Niewprawnym piśmem zbazgrany karteluszek zawierał następującą treść:

„Oferta pod kwit nr 2718-F. Mam do sprzedania szafę dębową. Proszę telefonować dziś (albo podać datę) 118-64”.

— Pani ma telefon?

— Gdzie tam, to numer domu i mieszkania. Ja mieszkam na Pańskiej pod sto osiemnastym. Tylko taka umowa z nim, żeby wiedział, do kogo ma zajeżdżać. Bo on nie tylko ode mnie, widać, bierze. Więc rzucam taką ofertę do „Kurierka”, a przed zamknięciem bramy on przyjeżdża i jeżeli mu się dziewczyna spodoba, to zabiera, ale jest wybredny. Nie każdą chce.

— Czy on tę kartkę pisał? — zapytała Alicja.

— Nie, on tylko podyktował.

— Zatem doskonale — spojrzała na zegarek Alicja — pomyślę o tym wszystkim i zajmę się tą sprawą. Niech pani przyjdzie do mnie jutro o dziesiątej rano.

— Dobrze, proszę wielmożnej pani prokuratowej, będę punktualnie... Tylko jedno chciałam zapytać...

— No?

— Czy dostanę za to jaką nagrodę?... Ja nie z chciwości, a z biedy, strasznie ciężko w dzisiejszych czasach grosz zarobić...

Alicja przyrzekła, że w razie pomyślnych wyników śledztwa wystara się dla niej o nagrodę.

Wracając do domu, rozważała ewentualne pobudki, jakimi mógł się kierować ów polawiacz ciężarnych kobiet, i doszła do przekonania, że musi to mieć związek z jakąś sektą religijną lub też z erotycznym zwyrodniałstwem. W każdym razie nie miała powodu podejrzewać Bufałowej o mistyfikację.

Nie wyrobiła sobie jeszcze dokładnego obrazu sprawy, ani tym mniej koncepcji dochodzeń, jednakże pomyślała, że najprostszym sposobem zdemaskowania zbrodniarzy byłoby podstawienie agentki policyjnej.

Myślała właśnie o tym, siadając do obiadu, gdy Julka odezwała się, patrząc w talerz:

— Chciałam ci powiedzieć, że otrzymałam posadę...

— Jaką posadę? — wbiła w nią spojrzenie Alicja.

— Kancelistki, w biurze Domu Handlowego Bałkind i Spółka.

— Z czyjejeże to protekcji?

— Z niczyjej — poczerwieniała Julka. — Przeczytałam ogłoszenie w dzienniku i zwróciłam się do nich...

Zaległo milczenie i Julka po długiej pauzie dodała:

— Mam pracować w dziale korespondencji. Dają mi pensję trzysta osiemdziesiąt złotych, więc będę mogła z tego się utrzymać...

Alicja wybuchnęła śmiechem.

— Wiesz, że mogłabyś się zdobyć na tyle przyzwoitości, by mnie w tak naiwny sposób nie okłamywać! Czy naprawdę uważasz mnie za tak łatwowierną, do tego stopnia, że ci uwierzę, że bez protekcji zaofiarowano tobie tak wielką pensję?... Zresztą mniejsza o to. Od kiedy to obejmujesz tę „posadę”?

— Od pierwszego — cicho odpowiedziała Julka. W oczach miała łzy.

Alicja chciała jeszcze zapytać, kiedy wobec tego Julka się wyprowadzi, lecz pohamowała się i przeszła do swego pokoju.

Była pewna, że nie obeszło się tu bez pomocy Druckiego, że Julka najbezczeńniej w świecie nie tylko wymyka się jej z rąk, lecz i jego jej zabiera. O nie — zacisnęła pięści — oni jeszcze nie wiedzą, kto jest Alicja Horn!... Przede wszystkim Julka jako niepełnoletnia będzie musiała zastosować się ściśle do woli opiekunki, a zatem pojedzie pod Pińsk. Byle tam prędzej uwolniło się miejsce. Zresztą, jeżeli nie tam, to pojedzie gdziekolwiek, lecz w Warszawie nie zostanie za żadną cenę.

Zapukano do drzwi i weszła Józefowa.

— Czego Józefowa chce? — ostro zapytała Alicja.

— Ja względem panienki — szeptem zaczęła staruszka, starannie zamykając za sobą drzwi.

— Bo o co chodzi?

Służąca zbliżyła się do niej i potrząsnęła głową.

— Niedobrze jest z naszą panną Julka, proszę pani, niedobrze. Już od przyjazdu była taka niewyraźna, ciągiem<sup>326</sup> płacze, nocami bredzi, przez sen krzyczy, a dniem to albo listy pisze, albo telefonuje, i wciąż płacze. Nie mówiłam nic, bo myślałam, że nie moja rzecz, pani sama zauważy...

— Słusznie Józefowa myślała — sucho ucięła Alicja — zauważyłam i nie widzę w tym nic nadzwyczajnego.

Kobieta smutno machnęła ręką.

— Żeby to tak było, ale Boże broń, zdaje się, szykuje się nam wielkie nieszczęście i wstyd wielki...

— Co Józefowa plecie?! — zerwała się Alicja.

— Mówię, co wiem. Pani to teraz rzadko w domu, a z panienką mniej jakoś, ale ja to widzę... o widzę... Toż sama mam wnuczęta, wiem. Ślepy zauważyłby, dziewczyna w oczach mizernieje, chudnie, ma zawroty głowy, się skarży na mdłości...

Alicja chwyciła ją za ramię.

— Proszę zaraz mówić, co Józefowa wie?

<sup>326</sup>ciągiem — ciągle, nieustannie. [przypis edytorski]

— A ot, już od dawna patrzę i myślę sobie: „Może być, nie daj Boże, tak, ale może być i całkiem zwyczajnie, z nerwów, znaczy się”. Wiadomo, w tym wieku dziewczynska jest rzecz. Aż tu ze cztery dni temu będzie... nie, będzie pięć, akuratnie mówię pięć, bo to w sobotę, zaraz po niesporach, wracam, a panienska zapłakana, opowiedziała mi swoje zmartwienie.

Alicja nie spodziewała się tej wiadomości. Wprawdzie nie wątpiła, że Julka żyje z Druckim, lecz wprost nie przyszło jej na myśl, że sprawy mogły zajść aż tak daleko. Ogarnęła nią jakaś zawziętość, jakaś wręcz radość. Oto żmija, którą wychowała na własnej piersi, poniesie zasłużoną karę...

Ani przez jedną chwilę nie żałowała Julki. Wychodząc po obiedzie na aleję Szucha, wstąpiła do kuchni.

— Józefowa chciała jechać na urlop do siostry? — zapytała.

— Tak jest, proszę pani, pod Grójec.

— Więc jutro Józefowa może jechać.

— A jak bodzie z usługą?

— Już dam sobie radę, proszę jutro po południu jechać.

Druckiego zastała, jak często ostatnimi czasy, znudzonego i zamyślonego. Ożywał się tylko w chwilach podniecenia, poza tym był milczący i zniechęcony. Alicja nie wątpiła, że wszystkiemu winna jest Julka.

Nawet jego pieszczoty stały się jakieś inne, bardziej gwałtowne, niespodziewane, a czasem aż do bólu brutalne. Próbowwała wypytywać go o jego interesy, lecz zbywał ją niechętnymi półsłówkami. Coraz rzadziej zgadzał się zabierać ją do „Argentyny”, wymawiając się ogólnikowo i nawet nic zadając sobie trudu wynalezienia prawdopodobnych usprawiedliwień.

„Wszystko się zmieni — powtarzała sobie Alicja — wszystko się poprawi, gdy tylko nie będzie między mną a nim Julki”.

Tego wieczora wcześniej niż zwykle pożegnał Alicję.

— Mam ważną sprawę — mruknął, a spojrzawszy na zegarek, zerwał się i zaklął: — Psiakrew, jeszcze się spóźnię...

Nakładając kapelusz, widziała w lustrze, że wyjął z szuflady rewolwer i wsunął do tylnej kieszeni.

Wyszli razem. Przed bramą stał jego Fould, z którego teraz wyskoczył chłopiec garżowy i zameldował:

— Bak pełny, proszę pana, i motor w zupełnym porządku. Resory pan Jurkowski podciągnął na fest<sup>327</sup>.

— Dziękuję ci — uśmiechnął się doń Drucki — jutro koło ósmej wieczór przyjdź tu po wóz.

— Daleko jedziesz? — zapytała Alicja.

— Nie wiem, w każdym razie jutro wieczorem wrócę, jeżeli oczywiście diabli mnie nie wezmą. Do widzenia.

Pocałował jej rękę, siadł przy kierownicy i ruszył, nie obejrzawszy się za siebie. Alicja, wracając do domu, wyraźnie usłyszała przez otwarte okno głos Julki: rozmawiała przez telefon... Oczywiście z nim! Musiał przy wyjeździe z miasta zatrzymać się i telefonować do Julki...

Nie, tej męczarni miała Alicja już ponad swoje siły!

Noc spędziła bezsennie na rozpaczliwych i przesyconych żądzą zemsty rozmyślaniach. Gdy wstała, była już całkiem spokojna i opanowana o tyle, że potrafiła prawie ciepło przywitać się z Julką. W pół godziny później była już w sądzie.

Powzięte postanowienie miało w psychice Alicji własność kompletnego usprawniania pracy myślowej. To, co przez szereg długich tygodni napelniało jej mózg chaosem sprzeczności i wątpliwności, układało się teraz w logiczne, proste wiązania, w których nie mogło być błędu.

O dziesiątej przyszła Bufałowa. Wprowadzającemu ją woźnemu Alicja oświadczyła, że dziś nikogo nie przyjmie, i zamknęła drzwi na klucz.

<sup>327</sup>fest (z niem.; ndm) — silny; mocno, dobrze; na fest (fraz.): na dobre, dobrze. [przypis edytorski]

Minęły dobre dwie godziny, zanim otworzyły się drzwi i woźny zobaczył wychodzącą interesantkę, która w wielkim pośpiechu zbiegała po schodach.

## ROZDZIAŁ 24

Julka odłożyła pióro, zakleiła kopertę i wytarła chustką zapłakane oczy. Od wczorajszego wyjazdu pana Janka nie mogła pozbyć się jakiegoś złego przeczucia. Nie wiedziała wprawdzie, dokąd pojechał, powiedział jej tylko, że ma pewną przykrą wyprawę, z której nie może się wykręcić, gdyż chodzi o dotrzymanie obietnicy danej przyjacielowi.

Julka była pewna, że jest to połączone z jakimś niebezpieczeństwem i dosłownie nie mogła sobie znaleźć miejsca w domu, w tym domu, który był dla niej czymś gorszym i bardziej przerażającym niż więzienie.

Wprost nie mogła doczekać się chwili, gdy otrzyma tę posadę. Zamieszka wówczas u pani Birmanowej, ciotki jednej z koleżanek szkolnych, prowadzącej pensjonat na Kolonii Staszica<sup>328</sup>, w takim pięknym domku z kwiatowym ogródkiem... Teraz, kiedy wyjedzie Józefowa, będzie tu wręcz nie do wytrzymania...

A Józefowa właśnie stanęła we drzwiach, ubrana już do drogi.

Miała łzy w oczach, gdy żegnała się z Julką, i taki wyraz twarzy, jakby się cieszyła, że oto wyzwala się z tego domu i współczuje tym, którzy tu muszą zostać. Na pożegnanie upomniła jeszcze Julkę, by zawsze zamykała drzwi na łańcuch, i wyszła zgarbiona pod swoim tobołkiem.

Julka zasunęła łańcuch i oparłszy się o ścianę, wybuchnęła głośnym płaczem. Jak strasznie, jak okrutnie jest być na świecie tak zupełnie samą... Gdyby i pan Janek nie zechciał jej więcej widywać, pozostałoby jej tylko samobójstwo...

Ostro, niecierpliwie rozległ się dzwonek telefonu.

Na pewno dzwoni Alicja z zapytaniem, czy Józefowa już wyjechała... Julka podniosła słuchawkę.

— Proszę?

Odezwał się obcy kobiecy głos, jakby zaniepokojony:

— Czy mogę mówić z panną Julią Horn?

— Jestem — zdziwiła się Julka. — Kto pyta?

— Ja w imieniu jednego pana, on kazał... Jest ciężko ranny...

— Jezus, Maria! — krzyknęła Julka. — Jaki pan?

— Cicho, niech panienka nie krzyczy i nikomu nic nie mówi, tak on nakazał, żeby tajemnica, bo go zabiją. Niech pani zaraz przyjedzie. On czeka. Pańska sto osiemnaście mieszkania sześćdziesiąt cztery...

— Ale jaki pan? — chwytając się nadziei Julka. — Jak się nazywa?...

— Winkler, pan...

Julka zachwiała się na nogach i omal nie upadła.

— Więc co, przyjedzie pani?

— Już jadę, już, w tej chwili, proszę tylko powtórzyć adres?

— Pańska sto osiemnaście mieszkania sześćdziesiąt cztery. To w drugim podwórzu, prawa oficyna<sup>329</sup>, czwarte piętro. Będzie pani pamiętała?

— Tak, tak... już jadę...

— A proszę nikogo w podwórzu nie wypytywać, żeby nikt nie wiedział, bo jego śmierć. I prędko!

Julka, drżąc na całym ciele, w nieprzytomnym pośpiechu nałożyła kapelusz, chwyciła torebkę i zatrzasnąwszy za sobą drzwi, wybiegła na ulicę. Na rogu Filtrowej wpadła do taksówki i rzuciła szoferowi adres.

Więc nie omyliło jej złe przeczucie... Ranny... Ciężko ranny... Boże, on nie umrze, on nie może umrzeć... Co to było? Pojedynek czy napad, a może katastrofa?... Pan Janek zawsze tak strasznie szybko jeździ...

W domu nikogo nie ma, mogą zakraść się złodzieje... A niech tam, teraz jej wszystko jedno...

<sup>328</sup> *Kolonia Staszica* — osiedle w dzielnicy Ochota w Warszawie, wybudowane w latach 1922–1926, złożone z ok. 100 willi z ogródkami. [przypis edytorski]

<sup>329</sup> *oficyna* — boczne skrzydło kamienicy. [przypis edytorski]

Roztrzęsiona taksówka gwałtownie podskakiwała na wyboistym bruku. Wokół wznosiły się brudne, obdrapane kamienice. Julka nigdy nie była w tej dzielnicy, zamieszkałej przez uboższą ludność miasta, i wygląd otoczenia jeszcze bardziej podkreślał w jej wyobraźni rozpaczliwe położenie pana Janka.

Samochód zatrzymał się przed ogromną, niechlujną kamienicą. Zapłaciła i weszła do bramy, skąd wionął ku niej zaduch rozprażonego w słońcu śmietniska. Na pierwszym podwórzu bawiło się kilkanaścioro obdartych dzieci, w drugim, wąskim jak studnia, panował wilgotny chłód i cisza.

Brudne, trzeszczące, drewniane schody zwijały się w górę stromą serpentyną. Biegła zdyszana, potykając się o wydeptane stopnie i licząc piętra.

Wreszcie stanęła przed wąskimi, niegdyś czerwonymi drzwiami, nad którymi przybita była tabliczka z numerem 64.

Serce waliło jej jak młotem. Przez kilka minut szukała dzwonnka, zanim zorientowała się, że go w ogóle nie ma. Zapukała lekko.

Za chwilę zobaczy go leżącego w pokrwawionych bandażach... Boże, Boże... On musi żyć, on nie umrze, może w ogóle ta kobieta, co telefonowała, przesadziła, kobiety tak często przesadzają, może rana nie jest tak groźna?... Będzie go pielęgnowała dniami i nocami... Teraz nawet Alicja nie zdoła odepchnąć jej od niego... Czy aby tylko lekarza już wezwali...

Zastukała drugi raz, teraz mocniej i dłużej, przecie to każda chwila jest droga, a oni nie otwierają...

Za drzwiami rozległo się człapanie i usłyszała skrzeczący głos, ten sam, co przez telefon:

— A kto tam?

— To ja, co do mnie pani dzwoniła, proszę otworzyć.

Drzwi odchyliły się i ujrzała w nich chudą, siwiejącą kobietę w zatuszczonym, popielatym szlafroku.

— Proszę.

— Gdzie on jest? — chwyciła ją za rękę Julka. — Czy był doktor?...

Zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku, po czym schowała go w kieszeni szlafroka.

— Gdzie on jest? — niepokoila się Julka.

— O jej, zaraz, czego się panienska tak śpieszy, pociąg nie odchodzi. Proszę tu zaczekać.

Znikła w głębi sąsiedniego, ciemnego pokoju.

Julka rozejrzała się: znajdowała się w dość obszernej kuchni. Płyta zastawiona była okopconymi garnkami, stół nakryty starą zieloną ceratą, kilka taboretów z niemalowanego drzewa i żelazne, koślawe łóżko w kącie, oto wszystko, na czym zatrzymywało się oko w tej dawno niemytej i dawno niebielonej<sup>330</sup> izbie, przepelnionej gęstym, ciężkim powietrzem, w którym mieszał się odór stęchlizny z wonią fermentujących resztek strawy i z ostrym zapachem karbolu.

Okno o prawie nieprzezroczystych szybach wychodziło na ślepy mur sąsiedniej kamienicy. Na parapecie stało kilkadziesiąt butelek po wódce i leżały brudne, pokrwawione szmaty.

W sąsiednim ciemnym pokoju, oddzielonym płachtą z jaskrawego zielonego perkalu, panowała zupełna cisza. Mieszkanie jednak musiało mieć jeszcze dalszą izbę i stamtąd dochodził przytłumiony odgłos, jakby sprzeczki. Niski głos męski odzywał się na zmianę ze skrzeczącym sopranem<sup>331</sup>, lecz Julka nie mogła rozróżnić poszczególnych słów.

„Tam pewno leży pan Janek — myślała — a to głos lekarza i tej baby”.

Nagle w ciemnej alkowie<sup>332</sup> rozległ się przejmujący jęk kobiety i wołanie:

<sup>330</sup>*dawno niebielona izba* — ściany ubogich pomieszczeń narażonych na zawilgocenie bielono, tzn. malowano tzw. mlekiem wapiennym (rzadką zawiesiną wapna gaszonego), o silnych właściwościach odkażających, przeciwdziałających rozwojowi grzybów; dziś tę metodę stosuje się tylko do malowania ścian zewnętrznych i budynków gospodarczych. [przypis edytorski]

<sup>331</sup>*sopran* (muz.) — najwyższy głos żeński. [przypis edytorski]

<sup>332</sup>*alkowa* — mały pokój bez okien, przylegający do większego pokoju, przeznaczony na sypialnię. [przypis edytorski]

— A bodajby cię, stara wiedźmo, skonam, jak amen w pacierzu, od tych boleści... Pewno mnie tam wszystkie wnętrzności pociachałaś... Oj... oj... ojej...

W tej chwili dalsze drzwi otworzyły się z hałasem i do alkowy wpadła właścicielka mieszkania.

— Cicho, do ciężkiej cholery! — wrzasnęła. — Co mordę rozpuszczasz! Za twoje parszywe trzydzieści złotych mam ci może jeszcze na harmonii walca wygrywać!?

— Kiedy boli...

Julka z przerażeniem wysłuchiwała tej rozmowy, instynktownie cofając się aż do wyjścia. Wprost pojąć nie mogła, gdzie się znajduje i dlaczego tu sprowadzono rannego pana Janka.

Tymczasem do kuchni weszła kobieta w szlafroku i obrzuciwszy Julkę badawczym wzrokiem, zapytała:

— Cóż to panienka na stojąco? Proszę siadać.

— Ja... ja chciałabym zobaczyć pana Winklera. Czy jeszcze nie można?...

— Ma panienka czas. Jego jeszcze nie ma.

— Jak to nie ma?

— O jej, jaka panienka ciekawa. Nie ma, ale niedługo przyjdzie. Niechże panienka siada.

Potrąciła niedbale stół w stronę Julki.

— Ja nie chcę. Proszę mi powiedzieć, gdzie jest pan Winkler — zaczęła niepokoić się Julka.

— Toż mówię, że przyjdzie — prawie krzyknęła na nią baba.

— Więc może chodzić? Nie jest ciężko ranny?...

Stara chciała coś odpowiedzieć, lecz w tej chwili zza perkalowej zasłony wyszedł mały, dość chuderlawy mężczyzna o łysej głowie i kaczkowatym nosie.

— No, co jest? Idziesz, szwagierka, czy nie? — zawarczał, jednocześnie przyglądając się Julce.

— Idę już, tylko mówię szwagrowi: uważaj!

— Wał, wał, nie gadaj.

Splunął przez zęby i zbliżywszy się do Julki, powiedział tonem perswazji:

— A panna chodź ze mną.

— Ja nie chcę — cofnęła się Julka do drzwi — proszę mnie wypuścić, to jakaś pomyłka... Pani mnie wypuści!

— Zaraz, wolnego — zachichotał łysy — bez pośpiechu. No, idziesz, szwagierka?

— To jest podstęp! — krzyknęła Julka i rzuciła się do drzwi, te jednak były zamknięte. Zaczęła z całych sił targać klamką i bić pięścią w drzwi, gdy mężczyzna chwycił ją za ramiona i bez wysiłku odciągnął na środek izby.

— Sza, panienko, czego się panienka ciska!

— Ratunku, ratunku, rat... — zaczęła krzyczeć, lecz w tej chwili uczuła mocny chwyt na karku i brutalny ucisk na szyi.

To baba w ten sposób przywoływała ją do zachowania spokoju.

— Nie wyc mi tutaj — zasyczała tuż nad uchem Julki — bo tak zamaluję, że facjata<sup>333</sup> spuchnie. No, marsz!

Pomagając sobie kuksańcami, przepchnęła dziewczynę przez ciemną alkowę i kopnąwszy nogą niskie drzwiczki, potrąciła ją naprzód.

— A siedzieć tu cicho — pogroziła pięścią — bo jak wrócę, to no!...

Drzwiczki zamknęły się z trzaskiem, zakończonym zgrzytnięciem zasuw, i Julka znalazła się sama. Nasłuchiwała chwilę. Obejrzała się.

Mały pokój miał tylko miniaturowe okienko, prawie pod sufitem, lecz zamiast szyb wprawione w nie były grube, nieprzezroczyste tafle szklane. W kącie stała kozetka obciążona poszarpaną ceratą, a obok, na podłodze, blaszany kubek, od którego cuchnęło, i mały dzbanek z wodą.

Julka teraz już wiedziała, że wpadła w ręce handlarzy żywym towarem. W jednej chwili przypomniała sobie wstrząsające opisy porywania młodych dziewcząt, jakie znała z książek,

<sup>333</sup>facjata (daw., pot.) — twarz. [przypis edytorski]

z gazet. Porywają je przemocą lub podstępem, tak jak teraz ją, biją, by zmusić do uległości, a później gwałcą...

Uprzytomniła sobie obecność tuż w kuchni tego łysego opryszka o wstrętnej, ohydnej twarzy i wzdrygnęła się...

A później sprzedają do domów publicznych Południowej Ameryki — albo do Chin — jak widziała w jednym filmie.

— Nie, nie, raczej śmierć!...

Znajdzie sposób odebrania sobie życia, bodaj porwie sukienkę na paski i ukręci z nich sznur, albo zagłodzi się na śmierć... W każdym razie będzie bronić się z całych sił... Och, pan Janek... Żeby mogła jakoś dać mu znać, na pewno odszukałby ją i uratował... Albo... Alicja... Ona wprawdzie nienawidzi swej wychowanki, ale teraz to prokuratorka może zrobić wszystko, a jest taka mądra, że niewątpliwie domyśli się zaraz, co się stało...

Jednak pewniejsza była, że pan Janek pierwszy ją odnajdzie. Jakie to szczęście, że nic mu nie jest. Bo oczywiście wszystko zostało zmyślane przez tych zbrodniarzy dla wciągnięcia jej w zasadzkę... Musieli ją od dawna śledzić, skoro wiedzieli o tym, czym ją najłatwiej zwabić, i to wtedy, gdy on wyjechał... Ale on wróci z pewnością na czas i dowiedziawszy się o jej zniknięciu, w porę zjawi się na ratunek.

I tę kobietę uratuje, która pewno miała urodzić dziecko, a oni jej nie pozwolili i zmusili do poronienia... O, pan Janek... Gdyby on wiedział, gdyby mógł wiedzieć, ale może nigdy się nie dowie, a trupa Julki zakopią gdzieś w piwnicy...

Siadła na kozetce i płakała.

Roztrzęsione nerwy zdawały się drżeć każdym włóknem, nadzieja i rozpacz na przemian szarpały myślami. Ramiona podrywane łkaniem coraz więcej kulify się przy głowie, z której zsunął się kapelusz...

Nagle zerwała się. Wyraźnie usłyszała zgrzyt odsuwanej zasuw.

Do pokoju wszedł ten łysy bandyta. W rękę miał kopczą naftową lampkę, w której żółtym świetle jego obleśna twarz wydawała się jeszcze bardziej wstrętą.

Postawił lampkę na podłodze, otarł ręce o spodnie i zaśmiał się.

— Taka ładna panna, a płacze, che, che, jak dzieciak... Co?

Zrobił ku niej kilka kroków, lecz ona odskoczyła w kąt pokoju i krzyknęła:

— Proszę się do mnie nie zbliżać!

— Bo co? Że niby taka świętoszka?... — powiedział szyderczo i bez ceremonii wyciągnął rękę, by wziąć ją pod brodę.

— Precz, precz — odepchnęła go z całych sił.

— O rany, jaka harda — zachichotał — ja tam nie amator na takie, może się panna nie bać... Tak z dobrego serca chciałem pożałować...

Usiadł na kanapie i wyciągając z niej pakuły, zaczął mówić:

— Nawet mi panienki szkoda, młodziutkie to jeszcze, a przypadek każdej może się zdarzyć, miłość nie pyta, kto by tam przy kochaniu zważał na te rzeczy... A panienka to ma taką zgrabną figurkę, że, jak pragnę zbawienia, nic nie znać, a ten drań to najbardziej na takie łasy, żeby w pierwszym, w drugim, a nie później niż w piątym... Świnia jest, a niby wielki pan i z wykształceniem... Tak... A panienka to na mnie jak na wilka, a mnie panienki szkoda, gdyby nie szwagierka, to ja puściłbym panienkę i już... Współczucie takie mam...

Julka nareszcie zrozumiała, że ten człowiek wcale nie jest taki zły, na jakiego wygląda, i że teraz, kiedy tej strasznej kobiety nie ma, on ją może uratować...

— Panie, panie — zawołała szeptem — niech pan mnie wypuści, niech pan mnie ratuje...

— A widzi pani?... Trzeba było od razu tak do mnie, a panienka to na mnie, jak szpic<sup>334</sup> na garbatego, ani przystępuj bez kija...

— Panie — rzuciła się przed nim na kolana — błagam pana, niech mnie pan wypuści! Ja panu zapłacę, dużo pieniędzy zapłacę...

— Ma panienka forszę? — zainteresował się. — Dużo?

— Ja nie mam, ale za mnie zapłacę, ja mam tylko kilka złotych...

<sup>334</sup>szpic — średniej wielkości pies o zakręconym do góry ogonie i szpiczastych, trójkątnych, stojących do góry uszach. [przypis edytorski]



Gorączkowo otworzyła torebkę i wysypawszy na dłoń kilka monet, podała mu je, jakby dla zapewnienia go o swojej gotowości dotrzymania dalszych zobowiązań.

Wziął pieniądze, przeliczył i gładkim ruchem wyspał je sobie do kieszeni, po czym kiwnął głową.

— Tak, szkoda mi panienki, ale cóż, jak szwagierka wróci, a panienki nie zastanie, to kiepski mój los... Chyba... Żeby chociaż wiedzieć, za co mam ryzykować, żeby to panienka była mój swat czy brat, a tak co? Dla pięknych oczu?

— Mój znajomy da panu dużo pieniędzy...

— Co tam mi pieniądze... Ja nie interesowny... Żeby panienka była jaka moja krewna albo, dajmy na to, kochanka... To niech sobie, zaryzykowałbym... Żeby panienka ładnie poprosiła...

— Błagam pana, błagam, niech pan zlituje się nade mną! — wyciągnęła do niego złożone ręce.

— Po co panienka klęczy, czy to jaki święty? Ot, proszę usiąść tu przy mnie i pogadamy. No!

Posadził ją na kanapie obok siebie.

— O wszystkim można pogadać — poklepał ją po plecach — a już szczególnie z taką ładną kobitą, che... che...

Jego ręka zsunęła się niżej i objęła ją w pasie. Jednocześnie druga sięgnęła do piersi. Julkę ogarnął wstręt nie do przeczyżenia. Szarpnęła się z całej siły, lecz jej nie puścił i zawołał:

— To tak, panienka?... Ja trzymać nie będę, ale z ratowaniem szlus<sup>335</sup>.

Opamiętała się i zaczęła znowu płakać.

— Niech pan mnie wypuści... Ona zaraz może wrócić, a wówczas będzie za późno... Niech pan...

— Sza — przerwał i pochyłając się jej do ucha, powiedział: — Ja panience radzę po dobremu, zrobim kwit na kwit. Ja pomogę panience uciec, a panienka mi za to po dobrej woli nie będzie się sprzeciwiać, tylko prędko, bo szwagierka przyjdzie... No, już, już...

Jego ręce zaczęły łapczywie ją miętosić, błyszcząca od potu i tłuszczu twarz przysunęła się do jej twarzy, owiał ją zgnily, ohydny oddech.

Nadspodziewanie silnym rzutem uderzyła obu pięściami w jego twarz i wyrwała się, przy czym jej sukienka rozdarła się w kilku naraz miejscach.

Julka skoczyła do drzwi, jak szalona przebiegła alkowę i dopadła zbawczych, jak sądziła, drzwi, prowadzących na schody.

Te jednak były zamknięte na klucz, i to widocznie z zewnątrz, gdyż przez dziurkę od klucza wpadała smuga światła ze schodów, a napastnik, który powoli przyszedł tu za Julką, nie tylko nie zdradzał niepokoju, lecz śmiał się po cichu. Natomiast, gdy skoczyła do okna, chcąc wołać o ratunek, złapał ją wpół.

— Sza, cholero, widzisz ją, jaka mądra. Jazda! No! Nie rzucaj się, bo tak cię zamaluję, że czorta z rogami zobaczysz.

— Precz ode mnie, precz! — wołała zdyszana z wysiłku. — Proszę mnie nie dotykać!

Wepchnął ją do ostatniego pokoiku i sam zasapany, zaśmiał się.

— Ja ci tu zaraz pokażę niedotykanie, ty ździro, tak cię... że ci się przyśni. No, kładź się, psia mać, już, w trymiga!

Julka w rozpacz, drżąc na całym ciele, porwała dzbanek z wodą; tak trząśł się w jej rękę, że woda pluskała dokoła. Będzie bronić się do ostatniego tchu przed tym łotrem, musi obronić się...

— Postaw to! — ryknął napastnik i ruszył ku niej.

— Ratunku, ratunku!... — krzyknęła i jednocześnie z całej siły uderzyła go dzbankiem w pochyloną łysinę.

Nagle w drzwiach ujrzała kobietę w krótkiej koszuli, spod której widać było grube czerwone nogi, szła ku nim, a jej twarz miała jakiś niesamowity wyraz bólu i złości. W tejże chwili napastnik odskoczył w bok i coś mignęło w powietrzu, a kobieta zachwiała się i omal nie upadła.

<sup>335</sup>szlus (pot., z niem.) — koniec. [przypis edytorski]

Teraz dopiero Julka zobaczyła w jej ręku długi kuchenny nóż. Nie mówiąc ani słowa, podała nóż Julce. Sama widocznie straciła siły, gdyż kucnęła na podłodze i zaczęła jęczeć.

Tymczasem drab flegmatycznie otrząsł ubranie z wody, wycierał twarz i łysinę chustką i coś mruczał pod nosem.

— No dźgaj go, s..., na co czekasz — odezwała się wśród jęków kobieta.

Drab zaklął i chciał się wycofać, gdy do ich uszu dobiegł odgłos otwierania drzwi wejściowych. W kilka sekund później do pokoju wpadła gospodyni. Jednym rzutem oka ogarnęła sytuację i zawołała:

— Co tu się dzieje?!

— Chciała uciekać — bąknął łysy.

— Łże drań! — wrzasnęła chora i nie żałując najokropniejszych wyrazów, opowiedziała wszystko.

Nie skończyła jeszcze mówić, gdy baba rzuciła się na winowajcę i zaczęła okładać go pięściami, akompaniując sobie ordynarnymi wyzwiskami. Łysy wprawdzie zasłaniał się od ciosów, lecz nawet nie próbował obrony. W pięć minut potem musiał pomóc swej oprawczyni przenieść chorą z powrotem na łóżko.

Julka z przerażeniem szeroko otwartymi oczyma przyglądała się tym scenom. Gdy na chwilę została sama, czym prędzej ukryła nóż pod porwaną ceratą kozetki.

Z tego, co wykrzykiwała gospodyni, bijąc tego łotra, Julka wywnioskowała, że stanowi dla tej wiedźmy cenny obiekt i że nie wolno drabowi jej ruszać, gdyż inaczej jakiś ktoś za nią grosza nie da, a jakaś „tamta” się dowie, to kryminal murowany... Jedno z tego było całkiem jasne: zostanie sprzedana, lecz tu jej nic nie grozi, zwłaszcza w obecności gospodyni.

Właśnie weszła i rzuciła na kanapkę rudy, zniszczony koc.

— Niech się panienka nie boi — powiedziała uspokajająco — już tu panienki nikt nie ruszy, a zaraz przyniosę kolację.

Istotnie, przyniosła kawał chleba posmarowany topionym smalcem i kubek mętnej herbaty.

— Proszę zjeść i kłaść się spać, a nie zapomnieć zgasić światło. Dobranoc.

Wyszła i zamknęła drzwi na zasuwę. Julka oczywiście nie tknęła jedzenia. Pociągnąwszy pod siebie nogi, nieruchomo siedziała w kącie kozetki, wpatrzona w ciszę, przerywaną tylko chrapliwym oddechem chorej w sąsiedniej alkwie.

Tysiące myśli przesuwano się jej przez głowę. Doskonale zdawała sobie sprawę z beznadziejności swego położenia, wiedziała, że nic jej stąd wybawić nie zdoła, a jednak wszystko wydało się jej jakieś nierealne, jakieś urojone, własnowolnie wyobrażone, nieprawdopodobne, pomimo tego, że czuła pod ręką zimny dotyk ceraty, a wprost przed jej oczyma dogasała naftowa lampka...

Na szczęście, gdy ostatni raz pyknęło w niebieską resztkę płomyka, na dworze zaczął się już świt i przez grube tafle ślepego okienka zaczęło sączyć się światło.

Julka, jak tylko mogła najciszej, wstała i wyprostowała zdrętwiałe mięśnie. Ostrożnie dotknęła klamki, lecz drzwi były wciąż zamknięte.

„Mój Boże — pomyślała — gdyby pan Janek wpadł na mój ślad, przecież sam opowiadał, jak w Tonkinie<sup>336</sup> odnalazł uprowadzonego przez Annamitów<sup>337</sup> kasjera z Hanoi<sup>338</sup>... A tu przecież nie dziki kraj, lecz środek Europy... Na pewno już jej szukają... O, czemuż nie zostawiła w domu kartki z tym adresem, byłaby już wolna, a ci zbrodniarze znaleźliby się w więzieniu...”

W mieszkaniu tymczasem zaczął się ruch. Widocznie obudziła się chora, bo zaczęła stękać. Wkrótce odsunął się rygiel i weszła gospodyni.

Zburczała dość łagodnie Julkę za to, że nic nie jadła, i przyniosła kubek gorącej kawy, której Julka również nie tknęła.

Znowu została sama. Godziny wlokły się tak wolno, że raz po raz nakręcała zegarek, myśląc, że się zatrzymuje. O pierwszej baba zjawia się z miską zupy, lecz Julka oświadczyła,

<sup>336</sup> *Tonkin* — kraina hist. w płn. Wietnamie, obejmująca dorzecze Rzeki Czerwonej; w okresie międzywojennym część kolonialnych Indochin Francuskich. [przypis edytorski]

<sup>337</sup> *Annamici* — mieszkańcy tzw. Protektoratu Annam, części kolonialnych Indochin Francuskich, obejmującej dzisiejszy Wietnam Środkowy; także: dawna europejska nazwa Wietnamczyków. [przypis edytorski]

<sup>338</sup> *Hanoi* — wielkie miasto w Wietnamie, ob. stolica tego państwa. [przypis edytorski]

że nie jest głodna, spróbowała natomiast namówić tę straszną kobietę, by ją wypuściła, a dostanie dużo pieniędzy, więcej niż jej mogą zapłacić handlarze żywymi towarami.

Stara tylko wzruszyła ramionami i wyszła.

Pod wieczór Julka zaczęła odczuwać dotkliwy głód i pragnienie. Toteż o godzinie ósmej, gdy gospodyni przyniosła wielki kubek herbaty i suchą tym razem kromkę chleba, nie mogła powstrzymać się od skosztowania jednego i drugiego. Chleb był smaczny, a herbata, chociaż miała jakiś nieprzyjemny zapach, przypominający roztarte liście łopianu, i smak gorzkawy, jednak zaspokoila pragnienie.

Nie minęło wiele czasu, kiedy Julka poczuła nie senność, lecz jakieś dziwne uczucie zmęczenia. Jednocześnie zauważyła, że w pokoiku jest bardzo duszno. Z coraz większym trudem łapała oddech, ręce i nogi stały się nieznośnie zimne, serce biło niemal głośno, urywanym, nierównym rytmem... Po czole ściekały krople potu. Chciała podnieść rękę, by obetrzeć pot, i ręce były bezwładne...

„Aha — pomyślała — jestem otruta, w herbacie musiała być trucizna...”

Spostrzeżenie to zrobiła z takim spokojem i obojętnością, jakby nie o nią chodziło, lecz o kogoś obcego. Tymczasem przykre uczucie duszenia się ustępowało, natomiast w uszach zaczął się szum, jakby wielkich fal wody czy lasu... Tak szumiał las wokół ich polanki w Tucholskiej Puszczy... W odgłos ten wplatał się teraz jakiś odległy dźwięk. Otworzyła oczy i ujrzła mętny i rozplywający się kształt kobiecej postaci z migotliwym światełkiem w ręku. Mówiono coś do niej, lecz nie mogła odróżnić słów, a przy tym było to dla niej najzupełniej obojętne.

Nie straciła przytomności, tylko owładnęła ją pogodna, błoga apatia<sup>339</sup>. Wciąż rozumiała, że została otruta i że umiera, a śmierć wcale nie jest straszna, przeciwnie, przyjemna... Wszystko wydaje się małe i nic nieznaczące, zamglone, stuszowane i obojętne. I czas przestał istnieć. Wszystkie jej myśli, odczucia, wrażenia, wspomnienia, wszystkie dawne i najdawniejsze obrazy znalazły się w jednoczesnej obecności, spłaszczone, wgniecione, jedno w drugie, lecz barwne i interesujące...

Do pokoju musiało wejść kilka osób, niewyraźny gwar głosów dobiegł jej uszu, ktoś wziął jej rękę w przegubie, miły dotyk tej dłoni trwał długo... Potem, a może jednocześnie uniesiono jej bezwładne ciało i owijano w coś szorstkiego... Pewno kładą do trumny, więc już nie żyje... A jednak czuje każdy dotyk i każdy sprawia jej taką przyjemność...

Teraz niesiono ją bardzo wysoko w górę, czy też bardzo głęboko w dół, ułożono na miękkich poduszkach, wstrząsanych czymś łagodnie... „Karawan — przemknęło jej przez myśl — wiozą mnie na Powązki<sup>340</sup>...” Próbowała otworzyć oczy, lecz powieki stały się nieprawdopodobnie ciężkie.

I znowu wzięto ją na ręce, tak miło i ostrożnie... Rozbierano ją, wyraźnie czuła, jak odpinano pasek od podwiązek, jak ściągano pończochy... I nagle otoczyło ją takie przemiłe ciepło i usłyszała bardzo odległy plusk wody... Ach tak, myto ją... na skórze uczuwała dotyk szybko poruszających się rąk, a w nozdrzach zapach mydła...

Ułożono ją znowu w czymś gładkim i miękkim, otworzono jakimś twardym przedmiotem usta i wiano cierpki płyn o ostrym zapachu... Czuła, jak gorącą smugą spływał jej do żołądka, lecz jakby po wierzchu, po skórze, i straciła przytomność.

## ROZDZIAŁ 25

Borys Załkind niespokojnym krokiem chodził wzdłuż kamienicy przy alei Szucha i niecierpliwie spoglądał na zegarek.

Umówił się z kapitanem, że jeżeli ten do godziny dziewiątej nie wróci, będzie to oznaczać, że nie udało mu się wydobyc kontraktu od Fajersonów, że albo nic nie przedsięwziął i sprawa jest beznadziejna, albo, co tym bardziej nie daj Boże, te łajdaki zastrzeliły go gdzie po cichu. Oczywiście, po cichu, bo gdyby się rozniosło, agent Załkinda w Białowieży już by telegrafował.

Było już dziesięć po dziesiątej, gdy Załkind powziął postanowienie:

<sup>339</sup> *apatia* (psych.) — stan obojętności i braku zainteresowania oraz braku aktywności. [przypis edytorski]

<sup>340</sup> *Powązki* — popularna nazwa najstarszego istniejącego cmentarza w Warszawie; ogólnie: nazwa terenu na styku dzielnic: Żoliborza i Woli, na którym znajdują się cmentarze: katolicki, żydowski i ewangelicki. [przypis edytorski]

„Zaczekam jeszcze dwadzieścia minut, a jak nie przyjedzie, dzwonię do Luby, żeby mi pakowała walizę i zdążyć jeszcze na pociąg”.

W tej właśnie chwili usłyszał za plecami sygnał samochodu i zobaczył oczekiwanego Foulda, z którego wysiadł kapitan.

— Chwała Bogu! — zawołał, mocno potrząsając jego ręką. — Nareszcie. Nic kapitanowi nie zrobili?

— Czekaj, Jack, daj odsapnąć — zaśmiał się Drucki — i chyba nie będziemy, tu na ulicy gadać. Chodźmy.

Weszli do mieszkania i gospodarz, zrzuciwszy marynarkę, poszedł umyć ręce. Po chwili wrócił, niosąc butelkę szkockiej whisky i dwie szklanki.

— No, przyjacielu — powiedział nie bez przechwałki w głosie — możemy oblać pański kontrakt.

Zalkind zbladł z wrażenia i wyciągnął drżącą rękę.

— Jest?... Jest?... — powtarzał zdławionym głosem.

Drucki wybuchnął śmiechem i zawołał, nalewając żółty płyn do szklanek:

— Jak ci nie wstyd, Jack, trzęsiesz się niczym stara baba w galarecie! Czy to tak wygląda Black Jackie z Chicago?

— Milion, kapitanie, milion! — krzyknął Zalkind, podnosząc patetycznie ręce nad głową.

— No to cóż z tego? Dalibóg, skundliłeś się, stary. A kiedyś, niech mnie piorun strzeli, byłeś gangsterem, z tych, co to na pieprz nie potrzebują dmuchać. No, w twoje ręce!

Wypili. Drucki niedbale sięgnął po marynarkę, nie śpiesząc się, wydobyl z niej grubą szarą kopertę i podał ją Zalkindowi.

Przerywając sobie łykami whisky, zaczął opowiadać. Sprawa nadspodziewanie poszła łatwo. Teścia Fajersonów nie było w domu. Gdyby nie to, szkoda byłoby gadać. Ci trzej i ich kuzyn to zielonodzioby. Od razu uwierzyli. A jak już miał dokument w ręku, no to kaput<sup>341</sup>. Na szczęście nie mieli rewolwerów przy sobie, tylko ten parszywy kuzyn, ale udało się kopnąć go w rękę i maszynkę wyłuskać. Rzucili się wszyscy czworo, nie zważały bestie na mój brauning<sup>342</sup>, istne wariaty...

— Milion, przecie milion! — przerwał Zalkind.

— I oni o tym tylko myśleli, dlatego tak szaleli. No, a okno to już na początku otworzyłem, niby dla świeżego powietrza. Z takimi cymbałami to wszystko można zrobić. Tedy skaczę na krzaki jakiegoś, a ciemno, choć w pysk daj, myślałem, że już nie trafię pod parkan, gdzie zostawiłem wóz. Jednak zanim zdążyłem wyjechać na drogę, oni już wybiegli i zaczęli smalić po mnie...

— A łajdaki! — zawołał Zalkind.

— Milion — roześmiał się Drucki. — Parę dziur zrobili i bak też przedziurawili, ale do miasteczka dojechałem. Zanim mi kowal zalutował, umyślnie poszedłem do policji, by tamci myśleli, że tam zostawiam kontrakt. Ma się rozumieć, śledzili mnie, zdążyli przyjechać, bo przy aucie stał jakiś mały Żydek i jak tylko mnie zobaczył, pobiegł, a po chwili przyszedł ten buchalter<sup>343</sup>, co mnie w Warszawie u pana widział, i powiada: „Dla Fajersonów to cały majątek; jeżeli im pan dobrowolnie nie odda, oni na wszystko gotowi. I Zalkinda, i pana na tamten świat wyprawią”.

— Niech spróbują — mruknął Zalkind.

— Próbować będą — z satysfakcją zapewnił Drucki — teść już tam wszystko obmyślił. Potrafili spalić kancelarię notariusza, potrafili zarżnąć Bulczuka, to i nam nie darują. Ale ja tak myślę, Jack, że my z panem gwizdzemy na to. Co?

— I kule pogwizdzą — cicho powiedział Zalkind, a jego chuda twarz nabrała sępiego wyrazu.

— No, za zdrowie Fajersonów.

Wypili i Zalkind zaczął tłumaczyć Druckiemu szczegóły tej zawilej sprawy, której żadna ze stron nie mogła oddać do sądu, a co za tym idzie, pozostawało jedynie rozprawić

<sup>341</sup>kaput (pot., ndm, z niem.) — koniec, przepadło. [przypis edytorski]

<sup>342</sup>brauning a. browning — belgijska marka pistoletu samopowtarzalnego, nazwana od amerykańskiego konstruktora broni Johna Mosesa Browninga (1855–1926); daw. także ogólnie: pistolet. [przypis edytorski]

<sup>343</sup>buchalter (przestarz.) — księgowy. [przypis edytorski]

się między sobą. Tymczasem las, przedstawiający wartość przeszło miliona złotych, rósł i czekał na siekierę, do której prawo miał Borys, na podstawie kontraktu z nieżyjącym już właścicielem lasu, a niepozabawione słuszności pretensje — Fajersonowie, dziedziczący po zmarłym. Panem sytuacji był teraz, dzięki eskapadzie<sup>344</sup> Druckiego, Załkind.

Opowiadanie jego zostało przerwane dzwonkiem telefonu. Drucki przeciągnął się i spojrzał na zegarek. O tej porze mogła dzwonić tylko chyba Alicja.

— Jack, niech pan odbierze telefon i powie, że mnie nie ma, nie przyjechałem, diabli mnie wzięli czy co pan chcesz.

Załkind podszedł do aparatu i wrócił z oznajmieniem, że to z „Argentyny”. Wobec tego Drucki wziął tubę. Telefonował kasjer Justek.

— Panie dyrektorze, tu ta pani, z którą pan bywa, kazała połączyć i zaraz podejdzie.

Zanim Drucki zdążył coś powiedzieć, odezwał się głos Alicji:

— Przyjechał pan? To bardzo dobrze. Wstąpiłam do „Argentyny”, myślałam, że pana tu zastanę, ale wobec tego zaraz przyjadę do pana. Do widzenia.

Położył słuchawkę, a Drucki skrzywił się.

— Baba? — z uśmiechem zapytał Załkind.

— Psiakrew. Zmachany jestem... Wiesz pan, Jack, dosyć już zaczynam mieć siedzenia w tym mieście. Rdzewieje człowiek w tej wiecznej beczynności i jednostajności...

— No, teraz kapitan na brak przygód narzekać nie może — zażartował Załkind.

— Pi... raz na rok, coś ciekawego. Boję się tak zasiedzieć się, jak pan... No, muszę pana wyrzucić za drzwi... Z Fane<sup>345</sup> teraz wypływają stare skorupy na kaszaloty<sup>346</sup>... A na Florydzie doroczne derby<sup>347</sup>... Piękny jest świat, Jackie, piękny i szeroki, idź już na zbity łeb i pomyśl o tym, gdy ci pierzyna wystygnie.

— Nie wystygnie tak łatwo, oni nie tacy. Żegnaj, kapitanie, a pamiętaj, że Czarny Jack rozumie, co znaczy słowo wdzięczność.

W półmroku przedpokoju oczy jego tak dziwnie błyszcząły, jakby w nich zakręciły się łzy, lecz Drucki tego nie zauważył. Chwiejnym krokiem chodził z kąta w kąt i powtarzał głośno:

— Z Fane wypływają teraz stare skorupy na kaszaloty... A pierwszy wyruszył, oczywiście, Mac Holane, na swojej arce Noego... Z Fane wypływają za Gęsi Cypel<sup>348</sup>, a tam już łapią pełny wiatr...

Nalewał sobie whisky, gdy zabrzmiał dzwonek. Leniwie poszedł otworzyć. Alicja była wesoła i podniecona. Wyczuwała go mocno, zauważyła, że jest zmęczony, i zaproponowała, by się położył. Sama rozpięła mu kołnierzyk i rozwiązała krawat, opowiadając szczegóły jakiegoś zabawnego procesu, jaki toczył się dziś w sądzie. Gdy położył się, siadła przy nim i głaszcząc jego włosy, zasypywała czułymi słowami, na jakie od dawna już nie umiała się w stosunku do niego zdobyć, nie dlatego, że nie czuła ich treści w sobie, lecz dlatego, że oziębłość Bohdana paraliżowała każdą czułość.

I tak trwałoby to długo, póki stała między nimi Julka...

Miał szare cienie pod oczyma i usta spiekłe od wiatru, a na tych ustach błękał się taki piękny półuśmiech.

— Czy ty wiesz, Al — odezwał się, nie otwierając oczu — że teraz z Fane wypływają stare skorupy na kaszaloty?...

— Skądże ci to przyszło na myśl? — zapytała pogodnie.

Nie odpowiedział, tylko przeciągnął się i westchnął. Alicja nie wątpiła, że w ogóle nie słyszał jej opowiadania. Przygryzła wargi, lecz natychmiast się opanowała. Nie mogła sobie pozwolić na wzniecenie najmniejszej sprzeczki. Jeszcze kilka miesięcy, a powrócą dawne, niezmacone stosunki, jeszcze kilka miesięcy, a zostanie z nim na zawsze... Bądź co bądź on nie jest już młodzikiem. Musi w nim wygasnąć narów<sup>349</sup> włóczęgi. Alicja miała już

<sup>344</sup> *eskapada* — ryzykowna, lekkomyślna wyprawa. [przypis edytorski]

<sup>345</sup> *Fane* — zapewne błąd autora i chodzi o *Fire Island*, wyspę barierową wzdłuż środkowej części pld. brzegu wyspy Long Island, położoną przy atlantyckim wybrzeżu USA w pobliżu Nowego Jorku; wskazuje na to późniejsza wzmianka o Gęsim Cyplu (ang. *Goose Point*), znajdującym się na tej wyspie. [przypis edytorski]

<sup>346</sup> *stare skorupy na kaszaloty* — wysłużone statki wielorybnicze. [przypis edytorski]

<sup>347</sup> *derby* — coroczne wyścigi konne. [przypis edytorski]

<sup>348</sup> *Gęsi Cypel* — ang. *Goose Point*, przylądek na amerykańskiej wyspie Fire Island, w stanie Nowy Jork. [przypis edytorski]

<sup>349</sup> *narów* — zły nawyk, przywara. [przypis edytorski]

gotowy i szczegółowo opracowany plan stopniowego ujarzmania tej bujnej natury. W tym celu postanowiła nawet wziąć na rok bezpłatny urlop, by razem z Bohdanem odbyć jakąś dalszą podróż, bodaj pielgrzymkę po „świętych miejscach jego awanturycznej młodości”. On przecież tak lubi o nich mówić. Na pewno jeszcze więcej znalazłby przyjemności w ich pokazywaniu. A taka pielgrzymka musiałaby mieć w sobie coś z pożegnania się z przeszłością.

Alicja Horn rozumowała logicznie i pewna była swej logiki. Jeżeli czego nie brała pod uwagę, to roli, jaką w jej planach może odegrać nieobecna już Julka.

A zaczęło się tak:

Okolo północy Bohdan podniósł się z tapczanu i oświadczył, że pomimo zmęczenia musi zajrzeć do „Argentyny”.

— Musiałabym się przebrać — zaczęła Alicja — a zresztą nie mam zbytnej ochoty. Wiesz, czy nie przyjechałbyś z „Argentyny” do mnie?

— Co za pomysł? — wzruszył ramionami. — Po pierwsze jestem piekielnie zmęczony, a po drugie... w ogóle. Co by u ciebie w domu pomyśleli?

— Nic by nie pomyśleli — swobodnie odpowiedziała Alicja — gdyż nie ma komu myśleć. Jestem sama.

— Jak to? — odwrócił się do niej od lustra, przed którym zawiązywał krawat.

— Sama — powtórzyła — Józefowa jest na urlopie, a Julka wyjechała na posadę.

Alicja wiedziała, że na Bohdanie ta nowina zrobi wrażenie, lecz nie przypuszczała, by mogło być aż tak wielkie, jak też nie oczekiwała, że nawet nie będzie próbował go ukryć.

Opuścił na ziemię trzymany w ręku krawat i podszedł do niej z takim wyrazem twarzy, że gdyby nie jej zimna krew, cofnęłaby się za stół.

— Jak to wyjechała na posadę? Na jaką posadę? — zapytał głucho i bardzo cicho.

— Na kresy.

— Przecież nie chciała jechać? Co?... Przecie dałem jej w Warszawie posadę doskonałą? Co?...

— Powtarzam ci — zmarszczyła brwi Alicja — że wyjechała na kresy.

— Więc ty zmusiłaś ją do tego?

— Przepraszam cię, Boh, ale jakim prawem wtrącasz się w sprawy mojej opieki nad Julką? Sądzę, że mógłbyś przy pewnym wysiłku poczucia przyzwoitości zdobyć się na odrobinę taktu. Moja wychowanka do czasu pełnoletności pozostaje wyłącznie pod moją opieką i ja decyduję, jaka posada jest dla niej odpowiednia, a jaka nie. Dziwię ci się, Boh, że zechciałeś zaakcentować to, nad czym ja, którą Julka musi obchodzić i jako dziewczyna wychowana przeze mnie od małego dziecka, i jako kobieta, której mogę postawić pewne bardzo wyraźne żądania, umiałam jedynie przez delikatność dla ciebie przejść do porządku.

— To nie jest *fair play*<sup>350</sup>! — wybuchnęła.

— Nie jest i nie było z żadnej strony, mój drogi, nie było od początku... Nie mówmy już o tym.

— Masz rację. Nie będziemy mówili.

Wpakował ręce w kieszenie spodni, potrząsnął głową i dodał:

— Zdaje się, Al, że my w ogóle niewiele mamy już sobie do powiedzenia. Nigdy nie mieliśmy zbyt dużo, a teraz nie pozostało nic, poza słowami, jakimi żegnają się ludzie, którzy nie chcą, by ich dzieliło więcej, niż może łączyć.

— Nie mówisz tego poważnie, Boh!

— Mówię to poważnie, Al. I myślę, że mówię do człowieka równie dobrze rozumiejącego to, jak ja. Lepiej rozstać się póty, póki można jeszcze zamienić szczery uścisk dłoni i uczciwie podziękować sobie wzajemnie za kawałek podzielonego życia, niż zostawiać za sobą gorycz i przekleństwo.

— Ale ja ciebie kocham, Boh — wyszeptala.

— Nie możesz mnie kochać — powiedział po namyśle. — Na to, żeby kochać, trzeba pokochać to, co on kocha, co stanowi treść jego istnienia. A ty nie kochasz życia. Nie tylko nie kochasz. Nienawidzisz go. Wszystko, co stanowi to życie, więc radość, wolność, swobodę, beztróskę, walkę jawną, uczciwą, na równych szansach, czy ja wiem co jeszcze,

Rozstanie

<sup>350</sup>*fair play* (ang.) — uczciwa gra; przen.: uczciwe postępowanie z ludźmi. [przypis edytorski]

słowem, wszystko, co jest moim największym szczęściem, wzbudza w tobie niechęć. Nie kochasz mnie, Al, nie.

— A jednak dawniej...

— Nie liczymy ubiegłych dni. Nie znam się na tych rachunkach. Nigdy nie umiałem robić czegoś dzisiaj dlatego, że tak myślałem o tym wczoraj lub że tak będzie jutro. Może to nawet bardzo niemądrze, ale sądzę, że żyjąc dziś, muszę kontentować się prawdą, jak ją dziś widzę.

Alicja przygryzła wargi. Chciała rzucić się mu do nóg i błagać, by uwierzył, że go kocha ponad wszystko na świecie, że ceną własnego życia gotowa jest okupić posiadanie jego uczucia, że oszaleje, jeżeli on od niej odejdzie...

Milczała jednak. Wiedziała, że byłaby to zła droga, że wszystkie jej słowa, najgorętsze, najpłomienniejsze i poddańcze, odbijają się od jego stanowczości, nie zmieniając jej w niczym. Należało za wszelką cenę odwlec tę rozmowę.

— Boh — powiedziała spokojnie, chociaż aż drgał w niej każdy nerw — jesteście dziś oboje zmęczeni, podnieceni, zbyt ulegający impulsom, oczywiście nie zawsze przez nas samych pożądanym... Czy mogę cię prosić o jedną po prostu grzeczność?... Odlóżmy to do jutra?...

Zrobił niewyraźny ruch ręką.

— Po co, Al? Po co mamy wzajemnie się męczyć jeszcze raz?

— Proszę cię o to...

— Więc dobrze, jak chcesz...

— Dziękuję ci — podała mu rękę a ta tak drżała, że Drucki aż się zdumiał.

W niczym to jednak nie mogło zmienić jego postanowienia. Nie mieściło mu się wprost w głowie, jak Alicja potrafiła zdobyć się na tak brzydki i niski postępek w stosunku do Julki. Gdyby to leżało w jego mocy i w jego prawie, zrobiłby wszystko, by Julkę sprowadzić znowu do Warszawy. Zresztą nie wyrzekał się jeszcze tego. Jeżeli otrzyma od Julki list z oskarżeniami na to wygnanie, zmusi Alicję do pozwolenia na jej powrót albo przywiezie ją sam.

Z Alicją postanowił zerwać bez względu na jakiegokolwiek następstwa. Liczył się z tym, że będzie mściła się na nim. Możliwe nawet, że zadenuncjuje go jako przestępcę, ukrywającego się pod obcym nazwiskiem. Mniejsza o to, a raczej nie, właśnie tym lepiej... W każdym razie nie zmieniłby już swej decyzji za żadną cenę.

Toteż nazajutrz wszystkie nadzieje Alicji zawiodły na całej linii. Nie umiał i nie chciał zrozumieć jej tragedii, nie stracił ani na chwilę swego nieznośnie spokojnego i uprzejmego sposobu zachowania się. Nie wzruszyło go nawet to, że ona, taka dumna, taka niezależna, rezygnowała teraz z wszelkich praw, wyrzekła się wszelkich pretensji, błagając jedynie o pozwolenie widywania go od czasu do czasu, o łaskę jego przelotnej pieszczoty, o możliwość usłyszenia odeń kilku bodaj najobojętniejszych słów.

Całowała jego ręce, czepiała się rozpacziwa jego nóg, skomlała jak wypędzony pies, przysięgała niewolnicze posłuszeństwo...

Na próżno.

Przegrała... Ociężała podniosła się z ziemi, kręciło się jej w głowie, gdy stojąc przed lustrem, automatycznie nakładała kapelusz, lecz oczy już obeschły i paliły się wielkim, czarnym płomieniem. Ogarnęła go wzrokiem, którego nie mógł znieść, i wyszła bez jednego słowa pożegnania.

I oboje wiedzieli w tej chwili, że nie jest to zakończenie wszystkich rachunków, że jeszcze ich drogi muszą się skrzyżować.

Drucki o tyle umiał być szczery z samym sobą, że nie starał się wmówić w siebie obojętności dla tego nieuniknionego skrzyżowania. Oczekiwał zemsty, obawiał się jej, lecz przecież nie bał. W każdym razie należało być czujnym i z tego względu, że po wyprawie białowieskiej trzeba było liczyć się pogrózkami ludzi umiejących dawać sobie radę z przeciwnikami.

Nosił teraz stale broń i zwracał pilną uwagę na wszystko, co działo się wokół niego, czy to w domu, czy w „Argentynie”, czy na ulicy. Dzięki temu w ciągu kilku dni dostrzegł Alicję w bramie naprzeciwko, raz przed wylotem alei Szucha i raz w taksówce, stojącej przed „Argentyną”. Pewnego popołudnia dowiedział się od Zośki, że jacyś dwaj podejrzanie wyglądający ludzie wypyтали jej ojca o Druckiego. Dozorca umyślnie poinformował

Rozstanie

ich fałszywie, bo — jak mówiła Zośka — takie to, wiadomo, bandyty. I Drucki o tym nie wątpił, tym bardziej, że następnego dnia podpalono składy towarowe Załkinda przy bocznicę kolejowej.

Właśnie miał jechać na Nowolipie, by rzecz omówić, gdy zadzwonił Brunicki.

Wrócił z Zakopanego, dokąd jeździł odwiedzić syna, bardzo chciałby zobaczyć się z Druckim i jeżeli ten nie ma nic lepszego do roboty, niech się pozwoli zaprosić na obiad.

Drucki nie tylko nic nie miał do roboty, lecz ucieszył się bardzo. Teraz już nie ulegało wątpliwości, że ich przyjaźń po tylu latach była na najlepszej drodze do zupełnego odnowienia się.

Drucki wielu miał na świecie przyjaciół. Mówiono o nim nawet, że ma diabelne szczęście do ludzi, jednak żadna z tych przyjaźni nie tkwiła w nim tak mocno, jak przywiązanie do Karola Brunickiego, datując się przecie z lat, gdy obaj jeszcze piechotą pod stołem chodzili.

Na Załkinda czekał rozmawiając z Lubą. Wróciła z Konstancina, opalona niczym Cyganka i wynudzona niesłychanie. Toteż zajęła natychmiast pozycję ofensywną, wyszukując każdy pretekst, by przytulić się doń lub o niego otrzeć z tą szelmowską, kocią zmysłowością. O historii kontraktu była dokładnie poinformowana, nie wiedziała jednak wcale o niebezpieczeństwie, grożącym Borysowi i kapitanowi. Toteż gdy wrócił Załkind, bardzo była zaintrygowana, dlaczego zamknęli się, prosząc ją, by zostawiła im kwadrans wolności.

Narada nie trwała dłużej. Wobec tego, że niepodobna było wmieszać w aferę policję, która nie zadowoliliby się przecie powierzchownymi informacjami, lecz zechciałaby wścibić nos w całą sprawę, musieli sami znaleźć środki obrony. Drucki, jako samotny i nie posiadający żadnego obiektu, jaki mógłby stać się przedmiotem ataku ze strony Fajersonów, zapewnił Załkinda, że żadnej osłony nie potrzebuje. Jemu natomiast radził przede wszystkim zabronić Lubie i dziecku wychodzić z domu, w przedpokoju zainstalować paru tęgich drabów, no i zorganizować wywiad, który by napastników wyszedł i wzięł ich w „łagodne obroty”.

— Z tym nie będę miał wiele trudu — powiedział Załkind — ja mam tu siostrę, która utrzymuje na Ciepłej taki nocny interes z dziewczynkami. Taki sobie interes, nawet nieźle idzie. Otóż ona ma swoich ludzi, rozumie kapitan, w tym fachu to ona musi mieć pewnych ludzi. Da się zrobić. Tylko dwie rzeczy mnie martwią: Lubie trzeba będzie powiedzieć i ona się nastraszy...

— Lepiej niech się nastraszy niż co innego. A czyż to zapomniała już Chicago?

— A po wtóre, że kapitan bez obrony zostanie, jak oni zobaczą, że tu wszystko obstawione, a u kapitana nie...

— ...no to powąchają, czym moja tabaka pachnie — dokończył Drucki.

— Daj Boże, żeby pańskie słowa w złoto się obróciły.

Zawołał Lubę i Drucki wyjaśnił jej sytuację. Nie przejęła się nią zbytnio. Zażądała tylko, by i jej w domu zostawiono rewolwer. Oczywiście, mąż na to się zgodził i obiecał nadto, że będzie się starał jak najmniej wychodzić z domu.

W pół godziny później Drucki był już na Dębowej. Profesor powitał go z dawną serdecznością i od razu zasiedli do obiadu.

— A gdzie jest doktor Kunoki? — zaciekał się Drucki.

— Wyjechał na trzy dni do Szwajcarii — zatarł ręce Brunicki, z miną człowieka, który za chwilę ma powiedzieć coś niesłychanie ważnego.

— No? — z uśmiechem zapytał Drucki.

— Już wkrótce ogłosimy światu, Bohdanie, rewelacyjne wyniki naszych badań i odkryć, do których ty się przyczyniłeś!

— O? Czy i to ogłosicie?

— Nie żartuj, Bohdanie. To, co ogłosimy niedługo w paryskiej Sorbonie, wstrząśnie podstawami dotychczasowej wiedzy o człowieku, o jego psychice i fizjologii, i morfologii, zmieni do gruntu pogląd na istotę samego zjawiska życia, a nawet wpłynie na modyfikację wielu pojęć w fizyce, w chemii, w historii, w antropologii, socjologii... No, widzisz... Pomyśl tylko!

Przyjaźń



— Rozumiem, Karolu. Lecz w jakiż sposób zdacie sprawozdanie z waszych doświadczeń, skoro są one prawnie zakazane?

— Tego jeszcze nie wiem. Mniejsza zresztą o to. W skali samych odkryć wprost śmiesznie wygląda kwestia naszego osobistego bezpieczeństwa. Jednak zastanowimy się nad tym. Może w niektórych częściach sprawozdania uciekniemy się do złożenia go na posiedzeniu tajnym. Teraz kończymy nasze przygotowania... Właśnie Kunoki przywiezie pewne niezbędne dane z najnowszych obserwacji jednego z młodych biologów szwajcarskich. Nadchodzi wielki dzień, drogi Bohdanie!

— Winszuje ci Karolu, a powiedz mi, cóż, u licha, zrobisz ze swoją „królikarnią”?

— Ach, właśnie! Daruj, że i tym razem nie zapraszałem ciebie zupełnie bezinteresownie. Widzisz, do ostatecznego rezultatu brakuje nam jeszcze sprawdzenia na nowym obiekcie reakcji wydzielniczych tylnego płatu przysadki mózgowej na wprowadzenie do krwi podczas wczesnej ciąży związków bromowych, co prawie na pewno wpływać musi na zwiększenie się ciałek żółtych, czyli na lepszy przebieg ciąży. Jednocześnie trzeba koniecznie powtórzyć doświadczenie z dwuwęglanem sodu. To musi być zrobione natychmiast. Sam przyznasz mi rację, gdy ci powiem, że istnieje niemal pewność, iż hormon Evansa<sup>351</sup>, produkowany przez przedni płat przysadki mózgowej, nie tylko wpływa na regulację wzrostu płodu, lecz pod działaniem wydzielin hormonalnych szarej masy międzypłatowej przesądza płeć dziecka. Otóż przez wprowadzenie do organizmu matki dwuwęglanu sodu wzmacnia się działalność szarej masy, zapewniając bez najmniejszej wątpliwości męską płeć mającemu urodzić się dziecku, a w dodatku stwierdzić to przez obserwowanie lutenizacji<sup>352</sup> już w szóstym tygodniu ciąży.

— Zaraz, zaraz, a cóż to jest ta lutenizacja?

— Właśnie wydzielanie ciałek żółtych, sprzyjających normalnemu przebiegowi ciąży. Zresztą, nie chodzi ci przecie o te rzeczy. Dość, że chciałem cię prosić o... nowego „królika”...

Drucki skrzywił się niemilosiernie, a profesor wziął go za rękę.

— Bardzo cię przeproszam za moją natarczywość, ale ty zostałeś jedyną moją nadzieją. Doznałem teraz bardzo przykrego i niespodziewanego zawodu. Wyobraź sobie, że nie chcąc więcej nadużywać twojej dobroci, zdobyłem potrzebny obiekt dawną drogą, przez jedną z pokątnych akuserek. Młodziutka, inteligentna dziewczyna, prawidłowo zbudowana i rozwinięta, słowem, zdawałoby się — wyborny obiekt. Tymczasem już przy wstępnym badaniu Kunoki stwierdza, nie uwierzysz, dziewictwo! Sprawdzam. Nie ulega żadnej wątpliwości, że błona jest nienaruszona. Ponieważ jednak i takie zapłodnienia bywają, przeprowadzamy żmudne badania na zawartość hormonów zwanych prolanami w moczu. Jest to najlepsza i niezawodna metoda wykrywania wczesnej ciąży. Mocz jałowo zastrzykuje się młodym myszom i jeżeli te dojrzewają w przeciągu trzech dni, mamy niezbity dowód ciąży. Otóż zmarnowaliśmy dziesięć młodych myszy i nic. Pacjentka jest stuprocentową dziewicą. Po prostu akuszerka oszukała. Znalazłem się tedy bez niezbędnego obiektu i w tobie mam jedyną nadzieję.

— A cóż zrobisz z tą dziewicą?

— Z dziewicą? — profesor wybuchnął śmiechem. — Ach, Bohdanie, że też ty nigdy nie odzwyczaisz się od patrzenia na świat przez pryzmat twojej płci! Hm... Nie wiem jeszcze, co z nią zrobić. W każdym razie nie mogę jej wypuścić i z tego także względu, że biedaczka jest chora. Musiała przejść jakiś silny wstrząs psychiczny. Niedobitek zaś ta baba zaaplikowała jej taką porcję nawaru z *Cannabis indica*, czyli z konopi indyjskich<sup>353</sup>...

— To z tego robi się haszysz?

— Tak. Ale akuszerka, nieumiejąca dozować, tyle tej małej dała nawaru, że co najmniej jeszcze przez tydzień nie potrafię doprowadzić jej organizmu do porządku. Słowem,

<sup>351</sup>hormon Evansa — hormon wzrostu (somatotropina), produkowany przez przedni płat przysadki mózgowej, odkryty w 1921 przez Herberta Evansa i Josepha Longa. [przypis edytorski]

<sup>352</sup>lutenizacja (biol.) — następujące po owulacji przekształcenie pęcherzyka jajnikowego w ciałko żółte, które produkuje progesteron, hormon przygotowujący błonę śluzową macicy do przyjęcia zarodka powstałego z zapłodnionej komórki jajowej i umożliwienia jego rozwoju. [przypis edytorski]

<sup>353</sup>konopie indyjskie (*Cannabis indica*) — roślina z rodziny konopiowatych, wykorzystywana jako używka oraz narkotyk (marihuana, haszysz). [przypis edytorski]

nie tylko nie mam z tego użytku, ale jeszcze sporo kłopotu, a wprost zawałony jestem przygotowaniem do Sorbony.

Drucki zgodził się. Obiecał, że postara się w najbliższych dniach znaleźć coś odpowiedniego. Przypomniał sobie, że Zośka wspominała mu o jakiejś dziewczynie, mieszkającej na Grochowie, która prosiła matkę Zośki o radę, jak pozbyć się ciąży.

Przesiedział u Brunickiego do wieczora, na rozmowie o pannie Łęskiej i o Piotrze. Panna Łęska, niestety, nie odzyska już nigdy głosu, wprawdzie zaczyna mówić, lecz o śpiewaniu nie może być mowy. Nauczyła się teraz pisać na maszynie i wystukuje całymi dniami na Royalu<sup>354</sup> sprawozdania Brunickiego, które mógł przecie powierzyć tylko komuś absolutnie godnemu zaufania. Będzie dobrą współpracowniczką, tym bardziej że znalazła w sobie szczere zainteresowanie dla nauki i chodzi na medycynę.

— Może czymś więcej niż współpracowniczką? — przyjaźnie spytał Drucki.

Profesor uśmiechnął się i zaczął mówić o Piotrze. Teraz już nie raziło go podobieństwo syna do Druckiego. Przeciwnie, sam zaczął wynajdywać różne zbieżności w ich charakterach i upodobaniach i nie miał słów zachwyty dla chłopca.

W „Argentynie” było już sporo publiczności, gdy Drucki zjawił się na sali i swoim zwyczajem zaczął witać się z gośćmi. Przed trzecią wyszedł tylnymi drzwiami, dzięki czemu mógł zaobserwować draba, ukrytego we framudze bramy naprzeciwko, i trzech stojących opodal, a porozumiewających się z tamtym jakimiś znakami. Cała ich uwaga skierowana była na jego auto, stojące przed wejściem głównym. Głupcy!

Drucki przed samym ich nosem wsiadł do taksówki i po pięciu minutach był już w domu.

## ROZDZIAŁ 26

— O, niech pan patrzy — powiedziała Zośka, podając Druckiemu jakiś niemiecki tygodnik ilustrowany — jak ta pani z fotografii jest podobna do tej, co tu do pana dawniej przychodziła. Ten żurnal przychodzi do jednych państwa z trzeciego piętra, co to teraz na letniakach<sup>355</sup> siedzą. Wietrzyłam tam wczoraj i akurat listonosz oddał.

Drucki szeroko otworzył oczy. Miał przed sobą podobiznę Alicji, a podpis głosił: „Gwiazda polskiej służby sprawiedliwości, podprokuratorka Alicja Horn objęła w tych dniach szefostwo prokuratury warszawskiego Sądu Okręgowego, zastępując udającego się na urlop prokuratora Martynowicza. Oto nowe potwierdzenie aksjomatu, że kobieta w każdym zawodzie może zwycięsko rywalizować z mężczyzną i jego samego zmusić do uznania jej wyższości nad wieloma współzawodnikami płci, uzurpujającej sobie...”

Drucki odłożył pismo. Przyszło mu na myśl, że Alicja musi być bardzo zadowolona z postępów swojej kariery i że z biegiem czasu na pewno w ogóle zapomni o nim i o miłości do niego, którą dziś jeszcze uważa za wieczną. Od czasu ostatecznego zerwania telefonowała doń raz jeden, pod pretekstem prośby, by zniszczył wszystkie jej listy (wiedziała przecie, że dawno to zrobił), i napisała doń bardzo długi list, z powtórzeniem tych samych zaklęć i obietnic, z błaganiami o danie jej bodaj małej części jego czasu, który rozdaje między pierwsze lepsze, przygodnie napotkane kobiety... Nie odpisał, a po kilku dniach, otrzymał nowy list, zawierający tylko jedno zdanie: „Pamiętaj, że ja nie umiem przebaczać”.

Wiedział o tym, lecz zajęty był teraz dwiema sprawami, które pochłaniały zbyt wiele uwagi, by miał czas myśleć o Alicji.

Bandyci, wynajęci przez Fajersonów, wciąż deptali mu po piętach, a nie było sposobu pozbycia się ich inaczej, jak przez zawiadomienie policji, co byłoby równoznaczne z aresztowaniem zarówno Fajersonów, jak i Załkinda. Oczywiście taki sposób działania ani przez myśl Druckiemu nie przeszedł, tym bardziej, że Załkindowi groziło długoletnie więzienie za udział w machinacji teścia Fajersonów, o której Drucki nic pozytywnego<sup>356</sup> nie wiedział i wiedzieć nie chciał.

Poza tym przygotował „królika” dla Brunickiego.

<sup>354</sup>Royal — marka maszyn do pisania. [przypis edytorski]

<sup>355</sup>letniaki (daw. pot.) — letnisko: miejscowość wypoczynkowa a. letni wypoczynek poza miastem. [przypis edytorski]

<sup>356</sup>pozytywny (z łac. *positivus*: oparty na faktach, uzasadniony) — tu: pewny, konkretny. [przypis edytorski]

Była to młoda manicurzystka<sup>357</sup>, pozostająca obecnie bez zajęcia, a pochodząca z tego samego małego miasteczka, co i matka Zośki. Wypytyując tę o ową dziewczynę, nieznacznie<sup>358</sup> wydobyl wiele potrzebnych mu informacji. Manicurzystka nazywała się zachęcająco: Ciepłik, Irena Ciepłik. Miała lat dwadzieścia i mieszkała na Grochowie. Właściciel zakładu fryzjerskiego, w którym pracowała, miał z nią romans i wydalil ją z chwilą, gdy miała zostać matką, sam zaś przeniósł się gdzieś na Pomorze.

Drucki bez trudu odszukał na Grochowie mały domek z ogródkiem, należący do emerytowanego konduktora kolejowego i do jego siostry, również wiekowej staruszki. Ciepłikówna odnajmowała od nich facjatkę<sup>359</sup>. Jeździł tamtędy kilkakrotnie, zanim udało mu się zawrzeć z dziewczyną znajomość. Zrobił to, po prostu wyzyskując to, że domek stał na odludziu i w znacznej odległości od innych. Mianowicie, gdy spostrzegł dziewczynę w ogródku, zatrzymał wóz i poprosił o szklanke wody. Po trzeciej wizycie był już z nią w najlepszej komitywie<sup>360</sup>. Poznał też staruszków, którym przedstawiła go jako dawnego klienta z fryzjerni, i widocznie dała im do zrozumienia, że ten pan chce się z nią żenić. Za czwartą jego bytnością przyznała mu się sama do kłamstwa, tłumacząc je tym, że zalega z komornym i że poza tym stara zaczyna podejrzewać ją.

Tym razem Drucki zdecydował się na zupełnie proste i jasne postawienie sprawy. Wytłumaczy dziewczynie, że mógłby jej wprawdzie dać pieniądze na spędzenie płodu, ale na to szkoda jej zdrowia, a poza tym, jeżeli zgodzi się urodzić dziecko, to zarówno sama, jak i jej dziecko, znajdą gorliwą opiekę u pewnego bardzo bogatego profesora, który i posadę później dla niej zrobi, i posag da. Trzeba tylko, by w domu powiedziała, że wyjeżdża do innego miasta, na przykład do Krakowa, i by ani słowem nie wspomniała o profesorze.

Namyślała się przez dwa dni, aż wreszcie zgodziła się. Żegnając się wieczorem, ustalili, że Drucki jutro o dziesiątej wieczór przyjedzie po nią. Starzy wszystkimu wierzą i o jej „narzeczonym” wyrażają się z zachwytem.

Zaraz po powrocie do domu Drucki telefonicznie zawiadomił profesora, że jutro o dziesiątej trzydzieści dostarczy „królika”. Brunicki wyraził swoją radość, lecz poprosił o opóźnienie transportu jeszcze o pół godziny, gdyż chce osobiście pojechać na dworzec po Piotra, który przyjeżdża z Zakopanego właśnie o dziesiątej z minutami, a profesor wołałby być już w domu w chwili przybycia pacjentki.

Nazajutrz Drucki o umówionej godzinie zajechał przed furtkę ogródka na Grochowie. Nie postawił jednak Foulda przed samą furtką, jak robił zawsze, gdyż zwieszały się tu nad drogą gałęzie drzew, mokrych od wieczornego deszczu. Tylko dlatego odprowadził wóz o kilkadziesiąt kroków dalej i zatrzymał pod parkanem, nie przeczuwając, jak bardzo to zaważy na przebiegu wypadków.

Dziewczyna powitała go z radością, jednakże staruszce, która uparła się przygotować jej coś z prowiantów na drogę, dla ukrycia swej gotowości powiedziała, że jeszcze namyśla się, czy ma jechać, czy zostać.

— Pi, proszę pani, on powiada, że mnie kocha i że beze mnie żyć nie może. Ale ja tam wcale na niego nie lecę i nie pojechałabym, gdyby nie to, że się go boję.

Oboje staruszkowie zburczeli ją za to, a Drucki zaśmiewał się, siedząc na ganku i słysząc całą rozmowę. Gdy Ciepłikówna wyszła do niego i zapytała, wyjrzaszwy za furtkę, gdzie jest auto, podprowadził ją do tylnego parkanu.

— Czy ty aby zmieści się mój koszyk? — zażartowała. — Kto wie, pocziwa gospodyni tyle mi szykuje... No, może tymczasem posiedzimy na ławeczce? Już pewno obeschła...

— Cicho — chwycił ją za rękę Drucki i stanął jak wryty.

Byłby przysiągł, że słyszał skrzypnięcie furtki i przyczajone kroki. Lecz znowu zaległa zupełna cisza.

— Zdawało mi się — powiedział — tak ciemno... To tu ta ławeczka?

— Tu, pod jaśminem... Jezu!!!

W tejże chwili huknął strzał, drugi, trzeci... Z krzaków skoczył jakiś cień, obok prze-

Walka, Ucieczka

<sup>357</sup>manicurzystka — kobieta zajmująca się zawodowo robieniem manicure'u, pielęgnowaniem i estetyką paznokci dłoni oraz stóp. [przypis edytorski]

<sup>358</sup>nieznacznie — niezauważalnie, w sposób niedostrzegalny. [przypis edytorski]

<sup>359</sup>facjatka — mieszkanie a. pokój na poddaszu, z oknem wychodzącym z dachu i nakrytym własnym daszkiem. [przypis edytorski]

<sup>360</sup>komitywa (z łac.) — zażyłość, bliskie, poufale stosunki. [przypis edytorski]

mknął drugi... Drucki błyskawicznym ruchem dobył rewolwer i strzelił czterokrotnie za uciekającym. Chciał biec za nim, lecz potknął się i omal nie upadł. Po ciemku namacał ramię leżącą na ziemi dziewczyny. Pod palcami poczuł krew. Kule z krzaków musiały ją trafić. Jest ranna...

Pochylił się nad nią, by ją podnieść, gdy nagle otrzymał potężny cios w ramię i upuścił rewolwer. Jednocześnie uczył na karku czyjeś żyłaste ręce i tuż przy uchu usłyszał stłumione gwizdnięcie. Od strony krzaków odpowiedziało także.

Drucki zrozumiał, że jedynym wyjściem, jest ucieczka, i to wprost do tylnego parkanu. Jednym podrzutem uwolnił się z chwytu i wymierzywszy przeciwnikowi szybki cios w szczękę, skoczył przez klomb, w kilku susach dopadł parkanu, przeskoczył i w pięć sekund był już w aucie. Nacisnął starter i ruszył właśnie w chwili, gdy reszta bandy, czatująca na drodze przy furtce, zorientowała się i okrążyła biegiem ogród, by go dopędzić. Nie zapalając reflektorów, skręcił w boczną drogę i dał pełny gaz.

Musieli dobrze obstarwić się tym razem. „Było ich pięciu, lub nawet sześciu — obliczał — i gdyby nie ta ciemność, już by mnie mieli. A dziewczyna, albo jest ranna i zemdląca ze strachu, albo... Psiakrew...” Nagle zatrzymał wóz: „A jeżeli to była policja?... Nonsens... Oczywiście, ludzie Fajersonów. Jeżeli jednak zdołali zbiec, a na pewno tu nikt ich nie mógł zatrzymać, jeżeli dziewczyna nie żyje...”

Z całą wyrazistością zrozumiał niebezpieczeństwo, jakie może nań teraz spaść. Oczywiście, jeżeli Cieplikówna nie żyje. A nawet w innym wypadku. Przecie przed policją będzie musiał wyjaśnić, dokąd to zamierzał zabrać tę dziewczynę... Kiepska sprawa.

Nie pojechał do domu, lecz wprost na Nowolipie. Przede wszystkim należało naradzić się z Załkindem. Na szczęście był w domu. Drucki poprosił, by go zostawiono samego przy telefonie i zadzwonił do Brunickiego.

— Karolu, nie czekaj na mnie — powiedział — wyszła bardzo paskudna historia. Na razie będę musiał ukrywać się przez kilka dni, póki nie wyjaśni się, czy wpadną na mój ślad, czy nie. Nie pytaj teraz o nic i o ile można, miej się na baczności.

— To fatalne — odezwał się Brunicki. — Ja muszę jutro wyjechać do Paryża, bo pojutrze mam ten odczyt w Sorbonie... Hm... Wszystko trzeba zostawić tu na odpowiedzialność doktora Kunoki. W każdym razie nie przypuszczam, by policja mogła zainteresować się moim domem?

— Na razie stanowczo nie, ale później diabli wiedzą. Zresztą Kunoki nie będzie przecie sam, jest twój syn, a jeżeli mnie nie przyłapią, to też w razie czego będę o nim pamiętał.

— Byłbym ci obowiązany, tym bardziej że Piotra absolutnie nie mogę w nic wtajemniczać.

Zamienili jeszcze kilka zdań i pożegnali się. Drucki zawałał Załkinda i zasiedli do długiej narady. W godzinę później, gruntownie rozważywszy sytuację, przyszli do wniosku, że tymczasem, póki nie będzie wiadomo, czy policja wpadła na jego ślad, Fould zostanie odprowadzony przez jednego z zaufanych ludzi Załkinda do garażu na Nalewkach<sup>361</sup>.

## ROZDZIAŁ 27

Od chwili odzyskania przytomności Julka nie mogła uwolnić się od panicznego lęku, którym przejmował ją każdy szmer, każde echo kroków czy głosów ludzkich. Wstrząs nerwowy, jaki przeżyła w strasznym mieszkaniu akuszerki, do reszty rozstroił jej wole, do reszty zdeorganizował jej władze psychiczne, które i tak w ostatnich miesiącach przeszły nie lada próbę wytrzymałości. Nadto trucizna, jaką ją napojono, tak dalece podcięła siły fizyczne Julki, że ta, nie zdając sobie sprawy, dlaczego w taki sposób postępuje, na wszystko, co ją otaczało, a co było tak obce i groźne, reagowała symulacją omdlenia.

Zamierało w niej serce, gdy do białej celi więzienia, w którym ją trzymano, wchodził milczący Japończyk, badał jej puls, podnosił powieki, przemocą otwierał usta, zmuszając do picia jakichś słonych lub ohydnie gorzkich płynów, gdy wbijał pod jej skórę igłę z jakimś zastrzykiem. Wreszcie pewnego dnia zjawił się surowy pan w okularach, obaj z Japończykiem zamienili szereg zdań po łacinie i surowy pan powiedział:

<sup>361</sup>Nalewki — dawna ulica w dzielnicy Śródmieście w Warszawie, jedna z najważniejszych ulic handlowych miasta i jedna z głównych ulic dzielnicy żydowskiej, ruchliwy trakt komunikacyjny; zniszczona całkowicie w czasie powstania w getcie w 1943. [przypis edytorski]

— Symulacja... Moja pani, postępuje pani jak stary, doświadczony chrabąszcz, udając nieżywą, ale i chrabąszcz tak długo nie wytrzymałby w tej roli, zwłaszcza gdyby zobaczył, że mu nikt nic złego nie chce robić.

To znacznie ośmieliło Julkę. Od tego dnia zarówno Japończyk, jak i surowy pan przychodzili od czasu do czasu na pogawędki i Julka stopniowo zaczęła na pytania odpowiadać monosylabami. Rozumiała już teraz, że nie znajduje się wśród ludzi, którzy zamierzają ją skrzywdzić, że jest to rodzaj więziennego sanatorium czy kliniki, a może dom wariatów. Po jakimś czasie ośmieliła się nawet o to zapytać. Wówczas upewniła się, że bynajmniej, że znajduje się w prywatnym domu na kuracji, że stan jej zdrowia wkrótce się poprawi i że będzie mogła powrócić do siebie do Warszawy. Z tego wyniosowała, że przebywa gdzieś daleko na wsi. W ogóle obaj panowie rzadko mówili cokolwiek, co by było dla niej jakąś informacją. Raz tylko, widocznie nie przypuszczając, by rozumiała po angielsku, dyskutowali przy niej o tym, czy ją zahipnotyzować, czy nie. Surowy pan w okularach był temu przeciwny, twierdząc, że nie mają czasu na potrzebne doświadczenia, a skoro tutaj nie ma ciąży, eksperyment dla samego eksperymentu byłby poniekąd nadużyciem. Japończyk upierał się przy swoim, utrzymując, że należy wyświecić, dlaczego jakaś Buława dostarczyła taką pacjentkę, w czym musi kryć się coś wysoce podejrzanego. W końcu jednak zgodził się, że będzie na to czas po powrocie z Paryża.

Julka przysłuchiwała się temu z zapałym oddechem i doszła do wniosku, że jednak jej położenie jest rozpaczliwe. Widocznie znalazła się tu, gdyż podejrzewano ją o to, że była kochanką pana Winklera i że będzie matką. Długo w noc Julka nie spała, łamiąc sobie głowę nad rozwiązaniem zagadki. Może stała się ofiarą jakiejś rywalki... Lecz na jakiej zasadzie mogła dojść do przypuszczenia, że Julka jest w odmiennym stanie.... Przecie w ogóle nikomu, absolutnie nikomu nie zwierzała się ani z swej miłości do pana Janka, ani z czegokolwiek, co mogłoby skierować na nią takie wstrętne osądzenie... Nikomu...

Nagle olśniła ją myśl: „Skarżyłam się Józefowej, że mam mdłości i że...”

Mózg pracował gorączkowo: Józefowa mogła powiedzieć Alicji. Alicja musiała połączyć to podejrzenie z panem Jankiem... Alicja była właśnie jej rywalką... Boże!...

„Nie, nie — chwyciła się za skronie — tak nie wolno mi nawet myśleć!!!”

Jednak łatwiej było zakazać sobie, niż natrętną myśl odpędzić w długie, nieskończone godziny samotności. Bezczynność zaczęła ją dręczyć nieznośnie. Dlatego wreszcie zdecydowała się poprosić Japończyka, by dano jej coś do roboty. Nazajutrz jej prośbie stało się zadość. Musiała solennie obiecać, że będzie posłuszna i nie pozwoli sobie na zaglądnienie tam, gdzie jej zabronią, po czym dano jej biały kitel i przeprowadzono do sali przypominającej laboratorium. Miała tu wysterylizować moc lśniących narzędzi chirurgicznych i poukładać w oszklonych kasetach, które później należało umieścić według odpowiednich liter w szafach. Była zachwycona tą pracą, już nie mówiąc o samej satysfakcji opuszczenia na kilka godzin klatki swego pokoju. Tegoż dnia zobaczyła bardzo piękną panią w takimż kitlu jak ona, wchodzącą po schodach na pierwsze piętro. Pani uśmiechnęła się do Julki, lecz nic nie powiedziała. Nazajutrz, gdy skończyła robotę w laboratorium, Japończyk zapytał, czy lubi dzieci, a na jej twierdzącą odpowiedź, zaprowadził ją do innego pokoju, gdzie w małym łóżeczku leżała kilkunastomiesięczna dziewczynka-kaleka o potwornie wielkich oczach i o zupełnie siwych włosach.

Julka otrzymała arkusik papieru z przepisami obchodzenia się z małą, musiała ją wykapać i dawać jej lekarstwa z numerowanych flaszeczek. Przed wieczorem poznała nową osobę. Był to krępy, brodaty służący, który przyniósł jakiś duży metalowy aparat i nie spojrzawszy na Julkę, wyszedł. Po chwili przyszedł pan w okularach i obejrzawszy dziecko, umieścił je wewnątrz aparatu i polecił Julce przyniesienie z pokoju numer 14b grubej, czarnej książki.

Tak stopniowo poznawała Julka ten dziwny dom, w którym pełno było niewidujących siebie wzajemnie ludzi. Na parterze w małych pokoikach, takich samych jak jej, mieszkały cztery kobiety, z którymi nie wolno jej było rozmawiać pod grozą zamknięcia. Na górze musiało być ich znacznie więcej, sądząc z ilości pokarmów, jakie kilka razy dziennie zwoziła tam winda z kuchni, znajdującej się w suterynie. Na górze też był większy pokój z sześciorgiem niemowląt i drugi z dwoma kilkuletnimi bliźniakami. Tam gospodarowała ta piękna pani, którą Julka najpierw poznała, a która, jak to wkrótce zauważyła, była niema. Jednak musiała tu być klinika, i to klinika położnicza, gdyż wszystkie znajdujące

się tu kobiety były albo w odmiennym stanie, albo jeszcze karmiące. Te najwięcej wymagały zachodu, gdyż nie tylko same podlegały pielęgnacji, lecz należało bardzo ściśle przestrzegać godzin karmienia, kiedy to przynosiło się im ich niemowlęta.

Niektóre pacjentki próbowały zaczynać z Julką rozmowy, lecz ta w obawie przed zamknięciem, jak też pragnąc dotrzymać obietnicy, nie odpowiadała ani jednym słowem. Zastanawiała Julkę olbrzymia różnica warunków, w jakich znajdowały się lokatorki tego domu. Jedne miały pokoje o kolorowych szybach, wysłane dywanami, pełne różnobarwnych tkanin, inne gołe ściany białe lub szare, natomiast gramofony, odbiorniki radiowe i instrumenty muzyczne, jeszcze inne wprost dusiły się od zapachu rozpylonych perfum. Nadto każda otrzymywała odmienne pokarmy, inaczej była ubrana i w różny sposób traktowana od niemal brutalnej surowości aż do przesadnej czułości. Każda osobno odbywała co dzień spacer, albo w ogrodzie, otoczonym bardzo wysokim murem, albo na obszernym tarasie na dachu.

Poza pokojami zamieszkałymi poznała Julka cały szereg takich, gdzie były urządzone różne laboratoria, pełne dziwnych aparatów, salki operacyjne, kąpiele gazowe, naświetlarnie z lampami kwarcowymi, małe zwierzyńce ze szczurami, królikami, kotami i morskimi świnkami. Wiedziała jednak, że nie zna całej dużej części domu, zamieszkałej przez pana w okularach, którego Japończyk nazywał profesorem, a który na futerałach od okularów miał monogram „K. B.”. Profesor do Japończyka mówił per „kolego”.

Taki był stan informacji i spostrzeżeń Julki, gdy zaryzykowała zapytać Japończyka (on robił wrażenie przystępniejszego) za co, przez kogo i na jak długo została tu umieszczona? Otrzymała odpowiedź, która wprawdzie niewiele wyjaśniała, lecz każdym razem była pocieszająca:

— Zaszła pomyłka. Po powrocie profesora z podróży, co nastąpi wkrótce, będzie pani mogła nas opuścić. Przy tym zapewniam panią, iż pomyłka, chociaż nie nastąpiła z naszej winy, zostanie pani wynagrodzona w sposób, jaki pani wybierze.

Zastanawiało Julkę i to, dlaczego ani profesor, ani doktor nie wszczynają z nią rozmowy o niej. Albo nie obchodzą ich wcale, lecz po cóż by mnie w takim razie więzili? — albo nie mają na to czasu. Istotnie obaj ci panowie byli nieustannie zajęci i nawet musieli bardzo mało sypiać. Julka nieraz w nocy, kiedy była zamknięta w swoim pokoju, słyszała ich kroki na korytarzu.

I ona nie sypiała nocami. Równocześnie z mijaniem depresji tym silniej odzywała się w niej tęsknota do pana Janka, który na pewno nie zapomniał o niej, lecz wciąż jej szuka. Gdybyż mogła w jakiś sposób dać mu znać o sobie!... A może ma ją za już nieżyjącą? Może Alicja tak mu wypełniła życie, że pamięć o małej, nieszczęśliwej dziewczynie zupełnie zatarła się w jego wspomnieniach... O, Alicja na pewno zrobiła wszystko, by oddalić jego myśl od znenawidzonej kuzynki... Alicja... Czyżby mogła wydać Julkę na pastwę tamtej strasznej kobiety, którą profesor nazwał wówczas w angielskiej rozmowie Bufalową?... Nie, nie...

I właśnie nocami Julka wsłuchiwała się w szmery, właśnie nocami wpatrywała się w szyby wysoko pod sufitem umieszczonego okna, oczekując, że lada chwila na jego tle ukaże się w mroku sylwetka pana Janka, który, jak w detektywnej powieści, odnalazł ją i przychodzi wykraść... Ba, czemużby tego nie mógł zrobić?... Dla niego nie ma niemożliwości!...

Tego rana profesor wyjechał do Paryża. Julka dowiedziała się o tym dopiero o jedynastej, kiedy Japończyk zjawił się na korytarzu i otworzył drzwi jej pokoju ze słowami:

— No, teraz pani będzie musiała zastąpić profesora! Mamy dziś małą operację. Niech pani przygotuje krzesło operacyjne w piątym pokoju. Ja szybko odwiedzę pacjentki na górze i zaraz tam przyjdę.

Doktor zdawał się dziś jakiś weselszy i swobodniejszy niż zwykle. Nastrój ten udzielił się i Julce. Pobiegła do piątego pokoju i już po kwadransie była gotowa. Pokój ten znajdował się w samym końcu korytarza, obok grubych okutych drzwi, prowadzących do nieznanego Julce części domu. Drzwi te nie miały wcale klamek, a profesor i doktor otwierali i zamykali je zawsze kluczami.

Jakież było zdziwienie Julki, gdy teraz zobaczyła, że były uchylone. Doktor został więc tak przez roztargnienie. Pokusa była zbyt wielka i Julka zajrzała: mały, wyłożony

wojłokiem<sup>362</sup> korytarzyk, kończący się drugimi drzwiami, a jeżeli i te są otwarte... Serce uderzyło mocniej. Na palcach podeszła do nich i położyła rękę na klamce. Z drugiej strony usłyszała czyjeś kroki i już chciała się cofnąć, gdy dobiegł ją głos, głos, który zelektryzował ją całą. Przywarła do drzwi... Boże!... Nie mogła się mylić... Z tamtej strony tych gładkich kilku desek był pan Janek. O, jego głos poznałaby na końcu świata! I głos, i tę ulubioną jego piosenkę amerykańską, której niepodobna zapomnieć, a którą teraz poznawała w każdej sylabie...

*It's a long way to Tipperary,*

*It's a long way to go...* <sup>363</sup>

Zaczęła z całych sił uderzać pięściami w drzwi i wołać:

— Panie Janku, ja tu jestem, ratunku, ratunku!!!

Śpiew momentalnie ucichł, a Julka wciąż wołała:

— Ratunku! Ratunku! Ratunku!

Nagle odskoczyła. W drzwi coś gruchnęło z wielką siłą, aż zatrzęszczały. Raz, drugi, trzeci...

— Ratunku!... Prędkiej! Panie Janku, prędkiej!

Teraz usłyszała gwałtowny tupot nóg i drzwi pod potężnym ciosem rozwarły się z takim hałasem, aż echo poszło po całym domu.

Julka cofnęła się i znieruchomiała: przed nią stał młody człowiek w białym tenisowym ubraniu, jak dwie krople wody podobny do pana Janka, lecz taki młody, że sama nie wiedziała, czy ma do czynienia z nim samym, czy z kimś ucharakteryzowanym?... Jednocześnie usłyszała, jak mówił do niej głosem pana Janka:

— Co się stało? Pożar?... Co pani jest?...

I minę miał taką samą, jak tamten, ilekroć był zaniepokojony. Julka chciała coś powiedzieć, lecz w tej chwili za jej plecami rozległy się przyśpieszone kroki. „To pewno doktor — przebiegła jej przez głowę myśl — zamkną mnie znowu!” Rzuciła się naprzód i chwytając swego zbawcę za rękę, zawołała w panicznym strachu:

— Niech mnie pan ratuje, niech mnie pan broni!... Oni mnie zabija!... Błagam pana!

Młody człowiek jednym ruchem zagarnął ją za siebie i zwinąwszy pięści, stanął w pozycji obronnej, mówiąc:

— Spokoju. Proszę się nie bać. Już ja sobie dam radę, tylko niech pani nie trzyma mnie za łokieć, bo to mi...

Nie dokończył. Kotara, oddzielająca wybite drzwi od hallu, w którym się znajdowali, uchyliła się nagle i wpadł zdyszany Japończyk, krzycząc strasznym, stłumionym szeptem:

— Niech pani w tej chwili wraca! Natychmiast!

Usiłował chwycić Julkę za rękę, lecz młody człowiek zasłonił ją sobą i powiedział groźnie:

— Stop, doktorze, bardzo pana szanuję, ale tej pani tknąć nie pozwolę.

— Panie Piotrze, ta pani musi natychmiast tam wrócić! Proszę ją zaraz puścić!

— Ta pani tam nie wróci, panie doktorze, gdy wrócić nie chce, a ja na przemoc nie pozwolę.

— Panie Piotrze — wołał w podnieceniu Japończyk — to jest przeciw woli pańskiego ojca! Niech pan nie utrudnia mi zadania!

— Może być przeciw woli całego świata — chłodno odpowiedział młody człowiek — ale ta pani nie wróci tam inaczej, jak z własnej woli, i na to daję panu słowo dżentelmena. Nie wiem, jaka ją od pana krzywda spotkała, ale wołała o ratunek, udala się pod moją opiekę i ciekaw jestem, panie doktorze Kunoki, co powiedziałby pan sam o mężczyźnie, który by zachował się w takim wypadku inaczej niż ja?!

— Ależ, panie Piotrze, pan nie wie wielu rzeczy, pan nie zdaje sobie sprawy, jak straszne konsekwencje może mieć dla pańskiego ojca ta niewczesna rycerskość! Zresztą

<sup>362</sup>wojłok — filc gorszego gatunku, produkowany z odpadów wełny. [przypis edytorski]

<sup>363</sup>*It's a long way to Tipperary...* (ang.) — Daleka jest droga do Tipperary, daleka droga do przejścia; refren piosenki Jacka Judge'a z 1912, która stała się pieśnią marszową żołnierzy anglojęzycznych na frontach pierwszej wojny światowej; wkrótce stała się jednym z jej symboli, a zwrot „*it's a long way to Tipperary*” zaczął w przenośni oznaczać długą drogę do domu, do bliskich; Tipperary to miasto na wyspie Irlandii, stanowiącej wówczas część Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii. [przypis edytorski]

mogę pana zapewnić, że tej panience nic, absolutnie nic nie grozi. Nawet dziwię się, że postąpiła w tak nielojalny sposób.

— Przepraszam, doktorze — nie zmieniając obronnej pozycji, przerwał młody człowiek, nazywany Piotrem — tracimy na próżno czas. Czy pani chce tam powrócić? — zapytał Julkę.

— Nie, nie, niech pan mnie obroni! — szeptała drżącym głosem.

— Więc rzecz załatwiona. Może mi pani ufać. Nikt nie ośmieli się zmuszać ją do powrotu.

Doktor Kunoki widział, że jest bezsilny. Mógł wprawdzie wezwać pomocy służby i nawet obezwładnić tego młokosa, ale pociągnęłoby to za sobą wiele komplikacji, przede wszystkim konieczność zamknięcia również i Piotra aż do powrotu profesora. Toteż wolał wybrać drogę pertraktacji. Piotr od razu zgodził się na propozycję, by pani pozostała w hallu pod jego opieką, lecz by nie mogła wyjść z willi póty, póki doktor nie wróci i nie rozmówi się z Piotrem i z nią. Teraz musiał koniecznie zostawić ich samych, gdyż wymagała tego operacja jednej pacjentki. Klnąc w duchu własną nieostrożność niezamknięcia drugich drzwi, wyszedł, zamykając je teraz ze zdwojoną uwagą.

Piotr stał nieruchomo, patrząc za odchodzącym, gdy poczuł na ręku gorące krople łez i dotyk drżących ust. Gwałtownie wyrwał dłoń i zawołał:

— Co pani robi?! Jak można?!... No, po cóż pani płacze?! Już wszystko dobrze. Proszę usiąść tu i uspokoić się!

— Nie mogę, nie mogę — szlochała — pan dla mnie taki dobry, nikt nie był dla mnie taki, pan taki szlachetny!...

Usadowił ją na kanapie i zajmąwszy miejsce obok, zaczął tłumaczyć, że nie jest ani szlachetny, tylko taki, jakim byłby w takiej sytuacji każdy mężczyzna. Pomału uspokajała się i zaczęła mówić, że on przecie nawet nie wie, kogo uratował, czy ona zasługuje na to, że wołała go, gdyż jego głos, a i on sam jest zupełnie podobny do jednego starszego już pana, najlepszego i najcudowniejszego człowieka na świecie, że ona jest strasznie nieszczęśliwa, bo nie ma na całej ziemi nikogo bliskiego, że zwabiono ją podstępnie do okropnej nory, i dalej chaotycznie, lecz szczegółowo, opowiedziała mu wszystko, co ją spotkało, aż do chwili odzyskania wolności.

Młody człowiek słuchał ze zmarszczonym czołem i z zaciśniętymi szczękami. Opalona skóra jego twarzy stawała się coraz bardziej blada, na skroniach wystąpiły żyły. Jakże teraz bajecznie podobny był do pana Janka!... Mówiła dalej, a gdy umilkła, jej obrońca wstał i powiedział:

— Proszę pani, daję pani na to słowo honoru, że do stu diabłów, potrafię jej zapewnić zupełne bezpieczeństwo, a z tymi, którzy działali na pani szkodę, jak i z tymi łajdakami z ulicy Pańskiej zrobię należyty rachunek.

Był tak wzruszony i wzburzony, że głos mu drżał.

Gdy w kwadrans potem wrócił Kunoki, zastał go jeszcze bardziej nieprzejednanym. Na próżno wziął go na stronę i obszernie tłumaczył sytuację, na próżno przekonywał. Piotr oświadczył, że wszystko to go nie interesuje i do żadnych spraw ojca czy doktora mieszać się nie zamierza, ale tej panny nie opuści i wara od niej. Kunoki musiał użyć całego swego sprytu dyplomatycznego, by Julka, a wówczas i Piotr, zgodzili się na czasowe pozostanie jej w domu profesora, już nie w klinice, lecz tu, w pokoju profesora.

Całe poobiedzie Piotr spędzał z Julką. Musiała mu jeszcze raz szczegółowo opisać przebieg wypadków, których tak szczęśliwym finałem było ich spotkanie. Z własnego impulsu, gdy zaczęło się zmierzchać, opowiedziała mu całe swe dzieje, opowiedziała o Alicji, która ją znenawidziła i chciała wysłać daleko na kresy, o panu Winklerze, do którego jednego jedyne miała całkowite zaufanie, bo to na świecie jedyny szlachetny człowiek, a pan Piotr teraz jest drugi, o swoich podejrzeniach, o nedorzecznych, oczywiście, podejrzeniach, że może to Alicja współdziałała w podstępnym zwabieniu...

Piotr przyznał Julce, że podejrzenie takie mogło się zrodzić jedynie pod wpływem zdenerwowania i że to, oczywiście, jest nonsens od początku do końca. Jeżeli jednak Julka nie kocha już swojej niedobrej kuzynki i nie chce do niej wracać, to może zamieszkać tu albo gdzie tylko sobie życzy, a profesor musi jej znaleźć dobra posadę, naturalnie, jeżeli ona chce pracować, a zresztą teraz najlepiej o niczym nie myśleć, póki nie wróci do równowagi po tych okropnych przejściach...



Wieczorem Piotr sam przyniósł Julce kolację, a na jej podziękowania odpowiedział wyrażeniem poglądu, że dla niej gotów by był na wszystko i po prostu pojąć nie może, jak mogli znaleźć się tacy, którzy zdobyli się na zrobienie tylu łajdactw. Miał już zapisany adres pana Winklera i owej baby na Pańskiej. Do pana Winklera miał udać się nazajutrz rano, by z nim wyjaśnić sytuację i naradzić się co do dalszych losów Julki. Na Pańską natomiast postanowił pójść jeszcze dziś, bo dłużej by nie wytrzymał.

Julka zobaczyła go dopiero nazajutrz rano. Wyglądał okropnie. Cały był posiniaczony, na czole miał wielką szramę, zaklejoną plastrem, i obandażowaną rękę, ale był w świetnym humorze. Na jej przestrach i współczucie odpowiedział śmiechem oraz żartobliwym zapewnieniem, że miał wczoraj bardzo interesującą rozmowę z pewnym łysym panem i z pewną wytworną damą i że po paru miesiącach, gdy wspomnieni będą się czuli nieco zdrowsi, znowu im przypomni elementarne zasady gry salonowej, zwanej boksem.

Zaraz przy śniadaniu powiedział doktorowi Kunoki:

— Mam wrażenie, panie doktorze, że przez drzwi, które wylałem, weszło do mego życia takie coś, co ludzie nazywają szczęściem...

— Szczęście, panie Piotrze — uśmiechnął się Japończyk — woli wchodzić przez okno lub przez wylamane drzwi niż drogą normalną, przez otwarte, lecz w takiż sposób lubi uciekać.

— Nie ode mnie, doktorze — ściągnął brwi Piotr — mam dość mocne łapy, do licha, by przytrzymać... A poza tym nie wiem, czy w ogóle zechce uciekać.

Kunoki, który bardziej znał się na hormonach niż na okulistyce, z wyglądu oczu Julki, gdy ją w kilka minut widział — żegnając się z młodym człowiekiem w jej pokoju — wywnioskował, że w tym wypadku „takie coś” nie sprawiało wrażenia zamierzonej ucieczki.

Piotr wrócił z miasta około południa i zakomunikował Julce, że nie mógł widzieć się z panem Winklerem, gdyż ten na dłuższy czas wyjechał z Warszawy.

Nie mógł jej przecie powiedzieć prawdy, nie mógł sprawić tej biednej, czarującej, kochanej dziewczynie jeszcze jednego rozczarowania, mówiąc, że człowiek, którego uważała za uosobienie szlachetności, że jej przyjaciel został — aresztowany za morderstwo.

## ROZDZIAŁ 28

Okres zastępstwa Akcji Horn na stanowisku prokuratora sądu okręgowego należał do tych stosunkowo rzadkich okresów, kiedy nie tylko przez kancelarię prokuratury przechodziło wiele wyjątkowo ważnych spraw, dających zdolnemu jej szefowi niezwykle szerokie pole popisu, lecz wobec wprowadzenia w życie ustawy o sądach doraźnych<sup>364</sup>, obciążało go wielką odpowiedzialnością, a zatem otwierało na ścieżaj<sup>365</sup> furtkę do wielkiej kariery.

A tym szefem była właśnie podprokuratorka Alicja Horn.

Jak sąd sądem, nie pamiętano takiego tempa pracy i tak wielkich wymagań kierowanych z gabinetu prokuratorskiego pod adresem władz śledczych, policji i bezpośrednich podwładnych. Jak sąd sądem, nie pamiętano prokuratora, który by z taką zawziętością ścigał przestępstwa, który by dniem czy nocą stawał się osobiście na miejsce każdej, nawet późniejszego gatunku zbrodni, tak żywy brał udział w śledztwie, no i tak genialnie umiał nim kierować.

— Robi baba niesłychaną karierę! — kiwali głowami koledzy.

I nie wiedzieli wcale, jak konieczna była ta piekielna praca dla Alicji Horn, dla tej pięknej kobiety, pod której niewzruszoną maską spokoju wiły się w rozpaczliwym bólu wszystkie nerwy, wszystkie myśli i uczucia. Nie wiedzieli, że ta zimna, opanowana kobieta wieczorami wystaje na deszczu jesiennym pod bramami domów, by tylko bodaj

<sup>364</sup>sąd doraźny — sąd orzekający w specjalnym, przyspieszonym i zaostrzonym trybie, działający w okresach nadzwyczajnych zagrożeń przestępczością; wg ustawy z dnia 30 czerwca 1919 r. sądy takie mogły być wprowadzane uchwałą Rady Ministrów, powziętą na wniosek Ministra Sprawiedliwości, w odniesieniu do pewnych grup przestępstw na terenie całego kraju lub w niektórych miejscowościach; przewodniczący trzysobowego sądu doraźnego w ciągu 24 godzin wyznaczał rozprawę główną, która odbywała się bez przygotowania aktu oskarżenia, jedynie na podstawie wniosku prokuratora; oskarżony nie mógł odpowiadać z wolnej stopy (miał być aresztowany), wyrokiem mogła być tylko kara śmierci lub ciężkiego więzienia, wyrok takiego sądu był prawomocny z chwilą ogłoszenia, a wyrok śmierci nie wymagał zatwierdzenia. [przypis edytorski]

<sup>365</sup>na ścieżaj (daw.) — na oścież; szeroko (o otwartych drzwiach, oknach). [przypis edytorski]

w przelocie ujrzeć sylwetkę człowieka, który właśnie mija ją z inną, że ta dumna i piękna kobieta, która by mogła rzucić do swych nóg każdego, potem wraca do domu i wyrwa sobie włosy z głowy i tłucze nią o twarde, drzewo podłogi, i zaciska pierś, by jej nie rozdarła się w szpemie łkania... Nikt tego nie wiedział.

Codziennie rano zza jej biurka padały krótkie, wyraźne dyspozycje, rozkazy, polecenia nieznoszące sprzeciwu i zawsze bezlitosne a trafne. Rzadziej teraz stawiała przed sądem, lecz gdy to następowało, obrońcy rozkładali ręce — przychodziła tylko po wyrok śmierci i nigdy bez niego nie wracała.

W tym czasie podczas głębokiej nocy wezwano ją telefonicznie do nowej zagadkowej zbrodni:

— Na Grochowie popełniono morderstwo. Wystrzałem z rewolweru zabito bezrobotną manicurzystkę, bardzo ładną dziewczynę, która miała zostać matką. Sprawca zbiegł samochodem prywatnym, zdaje się, marki Fould... Zdaje się też...

— Zaraz, zaraz, panie komisarzu — ledwie opanowując drżenie głosu, przerwała Alicja — jakiej marki?

— Fould, proszę pani. Czy mam po panią zajechać?

Oczywiście postanowiła jechać na Grochów natychmiast. Po drodze dowiedziała się szczegółów wstępnych oględzin, dokonanych przez przejeżdżający patrol rowerowy. Właściciele domku, w którym zabita mieszkała, zeznali, że zabójca obiecywał małżeństwo, a wieczorem przyjechał po narzeczoną i siedział w ogrodzie na ławce. Później usłyszeli dużo strzałów, a gdy wybiegli do ogródka, znaleźli Cieplikównę martwą opodal ławki na ziemi. Zabójca od dawna musiał mieć z ofiarą romans, gdyż często u niej bywał i zawsze przyjeżdżał szarym, dwuosobowym samochodem, z opisu wyglądającym niewątpliwie na Foulda. Komisarz po otrzymaniu meldunku natychmiast wydał telefoniczne zarządzenie zatrzymania każdego samochodu o podobnym wyglądzie w promieniu dwustu kilometrów od Warszawy.

Alicja słuchała sprawozdania z natężoną uwagą. Teraz już prawie wcale nie miała wątpliwości co do osoby zabójcy. W mieście, jak to wiedziała od samego Druckiego, było tylko kilkanaście Fouldów, a jedyny szary stanowił jego własność. Resztę niepewności rozwiązywały badania emeryta kolejowego, staruszki i kilku najbliższych sąsiadów, którzy niejednokrotnie widywali narzeczonego Ireny Cieplikówny. Wprawdzie wyglądał na „pana z panów, wysoki, aligancki, grzeczny, ale już od początku źle mu z oczu patrzyło”. Pomnąwszy te opinie, rysopis zgadzał się dokładnie. Również opowiadanie o sposobie bycia właściciela Foulda i o jego stosunku do Cieplikówny dla Alicji miały walor dowodu rzeczowego.

Jednego tylko pojąć nie mogła, mianowicie celu zbrodni. Przypuściwszy nawet, że Drucki był ojcem jej dziecka i że obiecywał ożenić się z nią (co już było nieprawdopodobne), dlaczego miałby ją zabić... Nie, zbyt dobrze go znała, by mogła dopuścić tu moment uniesienia, zemsty czy zazdrości, a tym bardziej obawy przed następstwami stosunku z nim. Chęć zysku wykluczała się sama przez się. Więc w jakim celu?... Nieostrożne obchodzenie się z bronią? Samobójstwo denatki? I to niemożliwe, gdyż nie miałby wtedy powodu do ucieczki, gdyż strzał był oddany z odległości co najmniej pięciu kroków (zatem samobójstwo wyłączone!), gdyż na miejscu zbrodni znaleziono rewolwer z czterema wystrzelonymi ładunkami i cztery gilzy<sup>366</sup> tuż obok (można zaś raz wystrzelić przez przypadek, a nigdy cztery!).

Zatem co było pobudką morderstwa?... Dla ludzi, którzy teraz chodzili tu z latarkami elektrycznymi, świecąc w otwarte oczy trupa i rekonstruując przebieg zbrodni rzecz była całkiem jasna. Uwodziciel chciał zabrać swoją ofiarę, wywieźć gdzieś na odludzie i tam zabić. Stawiała mu opór, więc zabił. Prawdopodobnie musiał ją usunąć, gdyż znała jakąś jego tajemnicę i groziła skandalem. Nieco dziwną okolicznością była wielka ilość śladów, lecz to tłumaczyło się nadeptaniem rozmiękłego po deszczu gruntu przez ciekawych sąsiadów, co zaś dotyczyło zeznań staruszków, że słyszeli na pewno więcej niż cztery strzały, bo najpierw z pięć, a potem znowu sześć czy więcej — należało położyć to na karb zwykłej w takich razach omyłki naocznych świadków. Strzałów było cztery, to jest tyle, ile brakuje w porzuconej przez zabójcę broni.

<sup>366</sup>gilza — łuska naboju. [przypis edytorski]

Tak logicznie rozumował sędzia śledczy, komisarz, lekarz, policjanci i stłoczeni pod parkanem gapie. Lecz inaczej myślała Alicja Horn. Bynajmniej nie wypowiadała swego poglądu. Nigdy, a szczególnie teraz nie uważała za stosowne dzielenie się swymi koncepcjami z innymi przed odpowiednim czasem. Jednak dłużej wypytywała gospodarzy o przebieg wypadków, dłużej przeglądała resztki spalonych przez denatkę papierów w małym blaszanym piecyku na facjatce, staranniej przyglądała się śladom nóg na ścieżce niż inni. Robiła zaś to dlatego, że wiedziała, iż właściciel auta nie mógł popełnić tej zbrodni, gdyż był nim Bohdan Drucki, którego znała do dna.

Ponieważ zaś takimi oczyma przyglądała się sprawie, inne rzeczy spostrzegała niż tamci. Więc: po co Drucki porzuciłby rewolwer, po co widywał się z dziewczyną od pewnego czasu tu, na oczach ludzi, po co denatka pisała listy do jakiegoś „Najukochańszego” na Pomorze, listy, które jej poczta zwracała, jako nieprzyjęte przez adresata, dlaczego, mając takiego kochanka jak Bohdan, błagała o miłość kogoś innego?... Dlaczego on ją zabił?... Dlaczego słyszano więcej niż cztery strzały, dlaczego w ogóle strzelał, mógł ją zabić bez hałasu, a jeżeli strzelał, to czemu z dużej odległości?...

Niewątpliwie wiele dobitnych poszlak wskazywało na niego, jako na sprawcę zbrodni, lecz Alicja Horn była pewna, że on nim nie jest. Tymczasem naczelnik urzędu śledczego już działał.

Nazajutrz o dziesiątej rano doniesiono Alicji, że auto należało do właściciela dancingu „Argentyna” Jana Winklera, który przed niedawnym czasem oskarżony był o handel narkotykami, lecz został uniewinniony. Obecnie ukrywa się, lecz jego mieszkanie jest pod obserwacją, a aparaty telefoniczne w dancingu i w jego mieszkaniu zostały włączone do podsłuchu. Winkler z całą pewnością nie zdołał uciec z miasta, gdyż roгатki samochodu nie przepuściły. Da się ptaszka łatwo wywabić z ukrycia, gdyż po przeczytaniu popołudniowych dzienników dowie się, że śledztwo stwierdziło samobójstwo Cieplikówny po sprzeczce z narzeczonym, szoferem prywatnego auta o nieznanym numerze, marki Chester.

Doświadczony naczelnik urzędu śledczego nie mylił się. Wabik poskutkował natychmiast. Wieczorem o godzinie dziesiątej Jan Winkler, właściciel dancingu „Argentyna”, został ujęty przez sześciu agentów policji tajnej w chwili, gdy wchodził do bramy kamienicy przy alei Szucha. Natychmiast przewieziony na Daniłowiczowską<sup>367</sup>, został poddany przesłuchaniu.

Prokuratorka Alicja Horn siedziała w sąsiednim pokoju, skąd mogła dokładnie słyszeć wszystkie pytania zadawane aresztowanemu i wszystkie jego odpowiedzi. Nie przyznawał się. Twierdził, że owszem, znał zmarłą, że był u niej, że wczoraj wieczorem zajechał po nią, lecz w chwili, gdy z nią rozmawiał, z krzaków przed ławką padły strzały i kilku nieznanym mu ludzi rzuciło się nań, wybijając mu z ręki rewolwer, z którego wystrzelił czterokrotnie do napastników. Kim byli ci, nie umiał objaśnić, dlaczego nań napadli, nie miał pojęcia. Czy wiedział, że Cieplikówna była w ciąży?... Tak, wiedział. Czy od dawna z nią żył?... Wcale nie, nigdy nie była jego kochanką. Aha! Więc czyją?... Jakiegoś fryzjera, u którego pracowała, zanim zwinął swój zakład i wyjechał na Pomorze. A dokądże to wybierał się pan Winkler z tą dziewczyną?...

— Po dłuższej pauzie odpowiedział. Zamierzał zabrać ją do siebie.

— Ciężarną kobietę do siebie? Kręci pan, panie Winkler, a radzę panu pamiętać, że może pójdzie pan pod sąd doraźny! No, odprowadzą teraz pana do celi i proszę się dobrze do jutra namyśleć, czy nie lepiej szczerze przyznać się do wszystkiego!

— Może się pan nie trudzić ponownym badaniem — spokojnie odpowiedział aresztowany — zeznałem wszystko, co miałem do zeznania. A rady i nauki schowaj pan dla siebie.

Po rozmowie z naczelnikiem i z sędzią śledczym, których pewność co do winy aresztowanego jeszcze bardziej się ugruntowała, Alicja oświadczyła im, że istotnie zakwalifikowała tę sprawę jako podlegającą kompetencji sądu doraźnego, a zatem prosi o przyspieszenie śledztwa w ten sposób, by już jutro po południu akta zostały przekazane prokuraturze.

<sup>367</sup> *Daniłowiczowska* — ulica w warszawskiej dzielnicy Śródmieście; w okresie międzywojennym przy ul. Daniłowiczowskiej 7 znajdował się areszt policyjny. [przypis edytorski]

W chwilę potem jechała na Grochów. Nie tylko znajomość Druckiego, lecz także instynkt urodzonego kryminologa mówił jej, że Drucki nie zabił Cieplikówny, że chociaż nie zna, a prawdopodobnie nie chce wydać faktycznych winowajców, niemniej ci istnieli, a jeżeli istnieli i strzelali z krzaków, w krzakach muszą znajdować się gilzy tegoż kalibru, co i kula wyjęta z ciała zabitej, to jasne. Ponieważ wszystkie cztery gilzy wystrzelone przez Druckiego znaleziono w pobliżu porzuconego przezeń brauninga, obecność w krzakach jeszcze kilku gily tegoż kalibru, lecz oczywiście nie z brauninga Druckiego, stanowiłoby obalenie całej koncepcji śledztwa i powód do niezastosowania trybu doraźnego. Na razie dawałoby to efektywną różnicę między karą śmierci a kilku latami więzienia, lub nawet całkowitym uniewinnieniem. Alicja wiedziała, że już jutro rano, po ponownym szczegółowym przesłuchaniu Druckiego, śledztwo może zainteresować się terenem pod krzakami. Dlatego sama postanowiła zrobić to wcześniej...

Zatrzymała taksówkę przed domkiem, w którym światła były pogaszone. Furtkę zastała otwartą. Oświetlając sobie drogę latarką, odnalazła bez trudu miejsce, w którym wczoraj leżały zwłoki. Zrobiła kilka kroków naprzód, rozchyliła gałęzie i badając grunt centymetr po centymetrze, a jednocześnie starając się nie zostawić swoich śladów, posuwała się z wolna. Ziemia była tu wyraźnie wydeptana, a na niej leżały rozrzucone trzy mosiężne gilzy.

Alicja wyjęła z torebki chusteczkę, zebrała je z zachowaniem wszelkich ostrożności i zawinawszy, schowała do torebki. Drucki mówił prawdę. Mówił prawdę, lecz teraz już nie mógł jej udowodnić.

Przez całą noc nie zasnęła Alicja Horn. Miała go teraz w swoim ręku. Tamci zbyt lekceważyli zeznania Druckiego, by zechcieli badać krzaki jaśminu. Zatem będzie mogła po otrzymaniu akt zażądać uzupełnienia tej luki śledztwa, będzie miała czas odwiedzić łuski brauningowe na miejsce lub też po prostu wyrzucić je do śmietnika. Tak, miała go teraz w swoim ręku. I potrafi to wyzyskać...

Kto mógł strzelać do Cieplikówny? Komu zależało na jej śmierci? Oczywiście Drucki wie to dobrze, lecz z jakichś powodów nie chce mówić. Możliwe zresztą, że strzelano właśnie do niego. Możliwe, Bohdan miał zawsze skomplikowane historie z kobietami. Ale tutaj?... Sekcja zwłok wykazała, że Cieplikówna była w piątym miesiącu. Zatem i tu Drucki mówi prawdę, nie on miał być ojcem tego dziecka, bawił wówczas nad morzem. Cóż go jednak trzymało przy tej dziewczynie?...

Obejrzała starannie łuski, otworzyła biurko, boczną skrytkę, by złożyć w niej ten cenny dowód rzeczowy. Leżały tam tylko notatki dotyczące zniknięcia Julki. Machinalnie wzięła je do rąk i zaczęła przeglądać. Pokwitowanie Bufałowej na tysiąc złotych, wywiad o samochodzie nr 76-032 W, należącym do profesora Brunickiego, który skupuje ciężarne dziewczęta... Nagle Alicja odłożyła notatki i drgnęła: Cieplikówna była w ciąży!... Drucki przyjaźnił się z Brunickim...

„Aaaa... więc tak?... Więc mógł go profesor wtajemniczyć i w to, że ma u siebie Julkę lub że ją miał, póki jeszcze... żyła. Więc Bohdan zajmował się dostawą żywego towaru do naukowej mordowni Brunickiego...”

Sprawa stawała się coraz bardziej skomplikowana. Więcej! Niebezpieczna dla samej Alicji. Całej siły woli użyła, by zmusić siebie do ścisłego i spokojnego myślenia.

Jedno wiedziała: jeżeli Drucki jest poinformowany o losie Julki, Alicja jest zgubiona. On nie da się przekupić nawet za cenę własnej wolności.

Pod nogami Alicji załamywał się grunt... Lecz nie należała ona do natur umiejących rezygnować. Toteż rezultatem bezsennie spędzonej nocy był ścisły plan działania. Przede wszystkim za wszelką cenę należało usunąć możliwość wciągnięcia w sprawę o zabójstwo na Grochowie osoby Brunickiego. Oprócz drogi wpłynięcia w tym kierunku na Druckiego, drogi zupełnie wątpliwej, istniała znacznie pewniejsza: uzyskanie zakazu z góry, z Ministerstwa Sprawiedliwości.

O ósmej rano pełniąca obowiązki prokuratora sądu okręgowego Alicja Horn zgłosiła telefoniczną prośbę o audiencję, a o dziesiątej była przyjęta przez pana ministra.

Przedstawiła rzecz krótko: Istnieją poszlaki, że w związku z pewnym mało ważnym procesem pewni szantażyści zamierzają skompromitować jednego z luminarzy<sup>368</sup> naszej

<sup>368</sup>luminarz (z łac.) — człowiek wybitny w dziedzinie nauki lub kultury. [przypis edytorski]

nauki, profesora Karola Brunickiego, który właśnie rozślawił imię naszego kraju na świat cały swoimi wiekopomnymi odkryciami, o którym pisze z entuzjazmem prasa Europy i Ameryki, do kompromitacji którego nie można dopuścić, gdyż już dziś równałaby się ona kompromitacji samej Polski. Chodzi zaś, właściwie mówiąc, o drobiazg.

Oto profesor posiada w swym domu tajną klinikę w której przeprowadza naukowe doświadczenia, teoretycznie niedozwolone przez prawo. Prokuratura w drodze poufnej stwierdziła, że w doświadczeniach tych nie ma nic zdrożnego, a przynajmniej nie ma nic wykraczającego poza ramy drobnego przestępstwa. Jednak przy obecnej olbrzymiej sławie profesora Brunickiego, ujawnienie tych rzeczy nabrałoby kolosalnego rozgłosu i stało się światowym skandalem.

Otóż, czy pan minister nie uważa, że należy temu zapobiec drogą wykluczenia możliwości wmiśzania osoby profesora do jakiegokolwiek jawnego procesu?

Pan minister nie tylko to właśnie uważał, lecz nawet serdecznie podziękował podprokuratorowi Alicji Horn za tak mądrą przezorność i za tak państwowotwórcze ustosunkowanie się do zagadnienia. Jednocześnie wydał jej odrębne pismo usuwające ewentualność kompromitacji uczonego. Natomiast prosił ją, by drogą poufną zaraz po powrocie profesora do kraju zażądała odeń natychmiastowej likwidacji tajnej kliniki.

Wprost z ministerstwa Alicja udała się do urzędu śledczego, by w razie wykrycia nici łączących oskarżonego z Brunickim natychmiast przeciąć je na podstawie decyzji ministra.

Okazało się to jednak całkowicie zbędne. Alicji pokazano protokoły ostatnich zeznań Jana Winklera. Nie różniły się one od poprzednich. Ten szalenięc wprost nie miał pojęcia, że sam zaciąga na własnej szyi stryczek, nawet nie próbując ratować się przez wskazanie istotnych winowajców, nawet przez wyjaśnienie swojej roli w znajomości z „żywym towarem” dla Brunickiego.

Alicja przelotnie zapytała, czy nie badano terenu zabójstwa po raz drugi, a otrzymawszy zapewnienie, że byłoby bezcelowe, pojechała do sądu. Przeglądając dzienniki, znalazła sążniste artykuły o nowych sukcesach wielkiego uczonego polskiego w Londyńskiej Akademii Królewskiej<sup>369</sup> i nie mniej sążniste sprawozdanie z przebiegu śledztwa w sprawie mordu na Grochowie. Wszystkie dzienniki przynosiły wiadomość o tym, że zabójca sądzony będzie w trybie doraźnym i że oskarżać go będzie, jak podało jedno z pism sensacyjnych, „anioł śmierci» naszych sądów, podprokurator Alicja Horn”...

Postępowanie miało bieg szybki i prawidłowy. Przed wieczorem sprawa Jana Winklera została przekazana urzędowi prokuratorskiemu i w myśl decyzji tegoż aresztowany został przewieziony do więzienia na Pawiaku<sup>370</sup> i osadzony w osobnej celi, przy czym władze więzienne otrzymały zawiadomienie, że o godzinie dziewiątej rano p. o. prokuratora pani Alicja Horn przybędzie celem osobistego przesłuchania oskarżonego.

I drugą bezsenłą noc spędziła Alicja na rozmyślaniach. Żadnej swej mowy nie przygotowywała nigdy z taką drobiazgowością, z jaką teraz obmyślała jutrzejszą rozmowę z Bohdanem Druckim, z człowiekiem, którego życiem mogła rozporządzić tak, jak tylko zapragnie.

Chodziła po pokoju i zaklinała go najczulszymi słowami, groziła mu najstraszniejszemu groźbami, błagała go, by on, co tak kocha życie, skoro ma je stracić, niech je jej ofiaruje! Ona zgodzi się na wszystko, będzie najposłuszniejszą z żon, będzie jego niewolnicą, nie stanie mu nigdy na drodze do jego fantazji czy przelotnych miłości, byle zgodził się zostać z nią na zawsze... Uratuje jego życie, lecz chce mieć do tego życia bodaj małe, bodaj tylko formalne prawo...

Czyż może on tę ofiarę odrzucić, czyż zdobędzie się na odepchnięcie jej, gdy mogąc przyjść ze słowami rozkazodawcy na ustach, stanie przed nim z błaganiem o łaskę?... Nie, nie może jej odrzucić, nie potrafi!

<sup>369</sup>Londyńska Akademia Królewska, zwykle pot.: *Royal Society* (Towarzystwo Królewskie), właśc. *The Royal Society of London for Improving Natural Knowledge* (Królewskie Towarzystwo w Londynie dla Rozszerzania Wiedzy o Przyrodzie) — jedno z najstarszych na świecie towarzystw naukowych, zał. w Londynie w 1660; zajmuje się naukami przyrodniczymi i matematyką, pełni rolę brytyjskiej akademii nauk. [przypis edytorski]

<sup>370</sup>Pawiak — dawne więzienie polityczne i śledcze w Warszawie, zbudowane pomiędzy ulicami Dzielną, Więzienną i Pawią (stąd nazwa). [przypis edytorski]

Tak myślała Alicja Horn. Tak myślała do chwili, kiedy otworzono drzwi gabinetu naczelnika więzienia i na progu stanął oskarżony, eskortowany przez dozorcę. Ten ostatni na skinienie ręki odpowiedział ukłonem i znikł.

Zostali sami.

Był blady i miał usta zacięte, a w oczach spokój i obojętność. Nie zrobił jednego gestu, który wskazywałby na wzruszenie z powodu niespodziewanego dlań spotkania w jakże nowych rolach. Bez słowa usiadł na wskazanym mu krześle.

Zaczęła mówić. Cicho spokojnie, bardzo spokojnie, chociaż chciałaby krzyżeć. Mówiła najpierw o zabójstwie. Wszystko przemawiało przeciw niemu. Bardzo źle robi, że nie chce wyjaśnić, kogo podejrzewa o napad, że nie mówi, dlaczego zamierzał zabrać Cieplikównę. Czy nie stało się to w jakimkolwiek związku — zapytała niespodziewanie — z osobą profesora Brunickiego?

Zaden muskuł nie drgnął na jego twarzy, jednak ze spojrzenia, którym prześlizgnął się po jej oczach, poznała, że nie omyliła się.

— Cóż mógłby mieć Brunicki do moich spraw prywatnych, Al, po co w ogóle tu przyszedł? Wszystko, co miałem do powiedzenia, powiedziałem już tamtym. A my sobie nie mamy już nic do zakomunikowania. Jeżeli będziesz oskarżała mnie w sądzie, wierzaj mi, mogę być uznany za mordercę, ale nie będę uznany za niedźcielmena.

— Jak mam to rozumieć, Boh?...

— O, to proste. Nie zrobię nic, co by cię mogło zdyskwalifikować jako prokuratora i jako kobietę. Jeżeliś przyszła tu po to, wracaj spokojna i spełniaj swoją powinność bez obawy.

— Ja nie po to przyszedłam, Boh, nie po to... Takich zapewnień nie potrzebujesz mi dawać. Wiedziałam to sama... Przyszedłam, żeby cię ratować.

Spojrzał na nią i wzruszył ramionami.

— Bardzo łaskawie z twojej strony. Jeżeli ja ze swej nie będę musiał zmieniać zeznań, a ty pomimo to możesz mnie wyciągnąć z tej historii, w której nie zawiniłem... Będę ci szczerze obowiązany.

— Boh... Grozi ci kara śmierci!!!

— I ja tak myślę — powiedział po chwili zastanowienia — w wypadku niedania wiary moim zeznaniom, prawdopodobnie tak. No, a jakiejże żądasz zapłaty za swoją pomoc, moja piękna Al?

— Ty mnie nienawidzisz, Boh!

— Bynajmniej — potrząsnął głową — jestem o tyle uboższy psychicznie od wielu bliźnich, że w swoim repertuarze nie posiadam takiego uczucia w ogóle. Gdy zaś chodzi o ciebie, Al, był czas, kiedy przypuszczałem, że cię kocham. Tak... tak... I szkoda, szkoda, że nie mogę cię nawet lubić. Nie mogę cię lubić po tym, coś zrobiła z Julką... To przesądziło sprawę...

Alicja zbladła i wyszeptwała...

— Cóż ja z nią zrobiłam?...

— Postąpiłaś, daruj, brudno, moim zdaniem bardzo brudno, wyzyskując swoją przewagę, zmusiłaś ją do wyjazdu... To mi do reszty zepsuło ciebie... Lecz dajmy spokój sentymentalnym wspomnieniom. Możesz mnie ratować, lecz z twego tonu wnioskuję, że pod jakimiś warunkami. Więc słucham.

— Ja ciebie kocham, Boh... Ja ciebie kocham do szaleństwa, kocham miłością, o jakiej nie mogą mieć wyobrażenia inne kobiety, którym pozwalasz zajmować w twoim życiu miejsce... Boh... Wróć do mnie!... Widzisz, ja nie potrafię żyć z myślą, że mi nawet patrzeć na ciebie nie wolno... Wróć do mnie!... Niczego od ciebie nie żądam, żadnych praw nie będę do ciebie rościła, pozwól mi tylko być przy tobie!...

— Droga Al, mam to rozumieć w ten sposób: ty mnie ratujesz, a ja w zamian mam zostać twoim kochankiem?... Nie, Al, posądzałem cię o pochlebniejszy pogląd na moją osobę. Nie chcę cię obrażać i dlatego proszę, byśmy przerwali tę rozmowę. Każ mnie odprowadzić do celi.

Alicja chwyciła go za rękę. Beładne, nieprzytomne słowa skomlały w jej ustach. W szeroko otwartych źrenicach paliło się przerażenie... Cofa wszystko, co powiedziała, wyrzeka się wszystkiego, żadnych nie stawia warunków, błaga tylko o litość, ona nie po-

trafi żyć bez niego i stokroć woli śmierć, śmierć i jego, i swoją... Uratuje go i tak, a on później postąpi, jak zechce sam.

Drucki łagodnie położył dłoń na jej rękę: spokoju, przede wszystkim spokoju i więcej panowania nad nerwami. A poza tym niech zrozumie, że przyjęcie pomocy od niej już samo przez się stwarzało dlań zobowiązanie moralne, narzucało mu dług, jakiego nie mógłby spłacić bez pogardy dla samego siebie, byłoby dlań niewolą gorszą od każdej innej. Przecie ona musi zrozumieć, że on nie może przyjąć od niej czegoś, co już z samych warunków, w jakich się obecnie znalazł, byłoby dlań najnieznośniejszym ciężarem. Między nimi wszystko zostało skończone, wzajemne rachunki pokwitowane i trzeba umieć trzeźwo na to spojrzeć.

Stopniowo odyskiwała równowagę. Chwilę milczała z opuszczoną głową, a gdy ją podniosła, powiedziała cicho, lecz dobitnie:

— Masz rację, Boh, do widzenia... Rozumiem, że nie chcesz przyjąć mojej ofiary, lecz wiedz, że ja na inną zdobyć się nie potrafię. Żegnaj, Boh.

Nacisnęła guzik dzwonka i suchymi jak szkło oczyma patrzyła na okute drzwi zamknięte się za nim.

## ROZDZIAŁ 29

Gdy go wprowadzono, salę, przepelnioną po brzegi, zaległa cisza. W porównaniu z pokojem, w którym dotychczas przebywał, było tu tak jasno, że przez dłuższą chwilę nie mógł odróżnić rysów osób zajmujących nawet najbliższe rzędy ławek.

Widział tylko stłoczone głowy i setki par oczu skierowane ku sobie. Nie odróżniając jeszcze ich wyrazu, czuł, że patrzą nań z życzliwym i jakimś wystraszoną współczuciem, z jakim ludzie czułościwie przyglądają się komuś, kto umiera, a komu pomóc nie mogą. Była w ich wzroku jakby wstydlivość i w tej ciszy jakby wstrzymanie oddechu przed momentem katastrofy, która oto nadchodzi.

Nie wiedział dlaczego, lecz przypominała mu się Zośka. Już wówczas, gdy wysiadł z okratowanej karetki więziennej<sup>371</sup>, odczuł wprost dziwaczną potrzebę zobaczenia tej małej dziewczyny. I teraz na próżno szukał jej na sali. Zaczął poznawać znajomych. Panna Łęska, pani Chelmińska, barman Grabowski. Tonia w czerwonym berecie. Luba, siedząca z głową podniesioną tak, jakby sama szła na szafot<sup>372</sup>, obok Borys, którego twarz zastęgała w drapieżną nieruchomą maskę, kasjer Justek z bolesnym uśmiechem na grubych, żalonych ustach, pułkownik Jaszczolt, ustawicznie przecierający monokl<sup>373</sup>, który jak zawsze nie chciał trzymać się w drgających fałdach zwiędłej twarzy, Tecia, ubrana tak czarno, jak na żałobę, o i Frania, starsza siostra Zośki... I tyle ładnych miłych kobiet, i tylu kompanów od wesołych zabaw, tyle znajomych twarzy i tyle wspomnień... Przyszli tu jak na pogrzeb...

Druckiego ogarnęła nagle nieprzeparta ochota wygłoszenia do nich żartobliwej mowy, jeszcze bardziej żartobliwej niż te, za które w „Argentynie” tak hucznie zbierał oklaski. Kłaniał się z uśmiechem i już otwierał usta, gdy zwrócił się doń jego obrońca, zażywny łysy pan w grubych, wypukłych szklach, który dotychczas w milczeniu studiował akta.

Chodziło mu jeszcze o jakąś drobną informację i o danie klientowi kilku wskazówek co do metod obrony. Mówił zwięźle, krótko, rzeczowo i Drucki był przekonany, że wybierając sobie na obrońcę mecenasa Szarniewicza, postąpił słusznie. Zresztą Szarniewicz cieszył się sławą najznakomitszego adwokata w sprawach karnych i zaliczał się nie tylko do wybitnych znawców prawa, lecz i do najbardziej utalentowanych mówców.

Już podczas pierwszej rozmowy, odbytej w więzieniu, Drucki dowiedział się odeń, że ze względu na tryb doraźny sprawa w pomyślnym wypadku zakończy się wyrokiem skazującym na dożywotnie ciężkie więzienie. Szanse przeniesienia procesu do sądu zwykłego powstać by mogły jedynie w wypadku zrezygnowania Druckiego z przyjętej taktyki

<sup>371</sup>karetki więziennej — pojazd przeznaczony do przewozu aresztowanych i więźniów. [przypis edytorski]

<sup>372</sup>szafot — drewniane podwyższenie, na którym wykonywano publiczne egzekucje skazanych na śmierć przez ścięcie. [przypis edytorski]

<sup>373</sup>monokl — pojedyncze szkło korekcyjne, okulary na jedno oko; przyrzędu używano, osadzając go ciasno w oczodole i przytrzymując od góry łukiem brwiowym i przyciskając do góry policzka; monokl stanowił też rodzaj ozdoby, element mody męskiej, noszono go na łańcuszku przymocowanym do specjalnej, górnej kieszonki ubrania. [przypis edytorski]

osłaniania faktycznych morderców Cieplikówny i wyjaśnienia istotnych względem niej zamiarów.

Gdy jednak Drucki kategorycznie oświadczył, że nic w swych zeznaniach nie zmieni, Szarniewicz zapewnił go:

— Nie zamierzam narzucać panu moich poglądów, nie jestem lekarzem chorób dziecięcych ani guwernantką. Jako adwokat zaś trzymam się zasady, że przede wszystkim należy dogodzić klientowi. Zatem, jeżeli woli pan dłuższe więzienie niż krótsze, zastosuję się do pańskiej woli.

Od tego czasu nie wspomniał też ani razu o zmianie zeznań, ku zupełnemu zadowoleniu Druckiego. Przed samą rozprawą zauważył tylko mimochodem:

— Oskarżać będzie prokurator Horn. Jest to najgroźniejszy przeciwnik z tych, jakich mogliśmy dostać.

— Wiem — skinął głową Drucki — w procesie o morfinę ona oskarżała mnie również i zostałem uniewinniony.

— Tym gorzej — odpowiedział adwokat — teraz powetuje sobie porażkę. W każdym razie, o ile jestem psychologiem, radziłbym panu postarać się wyrzucić na oskarżycielce dodatkowo wrażenie. Należy pamiętać, że jest to kobieta, a nie sędzę, by jakiegokolwiek kobiecie jakiegokolwiek strój, chociażby miała to być toga prokuratorska, mógł pozwolić zapomnieć, że jest kobietą.

Drucki uśmiechnął się i nic nie odpowiedział.

Doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa sytuacji, w jakiej się znajdował. Wierzył, że adwokat zrobi wszystko, co leży w jego mocy, jednak był pewien, że niewiele to pomoże. Oczywiście, nie zamierzał bynajmniej pogodzić się z dożywotnim więzieniem, na które prawdopodobnie zostanie skazany. W myśli obliczał sobie, że na przygotowanie ucieczki z Pawiaka wystarczy mu miesiąc, niech nawet dwa, czasu. I tyle go będą widzieli. Alboż to z takich więzień umiał zbiec! W Shatton były trzy mury, a każdy miał osiem metrów, w San Antonio trzymano człowieka, jak kundla, na łańcuchu, dwa piętra pod ziemią, w Sing Singu<sup>374</sup> kraty elektryzowano, w Valparaiso każdą celę otwierali dwaj dozorczy, a na dachu stały karabiny maszynowe i reflektory!...

Przez salę przebiegł szmer. Drucki obejrzał się: wysoka, smukła, z podniesioną głową, może tylko nieco bledsza niż zwykle, weszła Alicja. Spokojnym, elastycznym krokiem przeszła tuż obok niego, skinieniem głowy odpowiedziała salutującym policjantom i zajęła swoje miejsce na podium. Jednocześnie rozległ się dzwonek, otworzyły się patetycznie drzwi i weszli sędziowie.

Wokół podium i dalej przy drzwiach ustawiono kilkadziesiąt krzeseł, zajętych teraz przez uprzywilejowanych dygnitarzy sądowych i ministerialnych. Podczas gdy na sali panowała skupiona cisza, tu rozległ się szmer półgłosem prowadzonych rozmów. Ci znawcy procedury nie interesowali się wstępną formalistyką rozprawy. Aż odezwał się ostry, chrapliwy głos czytającego akt oskarżenia „przeciwko Janowi Winklerowi, lat czterdziestu, synowi Adama i Anny, o morderstwo z premedytacją, dokonane na osobie Ireny Cieplikówny”.

Czytający starał się, widać, o wywołanie efektu zgrozy, gdyż z patosem podkreślał mocniejsze słowa, a mimiką chudej, ascetycznej twarzy akcentował wnioski. Niedużo wszakże miał pola do popisu, bowiem akt oskarżenia był niezwykle krótki i zwięzły, chociaż każde jego słowo układało się obok drugiego, jak blok granitowy przy bloku w ciężki, niezachwiany mur. Również i lista świadków oskarżenia zawierała zaledwie kilka najniezbędniejszych nazwisk. Alicja Horn, jak mówił mecenas Szarniewicz, nie lubi reżyserować dramatów z dużą obsadą. On również ograniczył się do wezwania czterech osób.

Generalia<sup>375</sup>. Spokojny, ciepły głos przewodniczącego i dobitne, proste odpowiedzi Druckiego... Do winy się nie przyznaje. W całej rozciągłości podtrzymuje to, co zeznał w śledztwie. Na pytanie referenta oświadcza, że owszem, może powtórzyć. Cieplikównę poznał przypadkowo na dwa tygodnie przed tragicznym dniem. Nie miał nigdy zamiaru żenić się z nią, a chciał jedynie dać jej materialną opiekę w związku z jej brzemiennością i brakiem pracy. Obiecał umieścić ją u siebie i krytycznego wieczoru przyjechał po nią.

<sup>374</sup>*Sing Sing* — amerykański zakład karny o maksymalnym rygorze, znajdujący się w stanie Nowy Jork. [przypis edytorski]

<sup>375</sup>*generalia* (z łac.) — sprawy ogólne, zasadnicze. [przypis edytorski]



W chwili gdy rozmawiał z nią w ogródku, z krzaków padły strzały. Zorientował się, że napastników jest kilku, a że wytrącono mu broń z ręki, musiał ratować się ucieczką...

Mówił spokojnie i swobodnie, opowiedział szczegółowo przebieg wypadków, wyjaśnił, że, istotnie, ukrywał się przez jeden dzień, chcąc uniknąć posądzenia i aresztowania, gdyż zdaje sobie sprawę, iż wiele poszlak przemawia przeciw niemu. Jednakże nie wątpi, że zostanie uniewinniony.

Referent sprawy zadaje kilka pytań dotyczących dat. Przewodniczący jeszcze raz zapytuje, czy oskarżony nie wie, kto i w jakim celu mógł strzelać do Cieplikówny, względnie do niego, a usłyszawszy ponowne zapewnienie, że oskarżonemu absolutnie nic o tym nie wiadomo, oddaje głos Alicji Horn. Pada pierwsze pytanie:

— Czy oskarżony jest pewien, że nie był sprawcą ciąży ofiary?

Drucki odwrócił się do pytającej i spotkał jej proste odważne spojrzenie.

— Owszem. Jestem tego pewien, gdyż Cieplikówna nigdy moją kochanką nie była. Poznałem ją, kiedy znajdowała się w piątym miesiącu.

— Czy oskarżony z wielu kobietami utrzymywał stosunki miłosne?

Drucki uśmiechnął się i już chciał odpowiedzieć twierdząco, gdy obrońca zerwał się, żądając uchylecia pytania, niemającego żadnego związku ze sprawą.

— Owszem — zaoponowała Alicja — to ma bezpośredni związek ze sprawą, gdyż nie wiemy, czy liczba kochanek oskarżonego nie była tak wielka, że może go zawodzić pamięć w stosunku do Cieplikówny.

— Nie liczyłem nigdy swoich kochanek — prawie wesoło odpowiedział Drucki i pomyślał, że jednak Alicja jest ryzykownie śmiała.

Ona tymczasem pytała znowu:

— Zatem twierdzi oskarżony, że miał zamiar zaopiekowania się Cieplikówną. Dlaczego właśnie nią, osobą obcą, przypadkowo poznaną? Czy były jeszcze takie kobiety, którymi opiekował się oskarżony?

— Nie, nie przypominam sobie...

— Czym zatem tłumaczy oskarżony swój wyjątkowy humanitaryzm w tym właśnie wypadku? Może jednak były jakieś zobowiązania moralne? Czy po prostu zwykły kaprys?...

Jedno po drugim padały pytania. Celne, niechybne, wiążące się w gęstą sieć konsekwencji, ze wszystkich stron osaczające jednocześnie labiryntem stwierdzeń, poza które nie ma już wyjścia. Drucki niemal fizycznie odczuwał, jak grudka po grudce usuwa mu się grunt pod nogami. Więcej, bo stopniowo zaczął spostrzegać, że każde słowo, jakie wypowiadał dla swej obrony, musiało być z góry przewidziane przez Alicję, że wprost było mu podsunięte po to, by stało się nowym ogniwem oskarżenia.

Teraz już, odpowiadając, wiedział, że mówi przeciw samemu sobie, i tylko czekał następnego pytania, które wyjaśniało cel istotny poprzedniego, zastawiając jednocześnie nową pułapkę.

Zawsze uważał Alicję za mistrza w tym względzie, lecz nigdy nie przypuszczał, by sztukę tę można było posunąć aż do takich szczytów precyzji. Przejrzał jej taktykę, polegającą na poderwaniu resztek zaufania do jego prawdomówności, na zniszczeniu wszelkich dróg odwrotu i wykazaniu jego rzekomej przebiegłości, jego amoralności i zoologicznego egoizmu.

Alicja obracała w nicość wszystko to, co mogło świadczyć na jego korzyść, niweczyła wszystkie ewentualne szanse obrony, dyskredytowała wiarygodność okoliczności świadczących na jego korzyść. Omijała świadomie meritum<sup>376</sup> sprawy, ani jednym pytaniem nie dotknęła samego przebiegu zabójstwa, nie starała się postawić kropki nad kwestią motywów, jakimi mógł się kierować w swym postępowaniu względem Cieplikówny, lecz właśnie dlatego tym wyraźniej występowały one same, przybierając wygląd niedającego się obalić aksjomatu.

Szybko biegło pióro protokolanta, notując każde rzucone słowo, każde słowo, którego ciężar czuł nie tylko Drucki, lecz i cała sala, słuchająca z zapartym oddechem tragicznego dialogu dwóch głosów: metalicznego altu<sup>377</sup> i soczystego niskiego barytonu<sup>378</sup>...

<sup>376</sup>meritum (łac.) — istotna treść. [przypis edytorski]

<sup>377</sup>alt (muz.) — niski głos kobiecy lub chłopięcy. [przypis edytorski]

<sup>378</sup>baryton (muz.) — męski głos pośredni między tenorem a basem. [przypis edytorski]

Mecenas Szarniewicz siedział z głową pochyloną nad swymi papierami i zdawał się nie zwracać uwagi na to, co się wokół niego dzieje. Na znak przewodniczącego ocknął się i on z kolei zaczął zadawać pytania. Publiczność czekała ich z niecierpliwością, obiecując sobie, że znakomity obrońca zabierze się do podważania sugestii narzuconych sądowi przez prokuratorkę. Wszystkich jednak, a zwłaszcza przyjaciół Druckiego, czekał przykry zawód. Sam Drucki również nie ukrywał zdziwienia, gdy adwokat zapytał:

— Czy nie mógłby nam pan powiedzieć, co według pana jest celem życia człowieka?

— Celem?... To zależy jakiego człowieka...

— Mówię o panu.

— Moim celem... Sądzę, że samo życie... Wydobyć zeń maksimum radości, piękna, czy ja wiem, słońca...

— Rozumiem. A co uważa pan za największe dobro w życiu?

— Wolność — bez namysłu odpowiedział Drucki.

— O jakiej wolności pan mówi?

Drucki zaczął wyjaśniać. Wolność to przede wszystkim uniezależnienie siebie od wszystkiego, co może nas krępować wewnątrz nas samych, więc wierzenia, przesady, uczucia, poczucie winy wobec innych, krzywdy wyrządzone słabszym, przekonania polityczne...

Adwokat pytał dalej oskarżonego o jego poglądy na miłość, na małżeństwo, na rodzinę, na kobiety, na ustrój społeczny, na kwestię honoru, odwagi i tchórzostwa... Wreszcie przeszedł do ustalenia jego stanu majątkowego, przy czym okazało się, że Drucki nie wie dokładnie, ile ma w banku pieniędzy: coś około dwustu tysięcy. Poza tym „Argentyna” przedstawia też wartość kilkuset tysięcy.

Rozpoczęto przesłuchiwanie świadków i teraz dopiero Drucki pojął znaczenie całego szeregu pytań, na jakie odpowiadał Alicji. Wprawdzie badała teraz świadków na okoliczności dotyczące bezpośrednio zabójstwa, jednak z zadziwiającą zręcznością wydobywała z nich zeznania ubocznie przedstawiające Druckiego w najgorszym świetle.

Zarówno fryzjer, sprowadzony z Pomorza, a utrzymujący, że nigdy romansu z Cieplikówną nie miał, jak i oboje staruszkowie z Grochowa, twierdzili, że zmarła знаła się z oskarżonym od dawna. Staruszkowie nadto pod przysięgą zeznali, że oskarżony namawiał Cieplikównę do wyjazdu do Krakowa, a ona nie chciała.

Położenie Druckiego stawało się beznadziejne. Po przesłuchaniu ostatniego świadka, portiera z hotelu „Bristol”, który potwierdził, że oskarżony Winkler mieszał u siebie w pokoju codziennie inną kobietę albo wcale nie nocował, przewodniczący zamknął przewód sądowy i zarządził godzinną przerwę.

— Co myśli mecenas? — zapytał Drucki, gdy znaleźli się wraz z policyjną eskortą w okratowanym pokoiku.

— Myślę, że ma pan jeszcze czas zastanowić się nad szaleństwem, które pan popełnia, przemilczając istotne dla sprawy rzeczy.

— Zatem nie widzi mecenas możliwości uzyskania wyroku uniewinniającego?

— Zwariował pan?! — oburzył się adwokat. — Daj Boże, bym potrafił uchronić pana od stryczka!

— Tak — westchnął Drucki — to bardzo nieprzyjemnie. Wobec tego pozwoli mecenas, że zjem obiad.

Adwokat Szarniewicz spojrział nań nienawistnie i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, a Drucki zabrał się do przyniesionego jedzenia.

Rozumiał irytację adwokata. Gdyby chodziło o kogoś innego, sam prawdopodobnie starałby się namówić go do rezygnacji z osłaniania sobą osób trzecich, bodaj najlepszych przyjaciół, takich jak Brunicki czy Załkind. Sam jednak ani myślał o zawróceniu z raz obranej drogi.

Gdy ponownie został wprowadzony na salę, od razu spostrzegł mecenas Łęczyckiego, który tłumaczył coś adwokatowi Szarniewiczowi, a udając, że nie widzi Druckiego, szybko wyszedł bocznymi drzwiami.

— Pan podobno zna osobiście panią Horn? — zwrócił się Szarniewicz półgłosem do Druckiego.

— Ja? — Drucki wzruszył ramionami — możliwe, znam dużo ludzi, ale nie wszystkich sobie przypominam.

Wolność

— Niech pan nie żartuje! Dowiedziałem się, że pan podobno bardzo dobrze zna prokuratorkę Horn...

— Łęczycycki mecenasowi naplotkował...

— Mniejsza o to kto, tu chodzi o coś bardzo ważnego, panie Winkler, jeżeli pana łączyła z nią bliższa znajomość, możemy zażądać zmiany oskarżenia! A ta równa się odroczeniu sprawy! Rozumie pan?... To może stanowić o przeniesieniu sprawy do sądu zwykłego!

— Tak pan sądzi, mecenasie?... Cóż z tego, kiedy mnie wcale nie łączyła z panią Horn żadna znajomość.

— Panie! — zacisnął zęby adwokat.

— Sąd wchodzi — zabrzmiał uroczysty głos woźnego.

Sędziowie zajmowali miejsca. Przewodniczący powiedział cicho:

— Głos ma pani prokuratorka.

Wstała i powolnym ruchem nałożyła biret<sup>379</sup>. Twarz jej była biada jak płótno, tylko oczy zarzyły się niemal gorączkowym blaskiem. Jej wspaniałe usta, usta, którym równych niepodobna było sobie wyobrazić, jej dumnie wyprostowana, smukła postać i ten ruch głowy, w którym było tyle kobiecego wdzięku i tyle wyniosłej siły, wszystko to wywierało wręcz hipnotyczne wrażenie. Drucki czuł je w powietrzu przepelnionej sali, ba, czuł na samym sobie...

Skądś, z daleka, spoza szeroko otwartych drzwi głównych, z również przepelnionego przedsionka wśród ciszy rozległ się ostry kobiecy sopran:

— Boże, jaka ona piękna!

„Tak — pomyślał Drucki — diabelnie piękna. I niejedna z tych kobiet chciałaby być na jej miejscu. A ona?... Ona pewno gotowa byłaby każdej to miejsce i tę swoją urodę oddać...”

— Wysoki Sądzie! — uderzył w salę pełny, metaliczny głos. — Oto mamy do rozstrzygnięcia sprawę, w której z jednej strony postawione jest na kartę życie jednego człowieka, a z drugiej życie wielu setek, wielu tysięcy słabych, naiwnych istot. Tak, tych licznych, nieszczęśliwych dziewcząt, nieposiadających żadnych środków w walce o byt, pozbawionych wszelkiej broni, jaką by mogły zasłonić się przed skutkami ustroju, w którym żyjemy, a na straży którego stoi sprawiedliwość, sprawiedliwość, która niech będzie błogosławiona, jeżeli nie jest pustym dźwiękiem, i niech będzie przeklęta, jeżeli na jej wadze kara może być mniejsza od krzywdy!... Tak modlą się usta bezbronnych i pokrzywdzonych, modlą się niedosłyszalnym szeptem po piwnicach, poddaszach i suterynach setki i tysiące dziewcząt, którym każemy rodzić nieprawie dzieci, podczas gdy ich uwodziciele idą bezkarnie, mimo dokonanej krzywdy. A kiedy czasem zrozpaczone ręce usiłują je zatrzymać, wówczas pada strzał i pokorny szept cierpienia przechodzi w tragiczny krzyk śmierci!... W taki krzyk, jaki rozległ się przejmującym echem w ogródku ubogiej chaty na Grochowie! Panowie sędziowie! Milczą teraz kąty tej sali, ale wsłuchajcie się!... Czyż nie słyszycie we własnych sumieniach przeraźliwego wołania mordowanej dziewczyny?!... Czyż nie słyszycie skomlenia konającej?! Czyż nie czujemy wszyscy, jak wielkim na nas ciężarem spada ten krzyk: „Sprawiedliwości! Sprawiedliwości!”

Ucichł jej głos i zaległa kompletna cisza. Nikt się nie obejrzał, lecz niemal każdy czekał, że oto za jego plecami zerwie się nagle to rozdzierające, przez niczyje usta rzucone słowo.

Lecz odezwał się znowu czysty, metaliczny głos Alicji Horn:

— Była to skromna, wesola dziewczyna. Sumienna pracownica i miła lokatorka. Wszyscy świadkowie stwierdzili, że prowadziła się wzorowo. Lecz los wyrządził jej jedną krzywdę: obdarzył ją niezwykłą urodą. I oto na drodze jej zjawia się człowiek, którego główną cechą jest to, że nie umie liczyć. Nie liczy swoich pieniędzy, nie liczy swoich kochanek, lecz nie liczy także i cudzych nieszczęść, których jest sprawcą! Cóż znaczy dlań jedna tragedia więcej, w setkach tych pozostawionych za sobą?! Nic, absolutnie nic!... Nie liczy ich, a jeżeli ktoś ośmieli się zażądać odeń rachunku, płaci tak, jak zapłacił łatwoniwej Irenie Cieplikównie!... Była to skromna, wesola dziewczyna, naiwna dziewczyna

<sup>379</sup>biret — kwadratowa lub okrągła, sztywna czapeczka bez daszka, używana dziś jako część oficjalnego stroju duchownych, przedstawicieli sądownictwa, senatu uniwersyteckiego, profesury. [przypis edytorski]

z legionu<sup>380</sup> tych, co pochylone nad igłą czy nad pilnikiem, marzą o karierze gwiazdy filmowej, o królewiczu z bajki, o zakochanym w nich wielkim panu, a które znajdują swoje małe, ciche szczęście w małżeństwie z chłopcem z własnej sfery. Lecz na drodze Ireny Cieplikówny, biednej manicurzystki z biednego zakładu fryzjerskiego, zjawił się wymarzony królewicz!... Zjawił się oskarżony Jan Winkler! Powiedział nam tu, że lubił Cieplikównę, ale ona go kochała, musiała go kochać, gdyż był ucieleśnieniem jej marzeń. I jeżeli ta uczciwa i skromna dziewczyna oddała mu to, co stanowiło jej jedyne bogactwo, jeżeli oddała mu siebie, doprawdy nie masz takiej kobiety na świecie, która za to mogłaby rzucić w nią kamieniem! T też zdobył ją bez trudu, wziął ją swoją urodą, swoją męskością, swoim sposobem bycia urodzonego pogromcy, swoim kunsztem, czy też naturą niezawodnego uwodziciela, któremu nie każda kobieta, nawet świadoma i silna, potrafiłaby się oprzeć...

Drucki uśmiechnął się i podniósł oczy na Alicję. Wpatrywała się weń zuchwale rozwartymi żenicami, jakby go prowokując, by zawołał: „I tyś się nie oparła, a teraz mścisz się na mnie!... Patrzcie, oto porzucona przeze mnie kochanka, która czoięgała mi się u nóg, bym pozwolił jej wrócić do mnie, do mnie, którego teraz nazywa zbrodniarzem!...”

Mógł to zrobić w każdej chwili i jeżeli czego żałował, to tego, że musi wyrzec się kolosalnego efektu, jaki wywołałby takim okrzykiem.

— ...a Irena Cieplikówna — mówiła dalej Alicja — była tylko młodziutką, naiwną dziewczyną. Wprost pojąć trudno, dlaczego oskarżony, rozporządzając tak bogatym arsenałem środków zdobywczych, zaczął w dodatku okłamywać swoją ofiarę, że się z nią ożeni. Wprawdzie zapewnia nas tu, że nigdy tego Cieplikównie nie obiecywał, ale oczywistość tego kłamstwa została przygwożdżona zeznaniami gospodarzy zamordowanej, którzy nieraz słyszeli od niej, nawet w obecności niezaprzeczającego temu Winklera, że wkrótce odbędzie się ich ślub. Oszukiwał więc dziewczynę bez żadnej potrzeby, po prostu dla upiększenia swojej niskiej roli, a później wyzyskał to dla upozorowania swego prawa do zabrania dziewczyny spod opieki, gdzie była, bądź co bądź, bezpieczna. Nocą przyjechał ją zabrać. Dlaczego nocą? Czy człowiek mający uczciwe zamiary kryje się z nimi?... Nie, ale Jan Winkler nie mógł mieć uczciwych zamiarów, po cóż by kłamał, że zabiera „narzeczoną” do Krakowa, skoro, jak nam tu zeznał, miał zamiar wziąć ją do swego mieszkania w Warszawie?... Plan jego był prosty. Wywieźć uprzykrzoną kochankę na odludzie, gdzieś o kilkadziesiąt kilometrów poza miasto, zabić i wrzucić do Wisły. Był tak przeświadczony, że nic nie pokrzyżuje mu zamiarów, że nawet wbrew zwyczajowi nie zostawił auta przy furtce, lecz odprowadził je dalej, by przypadkiem nie widziano, w którym kierunku pojedzie. Na przeszkodzie wszystkiemu stanęła nagle rozbudzona podejrzliwość dziewczyny. Jak ustalił przewód sądowy, Cieplikówna od zmroku już zaczęła zdradzać niepokój, mówiła o niepewnym swym losie, o obawach, a nawet wręcz o zamiarze pozostania. Staruszkowie uspokajali Cieplikównę, chociaż nie uszło ich uwadze zdenerwowanie „narzeczonego”, a jego przynaglenie do pośpiechu wydawało się im równie nienaturalne, jak i specjalne wybranie pory nocnej na wyjazd. W ogródku tymczasem Cieplikówna musiała usłyszeć od Winklera coś, co ostatecznie przekonało ją o jego złych zamiarach. Oświadcza mu, że nie pojedzie, że powinien dotrzymać obietnicy i tu, w Warszawie, wziąć z nią ślub. Wówczas Winkler, który wobec gospodarzy, a zapewne i wobec Cieplikówny, występował pod zmyślnym nazwiskiem, który wie, że ubodzy ludzie tej dzielnicy nie potrafią odróżnić marki jego samochodu, że zatem nie grozi mu wykrycie — decyduje się. Z zimną krwią zabija dziewczynę i ucieka, by z ukrycia dowiedzieć się, czy władze śledcze nie wpadły na jego ślad. Wszystko to jest proste, jasne i nieskomplikowane. Jakże rażąco odbija od tego stanu faktycznego zbrodni fantastyczna bajka, opowiedziana nam przez oskarżonego, bajka o tajemniczych bandytach, zaczajonych w krzakach jaśminu, o walce, którą rzekomo stoczył z napastnikami, a która żadnych śladów nie pozostawiła, o skrytobójcy, strzelającym z tychże krzaków, strzelającym widocznie z jakiegoś dziwnego brauninga, który nie pozostawia po wystrzałach łusek.

Alicja uderzyła ręką w pulpit.

<sup>380</sup>legion — podstawowa i największa jednostka taktyczna armii rzymskiej, licząca 5000–6000 żołnierzy; przen.: wielka liczba, mnóstwo ludzi lub innych istot. [przypis edytorski]

— Zaiste, gdybyśmy nie wiedzieli, że mamy do czynienia z człowiekiem inteligentnym, moglibyśmy przypuścić, że jest to bajeczka opowiedziana przez dziecko. W obecnych wszakże warunkach nie pozostaje nam nic innego, jak nazwać zeznania oskarżonego karygodnym i wyzywającym cynizmem. Zaiste, miedziane<sup>381</sup> trzeba mieć czoło, by stanąć nad trupem swojej ofiary i nie tylko nie okazać cienia skruchy, lecz drwić z niej i z nas, by nie zadać sobie bodaj minimalnego trudu dla zmyślenia czegoś bardziej prawdopodobnego, mniej obrażającego prymitywne poczucie logiki! Oskarżony nie wyjaśnia również, dlaczego chciał Cieplikównę zabrać do siebie, dlaczego właśnie ją, a nie którąkolwiek z innych przez siebie uwiedzionych dziewcząt. Oskarżony snadź<sup>382</sup> sądzi, że życie biednej manicurzystki tak małą ma wartość, że sprawiedliwość puści mu płazem jego zbrodnię!... Ale, Wysoki Sądzie, mamy oto przed sobą klasyczny przykład tysięcy krzywdy, jaka dzieje się wciąż biednym dziewczynom, a jaka czasem tylko dotrze do stóp sprawiedliwości i zawoła: „Kary, kary, kary!...” Mamy przed sobą jednego z tych cynicznych uwodzicieli, którzy bez drgnienia powieki mordują niewygodne dla siebie kochanki, mamy zbrodniarza, który nie tylko winien być ukarany śmiercią, lecz stał się groźnym ostrzeżeniem dla innych sobie podobnych. Nie masz na jego usprawiedliwienie okoliczności łagodzących, dlatego wnoszę o karę śmierci.

Przewodniczący udzielił głosu obrońcy. Mecenas Szarniewicz wstał i zaczął mówić. Jak Drucki przewidywał, adwokat nawiązał wątek swej mowy do tych pytań, którymi tak zdziwił na początku rozprawy wszystkich obecnych.

Adwokat zaczął od stwierdzenia, że nie jest obowiązkiem oskarżonego udowodnienie swej niewinności. Przeciwnie, to przewód sądowy musi dowieść jego winy. Jeżeli tedy wiele poszlak materialnych przemawia przeciw niemu, nie mniej ważne dowody stają w jego obronie. Chodzi o motywy zbrodni. W jakim celu człowiek zrównoważony, posiadający poważną pozycję, duży majątek i wszystko, czego zapragnie, miałby popełniać morderstwa w ogóle, a w tym wypadku w szczególności? Kwestia zysku pieniężnego jest tu z góry wykluczona. Nie chodzi tu też o obawę płacenia alimentów, gdyż, jak słusznie zaznaczyła przedstawicielka urzędu prokuratorskiego, oskarżony Winkler nie umie liczyć, ma szeroki gest i nigdy nie żałuje pieniędzy. Absurdem również byłoby przypuszczenie, że obawiał się komplikacji życiowych wskutek ujawnienia jego romansu z Cieplikówną. Będąc nieżonatym, będąc człowiekiem absolutnie niezależnym, niekrepującym się w jawnym utrzymywaniu stosunków z wielu kobietami, dlaczego tu nagle miałby się bać opinii?

W dalszym ciągu mecenas Szarniewicz domagał się, by sąd stanął na stanowisku, że albo oskarżony jest niepoczytalny, skoro popełnił zbrodnię bez żadnych motywów, albo należy dać wiarę jego zeznaniom, że on jej nie popełnił. *Tertium non datur*<sup>383</sup>. Jeżeli chodzi o fantastyczność wyznań Winklera, to mecenas na podstawie praktyki tejże sali sądowej gotów jest przytoczyć cały szereg wypadków z życia, które jest autorem najdziwniejszych fantazji.

Z kolei mecenas przeszedł do charakterystyki oskarżonego:

— Oskarżony Winkler — mówił — daleki jest od typu, który możemy stawiać za przykład. Tym niemniej jednak jego umysłowość i psychika są tego gatunku, w jakim nie do pomyslenia jest umieszczanie zabójstwa słabszej od siebie istoty, tym bardziej niemożliwe, jeżeli była ona jego kochanką. Dość spojrzeć na oskarżonego, by zrozumieć, że tchórzliwe zasłanianie się przed odpowiedzialnością nie może leżeć w jego naturze. Przecie wie, że grozi mu wyrok śmierci, jako człowiek inteligentny zdaje sobie dokładnie sprawę z faktu nagromadzenia się przeciw niemu wielkiej liczby obciążających okoliczności. Gdyby był tchórzem, właśnie próbowałby zagmatwać i skomplikować sprawę. Nie robi tego, gdyż wierzy w sprawiedliwy wyrok. Więc może świadomie chce wyrzec się życia?... Nie, Wysoki Sądzie, to również nie jest do pomyslenia, gdy chodzi o człowieka, który właśnie ponad wszystko ukochał życie, wolność, niezależność, który dla tej niezależności gotów jest wejść w konflikt z własną wygodą, który dla tej wolności wyrzekł się tysiąca sposobnych ułatwień w swej egzystencji, ułatwień, jakie utrzymujemy dzięki dobru istnienia społeczeństwa, jego praw i jego ochrony. Tak, można nazwać Jana

<sup>381</sup>miedziane czoło (*miec*) — być bezczelnym, bezwstydnym, pozbawionym honoru. [przypis edytorski]

<sup>382</sup>snadź (*daw.*) — widocznie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

<sup>383</sup>*Tertium non datur* (*łac.*) — dosł. trzecie nie jest dane; nie ma trzeciej możliwości. [przypis edytorski]

Winklera jednostką społeczną, mamy podstawy, by dostrzec poważne różnice między jego etyką a etyką naszą, z tego, co sam mówił o sobie, wiemy, że za najwyższe prawo uważa prawo do życia. Zastanówmy się! Jakichże wielkich krzywd owocem musiałaby być powzięta przezeń decyzja zamordowania biednej, słabej istoty, dla której i dziś ma tylko najcieplejsze słowa życzliwości. Panowie sędziowie! Nie posiadam dowodów niewinności Jana Winklera! Jedynym dowodem jest on sam! Ten człowiek nie mógł popełnić zbrodni! I na Boga, ten człowiek jej nie popełnił!

Ostatnie słowa rozbrzmiały niemal zakłębieniem. Wśród martwej ciszy adwokat z wolna opuścił wyniesione ręce i usiadł.

Nagle w kącie sali czyjeś ręce uderzyły brawo, za ich przykładem poszły drugie, trzecie, czwarte i oto po chwili cała publiczność zerwała się z miejsc, a wielka sala sądu okręgowego rozbrzmiała szalonymi, entuzjastycznymi oklaskami...

Dobra minuta upłynęła, zanim gwałtowne dzwonięcie przewodniczącego zdołało opłacać hałas, umożliwiając surowe skarcenie wybryku i zapowiedź opróżnienia sali, jeżeliby coś podobnego miało się powtórzyć.

Replika prokuratora Alicji Horn na mowę adwokata była czymś, czego jeszcze w sali tej nie słyszano. Wprost trudno było sobie wyobrazić, by ludzkie słowa mogły się powiązać w tak potężne akordy oskarżenia, w tak olśniewające kontrasty przeciwstawić, w tak miażdżące lawiny wymowy.

Teraz dopiero stało się jasne, że wytrawna oskarżycielka umyślnie w pierwszym przemówieniu pominęła najcięższe argumenty, że z premedytacją zostawiła obrońcy nietknięte pole zagadnień psychiki oskarżonego, by dopiero w replice zabiec drogę rozumowaniu adwokata i wydać mu walną bitwę.

Z mistrzostwem niebywałym, nie posługując się niczym innym, jak właśnie argumentami obrońcy, budowała zdanie po zdaniu swe nieodparte oskarżenie.

Drucki słuchał z zaciętymi wargami i ze stężoną twarzą. Słuchał, jak jego umiłowanie wolności w jej ustach stawało się największą zbrodnią, nieobliczalnym anarchizmem, jak jego miłość życia wyradzała się w potworny egoizm, nieznający żadnych hamulców, jak zmienił się w zwierzę, żerujące na ustroju społecznym, zwierzę drapieżne, dla którego jedynym prawem jest prawo silniejszego. Pojął, że dla tych sędziów, dla tych wszystkich ludzi zmienia się w uosobienie najszkodliwszego chwastu, który należy wykarczować, w pasożyta, którego sama egzystencja musi być niebezpieczeństwem...

Atmosfera zgrozy napełniła salę. Tam, gdzie słowa były bezsilne, samo brzmienie metalicznego głosu, sama sugestia piękności Alicji i i żywiołowy płomień, bijący z niej, musiały dokonać swego.

Gdy wśród grobowego milczenia przewodniczący udzielił Druckiemu głosu, podniósł się ciężko i stał przez chwilę bez słowa. Z całą jaskrawością zdawał sobie sprawę z tego, że swój ratunek we własnym trzyma ręku, że oto może, ba, że ma prawo, nie tylko prawo tych ludzi, lecz własne prawo ratowania się i uratowania się. Oto otworzy usta i powie:

— Panowie, mądrzy sędziowie! Naiwni ludzie! Nie popełniłem tego haniebnego morderstwa. Milczałem dotychczas, chcąc osłonić mego przyjaciela Borysa Załkinda, dlatego, że lubię go bardzo i lubię jego śliczną żonę, że mają swego syna i swój dom, i swoje szczęście, które kochają. Sprawcami zabójstwa byli bandyci, nasłani na mnie przez wspólników Załkinda, z którymi razem Załkind wyprawił na tamten świat i ograbił pewnego starego Żyda z Białowieży. Tak, mądrzy sędziowie, nie domyślcie się też na pewno, że ta zwycięska obecnie piękna pani, na widok której wzdychacie i oblizujecie się, że ta podprokuratora Alicja Horn, nie dalej jak dwa dni temu przysięgała, że mnie uwolni, jeżeli tylko przebaczę jej to, że ma duszę zimną i brudną. Tak, szanowni i czcigodni państwo, ona była moja kochanka, ona oskarża tu Jana Winklera, chociaż wie, że nazywam się naprawdę Bohdan Drucki, poszukiwany od lat przez listy gończe, sprawca gwałtu na Alicji Żerańskiej, obecnej Alicji Horn, Bohdan Drucki, ona mnie kocha i chce, byście mnie zabili, bo woli widzieć mego trupa niż inne kobiety w moich ramionach!... Stąd płomienistość jej oskarżeń, mądrzy panowie sędziowie...

— Czy oskarżony nic nie ma do powiedzenia?! — zniecierpliwił się milczeniem Druckiego przewodniczący.

Drucki uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Nie, nic nie mam do powiedzenia... nieprawdaż, pani podprokuratoro?... Nic!...

Nim jeszcze zdążył usiąść, zza podium zerwało się kilku panów — podprokuratorka Alicja Horn zemdląca.

Na sali podniósł się głośny szmer, wśród którego ledwo dosłyszano pośpieszne słowa przewodniczącego:

— Sąd udaje się na naradę.

Jednocześnie z sędziami wyszła z sali Alicja, podtrzymywana przez kilku kolegów. Szybko przysła do siebie i z bładym uśmiechem dziękowała im, tłumacząc się przemęczeniem i nerwowym wyczerpaniem. Zresztą nie dano jej na to czasu. Sędziowie, prokuratorzy i różni dygnitarze z ministerstwa zasypywali ją gratulacjami, wyrazami zachwytu i podziwu.

W kwadrans później został ogłoszony wyrok, skazujący Jana Winklera na karę śmierci przez powieszenie.

Oskarżony wysłuchał wyroku spokojnie. Jego obrońca, mecenas Szarniewicz, natychmiast przystąpił do redagowania prośby na ręce Prezydenta Rzeczypospolitej o ulaskawienie. Należało z tym się śpieszyć, gdyż wykonanie egzekucji wyznaczono na godzinę piątą rano.

Podprokuratorka Alicja Horn wezwała tymczasem kolegę Mesnera i oświadczyła:

— Bardzo pana przepraszam za narzucanie mi tak przykrych funkcji, ale będę go prosiła, by zechciał w imieniu prokuratury zastąpić mnie jutro rano o piątej przy straceniu skazańca, które odbędzie się na terenie Cytadeli.

— Z przyjemnością oszczędzę pani tego ohydneho widoku — natychmiast zgodził się Mesner — jednak przypuszczam, że do egzekucji nie dojdzie. Pan Prezydent, mam wrażenie, ulaskawi tego Winklera.

— Myli się pan — krótko odpowiedziała Alicja i pożegnawszy się, pojechała do domu.

Miała szum w uszach i ślaniała się na nogach, wchodząc do swego mieszkania. Tu, gdzie niczyje oczy się na nią nie patrzyły, nerwy uległy pełnemu rozprężeniu. Rzuciła się na tapczan i splótszy kurczowo palce, zaczęła je gryźć do krwi.

Jakże nienawidziła siebie! Z jaką rozkoszą te same zęby wpiłaby sobie w gardło, by je przegryźć!... Nieprzytomnymi ciosami uderzała pięściami w skronie, w usta, w policzki, w piersi... Nie czuła bólu, tylko wciąż wzbierający gniew, który zdawał się przechodzić w szal...

Zerwała się, zapaliła wszystkie światła i nie zasłaniając okien, zaczęła zdzierać z siebie ubranie, lecz w tejże chwili dostrzegła swoje odbicie w lustrze i wybuchnęła przekleństwami. Z jej ust nienawistnym szeptem zrywały się słowa pogardliwe, depreczujące, coraz wulgarniejsze, coraz plugawsze... Wreszcie wybuchła dzikim, spazmatycznym śmiechem i zanurzywszy palce we włosach, zaczęła je rwać garściami...

Zapukano do drzwi.

— Kto tam? — krzyknęła Alicja. — Czego Józefowa chce?!

— Zdawało mi się, że pani mnie woła.

— Nie wołam! Proszę się wynosić precz!

Za drzwiami zaległo milczenie. Widocznie starą służącą zamurował niebyswały ton pani. Ponieważ jednak nie słychać było oddalających się kroków, Alicja zawołała z pasją:

— Wynosić się, co to za podsłuchiwanie!

— Ja nie podsłuchuję — oburzyła się Józefowa — tylko chciałam list oddać.

Alicja uchyliła drzwi i wzięła list. Nagle opanowało ją rozpaczliwe przeświadczenie, ba, zupełna pewność, że to list od niego!... Pomimo całej absurdalności takiego przypuszczenia przyciskała kopertę do piersi i powtarzała, jakby chcąc siebie umocnić w tej wierze:

— Boh... Boh... To on... Jeszcze nie wszystko stracone, jeszcze potrafię go uratować, bodaj ceną przyznania się do wszystkiego!...

Spojrzała na list i ręce jej opadły bezsilnie — była to duża, urzędowa koperta z pieczęcią Ministerstwa Sprawiedliwości. Machinalnie otworzyła ją i przebiegła treść pisma oczyma.

A pismo to nie było byle czym! Zawierało nominację podprokuratorki Alicji Horn, w uznaniu jej zasług dla dzieła Sprawiedliwości, jej wiedzy i talentu, na stanowisko Prokuratora Warszawskiego Sądu Okręgowego...

Alicja zgniotła papier w dłoni i rzuciła na ziemię.

## ROZDZIAŁ 30

Odrapana dorożka, zaprzęzona w starą jasnokościstą chabetę<sup>384</sup>, zatrzymała się przed jednym z ostatnich domów przy ulicy Tarczyńskiej. Załkind, który przez całą drogę przynaglał dryndziarza<sup>385</sup> do pośpiechu, szybko wcisnął mu w rękę nikłową monetę<sup>386</sup> i kulejąc bardziej niż zwykle, wbiegł do bramy.

Całe pierwsze i ostatnie piętro tej kamienicy zajmował „lokal” jego siostry Fieni, w sferach ulicznych szeroko znanej pod przezwiskiem Kupczychy. Jako że godzina była zbyt wczesna na „gości”, a wszystkie pensjonariuszki jeszcze się wysypiały, otworzyła sama Fienia, potężnych rozmiarów, niebrzydka jeszcze kobieta w papilotach i jaskrawozielonym szlafroku.

— Nu, nareszcie — powiedziała nieco zniecierpliwionym głosem.

— Oni są? — zapytał Załkind.

Nie odpowiedziała i tylko wzruszyła ramionami, jakby ją uraziło powątpiewanie w jej zdolności organizacyjne.

Nie zdejmując kapelusza i palta, przeciwnie, jeszcze bardziej podciągnąwszy kołnierz, wszedł za siostrą do małego, półciemnego i pełnego dymu z tanich papierosów pokoiku. Przy stole, nakrytym czerwoną, pluszową serwetą, i na dwóch rozbebeszonych łózkach siedziało kilku mężczyzn, zajętych przyciszoną rozmową. Załkind burknął coś pod nosem i podał każdemu rękę. Jeden z drabów podsunął mu nogą krzesło i kiwnął na gospodynię.

— Daj no flachę, Kupczycha, i zagrychę, byle lepszą.

— Niech będzie — zgodził się Załkind.

— Musowo ma być, nie? Do takiego interesu? — zaśmiał się mały, ruchliwy Żydek w kącie.

— No, co jest? — zapytał Załkind barczystego i ponurego draba o kędzierzawej, zwichrzonej czuprynie, siedzącego dotychczas w milczeniu.

Kędzierzawy spojrział nań z ukosa, splunął pomiędzy nogi i powiedział:

— W porządku.

— W Cytadeli?

— Aha.

— A dziś nie zawiozą? — zaniepokoił się Załkind.

— Szofer nie wytrzeźwieje do północy, to już im lepiej opłaci się na stryk od razu.

— Ten szofer to miętówkie chła jak panienka — zaśmiał się Żydek.

— A gryps<sup>387</sup> doszedł?

— Mur — skinął nosem kędzierzawy.

— Słuchajcie, chłopcy, ja wam powiem — przysunął się do stołu Załkind — ja wam powiem, że ja obiecałem piętnaście kawalców i że na tym stanęła sztama<sup>388</sup>. Ale mnie na tym człowieku zależy jak na samym sobie. Jeżeli się uda, to dołożę...

Zrobił pauzę i obrzuciwszy obecnych szybkim spojrzeniem, dokończył:

— Dołożę drugie piętnaście!

Zapanowała cisza. Kędzierzawy wstał, podciągnął spodnie i wyciągnął wielką łapę do Załkinda.

— Co się ma nie udać? Albo to ja takie roboty w Ameryce robiłem? Na tutejszych patałachów nima co się oglądać. Im nawet do łba nie przyjdzie. No, *rebiata*<sup>389</sup>, warto i napić się pod taką zagrychę, jak ta dobawka<sup>390</sup>, co?

Teraz dopiero efekt hojności klienta wyraził się tym, że wszyscy po kolei ściskali jego rękę i obsiedli stół dookoła. Krępy, siwy już człowiek podszedł o Załkinda i obszernie zaczął opowiadać o tym, jak dało mu się kupić „*bezprizornego*”<sup>391</sup> konia, że to nawet i sam

<sup>384</sup>*chabeta* — chudy, nędzny koń. [przypis edytorski]

<sup>385</sup>*dryndziarz* z (daw. pot.) — dorożkarz. [przypis edytorski]

<sup>386</sup>*nikłowa moneta* — w latach 1924–1939 w Polsce z niklu wykonane były monety o nominałach 10, 20 i 50 gr oraz 1 zł. [przypis edytorski]

<sup>387</sup>*gryps* (żarg.) — pisemna wiadomość wysłana potajemnie do więźnia lub przez więźnia. [przypis edytorski]

<sup>388</sup>*sztama* (z niem., pot.) — przyjacielski układ zapewniający wzajemną pomoc. [przypis edytorski]

<sup>389</sup>*rebiata* (ros.) — chłopcy, chłopaki. [przypis edytorski]

<sup>390</sup>*dobawka* (reg., wileńskie) — dodatek. [przypis edytorski]

<sup>391</sup>*bezprizornyj* (ros. *беспризорный*) — pozbawiony opieki, nadzoru. [przypis edytorski]



diabeł nie dowie się, czyj i skąd, a jak przejadą, to i mały żal. Co dotyczy ładunku, to nawali się jakiego starego drewna, i już.

Weszła Fienia i wprawną ręką zaczęła ustawiać stole talerze z przekąskami, butelki i szklanki do wódki, po czym przysiadła się sama i zaczęto szczegółowo omawiać plan.

\*

Późny jesienny świt zmatowił czarne szyby i powoli mieszać się począł z seledynową poświatą abażuru, spod którego niewielki, żółty krąg lampy, padając na biurko, oświetlał wypukłe szkieleto zegarka.

Czas

Dłuższa, wysmukła i ostrokanciasta jego strzałka zdawała się śpieszyć nierówno, urywanie i nerwowo. Czasem jakby ustawała w swym cyklicznym biegu, to znów przypominała sobie coś, co musi nieuchronnie się zdarzyć, coś bardzo ważnego, na co jej spóźnić się nie wolno, i wówczas pędziła tak szybko, że myśl ludzka z trudem doganiała ją, licząc minuty. Natomiast mniejsza, szeroka i płaska jak sztylet, wciąż nieruchoma, przecież posuwała się wolno, niedostrzegalnie naprzód, uparcie, zawzięcie, bezlitośnie...

Dwie czarne, małe strzałki, dwa niedorzeczne drogowskazy, obracające się dookoła swej osi w wiecznym bezcelowym ruchu, skierowujące tych, co stanęli przed nimi, pytając o drogę we wszystkie strony wszechświata. Dwie szalone strzałki, usiłujące swą mrówczą pracą zmierzyć to, co jest niezmierne, zliczyć to, czemu nie ma rachunku...

Zegarek swoim tykotem napełniał ciszę, której nie przerywały najmniejsze szmery. Za oknami dobiegała końca noc jesienna, martwa, bezszelestna. Na pobliskim lotnisku spano jeszcze. W mieszkaniu również panowało zupełne milczenie już tyle godzin... Tyle? Tak, ileż to? Już prawie pięć ich minęło od chwili, gdy dzwonił dzwonek telefonu, gdy dzwonił Mesner, że Prezydent odrzucił prośbę o ulaskawienie i że egzekucja odbędzie się zatem punktualnie o piątej rano...

O piątej rano!... Za dwanaście minut mniejsza, szeroka i płaska strzałka dotknie tarczy sekundnika, a jej ostry koniec nieubłaganie dotknie czarnego znaku 5...

Przez myśl Alicji przebiegło, że miałyby jeszcze dość czasu na napisanie kilkuset słów... Wyjaśnienia... pożegnania... Lecz dla kogo miałyby pisać?... Nie ma nikogo! Absolutnie nikogo! O, zrozumiała to już wieczorem, gdy stała pochylona nad pustym łóżkiem tam, w ostatnim pokoju, nad pustym łóżkiem Julki...

...teraz wyprowadzają go na plac straceń... Pamiętała: dwa kasztany na zboczu, z lewej wyszczerbiony mur, a wprost od bramy szubienica. Na pewno idzie uśmiechnięty, z podniesioną głową... Tylko liście na kasztanach teraz muszą być żółte i czerwone. Gdy tam była przy straceniu bandyty Harłacza, liście były jeszcze bardzo zielone... Cała Cytadela wówczas pełna była zieleni...

Dłuższa, wysmukła i ostrokanciasta strzałka dolegała szczytu tarczy.

Alicja podniosła rękę. Na biurku, prawie niewidocznie poza żółtym kręgiem lampy leżał mały, czary brauning. Cekał tam. Cierpliwie czekał przez pięć godzin.

Samobójstwo

Przez pięć godzin, długich jak piekło!!!...

Teraz powoli uniósł się na wysokość piersi. Ręka Alicji nie drgnęła, pod palcami ostatnie swoje uderzenia wystukiwało serce, wystukiwało w takt zegarka...

„Idę z tobą, Boh, idę... Gdybym mogła wierzyć, że nie idziemy w nicość, gdybym mogła... Boh!”

Huknął strzał.

Krótki, suchy, urwany trzask brauninga.

Ostry, kłujący ból i płuca zalała gorąca fala.

„Aaaaa...”

Ciało przechyliło się i zsunęło na podłogę wolno i bezgłośnie.

Drzwi otworzyły się i do pokoju drobnym kroczeniem wbiegła Józefowa, bosa, w długiej, nakrochmalonej koszuli. Nawet nie krzyknęła, tylko zabrała się do podniesienia pani. Było to jednak ponad siły staruszki. Prędko podsunęła pod bezwładną głowę wielką, białą poduszkę i podreptała do telefonu.

W dziesięć minut przyjechało pogotowie ratunkowe. Lekarz wraz z sanitariuszem ułożyli Alicję na kanapie. Zanim Józefowa zdążyła nałożyć szlafrok, prowizoryczny opatrunek był już skończony i panią znoszono do karetki.

Na pytanie służącej lekarz odpowiedział:

— Jeszcze żyje. Proszę dowiedzieć się w szpitalu Dzieciątka Jezus<sup>392</sup>.

W szpitalu brama już była otwarta. Gdy nosze z samobójczynią postawiono w środku pokoju ambulatoryjnego, lekarz pogotowia przynaglił zaspanego służącego:

— Zbudź pan prędzej dyżurnego lekarza, bo możliwe, że zaraz trzeba będzie dać ją na stół. Kto dziś dyżuruje?

— Doktor Łoziński — mruknął posługacz i zniknął z kartą meldunkową za drzwiami gabinetu.

Nie upłynęła minuta, gdy wpadł stamtąd w rozpiętym kitlu dyżurny.

— Ta, co jest! — zawołał, podbiegając do noszy. — Ta, chyba kolega zrobił omyłkę w spisywaniu! Alicja Horn? Prokuratora Alicja Horn?

— Tak. Postrzał w okolicę serca, stan bardzo ciężki.

Łoziński odkrył twarz rannej i potrząsnął głową.

— Ta joj, świat się kończy! Wiecie kolego, że ja ją znam? Tego roku na Helu omal nie utonęła... No, ale do roboty!

Ponieważ doktor Łoziński nie należał do tych ślamazarnych lekarzy, którym zawsze zbywa na szybkości decyzji, w kwadrans później ranna była prześwietlona rentgenem i leżała na stole operacyjnym. Kula ugrzęzła pod lewą łopatką, szczęśliwie minawszy worek sercowy. Właściwie jej droga przechodziła przez serce, lecz to, jak często się zdarza, w chwili strzału musiało się skurczyć. Jednakże bardzo silny cios rozłupał kość w miejscu, gdzie ta łączy się z obojczykiem, co mogło nie tylko zadecydować o bezwładności ręki, lecz i sam zabieg wyjęcia kuli niezmiernie utrudniało. Nadto bardzo obfity wylew wewnętrzny nie wróżył nic dobrego.

Operacja trwała dokładnie godzinę i dwadzieścia dwie minuty, a chociaż Łoziński był zamilowanym chirurgiem, gdy oddał już pacjentkę w ręce pielęgniarek, opadł na krzesło i kłął przez dobre pięć minut słownikiem najprawdziwszego „batiara”<sup>393</sup>. Wreszcie umył się, bo cały był mokry od potu, i zawołał posługacza, by połączył go z numerem takim a takim.

— Czy to mieszkanie doktora Czuchnowskiego? — zapytał.

— Tak. Ale pan jeszcze śpi.

— To budzić go zaraz. Mówi doktor Łoziński.

Po chwili zaspany Czuchnowski podszedł do aparatu.

— O co ci chodzi, Romek?

— Przyjeżdżaj, Włodek, zaraz do szpitala, ale szybko.

— Dziś mój wolny dzień — zaprotestował Czuchnowski.

— Ta mam gdzieś twój wolny dzień! Rozumiesz? Przyjeżdżaj zaraz, i to weź taksówkę, bo nie będę na ciebie czekać, a sam później pożałujesz.

Gdy Czuchnowski przyjechał, Łoziński wepchnął go paroma szturchańcami do gabinetu.

— Uważasz, Włodek — powiedział — nie twój dyżur, ale mamy tu taką pacjentkę, przy której pewno sam zechcesz dyżurować.

— Niby dlaczego? — ziewnął Czuchnowski.

— Otóż przywiozła pogotowie. Zamach samobójczy, ale zapisane jako wypadek z bronią. Tak zarządziła policja. Paskudna rana. Lewe płuco poharatane i łopatką też. Posprzątałem tam to wszystko, no i może wylize się, tylko z pół roku w łóżku to mur.

— No dobrze — wzruszył ramionami Czuchnowski — nie rozumiem jednak, dlaczego mnie to mówisz i dlaczego mamy ukrywać, że był zamach samobójczy?

— Ukrywać? Ano dlatego, że samobójczynią jest znaczna figura, nie byle kto... prokurator Alicja Horn.

Czuchnowski zerwał się zbladł śmiertelnie, otworzył usta, zachwiał się i opadł na fotel.

— Tylko mi tu nie mdlej — ryknął Łoziński — ty mazgaju! Mówię ci, że nic jej nie będzie. Chodź, zaprowadzę cię do niej, no!

<sup>392</sup>szpital Dzieciątka Jezus — szpital kliniczny w Warszawie, w dzielnicy Ochota; w okresie międzywojennym największy obiekt szpitalny w mieście, ob. wchodzi w skład Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. [przypis edytorski]

<sup>393</sup>batiar a. baciarr (reg.) — w gwarze lwowskiej: ulicznik, łobuz. [przypis edytorski]

W małym, białym pokoju, bez kropli krwi w twarzy, z zamkniętymi powiekami leżała Alicja.

Czuchnowski rzucił się przed łóżkiem na kolana i cichy szloch zaczął wstrząsać jego zgiętymi plecami. Usta przywarły do nieruchomej białej ręki na kołdrze, a lzy bólu, lzy współczucia, lzy nadziei i szczęścia spadały z jego oczu tak gęsto, że nikt by nie potrafił odróżnić, która z nich jakim wyciśnięta została uczuciem.

Doktor Łoziński stał chwilę w milczeniu, wreszcie machnął ręką i wyszedł, ostrożnie zamykając za sobą drzwi.

## ROZDZIAŁ 31

Punktualnie o godzinie czwartej dozorca dolnego korytarza w więzieniu na Pawiaku zastukał do celi skazańca. Otworzył drzwi, wszedł i stanął jak wryty: znajdujący się w celi mężczyzna spał głębokim snem i na odgłosy z zewnątrz nie zwrócił żadnej uwagi, jakby nie wiedział, że od dziś na sen będzie miał dwadzieścia cztery godziny na dobę, aż do końca świata.

W podwórzu czekał już okratowany samochód. Wewnątrz oprócz skazańca zajęli miejsca trzej rośli dozorczy, na koźle<sup>394</sup> przy szoferze usiadł komisarz policji. Nadto auto było eskortowane przez policjanta na motocyklu.

— Może pan telefonować do Cytadeli, że wyjeżdżamy! — krzyknął komisarz wyglądającemu przez okno kancelarii naczelnikowi więzienia i dał znak szoferowi.

Motor zachrapał, otworzono bramę i auto ruszyło. Zaraz na ulicy wyprzedził je motocykl. Po drobnym deszczu, który siąpił przez całą noc, jezdnie wąskich, starych ulic pokryte były lśniąca wilgocią.

Miasto spało jeszcze i tylko z rzadka tu i ówdzie widać było przechodnia lub stojącą na rogu dorożkę.

— Daj pan gazu — powiedział komisarz — mamy wolną drogę, co będziemy się wlekli jak z pogrzebem.

— A bo to nie pogrzeb? — mruknął szofer, lecz dodał gazu i auto z rozpędem wjechało za motocyklem w długą, wąską uliczkę.

Lecz tu właśnie, jak na złość, samym środkiem włókł się wielki wóz, naładowany drzewem.

Policjant jadący na przedzie stanął i kazał niemrawemu woźnicy zjechać na chodnik, lecz ten stale nieumiejętnie manewrował swoją szkapą, że na czas nie zdążył i auto trzeba było zatrzymać.

— Zjeżdżaj, do cholery! — wrzasnął komisarz.

— Już zjeżdżam, już — flegmatycznie zapewniał brodaty chłop w nasuniętej na oczy czapce, lecz na próżno pociągał lejce. Chabeta kręciła się to w prawo, to w lewo i w rezultacie fura z drzewem do reszty zabarykadowała jezdnię.

— Ach, ty niezdarco! — zaklął policjant i oparłszy motocykl o latarnię, chwycił konia za cugle.

Nagle gdzieś w pobliżu rozległ się cichy gwizdek.

Prawie jednocześnie w pudle samochodu zahuczało od silnych wstrząsów, lecz zanim komisarz zorientował się, że wewnątrz wre walka, ospały woźnica uniósł wielką kłodę drzewa i cisnął nią w motocykl z taką siłą, że ten został prawie zmiażdżony i runął z brzękiem na ziemię.

— Napad! — krzyknął komisarz i sięgnął do pochwy rewolweru. Zorientował się jednak za późno.

W tej właśnie chwili w powietrzu śmignął jakiś czarny przedmiot i wpadł pod motor samochodu. Ogłuszający huk wstrząsnął powietrzem. Wybuch granatu wyrwał przednie koła i zdarł maskę samochodu. Niemal jednocześnie zaterkotały rewolwery.

Komisarz, ranny w kolano, i policjant, który zdążył ukryć się za ciałem zabitego konia, nie przestawali strzelać do kilkunastu drabów, którzy wyrosli jakby spod ziemi.

Ci zasypywali ich kulami, nie szczędząc ładunków.

Walka

<sup>394</sup>koźiol — siedzenie dla woźnicy w pojeździe konnym, tu: szerokie przednie siedzenie w samochodzie, przeznaczone dla kierowcy i siedzącego obok pasażera. [przypis edytorski]

W tymże czasie dwa silne chłopy wywalają żelaznymi łomami drzwi auta. Za ich plecami z gotowym do strzału wielkim parabellum<sup>395</sup> stał Borys Załkind. O, jeżeli tamci dozorczy wewnątrz ośmielili się zabić kapitana Winklera, żaden z nich nie ujdzie z życiem!...

Jeszcze jeden cios łomu i opancerzone drzwi wyleciały z zawiasów.

W ciemnym wnętrzu zamajaczyły trzy leżące na podłodze postacie i z auta lekko wyskoczył Drucki.

— Biegiem! — krzyknął Załkind i ruszył naprzód.

Gdy mijali wywróconą furę drzewa, Drucki ujrzał wielkiego, kędzierzawego draba, który na ich widok wpakował sobie w usta dwa palce i gwizdnął przeciągle. Momentalnie strzelanina umilkła, natomiast rozległ się przyspieszony tupot nóg.

Sprawna banda poszła w rozsypkę.

Biegnąc z Załkindem, Drucki dopadł drzwi koślawego sklepiku szewskiego. Oczekiwano tu ich widocznie, gdyż drzwi same uchyliły się. Jednak nie było czasu na odpoczynek, chociaż Załkind dyszał ciężko swoim świszczącym oddechem, zaczęli wspinać się po stromych drewnianych schodach, później po drabinie i przez strych wydostali się na dach sąsiedniego domu. Znowu karkołomne schody, małe, brudne podwórze, brama i stojąca przed nią taksówka.

Byli na innej ulicy, a nawet w innym kwartale<sup>396</sup>, pomimo to jednak, kiedy auto pędziło już pełnym gazem, Załkind długo jeszcze wyglądał przez tylne okienko i zmuszał Druckiego, by ten ani na moment nie wychylał się. Wreszcie uspokoił się, poczęstował go papierosem i klepnął po kolanie.

— Jakże tam interesy, John?

— Nie są najgorsze, Jack! — odpowiedział Drucki.

— Myślę, że tu jeszcze bardzo zieloni, John, w sam raz na szpinak. Nieprawdaż?

— *Well*<sup>397</sup>, ale szpinak jest dobry z jajkami.

Obaj wybuchnęli śmiechem.

— Paszport, ubranie, forsa i wóz gotowe — powiedział Załkind — tylko musi kapitan do Gdańska wytrząść się ciężarowym i przetransportować tonę towaru.

— Wiedziałem, Jack — po chwili milczenia odezwał się Drucki — że nie tak łatwo dasz mnie powiesić. Uściskaj tam Lubę ode mnie.

W godzinę później sprzed renomowanego lokalu pani Fieni przy ulicy Tarczyńskiej ruszał wielki, zakurzony samochód ciężarowy, przy kierownicy którego siedział mocno wybrudzony i srogo wąsaty szofer.

Na zakręcie odwrócił się i przyjacielsko pokiwał ręką w stronę balkonu, na którym stał znany kupiec i przemysłowiec warszawski, pan Borys Załkind.

Na ulicy krzyczano:

— Dodatek nadzwyczajny! Dodaaaa... Zbrojne porwa... skazańcaaaa...

## OSTATNI ROZDZIAŁ

Przy wejściu do zatoki Putlam<sup>398</sup> od zachodu wielki, dwukominowy „Regens” musiał zatrzymać swoje maszyny, a nawet dać kontrparę<sup>399</sup> i tylko w ten sposób uniknął wpakowania się na nieduży, najwyżej siedem tysięcy ton liczący okręt, który wyprawiał między rafami dziwne harce.

— Realdy! — huknął kapitan, wysuwając głowę z trapu do przechodzącego majtka. — A powiedz tam temu osłu, żeby uczył żaby pływać! Co on sobie myśli?! Zapytaj go, czy mu czasem i na Pacyfiku nie za ciasno, i niech mi natychmiast złazi z drogi, bo mu jego pudełko od sardynek spuszczę na niższe piętro!

<sup>395</sup>*parabellum* — niemiecki ośmiostrzałowy pistolet samopowtarzalny, podstawowy pistolet armii niemieckiej w latach 1908–1938. [przypis edytorski]

<sup>396</sup>*kwartał* — część miasta usytuowana pomiędzy czterema przecinającymi się ulicami. [przypis edytorski]

<sup>397</sup>*well* (ang.) — dobrze; cóż, no. [przypis edytorski]

<sup>398</sup>*zatoka Putlam* — dziś popr. *laguna Puttalam*, wielka laguna na płn.-zach. wybrzeżu wyspy Cejlon, od północy połączona z oceanem, nosząca nazwę od położonego nad jej południowym krańcu miasta Puttalam. [przypis edytorski]

<sup>399</sup>*kontrpara* — przeciwpara; para, którą wpuszczano do cylindra parowego z odwrotnej strony tłoka w celu zahamowania jego ruchu. [przypis edytorski]

Po chwili z tuby „Regensa” ryczał ku „pudełku od sardynek” długi spicz<sup>400</sup>, wdzięcznie przybrany litaniami wyzwisk i epitetów, ku wesołości całej załogi, która pomimo szalonego upału wyszła na pokład w komplecie, by przyglądać się manewrowym wygibasom niedoświadczonego snadź kapitana skorupy.

Jednak i na tamtym pokładzie nie lubiano milczeć i chować drwin do kieszeni, bo już po chwili na „Regensie” usłyszano odpowiedź:

— Czy nie znacie starego Tony’ego z Hoppevill?... Udajcie się do niego, a on wam wskaże, w co go macie pocałować!...

— Po coście mamę zostawili w domu!? Sami nie dacie sobie rady! — krzyczano z „Regensa”.

— Wasza matka musiała być krową, od której nauczyliście się dowcipu!

— A może wy uczycie waszą skorupę kadryla<sup>401</sup>!...

— Nie, robimy doświadczenie. Chcemy się przekonać, jak długo osły mogą się przyglądać, jak im pod nosem zamykamy drogę!

Tego już było za wiele dla załogi „Regensa”. Na pokładzie zrobił się ruch i po chwili zjawił się sam kapitan Terry.

— Ja im pokażę! — zaśmiał się i zaczął wydawać dyspozycje pierwszemu oficerowi, gdy nagle wśród steku płynnej angielszczyzny z tuby przeciwników padło jedno obce wyraźne słowo, słowo, co do pochodzenia którego nie mgło być żadnej wątpliwości.

— Dranie!

— Co to za okręt? — gorączkowo zapytał kapitan Terry.

— Diabli go wiedzą, trudno odczytać, pod flagą polską.

— Lunetę! — huknął kapitan.

Przez lunetę odczytał na dziobie „Mazowsze”... I nagle coś ugryzło kapitana, bo nie tylko zmienił dyspozycje i kazał czekać spokojnie, aż niezaradny statek wymanewruje, lecz wszystkich spędził z pokładu do roboty.

W pół godziny później „Mazowsze” przycumowywano do mola w małym porcie Putlam, a tuż za nim wszedł „Regens”. Kapitan Terry kazał wcześniej spuścić łódź i już był na brzegu, gdy z „Mazowsza” zaczęła pomału wysypywać się załoga. Nagle drgnął i czym prędzej odwrócił się. Gdy ponownie spojrzął ku molu, na twarzy już miał wielkie, zielonkawe okulary, jakie się nosi dla ochrony wzroku od słońca. Ze statku schodził wysoki, smukły młodzieniec w białym mundurze porucznika marynarki handlowej.

— Hallo, lejtencie<sup>402</sup>! — zawołał kapitan Terry, a kiedy porucznik zbliżył się i zasałutował, dodał: — Zabroniłem moim chłopcom wszczynać jakiekolwiek kłótnie z waszymi. Jestem kapitan Terry z „Regensa”.

— Porucznik Brunicki z polskiej marynarki handlowej — dość ozięble przedstawił się młodzieniec.

— Z polskiej? — zdziwił się Terry. — Mówi pan po angielsku jak rodowity londyńczyk. Polska to piękny kraj...

— Zna kapitan Polskę? — rozkrochmalił się młody człowiek.

— Tak... Byłem tam kiedyś, lejtencie... No, ale może byśmy wstąpili na szklanek rumu z lodem, co? Piekielny upał.

Porucznik Brunicki zgodził się chętnie. Po chwili siedzieli już pod słomianą strzechą na werandzie krzywego bungalowu<sup>403</sup> i rozmawiali w najlepsze.

Kapitan Terry dowiedział się, że „Mazowsze” przyszło z ładunkiem naczyń emaliowanych, a zabiera herbatę do Gdyni, że zepsuł im się ster, że w nocy mieli wielki sztorm i że lejtant Brunicki niedawno skończył szkołę morską, a to właśnie jest jego pierwsza podróż na południowe morza, z której nie jest zbyt zadowolony, bo jego kapitan to prawdziwy mruk i choruje na pesymizm.

W porcie Putlam nie ma nic lepszego do roboty, jak właśnie pić rum z lodem, i dlatego prawdopodobnie między kapitanem Terryem a lejtantem Brunickim szybko nawiązały

<sup>400</sup>spicz (z fonet. ang. *speech*) — przemówienie, przemowa. [przypis edytorski]

<sup>401</sup>kadryl — salonowy taniec figurowy, popularny w XVIII–XIX w. [przypis edytorski]

<sup>402</sup>lejtant — stopień oficerski odpowiadający polskiemu porucznikowi. [przypis edytorski]

<sup>403</sup>bungalow — parterowy drewniany dom z werandami, typowy dla budownictwa kolonialnego, szczególnie w Indiach i Indonezji. [przypis edytorski]

się nici rzetelnej sympatii. Ponieważ jednak „Regens” odpływał wieczorem do Dakaru<sup>404</sup>, porucznik poprosił kapitana, by ten zabrał list i zaraz zaczął pisać.

— Domyślam się, że do narzeczonej — zaśmiał się Terry.

— Zgadł kapitan. Do najcudniejszej dziewczyny na świecie.

— Tak. Znałem kilka Polek. W waszym kraju są piękne kobiety — w zamyśleniu powiedział kapitan.

— Tak pięknej jednak kapitan, załóżę się, nigdy nie widział — powiedział młodzieniec i wydobywszy z pugilaresu<sup>405</sup> fotografię, podał ją towarzyszowi.

Terry wziął do ręki karton i zerwał się na równe nogi. Zdjęcie wyobrażało młodziutką, czarującą dziewczynę...

— Do licha! Znałem kiedyś podobnie... piękną... Czy wolno spojrzeć na odwrotną stronę?...

— O, proszę pana. Wprawdzie jest tam bardzo czuły napis, ale pan go nie odczyta, bo to w moim ojczyznym języku.

Kapitan jednak odczytał:

„Memu najukochańszemu wilkowi morskiemu, zamiast siebie samej na towarzyszkę długiej podróży — Julka”.

— Przeczytałem tylko podpis — uśmiechnął się Terry, zwracając fotografię. — Julka... Winszuję ci, przyjacielu... Jest istotnie jeszcze piękniejsza niż... niż ta osóbką, jaką ja znałem. Na pewno też ma równie słodkie serduszko. Winszuję ci, drogi przyjacielu... Czy dawno ją pan zna?...

Młody człowiek, acz nieco zdziwiony wzruszeniem kapitana, zbyt jednak przejęty był tematem, by na to szczególniejszą zwrócić uwagę. Zresztą i rum z lodem zrobił swoje. Toteż nie mógł się powstrzymać, by nie podzielić się z tym ujmującym kompanem tajemnicami swego serca.

— Poznałem ją w okolicznościach prawdziwie niezwykłych — zaczął swe opowiadanie...

Gdy je kończył, słońce już dawno zaszło za pierzaste palmy półwyspu, a po kapitana po raz trzeci przybiegał zaniepokojony bosman.

Lejtnant odprowadził kapitana Terry’ego na molo i podając mu list, powiedział:

— Nie wiem tylko, czy moja narzeczona jest teraz w Warszawie u mego ojca, czy u swojej kuzynki Alicji w Zakopanem. Na wszelki wypadek zaadresowałem do Warszawy.

— A cóż pański ojciec, prowadzi jeszcze tę zakazaną klinikę, której zawdzięcza pan spotkanie z obecną swą narzeczoną?

— Gdzież tam! Odkąd się ożenił, zajmuje się wyłącznie studiami nad niemotą.

— Tak... tak... no, żegnaj, lejtnancie, i wiedz, że zarówno tobie, jak i pańskiej narzeczonej życzę tyle szczęścia, co sobie samemu! Żegnaj!...

Mocno podali sobie ręce i kapitan Terry wskoczył do łodzi, zanim jednak ta odbiła, krzyknął:

— A swemu ojcu, gdy go pan zobaczysz, lejtnancie, powiedz, że mnie spotkałeś i że ja mu przesyłam pozdrowienia od starego, wiernego przyjaciela Fakira. On już będzie wiedział, co to znaczy. Od Fakira!... Żegnaj!...

Łódź oddalała się po gładkiej jak lustro wodzie, w cichym plusku wiosel.

Nad zatoką Putlam wstał wielki, biały księżyc.

<sup>404</sup>Dakar — duże miasto portowe na zach. wybrzeżu Afryki; w okresie międzywojennym stolica kolonialnej Francuskiej Afryki Zachodniej; ob. stolica niepodległego Senegalu. [przypis edytorski]

<sup>405</sup>pugilares (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dolega-mostowicz-prokurator-alicja-horn/>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Dołęga-Mostowicz, Prokurator Alicja Horn, wyd., trzecie, Towarzystwo Wydawnicze "Rój", Warszawa 1939.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Monika Kępska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-7580-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.